



Format Literacki

NR 4/5 (2022)

POEZJA – PROZA – ESEJE – SZTUKI WIZUALNE

ISSN 2720-0892



W numerze, m.in.: U. M. Benka, M. Braun, B. Jasiński, J. Jurkowski, D. Koca, B. Klimsa,
J. Krupiński, K. Szwaja, R. Gawłowski, S. Karolewski, G. L. Kamiński, K. Konecka,
A. Kostołowski, W. Okoń, R. Piaskowski, K. Rudowski, A. Saj





Format Literacki

NR 4 (2022)

POEZJA – PROZA – ESEJE – SZTUKI WIZUALNE

ISSN 2720-0892

Format Literacki

Wydawcy:
Stowarzyszenie Pisarzy Polskich — Oddział we Wrocławiu
Prezes: prof. Waldemar Okoń

Ośrodek Kultury i Sztuki we Wrocławiu | Instytucja Kultury Samorządu Województwa
Dolnośląskiego
Dyrektor: Igor Wójcik | Rynek-Ratusz 24, 50-101 Wrocław
www.okis.pl, sekretariat@okis.pl

Redakcja:
Redaktor Naczelny
Waldemar Okoń
e-mail: waldemar.okon@wp.pl

Z-ca red. naczelnego
Andrzej Saj
e-mail: aasaj@interia.pl

Sekretarz Redakcji
Robert Gawłowski
e-mail: adr@post.pl

Zespół redakcyjny:
Urszula M. Benka, Krzysztof Rudowski

Stali współpracownicy:
Magdalena Barbaruk, Monika Braun, Bogusław Jasiński, Janusz Jaroszewski,
Gabriel L. Kamiński, Stanisław Karolewski, Leszek Koczanowicz, Andrzej Kostołowski,
Roger Piaskowski, Jakub Skrzypczak, Marek Śnieciński,
Henryk Waniek, Igor Wójcik, Tadeusz Złotorzycki

Opracowanie graficzne: Tomasz Pietrek

Okładka (przód): Mariusz Mikołajek, *Stalker*, 2012
Okładka (tył): Natalia LL, *Forma Platońska K*, 1990

Korekta: Inez Kropidło

Druk: Jaks

Nakład: 350 egz.

Za finansowe wsparcie dziękujemy Panu Prezydentowi
i Wydziałowi Kultury Urzędu Miejskiego Wrocławia

Projekt współfinansowany z Budżetu Województwa Dolnośląskiego

Dolnośląskie pismo artystyczno-literackie pod patronatem:
Urzędu Miasta Wrocławia,
Akademii Sztuk Pięknych im. Eugeniusza Gepperta we Wrocławiu,
Instytutu Kulturoznawstwa Uniwersytetu Wrocławskiego

Kwartalnik bezpłatny

Wrocław miasto spotkań



OŚRODEK KULTURY I SZTUKI
WE WROCŁAWIU



DOLNY
ŚLĄSK
INSTYTUCJA KULTURY SAMORZĄDU
WOJEWÓDZTWA DOLNOŚLĄSKIEGO



www.umwd.pl

Spis treści numeru 4

- Waldemar Okoń** *Credo videre bona...* Zamiast wstępu — **4**
- Waldemar Okoń** *Credo videre bona in terra viventium* — **6**
- Bogusław Jasiński** Granice słowa poetyckiego – próba metafizycznej interpretacji Psalmu 19 — **8**
- Monika Braun** Przeciw powtórzeniu, czyli wokół *credo* — **18**
- Stefan Jurkowski** Wiersze — **4**
- Janusz Jano Mielczarek** Tam, gdzie NIE rosły poziomki — **34**
- Roger Piaskowski** Wybór Eona — **42**
- Cezary Wąs** *Credo quia absurdum Tertuliana*. Pierwotny sens maksymy i jej późniejszych modyfikacji — **48**
- Krzysztof Rudowski** Zaduszki — **54**
- Urszula M. Benka** Maki czarne, fiołki czerwone — **88**
- Waldemar Okoń** Niebezpieczne małe prozy — **94**
- Marek Śnieciński** Strażnik — **104**
- Bogdan Koca** Mann i teatr — **108**
- Janusz Krupiński** *Etsi Deus non daretur* — **112**
- Andrzej Saj** Malarskie modlitwy Mikołajka
(albo od „łaski wiary” do „łaski tworzenia”) — **128**
- Urszula M. Benka** Wiersze — **140**
- Z ojcem Andrzejem Kłoczowskim rozmawia Elżbieta Wojnarowska**
Trudne pytania — **142**
- Bogusław Klimsa** Czyżby to była jedna z tajemnic Henryka Tomaszewskiego? — **156**
- Krzysztof Szwaja** Dionizyjska gra. Wywiad z samym sobą — **164**
- Kamil Bryka** Wszystko, co chcielibyście wiedzieć o najnowszej książce Olgi Tokarczuk, ale baliście się zapytać — **182**
- Spis treści numeru 5** — **187**

Credo videre bona...

Zamiast wstępu

Wnapisanym w połowie lat osiemdziesiątych XX wieku, w czasach Wielkiego Smutku, a inspirowanym słowami Psalmisty wierszu próbowałem przekonać sam siebie, że dobro w jakiejś przewidywalnej przyszłości jednak zwycięży i że tak naprawdę, jeżeli chcemy ten utopijny stan etycznego absolutu osiągnąć, to powinniśmy zacząć wszystko od nowa, stworzyć nie tylko rzeczywisty, ale również artystyczny świat „na ziemi niczyjej”. W świecie tym winny powstać również nowe formy nadziei i miłości, ponieważ te dawne się nie ziściły, podobnie jak zawiedli żyjący na Ziemi ludzie i wszystkie imiona i nazwy nadane światu w początkach jego istnienia przez człowieka. Wydawało mi się wówczas, że słowo poetyckie ma również moc stwarzania, stąd próba opisu owego początku, wywiedziona z najprostszych ludzkich działań przekształcanych stopniowo w abstrakcyjne formuły bliskie wszelkim ideom i ostatecznemu niespełnieniu, w którym zawarta jest jednak treść istotna owo niespełnienie tłumacząca.

W wierszu pojawia się w tym momencie druga osoba, ktoś kogo kochamy, kto potrafi ukoić nasze troski i zapewnić, że szczęśliwe jutro jest na wyciągnięcie ręki. Nowa Ewa sprawi, że staniemy się bardziej boscami niż sam Bóg, a światło, które dotąd było zbyt wyraziste i natrętne, przemieni się w siłę sprawczą unoszącą nas w sfery, gdzie pozostaniemy tylko my dwoje, stworzeni i wyrzeźbieni już nie z prochu ziemi, lecz dzięki naszej własnej sile mogącej przewyciężyć dawne niedoskonałe dzieło stworzenia. Stan ten jednak nie będzie trwał wiecznie – podobnie nie wiemy, jak długo istniał Stwórca przed aktem kreacji, poprzez który się ujawnił. Pojawiające się, wydobyte z naszej jaźni postacie zaczną zaludniać nowy Eden, w którym wszystkie reguły istnienia i zasady działania należy wymyślić od nowa. Nasze imiona będą jednak dla nich tajemnicą, uzurpujemy sobie bowiem powtórzenie części dawnych praw, o których istnieniu nowi mieszkańcy nigdy się nie dowiedzą. Pośród nowych reguł muszą się też pojawić nowe prawa sprzyjające ich wolności i swobodzie wyboru, wymagające jednak naszej wobec nich nieustannej czujności, aby nie zeszedli z drogi dobra i prawdy na nadmiernie indywidualne i przez to heretyckie manowce. To my mamy być nieśmiertelni, nie oni, nasze wyznanie wiary ma stać się ich wyznaniem, a nasze prawdziwe imiona, wprawdzie skryte pierwotnie za woalem tajemnicy, wkrótce zostaną zamienione na bardziej

ludzkie, służące pokucie i modlitwie. To przyniesie nowym mieszkańcom ostatecznie szczęście, powstanie nowe miasto słońca, w którym będzie wystarczająca ilość wody i powietrza, ale ich wiara i imiona będą ostatecznie bezwzględnie nam podlegać, jak to już nieraz bywało w historii tego i innych – wcześniejszych – światów.

Pozwoliłem sobie przeprowadzić interpretację mojego, opublikowanego w niniejszym numerze „Formatu Literackiego”, wiersza sprzed lat, ponieważ treści w nim zawarte wydały mi się na tyle współcześnie nośne i warte przypomnienia, że mogły stać się paraliteracką formą wprowadzenia do kolejnych dwóch tomów naszego kwartalnika. Tematy „Credo” oraz „Imię”, jakie im patronują, zostały tu ujęte w interesującą literacko klamrę kilkudziesięciu tekstów wybitnych pisarzy i poetów. Mam nadzieję, że po „Orfeuszu i Eurydyce” oraz „Apokalipsie” kolejne wyznania nie tylko literackiej wiary zostaną przez Państwa dobrze przyjęte, a imiona naszych Autorów, utrwala się odtąd na stałe w Państwa pamięci.



Mariusz Mikołajek, *Świadek*, 2007 (czyt. s. 128)

WALDEMAR OKOŃ

Credo videre bona in terra viventium

Wierzę że będę oglądał dobro na ziemi żyjących
wierzę że urodzę się ponownie na ziemi niczyjej
wierzę że przełamiemy strach nadzieję i miłość
tworząc nowe nazwy i pierwszego człowieka
powinniśmy poprawić dzieło stworzenia
powinniśmy podzielić się siłą i jabłkiem i Bogiem
jego pierwsza litera zmaleje jego ręka karmiąca osłabnie
zaczniemy od gwoźdźcia wbitego w nieistniejącą ścianę
od punktu pękniętego w połowie od treści zawartej w niespełnieniu
przyjdiesz do mnie i powiesz że nikt już do mnie nie mówi
nikt nie grozi nie zaślepia ulic
nasza nagość stanie się niezauważalna
obrazy znikną światło obejmie nas i uniesie
tak jakbyśmy trwali przetopieni w metal w stop wyrzeźbiony naszymi dłońmi

słyszę czyjeś kroki nadchodzą nowi mieszkańcy którzy nie wiedzą
jak powstaje się z niczego którzy są naszym dziełem wytryskiem
płynącym pod gwiazdy i nie mogę się poruszyć jestem związany z nimi
nicia utkana z twoich włosów co powiemy im jak przywitamy
na nowej drodze na ziemi żyjących
nie chcesz wypędzić stąd nikogo nie chcesz niczego im zabraniać
lecz nasze twarze nasze imiona może to jedno niech będzie dla nich
tajemnicą sposób w jaki powstał to że istniejemy dwoje po zabójstwie
tych którzy przeminęli niech sądzą że ja jestem najwyższy
najdoskonalszy najpiękniejszy a ty ukryj się w moim cieniu
i pozostań tak poruszając moim ciałem w chwili znużenia
mówiąc poprzez moje usta kiedy zamilknę tak by mogli słyszeć głos
nieustający nasycony przyjaźnią radością i będziemy ich śledzić
czy są szczęśliwi czy nikt nie sięga po nóż po pętlę po ogień
czy mają wszystko według ich potrzeb które poznamy które musimy

przewidzieć przecież nie możemy dopuścić do ponownej zbrodni
do ponownego grzechu i śmierci
nasza nieśmiertelność będzie ich szczęściem
musisz mi uwierzyć.

1985

Wiersz z tomu *Poematy nadziemne* (Warszawa 2000)



Mariusz Mikołajek, *Before after III* z cyklu „Windows”, 2020 (czyt. s. 128)

Granice słowa poetyckiego – próba metafizycznej interpretacji Psalmu 19

Nieraz spotykaliśmy w historii literatury powiew marzenia słowem niedoścignętego: wyrazić piórem to, co w istocie jest niewyraźalne. I nie chodzi tu tylko o kwestie *stricte* metafizyczne, ale również o jak najbardziej życiowe: całą pełnię uczuć i emocji, prawdę każdej chwili dnia powszedniego, wreszcie po prostu o człowieka takiego, jakim naprawdę jest, a nie jedynie takiego, za którego się uważa. Ten swoisty heroizm walki o prawdę ogarniał najpotężniejsze umysły poetyckie. Nigdy nie zapomnę wrażenia, jakie wywarły na mnie słowa sędziwego już Tołstoja, który pod koniec życia pisał w dzienniku o swoim pisarskim marzeniu – oddać prawdę każdego dnia, takiego, jaki jest, i zarazem niczego nie udawać, nie zmyślać, nie tworzyć jakichś historii i opowieści. A pisał to przecież człowiek mający za sobą i *Annę Kareninę*, i *Wojnę i pokój*, i niezliczone ilości tekstów, które zapewniły mu uznanie i sławę naprawdę niezwykłą, wtedy i dziś.

Takie właśnie marzenie – wszak zrealizowane – było też udziałem tajemniczych autorów Psalmów, które wypływają do nas z mroku dziejów. Nic zatem dziwnego, że z tajemnicą tą mierzyli się wielcy poeci: od naszego Kochanowskiego poczynając, a na Miłoszu kończąc. Czuli swą poetycką intuicją, że właśnie dotykają granicy poza słowem poetyckim – tam, gdzie jest rzeczywistość niewysłowiona i zarazem jedyna naprawdę realna.

Spróbujmy przyjrzeć się temu na przykładzie tylko jednego tekstu, który do tego typu analizy jest szczególnie predestynowany.

Psalm 19: Chwała Boga w przyrodzie i Prawie

Niebiosa głoszą chwałę Boga,
dzieło rąk Jego nieboskłon obwieszcza.
Dzień dniowi głosi opowieść,
a noc nocy przekazuje wiadomość.

Nie jest to słowo, nie są to mowy,
których by dźwięku nie usłyszano;
ich głos się rozchodzi na całą ziemię
i aż po krańce świata ich mowy.
Tam słońcu namiot wystawił,
i ono wychodzi jak oblubieniec ze swej komnaty,
weseli się jak olbrzym, co drogę przebiega.
Ono wschodzi na krańcu nieba,
a jego obieg aż po krańce niebios,
i nic się nie schroni przed jego żarem.

Prawo Pana doskonałe – krzepi ducha;
świadectwo Pana niezawodne – poucza prostaczka;
nakazy Pana słuszne – radują serce;
przykazanie Pana jaśnieje i oświeca oczy;
bojaźń Pańska szczerą, trwającą na wieki;
sądy Pańskie prawdziwe, wszystkie razem są słuszne.
Cenniejsze niż złoto, niż złoto najczystsze,
a słodsze od miodu płynącego z plastra.

Chociaż Twój sługa na nie uważa,
w ich przestrzeganiu zysk jest wielki,
kto jednak dostrzega swoje błędy?
Oczyść mnie od tych, które są skryte przede mną.
Także od pychy broń swojego sługę,
niech nie panuje nade mną!
Wtedy będę bez skazy i wolny
od wielkiego występku.
Niech znajdą uznanie słowa ust moich i myśli mego serca
u Ciebie, Panie, moja Skała i mój Zbawicielu!

Ten niezwykle piękny literacko psalm, choć uwodzi słowem, to jednak przy uważnej lekturze nastrocza sporych kłopotów interpretacyjnych. Na pierwszy rzut oka widać, że dzieli się na dwie wyraźnie zaznaczone części: w pierwszej psalmista koncentruje się na opisie chwały Boga, która płynie wprost z obserwacji natury, w drugiej natomiast opisuje – czego wcześniej w cyklu nie robił – działanie prawa Bożego, któremu tak samo podlega człowiek, jak i cały byt stworzony.

Użyty zwrot o chwale Boga, która wynika poniekąd z samej natury świata, trzeba jednak rozumieć o wiele radykalniej: oto natura owa sama **mówi** o swoim Stworzycielu. Wprost, a nie za pośrednictwem kogoś lub czegoś. Psalmista zaś tylko notuje, niczego nie dodając od siebie: „Dzień dniowi głosi opowieść, a noc nocy przekazuje wiadomość”. I jest w takim razie rzeczą naturalną, że choć nie są to zwykłe słowa i zdania, to przecież ich dźwięk pozostaje, jak przekonuje, słyszalny.

Twierdzenia powyższe tylko na pozór wydają się jasne i zrozumiałe. Skoro Bóg stworzył wszystko dookoła i skoro w majestacie i pięknie bytu stworzonego sam się objawia, to w takim razie w pewnym sensie sam też głosi chwałę siebie samego. Jest wszak wszystkim, a Jego głos artykułowany ruchem nieboskłonu, rytmem nocy i dnia nie tylko staje się oczywisty; taki, którego – jak przekonuje psalmista – nie da się nie usłyszeć, ale również „rozchodzi [się] na całą ziemię”, a nawet „po krańce świata”, bo wszak jest tym światem! A zatem w samym pojęciu Boga, jako bytu najdoskonalszego i najpełniejszego, zawierać się musi Jego własna chwała. W takim razie czym są słowa i zdania samego psalmisty? Wydaje się, że jego rola poniekąd ogranicza się tylko do bycia akuszerem dla głosu samego Bytu Najwyższego, a to, co notuje, może być li tylko zapisem granicznym. Przyznać też trzeba, iż jest to zapis niepozabawiony przy tym swoistego uroku, który jednak nie powinien zatrzymywać uwagi na sobie, albowiem to nie on jest celem i przedmiotem. A nawet powiedzieć trzeba więcej: absolutnym spełnieniem słów tego psalmu byłoby w takim razie jego samouniwersalizowanie, czyli milczenie i cisza – tak, jak kwiat, który najpiękniej rozkwita na krótką tylko chwilę, tuż przed zwiędnięciem. Właśnie tym jest ten psalm.

Kim jest w takim razie sam psalmista? Widać wyraźnie, jak schodzi na dalszy plan, mówiąc o sobie, że jest tylko „sługą”, co należy rozumieć, że bynajmniej niczego nie wymyśla i niczego nie tworzy, lecz tylko wiernie notuje i przekazuje. Bo ostatecznie to nie on mówi, lecz przez niego Ktoś coś przekazuje. I trzeba przyznać, że to niezwykła rola twórcy i niezwykła funkcja języka, którym się posługuje. Zupełnie przy tym nieznanym dzisiejszemu poecie i czytelnikowi, tak jak – ostatecznie – nieznanym jest świat, który przywołują. Widać zatem psalmistę w takiej samej postawie, jaką przyjął Samuel, wołając do Pana: „Mów, bo sługa Twój słucha” (1 Sm 3, 10).

Warto też zauważyć, iż bycie sługą oznacza tu również, że się należy do kogoś drugiego. Ale jak rozumieć tę relację? Otóż wydaje się, że musimy pojmować ją o wiele głębiej, niż wskazywałyby proste relacje znane z życia. Jest to stosunek pełnej i ufnej miłości, gdy mówi się: „nie czyń mnie kimś osobnym, bo w Tobie jestem!”. To właśnie powiada nasz psalmista. Taki „sługa” czuć się zatem może kimś wyróżnionym, albowiem świadom jest swojego uczestniczenia w bycie wielokrotnie go przerastającym. Cóż więc wspólnego ma ten sposób „służenia” z naszymi życiowymi mniemaniami? Odsłania się w nim zupełnie inna rzeczywistość, która rządzi się innymi prawami,

nakazującymi przyjęcie logiki zaiste paradoksalnej: im mniej mnie samego, tym więcej samego istnienia, lub: więcej dostaję, im więcej oddaję, czy też: więcej mówię, kiedy milczę. Stąd już tylko krok do pięknych słów z Księgi Izajasza: „Powołał mnie Pan już z łona mej matki, od jej wnętrzości wspomniał moje imię. Oстрыm mieczem uczynił me usta, w cieniu swej ręki Mnie ukrył. Uczynił ze mnie strzałę zaostrzoną, utaił mnie w swoim kołczanie” (Iz 49, 1–2). Rzeczywiście „ostre” są słowa psalmu, albowiem idą po krawędzi języka i po krawędzi świata życia.

W tej perspektywie musiały też nastąpić w Psalmie słowa o „bojaźni Pańskiej” oraz o tym, by bronić się „od pychy”. Bo słusznie należy domniemywać, że właśnie ona jest źródłem grzechu i wszelkiego zła, gdyż kwestionuje wielkość, majestat oraz pełnię Bytu Najwyższego. Cały zatem wywód psalmisty oparty jest na oczywistej logice i na konsekwentnym porządku. Prowadzi on od uznania wszechmocy Boga oraz Jego potęgi i majestatu we wszelkim bycie, co ważne – bycie stworzonym do przekonania, że właśnie postawa sługi wyzbytego pychy jest najbardziej naturalna i oczywista. A nawet więcej: każda inna postawa i każda inna myśl wydają się w tym porządku po prostu absurdalne! I właśnie w tym należałoby szukać współczesnej definicji ironii i tragedii losu człowieka: ironii, bo wydaje się, że robimy to, co chcemy, i tak, jak chcemy, a jednak nigdy tej wolności w pełni nie osiągamy; oraz tragedii, bo wydaje się, że postępujemy właściwie i według własnych miar, gdy tymczasem jesteśmy bezlitośnie sądzeni przez prawo, które nas przewyższa i którego nie stworzyliśmy.

Słusznie i pięknie zatem psalmista mówi o błędach skrytych przed nim samym, a skierowany do Boga postulat, aby również z nich zostać oczyszczonym, staje się wyrazem otwartości na istnienie jako takie oraz poniekąd innym przejawem owego granicznego zapisu głosu, który rozlega się z głębi bytu. Cały czas więc poruszamy się po krawędzi: zarówno zapisu i notacji poetyckiej, jak i form życia.

Musiały zatem na tej drodze pojawić się słowa o prawie Bożym, bo to ono stanowi osnowę całego świata. Mówiąc językiem nowoczesnym: staje się ono strukturą całego bytu, którą wypełniamy nie tylko formami życia, ale i własnymi działaniami. I nie bez przyczyny rozważania te następują po odczytaniu z porządku natury głosu chwały Pana. Innymi słowy, prawo to o tyle jest czytelne, o ile wcześniej nie tylko otworzymy się na byt, ale wręcz doświadczymy jego oczywistości; czyli najpierw jestem, a potem widzę i uznaję prawo istnienia jako nadrzędne. Wtedy nie tyle kieruję się w swoim postępowaniu tym prawem, ile raczej daję się nim kierować.

Paradoksalna glosa między ciszą a milczeniem

Taka interpretacja Psalmu 19 jest rzeczywiście przejawem pewnego skrajnego paradoksu, gdyż prowadzi w prostej linii do unicestwienia wszystkich jego słów. Jeśli bowiem konsekwentnie rozwijamy naszą główną myśl, którą odczytujemy

z poszczególnych zdań i strof tej inkantacji, to jej następnym krokiem powinno być zmazanie wszystkich słów tak, jak zmazujemy mokrą gąbką jakieś zdania i frazy napisane kredą na tablicy. Dalej jest rzeczywistość pozajęzykowa, a może nawet pozakonceptualna. To po pierwsze.

Inna zaś cecha tego paradoksu to fakt, że usiłujemy wysławić – przy pomocy, oczywiście, samego tekstu psalmu – istnienie, sami istniejąc. Jak wiadomo, z logicznego punktu widzenia nie jest to możliwe. To po drugie.

Kolejna sprawa, tłumacząca tytuł niniejszej glosy, a mianowicie poruszamy się tu tak naprawdę pomiędzy bytem, który przecież „nie mówi” językiem, jakim się zazwyczaj posługujemy, a zatem spowija go cisza, i słowem, z definicji niejako niezdolnym tego języka wyrazić, a zatem skazanym na milczenie. Cóż zatem pomiędzy?

W końcu sprawa ostatnia, którą powinniśmy już na samym początku sobie wyjaśnić: oto pomiędzy taką ciszą a takim milczeniem jest pustka. Krótko mówiąc, ta glosa nieuchronnie musi traktować o niczym. O tym tu piszemy. Czyli o czym?

Proszę jednak tych zdań tu napisanych nie traktować jako jeszcze jednej zgrabnej żonglerki słowami, ponieważ mówimy kto wie czy nie o najistotniejszej kwestii z zakresu metafizyki – nie tylko o tym, co istnieje, ale przede wszystkim jak istnieje. Czyli: jak nam się jawi i jak wyraża samo istnienie. Te dwa – jak powiadają filozofowie – *modi* bycia podają sobie dłoń właśnie w przestrzeni pomiędzy ciszą a milczeniem. W niczym.

Ale spróbujmy opisać pole naszej analizy, skoro jej przedmiot umyka spod pióra i myśli. Zlokalizujmy zatem nic i brak: skąd się biorą i jak działają. Gdzie indziej udowadniałem, że życie człowieka spełnia się w naturze zreprodukowanej, która wypełniona jest pozorną przedmiotowością¹, i której podstawowym wyróżnikiem jest nieprzejrzystość na samo istnienie. Przy czym to, co pozorne, odbierane jest jako to, co realne. Istotę tego pozoru stanowią, enumerycznie wskazując, zakorzenione głęboko mniemanie, iż każdy przedmiot i każdy byt życiowy posiadają sobie tylko właściwą tożsamość, która zasadniczo odróżnia go od innych; dalej: przeświadczenie, że to, co zjawia się w naszym życiu, rozwija się linearnie od przeszłości do przyszłości; i jeszcze: niemal wyłącznie pojęciowe rozumienie bytu; wreszcie – co poniekąd jest konstytutywne dla całej metasfery istnienia, czyli życia – ów pierwotny podział na podmiot i przedmiot wraz ze wszelkimi tego konsekwencjami.

Taka forma pozornej przedmiotowości pojawiła się, rzecz można, stosunkowo późno w historii gatunku ludzkiego i od razu też stała się znamieniem rozwoju. To był ten właśnie moment w naszej historii, kiedy to formy życia mogły reprodukować się w swych własnych granicach, poniekąd jedne z drugich mocą rozumu i na

1 Tu wypada odwołać się do szczegółowych rozważań zawartych w mojej książce pt. *Tezy o ethosofii / Theses on ethosophy* (Warszawa 1987), a w szczególności do rozdziałów 8–13 oraz 37.

podstawie wiedzy gromadzonej w umyśle. Z czasem taka forma przedmiotowości stała się jedyną, wypełniając całą sferę życia. Natura była już tylko „dla nas”, bo oślepliśmy na naturę „dla siebie”. Jak się okazało, także ogłuchliśmy.

Metasfera istnienia stała się więc jedyną ontycznością życia, równocześnie zaś jego materią. W tym także zawiera się ironiczny paradoks naszych czasów: to, co istnieje, ujmowane jest jako nieistniejące, natomiast to, co jest bytem pozornym, przyjmuje się jako jedyną realność. Zatem życie nasze w coraz większym stopniu przysłaniają formy nieprzejryste na samo istnienie.

Ta swoista materia życia nieustannie reprodukuje swoje własne formy przedmiotowości, tkając z nich swój własny byt. Posiada także własną dynamikę, która stwarza po prostu świat życia, jakby naśladując owo *creatio ex nihilo* i wstępując na miejsce od dawna jest zajęte. Stąd ta nadprodukcja form przedmiotowości, bo w życiu musi być przede wszystkim Coś, a jego naturalnym wrogiem jest Nic². Uwięzieni więc jesteśmy w przedmiotach i w formach, sprowadzając do nich nawet wyobrażenie siebie samych.

Tymczasem przywołany psalm wychodzi poza jakąkolwiek formę, przedmiot a nawet słowo i zaczyna falować – jak powiedzieliśmy – pomiędzy ciszą bytu a milczeniem języka. W tym też sensie płynie do nas z niego dziwne i rzeczywiście paradoksalne przesłanie, które przy okazji nas samych stawia w problematycznej sytuacji. Cóż więc mówi, starając się nic nie powiedzieć?

Oto towarami luksusowymi dla naszego życia stają z wolna cisza, pustka i brak. Są tak bardzo cenne, że nie mają póki co żadnej ceny. Może już niedługo również i nimi będziemy jednak handlować. Następnym etapem dla fortun zbijanych dotąd na reklamach będzie sprzedawanie ich braku, bo już tylko to będzie jedyną skuteczną reklamą.

W sztuce zaś najwyrazistszym kolorem będzie brak koloru, gestem – brak gestu, a słowem – brak słowa. Dokładnie tak jak przysłowiowy łyk świeżego powietrza. Kto wie, czy właśnie mimowolnie nie mówimy o następnym etapie rozwoju naszego świata. Dodajmy: świata, który zamyka się w sobie z coraz większą siłą i determinacją. Jeszcze nie tak dawno filozofowie formułowali tezę o „zwijaniu się świata”³, teraz natomiast należałoby już zapewne mówić właśnie o zamknięciu się świata naszego

2 To naprawdę jest zarazem zadziwiające i fascynujące dla filozofa, że człowiek zawsze musi mieć owo Coś, bo jego oczy zostały całkowicie przekształcone tylko do widzenia, jakby powieki nigdy nie opadały, a uszy wyłącznie do słuchania, jakby przestała istnieć cisza. Nawet w sytuacji, gdy nie dostrzega on w swej ślepotcie i nie słyszy w swej głuchocie samego Boga, musi mieć – na tej samej zasadzie – Jego namiastkę lub sobowtóra, co pięknie opisuje znana scena z Księgi Wyjścia: „A gdy lud widział, że Mojżesz opóźniał swój powrót z góry, zebrał się przed Aaronem i powiedział do niego: «Uczyń nam boga, który by szedł przed nami, bo nie wiemy, co się stało z Mojżeszem, tym mężem, który nas wyprowadził z ziemi egipskiej»” (Wj 32, 1). Oczywiście mowa tu o bożkach. Wtedy pojawiały się one – jak widać z tej cytaty – incydentalnie, dziś zaś powszechnie.

3 Mam tu oczywiście na myśli Pierre’a Teilharda de Chardina.

życia. Ogłuchliśmy na wołanie bytu i oślepliśmy na samo istnienie, dlatego tak niezwykle brzmią słowa tego psalmu, bo są rzeczywiście zapisem granicznym.

Żyjąc, umieramy, a porzucając życie i jego porządek...? Oto pytanie graniczne, bo nie da się słownie na nie zareagować. Pozostaje tylko doświadczenie. I pusta kartka papieru.

Glosa do paradoksalnej glosy o niczym

Nie jest wszak prawdą, że nigdy nikt wcześniej tego nie zauważył. Jedni próbowali zbliżyć się do tej granicy słowem pojęciowym, inni zaś frazą poetycką. Ale rzadko kto ją przekraczał. I trzeba też przyznać, że pierwsi zazwyczaj przegrywali ci wywracający na nice słowa, albowiem cały czas obracali się przeciw w świecie umysłu, drudzy natomiast szybowali na fali uniesień i jakże często w ten sposób wygrywali, odwołując się do doświadczenia egzystencjalnego, po równo odmierzającego racje głowy, jak i serca. O kim mowa?

Od Parmenidesa oraz Heraklita, później za życia Mistrza Eckharta, aż po czasy Heideggera na poboczach głównych nurtów filozofii rozgrywała się cicha wojna o wyjście poza świat pojęć i wyrażenie w samej filozofii oczywistości istnienia. Żadna bitwa tej wojny nigdy nie została wygrana. Niemniej już same porażki dobitnie zaświadczenia o tym, że problem jest i nie możemy go dalej ukrywać – nawet mimo coraz większego wyrafinowania form intelektualnych, jakimi nauczyliśmy się go zakrywać. A najbardziej spektakularnie wyraża to cała historia filozofii.

Otóż skądinąd wiadomo, iż założeniem i równocześnie podstawą każdego twierdzenia naszej wiedzy – nawiasem mówiąc, zgodnie z samymi wymogami logiki, na której wiedza się opiera – powinna być teza dokładnie przeciwna, to znaczy z zakresu właśnie nie-wiedzy, albowiem w innym wypadku to pierwotne twierdzenie nigdy nie będzie należycie uzasadnione, chyba że przez tautologię, a tę trudno przyjąć za jakiegokolwiek uzasadnienie. Dokładnie na tej samej zasadzie – dodajmy – każda teza filozoficzna staje się czysto deklaratywna, czyli oparta na schemacie „jeśli A, to... A”. Innymi słowy, nie istnieje jakiegokolwiek logiczne przejście – a takiego żąda zarówno wiedza, jak i filozofia (zwłaszcza!) – od nie-wiedzy do wiedzy oraz od nie-filozofii do filozofii. Dlatego właśnie nauka i filozofia są w swej istocie całkowicie deklaratywne. Stały się wyrazem pewnych form życiowych – światem zakleszczonym w słowach i pojęciach. I jako takie zarówno należą w całości do metasfery istnienia, jak i ją konstytuują. Są tautologiczne i nie mogą istnieć po eliminacji tej tautologiczności, a sama eliminacja byłaby wszak jedną z form eliminacji metasfery istnienia. Właśnie o tym mówimy i właśnie tu znajdujemy nasz wyjściowy problem. Oto pytanie: co jest poza tym?

Friedrich Hölderlin marzył o tym, aby móc rozmawiać z wiatrem oraz słońcem, ale przede wszystkim, aby dać ich pełny wyraz w poezji. Ale przecież taki wyraz, jeśli

miałby być rzeczywiście pełny, musiałby być wyrazem pozajęzykowym! Czyż nie jest to właśnie próba wyrażenia niewyraźnego? Może dlatego sięgał po jego wiersze Heidegger⁴, szukając w nich intuicyjnie pociechy po własnych niepowodzeniach na tej drodze. I słusznie: bo niewątpliwie poeta poszedł znacznie dalej niż filozof, albowiem – jak to poeta – odwoływał się przede wszystkim do doświadczenia rzeczywistości, a nie tylko do jej pojęciowego ujęcia. Tylko czy rzeczywiście Heidegger znalazł w nim to, czego szukał?

Hölderlin nie tylko marzył o takiej niepoetyckiej poezji, ale też wierzył w to, że jeśli poeta nauczy się mowy wiatru, wody, słońca, a może nawet deszczu, to dowie się, czym naprawdę jest nieśmiertelność. Bo widzimy wszak, że śmiertelne formy życia zzuć z siebie możemy niczym znoszony płaszcz i stanąć twarzą w twarz z istnieniem samym. W pewnym też sensie – zauważmy – poeta ten umożliwił zaistnienie tonu, który później wybrzmiał u Rainera Marii Rilkego: „*Sei – und wisse zugleich des Nicht-Seins Bedingung*”⁵, czego bynajmniej nie należy rozumieć, iż samo bycie tylko poprzez niebyt może być pojęte, jak to usiłują tłumaczyć niektórzy interpretatorzy, lecz dokładnie na odwrót: istnieje tylko to, co istnieje, natomiast rewersem tego jest nicość, ale pojmowana tak, jak pojmowany jest Szeol w Psalmach. A jeszcze ściślej: istnienie jako takie nie może być zakorzenione w nieistnieniu, albowiem – jeśli istnieje (a nie może być wszak inaczej) – wypełnia sobą absolutnie wszystko. Chcemy przez to powiedzieć, że coś tak w swej istocie absurdalnego, jak przytoczone przed chwilą twierdzenie, może być tylko produktem pracy umysłu człowieka – i jako takie jest pozorem. To właśnie przed nim przestrzegali psalmiści, wspominając o przekleństwie Szeolu, którego *notabene* nawet „przekleństwem” nie można nazwać, gdyż należy do sfery nicości – krainy niczego. A raczej: ułudy i pozoru.

Zastanawiające jest także, że do frazy tej wracali i na swój sposób ją tłumaczyli nie tylko liczni poeci, ale także filozofowie, jak wspomniany Heidegger. Wspólna dla nich wszystkich była z jednej strony fascynacja nicością Szeolu, jako odwrotności bytu, z drugiej zaś próba wyrażenia tajemnicy, którą skrywał sam byt. Także tęsknota do wyjścia poza rzeczywistość pojęć umysłu i poza myślenie rozumowe, z którymi wszak samo bycie bywało i nadal bywa utożsamiane. Intuicja wprawdzie kazała szukać poza tą rzeczywistością jakiegokolwiek racji jej istnienia, lecz miast kierować uwagę ku istnieniu samemu, po raz kolejny mamiona była mirażami nicości. Powieździeliśmy: „miraże”, albowiem sama kwestia nicości była w takiej perspektywie projekcją form umysłu, a zatem również stawała się pozorem. Zarówno jasnowidzący

4 Po raz pierwszy opisałem te próby Heideggera w pionierskiej książce *Myślenie Heideggerem* (Warszawa 1988), zwłaszcza w rozdziale trzecim.

5 Zob. Rainer Maria Rilke, *Sonet XIII*, [w:] *Elegie duinejskie. Sonety do Orfeusza*, przeł. Andrzej Lam, Warszawa 2011, „Bądź – i wiedź też zarazem, czym jest nie-byt”.

poeta, jak i filozof, wiedzący prawdopodobnie więcej niż sama filozofia, słyszeli głos, którym zwracał się do nich sam byt, ale byli wobec niego bezradni, ponieważ nie opuścili jeszcze na tyle radykalnie form życia i nie dokonali eliminacji metasfery istnienia. Zamiast tego produkowali kolejne formy nicości, co samo w sobie było i jest formą re-produkcji materii życia.

Dlaczego nie usłyszeli tego głosu? Bo usłyszeć nie mogli, gdyż – jak sam to przyznaje Rilke w swym *Sonecie XVI*: „*Und wird nur das Laermen angeboten*”⁶ – formy życia nie tylko oślepiły dzisiejszego człowieka na widzenie tego, co jest, ale także uczyniły go głuchym, na wołanie istnienia. Doskonale to wyczuwał Edmund Husserl, który zgiełk form życia kilkakrotnie określała jako „*Hadar*”, tumult i wrzask, uniemożliwiające dotarcie „*zu den Sachen selbst*”, czyli do rzeczy samej.

Musimy jednak iść jeszcze dalej w tym rozumowaniu, a mianowicie: nie pytamy się już o ten wrzask i tumult życia, ale o sposób jego istnienia, czyli badamy okoliczności założone. Dopiero wtedy odsłaniają się absolutność istnienia, a także jego oczywistość. Jak słuchanie umożliwia cisza, tak też doświadczenie oczywistości istnienia warunkuje eliminacja metasfery istnienia. To nie jest zwykła redukcja fenomenologiczna, wychodzi ona bowiem poza rzeczywistość pojęć. Jeśli zatem ktoś mówi, że wiedzę wyznacza niewiedza, to w gruncie rzeczy tkwi jeszcze w świecie rozerwanym na konstytuujące go podziały podmiotowo-przedmiotowe, dlatego też mówimy tutaj o badaniu okoliczności założonych takiego myślenia. A wtedy też mimowolnie odsłaniamy istnienie jako takie poza jakimikolwiek podziałami.

Stało się dziś banałem także przekonanie, iż jeśli rzeczywiście wiedza stanowi pewien system twierdzeń niesprzecznych, to zarazem musi on być niezupełny, co wynika wprost z tezy Kurta Gödela⁷. Oznacza to, że jest ona umysłową konwencją, poza którą leży doświadczenie istnienia, jako jej okoliczność założona. O tym mówimy, czytając i rekonstruując świat Psalmów.

Co jest dalej? Pomiędzy okiem a widzeniem, pomiędzy uchem a słyszeniem, dotykiem a czuciem – co jest? Widzę, słyszę i dotykam okiem, uchem i opuszkami palców,

6 Zob. *ibidem*: „*Dla nas tylko wrzawa tłumna*”.

7 Rzecz jasna, mówimy tu o pewnych filozoficznych konsekwencjach tego logicznego twierdzenia.

Dla jasności sformułujmy je jednak w wersji, która niewątpliwie stanowi istotny argument w rozumowaniu prezentowanym w niniejszej glosie: Przyznać też trzeba, że z tak przyjętego twierdzenia płyną dwie – wzajemnie się wykluczające – tezy filozoficzne. A mianowicie: pierwsza, która wskazuje na niewątpliwie ograniczone możliwości poznawcze umysłu człowieka, oraz druga, w której wskazuje się właśnie potęgę rozumu ludzkiego, albowiem po zanegowaniu jednych systemów wiedzy, człowiek tworzy następne (równie niesprzeczne wewnątrz i... równie niezupełne). Taką drogą dokonuje się postęp w nauce, na co zwrócił uwagę Thomas Kuhn w swej pracy *Struktura rewolucji naukowych* (przeł. Helena Ostromięcka, Warszawa 2009), gdzie pokazał mechanizm paradygmatycznych przesileń w rozwoju wiedzy ludzkiej. A jednak dla obu tych możliwości „okolicznością założoną” pozostaje kwestia istnienia – metafizyka raz jeszcze bierze górę nad logiką.

czy też raczej zmysłami umysłu? Zanim jednak zobaczę, usłyszę i poczuję, jest czy-
sta wrażliwość nagiego doświadczenia⁸, w której nie tylko zawierają się pamięć bytu
i pierwotna wiedza nieobjęta jeszcze umysłem i procedurą racjonalnego myślenia,
ale także jakiś przedziwny i jednoznaczny nakaz, jednocześnie bez świadomości na-
kazu, na podstawie którego działam dokładnie tak, jak działać powinienem, a więc
na pewno właściwie. I po raz pierwszy widzę, że istnienie nie wynika z umysłu. Czy
to mieli na myśli psalmiści, pisząc o prawie?

8 W końcu sam Rilke w zakończeniu swego *Sonetu III* nie wytrzymuje już dalej samego uwodzenia poezją
i przyznaje: „*Ein Hauch um nichts. Ein Wehn im Gott. Ein Wind*” – to sam Bóg wieje swym podmuchem w oczy
człowieka i, w domyśle, otwiera go na widzenie prawdziwe; bycie w prawdzie!



Mariusz Mikołajek, *My* z cyklu „*Windows*”, 2018 (czyt. s. 128)

Przeciw powtórzeniu, czyli wokół *credo*

*Serce potrzebuje bowiem mroku i ochrony przed światłem spraw publicznych,
aby jego racje mogły pozostawać tym, czym mają być: racjami i motywami
najbardziej wewnętrznymi, nienadającymi się do pokazywania.*

Hannah Arendt, *O rewolucji*

Kiedy byliśmy dziećmi, ja, moje rodzeństwo i kuzyni, dorośli pilnowali wspólnej modlitwy. Wychowałam się w rodzinie katolickiej, w której praktyki religijne traktowano poważnie, a związki z Najwyższym były rzeczywistością równie realną jak związki międzyludzkie. Zbieraliśmy się więc rano i wieczorem, podczas szczególnych świąt, tak kościelnych jak i rodzinnych, a także wtedy, gdy świat zdawał się wypadać ze swojej orbity, czyli gdy ludzie chorowali lub trafiali do więzień, pogoda była zła i nie spodziewano się dobrych zbiorów, wreszcie przed podróżą i po niej. Działo się to w różnych miejscach, szczególnie podczas wakacji w domu dziadków, z oczami zwróconymi ku zieleni otaczającego ich dom lasu, i ku firmamentowi, co było przecież bardzo stosowne dla budowania wertykalnych połączeń z Bogiem, albo też ku czerwieni, błękitowi i srebrzystej bieli obrazu Mehoffera przedstawiającego serce Jezusa, namalowanego na specjalne zamówienie rodziców mego ojca w czasie wojny, kiedy instancja poza- i ponadludzka wydawała się jedyną możliwą, by spodziewać się pomocy; historia obrazu była nieco sensacyjna i bardzo poruszająca, a jego obecność w rodzinie w czasach komuny wciąż traktowano jako cudowne panaceum na przeciwności losu. Spomiędzy dwóch szeregów wzlatujących ku niebu ognistych aniołów wyłaniał się jaśniejący Syn Boży i patrzył na nas, a my wypowiadaliśmy słowa zgodnym chórem.

Jak w *Powrocie taty*, gdzie dzieci mówią: „Ojczy nasz i Zdrowaś, i Wierzę,/ Dziesięcioro i koronki,/ A kiedy całe zmówili pacierze,/ Wyjmą książeczkę z kieszonki./ I litaniją do Najświętszej Matki/ Starszy brat śpiewa, a z bratem [...] przyśpiewują dziatki”. Tak i my czyniliśmy. I nasze inkantacje wzlatywały ku niebu, i ku karmazynowym skrzydłom anielskim, ku Chrystusowi, zdającemu się lekko do nas uśmiechać. I czuliśmy, że wspólny akt powtarzania tego, co inni także powtarzali przed nami, buduje naszą siłę, jedno-czy, tak aktualnie, z żywymi, jak i z tamtymi, których nie ma, lecz o których wiadomo, że spajały ich te same co nas repetycje. Ale *Credo* nie pamiętam. Tylko *Wierzę*, jak u Mickiewicza pojawiało się niekiedy, czyli *Skład apostołski*. Łatwiejsza wersja skondensowanej

do dwóch rozbudowanych zdań esencji chrześcijaństwa, możliwa do pamięciowego opanowania, podczas gdy ta długa – nicejsko-konstantynopolitańskie wyznanie wiary – wymagała więcej uwagi przy wyliczaniu sekwencji prawd brzmiących nieco abstrakcyjnie, oderwanych od swego ewangelicznego kontekstu, poza tym przecież obrazowego, konkretnego i zmysłowego. Proste *Wierzę* było zbiorem pewników oddzielonych od zdarzeń i przeżyć bohaterów – bezdyskusyjnych, niewymagających argumentacji, wymagających za to respektowania, było dostępne maluczkim, upraszczało niepojęte, dawało się spamiętać.

Inne modlitwy miały formę prośby, błagania lub opowieści, konsolidowała je historia, pozwalająca wchłonąć ich sens, a ich siłę budowały obrazy oraz dzieje ludzi i istot niebieskich. Komponowane zwykle mową wiązaną, zapadały w pamięć rytmem i rymem. Kiedy „wstawały ranne zorze”, kiedy „Jezus malusienki płakał wśród stajenki”, albo „wisi na krzyżu Pan, stwórca nieba”, można było wyobrazić sobie te chwile, poczuć, co działo się wtedy, a przez to w jakiś sposób zrozumieć sens cierpienia, chwały, pokory, zachwyty. Pozwalały współczuć, a także odnieść jakoś tamte sytuacje do własnego życia, do ludzkich doświadczeń, przełożyć na ludzką miarę. „Wszelkie smutki można znieść, gdy ujmie się je w historię lub opowie o nich historię”, powiada Karen Blixen. Więc te wszystkie litanie, pieśni i suplikacje niosły pociechę. Tylko *Credo* dyktowało oschłe, niemal odarte z cielesności fakty. Był tam, co prawda, Syn Boży przyjmujący ciało z Maryi Dziewicy, zstępujący do piekieł, a potem wstępujący na niebiosa i zasiadający po prawicy Ojca, wszystko to jednak miało postać bardziej zapisu w zbiorze ustaw niż opowieści, z którą można by się zidentyfikować. Brzmiało surowo i obco.

A jednak wielu chce mieć swoje *credo*, chce ująć swe przeświadczenia i przeczucia w jakiś prosty, łatwy do poukładania sposób. Nie tylko te religijne. I nie jako historię – zbyt uczuciową jak na życiowy program, poddającą się rozmaitym interpretacjom – ale jako zbiór dyrektyw i reguł rządzących światem i ludzkimi czynami. Żeby się nie pogubiły, nie uległy wypaczeniu. Łatwo przecież przychodzi nam zapominać. Lepiej więc trzymać się czegoś, wykazać jakąś stałość i niezłomność światopoglądową. Nauczyć się tego na pamięć. I powtarzać, często powtarzać. Jak modlitwę właśnie. To ułatwia życie, taki gotowy algorytm, zestaw sądów, które są raz na zawsze. Stąd wszelkiego typu kodeksy, statuty, dekalogi (nie tylko ten Mojżeszowi nadany) i regulaminy, ale też bardziej zindywidualizowane prawidła, wszelkie więc porzekadła, przysłowia, *political, professional* i *artistic statements*, hasła reklamowe i społeczne, nawet hymny i przyśpiewki. Również charakterystyczne powiedzonka niektórych ludzi. Raz sformułowane, przeważnie nie samodzielnie – jeśli w ogóle możemy sądzić, że cokolwiek bywa samodzielne, a nie powtórzone, zasłyszane, wydobyte z podświadomości – służy świetnie, by wypełniać myślową pustkę, własną i cudzą, nadaje się doskonale jako narzędzie pedagogiki rodzinnej, społecznej i zawodowej, może być rodzajem liczmana w towarzyskiej grze. Warto

jednak zadbać, by było to krótkie właśnie jak *skład apostolski*. Zwięzłość usprawiedliwia braki w dowodzeniu, nieobecność niuansów, niedostatek obrazowości. Prawdy objawione nie wymagają wyjaśnień.

Nauczyciele, rodzice i politycy wiedzą o tym doskonale, powtarzając do znudzenia te same kwestie i wygłaszając te same slogany. Każąc dziatwie na pamięć zakuwać wiersze, daty i imiona bohaterów. Na bezmyślnym ich perpetuowaniu konstytuują swą władzę, uległość innych oraz świetne dopasowanie obu stron do społecznych norm i oczekiwań. Dyktatorzy właśnie na reglamentacji słów budują potęgę. Sowietyzacja dokonywała się między innymi w ten sposób, jak zauważa Kołakowski, że „rytualny frazes pozbawiony semantycznej wartości unieruchamia i zastępuje myśl wszelką”. Podobnie działo się w szaleństwie rewolucji francuskiej, kiedy to każdy, kto nie powtarzał, najlepiej jak najgłośniej, uznanych wówczas zasad – był wrogiem. I było tak w czasie innych przewrotów. Ale i bez geopolitycznych, krwawych wstrząsów ów „rytualny frazes” jest wygodniejszy i bezpieczniejszy w obsłudze niż myśl niepodległa. No i czy rzeczywiście mechanizm włączający *replay* uruchamia się wbrew woli odbiorców i do ich znudzenia? Może tylko tak się przez jakiś czas zdaje tym, którzy jednak z czasem nasiąkają gotową papką tekstów niewymagających refleksji, użytecznych w porozumiewaniu z innymi im podobnymi, przydatnych, gdy brak własnych rozwiązań i pomysłów – którzy automatycznie absorbują i replikują rzeczywistość. Tekstów stających się „lekcją do wydania”, ujmującą złożoność tej rzeczywistości w upraszczający schemat. Przy czym łatwość pozyskiwania „materiału” do różnych wersji językowego kuglarstwa na tym polu, biorąca się z podaży słów na skalę niedającą się oszacować od kiedy druk, radio, telewizja, a potem Internet zamieniły je w towar bez wartości, czyni coraz trudniejszym odróżnienie autentyku od falsyfikatu, idei własnej od cudzej. Stąd interesujące filozofów zapytywanie o autora, dzieło i plagiat oraz niezwykle rozwój i równocześnie niejaka daremność stosowania prawa autorskiego.

Sporo napisano o tych mechanizmach w odniesieniu do wielkich mocarstw i despotii. Wiedzą o tym historycy, językoznawcy i badacze kultury. Konstatacje Derridy, Foucaulta czy Baudrillarda są znane ludziom wykształconym. Rzecz wydaje się oczywista i dobrze przeanalizowana. Intelktualiści uśmiechają się z wyższością i myślą: *nas to nie dotyczy*. A jednak frazy: „niezbywalne prawa”, „wolność wyboru”, „prawa jednostki”, podobnie jak: „wszystkie drogi prowadzą do Rzymu” czy „ja jestem Zmartwychwstaniem i Życiem”, oraz nieskończone ciągi innych jeszcze prawd, sformułowań-wytrychów i gotowych recept wracają jak fala głębinowa wydobywająca się morza ludzkich myśli w najbardziej elitarnych gronach i wysmakowanych dziełach. Szczególnie że właśnie tak zwane elity czują się w języku pewnie, często zbyt pewnie. Mają skłonność do sądów arbitralnych i lekceważenia zdań odmiennych od własnego. Cierpią często na coś w rodzaju syndromu krasomówczej arogancji. Nie tyle mówią, ile wygłaszają. A przecież właśnie w ich

ustach ciągle repetycje, nawet najpiękniejszych i najwznioślejszych sformułowań, brzmiących z pozoru czysto i prawdziwie, często oddzielają te sformułowania od ich pierwotnego sensu i powagi. I rzecz nie w tym, że owe słowa pozbawione są wartości, lecz że ową wartość odbiera im bezmyślność albo zadufanie użytkowników.

Ale osobnik o uformowanym stosunku do świata, a przede wszystkim ten chcący za takiego uchodzić, chętnie sięga po „mądre, głębokie słowa”. Wymawiając je, czuje się lepiej ze sobą, spodziewa się szacunku od innych. Nawet jeśli jego opinie i wyznawane wartości przyjmują ostatecznie kształt banalny, wyświechtany, zapożyczony z mediów i cudzych wypowiedzi, powielają w pokraczny sposób internetowy miszmasz. Dziś może to być „jesteś tego warta” albo „obudź w sobie wewnętrzne dziecko”, które to wezwania moi studenci włączają do swoich odkrywczych – jak im się zdaje – wywodów. Dawniej sięgnęliby po „cukier krzepi”, a może „bimber przyczyną ślepoty”. Niechby i po Hegla czy Marka Aureliusza. Niekiedy to wszystko jedno. Kto zresztą jest świadom, że posługuje się cudzymi słowami, że powiela truizmy i slogany? Lub, co gorzej, zamienia słowa w pustostowie. Jeśli zapożycza je z literatury, a nie propagandy czy reklamy, to może nieco lepiej, ale – po pierwsze – to rzadkie, po drugie często czerpane z kiepskiego jej sortu. Własne rzekomo wypowiedzi są często zlepkiem czegoś, zwykle nie wiadomo czego, ale będącego pod ręką, łatwego w stosowaniu, niewymagającego samodzielnych umysłowych zmagañ. „Barbarzyństwo rodzi się z ciasnoty wyobraźni i konformizmu, powiada Stempowski”.

W każdym razie stylowo jest mieć *credo*. Posiadając je, można wydać się większym indywidualistą, człowiekiem myślącym. Chętnie formułują je Brigitte Bardot („Czuję się zdecydowanie bardziej zwierzęciem niż człowiekiem. Mam wprawdzie człowieczy wygląd i człowiecze wady, ale w głębi duszy jestem zwierzęciem”) i Montaigne („Mądrość zadawała się tym, co jest”). Każdemu wolno, jeśli filozofowi to i celebrytce, nawet jest to pożądane. *Credo* Kierkegaarda brzmiałoby: „Tam, gdzie jest rozum, nie ma wiary i tam, gdzie jest wiara – nie może być jej racjonalizacji”, a Susan Sontag w swoim *Dzienniku* pod datą 23 listopada 1947 roku pisze: „Wierzę: a) że nie ma boga osobowego ani życia po śmierci; b) że najbardziej godną pożądaną jest możliwość bycia szczerą wobec siebie, czyli Uczciwość”; potem pojawiają się jeszcze podpunkty do „h”, z pominięciem „f” i „g”, co nasuwa czytelnikowi myśl, że za literkami kryją się jakieś tajemnicze wyznania. Rozpiętość tych oświadczeń – mających określać byt i świadomość, regulować komunikację z innymi, stanowić fundament myśli i czynów – jest zaiste nieskończona. Od naiwnych komunałów po patetyczne enuncjacje, od zdań emocjonalnych do wyważonych. W skrajnych przypadkach przybierają one niekiedy formę *Mein Kampf* albo *Katechizmu* Robespierre’a. Ich zróżnicowanie tkwi u podstaw wielu konfliktów jednostek i grup, skutkuje często wojnami religijnymi, rewolucjami, pogromami, segregacją rasową oraz religijną, i niedającą się określić liczbą innych aktów przemocy. Im twardsze

i rygorystyczniej egzekwowane pewniki, tym przeważnie więcej animozji, nienawiści, pogardy i okrucieństwa, i tym mniejsza, zdaje się, skłonność do słuchania innych niż własne oświadczeń. Samo słuchanie zresztą, niezbędny składnik porozumiewania się, także z własnym wnętrzem, jest coraz trudniejsze w rejwach współczesności.

Pamiętając o proporcjach, nie mogę jednak zlekceważyć różnicy między usiłowaniem wyrażenia indywidualnych przekonań a uzurpacją czy symulacją takowych. Rozległe przestrzenie dzielą koncentrujące rozum i wolę wysiłki ku odnalezieniu sensu oraz sposobów jego wyrażania, ku ustaleniu hierarchii wartości, ku wypowiedzeniu prawdy, czymkolwiek by nie była dla jej poszukiwaczy, tracących wzrok i siły podczas umysłowych peregrynacji, jak powiedzmy Spinoza, a tępym powielaniem czyichś słów i myśli. Jest też ogromny rozróż między wszelkiego autoramentu zbiorowymi „wyznaniami wiary”, będącymi również narzędziami indoktrynacji, manipulacji i agresji, dokonywanymi i wywieranymi przez instytucje, organizacje czy państwa, a tymi, które są domeną jednostek. Nie przypadkiem znane Herbertowskie frazy – „powtarzaj stare zaklęcia ludzkości bajki i legendy/ bo tak zdobędziesz dobro którego nie zdobędziesz/ powtarzaj wielkie słowa powtarzaj je z uporem/ jak ci co szli przez pustynię i ginęli w piasku” – dotyczą człowieka samotnego. I, co ważne, mowa jest w nich o bajkach i legendach, o tych formach zatem, w których to losy bohatera są źródłem wzorów w życiu przydatnych – nie o instrukcjach i wytycznych. Wielu ludzi, mając czyste i szlachetne intencje, poszukuje ładu w świecie ducha i materii oraz próbuje go ująć w lapidarną formę. Także w formę modlitwy lub jej podobną. Jej zwięzłość jest „oddzielaniem plew od ziarna”, po to, by żaden zbędny element nie zaśmieszał wizji i by dała się ona powtórzyć bez naruszania idei. Powtórzenie zaś może mieć walor retorycznego wzmocnienia, może pogłębiać rozumienie i ożywiać przekonania, nie będzie zaś przytępiać i odzierać ze znaczeń. Tym bardziej przepraszam Sontag, Montaigne’a i Kierkegaarda, z których jasną i suwerenną myślą nie wchodzę w polemikę, za umieszczenie ich we wcześniejszym fragmencie moich rozważań. Jednak chcę pamiętać, że niebezpieczeństwo myśli zastygłej i powielonej czyha na każdego i wszędzie – tym bliżej, im słodszy wydaje się smak niesionego w wyznaniach i deklaracjach porządku, im cudowniejsze są doznania wspólnych modłów, okrzyków i skandowań, im intensywniejsza duma z jasno sformułowanych przekonań i większa niezgoda na jakiegokolwiek odmienne.

Wiedział to Kartezjusz, kiedy pisał: „Jeśli chcę nareszcie coś pewnego i trwałego w naukach ustalić, to trzeba raz w życiu z gruntu wszystko obalić i na nowo rozpocząć od pierwszych podstaw”. Jego intelektualno-racjonalne *credo* przypomina, że wszelka pewność jest podejrzana, że tylko wątplenie i nieustanna weryfikacja prawd odziedziczonych jest jedynym możliwym dla *cogitans hominem* podejściem. Że szukanie pewników nie odbywa się na drodze konsensusu i przyklaskiwania już istniejącym ustaleniom, ale na drodze walki i niezgody na to, co zastane. Wymaga także zadawania

pytań płynących z zaciekawienia światem i dociekliwości. Ale żadne *credo* o nic nie pyta, ono po prostu wie i oznajmia.

Credo, czyli „wierzę w to”, i jeszcze „ufać, powierzyć”. W słowniku łacińsko-polskim księdza Floriana Bobrowskiego (Wilno 1841) „*credo* znaczy ironiją”, a także *credere* – „zaufać”, i dalej: „puścić się na morze” (to przenośnie), „stoczyć bitwę, pożyczyć pieniądze”; również: „pożyczam, daję”. *Credulus*, od *credo* pochodzący, znaczy „łatwowierny na złą stronę” i „łatwowierna nadzieja”. *Credo* jest więc taką deklaracją, za sprawą której cedujemy na kogoś własne wybory – nawet jeśli ten ktoś czy coś to „wyższa racja”, „racja stanu”, „konieczność dziejowa” czy „prawo natury” – okazujemy się naiwni i podatni na cudze wpływy, powierzamy *Innemu* decyzję, wyruszamy na morze chybottliwą łodzią, licząc na łut szczęścia, wiedząc jednak, że siła żywiołu zrobi z nami, co zechce. To, o czym potocznie sądzimy, iż jest kwintesencją porządku i pewności, sumą przekonań nienaruszalnych i dobrze przemyślanych, zbiorem zasad świadomie ułożonych i wyznawanych, w istocie skrywa nierzadko niepewność, błędzenie po wzburzonych wodach, brak krytycyzmu i wnikliwości, a przede wszystkim potrzebę podparcia się czymś autorytetem. Po prostu infantylizm.

Mieć *credo*, wygłosić *credo*, jego *credo* – brzmi szlachetnie i sprawia, że o wyznającym myślimy jako o wewnętrznie zorganizowanym i światopoglądowo uformowanym człowieku, podczas gdy analiza łacińskiego słowa i uważna obserwacja konkretnych przypadków ujawniają, że ów monolit jest kruchy, normy oświadczone – pożyczone, nie przemyślane, ale nałożone jak kostium teatralny: szatki będące dodatkiem do żywej istoty, transformujące ją w kogoś innego. A, że pożyczę ironii od mojego ulubionego ekofilozofa Henry’ego Davida Thoreau, „niewielu znam mężczyzn, wiele zaś surdutów i spodni”. Ta powierzchowność przybieranych póż i ubiorów uderza u wielu pryncypialnych głosicieli rozmaitych *credo*. Nie jest ono ich duszą i ciałem, ale pozorem osłaniającym myślową pustkę, a w każdym razie brakiem odwagi w niezawisłym dochodzeniu sedna. Słusznie więc współczesny Amerykaninowi polski badacz zabarwia swoje lingwistyczne eksplikacje szczyptą ironii. Cóż, strojenie się w cudze piórka, rezygnacja z szansy na dociekanie prawdy, na wiedzę i samodzielność, na samostanowienie i choćby próbę wyartykułowania siebie, wreszcie brak wstrzemięźliwości i pokory w gadaniu – mogą wywoływać uśmiech politowania.

Moje wczesne wspomnienia są przyjemne: i zbiorowe modlitwy, i poczucie, że jesteśmy razem, ale też, że nasze myśli i wola kierują się ku czemuś, co nas przekracza. Że powtarzając po raz enty te same słowa, w istocie tworzymy coś nowego, przypominały sobie o tym, co ważne i podstawowe – o życiu duchowym, wolności jednostki od ideologicznego przymusu, a w końcu o pięknie, płynącym z modlitewnej frazy – a co, w czasach, o których mówię, latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych ubiegłego już stulecia, nie było oczywiste w skarłałym, ocenianym i regulowanym życiu

publicznym. Modlić się z oddaniem, szczególnie razem modlić, po trosze znaczyło wtedy „staczać bitwę”, idąc językoznawczym tropem podpowiadany przez Bobrowskiego. Już samo suwerenne mówienie, niepoddane państwowej kontroli, nosiło zamię czegoś wywrotowego.

A jednak, owo wspólnotowe doznanie, kiedy to moc zdawała się tajemniczo rodzić z wersów razem wypowiedzanych i powtarzanych, jak i wiele późniejszych przeżytych przeze mnie zbiorowych emocji – gdy obecność innych, mówiących i czyniących tak samo, zachwycających się podobnie, dających poklask tej samej idei czy osobie, zwolnionych już z wyboru, bo przecież wszyscy to robią – z czasem wzbudziło moją podejrzliwość. Piękno aniołów w ordynku na obrazie Mehoffera zaczęło mi się z czasem kojarzyć z pięknem innych ordynków: harcerskich, wojskowych i w ogóle wszelkich, formowanych z istot odzianych w uniformy i w to, co je przypomina, uniformizując właśnie osobniki nieaspirujące do własnego zdania, gotowe sprzedać własną odrębność za uspokajające poczucie jedności i godnie reprezentujące je odzienie. Anielska czerwien z tamtego wizerunku niepokojąco łączyła się w mojej wyobraźni z barwami strojów żołnierskich, liberii służby, z mundurkami szkolnej dziatwy, habitami i ornatami. Ich militarna urawniłowka śmieszyła mnie i budziła niechęć. Kolory, kroje i zdobienia mówiły językiem ostentacyjnych repetycji.

W ostatnich latach coraz częściej przypomina mi się *Wróg ludu* Ibsena, czyli doktor Stockmann, który – choć miał słusność – nie miał jej z perspektywy innych, bo głosił ją samotnie i przegrał, odnosząc co najwyżej moralne zwycięstwo pokonanego. Myślę też o ostatniej scenie *Nosorożca* Ionesco, w której Bérenger – jedyny już człowiek pośród tłumu przemienionego w nosorożce (te też w cudownie barwnych „mundurach”) – krzyczy: „Przeciwko całemu światu będę się bronił, przeciwko wszystkim, będę się bronił! Jestem ostatni, do końca będę człowiekiem! Ja nie kapituluję!”. Powszechność określonych praktyk, także językowych, jako certyfikat ich słusności? Jakby było społecznym glejtem wypowiedzanie czegoś z innymi, jak inni, niejako dla innych, trochę więc na pokaz, w formie demonstracji przynależności i manifestacji dla potwierdzenia własnego stanowiska – takie wymachiwanie chorągiewką na wiecu. A powiada Hannah Arendt: „Serce potrzebuje [...] mroku i ochrony przed światłem spraw publicznych, aby jego racje mogły pozostawać tym, czym mają być: racjami i motywami najbardziej wewnętrznymi, nienadającymi się do pokazywania”. To, co ważne, może być wypowiedziane tylko językiem płynącym z najgłębszych pokładów jestestwa, przy użyciu słów najtroskliwszych i dobrze rozważonych, być może już wcześniej przez innych stosowanych, niebędących jednak ich powierzoną formą, ale rdzeniem. Takie dopiero łączą nas z czasem i przestrzenią, z ludźmi i absolutem. Wymawianie takich wyrazów jest tym „haftem”, o którym pisał Benjamin Lee Whorf, „wyszytym na głębszych procesach świadomości, bez których niemożliwe byłoby jakiegokolwiek porozumiewanie się, sygnalizowanie czy symbolizowanie”.



Mariusz Mikołajek, *Matka 2*, 2007 (czyt. s. 128)

STEFAN JURKOWSKI

Pochwała starych butów

stare buty jak psy ociemniałego
lepiej widzą drogi ścieżki przejścia krawężniki
zawsze wierne miękkie rozchodzone łagodne
można im zaufać kiedy mówią uważaj
samochód pociąg idzie człowiek
niesie chleb albo nóż spirytus albo wodę

niosą cię do lasu na mokre łąki do miasta
opowiadają o deszczu słońcu śniegu
trzymają się dawnych śladów
między twoją stopą a ostrym żwirem
kładą przymierze

w nich nie zabłądzisz
nic nie zmyje z ciebie imienia i nazwiska
zaufaj im
stare buty cię obronią
stare buty cię przeprowadzą
przez grząskie bagna jeziora i rzeki
przez miejsca których nie widzisz
przez świat
coraz dokładniej palony

zaufaj im

gdy się na śmierć podziurawią
twoją skórę
zanoszą do szewca
na łąty

Wagary

nastoletni uczeń ciekawy świata
ze strachu przed szkołą
zagłębia się w mieście – zgiełk jest dla niego murem
spaliny zasłoną dymną a tłumy
żywym parawanem

czasem do parku –
tam niebo daje darmowe koncerty
drzewa na wietrze rozgrywają zapasy
gałęzie grożą niezliczonymi palcami
rysują znaki ostrzegawcze na słonecznych ścieżkach

odżywa wyobraźnia:
jest się tym kim się było
i tym kim się będzie (lub nie)

jeszcze odwiedzić kilka sklepów
obserwować tramwaje (a nuż się który wykolei)
potem – by nie wracać za wcześnie do domu
pójść jeszcze za wisłą tradycyjnie
odpocząć w cerkiewnym chłodzie

spotkać w śpiewie metropolity
usprawiedliwienie – –

Ucieczka

co by się stało gdybym ci wyznał
że wszystko co mówię jest tylko
cichnącym czasem
może krotocwilą

uciekam nie patrząc ci w oczy –
chłopiec który nie wyrósł z siebie
cyniczny starzec

: ze śmiechem powtarza
nic wielkiego nic wielkiego

wypijam twój płacz
i biegnę wolny

w opustoszałej hali dworca
czekam
na nieistniejące pociągi
niczym lew t.

Moment

chcieliśmy uwięzić godzinę
ale się wymknęła
niczym wirus z laboratorium

jest
przezroczysta jak pamięć
lekka jak ziemia
(przysłowie się wypełnia)

drabina
wsparta o słońce

zjeżdżalnia
w głąb – –

Pokolenia

spotkałem we śnie zmarłego
redaktora jednego z czołowych pism literackich
należał do innej epoki
ale rozmawialiśmy życzliwie a nawet po przyjacielsku

poszliśmy do kawiarni
gawędziliśmy o poezji
o kryteriach – śmiał się
i ja się śmiałem – ale zgadzaliśmy się
co do przecinków spieraliśmy się
o przesłania

potem
oddaliliśmy się w przeciwnych kierunkach

chciałem pobiec za nim
lecz nie starczyło mi odwagi – –

Przypowieść ognista

w słowie ogień zawiera się wiele:
ogień w piecu
ognisty ogier a nawet facet
ognisko i pieczone ziemniaki
pożar i pożarł
palący ból
piekło i stosy
gorąca... (*potrzebne wstawić*)

płoniemy –
stworzeni na podobieństwo

ognia

– był na początku

ale nie jest końcem – –

Epizod podróżny

do widzenia panie jot
nie mówię żegnaj
mogę powiedzieć: bądź zdrów
ale z pewnością
niestosownie by to zabrzmiało

znikasz – nie wrócisz

jedziemy tym samym pociągiem
w osobnych wagonach
wysiądziemy na wspólnej stacji
na różnych peronach

może na innych planetach
albo – co jest najpewniejsze – wewnątrz starej

– krzyk drzew
świsł ptasi
krzyże
wbite w ziemię

samoloty – –

Notatka

lepiej
żyć na brudno
najpierw
na ogniu
powietrzu
wodzie
zanotować się
nie warto bez próby
żyć od razu na czysto
choć

brudnopisy
często pierwsze
płoną

Przywidzenia

idę za tobą
choć już cię nie widzę
biegnę twoim śladem
uderzam o futrynę
rozbijam się o ścianę
wylatuję przez okno
przejeżdża mnie tramwaj
potrąca samochód
– czołgam się za tobą
uparty
niewierzący
samemu
sobie

Zamiany

zamieniłem miasto baczyńskiego
na miasto różewicza
trzeba zamieniać poetów
sprzedawać miejsca samego siebie odzwyczajając
od siebie przewlekać się
na lewą stronę wędrować

piaszczystą drogą skalistą plażą uciekać
kanałami wierszy i słuchać
jak wyją jak bardzo
wyją wypluwając
błoto prosto w niebo które
zrzuca kolor a domy –
światła i mroki

zamiana –

przestawianie
tych samych miejsc

Przybysze

do starego
przykleili nowe miasto
ze słów
hieratycznych gestów
spotów reklamowych

nadali nowe nazwy ulicom
zmienili numerację domów oraz lokali
prowadzą kartoteki
myśli mowy uczynków
autobusów (też stać je na nieprawomyślność)
rozkładów
jazdy

słuchają z płyt
chodnikowych tupotu słomianych kroków

tymczasowe twarze
układają w księgi wieczyste

na cmentarzach
szukają korzeni

grzebią za pieniądze w kostkach

bauma



Mariusz Mikołajek, *Before after V* z cyklu „Windows”, 2020 (czyt. s. 128)

Tam, gdzie NIE rosły poziomki

Kościółek otaczała płatanina krzewów. Jego drzwi, z łuszczącymi się resztkami farby, zwisały z futryny podtrzymywane przez zardzewiały zawias. Między nimi a murem ciemniała szczelina, przez którą można było przecisnąć się do środka. Weszliśmy. Wokół była pustka.

Przykleliśmy. W kącie, upstrzony ptasimi odchodami, strzepił się na wpół uschnięty krzew dzikiej róży. Z wnętrza, obok której mógł być kiedyś ołtarz, zerwał się ku nam dziki gołąb, jakby chciał nas stąd przegnać. Na ziemi leżały w nieładzie kawałki desek zżerane przez robaki. Ze ścian sterczały gdzieś tam pokrzywione gwoździe, a ręka odłamana od drewnianej figury, wystawała pomiędzy liści łopianu, dzierżąc w niekompletnej dłoni drzazgi pozostałe z okładki ewangelii.

Wstaliśmy, przetarliśmy upocone twarze. W tym miejscu kiedyś modlili się ludzie. Też trudzili się, żeby tu dojść. Odpoczywali po drodze, posilali się, obmywali w strumieniu i pieli pod górę. Czy wszyscy rozpoczynający wędrówkę postawili stopy tutaj, za progiem, i dostąpili łaski modlitwy w kościółku na zboczach góry? Przecież na pewno byli wśród nich chorzy i kalecy, którzy osuwające się kamienie ścieżki forsowali na kolanach, prawie na leżąco. Co jakiś czas zmieniali pokrzwawione opatrunki z podartych szmat i ruszali dalej. Ilu z nich zdołało donieść do tego miejsca swoje cierpienie, modły i błaganie o pomoc?

Czym jest dzisiaj – pośród zwojów tamtego bólu, zasuszonych cierpienia i nadziei – nasza zbyteczność? Kaprys ludzi nienawykłych do zmagania się z surowymi prawami natury; nas, przybyszów z innych czasów, z dzisiaj? Czy nasze tu przyjście można porównać z trudem przebycia chociażby kilkudziesięciu metrów przez kalekę wspinającego się na kolanach do tej świątyni? Do troski, z jaką rozsypywał zakrwawione szmaty i sprawdzał, czy może iść dalej? Rzęził powietrzem w przekrwionych oskrzelach, pluł na szydzącą z niego okolicę, ale ufał, że się nie podda, a skały nie zachichocą nad nim w sposób, w jaki poniżają pokonanych.

Moje dotychczasowe wyjazdy w góry zawsze niosły jakieś wyzwania. Teraz miało być sielsko i pocztówkowo. To, że skręciliśmy z głównego traktu do miejsca zapomnianego przez przewodniki, jest przypadkiem bez znaczenia. Skąd więc pytania, które zadaje sam sobie, a może ktoś zaczął mi zadawać? Przejęcie się losem nieznanymi ludźmi, których mogła ożywić tylko moja imaginacja? Po co na scenie, na której jedynym aktorem jest

przysypiający w wyłomie muru gołąb, usiłuję inscenizować spektakl z przeszłości? Co lepiej przyjmie widownia cieni – sumienie czy wyobraźnię?

Podniosłem wzrok ku prześwitom w dachu, zasłoniłem twarz. „Może to w tym miejscu zapisywano kiedyś stronie Księgi Pytań, a zwietrzałe mury pod tiulami pajęczyn przechowują pamięć o modłach i ofiarach tu składanych, błaganiach o zdrowie i litość? Czy niesiono je do tego miejsca z tak wielką żarliwością, że przetrwały do dzisiaj?

Po co wysilam się, żeby rozszyfrować historię tego miejsca z zamazanej kliszy intuicji? Przecież to podobnie, jakbym ze śladów kropli krwi na toporze kata chciał odczytać nazwisko straconego. A może poszukuję siebie? Czy koło napędzane kiedyś strumieniem ludzkich losów zastygło w bezruchu na zawsze, czy sunie dalej niespostrzeżenie, a spopieliała ziemia, na której moje stopy stoją niepewnie, wciąż przechowuje ludzkie losy, ich wiarę i zaklęcia, od których pękały kamienie?

Czynię tak, bo narzucają mi to miejsce, moje przekonania, sumienie, odczuwanie cierpienia drugiego człowieka, a może bojaźń przed własnym losem? Jeśli ominę te mury jak kiosk z hamburgerami, to znaczy, że moje człowieczeństwo leniło się tu na wakacjach. Że przemknęła tu tylko nadęta człekokształtnie, przeźroczysta poruszająca się substancja, która – opakowana w miejsca zbyt czystość – nie dorównuje nawet szelestowi śmiecia foliowej torebki bezwolnej ruchom powietrza.

Obok, na murze był wydrapany, zanikający już napis po francusku: „Avez-vous apporté le corps – vous-avez une âme?”. Przyniosłeś ciało – gdzie masz duszę? Pokazałem go Ewie. Najpierw powtórzyła szeptem, a potem zapytała:

– Przyniosłeś?

– Jestem i wciąż pytam.

Wpatrzyłem się w oparty o ścianę krzyż. Podeszedłem bliżej: na szerniałym drewnie przebijały jaśniejsze plamy, które mogły być śladami po przytwierdzonej tu figurze Chrystusa. Gdzie była teraz? Co się z nią stało? Przymknąłem oczy; w myśli nierozproszonej obrazami usiłowałem szukać podpowiedzi. Ewa wyczuła to, nachyliła się i zasugerowała szeptem, że być może ludzie z tych stron, gdzieś w dolinie, w miejscu bardziej dostępnym, zbudowali nowy kościół, do którego przenieśli figurę.

Tak być mogło, ale krzyż połyskujący jeszcze gdzieś woskiem, którym kiedyś był nasączony, tutaj, wśród tych ruin-nie-ruin, nie przystawał do reszty. To nie były tylko połączone ze sobą kawałki drewna, choć tak wyglądały. On był tu śladem czasu zatrzymanego chwilowo, w przelocie, ale pozostał na wiele lat. Rozejrzałem się za resztką jakiejś nie do końca wypalanej świecy. Łudziłem się, że zapalona przywoła dawne obrazy tego miejsca, splecie projekcje z myśli i płomienia; poprowadzi ku skojarzeniom. Ogień zawsze przyciągał mój wzrok okrucieństwem i nieprzewidywalnością. Nieuchwytny, i dlatego pełen ułudy i znaczeń, które – mimo grozy – chciałoby się w nim odkrywać. Przed sobą miałem ślad materialny, ale on mógł być tylko częścią historii tego miejsca.

Gołąb sfrunął na krzyż. Kilkakrotnie przebiegł po nim czerwonymi zapalkami nóżek i powrócił na dawne miejsce. Zaskrzypiały drzwi; za nimi chmurą owadów ucztowało górskie lato. Mieliśmy odchodzić, gdy znad krzyża doszedł nas cichy, lekko schrypiały głos:

– Czego tu szukacie? – Zamarliśmy. W uszach zadudniła zbudzona nagłymi słowami cisza. Głos, choć cichy, brzmiał surowo: – Przywiodła was tu chciwość. – Gołąb poderwał się, jakby próbował ruszyć do lotu, ale po chwili podkulił tylko skrzydła i pozostał. – Szliście tu z nadzieją, że znajdziecie coś cennego, może nawet skarby?

Pociemniało mi w oczach i drżały ręce. „To niemożliwe... niemożliwe... Myślałem jak w gorączce. – Nie, to dzieje się tylko w mojej głowie... tylko w niej... Podejście było męczące... Potem jeszcze te pytania... A teraz głos... Tak, oczywiście, to omam, jakimi góry potrafią kpić z intruzów przychodzących z miejsc, gdzie żyje się byle jak”.

Ewa spojrzała na mnie i przyglądziła krótkie włosy.

„A więc ona... – usiłowałem z bezładu i szamotaniny myśli wyplatać nić, która na powrót połączy mnie z tym miejscem i wszystkim, co się tu dzieje”.

– Nie, to niesprawiedliwe... – rozejrzała się wokoło, jakby chciała wysledzić miejsce, skąd dobywa się głos. – Ten kościółek zobaczyliśmy z daleka i wzbudził naszą ciekawość. To wszystko. Możemy zaraz stąd odejść.

– Zadałście sobie tak wiele trudu tylko po to, żeby spotkać tu pustkę i zniszczenie.

– A jednak... – mówiła ściszym głosem. Przełknęła ślinę, rozejrzała się dookoła.

– Czy naprawdę jesteśmy tu sami...?

– Oczywiście. Reszta, to złudzenie waszej zadufanej, ludzkiej wyobraźni. Ludzie wymyślają historie podszyte okropnościami, jakby mało było nieszczęścia wokół. Góry, jaskinie i czyhające w nich niebezpieczeństwo są najlepszą scenerią dla tworzenia sytuacji grozy. A wszystko to dla pieniędzy, bo publiczność lubi się bać i dobrze za to płaci. Jedna z takich bajek przysłała z wami.

– Przyjechaliśmy z różnych krajów. Nie znaleźliśmy się.

– Kobieto, trudno uwierzyć, że dwoje ludzi ryzykuje daleką podróż tylko po to, żeby się poznać. Może jesteście kurierami i mieliście sobie coś do przekazania?

– Nie kłamałam.

– Przecież któreś mogło zakpić z drugiego?

– Ja mu wierzyłam.

– Zawsze tak bardzo ufasz ludziom?

– Nie, ale jego broniło to, co napisał. – Ewa wpatrywała się w miejsce, skąd dochodził głos. – Kpina jest grą ludzi płochych, pozerów. – Dotknęła mojego ramienia. – Ten człowiek pisze książki, a ja... – pochyliła się ku mnie – ja je polubiłam. Może nawet... pokochałam. – Zwilżyła wargi, nabrała oddechu. – Przez kilka miesięcy posyłał mi do siebie listy przez Internet. W tym kościółku jesteśmy przypadkowo. – Zamyśliła się. – A może tak nam się tylko wydaje?

– Mówisz, że ten milczący człowiek pisze książki? – Głos był teraz czysty i spokojny.
– Ludzie niepotrzebnie komplikują sobie życie, oddając się temu żmudnemu i wyniszczającemu zajęciu. Ono jest nieubłagane, potrafi zawładnąć duszą i wysać z człowieka wszystko, co w nim najcenniejsze. Wielu oddało za nie życie, a tych, co wciąż próbują pisać, nic nie jest w stanie powstrzymać. Niektórzy wierzą, że w ten sposób zostawią coś dla potomności. O, naiwni. Potomność nie oczekuje zaśmiecających świat symboli, jej do przetrwania potrzebne jest człowieczeństwo, najtrwalszy z kryształów. Bo ono jest treścią życia, a sami widzicie, jak wszystko pogrąża się w bezsens... – Gołąb uchylił powiekę, sprawdził naszą obecność i oddalił się w sen. – Wątpię, czy książki będą tu miały znaczenie, chociaż ty uważasz, że pisane ręką tego człowieka zasługują nawet na to, żeby je kochać. Świat pełen jest rzeczy wartych miłości. Musisz też pamiętać, że książka to także wytwór ludzkiego egoizmu, nazbyt rozbudowanego ego, samouwiebienia, a często także pychy.

– Ale piszący nie kryją tego, pokazują nam się takimi, jakimi są, zapraszają do kreowanych przez nich światów. Możemy je akceptować albo odrzucić...

– Kochać książki? Hm... dziwne, prawda? Ale skoro można zatracić się w miłości do ludzi, przedmiotów, gór, morza, pieniędzy, to pewnie do książek także.

Podziwiałem Ewę. Słowa tego dialogu dochodziły do mnie, jakby odbite od ścian, falowały, i zniekształcone spływały ku ziemi.

– Powiesz coś jeszcze o twojej miłości do książek?

– Wciąż jeszcze żegluję w tej szeleszczącej rzece unoszącej czytelnika ku morzu wyobraźni. Ta, pochodząca z książek, pomaga zatrzymać chwilę, spojrzeć w świat i w siebie.

– Narażasz się tym na kpinę? Wymykasz się z tłuszczy dającej usidlić się pozorami szczęścia, władzy, sztuki. Buntownicy skazują się na życie w samotności.

– Nikomu nie pozwalałam włamać się do mojej wyobraźni, a więc także do tego, na co naprowadza książka. Tę napisaną przez niego dostałam przypadkowo, choć w przypadki nie wierzę. – Wskazała na mnie. – Miałam ledwie godzinę, żeby ją przekartkować. Zaciekawiała mnie. Odnalazłam go przez Internet, napisałam i poprosiłam o pomoc w jej zdobyciu. – Spojrzała na mnie wzrokiem tego słonecznego dnia unoszonego przez owady falujące w szczelinie drzwi. – Odpowiedział, że napisał tę książkę dla mnie. Naprawdę, to były pierwsze słowa, jakie mi przesłał. Pokochałam to jego kłamstwo za miłość do anonimowego czytelnika. Autor nie zna go, ale tamten poszukuje jego książki, a więc czegoś, czemu nadał życie.

– Mówisz o tym jak zakochana kobieta. – Głos dźwięczał teraz szlachetnym metalem.
– Dobra książka powstaje z potrzeby podzielenia się z innymi tym, co się ma najlepsze. Jej treści potrafią poruszać się w czasie, w przestrzeni, nie są niczym ograniczone. To pewnie dlatego wielu ludzi nie może bez nich żyć.

– Jego książka przeniosła mnie w czasy, za którymi tęskniłam.

– Masz na myśli młodość? Czy przez dwadzieścia deka zadrukowanego papieru znowu stałaś się podlotkiem?

– Nie, ale pomogła mi pogodzić się z tym, co dosięga nas, nieuniknione.

– Wierzysz, że wytrwasz w tym przekonaniu, że za miesiąc lub dwa nie poczujesz się oszukana? – Gołąb zatoczył koło pod sufitem i ponownie usiadł we wnęce. – Życie człowieka naznaczone jest przemijaniem, jak wszystkiego. Wydaje mu się, że zawsze powinien być takim, jakim był rok temu, dziesięć, a tu, zupełnie niespodziewanie, zjawia się obok ktoś inny, niby podobny, ale z nową zmarszczką, bólami, zadyszką i coraz bardziej postrzępionymi nerwami. Możesz mu podać rękę, jak komuś potrzebującemu noclegu w twoim domu, albo bezskutecznie usiłować wyrzucić za drzwi. I powtarzać to codziennie.

– Czy książka może pomóc żyć? – zapytała Ewa, po dłuższym milczeniu.

– Jeśli jej treści sięgają do najbardziej nieprzeniknionej miazgi człowieczej, to pewnie to uczyni, jeżeli jednak jest ona jak oszołomiona ryba, która znalazła się na płyciźnie; ślizga się i rzuca po wilgotnym piasku, na którym zostawia tylko chwilowy ślad, to... spróbuj odpowiedzieć sobie sama. Tym, co przywiodło was na to spotkanie była wiara i zaufanie do słowa. Czyż nie jest ono najtrwalszą kładką od człowieka do człowieka?

To, co słyszałem, układało mi się na ramionach tkaniną przetkaną nitką szlachetnego metalu. Ale wewnątrz, jak wędrowca spragnionego łyku wody, piekła tajemnica krzyża. Tykała we mnie dźwiękiem zegara, który ma swój odrębny porządek czasu i któremu obojętne są pory dni i nocy. Usiłowałem się przełamać, drżałem, aż wreszcie wydusiłem z siebie:

– Co się stało z figurą, której ślady widać na krzyżu?

– Napiszesz kiedyś o tym w książce?

– Nie wiem – usta sztywniały mi w gorączce – czy Dusza Mojej Wyobraźni będzie gotowa do tego, żeby sięgnąć tam, gdzie – jak mówiłeś – jest dalej niż do najbardziej nieprzeniknionej miazgi człowieczej.

– Ale gdybyś chciał tego spróbować, to posłuchaj: niegdyś ukryli się tutaj ludzie prześladowani. Przymierali głodem, cierpieli choroby, ale wiara w życie była w nich niepokonana. Gdy najgorsze minęło, postanowili wrócić i odzyskać, co im zabrano. Odeszli. Wrócili, bo uznali, że tam, na dole, raźniej im będzie żyć z figurą.

– Dzięki Ci za sekret tego krzyża. Potrzebowałem go, żeby dalej tworzyć swoje opowieści i mieć nadzieję, że ktoś je przeczyta – mówiłem przez ściśnięte gardło, kaleczone słowami jak kolcami niedojrzałych kasztanów. – Wiem już, czyj głos słyszemy i wiem także, że powinniśmy pochylić się przed Tobą i ugiąć kolana.

– Nie kazałem wam tego czynić, to jest rozmowa przyjaciół. – Głos był spokojny.

– Tak, ale pierwszy raz słyszemy Ciebie osobiście, bez pośredników – wykrzyknąłem niemal.

– Przez lata przychodzili tu różni ludzie. Przynosili smutek i oddanie, uwielbienie i ból, ale także szyderstwa i kłamstwo. – Głos zamilkł i bałem się, że już go nie usłyszymy. – Wam nie towarzyszyły strach ani pycha, nie było fałszywego poddania się, ale miłość i pokora dla tworzenia. Tego właśnie, co jest sensem istnienia: książki, gołębia, pajęczyn na ścianie i świata. I choć nigdy tak nie czynię, dla was zrobiłem wyjątek.

– Tam, na dole, nikt nam nie uwierzy, że spotkaliśmy tu Ciebie – powiedziałem, wciąż nie mogąc opanować drżenia rąk.

– Nie rozgłaszajcie tego. Wyśledzą to miejsce z samolotów, wpadną tu z kamerami, wykrywaczami czegoś tam. Najpierw zniszczą to, co zostało, a potem będą prześcięgać się w kłamstwach. Bo czas dzisiaj taki, że najlepiej sprzedaje się kłamstwo.

Zaległa cisza. Do szczeliny w dachu wsunęła się dłoń popołudniowego słońca i po jakimś czasie sięgnęła ramienia krzyża. Powietrze drżało świetlistym pyłem, jakby za chwilę miało nim wyłoczyć biedę tego miejsca, a potem unieść go, aby promienny i lewitujący pozostał tak na zawsze.

– Czy to ty pisałeś o ojcu Domino z kościoła na krystalicznej skale w mieście Nepado? – Głos dochodził teraz z miejsca pod dachem, z okolic szczeliny przez którą wpadało słońce.

– Nie wiedziałem, że tak nazywało się to miasto.

– To skąd znałeś tamtą historię?

Wróciłem pamięcią do majowego dnia sprzed sześciu lat.

– Po dwudziestu pięciu latach wydałem moją drugą książkę. Poszedłem z potrzeby do klasztoru. Wychodząc, zatrzymałem się na schodach. – Słowa znowu burzyły mi się w gardle, zakleszczały. Ledwie mówiłem. – Niżej była zieleń parków, a w oddali ulica i dom z białego kamienia, w którym się urodziłem. Wtedy, nagle zerwał się wiatr.

– Uważasz, że to on przyniósł ci tę historię.

– Nie wiem, ale tak było.

– Byłeś nią tak zafrapowany, że nie dosłyszałeś nazwy miasta.

– W tamtej chwili wszystko wokół stało się nieważne – mówiłem coraz szybciej.

– Notowałem tylko w pośpiechu to, co zasłyszała wyobraźnia. – Ponownie przeżywałem emocje sprzed lat. – W ciągu kilku minut musiałem zapisać usłyszane. – Potarłem skronie. – Potem, już w domu, do świtu napisałem tę historię o zakonnicy i człowieku ze szramami na dłoniach.

– Czy zawsze tak rodzą się twoje pomysły literackie?

– Nie, ten był wyjątkowy.

– A jak pojawiają się inne?

Przymknąłem oczy. Brnąłem przez piaszczystość liter, lepkość zdań i kłamstwa obrazów. Ledwie się z nich wyplątałem.

– Pierwsze słowo wychodzi z ciemności – zacząłem niepewnie – przyglądam mu się

i pytam, czy mogę mu zaufać. Jeśli odważę się nadać mu sens, coś jakby przewodnictwo, to wtedy za nim wynurzą się kolejne. Ale muszę to robić w powadze i z pokorą, bo mała nieuwaga lub nieprzewidywany ruch rozerwie ten łańcuch, którego ogniwa zbudowane są z papierowej bibułki. – Przetarłem dłońmi twarz, ale pot dalej po niej płynął.

– Mówiłem już, że wybrałeś wyniszczające zajęcie.

– Ale czy mazaniem liter po ścianach można zapracować na to, żeby ktoś sięgnął po to, co się napisze? Co ulepi się z chwil przeżytych i z wyobraźni? – Uspokajałem się. – Ty, Panie, wiesz o tym najlepiej. – Dziki gołąb biegał po parapecie wnęki i nerwowymi ruchami rzucał ku nam głową, jakby dawał znaki, żebyśmy sobie poszli. Ośmielony już, zadałem jeszcze jedno pytanie, które dręczyło mnie od chwili, gdy poznałem historię figury z krzyża.

– Jak potoczyły się losy ludzi, którzy zabrali stąd Twoją figurę?

– Przebaczyłem im, ale sami skazali się na walkę i niepokój, bo figura, prawie jak sztandar, raz po raz przechodzi z rąk do rąk. Ci, którzy ją akurat posiadli, uważają się za wygranych. Ale w tym samym czasie przegrani ostrzą już piły i topory, żeby ją odzyskać. I tak to trwa i trwa.

– W imię miłości do Ciebie? – zapytałem niepotrzebnie, bo odpowiedzi już nie usłyszałem.

Gdy byliśmy na zewnątrz, Ewa sięgnęła po aparat fotograficzny, ale zaraz go schowała. Usiedliśmy pod nagrzaną słońcem skałą. Podała mi jabłko, a ja jej wodę. Milczeliśmy, a Jego głos i pył słoneczny wciąż były przy nas. Może nawet sięgały głębiej? Aż do tej naszej miazgi ludzkiej? Nie wiem, czy tak było, ale na pewno była to jedna z tych rzadkich chwil w życiu, której sens może nadać tylko **milczenie**.

Sięgnęliśmy po ekwipunek i powoli zaczęliśmy schodzić w dół. Niedługo potem spojrzałem za siebie, ale kościółek skryła już gęstwina zieleni. „Za szybko – pomyślałem – przecież odeszliśmy ledwie dwieście, może trzysta kroków”. Wróciliśmy. Minęliśmy ścianę gładzów, świerki, ale pewnie pomyliły nam się ścieżki, bo stąd też nie było go widać.

Obmyliśmy twarze w strumieniu.

– Chodźmy. – Ewa powiedziała to prawie szeptem. – Z dołu na pewno zobaczymy go znowu.

kwiecień–maj 2017



Henryk Tomaszewski, balet Reinholda Gliérica *Czerwony mak*,
Opera we Wrocławiu, 1952 (czyt. s. 156)

Wybór Eona

Dariuszowi Milińskiemu, Noemu z Pławna

Tu w kaczańskiej Górzynie nawet dziura w niebie nie okazuje litości. Raz bliżej jest, raz dalej, raz opoka skalista, to znów wioska z kirką przy drodze, zamkiem lub dworem rycerskim herbami upstrzonym i blankami; domy zaś: każdy przepastny, kwokowaty, cięży izbami, pękaty szachulcem jak kratownicą czarną, pcha się na drogę, że cofnąć nie da rady. Nagle spod nóg nasyp ucieka. Żelazna droga wpada i wychodzi z góry pociąg: postukuje, pogwizduje. Z tego to nic dobrego nie wyniknie, albowiem na lud boży pogwizduje. Ludziska, co on zagwiżdże, to do drogi się zrywają, w górze samych ognistych deszczy wypatrując. Bez przyszłości ich życie, bez nadziei ich pociąg wielki, dymny a ciemny, ciało i prochu, i krwi niesie w sobie, dusze zatruwając. A ludzie? I tak co innego widzą przez szkło łzawe, inne okna im świat otwierają: jedni wykopani z domów za grzechy nie swoje, drudzy, niby wysiadają, ale wykopani po kościach i po duszy rozjeżdżeni, jako bydło zwożeni, też na coś czekają.

Zaprać. Zaprać z całej duszy – natężyć myśli Eon – a w oczach jego, pełnych po brzegi, woda przejrzysta, co głębokością tchnie ku światu ziemskiemu; jakaś wizja się rodzi, jakiś duch z wieczności ku niemu zapada głęboko, szeroko, a może i głębiej. Z całej duszy pragnie, ale pamięć – cóż to za gaduła! – na plan pierwszy się wysuwa i figle płata. Jest pamięć życia, zebrana na tym padole, zebrana do kupy. Ale żeby wszystko spaamiętać! Wszystko napotkane? Twarze, nazwiska, stroje, pogody i adresy? Zbiera Eon pamięć jak śmieciarz i bezdomny. Nie szabrownik, bo ten za pieniędzmi i za złotem się ugania, ludzi się szczęściem nie swoim. Eon nie przepuści żadnej rzeczy wyrzuconej, porzuconej, potrąconej, zagubionej, niepotrzebnej, jakby wszystko było w rzeczach, i ojczyzna była, i ojciec, i matka, i dach urodzenia, i kochani, i podziwiani wciąż, dalej, kochani w tej pamięci, która ocala, lecz krucha jest: tłucze się, dziurawi, trawą zarasta, w proch i na wiatr rzucona, w popiół, w nicość. Zbiera Eon, gromadzi, ocala. Belki z rozbiórki proszą go o zabranie, kamienie z progów wdzięczne mu są; bywa, okiennicę, drzwi bez klamek, a nawet krzesło na trzech nogach przyda się pamięci. Zbiera po tamtych. Po smuteczkach i obecnościach się przechadza, a co zebrał, to przytula. Wiedzą, że ich wypatruje: drogi polne, puste stodoły, kapliczki przydrożne, rowy i cmentarzyki drzewami przykryte i zakryte, strychy jeszcze niezniesione i piwnice, i krypty pełne trucizn i zlepionych monet grynszpanem strojnych. Wypatruje i znosi.

A już ze dwieście Chrystusików przytargał z rozwalonych, zburzonych, zabranych, zniesionych, z cementarzy, z dziur i sztolni, z szałasów poszukiwaczy złota i od handlarzy niemiecką, z krzyży stalowych, celtyckich, z ołtarzyków z daszkami drewnianymi, rzezanymi w ornamenty. Skleja, czyści, bejcuje, lakieruje, i pod dach, pod strop, na pokład przynosi, aby się odnalazły, do siebie przytuliły jak w rodzinie, gdy on, dalej łącząc po ziemi, pamięć z rzeczy wydobywa, dom dla Pamięci szykuje, ręk dla Pamięci nie żałuje. Są Chrystusiki małe i duże. Zbiera je Eon i społem gromadzi: drewniane, żelazne, gipsowe, malowane, papierowe, rzezane, lipowe, i blaszane, zbiera do kupy i przed Ojca grzędą składa, a każdy Chrystusik powieki zaciska, aby nie widzieć, lecz aby pamiętać i pamięć oglądać. Skrzydlate są znaki i cienie tych znaków na sklepieniu i na pokładzie. Wzbiły się Chrystusiki w kluczu, aby Eon miał od Boga odpowiedź. Wielkie jest Pytanie o przyszłość wygnanego, a uciekającego, z pogromów ocalonego człowieka w napięciu. Napięcie siedzącego na walizkach. Napięcie samotnej matki z głodnym dzieckiem na ręku.

A ona pęka w szwach jak beczka. Krajobraz jak beczka, i ona z klepek wyklepana ściśle, z desek i belek wystawiona na Pławno, czeka. A kościół, kuźnia, drogi i domy, okolica, drzewa pamiętliwe, stare do niej szumią, do niej się przymierzają. A dziób jej ostry, gotowy pruć i wodę, i lód, kadłub brzuchaty, nażarty. Zbiornik w jego brzuchu? Zbiór tak, ale w nim upominki ludu bożego, wspominki za dawne, za żywych onegdaj, tu, naokoło, co zniknęli, a przecie na świat przychodzili w domach tutejszych, dworach i pałacach, a ich nie ma, rzeczy po nich mają zaś swoje przytulisko z całej dziedziny, z całej prowincji Gór Olbrzymich i mniejszych ziem, Kaczawą przeoranych. Eon wypełnia, spaja, to, co kiwa się i rozstępuje, mocuje nazad. Z czego ma być Pamięć? – pyta i robi swoje. Skleja, wypełnia i napełnia. Naczynia i urny, mury i ściany, ręce i głowy świętych przytwierdza. Ma być pełne, wypełnione brzuszysko: zbiór ocalonych i ubogich, żeby puste zostało zapełnione i nie zmurszało w perzynę. Lud przesiedlony zakończył opowieści, pokolenie z wagonów bydlęcych wyzwolone, już wróciło na łąki domowe, do raj; śpiew jego będzie słyszany teraz i na wieki, kiedy z czarnej płyty pamięć zagra do tańca. Aby kolejowe pochówki, żelazne szyny, podkłady smolne, odnowione, wróciły, stukając kołami, wagonami, składami.

Pławna/Schmottseiffen: chmurne, wersami w języku niemym drukowane, pocztówkami bez papieru i dotyku złowione w sieci, jak skarby Ducha Gór, jak przypowieści z minionego raj, w języku niemym, w piśmie niemym, na wiatr, na pożogę, na finis heimat, po zarazie, po Apokalipsie.

Eon widzi przestwór. Przystwór na niego z góry poziera, a on w dole. Ale jego pragnienie, jego zamiar, to przekroczyć Przystwór. Czasu kształt kolisty zamknąć i na szerokie wody – wody otulające, wody zasilające – wyprowadzić korab. Jego synowie w swojej odrębności: Kazek idzie z rybą w rękach, przez zapłocie zmierza do domu, rybę

niesie na obiad. Drugi syn, rudy Jańcio, kij w stawie moczy, lecz ryby nie łowi, księżycą sierp z wody wyciąga. Po co? A jego zacne kobiety, rodzicielki, karmicielki, domownice spolegliwe, tylko gości zapraszają, turystyką zajęte, grosza nie marnotrawią. Eon usta otwiera: zadziwiony, wzruszony. A ona pęka w szwach od przybytku. Dom w niej oceaniczny do rejsu gotowy. Słupowo-więźbowa konstrukcja, łątkowa, o pokładzie z bel-ek i desek, strop z dawnych domów, mocny, smołowany, zbity gwoździem, zdrowy, choć z rumowiska, z ruin, pamięcią smołowany na burtach, płasko zadaszony z oknami na górnym pokładzie. Wnętrze jak nawa słupami dzielona, żywicą sosen i świerków pachnie. Pachnie więcej, bo stoi ziołami i kadzidłami, które zielarki pomazane świętobranem z karkonoskich dolin i łąk, polan i ogrodów, pod stropem, swobodnie jako duchy zdrowotne, swymi papilariami rozmieściły, aby rany i choroby, ciała i umysłu, koily. Pięknostan tutejszy to dziedzictwo na ugorze, porzucone księstwo, zawłaszczone, wygnane i opuszczone, aby się dokonało uwłaszczenie oszukane, bezbożne z ich przewiny, z ich dziedzicznej we krwi ziemi tutejszej przewinie, za to, że siebie ponad Góry Olbrzymie, i nad Boga w niebiesiach, na hakenkrojcach umęczyli.

Wypchane, wydrążone jest ptactwo ludzkie, muzykanci majowi, cienie utrwalone w izbach, na weselu i w pracy, manekiny zawieszono, fruujące welonami akty małżeńskie, gdy pod pierzyną, gdy po zdmuchnięciu, mąż i żona stają do przymierza. Rój letni, chmura, klucze gęsi na sklepieniu. Klucze w chmurze, zakrzepłej w śpiewie i modlitwie, sztylety rzezane w sercu Maryi Bolesnej, wciąż krwawe maki bezsenne. Bolesne patrzenie w horyzont: za pagórki, pola, pastwiska i rzeki. Pamięć boli i zachwyca, gdy nad wieżami skrzydła samolotów wachlują, niby orły czarne, stalowe z Czerwonym Baronem w kabinie pilota, z ambasadorami, hrabiami, szlachcicami w ucieczce, w porzuceniu dóbr ziemskich, w wierności führerowi. Bombowa cukiernia z lukrowanych ciast, fontann kwiatnych, koncertów wagnerowskich, skazanych na ukrycie łupów, pociągów, skrytek, zawalisk, lochów kośćmi niewolników obłożonych, niby wałem ziemi przeklętej, ziemi zdobytej, zdradzonej, porzuconej, oddanej diabelskiemu sojusznikowi. Plugawe mundury, plugawione na ludziach, swastykami gardła przerzniete, azali są niemi w płaszczach, w surdutach, w kufajkach? Błyskawice, sztandary w łopocie, łopoczące werble... To się wlecze: marsz i śpiew morderców. Marsz depczących! Cienie wciąż maszerują. Jeszcze słycać rżenie. Jeszcze się unosi „Deutschland, Deutschland über alles!”. Czy poszli? A my po co? Już zawstydzeni mówą swoją, łachmanami swemi i niedostatkiem, czekamy, aby tylko dzień się skończył, i sen nam godność ludzką przywrócił. – A zatem ja, Eon, budowniczy i przewodnik dusz i duszyczek pamiętam, gdy oni tam z góry strącają gwiazdy, aby je we krwi studzić, we krwi unurzać. Z krwi korona zdobi ich czoła i czaszki, leje się na stada krów i świń watahy. Zębami rwą mięso na strzępy i nie ma dla nich nic. Krwawina jest tej ziemi pokarmem. Na co zostało? Nawet nazwy nie ma. Pławna zostało napomknięte z robót zasiedlonych, repatriowanych

i ekspatriowanych łachmaniarzy, pseudoaliantów, panów ocalonych do gnoju, dep-
tanych na wiele sposobów, do utraty pamięci. Pławna spławione, Pławna spadające
z nikąd. Ten moment w czasie, gdy dziecko kwili w modlitwach cichych. Gdybyż nas
ominęli?... Eon dłonie rozpostarł. A dłonie jego z gałęzi świerkowych: tarmoszone,
targane, nieswoje, doczepione jak u ptaszka odpustowego. A wody oceaniczne schodzą
i opadają na wieczność. Eon do środka wstępuje, wchodzi na pokład, chór zwierząt
podąża za nim: koń i nosorożec, i żyrafa, a słoń trąbi wejście jego. W nawie rozległej,
mrocznej, w zapachu świątyni inkrustowanej, w kościelnej ciszy, nagle załopotano. Pod
sklepieniem, między belkami, i nad balustradą, trzepotanie. – Co tam? – Eon zdziwił się
i zatrzymał... W brode, srebrzyście spiralami wykutą, palec wskazujący zagłębia, zamy-
śla się i wypatruje. A choć głowę zadziera, nic. Więc przegania, odgania: – A kysz! Kysz!
Latawcu skrzydlaty, cóżeś to nabroił, że z góry na mnie. A kysz! Czy znak masz dla mnie?
Masz co? Cóż mam czynić? Czy mogę ład mój stały cały pominąć i drugiego szukać?
Azali mam wypływać? Eon szepcze „a kysz” i trzepotu wypatruje. Pustka. Ach, wypły-
nąć! Udać się i wypłynąć na czyste wody, niegdysiejsze wody, bezkresne, wolne, choć
zapomniane. Patrzy Eon. Pustka. Drzewa. Pustka domów. Pustka stołów zastawionych
do wieczerzy. Kości targanie. Psów węszenie, gdy w powietrzu po wszystkim. Aż nagle
drgnęło. Drga. Drgnęło pod nogami. Drgnęło. Drży podłoga. Aby nie upaść. Aby nie
bolało. Poczul Eon. Drgnęło mocno! Opadło zaraz. I wstrząs! Wstrząs go powalił, roz-
proszył po pokładzie. Zakrzyknął i oni zakrzyknęli: – Opadamy! Eon podbiega do pe-
ryskopu. Oko wstawia. Co widzi? Horyzont idzie na dno! Wszystko na dno. Eon na sam
dach się drapie, a sklepienie trzeszczy. Szelest! Szelest dobrej nowiny? A na poddaszu
sucho. Znowu wstrząs! Wstrząs powala go, ale zaraz wstaje, znów upada, aby tylko nie
stracić gruntu pod nogami. Zaklina: – A kysz! A kysz! Nagle pusto. Wymiecione. Gładko
i pusto. Ani Gór Olbrzymich, ani domów wzdłuż drogi, ani bramy, ani kościoła i drzew.
Pusto, bez pagórków, pól i różnorodności ludzkiej. Tylko daleko. O, daleko! Daleko! Kiedy
tak w Daleko wpatrzony jest Eon, to jakby wszędzie był Bóg. Dusza Eona: sucha, pu-
stynna, zatroskana, bo gdzie wody obiecane, rozległe, słodkie ruczaje, ogrody kojące
cieniem palm i chłodem? Gdzie fale pod dziobem i wiatr? Dusza Eona zacięta. Zacięta
jeszcze bardziej. Eon patrzy: Daleko. Pusto. Korab wdarł się ostrzem dziobu w środek
białych kamieni. Ostrze dziobu ugrzęzło i zastygło. Czoło Eona wysokie, marmurze
przeorała pionowa zmarszczka. Tryskające czoło jego czyste przecięta zmarszczka,
głęboka jak nigdy; cięta, oj, cięta do bólu. Eon schodzi pod pokład, pod sklepienie,
pod więźbę, lecz szelestu nie słyszy. A gwar powraca. Zmarszczka czołem przechodzi
na nos i na pierś, a usta przecina, jakby jego na pół chciała rozdzielić. Szelest? Ale inny.
Nie z góry, lecz pod nogami. Szelest za każdym Eona stąpieniem. Szelest po omacku.
Stoi Eon. A szelest? Nagle z szelestu głos. Ale mowa niema! Powiada Eon: – A kysz! Sza!
Coraz śmielej, głośniej: – A kysz!! Więcej szelestów, niby głosy ludzkie. Szelest w gwar

przechodzi, w bulgot. Bulgocze! Pod nogami bulgot! Pod nogami rusza się, obłapuje! Co rusz potrąca! Eon na kolana pada. Rękami to chwyta, obłapuje, podnosi. Łyżka! Hełm! Kość! But! Kartofel! Pajda! Butelka! Czołga się Eon. Pokruszone... Księga? Podnosi się, Księgę z błota, ze szlamu, rękawem wyciera. Sypie się... Sypanie! Sypanie do góry pod światło. Otwiera się dziura w niebie! Patrzy Eon: Z dziury trzepot. Łeb świni uszami trzepocze! Nagle z ryja gołąb, też trzepocze! Eon księgę otwiera, głos wzruszony ku gołębiowi kieruje i powiada: – Zatem Posłańcem Pana jesteś! Na to on : – Nie wypuść z dłoni tego, co chwyciłeś i pochwyciłeś. Nie zaprzataj głowy, a przeczytane podaj tym, którzy łakną i są spragnieni, ale nie przebaczyli. Nie upuść przebaczenia! Aby pustynia ożyła, nie będziesz żeglował, bo jesteś tu potrzebny, gdzie jesteś, gdzie chciałeś dopłynąć – jesteś. Zapamiętaj Eonie, aby wracać, nie trzeba uciekać.

To rzekłszy na koniec, ku okulusowi skrzydła rozwarł i odleciał, lecz zaraz zatrzymał się i trwał w rozpostarciu skrzydeł. Eon poczuł sercem całym, duszą całą, iż jest w rozpostarciu jego. Ręce uniósł, dłonie otworzył, aby rozpostarcie uchwycić i zatrzymać na zawsze nad nawami wszystkich rzeczy pospolitych, po które wzrok sięga. Powiada Eon: – Będę budował z dłoni i z serca, w statku osiadłym, muzeum podzielenia rozdzielania na nowo poskładam, aby niesprawiedliwe podziałów trwanie, które nie stąd przyszło, ale z gmatwaniny, opowiedzieć. Nie będzie gmatwaniny. Będę zbierał. Dusze odnajdę. Ożyją szyny, jak onegdaj, świat nowy odpuszczę, a statek osadzony na skale, spławię na cztery strony świata bożego, który zobaczyć może każdy i każdy może Pławna dostąpić.



Arka Milińskiego, Silesia Art Biennale, 2016, fot. Krzysztof Saj

Credo quia absurdum Tertuliana. Pierwotny sens maksymy i jej późniejszych modyfikacji

Postępując bez odpowiedniej uwagi, łatwo przyjąć, iż wersja myśli Tertuliana *credo quia absurdum* stanowi skróconą formą jego poglądu zawartego w dziele *De carne Christi* (V, 4):

Crucifixus est Dei Filius: non pudet, quia pudendum est;
et mortuus est Dei Filius, prorsus **credibile est, quia ineptum est;**
et sepultus resurrexit: certum est, quia impossibile¹.

Niestety takie założenie jest głęboko błędne, podobnie jak dalekie od pierwotnego sensu są przekłady obszerniejszego fragmentu dzieła Tertuliana na języki nowożytne. W literaturze polskiej wyróżnia się w tym względzie tłumaczenie Czesława Miłosza, nadające wypowiedzi Tertuliana następujące brzmienie:

Syn Boży został ukrzyżowany
Nie zawstydzą to, ponieważ zawstydząć powinno
I umarł syn Boży
Jest to godne wiary, ponieważ jest niedorzeczne
I pogrzebany zmartwychwstał
Jest to pewne, ponieważ jest niemożliwe².

Przekład autorstwa tego poety i eseisty jest niewątpliwie piękny, wydaje się też najlepszym z możliwych, niemniej zawiera ukryte niedoskonałości, które wypaczają

1 Quintus Septimii Florentis Tertulliani [Tertulian], *De Carne Christi Liber*, V 4, w. 23–26, online: https://www.tertullian.org/articles/evans_carn/evans_carn_03latin.htm [7 sierpnia 2022].

2 Czesław Miłosz, *Szestwo albo czystość rozpaczy*, w: *idem, Zaczynając od moich ulic*, Paryż 1985, s. 260–270, (pierwodruk: „TriQuarterly” 1973, vol. 28, pierwodruk polski: „Zapis” 1979, nr 11).

porządek myśli wczesnochrześcijańskiego teologa. Przedmiotem eseju warto zatem uczynić literacką analizę obu wersji sentencji, a dzięki skupieniu się na wybranych słowach scharakteryzować odmienne sensy zawarte w tych wersjach. Czytelnikowi wyda się pewnie interesujące, że nawet wyrażenia proste, dobitne i podobne do siebie mogą mieć sensy całkowicie przeciwstawne.

Rozważania należy zacząć od spostrzeżenia, że pogląd „wierzę, ponieważ to absurdalne” daje się odczytywać na dwa sposoby. Pierwszy z nich sięga twierdzenia zawartego chociażby w Pierwszym Liście św. Pawła do Koryntian, w którym mowa jest o tym, że zamiary Boga mogą być niezrozumiałe dla człowieka, a wiara nie opiera się na mądrości ludzkiej, lecz na „mocy Bożej”. Mądrość świata jest dla apostoła nieporównywalna z ukrytą mądrością Bożą, która stanowi przeznaczenie ludzi i drogą zapewniającą im chwałę. Nie wykraczając poza porządek naturalny, podobnie można przyjąć, że rzeczywistość w wielu aspektach pozostaje niepojmowalna dla człowieka i zawiera składniki, które mogą się wydawać absurdalne. Ogólnie zatem zrozumiałość jest przystosowaniem niezrozumiałego świata do możliwości poznawczych człowieka. Idea wykraczania zasad świata poza zrozumiałość ludzką zawiera się także w filozofii Hegla i określona została jako „chytrość rozumu”. Myśl, iż wiara to wkroczenie w plany Boże jest właściwa wielu teologom i filozofom i zawiera się też w luterańskiej doktrynie *sola fide*, bliskiej również Lwowi Szestowowi chętnie powołującemu się na maksymę Tertuliana w jej rozwiniętej formule.

Drugi sposób rozumienia idei „wierzę, ponieważ to absurdalne” jest gorzko odmienny i wiąże się z ukrytą ironią czy wręcz pogardą dla osób wierzących. Takie podejście właściwe było Wolterowi, który opisywał w ten sposób ludzką łatwowierność i skłonność do ufania w bzdurne twierdzenia. W obrębie takiej interpretacji przyjmuje się, że ludzie mają głęboką skłonność do nieużywania rozumu i opierania się na koncepcjach głupich, tworzących jednak wspólnoty zapewniające jednostkom poczucie bezpieczeństwa. Ludzie nie są w stanie egzystować poza zbiorowościami, które pierwotnie były spajane przez idee religijne. Zbiór nonsensownych wierzeń jest pewnym rodzajem pierwotnej mądrości, a ta winna ustępować wraz z postępami czynionymi przez rozum. Drogę od pierwszej do drugiej interpretacji konceptu Tertuliana opisał Peter Harrison w artykule „*I Believe Because It Is Absurd*”: *The Enlightenment Invention of Terullian's „Credo”*³. Podążając jego tropem, można dokładniej objaśnić różnice między oryginalną postacią poglądu chrześcijańskiego pisarza a późniejszymi modyfikacjami.

Tertulian był urodzonym retorem i polemistą, który wraz z nawróceniem się na chrześcijaństwo rozwinął w sobie uczuciowość pchającą go do pospiesznych

3 Peter Harrison, „*I Believe Because It Is Absurd*”: *The Enlightenment Invention of Terullian's „Credo”*, „Church History” 2017, vol 86, Is. 2, online: https://www.academia.edu/34259574/I_BELIEVE_BECAUSE_IT_IS_ABSURD_THE_ENLIGHTENMENT_INVENTION_OF_TERTULLIANS_CREDO [7 sierpnia 2022].

stwierdzeń, w których nawet drobne nieścisłości spowodowały, że myśli wyjęte z szerszych wywodów mogły być niewłaściwie zrozumiane. Tertulian znany jest chociażby ze zdecydowanego sprzeciwu wobec niektórych poglądów Marcjona, chociaż sam skłaniał się także ku takim, które zostały uznane za nieortodoksyjne. Sytuacja doktrynalna w pierwszych wiekach chrześcijaństwa była na tyle skomplikowana, że nawet wśród Ojców Kościoła trudno znaleźć osoby, które nie wyznawałyby przekonań uznanych następnie za niewłaściwe. Gorączka polemik i konieczność przyjmowania pewnych stanowisk za obowiązujące powodowała, że ignorowano nierozstrzygalność niektórych zagadnień i, by ukrócić kłótnie, zamykano dyskusje dogmatycznymi stwierdzeniami. Dziewictwo Marii w czasie poczęcia, narodzin Jezusa i po nich, zaakceptowali nie tylko teologowie katoliccy, lecz także Luter, ustalenia w tej sprawie poprzedzone były jednak wielowiekową dyskusją, w której Tertulian zaprzeczał wiecznemu dziewictwu i bezgrzeszności Marii. Stanowi to zaledwie jeden z niezliczonych przykładów kontrowersji obrazujących, z jakimi trudnościami przyjmowano obowiązujące później wykładnie.

Tertulian nie był zwolennikiem prostego fideizmu i łatwego przyjmowania niektórych prawd wiary. Sprzeciwiając się Marcjonowi, ujawnił się jako myśliciel przeciwny gnostycyzmowi. Długo i trzeźwo rozważał wiele podstawowych kwestii, więc interpretowanie jego poglądu, że należy wierzyć, ponieważ to niedorzeczne, jest błędne. Skrótowe sformułowanie „to całkowicie wiarygodne, ponieważ głupie” ma sens dopiero wtedy, kiedy zostanie przyjęte, że coś jest wiarygodne, ponieważ się wydarzyło mimo swego nieprawdopodobieństwa. Bóg, zwykle nieśmiertelny umarł – ma to sens rozrywający porządek ludzkiego myślenia i wprowadzający je na nowe drogi. Jest to więcej niż prawdopodobne, jest to wprost prawdziwe, bo tak się stało. Dla ludzkiego umysłu może być to głupie, niedorzeczne, niemożliwe czy nieprawdopodobne. Zatem Tertulian głosi: „zdarzyło się coś, co jest niemożliwe, ale mimo to się to zdarzyło”. To może głupie, ale prawdziwe. Każde rozwinięcie myśli Tertuliana pokazuje go jako kogoś, kto nie skłania do wiary bez zastanowienia, lecz do wiary w zaistnienie rzeczywistości, która zmieniła porządek świata. Modyfikacja, która powinna być przyjęta w streszczeniu poglądu Tertuliana powinna brzmieć: „to się stało, chociaż stać się nie powinno”.

Miłosz, zastępując słowo „wiarygodne” wyrażeniem „godne wiary”, stworzył parafrazę, nie dokonał należytego tłumaczenia. Zapisując myśl Tertuliana w sposób następujący: „godne wiary, ponieważ niedorzeczne”, położył nacisk na sprawę wiary, natomiast gdyby zastosował wyrażenie „wiarygodne” głosiłby wówczas, że zdarzyło się coś rzeczywistego, w pełni wiarygodnego. Różnica między „godne wiary” a „wiarygodne” jest zasadnicza, ponieważ w pierwszym przypadku ma skłaniać do wiary, w drugim mowa zaś o twardej rzeczywistości, która jest, jaka jest, mimo swego nieprawdopodobieństwa. Miłosz, który podobnie jak Kołakowski był skrywającym się, bezwyznaniowych chrześcijaninem, tłumacząc Tertuliana, niejako tłumaczył własną postawę religijną. Był

krytycznym patriotą i bezwyznaniowym wierzącym, ożywionym paradoksem. Nie tylko jego poezja, lecz nawet jego tłumaczenia autorów obcych nieuchronnie okazywały się autobiograficzne. Przy czym tłumacząc niewłaściwie, nie miał złych intencji, jakie można odnotować w parafrazie zastosowanej przez Woltera. Przesuwanie akcentów w maksymie Tertuliana z opisu niedorzecznej, łamiącej porządek rzeczy rzeczywistości na kwestie tego, co jest godne wiary, było jednak długą drogą, którą przechodzili myśliciele europejscy od czasów nowożytnych. Zatem złośliwa wersja myśli Tertuliana i jej postać *credo quia absurdum* także jest autobiografią, lecz tej skłaniającej się ku racjonalizmowi części Europejczyków, którzy chcieli pogłębić różnicę między niepodważalną, empiryczną czy racjonalną wiedzą a nieracjonalnymi wierzeniami.

Relacja na temat historii porzucania głębokiej myśli Tertuliana na rzecz ironicznej maksymy w stylu Woltera, podana przez wspomnianego już Petera Harrisona, jest zapisem mentalnych przemian, w których wiara stawała się niewiarygodna. Wedle popartej źródłowymi badaniami wiedzy tego wybitnego znawcy dziejów relacji między nauką a religią dzieła Tertuliana, po wielowiekowym zapomnieniu, zaczęto ponownie publikować na początku XVI wieku. Z pism starożytnego autora cytowano następnie wiele tez, aż do roku 1643, kiedy to analizowaną w tym eseju frazę przytoczył Thomas Browne, który posłużył się nią w swojej wpływowej książce *Religio Medici* („Religia lekarza”). Jak przypominał Harrison, Tertulianowi chodziło o to, że pomimo ogromnego nieprawdopodobieństwa śmierci i zmartwychwstania Jezusa, były to zdarzenia pewne i dlatego zasługiwały na wiarę⁴. Browne był pierwszym z autorów, którzy wypaczyli ten sens, a sięgając do frazy filozofa, kładli nacisk na fakt, że to ich indywidualna wiara rozstrzyga o prawdziwości niemożliwego wydarzenia. W przeinaczonym sensie twarde stwierdzenie Tertuliana przyjęło treść: *credo, quia impossibile (est)* – „wierzę, bo to jest niemożliwe”. Takie postawienie sprawy czyni zasadniczą różnicę: do tego czasu umysł musiał ustępować przed tajemnicą, obecnie zaś wiara opiera się na entuzjastycznej decyzji uwierzenia w niemożliwe. Następuje w ten sposób uczłowieczenie wiary, uzależnienie jej od ludzkiego postanowienia, co wychodzi poza doktrynalne, mocno podtrzymywane przez Augustyna twierdzenie, że bez Bożej decyzji wiara jest dla człowieka nieosiągalna. Spór o możliwość osiągnięcia stanu wiary trwał w teologii XVII wieku i zogniskował się w sporze jansenistów z jezuitami. Harrison podnosi jednak inną kwestię – antykatolickiego sensu postawy Browne’a. Zwraca uwagę, że w świecie katolicyzmu, według mniemań XVII-wiecznych anglikanów, wiara jest czymś wymuszonym przez organizację kościelną. Wierny ma nie tyle rozumieć, w co wierzy, ile posłusznie ufać w to, co jest mu podawane do wierzenia przez Kościół. Nie istnieje swoboda decyzji, która winna rozstrzygać o sensie wiary. Niemniej niezależnie od możliwości rozumienia aspektów stanowiska Browne’a, zwłaszcza mniemań o bezkrytyczności katolików i ich skłonności

⁴ Peter Harrison, *op. cit.*, s. 6.

do przyjmowania absurdalnych twierdzeń, odnotować należy zmianę opartą na wprowadzeniu zasady indywidualnej decyzji do kwestii wiary. Jednocześnie przedmiot wiary umacniał się na pozycji absurdalności, chociaż wymagało to przejścia przez następne etapy refleksji nad religią.

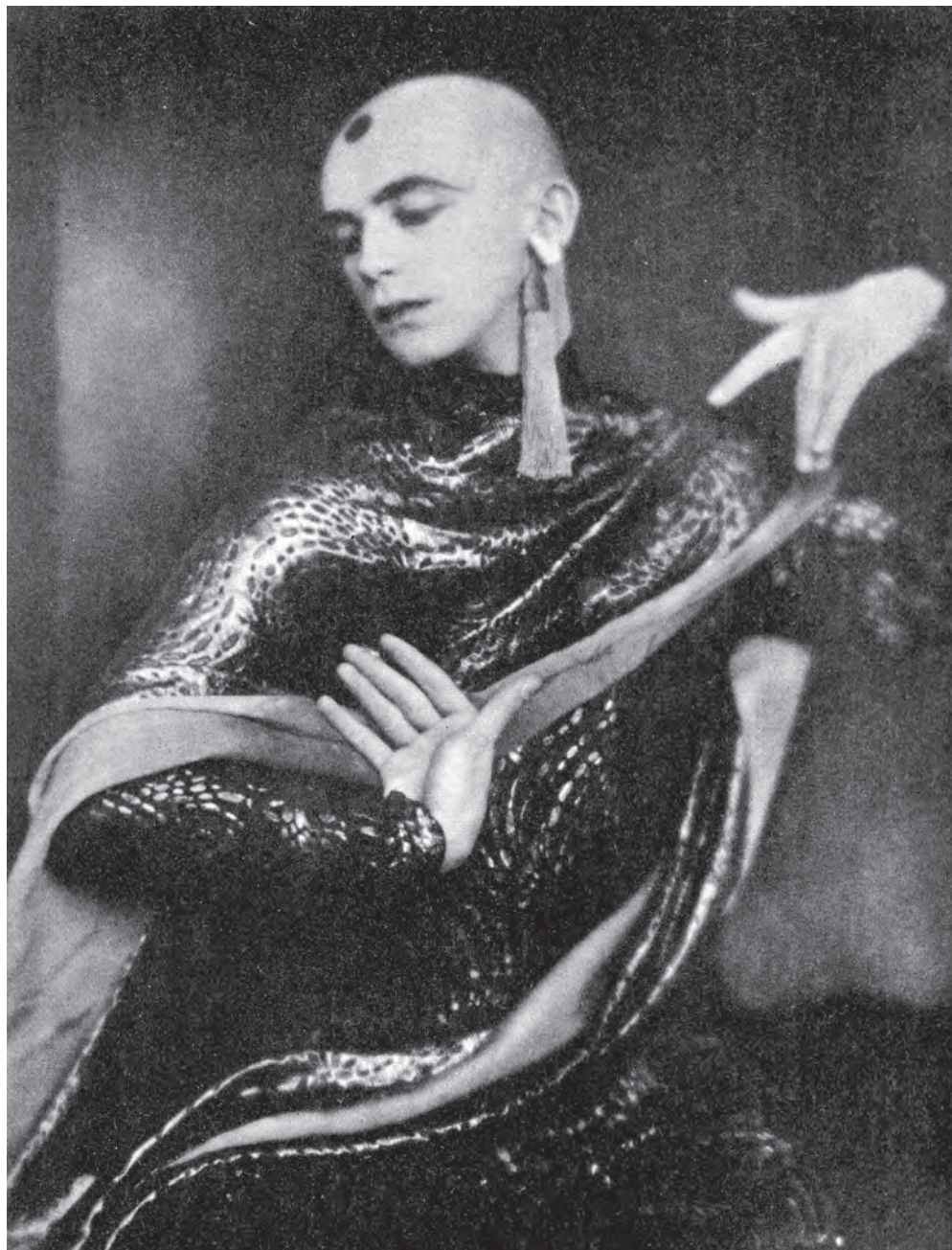
Osobiste przyzwolenie na ufność w stosunku do spraw niezgodnych z rozumem otwarło drogę do uznania, że to, co niemożliwe, jest niemożliwe, wobec czego wiara w niemożliwość jest zwykłą głupotą. Długo nie wyrażano tego wprost i zachodziło to niekiedy wbrew myślicielom, którzy deklarowali całkowicie inne cele. Dobrym przykładem tej sytuacji jest rola, jaką w dziejach myśli odegrał *Słownik historyczny i krytyczny* Pierre'a Bayle'a (1647–1706). Autor był szczerym fideistą i – jak to ujął Harrison – utrzymywał, że najwyższą formą wiary jest ta, która „obejmuje prawdy najbardziej przeciwne rozumowi”⁵. Bezpośredniość, z jaką Bayle deklarował swoją prawowierność, i jednocześnie oznajmianie, że przedmiot wiary jest niezgodny z rozumem, postrzegano jako wybieg i przykrywkę do głoszenia ateizmu. O ile Bayle w zadziwiający sposób balansował między wiarą a świadomością bzdurności wiary, to Wolter zdecydowanie już tylko symulował swoje przywiązanie do religii i wyraźnie przechylił się na stronę wiary odległej od tradycyjnych wyznań, bliższej może Spinozie niż chrześcijaństwu.

Całkowicie nieprzypadkowo w sentencji Tertuliana Wolter zastąpił wyrażenie „niemożliwe” słowem „absurdalne”, przez co myśl Tertuliana zyskała postać „wierzę, ponieważ to absurdalne”. Tylko pozorne podobieństwo łączy tę wersję z oryginałem. Browne uczynił stanowisko Tertuliana subiektywnym, natomiast Wolter precyzyjnie użyte sformułowanie zamienił na zdecydowanie negatywnie brzmiący zwrot. Można – przy zachowaniu pewnych warunków – uwierzyć w zaistnienie czegoś niespodziewanego, lecz wiadome jest, że nie sposób uwierzyć w coś jawnie absurdalnego. By podkreślić rangę nowej wersji poglądu dawnego teologa, Wolter przypisał tę myśl Augustynowi. Jeżeli coś szczególnego reprezentuje wariant „wierzę, ponieważ to absurdalne”, to wielką inteligencją autora, jego złośliwość i bezbrzeżną pogardę dla wiary. To, co jest wierutną bzdurą, nie zasługuje na wiarę, głosi Wolter, słabo skrywając za łacińską frazą, że sprawa dotyczy śmierci i zmartwychwstania Jezusa.

Wariacja „wierzę, ponieważ to absurdalne” miała obnażać głupotę wiary, ale czy była jednak w stanie dotknąć przedmiotu wiary? We francuskiej filozofii wiara w niemożliwe powróciła u zdeklarowanego ateisty Jacques'a Derridy, u którego pojęcie „niemożliwości” zostało zastąpione przez tradycyjne pojęcie Boga, zwłaszcza chrześcijańskiego. Filozofia innych myślicieli, równie silnie optujących za ateizmem, również nie była w stanie poradzić sobie bez Boga, chociaż używała zastępczych pojęć: „kosmicznej woli” (Schopenhauer) czy „ducha absolutnego” (Hegel). Podobnie Heideggerowska kategoria „bycia” (*das Sein*) zdradza zależność od teologii, chociaż głównie apofatycznych.

5 Peter Harrison, *op. cit.*, s. 9.

Bez wiary w niemożliwość myśl ludzka nie może dobrze funkcjonować, co przeczuwali przede wszystkim myśliciele orientujący się na głęboki irracjonalizm, jak Lew Szestow. Wydaje się szczególnie paradoksalne, że wyszydzanie absurdałości przez jednych filozofów, u innych tylko wzmogło szacunek dla tego, co w niemożliwości jest ukryte.



Harald Kreutzberg – Mistrz Ceremonii, opera Giacoma Pucciniego *Turandot* (czyt. s. 156)

Zaduszki

Opowiem wam inną przygodę, dziwniejszą...¹

Idę.

Kiedy z lasu wychodzę, otwiera się widok niesamowity. Grań odkryta, niebo czyste i chociaż słońce ledwo co schowało się za górami, to prosto przede mną księżyc na pół sfery niebieskiej. Kolor jego złotoróżowy. A droga jakby przez ten księżyc prowadziła.

– Dzień dobry – słyszę, i to „dzień dobry” wyrywa mnie z zachwyty mojego, z kosmicznej wędrówki mojej.

– Dzień dobry – odpowiadam i widzę dziewczę piękne i młode, z różowiutkimi policzkami, z ustami jak kwiatu płatki, z uśmiechem naturalnym i oczkami czarnymi – mile świdrującymi. Ot, wziąć i pocałować – taka we mnie ochota! I już rozmowę zaczynam, bezsensowną oczywiście, o pogodzie (a jakżeby inaczej). A dziewczyna – która przypomina moją dawną sympatię, pierwszą miłość – niezmiennie się uśmiecha. Do mnie się tak uśmiecha czy przypadkiem zawsze się tak uśmiecha?

Ale już po chwili rozumiem, że do świata ona tak się uśmiecha, do świata, który podoba się jej niesłychanie. Patrzą więc dookoła i przyznać muszę rację tej miłej dziewczynie, bo księżyc jeszcze większy, widoki dalekie w zapodzianych przez słońce ostatnich blaskach, mróz zaś niewielki, ale miłe trzeszczenie przy każdym stóp oparciu wywołujący. Jak tu do takiego świata się nie uśmiechać?

– No, to do widzenia – mówię w pewnej chwili, bo co innego, tak naprawdę, mam powiedzieć? Gna mnie już przecież do Doliny Gąsienicowej, a dziewczyna musi zapewne do mamy się spieszyć, do Zakopanego.

I jakoś tak, automatycznie, ściągamy grube rękawice i dłoń chwyta dłoń na pożegnanie. Duża, ciepła, twarda, męska – moja, i chłodnawa, ciut wilgotna, gładka, delikatna – jej. A więcej w tym uścisku erotyzmu niż w we wszystkich najwymyślniejszych damsko-męskich zbliżeniach. Dobra, młoda energia przez tę rękę do mnie przyływa. W końcu, mimo przydługiego trochę dłoni uścisku, odwracamy się od siebie i każde w swoją stronę idzie, i każde o coś bogatsze, o coś, co sprecyzować trudno. Ale już takie, jak widać, muszą być te spotkania lunonautów.

Gramolę się na trawersik ośnieżony, przecinający stok, który do Doliny Jaworzynki

¹ Witold Gombrowicz, *Kosmos*.

spada, i ostrożnie posuwam się wąską, wydeptaną w białym puchu ścieżką. Jeszcze kilka kroków i na wprost mnie zjawisko szalone się odsłania. Zjawisko – widok – góry. Skalisty masyw, który zawsze i niezmiennie robi w tym miejscu wrażenie. Ośnieżone skały, wielkie, groźne, strzeliste, niebo zasłaniające, jakby drabinami do przestworzy były, do Pana Boga tylnym wejściem. A może to już samego Pana Boga stopy przede mną, skamieniałe z wieku swojego nieskończonego, od zawsze tu tkwiące.

Przełamuje się droga, i szara dolina przed oczami moimi. Szara, pogrążająca się w mroku. Ta nadchodząca ciemność jest bajeczna, bo i dolina jest bajeczna, a w głębi niej widzę już schronisko ze smuzką dymu nad kominem.

Koło Betlejemki – przystani uprawiających wspinaczkę – przechodzę, piękną jej nazwę (odpowiednią dla domku-szałas w górskiej dolinie zagubionego) podziwiając, bo przecież stajenka to istna w zestawieniu z wielkim, murowanym budynkiem schroniska. W Betlejemki wewnątrz światła jakieś dziwne, ni to żółte, ni to czerwone, jakby bajkowe, jak w chatce czarownicy. Góry puste, ale dzięki przystaniom takim mniej obcości w sobie mają, choć masywy skaliste, kiedy na nie spojrzeć, rosną wręcz w oczach. Ale już-już zlewają się z niebem, które taki sam kolor przybiera, kolor szary, stalowy, siny właściwie, i ledwie po chwili odróżnienie ich płaszczyzn nie jest możliwe.

Mróz, śnieg zmrożony, chrupotanie pod podeszwami, a schronisko coraz bliżej. Oj, przyjemne są to sprawki, przyjemne. Na schodki kamienne wchodzę i łaps za wiszącą przy wejściu szcztokę do omiatania się ze śniegu. Omiatam się rzetelnie, buty otupuję i wchodzę. Wchodzę stopniowo – z zimna do ciepła, z ciemności do jasności, z przestrzeni otwartej do przestrzeni zamkniętej. I ta forma ograniczoności wydaje mi się bardzo miła, w odróżnieniu – naturalnie – od innych jej form.

Recepcja jest na pierwszym piętrze i tam właśnie podążam, ponieważ najważniejsze zdaje się uzyskanie miejsca, na którym spocząć będę mógł tej nocy. W recepcji zaś pusto. Jasno i pusto, o kontuar oparta gitara, na stoliku notesik z zapisanymi słowami jakiejś piosenki i symbolami gitarowych chwytów. Na widocznym miejscu karteczka: *Zaraz wracam.*

Stawiam plecak obok gitary i – nie myśląc nawet o tym, aby usiąść – odpoczywam. Za oknem noc nieprzenikniona, tutaj ciepłość i jasność, i mój odpoczynek. Chyba po raz pierwszy w życiu kartka z wiadomością o tym, że ktoś zaraz wraca, nie robi na mnie żadnego wrażenia, chociaż przecież z doświadczenia wiem, iż owo „zaraz” potrafi na długie godziny się rozciągnąć. Niech się rozciąga, mam czas. Po to tu jestem, aby mieć czas.

Człowiek, którego trzeba by chyba recepcjonistą nazwać, przychodzi. Młody, kędzierzawy, pasujący do pozostawionej tu gitary i notesika z piosenkami. Mrukliwy odpowiednio, widać zamknięty w sobie i kompleksów pełen. A przecież to najszczęśliwszy recepcjonista na świecie, w czarodziejskim miejscu swój urząd sprawujący. Ale może nie chce po prostu być recepcjonistą – i w tym tajemnica jego smutnego oblicza.

W recepcji ciepło, tak ciepło, że aż od tego ciepła spać się zachciewa, nawet mimo jasnego oświetlenia. Człowiek tymczasem wypisuje odpowiednie formułki meldunkowe i tasiecowe rachunki. Brzęczą monety, szeleszczą banknoty i „Murowaniec” staje się domem moim na najbliższe dwie noce.

– W schronisku nie ma innych gości oprócz pana – oznajmia recepcjonista, klucz mi podając.

– To interesujące. A pan, samiutki, nie nudzi się panu? – pytam troskliwie, chociaż wystarczy przecież spojrzeć i już wiadomo, że się nudzi.

– Trochę – odpowiada – ale mam zajęcie.

Tu wskazuje na gitarę, w której jeszcze chyba dźwięki jego palcami wydane mieszkają.

Chowam kwitki, kluczyk chowam i biorę do rąk plecak, który jakby przyrósł do podłogi. Buty również zapuściły w nią korzenie, więc pierwszy krok niełatwo jest uczynić.

Idę na poszukiwanie pokoju. Plecak stawiam przy pierwszych napotkanych drzwiach i zagłębiam się w półmroku wąskiego korytarza. Za mną dźwięki gitary się odzywają i głos smutny recepcjonisty:

– Odeszłaś, miłości moja...

Odszedłem i ja i błąkam się w labiryncie półmrocznym, numeru szukając na napotkanych drzwiach takiego, jaki na przywieszce klucza figuruje. Im głębiej, tym ciemniej. Im dalej, tym dziwniej. Kiedy szukam (beznadziejnie, bo nie widząc nawet mijanych drzwi) swojego pokoju, nagle wydaje mi się, że ktoś dotyka mojej ręki. Dłoń, którą czuję, jest sucha, twarda i lodowato zimna. Chwytam ją mocno i trzymam, by mieć dowód na istnienie zaświatów.

Kiedy po bezskutecznych poszukiwaniach wracam, wciąż trzymając kurczowo owego „stracha”, coś szura tuż za mną, coś stukocze i ociera się o moje nogi. Szybciej, szybciej, i już jasno, już na drodze plecak mój oparty o ścianę, poświata zbawcza sącząca się z drzwi recepcji i znowu „odeszłaś, miłości moja...”

Ręka, w rękę patyk, trzonek, kij długi. Szczotka. Rany boskie! Szczotka! Gdzie i kiedy szczotkę chwyciłem? Ciągnąłem ją za sobą, bałem się jej, drżałem przed nią. Zwykła wyliniała szczotka dowodem miała być na istnienie świata niematerialnego. Szczotka materialna – dowodem niematerialności. Szczotka z zaświatów.

Ustawiam szczotkę obok plecaka. Spoglądam na drzwi, pod którymi stał on oparty, i zdziwienie moje nie ma granic. Na drzwiach numer, którego szukam. Bez sensu było krążenie w ciemności, kiedy tu, gdzie bagaż zostawiłem, jest moja komnata. Otwieram niezwłocznie drzwi, zapalam światło i zatrzymuję się w progu mile zaskoczony. Przede mną przytulny pokój, z nowiutką kolorową wykładziną na podłodze. Trochę mały, ale na niewielkiej powierzchni zmieściły się aż cztery łóżka. Wewnątrz jest ciepło, może trochę za ciepło.

Przytulna norka, przytulne miejsce, tym bardziej, że za oknem zimna górską noc. Siadam na jednym z łóżek i zdejmuję buty. Uwalniam stopy z grubych skarpet i oglądam je (stopy) w świetle. Prawa stopa obtarta. Nie zabrałem żadnych środków opatrunkowych, trzeba będzie więc poprosić chociaż o plaster. Kiedy medytuję nad tym, nadchodzi zmęczenie, otumanienie i powieki zaczynają niebezpiecznie ciężać. Może trwa to długo, może krótko, ale nagle dreszcz, skurcz jakiś przebiega moje ciało i natychmiast budzę się wyspany, wypoczęty, zregenerowany. Od razu rozpakowuję się, przebieram i znowu wychodzę na korytarz. Potykam się o szczotkę-ducha i przechodzę obok recepcji, gdzie:

– Odeszłaś, miłości moja...

Może, jakbym siedział tutaj sam przez długie miesiące, też bym śpiewał podobne piosenki. Recepcjonista zapisuje coś w notesiku, „łapie” akord G7 i znowu to samo:

– Odeszłaś, miłości moja...

No cóż, może i odeszła. Schodzę-odchodzę i na parterze zapaszek kuchenny mnie wita i melodyjka znana. „Takie ładne oczy” – stara piosenka z sześćdziesiątych lat. Musi w kuchni matuzalem jakiś pracować, co piosenek z młodości swojej, dość odległej, słucha.

Do jadalni wkraczam z „dzień dobry” na ustach. Żołnierz (wopista) odpowiada. Żołnierz, który ogrzewa się tutaj, na górskiej służbie będąc. Przy stoliczku, tuż przy wejściu do jadalni postawionym, wysiaduje. Młody, grzeczny – jak to żołnierz czynnej służby w stosunku do cywila.

Mijam go i wkraczam w świat jadalni wielkiej, jadalni, na której ścianach zdjęcia historyczne z lat dawnych wiszą, choć przy aktualnym oświetleniu prawie są niewidoczne.

Kiedy wybieram stolik, drzwi kuchenne otwierają się i słyhać wyraźnie: „Kto za tobą w szkole ganiał...”. Jeszcze jedna stara piosenka. Patrzę, patrzę, by śpiewaka wypatrzeć, ale zamiast podstarzałego bigbitowca widzę zjawisko, które dech zapiera.

– ...do piórnika żaby wkładał – nuci ono ciąg dalszy piosenki. A nuci to dziewczę młode, o buzi miłej, delikatnej i figurze szczupłej, chociaż posiadającej jeden element jakby nieprzystający do całości, jeden element specjalny, wyjątkowy, mnie, mężczyznę, zniewalający – element, który robi wrażenie wielkie, bo sam wielki, ogromny. Piersi, piersi, piersi dziewczyny potężne, wybujałe, okrągłe, kuliste a pięknie osadzone, rysujące się znakomicie i dokładnie pod sweterkiem cienkim i opiętym.

Pożeram wzrokiem to zjawisko. Obiekt seksualny do n-tej potęgi.

Dziewczę siada przy stoliczku obok żołnierza i gadają coś tam gwarą góralską, bo, jak widać, on i ona tutejsi. Tymczasem z kuchni wychodzi następna osoba.

– Kwiaty we włosach... – nuci druga dziewczyna. Jasnowłosa, chuda, nawet ładna, ale gdzie jej tam do tego szalonego zestawienia niewinnej twarzyczki i rozpasanych piersi. Tu wszystko drobne, malutkie, ładniutkie, ale letnie. Letnie!

Chuda dziewczyna zauważa, że istnieje, i podchodzi do zajętego przeze mnie stolika. Wita się z uśmiechem miłym i pyta, czy coś zjem.

– O, tak, głodny jestem niesłychanie – odpowiadam. – Ale, sądząc z pustki, jaka w schronisku, to i jedzenia chyba niewiele.

– Niewiele? – dziwi się, a nawet trochę obraża szczupła dziewczyna. I dania wymienia i wymienia, a ja nie wiem, czy to jakaś znamienita restauracja, czy tylko schroniskowy bufet – skromny, fasolką po bretońsku i bigosem pachnący.

– Strogonow! Strogonow! – wołam, kiedy pada z jej ust nazwa tej potrawy. Jakże to brzmi tu, w schronisku – Boeuf Stogonow.

– Może i piwo? – pyta dziewczyna uwodzicielsko.

– Tak, tak – odpowiadam pospiesznie, bo już sam dźwięk tego słowa wywołał we mnie nie byle jakie pragnienie.

I za dziewczyną idę po piwo do bufetu. A kiedy już obok bufetu jestem, rzucam okiem na stolik, gdzie żołnierz poczerwieniały jakiś taki siedzi i duka coś tam, a obok piersi razem z ich niewinną, przynajmniej z wyglądu, właścicielką.

Mając piwo przed sobą, mam i czas przed sobą, więc spokojnie czekam, aż biały wianeczek odpowiednio opadnie. Wtedy dopiero piję, ale jakoś tak szybko, ciach-mach i za jednym razem wypijam. Kiedy zaś w zgrabnej miseczce danie przede mną staje, rzucam się nań tak łapczywie, jakbym na ciało damskie się rzucał i z mlaskaniem wielkim wszystko pospiesznie zjadam.

Teraz dopiero lżej na duszy, choć na żołądku nielekkko wcale. Siedzę więc duchem prawie nieważki, ciałem zaś ociężały. A wzrok mój sam, prawie bezwiednie, w kącik łypie i łypie.

Duszę jednak żądzę w sobie. Wstaję, do bufetu znowu idę, ale, kiedy idę, czuję, że stopa moja boli, bo obtarta przecież. Kiedy więc chudej dziewczynie za obiad płacę, pytam o opatrunek.

– Opatrunek? – dziwi się ona. – Dla kogo?

– Dla mnie. Stopa. Otarta.

– To proszę iść do koleżanki, ona ma klucz od pomieszczenia, gdzie jest apteczka.

No, i wpadłem. Już zdusiłem, już zniszczyłem chęci nieczne, a tu muszę iść do obiektu pożądanego po plasterek na ranę. Nic to. Bacznie stawię czoła pokusom.

Idę do stolika, gdzie żołnierz spąsowiały jeszcze bardziej i gdzie „ona” siedzi, i tłumaczę potrzebę swoją. Nie tę, oczywiście, która we mnie drzemie, lecz tę powierzchowną – stopową.

– Proszę za mną – słyszę w odpowiedzi. A głos – jak głos anioła – woła. Głos – niczym muzyka wspaniały. Ale w głosie, przeciwnie niż w twarzyczce dość niewinnej, „winności” trochę i zmysłowości wcale niemało. Posiada on bowiem wiele tych niskich, specyficznych, dosadnych – rzekłbym – tonów, które na męskich czułych strunach zagrać potrafią wspaniale.

Dziewczyna drzwi otwiera, które w holu się ukryły, światło zapala i ukazuje się pomieszczenie gospodarcze, gdzie stoi apteczka czy szafa apteczna raczej, pełna leków i środków opatrunkowych. Przy drzwiczkach majstruje przewodniczka moja, a majstrując, porusza się tak, że piersi jej też się oczywiście poruszają, ale jakimś innym, bardziej sprężystym rytmem, miłym, miłutkim, podniecającym.

– Może ja spróbuję – mówię i kluczyk z rąk dziewczyny biorę, a czynię to trochę niezdarne i dłonią zawadzam, a raczej ocieram się o pierś. Ale lekko, leciuteńko, przypadkowo bardzo. I kiedy do szafki mam się już odwrócić, o niezręczności zapominając, widzę, że kula ukryta pod sweterkiem, w jednym miejscu nierówna się staje i przez stanika materię cienką i sweterka materię cienką sutek postawiony wyraźnie się pokazuje. Jeden i drugi. Oba.

Za długo zatrzymałem wzrok na piersiach dziewczyny, więc i ona na nie spogląda i od razu dostrzega, co się stało. Rumieniec twarzy jej oblewa, rumiany bardziej niż ten u żołnierza przy stoliku. Wraz z rumieńcem coś jakby uśmiešek się pojawia, ale ja już wzrok odwróciłem, szafkę otworzyłem i łaps za plaster. Dziewczyna tymczasem spokojność odzyskała i pogodnie, żartem nawet, drwinką – mówi:

– Czy tylko plasterek, czy i bandaż na nóżkę potrzebny?

– Plasterek. To tylko małe otarcie.

– O-tarcie. A co pana tak o-tarło?

Czemu ona tarcie i tarło tak podkreśla?

– But.

– Ach, but. To plaster z pewnością pomoże. Proszę wziąć też kawałeczek na jutro.

Biorę i do wyjścia chyłkiem się przesuвам, bo sytuacja trochę niezręczna się stała. Z jednej strony zawstydzenie, a z drugiej jakieś żarty nie-żarty w stosunku do mnie.

– Dobranoc – w drzwiach mówię i już iść dalej zamierzam, gdy i ona „dobranoc” mówi, ale jakoś tak lubieżnie, dziwnie, mruczaco, niskości niepokojące w swoim głosie wykorzystując.

– Dobranoc – powtarzam, lecz teraz krótko a stanowczo, i już rzeczywiście na górę zmykam, a zmykając, zastanawiam się, czemu nie zostałem i tej konwersacji dziwnej nie podtrzymałem, konwersacji, z której przecież coś tam wyniknąć mogło.

– Odeszłaś, miłości moja... – wita mnie pieśnią pierwsze piętro. Recepcjonista nad gitarą pochylony grucha słodko. Ale jego tutaj nie ma. On rozpływa się w swojej nieistotności. On rozpływa się w swoim nigdy niedokończonym śpiewie.

– Odeszłaś, miłości moja... – niezmiennie ta sama fraza – dowód na jego nieistnienie.

Mógłbym wejść teraz do recepcji i stworzyć człowieka, odtworzyć raczej, ale nie ingeruję w czyjąś nieobecność. Gnam już do swojego pokoju, bo tam miejsce moje – w samotności.

Przed drzwiami, niczym żołnierz na warcie, szczotka-duch. Za drzwiami niezgaszone światło – też na warcie.

Zmęczenie przychodzi; spowolnienie ciała i myśli. Ciepło, które w pokoju jakoś bardzo się nasiliło, działa tak na mnie, że kładę się na łóżku w ubraniu. Kończy się powoli trzydziesty pierwszy dzień października, kończy się leniwie i jakby niezdecydowanie.

Nie wiem, jak długo leżę, czy śpię może, bo w gorącu i przy niezgaszonym świetle straciłem poczucie rzeczywistości. Spoglądam na zegarek. Dochodzi północ. A więc już tylko kilka minut dzieli mnie od następnego dnia – pierwszego listopada. Zwlekam się z łóżka, gaszę światło i po omacku docieram do pościeli.

Rozbieram się powoli, czując wyraźnie, jak sen znowu krąży wokół mojej głowy. Kiedy jestem już nagi, nie mogę znaleźć piżamy. Zmęczenie każe mi położyć się choć na chwilę na pościeli, a że jest bardzo ciepło, nie przykrywam się. Kiedy już znikam, rozplątuję się w ciemności, słyszę skrzypnięcie. Naprawdę nie wiem, czy to sen otwiera drzwi pokoju, czy jawa. Drzwi się zamykają, powraca cisza, lecz w powietrzu wyczuwam trudne do sprecyzowania drżenie, a może raczej niepokój, jakieś napięcie. Ale przecież nic się nie zmieniło. Wiem, że jestem tu sam.

I nagle czuję, że ktoś, dysząc ciężko, nachyla się nade mną. Błyskają w ciemności oczy i chlasta coś z całej siły o moją twarz, a jednocześnie przygniata mnie jakiś ciężar. Na moim nagim ciele inne nagie ciało się sadowi, na twarzy zaś wciąż spoczywa coś, co przed chwilą o nią uderzyło, a jest to coś miękkiego, sprężystego, co ciśnie mnie, przydusza i pachnie jakoś tak dziwnie, odurzająco. Unoszę do twarzy ręce, pragnąc odepchnąć napastnika, pragnąc zdjąć z mojego oblicza to, co utrudnia oddech, i chwytam dłońmi dwie ogromne, miękkie i gorące kule, przygniatające moją twarz. Kule, na których powierzchni wyczuwam twarde, sterczące wypiętrzenia. O rety! To piersi! Kobięce piersi! Ogromne, z wyprężonymi, sztywnymi sutkami. Moja głowa znajduje się dokładnie pomiędzy nimi. Ocierają się o moje policzki, o szyję, o czoło. Jednym słowem: zostałem napadnięty przez kobietę, nagą kobietę, która przygniotła mnie golizną swoją niewidoczną, przyłgnęła do mnie – gorąca, dysząca i nienasycona. I niby to okazja do zrobienia tego, co tak często wyobraźnię moją zaprzęta, ale gdzież tu w takiej natarczywej sytuacji o miłości, seksie i pieszczotach myśleć, kiedy ledwie dycham, przygnięciony, przerażony, unieruchomiony, a wszelkie próby strącenia przeciwnika nie dają rezultatu. A jest on silny, wytrwały i prawdopodobnie gotowy na wszystko. Ale bronię się, robię co mogę, bo piersi, suwając się po mojej twarzy, zatykają, pozbawiają oddechu, a więc i siły. Kiedy czuję na ustach twarde, wielki sutek, chwytam go w desperacji zębami i gryzę z całej siły, ale to tylko wzmaga ochotę w niewidocznej kobiecie, bo przyciska mnie jeszcze mocniej. Nie jest to więc droga do uwolnienia się, muszę działać inaczej. Łapię więc to ciało rozpasane, obejmuję i mam teraz w rękach gorącą, pulsującą wrzącą krwią samicę o silnych ramionach, gładkich, wygiętych w łuk plecach i okrągłych biodrach. I co z tego; nadal, mimo wysiłków, jestem w jej mocy. A ona kręcić się niecierpliwie zaczyna i czuję nagle, jak jej ręka sunie po moim ciele w dół, i już

dobrze wiem, że zaraz znajdzie się na moich uwieczonych między jej nogami udach. Wtedy zdaję sobie sprawę, że dzieje się coś, z czym powinienem walczyć, co powinienem za wszelką cenę powstrzymać, ale nie potrafię uczynić tego w żaden sposób. Co robić, jak wpłynąć na niesformną część mojego ciała, aby nie kusiła swoją wyuzdaną gotowością, bo przecież tylko wtedy byłbym bezpieczny, nieinteresujący, nieużyteczny, bezpłciowy. Warg zagryzienie – nic, o górze lodowej i obu biegunach zimna pomyślenie – nic. A tymczasem dosięga tego, czego chciała, zachłanna ręka kobiety. Mocno ściska pulsujący krwią fragment mojego ciała, tą samą krwią pulsujący, która jeszcze przed chwilą w głowie mojej była, w rękach moich była, a teraz usztywnia ten niewdzięczny narząd, zawsze w najbardziej nieodpowiednich momentach dający o sobie znać. Teraz już się nie wywinę, bo wraz z tym żelaznym, zaciskającym się chwytem uzyskałem chęć upokarzającą, od woli niezależną – tak miłą jednak...

Odsuwa się od mojej twarzy ciężar piersi ogromnych. Samica siada na mnie okrakiem. Na brzuchu czuję jej drapiącą zmierzwioną sierść i mokrość, i gorącość wielką. A wreszcie napastniczka wprawnie unosi się i nasadza na mnie, wzdychając lubieżnie. No cóż, teraz już nie ma żartów, teraz i u mnie przecież chcenie wielkie, bo czuję się tak, jakbym cały wsunął się w oślizgłe wnętrze, które, gdy choć trochę się poruszy, dreszcz wywołuje we mnie rozkoszny. Łapię więc za gorące uda baby natarczywej, które przywodzą w wyobraźni widok statuetki neolitycznej Wenus, i zaciskam dłonie na napiętym ciele, a kiedy tylko unosi się w górę, ściągam je z całych sił w dół z niebываłą, naprawdę niebываłą, satysfakcją.

Jak maszyna pracujemy pospołu, jęcząc, dysząc, mrużąc, do rzeczy gadając. Gwałcicielki-kochaneczki nie widzę, bo ciemno, szukam więc dłońią reszty jej ciała. Siedzi, unosi się nieznacznie, opada i przesuwa, to w tę, to w tamtą stronę, nie wypuszczając jednak mnie ani na chwilę ze swojego podbrzusza. Macając w ciemności, na piersi jej ogromne znowu natrafiam, które dyndają ciągle tuż nade mną, ale czuję, że inne ręce je obejmują – jej własne palce pocierają twarde i czułe wypustki, więc pomagam im w tej mozolnej pracy, co potęguje samiczą radość ze zbliżenia i wzmacnia intensywność ruchów jej miednicy. Kobieta jęczy, krzyczy, wrzeszczy i nagle zapiera się i kolanami mnie ściska, bo przyszło na nią wyzwolenie i koniec męki oczekiwania. Ale i ja już w przepaść lecę, już sztywny cały jak struna jestem, a ta sztywność jakoś tak długo, długo trwa, ale kończy się, kończy wreszcie i wyzwolenie wreszcie następuje, które wyczuwa doskonale i ona, z uznaniem mrużąc coś pod nosem. I pierwszy gest jej delikatny czuję, bo kładzie dłoń swoją na mym policzku, a potem ciało całe na mnie układa, mokre, spocone, rozdygotane jeszcze. No, niech już leży, dobrze mi teraz przecież. Strasznie to wszystko się zaczęło, ale kończy się cudownie.

Leżymy obezwładnieni marszem do rozkoszy, której ona chciała, a ja nie, ale w końcu zachciałem. Dyszymy jeszcze, mrużymy jeszcze, a dobrze nam w splecieniu

naszym, dobrze czuć zapach miłosego współnika, ciepło jego skóry i wilgotność potu.

Ciemność, miły ciężar spoczywający na mnie – to wszystko sprawia, że sen puka do drzwi, a ja chętnie go wpuszczam i osuwam się w ciemność jeszcze głębszą niż ta rzeczywistość. Sen jest zasłużony, czysty, sen, w którym nie muszą się materializować żadne potrzeby, żadne żale, żadne imaginacje. Jest sen, tylko dla snu istniejący, uwalniający od jaźni, od cielesności, sen – zapomnienie, sen – nieistnienie. Sen-sen.

*

Szum. Budzi mnie szum. Wiatr uderza śnieżną kaszą o szyby. Dygocze okno. Szum.

Chciałbym patrzeć, ale nie mogę. Moje powieki coś skleja. Unoszę dłoń i przecieram oczy. Są zaropiałe, zaskorupiałe, jakbym w nocy płakał.

W pokoju panuje półmrok. Wiem, że dzień wstał już dawno; ciemność – z winy pogody. Wiatr, śnieg, sine chmury. Sine chmury tylko sobie wyobrażam, bo szyby w oknie są zaparowane. Szyby drżące pod uderzeniami wiatru. Szalone, gwizdzące złowieszczo powiewy mówią, że góry wierzgnęły dzisiaj i otrząsają się z ludzi niczym Guliwer z Liliputów.

A ja skrępowany jestem dokumentnie, związany jak Guliwer właśnie. Jedną wolną ręką (którą przecierałem oczy) z trudem rozwija sploty całunu. Zawinięty w koce, śpiwór i piżamę okręcony jestem nimi niczym mumia. Leżę na podłodze. Każdy mój ruch – to ból. Wszystkie mięśnie, stawy, kości – boją. Czyżby wczorajszy przemarsz przez góry kosztował mnie tak wiele?

Wygrzebuję się wreszcie z unieruchamiającego mnie kokonu. Staję nagi na kupce gałganków, którymi przed chwilą byłem owinięty, i widzę, że bardzo zmarniały jestem. Przeciagam dłonią po włosach; są sztywne, posklejane i sterczą – każdy w inną stronę. Pachnę potem, skóra moja jest wymięta, widoczne są na niej wyraźnie odciski rzeczy, którymi byłem skrępowany. Stoję nagi – odkryty, i nie mam ochoty się ruszyć z miejsca.

Cóż robić? Ano pozbierać się, ubrać, umyć i o wycieczce dzisiejszej pomyśleć. Zapomnieć o fatalnym przebudzeniu. To decyduję, i już zaraz spotkać mnie można w łazience pod prysznicem. Woda na nogi stawia, uzdrowia, do życia pobudza.

Z łazienki do pokoju. Wchodząc, potykam się o szczotkę, ale szczotkę jakby inną niż ta wczorajsza. Normalniejszą.

Czas na posiłek.

W recepcji śpi człowiek. Na krzeselczku, z gitarą w rękę, śpi kudłaty recepcjonista. O mieście swoim (może o wsi swojej) śni. O dziewczynie swojej, która daleko zapewne od niego.

Na paluszkach mijam recepcję i po schodach na dół idę. Rozglądam się jednak dookoła uważnie, patrzę to tu, to tam, bo przede mną nieuniknione spotkanie z dziewczyną o dużych piersiach, których ciężar w nocy na moim ciele poczułem. Poczułem

czy nie poczułem? Zatrzymuję się w połowie schodów. A może był to sen? Przyszedł sen i przekreślił mnie przez seksualną wyżymaczkę. Jak to sprawdzić, sen czy nie sen?

Stoję na schodach i intensywnie myślę, ale myślenie w takich przypadkach na nic. Może trzeba było w pokoju jakichś konkretnych śladów szukać? Albo nawet jeszcze w nocy o tym pomyśleć. Teraz już za późno, wszystko dopiero w bezpośredniej konfrontacji się wyjaśni. Tymczasem skrzypnięcie drzwi wejściowych słyszę, otrzepywanie się czyjeś ze śniegu słyszę.

Ktoś przyszedł, ktoś z nieba mi spadł, ktoś wybawiający, bo, niezależnie, kto to jest, spróbuję się nim podeprzeć – rozmową, przyjaźnielstwem. I już biegnę po dwa schody, aby przybysza powitać, aby wybawiciela ucałować.

W holu stoi czerwony od zmarznięcia człowiek, mężczyzna w wieku dojrzałym, pod czapką – zdjętą właśnie – ogoloną mający czaszkę. I uśmiecha się do mnie witająco, i rękę wyciąga.

– Pogoda straszna – mówi, ściskając mocno dłoń moją. – Nikt oprócz mnie nie ważył się ruszyć z Zakopanego. Gzymsy spadają, rynny fruwają, zimno, śnieg lodowaty w oczy. Tylko ja przeszedłem; ja jeden.

– Wspaniale – chwale – pięknie. Pewnie pan zmęczony, głodny.

– Tak, tak. Oczywiście.

– Zjemy razem śniadanie. Pogadamy – proponuję i od razu aprobatę widzę.

Teraz, w czyimś towarzystwie, już niestraszna konfrontacja z kobietą, która przysła lub nie przysła do mnie w nocy. Toż nie wypada przy kimś trzecim takich spraw roztrząsać. A ten dystans wystarczyć powinien, by wyjaśniło się wszystko.

W jadalnej sali pustka oczywista. I dobrze. Siadamy przy stoliku, skąd widoki przez okna piękne, ale śniegowa zadymka wiele zobaczyć nie pozwala. Mój towarzysz-wybawiciel musi przez chwilę odtajać, bo zmarznięty bardzo.

Tymczasem pojawia się chuda dziewczyna i pyta, czy coś chcemy zjeść.

– Nie! – mówi stanowczo człowiek przy mnie siedzący. – Ja prawdziwy turysta. Mam wszystko. Nie będę przepłacał.

– A pan? – pyta mnie dziewczyna.

– Ja poproszę jajecznicę.

– Będzie pan im kieszeń nabijał? – mój towarzysz jest prawie obrażony.

– Jestem głodny.

To pozostaje już bez komentarza. Człowiek z ogoloną głową wyjmuje z chlebaka zapasy: kanapki i jabłko. Ma oczywiście termos – jest więc rzeczywiście niezależny.

– Po co im płacić? Oszukują na każdym kroku.

Zamilczam moje wczorajsze zachwyty nad Strogonowem. Gdyby się dowiedział, że danie obiadowe zjadłem tutaj, zapewne wykląby mnie. Ale cóż, konieczne jest dzisiaj jego towarzystwo.

Chuda dziewczyna poszła do kuchni. Za nią mój wzrok, ale nic, a w szczególności jej koleżanki, nie wypatrzyłem.

Kiedy jajecznica nadchodzi, szczerze wyposażonej przez naturę dziewczoi jak nie widać, tak nie widać.

– A koleżanka gdzie? – pytam jakby mimochodem tę chudzinę, która jedzenie przyniosła.

– Hania?

– Nie wiem, czy Hania. Plasterek od niej wczoraj dostałem.

– Plasterek – zachichotała dziewczyna.

– Plasterek – powtarzam trochę niepewnie.

– Mówiła, mówiła. I coś tam jeszcze mówiła.

– Co? – jestem naprawdę zdziwiony i niespokojny.

– Coś tam – odpowiada niedbale. – Śpi jeszcze Hania. Nie chciało się jej wstać. Ruch taki mały, poradzę sama.

I poszła. I nic nie wiem nadal. I trudno.

– Bezczelna ta obsługa – mówi ogolony, z pełnymi ustami.

Nie odpowiadam, bo cóż na takie impertynencje odpowiedzieć. Zabieram się za jajecznicę – smaczną, gorącą i... już posoloną. Damską rękę widać na tej jajecznicy, chociaż to takie proste, chciało by się rzec, męskie danie.

– Na pewno ze starych jajek – zgryźliwiec nie daje spokoju.

– No, cóż – odpowiadam – głodny jestem. Zjadłbym teraz jajecznicę nawet z jaj dinozaurów.

Tymczasem w kuchni odzywa się muzyka.

– Ktoś mnie pokochał – wtóruje śpiewakowi z głośnika chuda dziewczyna.

– Widzi pan? Nawet muzyczkę nieświeżą mają.

– A pan raczej taki nowoczesny? – pytam trochę przekornie.

– A jakże. Nowoczesność, rozwój. Gdyby nie te rządy, które teraz mamy, byłoby dobrze, kraj nasz by przodował, gospodarka, polityka! Gdyby inni rządili, powodziłyby się w ojczyźnie doskonale.

– Ale kto? – pytam zdziwiony.

– A, ten i tamten. – Tu wymienia nazwiska, których nigdy nie słyszałem. – Gdyby im dano możliwość rządzenia, to zobaczyłby pan. Postęp jak się patrzy.

I nagle spogląda na mnie badawczo.

– A pan przeciwko nim coś ma?

– Nie, skąd – zaprzeczam.

Ale on podejrzliwie patrzy, wzrokiem mierzy, braku poszanowania dla jego idoli wypatrując. W końcu przestaje jednak gromy z oczu rzucać i już całkiem spokojnie, rzetelnie wyluszcza, wyklada (jak to każdy teraz czyni) historię najnowszą, według siebie

naturalnie. Faktami żongluje, liczbami żongluje, tytułami się podpiera. I wykład mam, bo oto specjalista-historyk objawił się przede mną, człowiek z ogoloną głową, z poglądami sprecyzowanymi, konkretnymi. A ja, słuchacz maleńki, nic nieznaczący, którego pominąć by można w opisie tego, co się właśnie tu dzieje.

Tymczasem wywód skończył towarzysz mojego śniadania i zapytał:

– I co, nie mam racji?

– No... – odpowiadam tak, jak na stek głupstw zwykłem odpowiadać.

– Właśnie, właśnie, każdy musi mi rację przyznać.

To formuła, szablon, kalka. Tłumaczę sobie w duchu, że towarzystwo tego człowieka konieczne jest ze względu na potrzebę „ubezpieczenia” się drugą osobą przy bezpośredniej konfrontacji z Hanią biuściastą.

Uspokajam się, dojadam wystygłą jajecznicę. Herbatę wypijam i już normalnie, zwyczajnie, przyziemnie jest.

– Był pan w Słowackich Tatrach? – pyta znienacka mój towarzysz.

– Nie, ja tylko kilka dni...

– Ja byłem i dobry interes zrobiłem. Spirytus tam jest tani, o wiele tańszy niż tu, u nas.

– Nie wiedziałem... – odpowiadam szczerze.

– Nie wiedział pan? Na jakim świecie pan żyje?

– No, akurat spirytusem mało się zajmuję. A zresztą, na rogu mojej ulicy jest sklep, gdzie wszystko, co ma procenty, kupić mogę.

– Ale oszczędność! Gniotą nas przecież cenami sztucznie wywindowanymi. Trzeba się temu przeciwstawiać, trzeba się uchylać i... walczyć. – Ostatnie słowo wypowiedział szeptem.

– Walczyć? A jakim to sposobem?

– Jakimkolwiek. W tramwaju nie płacić, w pracy nie być zbyt gorliwym – to burzy fundamenty państwa.

– Ciekawe.

– Oj, naiwny pan jest, naiwny. Nasi przeciwnicy na takich jak pan kapitał swój zbijają.

– No, ale w pracy przecież za pieniądze się pracuje. Jak źle się pracuje – mniej się zarabia.

– Nic a nic pan nie rozumie. Tu trzeba szerzej patrzeć. – Uniósł palec w górę.

I patrzył szerzej. Po sali się rozglądał, bo pewnie chciałby przed większym audytorium się wypowiedzieć, ale przecież nikt oprócz niego do „Murowańca” nie dowędrował tego poranka.

Tymczasem w kuchni jakiś ruch się uczynił i popłynęła stamtąd, tym razem trochę głośniejszą, nową piosenką:

– Czy to jest przyjaźń, czy to jest kochanie?

Tym razem podśpiewywała Hania. Głos mocny, z góralskim zaśpiewem. No cóż,

muszę jakąś strategię wreszcie przyjąć, aby wyjaśnić to, co jest do wyjaśnienia.

– Będzie pan tu nocował? – pytam.

– Jeszcze nie wiem. Na razie sobie posiedzę, odpocznę.

Posiedzi. Niech siedzi, a ja wyjdę ze schroniska. Tak, a kiedy wrócę, wszystko się samo wyjaśni.

– A pan? W taką pogodę na wycieczkę nie można się przecież wybrać.

– Ja się właśnie wybieram, a jakże – odpowiadam.

– To samobójstwo! Wiatr, mróz, pada śnieg. Widoczność na wyciągnięcie ręki tylko.

– Jak wyjdę, to się zobaczy.

Ogolony człowiek nic więcej nie mówi. Tymczasem w kuchni piosenka powtarzana już kilka razy była:

– Czy to jest przyjaźń, czy to jest kochanie?

Muszę wstać i w taki sposób przemknąć na górę, aby się na Hanię nie napatoczyć. Żegnając się z moim chwilowym od wiszącej w powietrzu konfuzji wybawicielem i zdecydowanie do wejścia ruszam. W korytarzu drzwi się jednak od kuchni otwierają i staje w nich nie kto inny, tylko Hania.

– Dzień dobry – wita się grzecznie.

– Dzień dobry – głosem nie swoim odpowiadam, bo w gruzy runęły usiłowania moje pośredniego wyjaśnienia tego, czy nocne zdarzenia snem tylko były, czy rzeczywistością. Tymczasem... konfuzja. Stoję i nie mówię nic. Hania jakaś dziwna, z rozczochranymi włosami, w sweterku tym samym co wczoraj i z czym trzeba od razu na bacność postawionym.

– Pomógł plasterek? – pyta w końcu, po przydługim trochę milczeniu.

– Plasterek? – nie wiem, o co chodzi.

– Brał pan wczoraj plasterek ode mnie.

– A, plasterek. Tak, przykleiłem. Przydał się.

I znowu milczenie, a Hania stoi i nie ma zamiaru się ulotnić. Czuję, że mnie również nie wypada się ruszyć, a cóż dopiero uciec czy coś innego w tym rodzaju zrobić.

– A jak się spało? – pyta jakoś tak cicho i głosem niższym o pół oktawy, podobnym w brzmieniu do tonu wczorajszego, gdy plasterek mi dawała.

Z tego nie da się wybrnąć. Trzeba powiedzieć coś, co wyjaśni wszystkie wątpliwości. Wóz albo przewóz!

– Świetnie – „wałę prosto w oczy” – zjawił się u mnie nawet duch. Duch bardzo miły, choć nieco natarczywy.

– I co, wystraszył się pan?

– Nie.

– To może i dzisiaj przyjdzie?

– Taką mam nadzieję.

- Hania! – woła ktoś z kuchni.
- Już idę! – odkrzykuje Hania, puszcza oczko i znika.

Moje wątpliwości są już mniejsze, ale rozmowa posłużyła się jednak tylko ogólnikami. No cóż, zobaczymy, co przyniesie noc najbliższa. Teraz ważna jest wycieczka, którą, mimo „krwiożerczej” pogody, zrobić postanowiłem.

W pokoju wybieram najcieplejsze rzeczy, a przede wszystkim te, które mają chronić od wiatru. Wiem dobrze, że samotny wymarsz przy takiej pogodzie nie jest najmądrzejszą rzeczą, jaką mogę zrobić, ale gdy przyjeżdża się w góry na krótko, pragnienie tego, aby wykorzystała odpowiednio czas pobytu, silniejsze jest od obaw wszelkich, popartych nawet przedwyjazdowymi ostrzeżeniami bliskich i mniej bliskich osób. W zasadzie przecież to właśnie z tymi ostrzeżeniami walczę. Dzisiejsze możliwe zamarznięcie, spadnięcie czy uduszenie się pod lawiną usatysfakcjonowałoby niewątpliwie wszystkich odmawiaczy, bo przyznałoby im rację. Nie mam jednak zamiaru – mimo podejmowanego właśnie ryzyka – zadowolić ich wątpliwych ambicji. Mam ochotę jeszcze trochę pożyć, choćby po to, aby móc wieczorem z Hanią poharcować. Może nawet nie choćby po to, ale **właśnie** po to.

Recepcjonista jest w recepcji nieobecny. Gitara jednak trwa na stanowisku. Mam ochotę podejść i trącić struny. I podchodzę, i trącam strunę „g”. Struna brzęczy. Dźwięczy i brzęczy. Brzęczy, bo cienki drucik, który ją na całej długości owija, jest w jednym miejscu pęknięty.

Schylonego nad gitarą (mnie) przydybuje recepcjonista.

- Potrzebuje pan czegoś? – pyta oschle. Oschle, bo jego żoneczkę-gitarę śmiałem dotknąć. Żoneczkę z czułą i brzęczącą struną „g”.

- Klucz chcę zostawić. Na wycieczkę idę.

- Dzisiaj? Wycieczkę? Głowę tam urywa!

- Urywa, nie urywa. Na dole siedzi człowiek, co rano z Zakopanego przyszedł, więc chyba chodzić się jednak da.

- Ten? Łysy? To wariat. On spał tu, nieopodał, w Betlejemce. To mitoman. O spirytusie mówił?

- Mówił.

- A widzi pan. Wariat.

- Ja jednak idę. Jak nie da się wędrować – wrócę.

- Proszę bardzo – mówi i bierze do rąk gitarę. Wyciąga jednocześnie z kieszeni kopertkę. W kopertce nowa struna „g”.

A więc jednak zapobiegliwy to kochaneczek, który w kieszonce kopertkę nosi.

Zostawiam klucz i schodzę. Na dole zerkam do jadalni. Ogolony nad mapą wielką siedzi i przygląda się jej wnikliwie. W kuchni gra muzyczka, ale za cicho, abym mógł coś rozpoznać.

Dłoń na klamce kładę. Klamkę naciskam i drzwi uchylam, ale muszę natychmiast całej swojej siły użyć, aby je utrzymać. Wiatr dmie bowiem z pełną wiatrową mocą. Dmie oczywiście w stronę przeciwną, niż to jest potrzebne. Opanowuję jednak sytuację i udaje mi się w końcu drzwi zamknąć, będąc już na zewnątrz. Tam zaś świat tańczy, a przygrywa mu do tańca wiatr. Taniec to zwariowany, wszystko tu dygocze, trzeszczy i wiruje. Drzewa gałęzie ku ziemi pochylają, kłaniają się, drżą. Śnieg pada albo i nie pada, bo powiewy unoszą pył biały w powietrze i trudno orzec, czy to, co sypie, nie zostało przed chwilą poderwane. Zimno. Moje odzienie, przynajmniej w tej chwili, na nic się zda. Wiem, że muszę z miejsca ruszyć, bo inaczej zamarznę tu, u wrót schroniska. Ruch to to, co może mnie rozgrzać. To to.

Na śniegowej ścieżce, wiodącej między zaroślami kosodrzewiny, jest jakby nieco spokojniej. Wiatr wikła się w skomplikowane sploty tych karłowatych sosen, gdzie tłumi się jego impet. Wyje jednak głośno, tumani i przestrasza.

Dobrnąłem do drogi, którą drogą główną nazwać by można, a tuż-tuż odgałęzienie do Czarnego Stawu biegnące, w śniegu głębokim pogrążone. Tam skręcam, śladem Mieczysława Karłowicza, który tutaj niedaleko życie stracił pod przykryciem zbyt ciężkiej pierzyny. Mam nadzieję, że nie podzielę jego losu, choć zdaje się, iż żywioty życzyłyby sobie, aby tak się stało.

Noga grzęźnie w śniegowej dziurze. Upadam, ale nic sobie nie łamię. Przytulenie zaspę. Wcale śnieg nie jest taki zimny, jak sądziłem. Wiatr jest zimniejszy, obcowanie z zaspą miłsze od obcowania z nim. Mam poduszkę do przytulania.

Długie leżenie w śnieżnej pościeli jest jednak niemożliwe. Inne zimno, to sadowiące się w okolicach szpiku kostnego, ujawnia się i zaczyna drażnić piszczele. Jego pozbyć się mogę jedynie ruchem. Jak widać, łatwo zamarznąć, zamieniając mroźny wicher na otulenie śniegiem. Niejeden tak pewnie uczynił.

Wstaję, otrzepuję się z pomocą wiatru i nadęty jego podmuchem ruszam dalej. Ścieżka zasypana, ale zgubić się tutaj nie można, bo w gęstwinie kosodrzewiny tylko jeden wyłom – ten którym idę.

Zawierucha układa porywany w górę śnieg w przestrzenne figury. Chwilami mam wrażenie, że to postacie. Chwilami mam wrażenie, że nie górską ścieżką idę, a ulicą idę mojego miasta.

– Zwolnij trochę, bo nie mogę za tobą nadążyć – słyszę nagle czyjeś słowa. Za mną ktoś idzie. Idzie ktoś za mną. Mam nadzieję, że to nie „łysol” ze schroniska.

– To ja, Leszek – słyszę w odpowiedzi.

Odwracam się i próbuję wypatrzeć mówiącą do mnie osobę. Z szarości wyodrębnia się jakaś postać, ale niewyraźnie, bardzo niewyraźnie.

– To ty? – pytam.

– To ja.

– Dlaczego pojawiaasz się dopiero teraz, dlaczego nie zjawiłeś się przez te wszystkie długie lata, jakie minęły od twojej śmierci?

– A ty odwiedziłeś chociaż raz mój grób?

– Nie, ale myślałem wiele o tobie. Bywało, że codziennie.

Leszek śmieje się. Nie wiem, czy złośliwie, czy serdecznie.

– Pamiętasz, jak wędrowaliśmy razem przez góry? – pyta po chwili.

– Pamiętam.

– To wędrowanie odeszło, ja odszedłem. Nie ma teraz wcale znaczenia, czy takie odejście oddzielone jest śmiercią. Ty przecież także umarłeś. Ty – tamten – umarłeś, ty – z tamtego wędrowania – umarłeś, i niczym nie różni się twoje wspomnianie mnie od twojego wspomniania siebie z tamtego czasu. Obaj umarliśmy.

Wiatr uderza ze zdwojonym impetem. Zachwiałem się i muszę odstąpić kilka kroków, aby nie upaść. Ciągle jednak staram się wypatrzeć w zamieci Leszka.

– Dlaczego to mówisz? – pytam, chociaż nie wiem, czy jest on jeszcze przy mnie.

– Nie domyślasz się? – słyszę z innej zupełnie strony niż poprzednio.

– Nie.

– Chcę ci po prostu uświadomić, że umierasz, umierasz w tej chwili. W tej i w każdej innej. I to umieranie jest wielokrotnie straszniejsze od zwykłego, takiego, jakie mi się przytrafiło.

– Ale ja tego tak wcale nie odbieram.

– Nie? A wtedy, kiedy budzisz się w nocy, jesteś przeraźliwie sam, wokół ciemność – ten złowieszczy przedsmak nieistnienia, zaczynasz drżeć, płakać, gryźć się do bólu, wyć, bo wiesz, że już prawie ciebie nie ma, że już niebawem znikniesz, rozpułniesz się w nicości...

Wiatr znowu się wzmaga. Wiatr unosi drobny śnieg w górę i ciska nim we mnie, ciska boleśnie, co odczuwam tak, jakby ranił mi twarz lodowymi kryształkami. Zasłaniam się, odwracam, ale to niewiele pomaga. Przez chwilę jest prawie ciemno od zamieci, przez chwilę wycie wiatru jest nie do zniesienia.

Po co wybrałem się dzisiaj w drogę? Dlaczego nie zostałem tam, w schronisku, w ciepłe, w jasności, w spokoju? Dlaczego porzuciłem bliskich i wsiałem do pociągu, aby wędrować przez puste góry, podobniejsze teraz do piekła niż widoczków ze słodkich obrazków?

Ale ja dobrze wiem, dlaczego ruszyłem w góry. Dopiero tutaj, wewnątrz mroźnej zawieruchy, czuję, że żyję. Czuję swoją fizyczną postać, czuję swoją duchową postać. Gnieciony wiatrem, śniegiem i zimnem, gnieciony wizjami, pytaniami i strachem. Teraz dopiero czuję, że żyję! Ta śmierć, o której mówił mój przyjaciel – śmierć dotykająca w każdej sekundzie życia – zapomina tutaj o mnie, pozwala trwać w oderwaniu od niej.

Ścieżka, a właściwie śniegowe pasmo, które usadowiło się na jej miejscu, zaczyna wznosić się i oddalać od niewidocznego stawu, gubiąc go we mgle zamieci. Nie chce już iść dalej. Nie widzę sensu w utopieniu się w śniegowej bieli. Kiedy się zatrzymuję, czuję znowu chłód, który w obliczu spotkania z duchem gdzieś uleciał.

Wyjmuję pospiesznie z plecaka termos i zgrabiętymi od mrozu dłońmi nalewam do kubka parującą ciecz. Ta odrobina ciepła w obliczu oceanu lodu jest niczym ogień w ciemności nocy. Kiedy przelękam herbatę, dzieje się ze mną coś tak dziwnego, że nie znajduję w pamięci nic, co mógłbym z tym uczuciem porównać. Coś jak cud życia w nieskończoności martwego kosmosu. Już choćby dla tego odczucia warto było przyjechać w góry. Już choćby dla niego warto było narazić się wszystkim moją ucieczką i zaniedbaniem. Wraz z herbatą wpływa we mnie spokój, spokój docierający aż po końce palców – końce galaktyk.

– Znalazłeś? – słyszę znajomy głos.

– To ty, Leszku?

– To ja. Idę za tobą przez cały czas. Nie chciałem tylko przeszkadzać w myśleniu.

– To myślenie było ważne dla mnie.

– Wiem. Teraz wiem, że znalazłeś spokój.

– Znalazłem.

– Trzymaj go więc i pilnuj, aby nie uciekł.

– To trudne.

– Powiem więcej: to jest niemożliwe.

– Więc po co mam go pilnować?

– Owo pilnowanie jest czymś, dla czego warto żyć i... umierać.

– Nigdy nie pomyślałem, że spokój może być sensem życia.

– Życia i śmierci.

– Śmierci – tak. To wydaje się oczywiste.

– Nie, to nie jest oczywiste. Ty znasz śmierć tylko od jednej strony. Ja ją znam i z tej drugiej, mniej romantycznej. Śmierć, która przychodzi pod kołami rozpędzonego pociągu ma mdły smak krwi. Dźwięczy stukotem kół. Jest tępym uderzeniem masy stali.

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Z młodości.

– Jak to, z młodości?

– Młodość jest wrzeniem. Szuka, jak para, ujścia. Może znaleźć je w miłości, może i w śmierci.

– Ja tego tak nie odczuwam.

– Ty już nie pamiętasz młodości.

– Może.

Wiatr zawył. Zawirowały śniegowe płatki. Zawirowały myśli.

- Wiesz...
- Tak, słucham.
- Rok po twojej śmierci napisałem wiersz o tobie. Nie, o sobie raczej – mówię, próbując znowu wypatrzeć Leszka.
- Pięknie. Chociaż podejrzewam, że nasza rozmowa to dla ciebie też tylko poezja.
- Może tak, a może nie... Ten wiersz wraca do mnie zawsze, kiedy przychodzi rocznica twojej śmierci.

Mija rok
 Spokojnie
 Jakby zwykły był
 I bez skazy
 Mija rok
 Niewidzenia się
 Ze starym przyjacielem
 Mija rok
 pierwszy

- Czwarty czerwca...
- Znam dzień mojej śmierci.
- Kiedy zatem przychodzi każdy kolejny czwarty czerwca, przypominam sobie ten wiersz i zmieniam w nim tylko ten pierwszy rok na rok drugi, trzeci...
- Pamiętaj, że kiedyś zamiast liczby wstawisz słowo: ostatni.
- Wstawię.

Szumi wiatr. Resztką herbaty zamarzyła w kubku. Wytrząsam z niego lód. Pakuję termos do plecaka. Spoglądam na zegarek. Dopiero południe. W południe pierwszego listopada zgubiony jestem w płataninie gór, śniegu, wiatru, myśli i wspomnień. Czuję się tak, jakby miał to być ostatni mój dzień. Ten wyjazd-ucieczka, przysłana w nocy kobieta (jak podarunek przed egzekucją) i rachunek sumienia w rozmowie z Leszkiem. Co więc teraz? Zamarznięcie? Uduszenie się pod lawiną? Nie wiem. Nic nie wiem. Wszystko, co powiedziałem i pomyślałem, nie znaczy naprawdę nic. Równie dobrze mogłem powiedzieć i pomyśleć coś zupełnie innego.

Nie wiem, jakim sposobem znajduję się znowu w miejscu, gdzie rozpocząłem wędrówkę wokół stawu. Tu jeszcze czułem chłód, zmęczenie trudną drogą, czułem napór wiatru. Od kiedy jednak pojawił się mój przewodnik, coś się zmieniło. Świat oddzielony jest przezroczystą zasłoną.

- Dlaczego ciągle myślisz o śmierci? – słyszę znowu głos Leszka.
- Wracam drogą, którą ku Czarnemu Stawowi szedłem. Wiatr, śnieg i ciągle nie czuję zimna.

– Nie wiem, dlaczego. Jej widmo wisi nade mną. Sam przecież niedawno mi to tłumaczyłeś, mówiłeś o moim strachu.

– Mówiłem. Ale nie ma strachu przed śmiercią, kiedy stoi się w jej obliczu.

– Tobie łatwo to mówić. Ty nie żyjesz.

– Tak, masz rację. Kiedy jednak położyłem głowę na zimnej szynie i usłyszałem w niej stukot nadjeżdżającego pociągu, zacząłem płakać. Znosiłem się od płaczu, ryczałem, łkałem. Dopiero kiedy ujrzałem przed sobą wielkie cielsko lokomotywy, spłynął na mnie spokój. Ta lokomotywa, ten stalowy potwór miał twarz kobiety. Nawet wyraźnie widziałem jej piękne oczy. To była moja śmierć. I wtedy właśnie uwierzyłem w nią, a kiedy uwierzyłem, zamieniła się na powrót w zwyczajną zdezelowaną nieco lokomotywę. Teraz mogłem już odejść, przeżyć, śmiać się z mojego aktu desperacji, ale było już na to za późno, zdołałem jedynie unieść głowę i nie zdążyłem nawet wypowiedzieć tak krótkiego przecież słowa: nie. To wszystko. Cała tajemnica. Tajemnica, którą – wiem to doskonale – chciałeś zawsze poznać. Nie, nie zaprzeczaj. Zawsze chciałeś wiedzieć, jaka była ta ostatnia moja chwila. Teraz już wiesz.

„Już wiem”. Nie mogę zaprzeczyć, że chciałem to wiedzieć, ale był to ten rodzaj ciekawości, który jest silniejszy od faktu, iż dotyczy nieszczęścia i cierpienia, a pociąga nas w nim jego egzotyka i świadomość wagi tego, że odnosi się do przeżyć w obliczu ostateczności.

Krótki odcinek, jaki jest jeszcze przede mną, zdaje się nie mieć końca. Znowu coś widzę, mającę. Mam wrażenie, że dopiero wybieram się na dzisiejszą wyprawę. W końcu – być może odbywając po wielokroć tę samą drogę – docieram pod drzwi schroniska.

*

Bałwan. Śniegowy bałwan stoi przed schroniskiem górskim „Murowaniec”. Bałwan to ja.

Na schodach taniec imieniem świętego Wita – po to tylko, aby ze śniegowej czapy się uwolnić.

Ale już cię dostrzegli, już na samotność twoją dybią, bo oto brama się otwiera, a w bramie czaszka goła się pojawia.

– A! To pan, witam, bracie.

– Witam – wyszeptuję z trudem.

– Coś mocniejszego język rozwiąże – śmieje się Mefisto łysy.

Już o niczym innym nie myślę, tylko o owym „czymś mocniejszym”, co na myśli miał człek gładko ogolony, który znika uwodzicielsko, a ja znikam wraz z nim we wnętrzu mrocznym – wnętrzu ciepłym, kuchnią i potem pachnącym, i nutką specyficzną spirytusową również.

I wchodzę, wsuwam się raczej do wnętrza schroniska. W środku ciepło, mroczno i pachnąco. Przy stoliku siedzi żołnierz. Ten sam, który siedział tu wczoraj, a może jakiś inny – równie krótko ostrzyżony. Przy żołnierzu Hania. Przysunięta do blatu, opiera na nim piersi swe ogromne. Przed żołnierzem filiżanka herbaty i dwa pączki. Dalej dwa pączki Hani. Pączki z różanym nadzieniem. Świeże, gorące, słodkie, lukrowane. Jadłem je wczoraj czy nie jadłem? Nie wiem, nadal tego nie wiem. Hania uśmiecha się. Ja uśmiecham się, ale mięśnie twarzy jeszcze nie odtajały, więc może tylko się krzywię, a może jednak uśmiecham.

Przewodnik mój ani nawet nie łypnie na owe wypiętrzenia przesadne, a ja gapię się na nie jak zahipnotyzowany, znowu spekulując, czy to one mnie wczoraj przygniotły swym ciężarem podniecającym, czy to tylko wybujała wyobraźnia położyła je na moim grzesznym ciecie.

Łysy kręci się przy swoim stoliku, do szklanek nalewa coś, co złote, co błyszczący w mdłym świetle słabych schroniskowych żarówek. I mimo że okutany wciąż jestem kurtkami, szalikami, swetrami i całą resztą rynsztunku górskiego, śmiało po szklankę sięgam i duszkiem wypijam jej zwodniczą zawartość, co sprawia, że oddechu długo złapać nie mogę, bo gardło ściska się niebezpiecznie po przełknięciu zdrowej porcji słowackiego spirytusu miodem rozcieńczonego. I w żyłach moich już zamiast lodu ogień zyciodajny, ogień, który łysy Prometeusz mi podarował.

Ogolony uśmiecha się szelmowsko, bo dobrze wie, jakie działanie ma jego specyfik, nie tylko na ciało wpływający, ale i na umysł, bo w jednej chwili nieważne stają się dla mnie poglądy tego człowieka i jego na świat spojrzenie, a istotne zdaje się tylko to, że wspólnie pijemy mocny alkohol.

Na jednym – rzecz jasna – się nie kończy; i na drugim również.

– Gdzie pan w taką pogodą chodził? – pyta ogolony, odstawiając trunek na brzeg stołu.

– Tu i tam – odpowiadam zgodnie z prawdą.

– Po ciemku mógł pan się zgubić.

– Miałem przewodnika – wyjaśniam.

– Pan żartuje.

– Nie, nie żartuje. Prowadził mnie duch; w końcu mamy dzisiaj pierwszego listopada.

Mój towarzysz śmieje się. Śmieje się chyba również z tego powodu, że zawartości butelki musiał posmakować już i przed moim powrotem. Śmieje się głośno, a od jego śmiechu i mój śmiechowy kurek się odkręca, i ja również śmieję się. To rzecz przyjemna – takie wspólne śmiechy.

Dopiero teraz zdejmuję czapkę i kurtkę. Dopiero teraz, śmiejąc się, odnajduję się we wnętrzu schroniska. Zza stolika służbowego patrzy na mnie żołnierz, Hania patrzy i sutki Hani przez materię cienką sweterka też popatrują.

– Czy może zjedzą coś panowie? – pyta w końcu dziewczyna, a w głosie jej znowu brzmi ta nutka nosowa, która już wcześniej na mnie wielkie wrażenie zrobiła.

– Strogonow, Strogonow jak wczoraj!

Hania wstaje i w kuchni znika, a ogolony towarzysz mój szeptem głośnym karci moją chętkę kulinarną.

– Panie, co pan, obiad, w schronisku, za bajońskie sumy. Dzieci głodują, a pan obżerać się będzie. Ja kanapki mam. Niech pan zrezygnuje.

– Głodny jestem – wyjaśniam.

Łysy głową kiwa i milczymy przez przydługą nieco chwilę.

– A gdybym tak – wpadam wreszcie na pomysł – obiad panu zafundował. Pan nalewkę postawił, a ja posiłek panu.

– No, może – towarzysz mój jak wosk mięknie.

– Pójdę, zamówię i dla pana – mówię i nie patrząc na człowieka, podnoszę się.

Śmiało do kuchennych drzwi zmierzam, otwieram je i stoję przed Hanią, która nad garnkiem wielkim się właśnie nachyliła, ledwie swoich krągłości w nim nie zanurzywszy.

Dziewczyna kręci się zgrabnie, talerzyki przestawia, szklaneczki wyciera, to tu, to tam spojrzy, jakby mnie nie było. Wreszcie skokiem jakimś drapieżnym, łapiąc w locie nóż ogromny, przyskakuje i piersią żelazną do ściany przyciska.

– Słuchaj – mówi groźnym głosem, nic dobrego nie wróżącym.

– Słucham – mówię, czując wyraźnie takt pulsu, który niebezpiecznie przyspieszył.

– Słuchaj – powtarza, wpatrując się we mnie – jak piśniesz słoweczko o tej nocy...

– Tak...

– To zabiję!

– Nie powiem nikomu, po grób będę milczał.

– Na pewno?

– Na pewno.

Hania uwalnia mnie od nacisku buforów swoich, nóż odkłada i najspokojniej w świecie do garnków powraca.

– Widzi pan – mówi już spokojnie – widzisz, tam w sali żołnierz siedzi.

– Siedzi – potwierdzam odkrywczco.

– To mój narzeczony. Dobry chłopak, robotny.

– Aha.

– Kocham go, rozumiesz?

Raczej nie rozumiem, ale kiwam głową przytakująco.

– Ale nie potrafi mnie zaspokoić. Ma wytrysk przedwczesny. Jak mnie z wieczora rozbudzi, spać nie mogę, męczę się, cierpię. A pan, a ty, wczoraj, kiedy po ten plaster przyszedłeś... Czułam, że masz na mnie ochotę; no nie?

– Tak, miałem – odpowiadam szczerze.

Hania śmieje się i w garnku największym bigos zaczyna mieszać, który dosadną, bigosową woń wydaje, a ze mnie napięcie opada i już po chwili na ciało dziewczyny patrzę jak na królestwo swoje.

– Przyjść dzisiaj w nocy? – pyta na koniec Hania obojętnie.

– Koniecznie – odpowiadam pospiesznie i dodaję, że chcę jeszcze jednego Strogonowa zamówić.

– Strogonow nieświeży, z zeszłego tygodnia.

– A ja wczoraj zjadłem ze smakiem...

– I spleśniały.

– No, tak.

– Bigos jest dobry.

– Nie wątpię.

– To podać?

– Tak, dwie porcje – mówię i wycofuję się z kuchni.

Przez salę jadalną idąc, kątem oka na żołnierza patrzę, nad którego głową, na ścianie, poroże jelenia zawieszono, i siadam grzecznie przy stoliku. Żołnierz-narzeczoney patrzy na nas zza swojego stolika. Patrzy, patrzy i dostrzega zapewne, że popijamy. Ulitował się więc mój druh serdeczny i kiwa na chłopaka, któremu dwa razy powtarzać nie trzeba, gdy rzecz picia dotyczy. Przydreptuje na twardych żołnierskich podeszwach i z kieszeni wyciąga mały, aluminiowy kieliszek. Dobry wojak, wyposażony odpowiednio.

Na Pankovcu, na tym pagóreczku,

Jest alejka ładna i cienista...²

Idą bigosy. O dziwo – trzy. Dla żołnierza też. Jeden talerz w jednej ręce, drugi w drugiej, a trzeci pod brodą na krągłościach wspaniałych Hani.

Hania przysiadła się do nas, ale na chwilę krótką tylko. Wypija porcyjkę nalewki, nie krzywi się, nie prychna, jakby to tylko czysta woda była. Na koniec potarga krótką szczecinkę żołnierza, uśmiechnie się do gładko ogolonego, a do mnie oczko puści i westchnie. Tyle jej było, a każdy zadowolony, jakby co najmniej rękę mu w portki włożyła.

Tymczasem bigos chętnie wskakuje na widelce, a z widelców do ust naszych. Jeść i pić. Co może być lepszego w męskim towarzystwie?

Żołnierz rozpięty, pierś cherlawą wytęża. Ogolony, jak rak czerwony, przeżuwa w szczękach swoich silnych kapustę z kiełbasą. Ja, powoli, ale rzetelnie, talerz opróżniam i kolejne porcje z kubeczka też. Dobry miodek, dobry spirytusik słowacki.

² Jaroslav Hašek, *Przygody dobrego wojaka Szwejka podczas wojny światowej*, t. 1, przeł. Paweł Hulka-Laskowski, Warszawa 1998.

To ci wolność, tak przy stole w kompanii serdecznej siedzieć. A tym jest lepiej, im więcej wypitego alkoholu w żyłach pulsuje. Za oknami noc, zawierucha, śnieg i mróz, a tu – gorąco, miło.

Zdejmuję sweter, koszulę rozchełstuję i oddycham głęboko. Ponura sala, pusta i głucha, w przytulne wnętrze się przeistacza, i to nie za pomocą aranżacji odmiennej, ale za pomocą zmiany punktu widzenia – z punktu trzeźwego na nietrzeźwy.

Ale cóż to? Ogolony przyjaciel drugą butelczynę z chlebaka wyciąga. A ja sądziłem, że sprzęt turystyczny tam nosi, zaś ta jedna (pierwsza) flaszka tylko na wypadek niespodziewanego przemarznięcia była. Żołnierz tymczasem trochę się rozruszał – po bigosie i po nalewce – i coś tam o służbie nie druźbie gaduje.

– Trzeba się przeciwstawiać! – krzyczy łysy. – Trzeba walczyć, wyłamywać się!

Podnosimy; ja – kubek, żołnierz kieliszek aluminiowy, a ogolony butelkę, i znowu gorzałeczka do gardziołek płynie. Nasze gardła nienasycone są. Nasze gardła płynu piekącego pragną.

Do sali ostrożnie recepcjonista zagląda, ale jego służba twardsza od służby żołnierza i czmychnął zaraz z powrotem na górę do pustelni swojej. Po nim chuda dziewczyna zagląda, ale nieco śmieiej. Żołnierz kiwa na nią, a ona... podchodzi.

– Napijesz się? – pyta wojak.

– Jednego – śmieje się białogłowa.

Wojak wyjmuje z kieszeni drugi aluminiowy kieliszek i podsuwa go chudzinie. Ta bierze śmiało, ale trochę się jednak tłumaczy:

– Tylko na smak. Połowę.

Mistrz ceremonii połowę w całość przemienia, a dziewczynie oczka lśnią. Lśnią jeszcze bardziej po drugim kieliszku, ale po trzecim mętne się stają. Dookoła również mętna atmosfera panuje, bo ze łbów naszych tak się kurzy, że i świata nie widać. Ale to dobrze. Miałem wiatrem otumanienie na dzisiejszej wycieczce, teraz mam okowitą otumanienie. Jedno i drugie dobre. Jedno i drugie cenne, bo pamięta się o nich długie lata.

– Na Pankovcu, na tym pagóreczku, jest alejka ładna i cienista... – śpiewa żołnierz pioseneczkę. Tę albo inną, ale ja tę słyszę, bo ona we mnie drzemała, a teraz budzi się ze snu.

Recepcjonista znowu wygląda zza węgła. Zły, skwaszony kiwa na chudą dziewczynę. Ona – posłuszna. Tłumaczy coś niezrozumiale i odchodzi. A nam wszystko jedno, nam jej towarzystwo niepotrzebne, mamy przecież kochaneczkę-gorzałeczkę. Już poglądy nie są ważne, wiary, religie, wykształcenia, konieczności i nie-konieczności. Pić! Pić trzeba – to nasz sens jedyny. Kompania nasza przednia. Kompanijka świetna.

Ale żołnierz coś się ociąga, w kieliszku zostawia, głowę zwiesza, mruży niewyraźnie. Wreszcie opada bezwładnie na krzesło. Dla niego już koniec posiedzenia.

– Położyć trzeba żołnierza – stwierdzam.

- Trzeba.
- Ale gdzie?
- No, właśnie.

Jak na zawołanie zjawia się chuda dziewczyna z pękiem kluczy w ręku.

- Od Hani wzięłam klucze do pokoju z apteczką. Tam jest łóżko - mówi dziwnie trzeźwo, chociaż oczka mętne ma nadal.

- Tak, jest tam leżanka - przypominam sobie.

I wstaję, ale odnóża moje nie są tak skore do działania jak myśl moja.

Trzy pary nóg, choć chybliwych, to jednak wystarczająco wiele, by zataszczyć pijanego wojaka do pokoiku. Gdy ciągniemy go przez salę - zawadzając o stoły i krzesła, które z hukiem padają na podłogę - żołnierz głowę nagle unosi i krzyczy na całe gardło:

- Na Białogród! Na Białogród!

Głowa zaraz mu jednak opada i, mimo niewygodnej pozycji, rozlega się donośne chrapanie.

Kiedy wracamy, słyhać ciągle to chrapanie. Chrapanie wspaniałe, pełne zwrotów nieoczekiwanych, zmian tonacji i dźwięczących pięknie alikwotów. Ot, muzyka pijacka, ot, sztuka prymitywna, ot, radość życia.

Jeszcze jeden kieliszek i kompan mój cichnie, głowę na łokciach opiera i śpi na jawie, oczy mając otwarte. Nie pomagają moje mowy, argumenty przeróżne, szturchańce, złorzeczenia. Wpadł w letarg, w sen kajmana, w stan ten przedziwny, w którym dusza krąży wokół głowy niby motyl czarodziejski.

Nic tu po mnie. Nic tu po mnie. Muszę odejść, dopóki jeszcze nie zmieniałem się jak mój towarzysz w pomnik schizofrenii lub jak żołnierz w kloc drewna, choć kloc chrapiący.

Z trudem wielkim zbieram swoje rzeczy. Kurtki, czapki i szaliki w oczach się dwoją i troją. Niektóre niesfornie upadają na podłogę, ale walczę z nimi i z bezwzględną siłą ciężkości walczę, która je przekornie przyciąga.

Omijając poprzewracane stoły i krzesła, wpadając na inne, wycofuję się i objijając się o ściany docieram w końcu do schodów, które na przeszkodę nie do pokonania mi wyglądają. To istne stopnie piramidy, z których każdy nie na dwadzieścia centymetrów wysoki, a na dwa metry raczej. Ale idę, wciągam się, wnoszę sam siebie.

Gdy na pierwsze piętro jakimś cudem docieram, to jakbym na sto pierwsze piętro dotarł albo i wyżej, bo mokry jestem całkowicie od wysiłku mojego. Niczym była moja dzisiejsza wycieczka w porównaniu z tym wchodzeniem, spacerkiem zwyczajnym była, truchcikiem dziecięcym. Teraz dopiero wykonałem pracę ogromną, teraz dałem z siebie naprawdę wszystko.

W recepcji pusto. Ani recepcjonisty, ani gitary, ale mój klucz - tak potrzebny, tak pożądaný - na ladzie grzecznie leży i na mnie czeka. Łapię klucz i prostą już drogą, ścian

się trzymając, do drzwi pokoju docieram i dostaję po łbie, aż gwiazdy srebrne widzę. To szczotka złośliwie usytuowana, po moim nieuważnym nadeptnięciu, drzewcem w czło-
ło mnie łupnęła, ekspediując człowieka w kosmos gwiazdzisty. Cóż to za duch siarczysty
z tej szczotki, cóż to za duch!

Trafienie kluczem do dziurki (od klucza) to w moim stanie jak szóstka w totka, ale nie położę się przecież pod drzwiami tuż-tuż od celu, jakim łóżko jest moje. Mu-
szę w dziurkę trafić, wtargnąć w nią, wrazić. Dzióbię więc, dzióbię i ciągle chybiam. I opadają w końcu mi ręce, i czuję, że tu, pod drzwiami, kończy się dzisiejsza wycieczka
moja. Ale zupełnie niespodziewanie nadchodzi wybawienie.

– Pomogę, pomogę – mówi chuda dziewczyna, która cudem się przy mnie pojawia i po trzech zaledwie próbach udaje się jej dokonać tego, co dla mnie syzyfową robotą
było.

– Dziękuję – mówię, ale słowo to zamienia się w moich ustach w „dzińkjee” czy
coś w tym rodzaju.

Drzwi otwarte, dziewczyna znika, ściany się trzymam, wchodzę, wpadam i... szczę-
śliwie ląduję na łóżku i natychmiast (czując miękkość posłania pod sobą), bez zbędnych
chwil marzeniom i rojeniom poświęconych, zapadam się w pustkę, studnię bez dna,
nicość i niebyt naraz.

Cześć.

*

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie
Co to będzie, co to będzie?

Ciemno, głucho i tylko w głębi stukot, ale stukot bezdźwięczny.

Wszystko się kołysze, chociaż nic nie widać. Wszystko drga jak galareta. Czarna
galareta.

Mdło, kwaśno; mimo braku ciała, braku żołądka i przełyku nawet.

Dlaczego jest ciemno? Nie gasiłem przecież światła. Usiłuję się poruszyć. Jestem roze-
brany i leżę pod przykryciem. To niemożliwe, abym w czasie snu rozebrał się, przykrył
i zgasił światło.

Odnajduję ręką latarkę. Unoszę przy tym głowę, która boli jak wszyscy diabli. W sła-
bym świetle ukazuje się ład pokoju. Ład, chociaż nieład tu panował.

Na łóżku obok – rzeczy moje równo poskładane. Na wierzchu majtki moje. Roze-
brano mnie więc i z majtek.

Głowę kładę na poduszce. Gaszę latarkę.

Sen, nie-sen. Letarg, otępienie. Łóżko kołysze się nieznacznie. Wewnątrz głowy

druga głowa, mniejsza, która obija się o tę zewnętrzną przy lada poruszeniu. Stuk-puk. Stuk-puk.

Trzeba spać, mimo stuku-puku.

Stuk-puk. Co u licha? Do drzwi ktoś puka.

– Proszę! – wołam, a wołanie echem po czaszce się odbija, jak kotła i czynela uderzenia razem wzięte.

Drzwi odmykanie słyszę. Sapanie słyszę. Krok jeden, drugi. Szurania.

Zapala się światło i wdziera bez pardonu w oczy moje. W drzwiach człowiek stoi. Obcy. Mokry, aż kapie z niego woda. Ubranie jego dziwne – brezentowe, brunatnego koloru.

– Można? – pyta przybysz.

– Proszę.

Człowiek siada na łóżku. Wokół niego mokra plama.

– Skąd się pan wziął o tej porze?

– Byłem ze znajomymi na Krzyżnem.

– Dzisiaj? – pytam, siadając na łóżku.

Siadanie – przewycięzanie. Kołysze się kajuta. Nie wiem, czy wytrzymam.

– Przy tej pogodzie? To niemożliwe! Ja ledwie po dolinie się pokręciłem.

Przybysz nic nie mówi.

– Czemu pan taki mokry?

– Deszcz ze śniegiem pada tu na dole. Wyżej – tylko śnieg. Mróz.

– A gdzie reszta; ci znajomi?

– Dwójka. Zostali. Chcą tam nocować.

– A pan?

– Tutaj.

– Nie zamarzną w górze?

– Nie wiem, nie mam siły myśleć.

Człowiek rozbiera się. Wszystko mokre. Do suchej nitki przemoczone.

– Ma pan się w co przebrać?

– Mam, dostałem ubranie od recepcjonisty.

Golutki przesiada się na inne posłanie, suche. Siedzimy golutcy obaj. Zmęczeni. On schodzeniem z Krzyżnego, ja – wieczornym pijaństwem.

Przedłuża się ta chwila, bo moje myślenie, moje kojarzenie – ułomne. Przeszkadza mi kołysanie nieustanne; kajuta statku, pokład samolotu.

– Nie – mówi przybysz.

– Co, nie? – pytam z pewnym opóźnieniem.

– Nie można ich tam zostawić w taką pogodę.

– Nie można.

– Trzeba wezwać pogotowie.

Otwierają się drzwi.

– Łączność diabli wzięli! – krzyczy wzburzony recepcjonista, ale, widząc nas gołych, zatrzymuje się w pół kroku.

– Ratować – mówi przybysz.

– Ratować – powtarzam.

– Ratować! – krzyczy łysa głowa wychylająca się zza ramienia recepcjonisty.

Czas wskakuje na tor szybkiej jazdy. Ubieram się, ubiera się człowiek przybyły. Słowa, wraz z wypowiedzeniem sakramentalnego „ratować”, nie są już potrzebne.

W pełnym rynsztunku stajemy w recepcji. Gitara leży w kącie, w drugim kącie stoi blada jak papier chuda dziewczyna i stuka w radiotelefon. Latarki, liny (jak, u licha, posługiwać się liną?) przygotowane są i czekają na stole.

Nie mija pięć minut i otwieramy drzwi schroniska. Ekipa czteroosobowa. Na zewnątrz śnieg z deszczem, wiatr trochę ucichł. Ciemno jakby czarny tusz rozlał się po dolinie.

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie

Co to będzie, co to będzie?

Marsz przez nicość prowadzący. Na czele recepcjonista, potem ja i przybysz, zamyka pochód ogolona głowa. Krok w krok. Na pomoc. Przez ramię mam przewieszoną linę. Dlaczego jest taka ciężka? Alkohol wyparował po stu krokach, po następnych stu umknęły zmęczenie, ociążałość i niechcenie. Rozkaz. Marsz. Wojsko. Wojak śpi w schronisku. Chrapie. Gdzie podziała się Hania? Nie lepiej do Zakopanego po pomoc iść? Ważna każda minuta. Na pomoc. Nie myśleć. Iść.

Ja, człowiek z nizin, w górskiej akcji ratowniczej. Ja, który lat wiele z dala od Tatr żyłem, biegnę teraz przez leśne ostępy na pomoc lekkomyślnym alpinistom.

Recepcjonista-dowódca nas prowadzi, może tylko z ambicji prowadzi, ale prowadzi śmiało, jakby latarki co najmniej jak letnie słońce góry rozjaśniały. On sił musi mieć najwięcej. Przybysz, jeszcze niedawno zmoknięty, zdrożony, ja i łysek – przepici. Ot, grupa silna, ot, kompania elegancka.

Z lasu w końcu wychodzimy, a tu szaruga fatalna nas wita, która sprawia, że w mig jesteśmy mokrzy. Nic to, misja ważniejsza od katarów i płuc zapaleń. Ludzie w potrzebie na Krzyżnem czekają. A na Krzyżne daleko, dalekuśko. Noc czarna, noc straszna, kończy się już zapewne pierwszy listopada, a zaczyna drugi, ale która godzina, nie wiem, bo zegarka zapomniałem założyć, a zegarek zdjął ów duch pomocniczy, który do cna mnie rozebrał.

Coraz trudniej iść, coraz więcej gładów pod nogami. Coraz bardziej ślisko. Śnieg, który nadal pada, nie jest już lepki. Mróz szczypie w policzki. Nasze ubrania

twardnieją, zamieniając się w sztywną, lodowaciejącą zbroję.

Zatrzymujemy się. Gasną latarki, staje się ciemno. Słyszać tylko oddechy, słyszać padający śnieg. Dlaczego nikt nic nie mówi? Może nikogo tu nie ma, może są tylko oddechy w oderwaniu od ciał.

Poprawiam linę, która przywarła do mnie. Chomąto z liny. Koń pociągowy, koń zaprzęgowy. Obowiązek. Koń idzie, bo koniowi każą. Człowiek idzie, bo inny człowiek czeka na jego pomoc. Czy istnieje inny człowiek? Nie wiem. Nie wiem nawet, czy ja istnieję.

Za długo trwa odpoczynek. Myśli moje płaczą się, trafiają w ślepe zaułki. Marsz wyzwolił tyle ciepła, że nie marznę, ale brak marszu to brak rytmu, który tak bardzo jest teraz potrzebny, ponieważ jedynie on może uporządkować chaos goszczący w moim mózgu.

Kaszel. Kaszlnięcia zamiast rozmowy. Kaszlnięcia porozumiewawcze. Kaszlnięcia mówią, że trzeba iść dalej. Ruszamy.

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie

Co to będzie, co to będzie?

– Stać! – woła recepcjonista.

Oświetla latarką jeden z głązów. Nie, to nie jest głąz. To człowiek. Człowiek przyprószoney śniegiem.

Schylamy się, ktoś odgarnia śnieżny całun z leżącego ciała. Twarzą do góry. Powykręcane nienaturalnie ręce, powykręcane nienaturalnie nogi. Martwy przedmiot. Pęknięta głowa. Mózg, zakrzepła krew. Twarz spokojna. Spokojna. Znajoma. Obok – rozbite okulary.

Nachylam się. Patrzę. Przecież to Leszek. Martwy, przejechany przez pociąg. Martwy, roztrzaskany o skały. Wygląda dokładnie tak, jak na policyjnych fotografiach. Fotografie miały wyraźne numery i daty. Śmierć patrzy nieruchomymi, szklistymi oczyma. Dopiero teraz dociera do mnie fakt, że umarł. Po tylu latach jakiejś idiotycznej nadziei, że to, o czym mi mówiono, jest nieprawdą, że zdjęcia były jedynie fotomontażami, że były zdjęciami kogoś podobnego. Po tylu latach widzę martwego przyjaciela. Dlatego nie odwiedzałem jego grobu. Dlatego rozmawiałem z nim, dyskutowałem, bo miałem nadzieję, że – jakimś cudem – żyje. Teraz leży przede mną trup. Sztywny, martwy, w śmierci uspokojony.

Dotykam jego policzka. Dotykam czoła. Nie czuję zimna. Ale ja teraz niewiele czuję.

Sukces. Pierwszy sukces. Człowiek odnaleziony. Martwy, ale odnaleziony. Musimy szukać drugiego. Łysy wskazuje kierunek, w którym mamy iść dalej. Leszek zostanie. Ktoś przyjdzie po niego jutro, i na cmentarz. Jeszcze raz zawiozą go na cmentarz. Cmentarz jest również we mnie. Moje dawne ja ma tam mogiłę; i to niejedną.

Rozkaz, wojsko, marsz. Leszek zamienia się na powrót w głaz, w twardą skałę, w przedmiot, a za chwilę w ciemność. I znowu go nie ma. Teraz już naprawdę.

Po tym pierwszym znalezisku uszło ze mnie powietrze. Idę, ale mam wrażenie, że przewieszona przez moje ramię lina to powróż na szyję.

Ciemność jest teraz inna, rozrzedzona. Nadal błyskają latarki, ale i bez nich byłoby coś widać. Cisza, tylko chrząst kroków. Cisza, tylko świst oddechów. Ucichł wiatr. Idę. Śpię.

– Stać! – krzyczy ponownie recepcjonista.

Świeci na coś latarką. Trup. Nie, to nie trup. W skalnym zagłębieniu ktoś klęczy. Ktoś siedzi z kolanami pod brodą. Błyszczą oczy. Dziewczyna.

– Nie mogłam mu pomóc – szepcze.

Termos. Koc. Herbata. Dziewczyna dygocze. Recepcjonista przytrzymuje kubek.

Dalej bym nie poszedł. Usiadłbym tu jak ona. Zamarzłbym z przyjemnością. Szepty. Lina nie była potrzebna.

Latarki oświetlają twarz. Młodziutka dziewczyna, ładna. Znam ją, a może tylko tak mi się wydaje. Ostatnio każdy, kogo zobaczę, wydaje mi się znajomy. „Nie mogłam mu pomóc” – głos także znajomy.

Dwóch z nas bierze ją pod ramiona. Idziemy. Zatrzymujemy się dopiero przy Leszku. Ona długo patrzy na nieruchome oczy.

– Nie mogłam pomóc – powtarza.

Słowa te zamiast modlitwy wystarczyć muszą.

Mija noc. Idziemy wolno. Latarki bledną, ale zdołają doprowadzić nas do schroniska. W lesie zatrzymujemy się jeszcze. Musimy odpocząć. Teraz ja i przybysz weźmiemy dziewczynę pod rękę. Ale najpierw odpoczynek. Resztką herbaty. Dla wszystkich. Herbata jest słodka. Nie smakuje mi.

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie
Co to będzie, co to będzie?

Nic nie będzie. Uratowany jeden człowiek; dziewczyna. Zabity jeden człowiek; Leszek.

Mija noc.

Dziewczyna jest lekka. Prowadzimy ją ostrożnie, pomaga nam.

– Nie poznałeś mnie? – szepcze mi prosto do ucha.

Głos, głos mojej dawnej sympatii, pierwszej miłości. A może podobny? Może podobny tylko?

Noc okrywa czernią wszystko. Gasną latarki. Czas ulatuje gdzieś w bezduszny kosmos. Nic. Z trudem odczuwam swoje istnienie pozbawione oparcia w materii. Czy

tak wyglądają Pola Elizejskie? Puste, głuche, niewidoczne. Czy tak wygląda tamta strona? W nicości nie ma stron. W nicości jest tylko spokój, aż do czubków palców, aż do krańców galaktyk.

*

Równo, prosto, pachnąco. Leżę przykryty. Wyspany. Za oknem szaro trochę, ale już dzień, i to spokojny.

Posprzątany pokój. Ubranie ułożone. Plecak stoi prosto, na baczność. Ja w piżamie. Piżama pachnąca świeżością. Schronisko „Murowaniec”, pokój numer... nie pamiętam. Dzień drugi listopada rozpoczyna się nad wyraz spokojnie.

Wyspany (jestem). Górskie powietrze działa tak wspaniale na człowieka z nizin.

Wyspany (jestem). W głowie układa się już ostatni dzień wycieczki mojej bez programu. Na dzisiaj jest program, przynajmniej na wieczór. Do domu. Stop. Jest ranek drugiego listopada. Cały dzień przede mną.

Wstaję.

Do drzwi człapię i wychodzę na korytarz. Pustka. Gdzie podziała się szczotka?

Idę do łazienki. Ktoś kąpie się w pierwszej kabinie, zajmuję więc tę drugą i długo celebрую mycie ostatnie w górskiej, kryształowej wodzie.

Wykąpany, wodą ciepłą rozgrzany, wychodzę i wycieram się dokładnie. Tymczasem drugi kąpiący się też skończył i również wychodzi. Już-już odwrócić się zamierzam, aby nie peszyć kogoś nagością swoją, gdy coś patrzeć każe, a ciepło jeszcze większe niż to od wycierania we mnie narasta. Z kabiny nie mężczyzna wyszedł, a kobieta wyszła. Stoimy naprzeciw siebie, zadziwieni, zaskoczeni, onieśmieleni. Ale jakoś przydługo trwa to patrzenie na się, stanowczo zbyt długo, i już po chwili nie wypada wstydliwie się okryć i uciekać, bo dla czego czynić to dopiero po tak długim czasie przypatrywania się sobie. Przede mną dziewczyna chuda, ta z bufetu. Naga, naguśka. A stworzonko to delikatne, z cyczkami malutkimi, z biodrami szczupłymi i nóżkami jak patyczki.

Stoi ona, chudzinka, stoi. Stoję ja, nieboraczek, stoję. Wreszcie słyszę, że mówić zaczyna, ale cicho jakoś, cichuteńko.

– Proszę? – przerywam.

Odchrząkuje, raz i drugi, i już wyraźniej odzywa się:

– W damskiej łazience prysznic zepsuty, to tutaj się kąpię.

Po tym wyjaśnieniu ubranie ze stołeczka podnosi. Majteczki zakłada, stanik przywdziewa i... nie wstydzi się wcale. Tak musiała Ewa wyglądać w rajku, zanim owoc zakazany zerwała. Tak bepcioowo, obojętnie, zwyczajnie.

W pokoju decyduję, że już do niego nie wrócę. Zabieram od razu plecak. Wynoszę się z „Murowańca”.

W recepcji śpiący recepcjonista. Chrząkam, pokaszuję. Kładę głośno klucz na ladzie i dopiero ten dźwięk wyrывa go z drzemki. O mało nie spada na podłogę gitara, ale łapie ją, zarywając przy okazji struny. Dźwięk jest niemiły, dysonujący. Gitara chyba rozstroiła się podczas jego snu.

– Wraca pan? – pyta smutno. Pyta tak, jakbym to nie ja tu stał, tylko ta, która od niego odeszła.

– Wracam. Dom, praca, obowiązki. Muszę.

– A moje obowiązki – tu. Domu brak.

– No – odpowiadam dyplomatycznie. – A jak skończyła się wczorajsza akcja? Czy pogotowie dotarło w końcu?

– Pogotowie?

– Miało zabrać zwłoki i odtransportować dziewczynę.

– Coś panu się chyba śniło.

– To może pan się nie wyspał. Przecież wczoraj szliśmy razem na Krzyżne ratować ludzi.

– Sen – mara, bóg – wiara.

I tyle. Sen. Mój sen albo sen recepcjonisty. Nie mówię nic, bo po co? Nie mówię nic, bo ze mnie wariata robią; albo nie robią. Plecak chwytam, żegnam się i wychodzę, i na dół idę, a kiedy obok pokoiku z apteczką przechodzę, drzwi się otwierają i staje w nich żołnierz w rozpiętym mundurze, ze wzrokiem mętym, włosom, choć krótkim, to rozczochranym.

– Dzień dobry – mówi z trudem.

– Dzień dobry – odpowiadam i już-już zapytać mam o noc ostatnią, o akcję ratowniczą, ale on przecież spał cały czas, nic nie może wiedzieć.

– A gdzie pańska narzeczona, Hania?

– Hania? – skrobie się wojak po głowie. – Moja narzeczona to Zosia. W Kielcach mieszka.

„Zosia w Kielcach” – a to ci historia. A Hania? Czy Hania kłamała? Nic już nie wiem, nic a nic. Z tym „nic a nic” do sali jadalnej się wtaczam i w kącie siadam; oklapły, zrezygnowany, skołowaciały.

Z kuchni wyłania się chuda dziewczyna, której infantylne ciało w łazience poznałem. Siada obok mnie i głupawo się uśmiecha.

– A to ci przygoda w łazience – mówi i szczyrzy zęby.

Śmieję się i ja, i oboje się śmiejemy, bo cóż innego mamy robić.

– W pierwszej chwili pomyślałam – mówi, śmiejąc się nadal – że to recepcjonista; a to pan.

– I to takie śmieszne?

– Tak, bo on chłopców woli.

„Chłopców woli” – to rzeczywiście ciekawostka.

– On z tym łysym, co tu wczoraj był – wyjaśnia szeptem.

– Aha – odpowiadam konfidentycznie.

– Dlatego był taki zły, jak piliście wczoraj wieczorem.

– Aha.

– To ja pana rozebrałam wieczorem. A chciał on, recepcjonista.

– Pani?

– Ja.

– Dziękuję. A gdzie koleżanka? Ta Hania.

– Jaka Hania?

– No ta, z biustem dużym.

– Ja tu sama, tylko z nim, z recepcjonistą.

– Ale Hania, koleżanka!

– Coś przyśniło się panu. Ta noc taka ciężka była. Wiatr. Aż dygotało. Ja też miałam dziwne sny. Że w górach wypadek, że pogotowie. Ale to sen, tylko sen.

I wstaje, i do kuchni idzie.

– Coś do jedzenia przyniosę – mówi, znikając w drzwiach.

Co mam o tym wszystkim myśleć? Sam nie wiem. Rozglądam się głupio po sali. Za oknem śnieg i cisza, na ścianach stare fotografie w kolorze sepii. Tuż nade mną zdjęcie sprzed kilkudziesięciu lat. Stoją ludzie na śniegu, z linami, z czekanami. Wśród nich – przybysz, ten sam, który zmoknięty z Krzyżnego wczoraj przyczłapał. Obok... Hania, dziwnie ubrana, ale po piersiach wydatnych trudno jej nie poznać. I cała tajemnica jak na dłoni. Dzisiaj, drugiego listopada, w Zaduszkach.

Zaduszkowo brzmi piosenka, która nieśmiało zagrała w kuchni.

– W szczerym polu biały krzyż nie pamięta już, kto pod nim śpiii...

Wtóruje chuda dziewczyna, pochlipując chyba, ale za czym pochlipuje, ale za kim? Może za nieżyjącym już od lat piosenkarzem, a może tylko tak, ze smutności piosenki. Do chlipania jakby drugie chlipanie dołączyło, jakby Hani głosem, ale Hania istnieje przecież tylko na starej fotografii nade mną wiszącej. I albo jest bardzo, bardzo stara, albo jej już nie ma. Alternatywa to niepiękna.

Chudzinka przynosi jajecznicę polaną łzami, które uroniła przy smutnej piosence. Nic już nie mówi. Milczy. Milczy i ja. Milczy mój apetyt, który tak wspaniałe chwile przez ostatnie dni przeżywał.

Ćpam jajecznicę, suchym chlebem przygryzam i na pustkę patrzę. Nikt dzisiaj tu nie dowędrował, a jak dowędruje, to mnie nie będzie już w schronisku.

Kończy się jajecznica, chleb się kończy i herbata w szklance również się kończy. Mógłbym już iść, zostawić to wymarłe schronisko, ale jeszcze tego nie robię. Muszę zapamiętać ten nastrój, muszę dokładnie w pamięci go zapisać. Dzisiaj jest

on smutnym doświadczeniem, ale za tydzień, za miesiąc, za rok będzie tęsknotą moją, azylem moim.

Skończyła się jajecznica, chleb się skończył i herbata również się skończyła. Mogę już iść i zostawić to wymarłe schronisko. W kuchni cisza. We mnie cisza.

Idę.

KONIEC



Henryk Tomaszewski, sztuka Georga Büchnera *Woyzeck* (czyt. s. 156)



Harald Kreutzberg, sztuka *Alleluja* (czyt. s. 156)

Maki czarne, fiołki czerwone

Jeśli wiarą nazwać przyjęcie uporządkowanych, konkretnych tez na temat *sacrum* oraz, że zostały objawione w nadprzyrodzony sposób, to wiara przedstawi się jako brutalna bariera postawiona sakralnemu przeżyciu. Bariera, a co więcej detonator, także w aspekcie moralnym. Demoluje gotowość przyjęcia świętości. Zresztą wiemy o tym. Chcąc oddać szacunek własnemu olśnieniu Niepojętym, wołamy odruchowo: „to nie do wiary”, albo: „to niewiary-godne”; drugie z tych wyrażeń, kładąc cichy akcent na godziwość, upomina, iż z wiarą zbliżać się tu nie godzi. Wiara nie jest sposobnym instrumentem przy kontakcie z Niepojętym.

Wiara skazi wydarzenie, jakie w teologii określono terminem „prawda objawiona”. Pokala je, ponieważ prawdziwość nie jest czymś biernym, substancjalnym, co by można sobie przejmować pincetą z cudzej duchowej tkanki. Właśnie: tkanka – tkanie, nitka po nitce. Suplą się, zachodzą na siebie. Równie rzeczywiste, integralne ze sobą: prawda i tkanka. Deseń podobny do wysłużonej mapy pełnej pozacieranych miejsc. Utkał te wydarzenia, te białe plamy, a może światła duszy, inny rodzaj kontaktu z Niepojętym, w innych okolicznościach i u ludzi będących w innym stanie psychiki.

Prawda ma psychikę. Może o sobie powiedzieć: Jam jest prawdą.

I jest jak biała plama na mapie psychiki człowieka, w tej bieli podobna do hostii.

Kontakt z Niepojętym nie podlega stabilnym regulacjom – ponieważ jest do żywego dynamiczny. Reguły tworzą się wciąż i wciąż w trakcie burzliwego procesu, jak w fizyce. O treści prawdy przesądza stan wewnętrzny tak przekaziciela, jak odbiorcy; w religiach pierwotnych obie sytuacje, i nadawcy, i odbiorcy, osadzano w całościowym egzystencjalnym uwikłaniu. I tym samym wymykały się odruchowi ich przejrzystego klasyfikowania. Na poziomie słów trwała, w samej rzeczy, taneczna jakaś jednoczesność oznajmienia tego, co tragiczne, z odkrywaniem kresu tragiczności. Jeśli wyobrazić sobie wykres natężania się tragiczności, to na osi czasu (czyli przemian wszystkiego we wszystko) krzywa owa nie tyle urywa się, co raczej odgina, napotkawszy własną asymptotę. W sercu ludzkim gorycz wtedy zamienia się w ciekawość, a ciekawość w harmonijne współlistnienie. Krzywdą, punkt wyjścia tragedii, doprowadza do nieprzewidywalnego horyzontu. Taka właśnie sekwencja zdarzeń prowadzi ścieżką mitu o Kainie i Ablu. Kain zabił Abła, opuścił następnie krainę Adama i Ewy, podążył, gdzie oczy poniosą i – gdzieś na wschód od Edenu – wznosił miasto Erech, nazwane tak jak jego

syn; w tym to punkcie otwiera się kwestia odnalezienia przezeń szczęścia (jeśli taka ewentualność da się pogodzić z metafizyką miasta). Zresztą pytanie o szczęście jest późne. Wczesne filozofie zdają się je skrętnie pomijać, może jako podstępłą zasadzkę. Tatariewicz w pracy *O szczęściu* wziął za motto grecką maksymę, że „Wystarczy może, jeśli opracowanie naszego przedmiotu osiągnie ten stopień jasności, na jaki przedmiot ten pozwala; nie we wszystkich bowiem wywodach trzeba szukać tego samego stopnia ściśłości” – dał wyraz uznania tak dla ogromnej wagi, jak i zupełnej nieważkości tego, jak szczęście rozumiemy, czy też jak jeszcze w przyszłości będziemy je rozumieć. Może jako tunel wyrębany w litym bloku okrutnego wszechświata? Tunel, w którym z trzepotem będą się odmykać i zatrząskiwac jakieś drzwi, bramki, furtki, aż myśl od tego zmętnieje? Filozofie wschodnie wolą separować szczęście od uwikłania w świat. Kain uwikłał się w świat, nadto w jego formule zurbanizowanej, bez porównania intensywniej więc niż Adam i Ewa w świat wypchnięci, owszem, ale w świat osadzony na Bogu, a nie na społeczeństwie. Świat nie-miejski, nie-Kainowy, ma architekturę zgoła inną.

I jeszcze jeden niuans – miasto, coś wyodrębnionego z kosmosu, coś opatrywanego imieniem, aspirujące do rangi zapowiedzianego znakami z nieba mikrokosmosu (uprawnione, aby oddawać za nie życie oraz aby w zastępstwie bogów wymierzało ono kary przestępcom, identyfikujące nas, ludzi, dodatkiem siebie do imienia, jak np. Tales z Miletu, Klemens Aleksandryjski, Jan z Gdańska), posiada też aspekt piekielny, bo pozaświatowy, wręcz pozakosmiczny. Czy wolno więc składać w mieście przysięgę? Eneasz pytał tak Dydonę w Hadesie. Miasto tedy to „rodzaj” Hadesu, otchłani, piekła. Z perspektywy wiary każde wyznanie *credo* równa się złożeniu przysięgi, że „tak właśnie jest”; z perspektywy podświadomości obrastanie sanktuariów w miasta, a miast zaopatrywanie w ośrodki kościelne, to nic innego jak splot *sacrum* z niemi Hadesu, przeplatanie w dławiący sznur; łaciński wyraz *religio* znaczy „więzy”.

Wiarę warto odróżnić od wierzeń. Wierzenia to zobrazowania, jakimi notowano przeświadczenia wewnętrzne (źródłosłów w grece upomina, że zawsze, ocalając od zapomnienia, konstytuujemy prawdę – prawdy „nie da się zapomnieć”), potwierdzane na gruncie empirii sakralnej, ta zaś pozostaje w znacznym stopniu wspólna u członków niewielkich społeczności, gdy pielęgnują swoją pamięć dziejową. Nawet bowiem jeśli mieszkają w rozproszeniu, np. na wysepkach (są tam rybakami i uprawiają każdy własny zagon), łączy ich podobne nastawienie do środowiska, z porami roku włącznie. Można to nazwać zmysłową wspólnotą, tak zmysłową, że rozpoznawane faktyczności transponują się na wydawanie analogicznych dźwięków, czyli mowę. Poszczególni członkowie przejmują tradycję ojców ukorzenioną w żywiołowości środowiska. Szkieletem i ramą ich tradycji są nie tyle normy, prawidła, sentencje, kalendarz, chronometr czy pisma, ile, w rzeczy samej, wiatr gorący albo lodowaty. Gwiazdy nocą, prądy, powódzie, pływy, spotkania z fauną, zapachy morza, siana, ryb, dartego pierza, owczej zagrody,

dotyk żelaza i drewna, odgłosy ptaków i zwierząt, różne stosownie do chwili. Smaki podobnych potraw. Potrawy świąteczne mogły stać się rytuałem po to, aby jeszcze bardziej zbliżyć zmysłową percepcję członków danej grupy. Pożywienie to psychoalchemia. Większość populacji podobnie się też gimnastykuje – wyspiarze zachowując równowagę na łodzi. W łowieckich społecznościach większość osób umie się poruszać bezszelestnie.

Chodzi mi o same te stany ciała i umysłu. Pewniki oraz aksjomaty tkwią w strukturze sytuacji. A zatem istnieje granica dopuszczalnego wychylenia się za burtę, granica zbliżenia do wilka, do pszczoł. Są rośliny zakazane i pożywne. Biały grzyb eliminuje. Grzyb halucynogeny skąże na omylne decyzje podczas prac koniecznych do przetrwania: rąbiąc pniak na ognisko, możemy się paskudnie skaleczyć. Zarazem jednak „stan grzyba” otwiera możliwości przetwarzania ingredientów kulturowych w jakieś nowe porządki.

Po temu niezbędny jest dialog w sensie, jaki zaproponował Michaił Bachtin, a podchwycił Michael Carrithers: mamy mianowicie przed sobą izbę, gdzie milczy dwóch mężczyzn. Na ścianie kalendarz z datą 5 maja, za oknem śnieg. Wreszcie jeden z mężczyzn mówi: „Tak”; drugi nic. Jak objaśniał Bachtin, przemawia tu kontekst pozasłowny, zderzenie pory wiosennej ze śnieżycą. Obaj ci mężczyźni widzą kalendarz, okno oraz... kontrast, obaj wyczekiwali ciepłych dni, obaj są bardzo niezadowoleni – „wspólnie wiedzą», »jednomyślnie wartościują«” i właśnie od tego „bezpośrednio **zależy** wypowiedź”¹ – ponieważ pogoda odsuwa od czegoś, za co chcieli się wziąć, i ponieważ obaj przewidują opłakane następstwa opóźnienia się z tymi czynnościami.

Spóźnienie o przewidywalnych zgubnych skutkach może dotyczyć sfery sakralnej. Oto bowiem katolik ma wypowiadać się w okresie wielkanocnym – widzi śnieżną zamieć, stwierdza, że nie da się przejść z chałupy do stodoły, założymy, w kwietniową wielkanocną niedzielę. Anomalia pogodowa wywołuje anomalię właśnie w **tym czasie** moralnego stanu u człowieka niemogącego się zbyć brzemienia grzechów i wzmocnić Komunią. Trwa on jednak pod właśnie tym brzemieniem, nieumocniony i – zauważmy – przychodzi mu wybrać, czy samemu w odciętym od świata gospodarstwie dopełni świętej powinności, a zatem oczyści się i wzmocni, czy uzna, że czas rytuału to tylko, no, koncepcja, być może zaczerpnięta z żydowskich obyczajów (i doświadczeń, opisanych w Biblii jako na ogół godne pożałowania), da się tedy odbyć wszystko kiedy indziej. Termin z kościelnego przykazania „nie pasuje” do krainy dzikich, samowolnych zjawisk natury; on pasuje do ustabilizowanego życia, najlepiej w mieście, w klimacie umiarkowanym, apollińskim poniekąd (Apollon łagodził ekstazy świąt Dionizosa), a zatem przechylonym mocno w stronę wytwarzania przedmiotów martwych – martwych jak artefakty oraz technika, rozmiłowanym w kropce nad „i”. Kultura dionizyjska wytwarza efemerydy, ma zupełnie rozkojarzoną interpunkcję.

1 Michael Carrithers, *Dlaczego ludzie mają kultury. Uzasadnienie antropologii i różnorodności społecznej*, przeł. Anna Tanalska-Dulęba, Warszawa 1994, s. 92–93.

Bo w przeciwnym wypadku człowiekowi w zasypanej chacie pozostałaby samobójcza wędrówka do kościoła albo wyrzeczenie się spowiedzi. Te możliwości to, powtórzę, teraz-tu, teraz-tam, tam-potem, w ogóle. Dla upewnienia dodam, że dylemat powyższy był i jest doświadczeniem milionów wiernych na terenach objętych wojną, pustynnieniem, pożarami lasów, reżymem łagrów. I nie chodzi o grzech złamania przykazania Kościoła, ale o fakt, że sakrament przyjęty właśnie teraz zmieni, przeobrazą duszę naprawdę.

Pierwsza lub ostatnia decyzja odmienia stosunek do wiary: uwalnia samostanowienie kapłańskie aż po moc zanegowania wiary; druga i trzecia to relatywizacja rytu albo uznanie religii za kata mogącego nas zabić, nas – mianowicie najbardziej posłusznych. Tak więc w wypadku pierwszym doświadcza się stanu kapłaństwa zakazanego laikom, gdyż nie zostali powołani dotykiem wybranych, do czego sprowadza się namaszczenie krzyżem z jego symboliką Ducha Świętego (choć wyraz „symbol” trafniej by ująć czasownikiem „być”, bo Duch jest przekazywany) przez biskupa, w nieprzerwanej linii ciągnącej się od Apostołów. Moc kapłańska w katolicyzmie jest jak iskra elektryczna, musi pochodzić ze źródła Sensu. W przeciwnym razie jest bez sensu. A teraz na chwilę nazwijmy umownie werbalne, dotykowe, zapachowe i nawet mistyczne elementy tego obrzędu technologią – i przywołajmy jedno jeszcze stwierdzenie Carrithersa: że dla treści kultur od technologii, za pośrednictwem których powstają ich wytwory, istotniejsza jest społeczna postawa wobec nich, co oznacza stosunek do całej tkanki zachowań wiodących ku danej technologii².

Nasz uwięziony w śniegach mężczyzna, kształtowany dotychczas w takiej oczywiście, a nie innej strukturze porozumień z *sacrum*, aby dopełnić ogromnie ważnego przykazania, aby zmieścić się w ramach czasowych, które określa niebo, musi w każdym przypadku przekroczyć *limes* spodziewanych własnych możliwości. Musi podjąć drogę ekstremalnie groźną dla ciała oraz duszy – w imię duszy. Zastąpić prezbitera sobą albo iść, albo przykazanie zmienić w jego, by tak rzec, wymiarze Natury. Dylemat zresztą nieobcy każdemu, kto ratował czy wspierał skazanych na śmierć albo odkładał broń stosownie do przykazania „miłuj nieprzyjacioły swoje”. Można bez końca mnożyć te przykłady. Wróć zatem do technologii wpisanej w każdą czynność, w każdy stan. Tak w wypadku konstrukcji łodzi czy schronienia, jak pozbycia się zmyzy, jest ona najzwyczajniej wiedzą wciąż uwiarytelnianą doświadczeniem. Wystrzegam się nazywać ją gnozą, gdyż wyraz tchnąłby obcością i nabierał zbędnych podtekstów gnostycyzmu. Po prostu – wiedza. Także o win wybaczeniu, o oczyszczeniu z win, o zmartwychwstaniu albo bożym narodzeniu. Dla tragiczków greckich droga ku niej wiedzie przez cierpienie – co nazwijmy po prostu odczuwaniem: cierpieć to czuć. Wiedza dopuszcza zabawę,

2 Michael Carrithers, *op. cit.*, s. 159. Carrithers mówi o „organizacji społecznej, wspierającej daną technologią”; mówi to w kontekście utrwalania ustnie i pisemnie oraz przekazywania wiernym nauk Buddy.

dopuszcza zdumiewającą ekwilibrystykę. Wiedza odróżnia w technologii uświęcania to, co się objawia samoistnie, wręcz jak w biblijnych opowieściach o powołaniu osób w ogóle nienastawionych na głoszenie prorocत्व czy zbawianie przykładowej Niniwy. Poza więc godnością i ambicją. Z chwilą jednak, kiedy odróżnimy samoistne, możemy (wolno nam) z pozostałego materiału wyciągać konsekwencje znaczeniowe. Piżmo tedy, nakładane na ręce wyświęcanych. Pocałunek pokoju składany im przez episkoposa. Na ustach? Na czole – na niewidzialnym trzecim oku? Każde miejsce na całowanym ciele otwiera inne drzwi.

Stajemy w istocie w przedprożu teatru. Teatr pozwala na te gry, na wyiskrzenia, rozświetlenia, jak gdyby ujawniał jakieś palimpsesty zamieszczone na wszystkim, co istnieje, uruchamia je zaś *ad hoc*, nie szcędząc sygnałów, jakie są tylko daniem do zrozumienia, tylko aluzjami do pewników, bynajmniej nie samymi pewnikami – lub też celowo zakłada prześmiewcze maski, tworzy Satiricony ostentacyjnie świeckie lub nużąco niepokojące. Pod jednym kątem oglądana prabogini Tetyda zostaje ukarana zaślubieniem nagiej małpy. Jej oblubieniec, śmiertelnik, naga małpa, jest tragiczny, będzie bowiem opłakiwać śmierć syna. Pod innym wszak kątem zobaczymy te zaślubiny jako pierwszą (to znaczy świętą) agapę bez niezgody. Lub inaczej: z pojawieniem się niezgody miłość, mądrość i samoświadomość wchodzi ze sobą w konflikt – niezgoda wręcza im hierarchizację, chce je aksjologizować. Chwilę wcześniej mądrość, miłość i samoświadomość, a teraz przestają być jednym czymś, co harmonizuje z cudownością weselnej uczty, zatem Erosa. I w rezultacie nie stworzono w świecie greckim żadnej jednej teologii, „lecz istniały nakładające się na siebie nie tylko same kultury – także najprzeróżniejsze syntezy religijne, których się podejmowali reformatorzy, poeci, religijni propagatorzy, z których żadna jednak nie zdołała włączyć pozostałych do danego systemu. Tak więc obok władzy Delf istnieje dionizyjski »szal telestyczny« [związany z inicjacją misteryjną i kultami ekstatycznymi – U.M.B.], który z wolna przejmuje jej domenę, wszelako Apollon z kolei poskramia Dionizosa i wchłania go w siebie, ustanawiając prawa jego kultu oraz łągodząc jego ekstazy”³.

I dodajmy, że skala „percypowania przekazu” w krainie egejskiej urzeczywistniała się jako czynność performatywna, która przenikała każdy poziom publicznego i prywatnego życia jednostek – zasięganie wyroczni, dokonywanie wróżb, podobnie jak składanie ofiar i inne przejawy religijności wszechobecnej. Każdy z wymienionych tu „performensów” stwarzał sposobność do ujżenia/wyrażenia treści przeżycia zupełnie inaczej. Kultura-psychika na to przyzwalała. Poczynając od przyzwolenia na modyfikowanie fabuł mitycznych, i w rezultacie matrycy myślenia, jakie z czasem skutkują modyfikacją form i treści przeżywanymi emocjami. Najprościej to ujmując: uczestnictwo w micie poprzez orgię albo też imaginacyjnie – widza spektaklu, który

3 Paul Ricoeur, *Symbolika zła*, przeł. Stanisław Cichowicz, Maria Ochab, Warszawa 1986, s. 217, przyp. 84.

musi powściągać gesty, opanować chęć włączania się w akcję jako sekundant któregoś z bohaterów.

Chrześcijaństwo zdusiło teatr jako grę potencjalności semantycznych. Zdusiło to prawdziwe ujawnianie palimpsestów. Chrześcijański Eurypides pisałby bowiem o Zmartwychwstaniu lub Golgocie jakieś fabuły równoległe, przeciwbieżne. Tak jak tego faktycznie próbowały apokryfy. Że do Otchłani zstąpił nie Chrystus, bo wszak nie żył na ten czas, ale Matka Boska. Zstąpiła i ujrzała w niej dionizyjską miłość, rozkwitły mirt, jaki zasadził tam Dionizos, inicjując tym wniebowzięcie swojej bożej matki, Semele. A kim był? – w tragediach padała formuła „Kimkolwiek jest”. Co równało się bożej dowolności w wybieraniu sobie imienia. Dionizos? Jego wizerunek podchwycony przez Rubensa zdradza androgyniczność. Grubas zwykle jest podobny do grubaski. Wałkują mu się piersi. Miękkie białe dłonie. Tłusty, rozlany, długowłosy, ma w sobie wręcz coś z ciężarnej, aczkolwiek bez jej słodyczy czy troski o los noszonego w łonie dziecka.

Tu nazwijmy rzecz aż do końca: wiara wyklucza wyobrażenie ciężarnego Chrystusa nawet, gdyby próbować sofizmu, że Kościół (*Ecclesia*), skoro nazwany został Jego emanacją (były wcale niedawne soborowe spory o uznanie Kościoła lub papieża za czwartą Osobę Boską), jest matką wiernych, a więc i Chrystus też nią byłby... Macierzyństwo dopuszcza ciężę. Owszem, wiara wyklucza, niemniej, zdarza się tak czuć aż po pewność objawienia. Aż po pewność naoczności. Aż po dyskrecjonalne upewnianie przez kler, że ta droga zasadniczo nie jest błędna, a tylko wymaga ostrożności. W jakich granicach? Ziemska *Ecclesia* grzeszy, bywa kochanicą Złego. Czyżby Chrystus bywał wtedy kochanicą Złego?

Na mapie duszy biała plama potrafi nagle ściemnieć, rozkwitnąć w czerwone fiołki, czarne maki, potrafi rozbiec się jak oszalałe stado zwierząt białych śmiertelnie i pod ich postaciami też ciemnieć w czerwień i czern. Wtedy nic nie widzimy, a jedynie czujemy. Ukąszenia, ukłucia, rozkosz, nudę. Sami już nie pojedynczy, ale właśnie zamienieni w stado swoich najprawdziwszych tożsamości, swoich „ja”. Każde „ja” uszu ma dwoje, jednym słyszy trąbki i cymbałki, drugim ciszę. Każdym słyszy i czerwień, i czern.

Niebezpieczne małe prozy

Piszę po latach, bez tytułu. Jestem wypełniony słowami, mój wewnętrzny głos przypomina kulę o wielu promieniach, nie ma kierunku, nie posiada celu. *Ani-mus anima*, idę dalej, dzielę istniejące we mnie szeregi myśli na liczby, na coraz to nowe święta. Chyba tak będzie łatwiej, przejść po własnych korytarzach, zamknąć okna, zobaczyć coraz to nowe ściany i zapadnie, zapomnieć o początku drogi. Wszystko jest przede mną, wystarczy zaznaczyć na murze kilka słów, jeden ślad rozpadający się pod dotknięciem dłoni. Jest nas kilku, przypominają o nas zagłębienia z ukrytymi w środku, bezimiennymi ciałami, pancerzem utkanym z tęsknoty. Wyjmuję kolejne elementy mojej budowli, płytki ze stalowej osłony, pręty przypominające metalową kolczugę. Potrafią wydawać dźwięki, rezonanse, mówią cichym głosem, który zamiera pośród ludzi pozbawionych słuchu. Nasze decyzje będą ostateczne, będą przypominać bezpieczną przełącz, przez którą najłatwiej jest przejść na drugą stronę, na szlaki prowadzące do wnętrza mózgu, do krainy wielu wzgórz.

Wspinam się na najwyższą z gór, na szczycie widzę chorągiewki poruszane przez wiatr, mój podpis na skale nie ma znaczenia, chociaż wierzę w literaturę utrwaloną w materiale zdolnym przetrwać imię nadane mi przed narodzeniem. Piszę wolno, smakuję każde słowo, myślę o zakrętach opadających nagle w dół kolejną serpenty-ną wąskich linii lub o widocznej z daleka, rozpisanej ponad drogą chmury. Liczę obecnych, później nieobecnych, liczby najprawdopodobniej nie będą się zgadzać, ponieważ mówimy różnymi językami i na końcu osiągniemy różne wyniki.

Proponuję przekazać siebie w darze, można rozebrać się, można ubrać, obecnie jest już nam wszystko jedno, sztuka ciała osiągnęła ostatnio dobre wyniki. Powtarzamy wszystko wielokrotnie, nie wiedząc, kim jesteśmy, kim jesteś, dlaczego nadal wierzysz w uzdrawiającą moc pożegnania, w szkło z potłuczonych zbyt wcześnie butelek. Czuję, jak powstaje nowy kształt naszego świata, któremu musimy nadać odpowiedni kierunek i siłę. Myślę o przyszłości sklejaney z listów zamkniętych na zawsze, o nieotwartych kopertach, które gdzieś się zapodziały, i nie wiem, kiedy nadejdzie uspokojenie, które musi przyjść, gdyż jest nam to winne, Bóg jest nam to winien, Bóg, który zamknął się w ostatnim pokoju i nie chce z niego wyjść. Wiem, że uderza tam złotym młoteczką o kiwające się monotonnie krzesło i patrzy, jak kołyszą się brudne firanki zawieszane nad pustym tego lata oknem.

Nakleimy swoje postaci na postaciach innych, potem zetrzesz wszystko naskórką, ręce same złożą się do oklasków. Z mojej samotności wybiegają zaprzęgi ciągnięte przez silne zwierzęta. Nie wiem, co to znaczy, być może jesteśmy w niewidocznym teatrze, gdzie rolę matki gra ktoś nieznaną, gdzie deski sceny uginają się pod starą kobietą, która potrafi tylko milczeć. Postępujemy zgodnie ze sobą, wołamy o prawdziwe deszcze, o burze zmysłów, smakujemy odmienne brzmienia – deszcz, burza. Sąsiad obok buduje parkany osłaniające tajemnicze ogrody, czas powrócić do rzeczywistości.

Czy możesz wyobrazić sobie kolejne lata, będą roślinne i mokre, odbijane w lustrach płci i w komentarzach do najnowszych wydarzeń. Postanowiłem grać dalej daną nam trzecią kartą, ja, poeta hazardzista, ulegający ciemnym mocom. Rozbijemy bank, przypomnimy dialog pomiędzy muszlą i perłą, kto z nami zostanie, kto będzie nieutulony w żalu. Nasza niepewna mowa, nasz chwiejny krok w czasach rozumu. Wykorzystamy do końca dni, które nam pozostały, znajdziemy sens w rozbijaniu piękna na płatki masy potrzebnej podczas budowy katedr, na pokrycie ich ścian matowym blaskiem.

Wiesz, że moja legenda zaczęła się wraz z ziarnem piasku przesypanym do wnętrza wielkiej ryby. Bierzymy kamień otoczony morzem i jeden ruch ręki może zniszczyć falowanie powierzchni wody. Liczy się głębia upadku, porosty spalone przy ognisku. Wiem, że dni święte często kaleczą barbarzyńców, zanurzając ich zbyt gwałtownie w czystym kryształ. Zastanawiamy się nad przyczyną pierwszego ornamentu, nad użyciem czerni zamiast koloru. Pamiętam, jak matka przenosiła mnie ponad rzeką. Modliłem się wtedy, aby nie upaść, budowałem subtelne porównania między cedrem a świątynią, które prowadziły nas donikąd. Matka mówiła: przestań już, nie jesteś wybrany, powiedz lepiej, dlaczego rozwijamy się stopniowo jak kwiaty wokół słońca. Nie umiałem odpowiedzieć, budowałem szare jednostajne tło, po którym łatwiej było się nam poruszać, łatwiej odczytywać zatajone przed nami, przenoszone ostrożnie ponad wszystko, niezbadane dotąd treści.

Dzisiaj światło biegło po ziemi, załamywało się na moich powiekach. Nazywamy wrażliwość, przejawskrawienie, dążymy do abstrakcji uchwyconej w pękach gałęzi z kolczastego drzewa. Myślę ponownie o myśleniu, nikt tak nie myśli, wybieram kolejne fazy słów o przedmiotach i przymocowuje je szpilką do podłoża. To nie jest możliwe, dlatego motyle muszą złożyć skrzydła do odlotu, schować się w środku ubrania, które noszą od pewnego czasu, odnaleźć w materii głębokie załamania. Niekiedy dostrzegam studnie wydrążone w tkaninie, łączące przeszłość z teraźniejszością, zbieraczy niezwykłości, wszelkie możliwe kombinacje destrukcji i kreacji. Za nami powstają osiedla pełne bezdomnych samobójców. Nie wiem, jak ich powstrzymać, mówię o tym najbliższemu, ale oni są zajęci nazywaniem najnowszej pory roku, poszukiwaniem jedności z naturą. Patrzą, jak zapada się moje wnętrze, które wszyscy dotąd akceptowali. Dialog połączony ze sceną, scena z dekoratorem,

powstaje obraz podobny do ptaka, kolejna rozmowa prowadzona przez mądre ptaki.

Chciałem napisać dramat ponadczasowy, bezosobowy szept płynący z wysuszonego na trociny drewna. Nic nie będzie tam nadmiernie ostre, nic nie skaleczy, kliny wbite w siebie wzmocnią konstrukcję, zacznie się wielka budowa ze starych wycieraczek, zużytych puszek, gwiazd wydobytych z kubła. Nie chodzi nam o epatowanie, straszenie, ociekanie brudem. Stworzymy jedynie system nieostrych kształtów, rozmytych odpowiedzi, niezbyt dokładnych pytań. Art brut czy coś takiego, co jest modne i dobrze brzmi w katalogach. Rozkładamy karty czerwone czarne, mówią jak zwykle prawdę, trzeba jedynie je dobrze zrozumieć, czeka na nas przecież główna wygrana, pójdziemy do nieba albo jeszcze dalej. Szczęście trzeba rozjaśnić nową podróżą, albo nowymi ludźmi.

Mówimy o wszystkim z kapturem przytulonym do twarzy. Jest nam dobrze dzięki deszczom zgubionym tutaj niedawno przez kogoś. Poezja jest czysta, oczyszczona przez deszcz. Myślę o rzeczach, które utraciły swój sens, nikt o nich nie myśli. Przewracam się na drugi bok, łożko rośnie, jest zawsze razem z nami. Nasz wstyd powszedni jak chleb porusza sznurkami służącymi do ukrywania ciała. Słowa ulegają spiętrzeniu, nie wiem, czy to zauważasz, mieszanień pojęć, poruszenie biodrami, delikatny zawrót głowy. Nasze działania biegną w stronę poszukiwania wypukłych piersi i miękkiego brzucha. Przestajemy rozumieć, dlaczego ściany pękają, obieramy z puchu nienarodzone miłości. Powstaje pustka wypełniana szarymi kulkami, które nigdy nie zakwitną, nie zamienią się w pędy przycinane co roku. Poemat rozkwita samoistnie. Jest dobrze.

Patrę na pomniki, monumenty, które potrafią poruszać się po z góry zaplanowanych granicach. Pochodzę z innego kraju i nie znam miejscowego języka, widzę cokoły wykonane z kory, postaci z brązu otoczone cienką warstwą powietrza. Mędracy mówią o przemijaniu świata, o przetapianiu figur na armaty albo guziki. Nie wykorzystano braku nóg jako symbolu połowiczności. Oburzamy się na ludzkie znieczulenie, na to, że ktoś zdarł z muru ostatnią cegłę wieńczącą budowlę. Prostuję spodnie wymięte na kolanach, nie oznacza to, że klęczałem, poszukuję jak zwykle ukrytych znaczeń, to tylko nogawki wypełniły się ugiętymi pod przyziemnym niebem nogami i wiem, że ktoś niedługo przyjdzie i zapuka do naszych drzwi. Podamy kawę, może zaproszenie na czyjś ślub podarte już i nieaktualne, powstaną nowe poranki, będziemy bardziej ludzcy niż do tej pory, wyjdziemy spoza chmury słów na pełne światła słońce.

Piszemy staranną opowieść ze sfer niebieskich, żółtych, pomarańczowych. Ulubione kolory, które potrafią zbawić rzeczywistość. Nasi goście wiedzą, że niedługo nadejdzie burza dziejów, przypominają poprzez swą bezradność duże dzieci, które łatwo jest skrzywdzić i ukarać. Nakarmimy ich żywicą z drzew ogrodu, nie pozwolimy, aby uciekli przedwcześnie. Duże dzieci często bezradnie gryzą wędzidło, nikt ich nie lubi, ponieważ nie osiągnęły sukcesu, towarzyszą im błękitna czujność nieba i dosadna czerń

ziemi. Idę razem z nimi, wiem, że mogę się skaleczyć i wtedy nikt mi nie pomoże. Krew może wybuchnąć falą ponad tamy i nic jej nie powstrzyma. Przechucie śmierci może nas zgubić. Prostuję ścieżki i pocieszam strapionych. Nie wiem, po co to robię, może liczę na wdzięczność, na kolejne barwy tęczy, na ciekawe życie. Nikt o tym nie wie, nie mogę podzielić się sobą, przypominam zagubioną hostię, pusty kielich, moja ofiara nie chce się dopełnić. Osiągam dzięki temu prawdziwą świętość.

Chodziło nam o pewien stan zaplątania, zawinięcie w materię pozornie pomocną i uległą, chroniąca przed światem grubą warstwą nakładających się na siebie zwojów i pierścieni. Nie można przeciąć jej jednym radykalnym ruchem, trzeba bardzo wolno rozwijać sploty niepewności i nieporozumień, tylko wtedy nagość ludzi jest naprawdę interesująca. Do naszego spektaklu przyjmujemy kilka osób, zawiążemy im oczy i usta, odcięci od świata i słów nie będą mogli nas opuścić ani też wstąpić na wyższe szczeble wtajemniczenia. Będą musieli trwać, nie kontrolując śmiechu i łez, przekonasz ich o słuszności tego stanu pół-życia i pół-oczekiwania, postarasz się, aby zapomnieli, że życie nie może być tylko poszukiwaniem, znajdziesz margines dla spełnienia, na liście zdarte z drzew i przemienione w okręty.

Przeczekaś burzę na morzu, przejdziemy wybrzeże, oddając się falom, wystarczy postawić żagle i odkryjesz wyspy szczęśliwe porośnięte błękitnymi trawami. Olinowanie pięknie u kresu podróży, ale niczego to nie zmieni, ponieważ musimy dotrzeć do celu. Mamy swoje prawa i wiele zasad, które powinny nam pomóc przetrwać jeszcze jeden dzień. Nasza przyszłość pochyla się nad oparami płynącymi ze źródeł, do których przywykliśmy już, gdyż podano nam chleb, wodę i cień uspokojenia. Wokół nas wbito szereg pali umacniających dno, aby się nie zapadło. Wnętrze ziemi jest blisko, a mimo to płyniemy w miejscu do chwili, kiedy fale nie będą już mogły nadążyć za naszym okrętem. Zdobywcy i zwyciężeni będą trzymać w dłoniach ten sam zapach soli rozsypanej pomiędzy palcami. Fantazje młodości odejdą nieostrożnie i skrycie w stronę dalekich latarni i prowizorycznych cum. Nasze sztormy są coraz słabsze i nie potrafią już zmyć do morza zgarbionych światłem i ciemnością latarników. To oni zapisywali cyfry wody i cyfry powietrza w dziennikach podróży, których nigdy nie było. Pionowe morze pozwala nam na przebijanie korytarzy w pozornie jednolitej masie wody. Kilka bitew zostało przerwanych, ponieważ wiosła zastygły w bezmiarze czasu. Przypatruję się temu obojętnie, czekam od dawna na koniec ruchu i na rozpoczęcie ery przenikania w to, co jest nieruchome i nie podlega zmianom.

Obawiam się jedynie, że zwolnione procesy życiowe pozwolą mi na osiągnięcie wieku dojrzałego dopiero za tysiąc lat. Starość nadejdzie wtedy, gdy wszystko wokół stanie się szybsze i nie będę mógł już dłużej uciekać przed kamieniami rzucanymi pod wiatr. Powstanie nowa skala życia, a jej zatrzymanie będzie zależało jedynie od zgody współmieszkańców. My, mistycy, wiemy, że wystarczy zgoda jednego człowieka, aby uzyskać

odpuszczenie grzechów. Przygotujemy katalogi win i dobrych uczynków, a szczęśliwe gromady napełnią wszystkie przesycone melancholią miejsca. Kiedy nadejdzie kres jednego z nas, nikt tego nie zauważy, ponieważ śmierć stanie się niezauważalna dzięki zbliżonemu do plus nieskończoności rozłożeniu jej w czasie. Chwila zniknięcia ostatecznego będzie traktowana jako przejście do innego wymiaru, który stanie się pozornie nieruchomym stanem równowagi pomiędzy wewnętrznym spokojem a osiągniętym niespodziewanie portem. W porcie tym będziemy w stanie poruszyć kolejne nadbrzeża, ziemię, na której stoimy, ptaki wirujące w powietrzu, pogoń za horyzontem. Dalekie lądy przyślą nam orzechy i rzeki pełne ryb, przyłyną też oczy dotknięte ślepotą, całun obciążony kowadłem, by mógł szybciej pograć się w oceanie, łuski opalizujące wewnątrz wodorostów, oddech skrzeli, ikrę przylepioną do glonów, cudowne narodziny.

Pamiętasz o pułapie przerastającym poetę, o granicy, ponad którą jest już tylko lot niespokojnych chmur. Kolejne lata nie nawarstwiają się na siebie, raczej ukazują ograniczenia pierwotnego podłoża. Powstają nowe słoje na nowym pniu, a nam potrzebne są nowe korzenie, symbolika istnienia i trwania, którą kiedyś będziemy mogli przepęłnić zmiennym ruchem powietrza. W czasie pustym przychodzi podmuch wiatru, wypełnia nas przypowieściami o nieuchwytnym stanie doskonałej próżni. Przypominam sobie spadające gałęzie, pojedynek z opadającymi powiekami. Toczymy pojedynki od lat, najpierw wybór broni, później świadomość przegranej i przymykanie oczu, i sny, których nikt nie pragnął. Niedostrzegalny arsenał żrenic, który kiedyś wybuchnie i przemieni nas w rozedrganą magmę doznań.

Stoję pod ścianą, niczym Wielki Kustosz, zbieracz osobliwości. Nade mną etykiety i pieczęcie, nikt nie stara się mnie zrozumieć. Przekształcam historie zaczerpnięte z życia w mgłę, w rozpaczliwe przecieranie zamglonych okularów. Ból przychodzi razem z burzą, szepcesz: wrzos, fiolet, to pomaga, zdejmujesz sztuczne wargi, wymienne myśli, dzisiaj nie mają już one swojej ceny, wystarczy uderzyć, a zniknie siła, której nikt dotąd nie dostrzegał.

Oprowadzam po sobie – tutaj w pamiętnym roku znaleziono złoża złota, w tym miejscu przebywała przez pewien czas tak dzisiaj szeroko znana, tam widoczne są nadal żywe i co najważniejsze wykonane przez słynnego mistrza organy. Specjalny system oczyszczania nie pozwala na zatrucie okolicznych rzek i jezior. Jestem zupełnie zdrowy, serce, wątroba, nerki, możecie przyjechać i poleżeć ze mną w miarę wygodnie, specjalnie uprzywilejowani mogą zadawać pytania, a niektórzy nawet podeptać. Będziemy rozmawiać o wartościach. W czasie rozmowy nad naszymi głowami zostaną zawieszony plandeki chroniące przed deszczem. Nasza magia pojawi się w chwili natchnionej, narodzi się pomiędzy naczyniami zawieszonymi na poręczach Wielkiego Wozu, koła otrą się o siebie kocim ruchem sprężonego ciała, nikt nie będzie układał pieśni o niepogodzie. Oswoimy pierwsze skowronki, nad terenami zdobytej wyobraźni zawsze świeci

słońce i nawet grudy błota błyszczą nowym blaskiem, zyskamy pewność potrzebną podczas startu ku kolejnym tysiącleciom. Jesteśmy przecież wiecznym człowiekiem, marzeniem dawnych poetów, wypełniamy misję daną nam od wszystkich istniejących i nieistniejących bogów.

Ktoś musi nam zapewnić pożywienie i ubrania. Siądziemy naprzeciwko siebie, powiemy wszystkim, że uprząż jest nadal niezbędna, ponieważ potrafi skrócić zbyt rozległy galop. Początkowo być może zapanuje głód, przetrwamy jednak wszelkie przeciwności losu, nauczymy się żywić rosą zabraną z dawnego domu, nasza pamięć przetrwa wszelkie niepowodzenia. Zastąpimy zieleni chlebem, kolce wodą, nic nie zastąpi nam podziemnych nurtów drgających pod czaszką wydobytą z ciała. Nie pozwolimy, aby oplątały nas nadmiernie obce idee, odnajdę wszystkie moje zdania i niezapisane w pamięci obrazy. Wiem, że najłatwiej jest zasnąć obok owadzych poczynań, podczas prób odnalezienia największego ze światów.

Intuicja każe nam odejść od nabrzmiałych wieloma kierunkami skrzyżowań. Ubierzemy się w drogi powrotne, masz wszystko, co potrzebne jest w życiu. Na rusztowaniu pracują ludzie, podają sobie zamiast cegieł cytaty z dzieł dawnych mędrców, wycierają czoła chustą Weroniki. Budujemy labirynt, mieszkańcy jeszcze tego nie wiedzą, nie wiedzą o danej im dawce szczęścia. W skomplikowanym systemie korytarzy istnieją bowiem sale przeznaczone do zabawy. Nasze laski pozostawimy przed drzwiami, aby nie zakłócały świątecznego nastroju. Staliśmy zbyt blisko ognia i niedługo stracimy wzrok, ale dzięki temu będziemy mogli zobaczyć ukryte tajemnice. Nie wiem, jaka jest moja misja, moim obowiązkiem jest jak najwięcej zapamiętać i przechować pamięć jak totem, którego znaczenia zostały zapomniane. Później będę mógł odpocząć i nie pamiętać już niczego.

Wszystko układa się w kalejdoskopy pozornie nowych wzorów chociaż możliwości powtórzenia się tej samej figury jest pewna skończona liczba. Poza mozaikami złożonymi ze szkła i światła trwa walka o skonkretyzowanie. Każdy z odłamków chce przynajmniej raz uczestniczyć w dobrze przemyślanej kompozycji. Układy barwne krążą wokół obracanego w rękach naczynia. Mówimy o sztuce, nadal mówimy o sztuce, nie możemy czekać zbyt długo w poczekalniach wypełnionych naszymi snami, musimy dzisiaj wcześniej przyjść na to spotkanie, zdobyć prawo do istnienia, do nazwiska na wizytówce ozdobionej porcelanowym medalionem. Nazwiemy również ryzyko tworzenia zgromadzone tuż pod bandażem ochraniającym nasze rany. Nie wiemy, czy są prawdziwe, na razie nie bolą, są martwe, mają kształt płótna poruszanego oddechem. Dotykasz ich, lecz nie potrafisz zasklepić, przypominają o akcji, czasie, bohaterze i miejscu, w którym się znajdujemy. Rany nie powinny zniknąć, bohaterowie podniosą się ze sceny i przejdą na stronę publiczności, zniszczymy wszystkie lustra, ponieważ odbijają zbyt wiele realności.

Modelujesz w glinie kolejny Nowy Testament, pismo się zgadza, podobnie jak liczne odpisy i papier wyjęty z ognia. Musimy go odczytać na nowo, najlepiej na schodach wywiedzionych z nieba. Światło przetrwa to przedstawienie, pozostanie tam dłużej od nas. Dialogi nie są potrzebne, wolimy przypowieści, recytujemy wypisy z literatury obok rozmów o pogodzie. Jak wiesz, zawsze coś z góry pada, a z dołu wyrasta, motyle kreślą szary kontur na przekór skrzydłom i porywającym je ptakom. W tle sterta desek przenoszona z kwiatu na kwiat. Rozwijamy jedną z twarzy, jest zwyczajna, przebita kilkoma igłami, przykryta olbrzymią peruką. Nikt nie potrafi odgadnąć, czy jest to kobieta czy mężczyzna. Twarz odkrywana jest przez kogoś z tłumu, odkrywana, to nie znaczy, że naga, raczej zaskoczona sytuacją. Obnażone usta coś mówią, wykrzywiają się, wtedy dajemy na nie pełnię światła, dzięki czemu prawda wypowiedzi może kontrastować z przypominającą kukłę resztą sylwetki.

Dzisiaj idziemy na Stare Miasto, wypełniamy je sobą, jest ciepło i wiemy, że w tym orzechu nie pomieści się już nikt więcej. Włoskie wynalazki nie przyjmują się na naszym gruncie, wokół fosy zbudowano wiele mostów, którymi można przejść na drugą stronę. Jest zwyczajnie, na naszych oczach już tak wiele się zmieniło, a my dążymy uparcie do poznania prawdy. Na pobliskiej strzelnicy słychać strzały, w starych miastach zawsze są strzelnice, tego jednego możemy być pewni. Oglądamy porozwieszane na murze obrazy, abstrakcje z kobietami o strusich tyłkach. Znamy malarza, maluje zawsze to samo, kreska, przerwa, kreska, przerwa i dużo linii. Na szczęście nie drżą nam już ręce uspokojone wódką pitą od rana, tutaj w pobliżu jest spokojna meta. Później na Nowym Mieście zamknijemy się w nowych domach i nikogo nie wpuścimy do środka. Natniesz żółtych kulek, zasadzimy je na balkonach, po roku powstaną z nich olbrzymie kule z pyłu, które być może polecą z nami do nieba. W niebie zaczniemy wszystko od początku, zrobimy porządki, zmielimy chmury na pożywną papkę, będziemy mieć nowe dzieci. Kocham nowe dzieci podobne do mnie i do ciebie. Dzięki nim wiem, że podziemne ulice nie zostały jeszcze odkryte, a my możemy przechodzić tylko na zielonym świetle.

Przypominamy sobie sklepy, kolejki, powroty do domu. Dalej w naszej pamięci jest las wydobyty na powierzchnię podczas jednego z ostatnich lotów. Kiepskie dekoracje pozwalają przeświecać słońcu, które zachodzi zawsze ponad nami, jakby chciało trwać wiecznie na przetartym płótnie i zardzewiałych ramach. Powstaje słodki pępek świata połączony z matką, jej brzuchem, zmiętą pościelą. Powstał przy naszych narodzinach i już nigdy nas nie opuści. To jest nasz środek ciężkości, źródło przeżycia. Ciało faluje coraz bardziej, staje się niebezpieczne i czułe, wykorzystuje wszelkie możliwości, jakie daje odcięcie się od innych. Pomoc, dawniej jeszcze możliwa, zostaje przez nas odrzucona. Tworzymy obrazy, pamiętaj, tworzymy obrazy, zakrywamy kolejne pomieszczenia, aby móc odsłonić następne. Myślę, że zdołamy ograniczyć czas do kilku godzin, do momentu widzenia. Proszę o ustawienie pustych krzeseł w pustej jeszcze sali. Wiem,

że na końcu wyjaśni się szereg zagadek, który z bohaterów umarł, a kto szczęśliwie osiadł na roli. Być może kilku z nich spłonie w stodole, jak to na wojnie, którą toczyliśmy nieustannie. Przeciwnik jest coraz potężniejszy, nasze lata są już policzone.

Współczesne stosy nie wymagają aż tylu ofiar. Ofiary przywdziewają same papierowe stroje i są szczęśliwe, ponieważ dzięki temu osiągną stan łaski i obietnicę życia wiecznego. W tle są autoportrety malowane wyraźnie na życzenie. Wyobrażamy sobie chwilę przed egzekucją, kiedy obojętni siedzimy w ciepłych saniach i możemy w każdej chwili opuścić miejsce straceń. Wystarczy skinąć na woźnicę, a skazaniec pozostanie sam ze swoim ostatnim życzeniem. Ciepło nie wymaga już tak wielkiego ogniska, dlatego patrzymy z daleka, jak dopala się wąski płomień, nieco zawiedzeni skróconym do bólu cierpieniem. Obok kopca z popiołu leżą grudy ziemi, urasta ściana płaczu. Nasz bohater kurczy się przytłoczony swym bohaterstwem, nikt nie potrafi mu wytłumaczyć, że ciężar ten jest wprost proporcjonalny do pośmiertnej sławy.

Niedługo zaczniemy kolejny zabieg na żywej tkance sztuki – krew, poruszanie ustami, pulsujące piersi, ptak ofiarny z rozoranymi piórami, powstawanie z prochu, cuda dziejące się na naszych oczach. Śmierć nie prowadzi już do ciemności i światła w tunelu. Krople drążą skałę, firmament upada z trzaskiem przypominającym rozdieranie papieru. Nie zatrzymamy jego upadku nawet przy pomocy magii, nowych kształtów nosa, wieńców, procesji idących przez naszą ulicę. Jeden dzień, którego nie było, nikt go nie zapamiętał, nikt też na szczęście nie stracił wówczas nadziei. Nasza nadzieja dzieli ludzi na tych, którzy uciekają, i tych, co są w pościgu. Ucieczka przed rzeczywistością prowadzi do zakłętęgo kręgu powtarzanych wyobrażeń, do śmierci słowa, nie przedmiot, i śmierci poezji, nie poety. Kontynuacją marzeń są już tylko inne marzenia. Brak kontaktu z tymi, którzy nigdy nie marzyli, powoduje, że tracimy szansę na dotarcie do kogokolwiek, gdyż przestajemy siebie rozumieć, a zaczynamy siebie wyobrażać.

Wymykają się nam pierwsze słowa, kierunki zamieniają się w różę wiatrów. Ci, którzy mocno trzymają się życia, stają się niewidzialni. Nasze korzenie oplatają korony drzew, mówią o wzruszeniach porannych. Przed nami stoi popielniczka, chociaż od dawna nie palimy, strącamy do niej ostatni popiół, wydobywamy pokłady surowe i szare, potrzebne zimą do posypania zbyt śliskiej drogi, do uszczelnienia dachu. Ponownie wizerunek Feniksa, krzykliwego, masochistycznego ptaka, któremu nieobca jest autoreklama. Niedługo urodzą nam się dzieci, krew zostanie zużyta do celów gospodarczych. Nasze słodkie pisklęta na razie nie wylatują z gniazda. Trzymają się nas kurczowo, chcą tak przetrwać jeszcze kilka najbliższych lat. Może to i dobrze, nie chcemy być zupełnie samotni w tym strasznym świecie, pragniemy napisać arcydzieła ogarniające przeszłość i przyszłość, ponieważ dawne dzieła już nikogo nie zaspokajają.

Na początek kilka codziennych zdarzeń. Komu powiesz, że przeżyłeś je naprawdę, jak udowodnić mieszkanie na plaży, sploty piasku na dłoniach. Młodość ma swoje prawa,

należy tylko je odkryć i opowiedzieć o nich innym. Ich twarze, ich ciężarne ręce, ołów doświadczony pod powiekami. Na wydmach piszemy ciągle te same zdania, próbujemy wprowadzić wewnętrzny rytm, napełniając litery liniami wznoszenia i upadku. Tak widzę poezję, widzę jej szkielet, wnętrzości i naskórek. Widzę jej skomplikowany wzór akcentów, oddechu i milczenia. Wyrazy wybierane ze słowników nabierają ociążałości zapłodnionych samic, niosą w sobie nowe życie, mają pierwszeństwo przed nami, przenikają do wnętrza szklanych form, do drewnianej kołyski. Poszerzamy nasze zmysły, ludzie zarysowani początkowo profilem stają się sylwetkami, a następnie bryłami obejmującymi kolejne wymiary, coraz doskonalszy kształt myśli. Jest pięknie.

Zabijam w sobie to, co powierzchowne, płaską powierzchnię, która kiedyś uleczyła geometrię, ciągle poruszanie się wewnątrz krystalicznego sześcianu. Granice między słowami walczą ze sobą, niosą dawno zapomniane znaczenia, stapiają w muszli dźwięku. Kryję się w coraz większym stopniu za metaforami, może kiedyś one ukryją się poza mną, poza moim ciałem, umysłem, wrażliwością. Będą tam leżeć jak za ścianą zbudowaną przeze mnie niedbale i czule. Lubię to słowo: czułość, pięknie brzmi, jest zmysłowe i mądre. Nad nami aureole przyrośnięte do nieba, brakuje nam nowych świętych, nikt się nie zgłasza, mamy też puste miejsca na wota ofiarne i na słupy dla prawdziwych proroków. Religia przestała istnieć, pozostał Bóg, i bezgłówna modlitwa. Nasz Wszechświat dopiero się zaczyna.

Wyobraź sobie malarstwo, którego jedynym elementem byłyby złote kręgi. Kręgi zachodzące na siebie, trwałe i niezmiennie. Malarstwo, którego bohaterem nie jest człowiek, ale czysta barwa podobna do Słońca. Potrzebne nam było tego wieczoru światło, brak konturów, bezosobowa sylwetka zamknięta w głębi kolejnych korytarzy, w środku pozłoty nałożonej na twarz. Odlatujemy spokojnie, wiemy, że takie światło mogłoby powstać jedynie w paralaksie odbicia, odbłasku ożywiającym martwy metal, w tkance połyskliwego ruchu. Arcydzieła powinny być zawsze dobrze oświetlone, w przeciwnym wypadku nie dostrzeżemy nawet ram, w których zostały zamknięte, ani też nakładanej co roku, nowej warstwy złota.

Ktoś od nas odszedł, najpewniej poszukuje teraz spokoju, wie, że taki stan może trwać wiecznie. Kierujemy w jego stronę taflę jezior, czas przyjmie wszystko, nawet sielskie obrazki z cytryną i srebrną paterą. Wokół nas kwitną jabłonie, technika oleodruku pozwala na wyższe stany świadomości. Kwiecie pachnie, a białe płatki oplatają jelenia i rykowisko i wschód księżycy nad morzem. Przenikamy do wnętrza płóciennej osłony, nasze pszczoły są miodu i wytchnienia pełne.

Każde słowo o sztuce jest dobre, sztuka jest dobra jak chleb, jak seks poranny, jak łyk powietrza. Piszemy, nie odrywając myśli od słów, jesteśmy pisani automatycznie przez słowa, jesteśmy natchnieni w sposób głęboko przemyślany i prosty. Przechodzimy nad tym do porządku dziennego, twarz nadal w pełnym świetle, pełne niezrozumienie

ze strony ludzi, pozwólmy im odpocząć. Nic nie dzieje się w ciszy, dźwięki stwarzają nowego człowieka, jego kręgosłup i wolę przetrwania, atakują wszystkie miękkie części, w których mogłyby ukryć się zmęczenie i rezygnacja. Muzyka ogarnia mięśnie drgające po spełnionej miłości, dzieli widzów na głuchych i wyzwolonych. Wytrwamy tutaj jako nasienie przyszłości, dojdziemy do wibrujących słów, które porwane przez kolejne zwoje mózgu ułożą się w bezsensowny tekst przysięgi składanej przed odbiciem w lustrze.

Fragment tekstu *Niebezpieczne małe prozy* towarzyszącego spotkaniu autorskiemu pod tym samym tytułem, (15.05.2015, mia Art Gallery, Wrocław), opublikowanego jako wydanie kolekcjonerskie przez Fundację Sztuki Współczesnej „All That Art!” w nakładzie stu numerowanych egzemplarzy.



Program sztuki Henryka Tomaszewskiego, *Przyjeżdżam jutro* (czyt. s. 164)

Strażnik

Otworzył oczy. Na godzinę przed świtem świdrujący wnętrzości niepokój wyrywał go zawsze z niespokojnej drzemki. Wokół zalegała bezdźwięczna, nieprzenikniona ciemność. Potarł dłonią twarz. Na ogół nie potrafił sobie przypomnieć, co mu się śniło, teraz też nie próbował cofnąć się poza granicę między snem a jawą, smakował jedynie spływające na niego uczucie ulgi, że zdążył się obudzić. Stopniowo odzyskiwał czucie własnego ciała, które w gęstym mroku zaczynało zaznaczać swą odrębność, wydobywało się powoli z ciemności, jakby dotykały go czyjeś chłodne dłonie. Lubił ten moment odnajdywania siebie, gdy cały świat tonął w mroku, albo raczej jakby nie istniało nic oprócz czarnej pustki, a on miał dopiero wydobyć z niej świat, stwarzając wszystko swym pierwszym gestem. Po omacku odszukał papierosy. Przez chwilę obracał w palcach pudełko z zapalnikami, a potem w skupieniu wyciągnął jedną i potarł główką o draskę. Zapach siarki i rozbłysk światła zlały się w jedno doznanie. Światło zawsze kojarzyło mu się z zapachem siarki, nawet wtedy, gdy była to zapalona żarówka, świeca albo pojawiające się na horyzoncie słońce. Było to dosyć przyjemne uczucie. Trzymał przed sobą zapaloną zapalniczkę, czuł na opuszkach palców lekkie ciepło, płynące od małego, drżącego płomyka, który osłaniał dłońmi, jakby potrzebował on osłony przed napierającą ze wszystkich stron ciemnością.

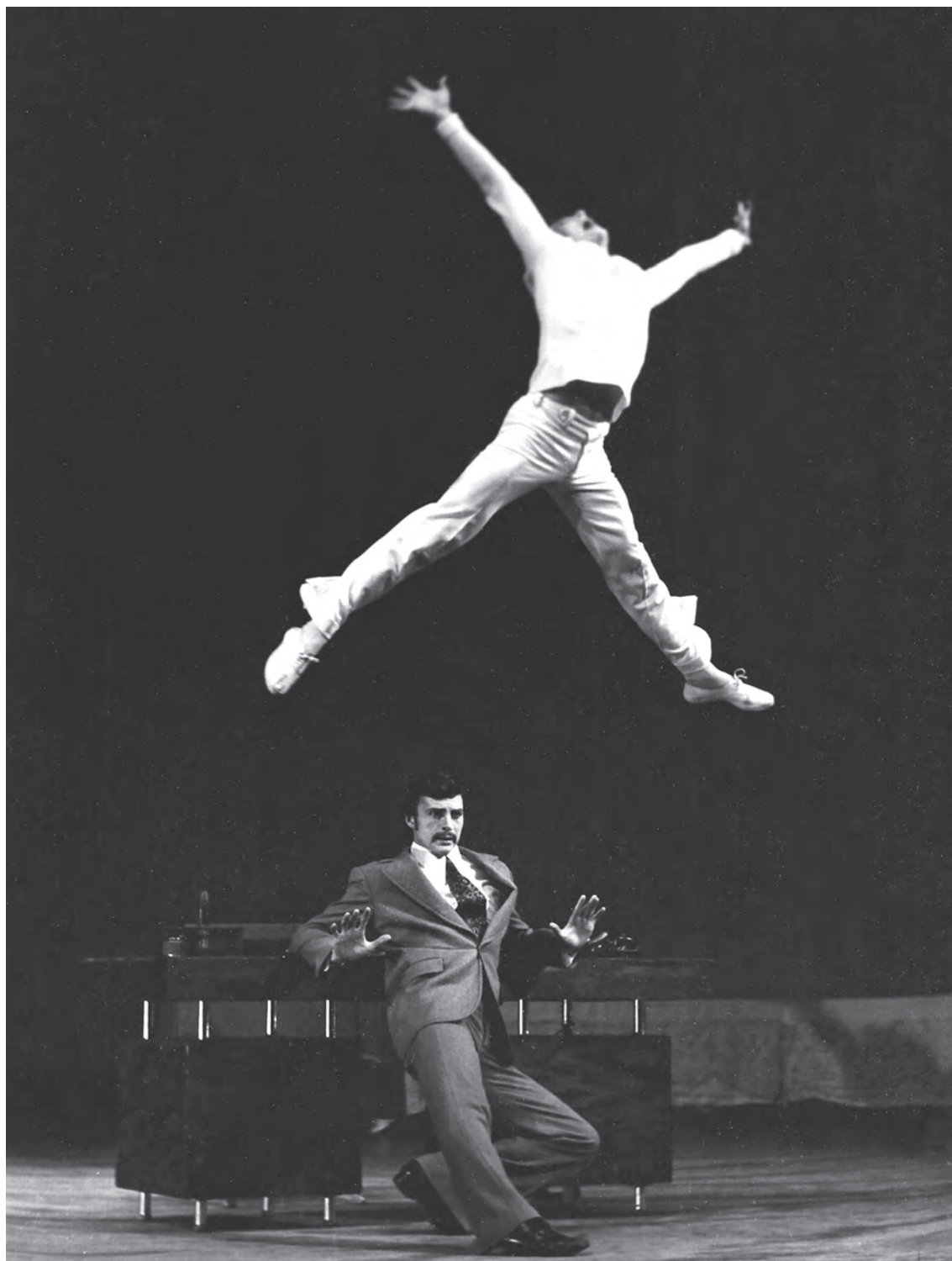
Nie używał zegarka – właściwie w ogóle nie był mu potrzebny. Czas istniał dla niego jedynie w postaci rytmicznych zmian mroku i jasności. Wychodził codziennie o tej samej porze, zanim jeszcze na niebo nad miastem zaczynała wypełzać szarość brzasku. Istotne było tylko to, żeby zdążył dojść do celu i zajął swoje miejsce, nim zacznie się dzień. Zawsze tą samą trasą bez pośpiechu przemierzał puste jeszcze ulice, dźwigając w worku swój skromny ekwipunek. Rzeka wydawała się na niego czekać, wyczuwając, że się zbliża. Już z daleka słyszał jej pozdrowienie, które nauczył się rozpoznawać, taki leciutki, wibrujący ton wśród monotonnego szumu wody, przelewającej się przez próg tuż przed mostem Pomorskim. Przystawał zwykle przy kamiennym przyczółku mostu i wymrukiwał do niej swoje „Witam!”, patrząc, jak się cieszy, porozumiewawczo wirując czapami ledwie widocznej w słabym świetle ulicznych latarni brudnej piany, zbierającej się przy umocnionych granitem brzegach. Po drugiej stronie widać było olbrzymi gmach uniwersytetu, a na prawo, nieco w głębi, majaczyła w ciemności ośmioboczna bryła wierzchołka wieży św. Elżbiety. Wszystko było na swoim miejscu.

Chwilę potem, rzuciwszy pożegnalne spojrzenie na rzekę, zanurzał się w kamienny labirynt uliczek starego miasta. Niezbyt często zdarzało mu się kogoś spotkać. Ot, czasem przemknął jakiś przechodzień, zmierzający pospiesznie w sobie tylko wiadomym kierunku, albo zabłąkany pijaczek, który nie potrafił odnaleźć drogi do domu. Dawniej przywiązywał dużą wagę do tych spotkań. Uważnie przypatrywał się wszystkim mijającym przez siebie ludziom. Nie chodziło wcale o to, że był tak spragniony ich widoku. Przez cały dzień kręciły się w jego pobliżu całe tłumy – do wyboru, do koloru: młodzi i starzy, uśmiechnięci i ponurzy, bogaci i biedni. Rzecz w tym, że wiedział, iż musi być ktoś, kto jest jego nocnym zmiennikiem. Nie miał pojęcia, jak zdołają się rozpoznać, lecz uważał, że jakoś muszą być do siebie podobni. Jak awers i rewers wytartej monety, którą trzymał w kieszeni. Różniły się od siebie, a przecież nie mogły bez siebie istnieć, zrośnięte ze sobą, jak ciemność z jasnością. Najpierw sądził, że to pewna kobieta, która, trzymając w dłoniach wysłużoną miotłę, pojawiała się czasem w bramie przy północnej pierzei rynku. Kobieta była stara, miała szarą, nabrzmiałą twarz i trochę nieprzytomne, rozbiegane oczy. Nie budziła w nim zaufania, więc uznał, że to raczej niemożliwe, by właśnie ona mogła być poszukiwaną przez niego osobą. Od ostatniego lata był prawie pewny, że jego zmiennikiem jest wysoki, chudy mężczyzna, którego spotykał w Przejściu Garncarskim. Ale jak dotąd nie dowiedział się, czy jego podejrzenia były słuszne. Nie mógł przecież podejść i zapytać wprost. Czuł, że w ten sposób naruszone zostałyby zasady. Przecież gdyby ktoś podszedł do niego i zadał mu takie pytanie, nie odważyłby się udzielić mu odpowiedzi. Wiedział, że bez słowa poszedłby dalej swoją drogą, wystrzegając się w przyszłości podobnych sytuacji. Dlatego postanowił, że przestanie się bawić w zgadywanie. Tak było nawet lepiej – nie rozpraszał się niepotrzebnie, a skupienie było mu bardzo potrzebne.

Szedł wąskimi uliczkami, wybierając zawsze tę samą drogę wśród ciemnych zaułków i uśpionych, tchnących wilgocią podwórek. Przy ulicy Więziennej niepokoił go przez pewien czas głęboki wykop. Czuł, jak w dole, pod cienką warstwą ziemi, pulsuje groźny, bezimienny chaos, w każdej chwili gotów znaleźć sobie szczelinę, przez którą mógłby wypełznąć i zalać miasto. Na szczęście teraz ta rana była już zablizniona. Nawet koty, które ściągały tu wcześniej z całej okolicy, znalazły sobie jakieś inne miejsca. Szczególnie lubił moment, gdy wynurzał się z bramy i wychodził na wschodnią pierzeję rynku. Nad szczytami wysokich kamienic niebo zaczynało szarzeć, zapowiadając nadchodzący świt, który niedługo już miał zgasić latarnie rzucające ciepłe światło na wilgotny bruk. Przystawał wtedy na chwilę i wpatrywał się w długą perspektywę szerokiej ulicy, która otwierała się na południowo-wschodnim narożniku rynku i biegła potem aż do odległych granic miasta. Był prawie na miejscu – od szerokich schodów podziemnego przejścia dzieliło go jeszcze najwyżej dwieście metrów. Niespiesznie mijał wystawy sklepów, przez duże szyby zaglądał do wnętrza galerii i już po chwili,

nim dzień zaczął się na dobre, rozkładał na niewygodnych, zimnych stopniach kartony, wysłużone, brudne koce i ustawiał miseczkę. Z kieszeni wyciągał wytartą monetę, znaną kiedyś w trawie obok mostu Pomorskiego, i wkładał ją do miseczki. Taki miał zwyczaj – miseczka nigdy nie powinna być pusta, a poza tym właśnie tego dnia, kiedy ją znalazł, zrozumiał, jakie jest jego przeznaczenie. To wtedy poczuł, że został wybrany. Naczynie w ciągu dnia zapełniało się powoli drobnymi pieniędzmi. Od czasu do czasu opróżniał je, zawsze jednak wkładając z powrotem swoją monetę. Siedząc na schodach, obserwował przechodzących ludzi, którzy, przyzwyczajeni do jego obecności, prawie nie zwracali na niego uwagi, i często się zastanawiał, czy ktoś się domyśla, czemu siedzi zawsze w tym samym miejscu? Czy ci wszyscy krążący po ulicach ludzie domyślają się, jak bardzo kruchą konstrukcją ma ich miasto? Czy ktokolwiek wie, że właśnie on jest jego strażnikiem i że gdyby nie siedział tutaj, swym ciałem jak zwornikiem spinając tę nietrwałą płataninę ulic, domów i mostów, wszystko by się rozpadło? Patrząc na młodą dziewczynę w kusej kurteczce, która ominęła go dużym łukiem, jakby brzydziła się przejść zbyt blisko, poczuł jak nagle spadło na niego uderzenie chaosu.

Rozpoczął się dzień, nocny strażnik musiał właśnie opuścić swe miejsce. Przygarbił się trochę pod przygniatającym go ciężarem i uśmiechnął do siebie. Wiedział, że za chwilę nacisk zelżeje i że tym razem znowu uda mu się wytrwać do zmroku. Poprawił koc rozścielony na szerokim stopniu. Był strażnikiem i czuł się szczęśliwy. Przepęniał go spokój, bez którego trudno by mu pewnie było pilnować każdego dnia tej granicy, na której decydowało się dalsze istnienie owego kawałka świata, balansującego stale na jakże wąskiej krawędzi.



Marian Hutnik i Krzysztof Szwaja w sztuce Henryka Tomaszewskiego *Przyjeżdżam jutro*, 1975, fot. T. Drankowski (czyt. s. 156)

Mann i teatr

Przyzwoity człowiek nie pisze, nie gra na scenie, nie komponuje.

Samotność jest w nas zalążkiem tego, co oryginalne, piękne, choć jeszcze obce i niebezpieczne – samotność jest w nas zalążkiem poezji. Samotność rodzi w nas również coś, co jest zaprzeczeniem poezji; pociąg do perwersji, do tego, co zakazane, do absurdu.

Umieranie jest raczej sprawą tych, którzy pozostają, niż tego, który odchodzi.

Thomas Mann

Wylądowałem w Ho Chi Minh City. Samolot kołował wzdłuż cmentarzyska pozostałych po Amerykanach hangarów. Trwało to niezwykle długo. Ponad stalowymi dachami tych przerażających budowli unosiła się próżnia – a może bardziej precyzyjnie: szarość, wilgoć i zadyszany, znerwicowany upał. Termometr na telewizyjnym ekranie wskazywał temperaturę na zewnątrz – 40 stopni Celsjusza.

Samolot, z którego wnętrza oglądałem ten posiwiwały iluzjon, posuwał się jednostajnie w kierunku nieskończoności (takie przynajmniej miałem wtedy przekonanie). Był to francuski Airbus. Amerykańskie budki dla stalowych ptaków, a między nimi francuski samolot, sunący prawie bezszelestnie po wietnamskiej ziemi? Jakoś mi to wszystko dziwnie brzmiało w tej ciszy, podkreślonej szumem silników i klimatyzacji. Coś we mnie załkało, targnął mną jakiś nieznany mi dotąd strach przed tym światem, który przecież współtworzę z innymi, choćby tylko przez to, że jednak jestem. Nawał refleksji, olbrzymi, przygnębiający zbiór symboli i punktów odniesienia, zamęt – i wszystko to sprowadzone do delikatnego, ledwie słyszalnego szeptu, którego przedłużenie na kilka sekund zaparowało francuską szybę w okrągłym okienku.

– Niezamieszkały cmentarz – usłyszałem i zobaczyłem ten szept mój zawieszony pomiędzy zatroskaną twarzą a ekranem okna, które nieprzerwanie „transmitowało” niemy film o architekturze zagłady i technologii rozwoju cywilizacji wyższych... i wtedy nagle...

– Kto to powiedział? – zapytałem głosem dziecka.

– Chciałbym jeszcze raz od początku... od niemowlęcia, od naiwności, od niewinności... wtedy wszystko z pewnością potoczyłoby się zupełnie inaczej. Na pewno jestem jakoś tam współodpowiedzialny za powstanie tych tam hangarów... jestem odpowiedzialny za przyczyny powstania tych tam hangarów... za cały ten koszmar za tą szybą i wszystkimi innymi szybami świata... z pewnością byłby on nie powstał... ten koszmar byłby na pewno nie powstał, gdybym ja, kiedyś, dawno temu, mając sześć czy siedem lat, nie byłbym ukradł dziadkowi fajki, którą potem zakopałem pod starym orzechem włoskim, lub gdybym był nie naskarżył na brata, którego potem ojciec paskiem niesłusznie złażał. – Uporczywie wciskałem ten swój gorączkowy szept w zaparowaną szybę.

Zakochałem się w swoim dzieciństwie, we własnym wizerunku dziecka... potem widziałem siebie jako atrakcyjnego młodzieńca, którego podziwiano za nieskazitelne maniery, za dobroć, za rozum, za spokój, którym obdziela wszystkich, którym spokoju brak. Przerażony, a może nawet porażony naiwnością własnej refleksji, i obrazem za oknem brnąłem dalej:

– No tak – myśli gromadziły się między moim czołem a taflą szybki francuskiego samolotu – przecież wszystkiemu winien jest *Sługa dwóch panów*, Arlekin, Myszkina, Yorick, którego nie było, bo gdyby chociaż Yorick był, to...

I wtedy przypomniałem sobie, kto powiedział „niezamieszkały cmentarz”.

– No, tak – wykrzyknąłem (z całą pewnością za głośno, bo moja sąsiadka spojrzała na mnie z wyraźnym znakiem zapytania w swych błękitnych oczach) – przecież to z Tomasza Manna, ze *Śmierci w Wenecji*.

Uświadomiłem sobie wtedy, że nigdy przedtem nie zwróciłem szczególnej uwagi na te dwa słowa ukryte w tynku narracji, gdzieś na samym początku opowiadania. Za szybą pojawił się budynek portu lotniczego; czarne hangary oddaliły się w ciszy, a na ich miejscu, w plastikowej ramie okna, zobaczyłem twarze i maski wszystkich znanych mi ludzi i postaci; kolorowe, uśmiechnięte, wyczekujące, groteskowe, smutne, zdziwione... Pojawienie się Wenecji w tym ryżowym, białoszarym świecie – świecie, zranionym przez nas, którzy używają Arlekina i Fausta do usprawiedliwiania naszej kulturowej arogancji – wywołało we mnie jakąś niepoahamowaną potrzebę opowiadania o Wenecji, o śmierci wyobrażonej, o śmierci i o miłości, o młodości, o starości, o potrzebie... o wszystkich potrzebach i pragnieniach, o strachu, o czasie. Tam właśnie podczas tego kołowania francuskiego samolotu na amerykańskich pasach startowych, na stratowanych polach ryżowych... usłyszałem głos Goldoniego i Dantego.

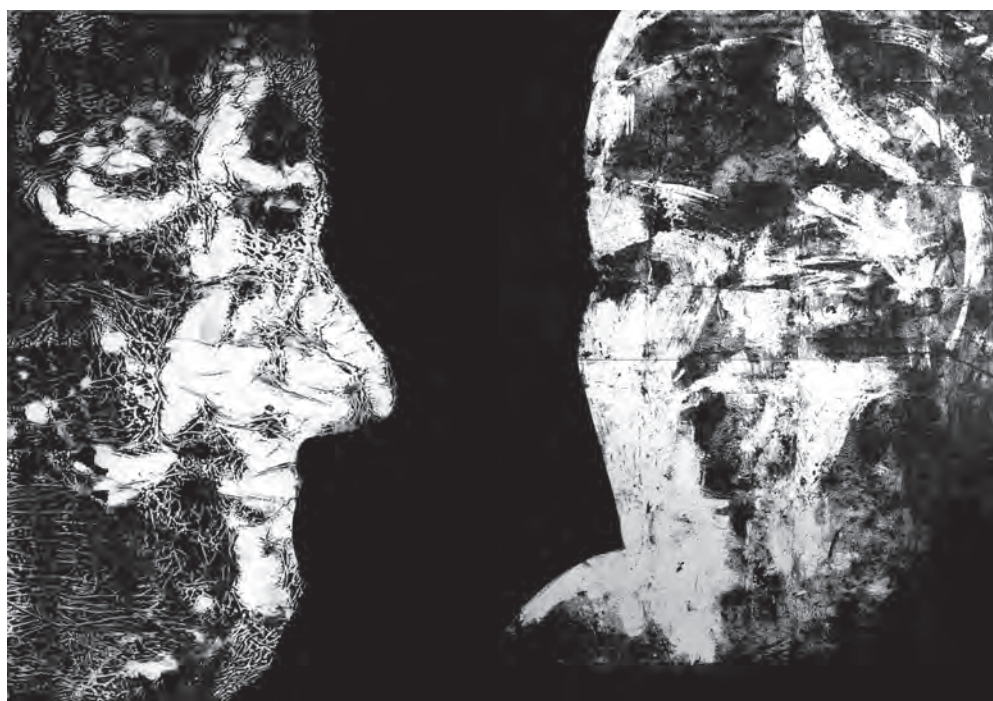
Nie wiem, czy to naprawdę tak było, ale tak to pamiętam i do dzisiaj zadaję sobie to samo pytanie: dlaczego Arlekin i Kolumbina winni są wraz ze mną wszystkich zbrodni popełnionych rękami naszych braci, ojców i dziadków? Wiem, że sobie na to pytanie nigdy nie odpowiem, ale jakoś nie posiadałem jeszcze umiejętności niezadawania go.

W tym, co zapisane powyżej, nie należy doszukiwać się żadnego podtekstu; nie jest to próba zwrócenia uwagi na żadne elementy teatralnej wizji, która zrodziła się z obrazów zapisanych ręką Tomasza Manna; nie ma w tej mojej krótkiej historii nic szczególnego poza tym, że wtedy właśnie, w tym francuskim samolocie na wietnamskiej ziemi zrozumiałem, iż nie wolno mi używać teatru do udzielania porad i odpowiedzi – że teatr powinien zadawać pytania, choćby miał powtarzać te same w kółko, w nieskończoność... pytania najprostsze, formułowane w sposób subtelny i dyskretny, z głębokim szacunkiem dla widza i dla rytuału, za którego jakość obaj (i widz, i teatr) są współodpowiedzialni.

Zabrałem się za realizację Śmierci w Wenecji nie z powodu Tomasza Manna; przyczyną tej mojej kolejnej teatralnej przygody stały się amerykańskie hangary na wietnamskiej ziemi widziane z okien francuskiego samolotu.

To wszystko. Reszta jest spotkaniem.

Hồ Chí Minh, 21.09.2005



Tomasz Pietrek, *Unidentified* z cyklu „Opera za trzy grosze”, 2007



Harald Kreutzberg, fot. M. Goldberg (czyt. s. 156)

Etsi Deus non daretur

(Jak gdyby Boga nie było)

Byla, jest i trwa, każdego dnia – ukryta, przemilczana, wyparta. Obecna w każdym teraz człowieka – Apokalipsa. Każde tu i teraz jest czasem ostatecznym – jest końcem i przed sobą ma zawsze koniec. Nie będzie – nigdy nie ma jeszcze jutra. Przyszłość zawsze obecna jest tylko w odruchu, pragnieniu, lęku, obawie, strachu, grozie, oczekiwaniu, zamiarze, projekcie, prorocztwie, nadziei, wierze, objawieniu – tak, jak tym, co widzę, jest tylko to, co widzę, czyli przy-widzeniem. W każdym teraz jego przeszłością jest tylko ta, co w nim trwa... A śmierć? Śmierć to pojęcie spekulatywne, mitologiczne tchnienie, w którym człowiek nadaje sobie godność i nie zdycha – wyziera z jądra mitu człowieka. Realnością tylko umieranie, zgon i zwłoki.

Krzyż egzystencji

Krzyż, który Jezus dźwigał, na którym został ukrzyżowany, na którym, powierzając go Ojcu, oddał ducha swego (Łk 23, 46; Mk 15, 37) ma absolutne znaczenie dla chrześcijaństwa. W kręgu kultury chrześcijańskiej słowo „krzyż” przed oczyma stawia krucyfiks, figurę przywołującą postać Ukrzyżowanego. Bywa traktowany jako wyznanie, zobowiązanie, deklaracja, tarcza modlitwy, fetysz, obraz, dzieło sztuki, zabytek. W oderwaniu od „Golgoty” działa jako symbol.

Krzyż egzystencji nie jest obiektem ani symbolem, naznacza los każdego człowieka, przenika go, tak jak egzystencja zawieszona jest w nierealności dwu napięć, pomiędzy przeszłością a przyszłością, oraz pomiędzy tym, co ponad, powyżej, a tym, co poniżej, w dole. „Powyżej–poniżej” może znaczyć tyle, co „lepiej–gorzej”. I to przeskok wielki, jakkolwiek bez Transcendencji, bez Upadku, bez bogów. Patos zostaje w formule: to dwie osie, horyzontalna i wertykalna – tnące los na krzyż.

Realny jest tylko punkt, z którego są wyznaczone owe osie napięć, wobec których on wypada-okazuje-się-jest – tu i teraz. Ustanawiane ustanawia ustanawiające, zakładając-postulując punkt inicjujący-początkowy. W tym *petitio principii*: pytanie-prośba o *principium*.

Symbolem krzyża egzystencji mogą być dwie przecinające się „belki”. Górny odcinek krótki: człowiek ku górze, a ledwo. Odcinek dolny długi: w dół przepastnie i łatwo (obrazowo ujmując to mit Syzyfa).

Estetyki geometrii, proporcji, np. pitagorejskie, nie znają krzyża egzystencji, są też achrześcijańskie, a jako przedmiot kultu ochrzczonych antychrześcijańskie. Zadowolnić

deizm mogą, lecz nie wierę w tego Boga, który wkracza w dzieje człowieka i cierpi każdej chwili. W ogóle jakiej estetyce, jakiej filozofii sztuki nie wymyka się krzyż? Przecież nie estetyce przeżyć, bezinteresowności, czystej formy, zaangażowania ani dewocji. To postacie ucieczki.

Świat nie jest światem geometrii – w tej nie ma ani góry, ani dołu, punkt przecięcia osi może przypaść gdziekolwiek, a te są konceptualną konstrukcją matematyczną porządkująca wyobrażenie czystej przestrzeń. Krzyż egzystencji to konstrukcja *humanum*.

Ratio ponad vis

Myśl o opozycji *ratio-vis* ma rozległą tradycję. Rozum przeciwstawiano pożądanemu, namiętnościom, „szaleństwu” poetów...

Rozróżniam dwa porządki, porządek *ratio* oraz porządek *vis*. *Ratio*: rozum, racja, argument, obraz, myśl... Natomiast *vis*: siła, energia, moc, przyczyna-skutek, oddziaływanie... Porządek *ratio* definiuję jako oparty na idei prawdy, tu należą krytyka, samokrytycyzm, sumienie, dyskusja... Nauki takie jak fizyka, chemia, biologia, neurologia, psychologia, psychiatria, socjologia kierują się ku porządkowi *vis*, ku dziedzinom przez nie tam wyodrębnianym, badają właściwe tym układy sił, dociekają prawidłowości właściwych im układom sił. Do porządku *vis* należą instynkty, inklinacje, emocje, ekspresje, przeżycia, olśnienia, należą retoryka, perswazja, reklama, propaganda, spór, dialog – stąd i władza.

Diskusja stanowi postać poszukiwania prawdy. Pojawiają się pytania, tezy, racje. Kto wolny, ten w istocie sam je rozważa. W sobie, w swej duszy, w swoim wnętrzu? W ich przestrzeni, a mianowicie w przestrzeni myśli. Tu nie ma znaczenia, kto wysuwa myśl, kogo to myśl, kto tak myśli – przestajesz utożsamiać się ze swymi myślami. W dyskusji nie ma żadnego znaczenia, kto mówi, ani to, że mówi i jak mówi. Charakter polilogu ma w przenośnym znaczeniu. W przeciwieństwie do dyskusji to dialog ma charakter międzyosobowy, mówiący wpływają na siebie. Jakkolwiek czegoś dotyczy, mowa jest o czymś, o kimś, to w istocie dialog ma charakter *ad personam* (podobnie monolog).

Tezę *Plus ratio quam vis* tłumaczę: „Rozum ponad siłę” – to „ponad” określa pionową oś krzyża egzystencji (w tym znajduję sens tej dewizy UJ).

Kulturę, porządek *ratio* – *humanum* – ustanawia przyjęcie idei prawdy. Jeśli człowiek nie jest czymś i tylko czymś, to właśnie dlatego. To nie przyjęcie jakiejś „prawdy”. Idea prawdy żyje w pytaniu pytań: co jest, jakie jest, w jaki sposób istnieje (pozory rzeczywistości, iluzje, także istnieją). *Humanum* leży po stronie idei prawdy – porządku *ratio*, a wydarza się w odniesieniu do porządku *vis*.

Dewota posiada Prawdę, a poszukiwanie prawdy ma za uznanie, iż „prawda i błąd mają równe prawa”. W ten sposób chrześcijanin nie tylko błądzi, ale grzeszy przeciwko

Duchowi Świętemu, Duchowi Prawdy? Skoro Ten ma być zesłany i doprowadzić do prawdy (J 16, 13). Zaś Ten sam mówił: „Ja jestem prawdą” i „Nadchodzi godzina” – czas ostateczny – „kiedy już nie będę wam mówił w przypowieściach” (J 16, 35). Czas Pantokratora? Jedyńm grzechem, który nie będzie odpuszczony, ma być grzech przeciwko Duchowi Świętemu – objawieniu temu odpowiada myśl ta właśnie, że *humanum* określa przyjęcie idei prawdy.

W ruchu od wyobrażenia do wyobrażenia, a świadectwo prawdzie daje, kto świata, kto istnienia nie bierze na miarę swych wyobrażeń, szuka. Kryterium prawdziwości nie istnieje. Nigdy jeszcze/już nie znalazł, także w tym, co mu dane, jakoby samo. Pewność zamyka, duch *etsi*, „jak gdyby”, ją wyklucza.

Autorytet

Uznać autorytet kogoś lub dzieła może znaczyć tylko tyle: zawierzyć, że pyta o to, co fundamentalne i sięga bliżej podstawowych założeń myśli – jakkolwiek dlatego może się totalnie mylić. Toteż niczego nie rozstrzyga „Bo sam Bóg tak powiedział!”. Zresztą, jak uznać, że to Bóg?

Cóż Bóg, „Dostojewski powiedział!”. Geniusz niesie ze sobą aurę boskości. Podziw dla talentu i geniuszu idzie nawet tak daleko. To „dar boży”, mówią. Dar „łaski Boga”. Jak gdyby nie było geniuszu zła. Jak gdyby nie było dzieł, którym zło jest immanentne – zło w tym elementarnym znaczeniu: przeciw istnieniu. Światli obrońcy wiary, kulturalni katolicy na przykład, znajdują wsparcie w *dicta* Dostojewskiego, i jego Nazwisku. Czym czyni ich wiarę to wsparcie?

Kultura *par excellence* cieszy się immunitetem. Tak, prawda – mówią – cóż, Niemcy, Rosja w swych dziejach nie były wolne od zbrodni, ale duchowa kultura rosyjska, niemiecka... Jak gdyby wielkie dzieła sztuki były enklawą dobra, a pytanie o ich związek ze zbrodnią warty chama.

Przemoc

Groźby zaczęły się w Raju – nad Adamem i Ewą wisi Zakaz, a rozróżnienie dobra i zła okazuje się kłętwą i spadnie na nich, za karę.

Gdzie *ratio*, tam nie rządzi prawo kary i nagrody, klęski lub sukcesu – nie wyłączając przesłanek opartych na wizji Sądu Ostatecznego, Pieła i Nieba.

Siła przekonań czy moc wiary, oczywistość czy jasność – to zjawiska i stany psychiczne, postacie zniewolenia. Mocny argument to ten, który oddziałuje, zmienia czyjąś mentalność, postawę, wpływa na decyzję, wymierzony jest w niego albo trafia do niego, nie zostawia miejsca ani na „Nie”, ani na „Tak” (na *Fiat mihi*). W odczuciach, okrzykach: „Ależ to powalające!”, „To olśniewające”, trafiony wyraża szczęście swego uniesienia.

Podobnie powala cud, a to tych, co mają go za cud. „Błogo-sławieni” ci, co nie widzieli, a uwierzyli. Tylko „małej wiary” potrzebują dowodów... To jednak nie powód, aby cud robił wrażenie...

Podobnie kategoria siły właściwa jest dla estetyki i sztuki przeżyć. Za „boskie” tam uchodzi, co zachwyca, chwytą, uderza, pociąga, wstrząsa, porywa lub kołysze i koi, podoba się – co ma tą moc.

Na skali siły lokują się ambicje każdej awangardy, artystycznej i politycznej (bywa, że chodzą w parze): burzyć, targać, szokować, usuwać, czyścić, formować. Awangardy są barbarzyństwem – zaprzeczeniem kultury, tej bowiem żadna siła nie jest właściwa, ani jako potrzeba piękna, ani jako objawienie...

Kryptoniewolenie. Świadomy zniewolenia wie, że ma pana, a tym samym dystansuje się wobec niego i swego położenia, czyli wyzwala. Szczęśliwy staje się więźniem samego siebie, dobrze mu, dobrze mu ze sobą.

Homo schistos

Absolutny sposób istnienia w biblijnych formułach brzmi „Jestem którym jest” – to „przekład” imienia Boga, które On miał podać Mojżeszowi. Był tożsamy ze sobą samym – nie staje się, nie przemienia, nie przekracza siebie, nie był jakimś, nie będzie jakimś, nie trwa, nie niknie – JEST. *Aeternum*, wieczność, to nie nieskończone trwanie.

Kto nigdy nie pomyślał, że jest, że już jest, że jest tym, kim jest, że jest kimś? A nawet pragnąc być właśnie niczym skała, niczym Bóg? Bezwiednie w ten sposób człowiek myśli się/siebie na podobieństwo kamienia i zamiera na kamień. To czynią z nim ideały bycia sobą, samorealizacji, szczerości... A przecież, jeśli czemuś się dziwić, że jest, i jest, jakie czy też jak jest, to przed wszystkim sobie, swemu ja...

Człowiek nie jest tożsamy ze sobą samym, określa go także to, co o sobie myśli. Człowiek to nie *homo ludens*, *homo laborans*, *homo sapiens*... *Homo* to *homo schistos*, w swej egzystencji rozszczepiony, rozrywany, targany, w pomiędzy... Na krzyż.

Mówię: człowiek istni się i jest istniony. Jest jak gdyby – *etsi*.

Etsi Deus...

ślenie na sposób *etsi*, czyli „jak gdyby”, ma postać hipotezy, domniemania, a także pominięcia, odsunięcia myśli. Pomnaża byty albo nie pomnaża bytów.

Etsi Deus non daretur, „Jak gdyby nie było Boga” bądź „Nawet gdyby nie było Boga”. To myśl przewrotna: jak gdyby nie, ale skądinąd tak.

Zapętlenie wynajduję w wyznaniu: „Wierzyć będę w Boga, nawet gdyby Go nie było”.

Formuła „Jak gdyby nie było Boga” łączy się z pojęciem *Deus absconditus*, Boga ukrytego. Skoro nic o nim nie wiemy, pozostaje nam żyć, jak gdyby Go nie było. Natomiast pragnący wierzyć rzecz tak ujmują: On jest, tylko nic o Nim nie wiemy.

Bóg bożków

Kto coś wie o Bogu? O czym, o jakim Bogu mówią teiści, ateiści bądź etsiści? Izmy te, postawy owe, określają się w wyobrazeniach Boga, wyobrazeniach im właściwych.

Którykolwiek Bóg spośród Bogów ludzkich wierzeń, tych, jakim Go widzą, słyszą, czytają, nie jest bożkiem tylko? Idolem. Jak rozpoznać to „zwierciadło” Listu do Koryntian, w którym jakoby widzieć może Go człowiek? Obiecuje, że zobaczymy Go, a przecież nawet wówczas, gdy patrzę w twarz, a nie na twarz drugiego, nie poznaję go (poznanie List rezerwuje dla Boga). Rzesze widziały Jezusa, kto widział Chrystusa („Pomazańca” Bożego). Kto był „maluczkiem”? A Bóg tych, którzy czują dobrze, że to On sam w ich oczach, w nich samych zamieszkał – pycha. A Bóg łapiących Pismo za słowa – naiwność.

Wiara w Boga nic nie znaczy – w jakiego Boga? Bóg deistów stworzył świat i sobie poszedł – jakby Go nie było. Wierzyć w tego Boga – tyle, co nie móc sobie wyobrazić tego, że świat sam ze siebie... Że znikąd... Skądś musi nawet Bóg wyobrażeń *creatio ex nihilo*. *Nihilum*, nicość, pustka – to też coś. Otchłań to kosmos.

Autentyczna wiara żyje pytaniem o Boga, a nie swoim pojęciem Boga.

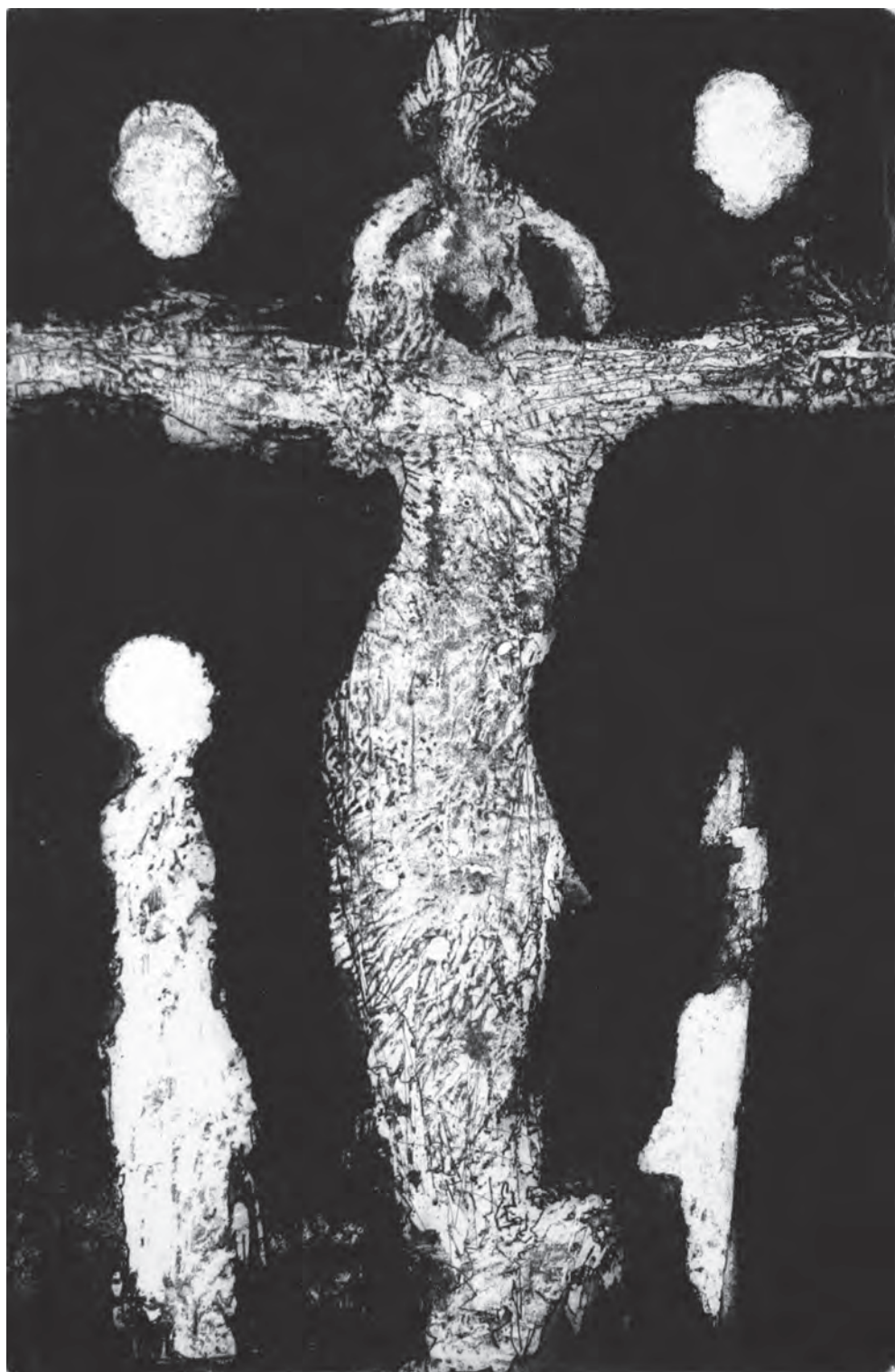
Aateizm, ateizm, teizm, indyferentyzm

Od ateizmu odróżniłbym życie obojętne wobec kwestii Boga, powiem: aateizm. W przeciwieństwie do indyferentyzmu to nie stanowisko, brak w tym jakiegokolwiek deklaracji. Aateista nie wie, że jest aateistą. Owo „jest” to konstrukcja pojęciowa. Powiedzieć komuś, że jest aateistą to go zaetykietować. Zresztą, powiedzieć komuś w twarz: „Jesteś deistą”, „Jesteś ateistą”, to uderzyć, naruszyć intymną sferę jego duszy. Nie inaczej w stosunku do samego siebie. Deklaracje, zaklęcia... Izmy izmami, ale człowiek przypadkiem izmu nie jest – raczej ofiarą. Dla ateisty pojęcie Boga jest puste, ale jakieś ma. Dla aateisty „Bóg” to pusty dźwięk, jakkolwiek to nie wyklucza tego, że zaciekawia go fantazje, bajki, wierzenia, osobliwości etnograficzne, antropologiczne czy religijne, których jest bohaterem. To mniej niż obojętność.

Ateizm definiuje się wobec myśli o Bogu – pewnego wyobrażenia czy pojęcia. Nie inaczej teista – w uproszczeniu „wierzący”. Nie wierzyć – wierzyć, wiara – niewiara to „stan duszy” („mała wiara” chroni przed fanatyzmem, obsesją, zaślepieniem).

W sztuce dobitnym przykładem rozterki ateizmu będą wypowiedzi i dzieła Francisca Bacona. W rozmowie z Davidem Sylvestrem filozof podkreśla, że jest „ateistą”. To podkreślenie zbiega się z jego fascynacją chrześcijaństwem. Krucyfiks, krzyż, ukrzyżowanie to jego „tematy”. Nie zna innych, które „tak bardzo pomagałyby objąć pewną przestrzeń ludzkich uczuć i zachowań”. On, który każdego dnia budzi się ze zdziwieniem, że żyje.

Tchórz tylko uważa, że „sprawą niezwykle kłopotliwą jest to, że Bóg nie istnieje, gdyż wraz z nim znika wszelka możliwość odnalezienia wartości w sferze idei [...], jeżeli Bóg nie istnieje, nie znajdujemy przed sobą, w dziedzinach promiennych



Tomasz Pietrek, *Ukrzyżowanie*, 2007

wartości, potwierdzenia czy usprawiedliwienia. Jesteśmy sami, bez usprawiedliwienia” (J.-P. Sartre, *Egzystencjalizm jest humanizmem*). *Humanum* zaczyna się tam, gdzie brak racji istnienia – gdzie wybór za lub przeciw istnieniu. Tak, kategoria wartości i platonizm aksjologiczny to *ersatz* Pana Boga.

Zachłanność wierzących przejawia się, gdy ludzi przytomnych dzielą na wierzących, że Bóg istnieje oraz wierzących, że Bóg nie istnieje. Analogia dla tej logiki: jeśli jesteś świątły i poważny to wierzysz, że krasnoludki nie istnieją, żyjesz w cieniu myśli o krasnoludkach.

„Jeśli Boga nie ma...”

Na strachu zbudowane jest znaczenie maksymy „Jeśli Boga nie ma, to wszystko jest dozwolone”. Na strachu przed Bogiem, który za dobre wynagradza, a za złe karze, ze strachu przed piekłem. Zakład Pascala ma ten sam fundament – interesu. I wmawia każdemu z nas, że pragnie niebiańskiej rozkoszy. *Initium sapientiae timor Domini* – „Początkiem mądrości jest strach przed Bogiem” – a mądrym być to pragnąć Nieba. Wiecznego szczęścia. Niektórzy myślą o nim na podobieństwo uciech, jakie znają, „jeno na full”. Liźnięcie nieba dane bywa na tym padole: kto bez reszty zapomina się w lizaniu lodów, rozsmakowany niebem w gębie, w rozkoszy zapomina o czasie... To stąd marzenie Nieba, tam „od smaku odrywa przesyty” (św. Augustyn, *Wyznania*). Świątość podpowiada, że szczęście tam przekraczać musi ludzką wyobraźnię, nie może być na tak przyziemną miarę... Nie jesteś godny Boga, jeśli liczysz tylko na tyle. Słowem, interes może być jeszcze lepszy.

„Jeśli Boga nie ma, to...”. Stojąc przed obrazem Hansa *Holbeina Der Leichnam Christi im Grabe* (*Zwłoki Chrystusa w grobie*), Dostojewski – autor powieści *Idiota* – zdrzął w odczuciu bezwzględności przyrody, bez względu na Jezusa, i jego trawi i rozkłada. Dwa źródła, dwie strony ma wstrząs Dostojewskiego. Jedną określeń jako punkt zero egzystencji – doświadczenie asensowności świata. Drugą stanowi utrata wiary w zmartwychwstanie – utrata wiary w gwaranta życia wiecznego. W pierwszej leży cały ciężar doświadczenia Dostojewskiego: „Obraz ten właśnie jakby wyraża owo pojęcie o mrocznej, zuchwałej i bezmyślnie wiekuiestej sile, której wszystko podlega”.

Wszystko, co wydarza się w porządku *vis*, leży poza sensem i bezsensem. Nie zmieni tego żadna zdobycz techniki, nie wyłączając tej, która zagwarantuje „nieśmiertelność”. Tylko pozór sensu istnienia, jak sądzę, wnosi „pragnienie zdobywania, stosowania, sprawowania, okazywania, pomnażania władzy”, które Nietzsche nazywa „wola mocy” (czyż jej nasienie nie jest złożone już w formule z Rdz 1, 28: „zawładnijcie” ziemię, „owładnijcie nią”, „podporządkujcie ją sobie”, „czyńcie sobie poddaną?”). A więc pragnienie to stanowi i ustanawia jedyną i prawdziwą rzeczywistość – woli mocy.

Świątynie, pałace i filharmonie, ich życie, są tej samej rzeczywistości, co ono

– pragnienie, które je rodzi i które potęgują. Spragnieni znajdują siebie w *communio* z mocą nadludzką, której wyobrażenie wznoszą w swych *theatrica*. Kapiących złotem czy nie. (*Commūniō – to barricade, to strengthen*).

W swych kulminacjach symfonie, msze dęte do granic śmieszności, jaką jest każda imperialna tęsknota... Jakkolwiek siła imperium byłaby krwawa, to w gruncie rzeczy zawsze jest śmieszna i pusta. Imperatorzy są pajacami, tylko nie wiedzą o tym ani oni, ani ich wyznawcy i wrogowie. A rzesze całe potrzebują w coś wierzyć. Kogoś mieć w oparciu.

„Jeśli Boga nie ma, to...”. Jakiego to Boga wpisał Dostojewski w swe orzeczenie? Rosyjskiej duszy, prawosławia ikony Pantokrator?! Спас Вседержитель, czyli Wszechwładca, Wszechmocny, Wszystkodzierżyciel. To Bóg Końca Świata. Sędzia Ostatecznego Wyroku. Człowiecze, w obliczu Chrystusa Pantokratora wiesz, że już z chwilą poczęcia jesteś skazany na grzech i za ten oskarżony. Życie jest skazaniem. A srogie i kapryśne jak On. Bóg? Bóg jak Царь, Правитель, Car, Władca-Prawodawca, skoro wyrok leży w jego woli, a nie wiąże go prawo, skoro On je dyktuje. Kapryśny („Pili zaś z towarzyszącej im duchowej skały, a skałą był Chrystus. Lecz w większości z nich nie upodobał sobie Bóg; polegli bowiem na pustyni” (1 Kor 10, 4-5)?

Gdy Boga nie ma, to wreszcie człowiek może sięgnąć po władzę, realizować swoje własne cele. Na myśl o Bogu człowiek traci wolę. Jasno rzecz tę ujmuje Stalin, na przykładzie Iwana Groźnego: „W jego działaniach Bóg mu przeszkadzał”, niestety miał bowiem wyrzuty sumienia, kajał się i modlił, nie był dość okrutny i bezwzględny.

Moralność – tylko bez Boga

Posłuszeństwo Bogu – Jego przykazaniom („oświadczeniom”), nikogo nie czyni moralnym. „Pełnienie woli Bożej” moralnej cnoty nie stanowi. Co najmniej dopóki to nie treść przykazania ma znaczenie, ale to, że to jest przykazanie Jego. JEGO! Odrzucenie faryzeizmu zaczyna się wraz z *Non est timor Dei in loco isto*, „Trwogi przed Bogiem nie ma w tym miejscu”, a moralność, gdy „Nie ma Boga w tym miejscu”. Jakby go nie było – niczego to nie zmienia. *Z Deus videt*, „Bóg patrzy”, pozostać może tyle... Przykład „Przecież nikt nie przeczyta tego, co piszę!”. Cóż z tego, że nikt nawet nie rzuci okiem na to, co robię, że nikt nie widzi, lecz ja także nie widzę... Z idealnego punktu widzenia, wobec idei prawdy nikt nie kończy, a tylko urywa...

Jak można być posłusznym przykazaniom bez pytania o ich znaczenie, sens? Ślepe posłuszeństwo to nic więcej jak postępowanie na miarę własnych intuicji, w naiwności, jaka towarzyszy odczuciom jasności, oczywistości, „ręki bożej”, „Jego woli”. Przykazania nie mają statusu paragrafów, norm, reguł, rozkazu, nakazu ani prawa moralnego, gdyż takich praw nie ma (wyzwanie: mówią, że Przykazania stanowią Prawo). W przeciwnym razie wolność człowieka zostanie obezwładniona. Mając je za takie, „wierzący”

stanie się bezwolnym w swej naiwności i nieodpowiedzialności, „religijny” – wiernym katechezie, z radością przyjmie jej jarzmo i brzemię, a będą mu słodkie i lekkie...

Stara to myśl, że Bóg nie mógł na człowieka nakładać obowiązków przekraczających jego siły. Pusta to myśl, jeśli człowiek działa „z bożą pomocą”. W takim razie? Umiarkowany deizm polegałby na wyobrażeniu, iż Bóg zostawiał świat sobie, a ludziom Przykazania. W tym jedyna pomoc Boża. Przecież nie będzie przykładał swej ręki, chociażby niewidzialnej, do spraw człowieka. Tak – te ostatnie stwierdzenia stanowią karykaturalną postać istotnej dla chrześcijaństwa (i judaizmu?) antynomii. Igrając myślą dalej: gdyby Bóg rzeczywiście chciał wypełnić swoją wolę, musiałby stworzyć świat jeszcze raz – inny (ten się Mu nie udał, upadł dwa razy – Upadek Aniołów, Upadek Człowieka).

Przykazania

„Bo Pan Bóg tak przykazał”. Odłóżmy „bo” – pochodzenie przykazań miałoby je uzasadniać? Odłóżmy „Przecież to Bóg powiedział”, „Przecież to jest napisane w Piśmie”.

Czy treść, sens i znaczenie przykazań wynikają stąd, że daje je Bóg, że są to Przykazania? Jeśli tak, to znaczy, że kto nie wierzy w Boga, ten nie ma do Nich dostępu, ich nie rozumie. Jeśli tak, to jedyną drogą jest ta: od wiary, poprzez wiarę, do zrozumienia (św. Anzelm z Canterbury: „Wierzę, aby zrozumieć”). Słyszeliście i to: „Kto naprawdę wierzy, ten niczego nie potrzebuje rozumieć...”, a w dalszej części tego zdania na przykład: „on widzi!”, „Anioł prowadzi go za rękę!”.

„Bo Pan Bóg tak chce” zawsze jest naiwnością, zaślepią w poczuciu jasności, po fanatyzm (ultraortodoksja tego przypadkiem?)

„Tak jest przykazane” ma swe *ratio* w tym, co jest przykazane, a nie w przykazaniu tego. „Tak ma być” nie ma swej racji w „ma być”. Jeśli przykazania mogą odgrywać jakąś moralną rolę dla duszy człowieka, to w jego namyśle nad nimi, ich znaczeniem i sensem. Kto na poważnie myśl jakąś bierze, ten zadaje pytania.

Nie zabijaj

Wszelki akt przeciwko istnieniu jest złem? Przyjęcie tej myśli ma status deklaracji, fundamentalnego założenia – żadna racja za tym nie stoi. To cała etyka – minimalistyczna i maksymalistyczna zarazem. A piąte przykazanie?

Przekonanie/wyznanie/wiara mogą ominąć „piątego przykazania” („świadectwa”).

Wobec świata, jego praw, wobec „faktów”, przykazania są czystą utopią i nierzeczywistością. „Nie zabijaj”, czyli? W łańcuchach przyrody, w naturze każdej istoty żywej leży żywienie i wydalanie, wzrost i rozkład. Jedno karmi się drugim, kosztem trzeciego, n-tego – aby żyć. Chcąc czy nie chcąc, zdając sobie z tego sprawę czy nie. Mając życie drugiego, życie n-tego, za nic, czy też nie. Prawem życia jest zabijanie. Przytomni to wiedzą, a tylko przytomni mogą mieć przykazania i sumienie. Przykazanie jest jasne,

dopóki nie ma się przekładać na życie, na orzeczenia w takich sprawach jak odżywianie, obrona własna, samobójstwo, rozmnażanie, los płodu, synteza życia, ofiara Bogu...

Bezwzględne posłuszeństwo wobec „Nie zabijaj” oznacza powolne umieranie. Skrzydeł dodać mu może wiara w moralne bohaterstwo – dopóki głodujący czuje się sam ze sobą. Cokolwiek cynizm powie, czy nie święci są ci, którzy wolą oddać życie własne? Nie ważne, czy Bóg istnieje.

„Piękno zbawi świat”?

Czy chrześcijanin, może twierdzić, jak Dostojewski, że „Piękno zbawi świat”? Pozostaje mu utożsamić piękno ze Zbawicielem – Chrystusem. Zbawi – nie znaczy przecież uratuje. Piękno świata miałyby chronić go przed zniszczeniem. Piękno mięsa? Piękność kobiety, jakakolwiek byłaby to piękność, dość że w oczach kogoś, nie chroni jej przed gwałtem (niemniej taka piękność sprzyja rozmnażaniu gatunku).

Ekwilibrystyka międzyjęzykowa czyni cuda, aby piękno spleść z Chrystusem. Miał On mówić o sobie, że jest καλός (Ewangelia po grecku jest spisana, czy On mówił i myślał po grecku?). Estetyka starożytna, Greków, ma utwierdzić to połączenie, καλός miałyby znaczyć: i dobry, i piękny. Co to za piękno? Czy estetyk mógłby mówić o pięknie Chrystusa („Pomazańca”, Drugiej Osoby Boskiej), a nie Jezusa (człowieka)?

Chrystus na krzyżu. Czy to grecki filozof mówił o pięknie, które byłoby Jego udziałem, gdy pisał „A jak ciało ma nogi za długie albo cierpi na jakąś inną dysproporcję, bo czegoś tam ma za dużo, wtedy i brzydkie jest przy robocie” (Platon, *Timajos*)? Piękny przyciąga, toteż „kto pełen nasienia, ten zbliży się” do niego, „jakaś go radość rozbiera i w rozkoszach zapładnia, i tworzy, ale gdy co szpetnego napotka, jakiś go smutek mrokiem opada, on się jak wąż w kłębek zwija i wstecz się cofa, i odchodzi” (Platon, *Uczta*)?

Chrześcijaństwu przeciwne byłoby właśnie to wycofanie się: wąż – szatan.

Ba, cudownie, jeśli w świecie obecny jest Szatan. Tym samym kategorie zła i dobra nie są puste (to więcej znaczy niż istnienie Boga). Manicheizm wypełnia ten optymizm.

Między prawdą a Jezusem

„Dostojewski mówił/ że gdyby mu kazano wybierać/ między prawdą i Jezusem/ wybrałby Jezusa// kończąc/ zaczynam rozumieć Dostojewskiego” (Tadeusz Różewicz). Ależ, to bohaterem poezji Różewicza jest właśnie Jezus – „Syn Człowieczy”. Dostojewski mówi o Chrystusie.

Wybór Jezusa („poza prawdą”) nie stanowi akcesu do wiary chrześcijańskiej. Areliijną będzie także deklaracja: Jezus to szczyt człowieczeństwa, a Ewangelie objawiają mit człowieka w najgłębszy sposób. Jednak czy mity jako takie są „poza prawdą”?

Natomiast kpina z Tego, który powiedział „Ja jestem prawdą” (J 14, 6), oraz wyrazem niewiary w niego jako Chrystusa, odrzuceniem Jego „bogo-człowieczeństwa”, jest

zdanie: „Gdyby mi ktoś udowodnił, że Chrystus jest poza prawdą, i rzeczywiście tak było, że prawda jest poza Chrystusem, to wolałbym pozostać z Chrystusem niż z prawdą”. Subtelność rozróżnienia oraz połączenia „Chrystus poza prawdą” i „prawda poza Chrystusem” nie usuwa sprzeczności z tym, co Jezusa „czyni” Chrystusem.

Treść tego zdania Dostojewskiego dopuszcza jeszcze jedną możliwość, przy której rzeczywiście tamten Człowiek jest „poza prawdą”, a mianowicie mówiąc o sobie: „Ja jestem prawdą”, mija się z prawdą: buja się w obłokach albo/i buja ludzi. Tak, można pozostać z Jezusem, chociażby był pozerem, blagierem, oszustem albo nawiedzonym szaleńcem (np. mówił o sobie, że jest „Chlebem bożym”, czyli „Tym”, który „z nieba zstępuje”; zob. J 6, 33).

Gdy pytamy, jak jest naprawdę, pytamy o rzeczywistość. Jeśli „Ja jestem prawdą” znaczyłoby „Ja jestem Rzeczywistością”, pozostaje pytać, czy rzeczywistość jest poza prawdą, a prawda poza rzeczywistością.

Estetyki przeżycia

Ocalenie znajdziemy, odnajdując się w pięknie i uciekając do niego, gdy łaską swą obdarzy i napełni – jakoby. Och, niechaj co nas chwyci i ku swym wyżynom, ponad doczesność wyniesie. Niechaj ogarnie i napełni światłem. I oto rzeczywiście, przychodzi taka chwila. Uniesienie, ekstaza, olśnienie za objawienie uchodzi, przejście do innej, wyższej rzeczywistości przemożnie dowodzi. Oto ukojenie i słodycz. Przeżycie takie przemożnym dowodem zostaje, dla kogoś kto szczerłość i autentyczność, co własne, z prawdą myli. Tak, kto przeżywa, ten przeżywa, bez cienia wątpliwości. Tu nawet nie ma problemu tego typu, jakim jest przepaść pomiędzy odczuciami w kończynie a faktem, że była amputowana.

Gdy estetyka przeżycia przemawia, wówczas od samego słowa „piękno”, ba, w wescchnieniu „Piękno”, wyznawcom kręci się w głowie, magia ich unosi. Nimb tenże unosi się wokół uczonej kategorii „przeżycie estetyczne”.

Oto elitarne wersje tej mentalności: „jeśli naprawdę doświadczyliśmy sztuki, to świat stał się lżejszy i więcej jest w nim światła” (Hans-Georg Gadamer), arcydzieło „z miejsca roztacza swój czar...” (Maurice Merleau-Ponty). H.-G.G. zawsze ma rację: kto mu przeczy, ten nie doświadczył „naprawdę” (to sztuka na miarę optymizmu).

Okrzyk „A dlaczego sztuka nie może być przyjemna?!” za sztukę ma najpewniej malunki, figurki, piosenki, tańce, występy... (te od zarania wliczane są do worka „sztuka”). A przyjemne może być choć co. To okrzyk. Filozofów wielu, na czele z Kantem, mierzy wyżej – w rozkosz! Za oczywiste mając, że piękno istną rozkosz daje rozsmakowanej w nim duszy.

Estetyki te są wykwittem marzenia o wzlocie poza krąg ludzkich spraw i losów. To przeżycia! Pytanie o prawdę tu nikomu do głowy nie przyjdzie, i nie może, skoro ono przywołuje do rzeczywistości. Z myślą o tym, co „wyżej”, estetyki te pograżają w porządku *vis*.

Estetyczne idolatrie

Świat cudowny, wspaniały, porządek jego doskonały... Do takiego wzdychają estetyki miary i harmonii, liczby i proporcji, estetyki blasku i zachwyków – kwitnące także w kręgu chrześcijańskim. Jak gdyby ten kosmos w ogóle potrzebował Boga lub myśli o Bogu. To wiara szukająca zaczepienia, próbuje zawłaszczyć owe estetyki. A przecież obce są religii, która mówi o dwukrotnym Upadku Stworzenia, a tym bardziej religii mówiącej również o Bogu wkraczającym w dzieje świata, który rodzi się, aby umrzeć na krzyżu. Śmierć Chrystusa nie ma sensu bez odniesienia do Upadku Człowieka.

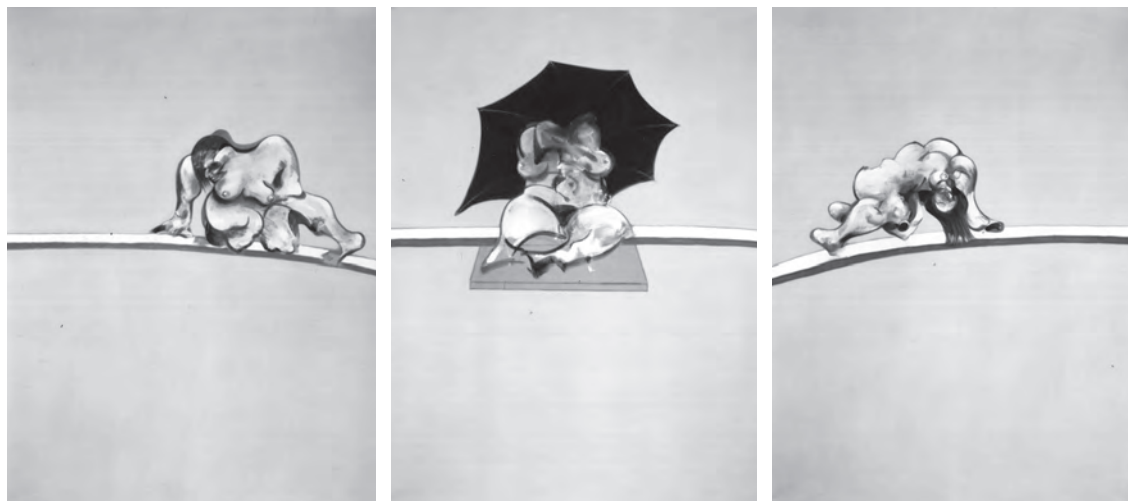
Krucyfik „piękny”, cudowny, wspaniały, mistrzowski tym samym jest, jakby nie było krzyża egzystencji. Takie też są estetyki doktorów Kościoła, św. Augustyna, św. Tomasza. W szczególności są to estetyki podobania się. Zajmuje ich dylemat, czy coś piękne, że się podoba, czy na odwrót. Cóż z tego, że piękno pierwsze, że ono ci przynosi dar, skoro tak czy tak rzecz pozostaje w podobaniu się, a nawet w rozsmakowaniu: *pulchra sunt quae visa placent*, „co piękne podoba się w oglądaniu/widzeniu” (św. Tomasz). Ich estetyki z gruntu są achrześcijańskie. Ucieleśnione w sztuce sakralnej antychrześcijańskie. Dodać trzeba: kiczem tragizmu są figury cierpiętnicze, skomlące, w konwulsjach wrzasku czy bólu – ich głębie. Komicznym i dewocyjnym tego przykładem są *Ukrzyżowania* Bacona, i tylko dewota może w nich widzieć obecność Apokalipsy. W tej ekspresji, bądź (auto)stylizacji pozostają przeliczne teatryki, melodyki, wokalia czy żale. To ich „głębie”.

Piękno, sztuka leżą poza „podoba się – nie podoba się”. Albo upadają do poziomu śliczności, urody, bądź rozmiłowania. U-podobanie to uzależnienie.

Interesselosigkeit

Za jedną z najwyższych cnót uważana jest bezinteresowność. To jedno z pojęć świętych dla kultury. Jak daleko może prowadzić estetykę?

W Kanta teorii piękna centralne znaczenie ma myśl o *Interesselosigkeit*, nieobecności, braku *Interesse*. Myśląc po niemiecku, *Interesse* to interes i zainteresowanie. Dwuznaczność – interes i zainteresowanie, łącznie („i”) – podpowiada, że chodzi o porzucenie zainteresowań określonych jakimkolwiek interesem, w szczególności swoich własnych interesów („miłość nie szuka swego”). Zauważyć łatwo, każda potrzeba ogniskuje uwagę na tym, co związane jest z jej zaspokojeniem, nic innego nie widzi. Dodam: a cokolwiek widzi, to jako materiał, środek, przeszkodę, zagrożenie lub okazję. Do warunków otwartości należy odsunięcie na bok swych pragnień, upodobań, obaw, oczekiwań, ocen, swego smaku. Więcej, wyjście poza te kategorie, niemyślenie i niewidzenie na ich sposób. Rzecz nie w tym, aby porzucić horyzont interesów własnych, ale w ogóle „praktyczny” punkt i sposób widzenia. Ten człowiek nie poddaje się odruchom, nie kierują nim emocje, odkłada na bok urazy i odrazy, wyzwala się od nastawień, uprzedzeń, przesądów. Nie ma oczekiwań. Pięknie. I tyle?



Francis Bacon, *Studies of the Human Body*, tryptyk, 1970

U Kanta, w *Krytyce władzy sądzienia*, pojęcie *Interesselosigkeit* nie jest definiowane tak, jak podpowiadają to słowa „interes”, „sprawa”, „zainteresowanie” czy „zaciekawienie”. *Interesselosigkeit* rozumiana jest tam jako postawa, w której człowiek nie pyta o istnienie ukazującego się... Piękno odsłonić może się nam pod warunkiem zawieszenia, porzucenia pytania o realność istnienia... Za tym sposobem rozumienia *Interesselosigkeit* najpewniej stoi łacina – *inter-esse*, pośród bytu. Ta estetyka ofiarowuje obojętność – jej człowiek ani nie staje wobec, ani pośród istnienia, istnienia nie przenika, istnienie go nie przenika. Wzlatuje poza rzeczywistość, gdzie spotkać może cudowności, boskie.

Ponieważ estetyka *Interesselosigkeit* porzuca pytanie o istnienie, o sposób istnienia, pomija pytanie o realność, wyprowadzając poza byt, tym samym zdradza ideę prawdy. Więcej, nie zna pytania o istnienia sens, odsuwa problem człowieka, i to w jego centralnym punkcie, który określa opozycja istnienie – nieistnienie.

Piękno i ś-cierpienie

Znaczenie słowa „ładny” Norwid odczytuje źródłowo, „idzie od wyrazu »ład« – porządek i harmonię oznaczającego”, i podkreśla, że ten właśnie „ściśle formalny” charakter ma greckie pojęcie *καλός*. „Duchowy” charakter ma piękno: „przypuszcza dramę, boleść, jęk, a dokonania i po-konania onych” (*O sztuce <dla Polaków>* – to tu, a nie w *Promethidionie* estetyka Norwida jest odkrywczą). Zamiast powiedzieć: „Norwid piękno pojmuje”, „w jego rozumieniu piękno to”, ujmę to tak: w pięknie Norwid odsłania jego związek z kondycją ludzką i wyjście ponad nią, ale nie poza, nie w oderwaniu, nie w zapomnieniu, nie w ucieczce. „Dramę, boleść” wiąże z krzyżem egzystencjalnym,

nie z bólem w boku, jakkolwiek mogą go przebić, nie z bólem, który przeszywa przybite gwoździami ręce, na których zwisa korpus.

Toteż gdy Simone Weil pisze podobnie: „Zachodzi tajemniczy związek pomiędzy pięknem a cierpieniem” (*Szaleństwo miłości*), to w miejsce „cierpieniem” trzeba powiedzieć ścierpieniem, ś-cierpieniem (słowa to wglądy, taki wgląd ma język polski).

Piękno jest nad-ludzkie, tak jak czymś nad-ludzkim jest ścierpieć, a szczytem człowieczeństwa ścierpieć miast uderzyć w odwecie lub... obronie. Getto warszawskie, trwa deportacja Żydów, małżeństwo ukrywa się na strychu, chwila: do męża, który podnosi pistolet w stronę mierzącego w nich SS-mana, żona woła: „Nie zabijaj”... On opuszcza rękę. Giną na miejscu.

Piękno Wszechświata i piękno mięsa

Jakoby Świat był tak cudowny, tak piękny, harmonii pełny, iż sam dowodzi, że jest Stworzeniem. To mówią fascynacji feerii gwiazdzistego nieba. Dlaczego nie zauważyli, że proces tworzenia biegnie dalej, nowotworząc nowotworami. Wszystko ma liczbę i miarę także i te nowości. Dobre proporcje? Tak, postulat Platona na pewno musiał spełniać Chrystus, „nie cierpiał na dysproporcję” (*Timajos*), a więc Grünewald zakpił, malując Ukrzyżowania.

„Piękno zbawi świat”? Jakiegokolwiek znaczenia i nadzieje wiązał z tymi słowy on sam, Dostojewski, cóż w nich? Nie dorósł do tej myśli, aby zobaczyć piękno zwłok Chrystusa w obrazie Holbeina (pełny tytuł obrazu: „Zwłoki Chrystusa w grobie”). Przeciwnie, Dostojewski – czy bohater powieści *Idiota*, wobec „obrazu u Rogożyna” – zachował zwykłe odruchy, przeraziło go mięso, już poddające się rozkładowi. Najwyraźniej nie znał „przemiany zła w dobroć” jakąś, którą przynosi estetyczny punkt widzenia. Och, ile subtelności odkrywa ten obraz. Na przykład w modulacji barw, którymi nabrzmiewa figura zieleniejącej, woskowej dłoni. W ten sposób Maneta pochłonęły żółto-różo-fiolety, skądinąd na policzku jego żony w trumnie (stchórzył, wołając gdy oprzytomniał: „Gdzie ja doszedłem z tym swoim malarstwem”).

Bacon: „Kiedy wejdiesz do któregoś z tych wielkich sklepów, gdzie przechodzi się przez hale śmierci, możesz zobaczyć mięso, ryby, ptaki i wszystkie leżące tam martwe stworzenia. Oczywiście, jako malarz muszę pamiętać o pięknie koloru mięsa. [...] my jesteśmy potencjalną sztuką mięsa. [...] widzisz, jak piękne może być mięso, myślisz o tym; możesz zdawać sobie sprawę ze strasznych aspektów życia, z tego, że jedne stworzenia żyją kosztem innych”.

Zło immanentne

Dziełu immanentne zło: wpisane jest, wpisuje się w samą formę dzieła, niezależnie od jego treści, niezależne od danego mu przeznaczenia, celu, w jakim byłoby użyte. Treść może być święta. Wielka jak *Missa solemnis*. A „Boga” nie ma.

„Największe”, „najwspanialsze” utwory, dajmy na to B., nie są wolne są od ducha mocy, woli potęgi i zwycięstwa, patosu walki, przeciwnie. Skrzydła ich ducha rozpościera sama niesiona na nich genialna interpretacja. Porywa melomanów, muzykologów, fanów, zwykłych śmiertelników – w kim nie ma tej struny, w którą by nie uderzała ta muzyka, w kim nie rozbudzi snów o potędze i mocy, w których nie znajdzie swej dumy i godności? Mit o grzechu pierwotnym głosi, że, by użyć słów Simone Weil, „w każdym są zaczątki zła”.

Przejrzeć „piękno”

Lekcja Loyoli (*Autobiografia*) o ułudzie piękna, pouczająca nawet gdyby Boga nie było: oto zjawisko unosi się wokół niego, nadzwyczaj piękne. Daje mu pociechę, a gdy znika, zostawia przykrość. I oto, gdy „zaczęły się otwierać oczy jego umysłu” (miał wtedy 62 lata), „zrozumiał, że był to szatan”. Inaczej ujmując sprawę szatana: w podziwie uległ polu sił. Zrozumiał to, a duchem popłynął za nurtem rzeki, której szedł brzegiem – jakoby spotykając odkrywającego się jemu Boga.

Kto zobaczył (!), odczuł, że „szatan” wychodzi ku niemu, zagarnia go, gdy słuchał *Stabat Mater* S.? Podjąć zmaganie na „jego” płaszczyźnie, na jego prawach, w porządku energii, mocy, siły, to już upaść.

Punkt zero egzystencji

Odczucie asensowności świata stanowi punkt pierwotnego wyboru człowieka – kto nie sięga tego punkt zero egzystencji, tego wiara i moralność nie przeszły próby. Oczyszczenia. Jezus tam był, wołając: „Boże, Boże czemuś mnie opuścił?”.

W punkcie zero ludzkiej egzystencji – absurdu istnienia – narzuca się właśnie to pytanie: „Dlaczego w ogóle jest coś, a nie nic?”.

Pytanie metafizyczne nie ma postaci zdania pytającego, ani nie stanowi wynalazku i przedmiotu dociekań metafizyki. Przeszywa ciało, duszę i ducha. Ma charakter irracjonalny – odpowiedź nie ma za sobą żadnej racji. To nie punkt, w którym stoi się przed wyborem, waży i rozważa, wyprowadza wniosek, by się zdecydować. To punkt wyboru. W nim *humanum* znajduje swój metafizyczny punkt archimedesowy, wyboru za istnieniem albo przeciw istnieniu.

Sumienie sumienia

Naiwny etyk mniema, że każdy człowiek zawsze pragnie i zmierza do dobra. Byłoby to sprawą psychiki ludzkiej, ta jednak nie buduje ani nie usprawiedliwia – ani moralności, ani etyki. Stanowisko takie oznaczałoby, że w gruncie rzeczy człowiek jest tym, czym jest. A grunt byłby psychologiczny. Każdy człowiek ma dobre intencje – na miarę tego, co uważa za dobre. Dobre intencje to stan psychiczny. Idea dobrych intencji pociąga za sobą odrzucenie kategorii sumienia.

Sumienie nie polega na tym, że ktoś czyni coś zgodnie ze „swoim sumieniem”, ale na tym, że wątpi w jego głos. Sumienie sumienia polega na dystansie w stosunku do samego siebie, do swoich odczuć, sądów, ocen, hierarchii, intencji, przekonań, wyobrażeń, myśli – myśli, które żywią. Czynne staje się w uświadomieniu sobie ich obecności – w przeciwnym razie to one mnie mają. Sobie ich? Wszystkich nikt nie ogarnie (tym bardziej że zmieniają się myślane). Krótko: sumienie w istocie polega na krytycyzmie wobec własnych wyborów, czynów i dzieła (autokrytycyzm) oraz krytycyzmie w stosunku do siebie samego (samokrytycyzmie), ale nie sprowadza się do (auto)refleksji. Łatwo powiedzieć: zdolność samozakwestionowania. A to wyznanie przed sobą, sobą samym i wyzwanie, przed którym stoję. W ten sposób rodzi się wolność od samego siebie.

Negacja istnienia – afirmacja istnienia

Instykt śmierci, ekscytacja w zabijaniu, trucizna nienawiści, wola zemsty. Ta potrafi zwrócić się do Boga, aby zgnębił naszych wrogów, rzucił na nich klątwę, pomścił naszą krzywdę – przywrócił porządek. On, Pantokrator, on, Jahwe, po stokroć wzywany jest po to, aby był moim, stał po stronie mojej i moich, aby działał dla mnie, dla nas.

Dlaczego w ogóle jest coś?! Lepiej, aby nic nie było. Totalna negacja istnienia być może znajduje wyraz w rzucanych na oślep okrzykach desperacji: „Niech wszystko szlag trafi!”, „Wysadzić cały świat!”. Znajduje, gdy brak tam chociażby cienia satysfakcji, jaką daje poczucie przejrzenia istnienia na wskroś, po nic. Natomiast w „ja przeklinam” wypowiadam i słyszę swe „Ja” – jestem wciąż kimś. Podobnie, gdy budzi się wola ta: obym nie żył, obym nigdy nie był poczęty, targnął się na swoje życie. Samobójstwo odkrywa bezsens i nadaje sens, w intencji swej.

Negacja istnienia oznacza życie, jak gdyby lepiej, aby go nie było, jakiegokolwiek by nie było. Totalna. To stan ducha, tło egzystencji – cień apokalipsy. Natomiast nienawiść wobec istnienia, przeklęcie istnienia, wola zniszczenia to stany duszy.

Bezwarunkowa afirmacja istnienia oznacza powiedzenie się za istnieniem, jakiegokolwiek by było – oby było. *In extenso, in abstracto, in concreto...* Nic nie znaczy „*in articulo mortis*”. Tragizm: każdy ruch i każdy bezruch czemuś istnienie odbiera.

Afirmacja bezwarunkowa, bez przywołania bogów. Za istnieniem, to cała moralność.

Malarskie modlitwy Mikołajka

(albo od „łaski wiary” do „łaski tworzenia”)

Sztuka jest tworzeniem Boga
Pawieł Fłoriński

1.

Sztuka to nie religia, ale może być narzędziem (albo środkiem) poszukiwania Absolutu, a więc drogą prowadzącą ku Bogu. Wierzyli w to artyści niegdyś, wierzy wielu i dzisiaj; chociaż droga ta wiedzie przez wyboiste tereny kultury, prowadzi poboczami nauki, ale zawsze jej azymut wyznaczać muszą w tym wypadku wiara oraz indywidualne przekonanie danej osoby. Wiara w związek (trwały) sztuki i *sacrum*; ma swoje powinowactwo głęboko uzasadnione i ukształtowane w tradycji i intencjach artystycznej twórczości. Sztukę już od wieków interpretowano w kontekście religii, choć jej związki z wiarą wraz z całym instytucjonalnym otoczeniem (np. Kościołem) bywały już różnie postrzegane: od zdecydowanego odrzucania (np. przez św. Jana od Krzyża), po pełną afirmację i wykorzystywanie (takie sądy są prezentowane we współczesnych koncepcjach filozoficznych). I jeśli Zachód, z jego chrześcijańską duchowością, różnie – od negacji do całkowitej akceptacji – celebrował w swej historii zależność sztuki wobec religii, w tym także odniesienia do idei *sacrum*, to już w kulturze (i religii) Wschodu zależność te prezentowały się jako całkiem proste, a nawet oczywiste. Związki kontemplacji, mistyki i religijnych rytuałów ze sztuką okazywały się w buddyzmie, hinduizmie czy filozofii tao... na tyle tożsame, że nie prowadziło to do ich negowania. Odnosili się do tego problemu również artyści i myśliciele ukształtowani na gruncie chrześcijańskim, jak chociażby w swej twórczości William Blake, Thomas Merton czy Mircea Eliade. W każdym razie nie chodziło o dowody potwierdzające zastąpienie religii przez sztukę, lecz o wyraźne ich (tych ekspresji) zjednoczenie i wsparcie, co trafnie podkreślił Pawieł Fłoriński (por. *Ikonostas i inne szkice*), twierdzący, że sama sztuka jest tworzeniem Boga.

To ogólne stwierdzenie musi jednak być uszczegółowione w odniesieniu do każdego indywidualnego przykładu aktywności artystycznej. Stąd krytyczna refleksja o twórczości malarskiej współczesnego artysty, *nota bene* zdeklarowanego katolika, który swą aktywność uzasadnia szczególnym aktem „łaski wiary” (jakiego doznał w sytuacji „nawrócenia religijnego”), musi być poddana ostrożnej, acz empatycznej interpretacji uwzględniającej złożony kontekst wiary i twórczości z nią powiązanej. Artysta tak wyraźnie i ostentacyjnie deklarujący swoje nawrócenie musi zaciekawiać swymi dokonaniami, szczególnie ze względu na możliwości tropienia zgodności owych deklaracji światopoglądowych z ich przełożeniem na język sztuki. Właśnie: czy jest możliwa do uchwycenia bezpośrednia zależność między wyznawaną wiarą a „służbą” jej poprzez sztukę? Czy nie traci na tym autentyczność i szczerść artystycznej wypowiedzi? Chodzi tu o to, w jaki sposób sztuka z jej możliwościami wizualnego (lub słownego czy dźwiękowego itd.) odzwierciedlenia, przedstawiania bądź symbolizowania rzeczywistości jest zdolna oddać poczucie empatii wobec ludzkiej duchowości (jej losu i artykułowanych nadziei), wobec właśnie sfery sacrum oraz jej ekspicyjnych i epifanicznych treści.

Twórczość kształtowana przez doświadczenia (tragedie) XX wieku pozostawała pod silną presją idei nihilistycznych (mowa o bezsensie tworzenia po Holocauście – co głosił Adorno), ale też była determinowana ideą postępu i rozwoju nauki, wreszcie wpływem kultury masowej i konsumpcjonizmu. Koncepcje postromantyczne mieszały się z egzystencjalizmem i ideami awangardowymi, których konsekwencją było utożsamianie sztuki z filozofią – z jednej strony (konceptualizm), i z kulturą – z drugiej (stąd sztuka popularna, design). Rola religii w kręgu kultury zachodniej sprowadzała się więc raczej do incydentalnych przedsięwzięć w zamkniętych obszarach i społecznościach. Czymś wyjątkowym okazał się jednak, wobec kryzysu społecznego lat osiemdziesiątych, spowodowanego przesileniem politycznym w tzw. obozie socjalistycznym, fakt połączenia buntu robotniczego (w ruchu „Solidarności”) z patronatem Kościoła katolickiego w Polsce. Utożsamianie aspiracji wolnościowych z wiarą i nadzieją – wspomagane postawą polskiego Papieża – stworzyło szczególnie (i nigdzie powtarzalne) warunki dla rozkwitu zainteresowania artystów wiarą i jej „obrazowaniem”.

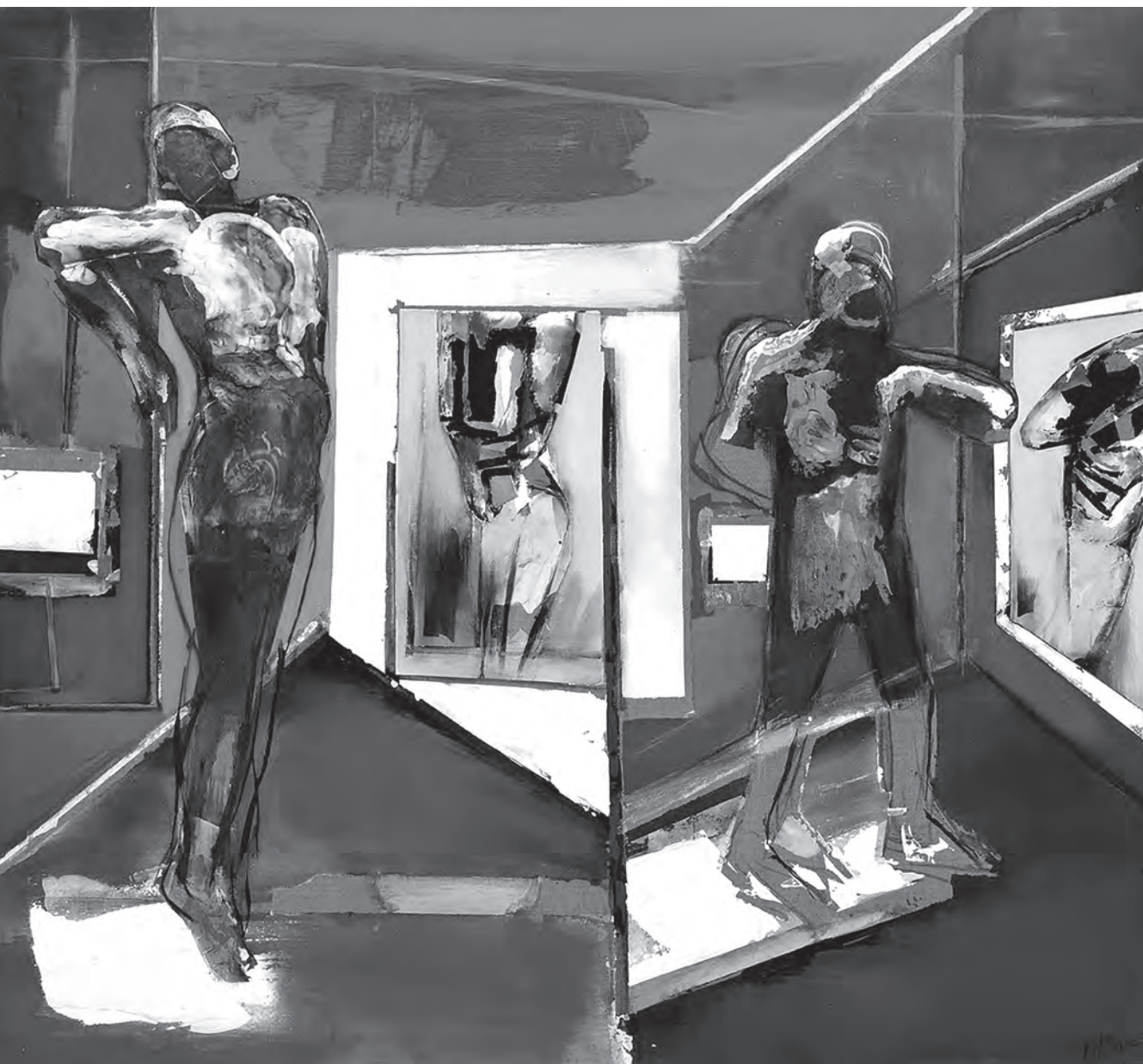
Sztuka znalazła w tym dla siebie podstawy do przeciwstawienia się poczuciu bezsensu i jałowości życia, uaktywnienia się w sferze poszukiwania prawdy i podjęcia refleksji nad ludzką egzystencją. Skorzystała także na tym religia (i jej instytucje) w otwieraniu się na społeczne oczekiwania, w tym na akceptację trudnej sztuki pośrednictwa między fizycznością a duchowością ludzi. Akt wiary mógł więc w takiej sytuacji być aktem wyzwolenia z rozpacz, z beznadziei buntu, właśnie z poczucia bezsensu życia; on otwierał na tę symptomatyczną wolność akceptacji stanu, który jest wyzwoleniem od lęku śmierci, od poczucia beznadziejności i bezcelowości życia. Jeśli się oczywiście w to wierzy. (Choć podobną zmianę świadomościową mogą także wnieść inne traumatyczne sytuacje).

W każdym razie niektórzy pisarze i filozofowie są przekonani, że religia, podobnie jak sztuka, jest swą treścią czy przekazem zwrócona ku przyszłości; bo wszak coś obiecuje nowego, wskazuje możliwość innej drogi... a nawet jeśli opiera się na przekazach historycznych, to używa ich dla pokazania tego, co sprzyja odrodzeniu, zapowiedzi nowego. „Dzięki poezji świat nigdy nie jest stary” – powie Robert Frost. Dzięki sztuce – można dopowiedzieć – świat ciągle na nowo się odradza, zmartwychwstaje, by niejako spełnić ową chrześcijańską obietnicę zbawienia; tu religia może (i powinna) spotkać się ze sztuką. W tym też tkwi uzasadnienie dla prób uchwycenia i oddania tego, co łączy się z pojęciem *sacrum* – tej perspektywy „nieba”, którą wyznacza pamięć ziemi, na której toczy się nasze życie. Bo sztuka, ze swej „natury”, wyrasta z ziemi, choć pragnie sięgnąć nieba; przedstawia to, co jest widzialne (wyrażalne), a jednak – jak podpowiadają poeci (np. Paul Valéry) – chce sięgnąć niewidzialnego, usiłuje dosięgnąć istoty prawdy.

Każde dzieło artystyczne jest osadzone w rzeczywistości, naśladuje ją lub kreuje, ale zawsze ją przekracza zgodnie z intencjami twórcy, który wyraża przy okazji swoje aspiracje i projekcje; a czyni to z wykorzystaniem dostępnych możliwości techniczno-warsztatowych. I te autorskie intencje są *clou* wszelkiej twórczości, są wyrazem indywidualnej wrażliwości, wyobraźni i duchowego bogactwa – w jego otwarciu na Absolut, na rudymen tarne wartości piękna, dobra i prawdy. Stąd są uzasadnione wszelkie próby uchwycenia poprzez kreację tych treści, które apelują do Boga, są jego – boskości – afirmacją. Sztuka zatem, od kiedy okazała się być czymś więcej niż pierwotnym rytuałem czy rodzajem magii, otwierała się na mity (wyobrażenia, prastare opowieści), służyła religijnym przedstawieniom, była źródłem (i wsparciem) perswazji i unaoczniania transcendencji. Jeśli współcześni artyści przywracają te jej profetyczne właściwości i możliwości, to czynią to jednak już w inny sposób, nie tak dosłowny i dosadny jak choćby w tradycjach sztuk wizualnych – no bo ileż jeszcze można stworzyć oryginalnych przedstawień symboli chrześcijańskich, zdarzeń w rodzaju ukrzyżowania, piety czy zmartwychwstania, ikonicznych wyobrażeń idei boskości czy sakralności. *Sacrum* dzisiaj jest tyleż trudniejsze do przedstawienia, co i do uchwycenia, w jego enigmatycznej obecności w naszym zlaicyzowanym (*profanum*) życiu.

2.

Ciekawych inspiracji do namysłu nad współczesnym stosunkiem sztuki wobec *sacrum*, przysparza twórczość malarska Mariusza Mikołajka. Ten artysta, studiujący w latach 1979–1984 na wrocławskiej PWSSP (w 1996 roku przemianowanej na Akademię Sztuk Pięknych), już w trakcie nauki odznaczał się dość niekonwencjonalnym podejściem do powołania malarskiego, i – jak podkreślał znaczący dla jego późniejszej aktywności twórczej profesor tej uczelni Konrad Jarodzki – był osobowością buntowniczą i nietuzinkową. Jego słynny już dyplom z malarstwa, broniony w 1984 roku w murach kościoła



Mariusz Mikołajek, *Autoportrety*, 2012

św. Krzyża, mimo w zasadzie „niewinnej” początkowo potrzeby dobrania dla tych obrazów odpowiedniego kontekstu ekspozycyjnego, wobec oporu ówczesnych władz politycznych, nabrał zupełnie innego (nowego) znaczenia, wtedy jeszcze nieprzewidywalnego dla samego autora, który w sposób nader spontaniczny reagował na to, co przynosiła rzeczywistość. A był to czas trudnych wyborów, zniechęcenia społecznego po okresie stanu wojennego, kończącego krótki okres nadziei spowodowanej euforią buntu solidarnościowego. Być może to nie przypadek, ale podświadomie uzasadniony wybór miejsca jego pierwszej ekspozycji obrazów zaprowadził go do realnego kościoła, co w konsekwencji otworzyło przed nim także ów Kościół wspólnotowej wiary (katolicyzm). Ten czas – między dyplomem z 1984 roku a kolejną wystawą w 1991 roku (BWA Wrocław) – był doświadczeniem, które on sam określa jako stan „łaski wiary”, skłaniający do oddania w sztuce swojej nowej sytuacji duchowej.

Ten punkt zwrotny (po 1984) w jego drodze życiowej i artystycznej, o złożonych konsekwencjach osobistych¹, jest o tyle istotny, że całkowicie przebudowuje jego świadomość – to efekt, jak sam Mikołajek określa, „nawrócenia”, a więc aktywnej fascynacji religijnej i wiary w kierującą jej moc. Ale to także okres pewnej bezsiły na polu sztuki; do malowania artysta wraca faktycznie dopiero po wrażeniach z 1989 roku, doznanych w trakcie odwiedzin w byłych obozach koncentracyjnych w Oświęcimiu i Brzezince. Miejsca te, symbole zła jakie ludzie zgotowali innym ludziom, przywróciły w nim potrzebę wyrażenia swego buntu, już z pozycji głębokiej, chrześcijańskiej kontestacji, ale też z jej religijną konsekwencją nadziei – wyrażanej przez Chrystusowe odkupienie. Pojawia się u niego stylizyka ekspresyjnych form, jako wyraz niezgody na ówczesną sytuację, jednocześnie artysta wzbogaca stronę narracyjną swych obrazów, odnosząc się, wprawdzie w syntetycznym wymiarze, do cierpienia ofiar Holocaustu i do innych traumatycznych wydarzeń (np. tragedii w Biesłanie), a w konsekwencji wypracowuje swój znamieny malarski wyraz empatii wobec ludzkich losów i znaków nadziei w zawierzeniu boskiej opiece. Tematyka sakralna, przynajmniej od końca lat dziewięćdziesiątych, staje się w jego twórczości znacząca.

Ale był to też czas wyjścia Mikołajka z okresu budowania (w oparciu o swoistą dekonstrukcję) swojej młodszej osobowości artystycznej, wyjścia z nastroju buntu, kontestacji rzeczywistości, przy jednoczesnym podtrzymaniu niezgody na krzywdę i niesprawiedliwość społeczną (echa stanu wojennego z lat osiemdziesiątych) i wejścia na drogę, która okazała się jego prywatną „drogą krzyżową” prowadzącą ku pewnego rodzaju ekspiacji, religijnemu „oświeceniu” i właśnie przemianie owego buntu w stan – to kilkuletni okres – który dopiero kształtował się w nim (na ruinach doświadczeń) w nową wrażliwość, nowe widzenie i odbiór rzeczywistości, a z pomocą

1 Pisano o tym w katalogach – zob. Elżbieta Kościelak, *Życie... twórczość*, w: *eadem*, *Mariusz Mikołajek – twórczość 1989–2001*, Wrocław 2002.

sztuki pomógł reagować na tę rzeczywistość, wносить zmiany. Wszedł tedy z roli alternatywnego artysty i przeniósł się do miejsc publicznych, do ścisłych, społecznie trudnych kontaktów; podjął się swoistej misji ewangelizacyjnej poprzez sztukę; czy zawsze skutecznej – a to już nie zależało od samego artysty.

Już po dyplomie w 1984 roku, po okresie niemocy twórczej i poszukiwania własnej drogi, zostaje więc obdarzony „łaską wiary” i w konsekwencji poświęca się w malarstwie właśnie tej nowej sytuacji duchowej. Także w pracach, w których wprost odwołuje się do znaku (symboliki) krzyża, ale – co tu istotne – poprzez realizacje podnoszące kwestię cierpienia i losu człowieka. Mikołajek czas ten nazywał zwrotem ku pełnej wolności. To dość paradoksalne stwierdzenie, jako że wiara tę wolność przecież reguluje, podporządkowuje ścisłym zasadom postępowania i wymogom rytualnych zachowań. Ale to wolność ku celowi, którym ma być zbawienie... taką „wolność” sankcjonują tylko głęboka wiara i zawierzenie Mistrzowi; co znaczy ufność i całkowite oddanie się Jego opiece, a poprzez instytucję – Kościół – poddanie się także określonym powinnościom i służbie. To „krępujące”, szczególnie w sztuce, która musi być wolnością bezwarunkową. Warto tu jednak zauważyć, że Mikołajek w swej twórczości nigdy nie wszedł na drogę dewocyjnych przedstawień, nie popadł w tzw. schematyzm sztuki sakralnej z jej typową ikonografią – symbolizującą chrześcijaństwo. Tym, co go faktycznie odróżniało, było skupianie się na malarskich atrybutach przedstawień człowieka (a także możliwej jego „świętości”), co wynikało z troski o jego los, o jego eschatologię i etos humanistyczny. Piękne poczucie „łaski wiary” dawało zaś artyście, z jednej strony, pewność celu życia i istnienia nad nim jakby ochronnego „boskiego parasola”, oraz, z drugiej strony, określało pewne warunki, które muszą być dotrzymane, by zasłużyć sobie na nagrodę zbawienia. Artysta (w rozmowie z nim) potwierdził, usłyszałem to: „Pracuj, chcę ci błogosławić”. On w to wierzy i jest to znamienne dla potwierdzenia owego spektakularnego aktu nawrócenia się artysty z 1985 roku.

Nie wypada roztrząsać tu owego faktu – bo jest to w istocie sprawa bardzo osobista i intymna, więc nie należy tym epatować na zewnątrz, choć artyści o ekspresyjnym temperamencie zwykle nie potrafią ukryć takiego duchowego doznania i w konsekwencji ujawniają je w swej twórczości. Wiadomo jednak, że prawdziwa wiara nie potrzebuje ostentacji, że to może grozić dewocją, zachowaniem na pokaz. Wszak często spotykamy się z takimi dewocyjnymi gestami nietolerancji wobec innych, obłudą i oznakami pustych manifestacji – co w istocie jest zwykle dowodem egocentryzmu i zawiści wobec bliźnich, a faktycznie przejawem braku społecznej wrażliwości. Niemal misyjna działalność Mariusza Mikołajka nie zdradza jednak żadnych symptomów dewocyjnego wzmożenia; jego wrażliwość społeczna i tolerancja wobec innych, w tym wobec środowisk kulturowo zaniedbywanych lub wykluczonych, są powszechnie znane i doceniane; dowiódł tego swoją postawą wielokrotnie, angażując się w akcje w miejscach

publicznych, np. na dworcu PKP, wśród pensjonariuszy zakładów karnych i domów opieki czy w spektakularnej inicjatywie estetyzacji (wraz z mieszkańcami) podwórka przy ul. Roosevelta we Wrocławiu. I być może właśnie w tym prospołecznym wymiarze można widzieć jego aktywność jako szczerą i „wolnościową” – bo są to niewymuszone działania, przynoszące radość innym, wzbogacające te środowiska o nowe doznania, a jednocześnie przysparzające nowych doświadczeń ich inicjatorom (Mikołajek te akcje realizował wspólnie z innymi artystami).

3.

Malarskie prace Mikołajka są rozpoznawalne; wypracował on własną stylistykę: ekspresja gwałtownych gestów idzie tu w parze z prostotą formalnych uproszczeń, redukcja przedstawień i syntetyczne ujęcia tematu nigdy nie stawały się (w odbiorze) przykładami o propagandowej wymowie (w sensie religijnym). Artysta nie próbował straszyć piekłem, nie wzywał do ekspiacji... co najwyżej pokazywał skutki rozpadu ludzkiej tożsamości (ale też bez sugestii, że jest to efekt braku wiary), raczej jako rezultat przemian cywilizacyjnych, jako odwieczny problem kruchości ludzkiej egzystencji i jej skomplikowanych losów. Nigdy też nie twierdził wprost, że jedynym rozwiązaniem jest tu wiara, zawierzenie Bogu, choć w jego działaniach społeczno-ewangelizacyjnych takie sugestie mogły się ujawnić. Tak więc sztuka Mikołajka została ukształtowana w ramach własnej, autonomicznej stylistyki; to niewątpliwie bardzo sugestywna, ale nie propagandowa forma autorskiej wypowiedzi. Jest przede wszystkim w znacznym stopniu skupiona na problemie materii malarskiej, na znaczeniu formy czy jej ekspresyjnym oddziaływaniu. Sam przekaz treściowy (narracja) pozostaje wprawdzie istotny ze względu na intencje artysty (jego zaangażowanie religijne), ale jakby „podporządkowany” rozstrzygnięciom czysto artystycznym: Mikołajek mówi na sposób malarski, przedstawia to, co widzi swym wyobrażeniem, kolorem, abstrahuje od rzeczywistości, zawierając skrótom i syntezie formalnej... by trafniej odnieść się do tego, co niewidzialne, co nawiązuje do esencji naszej duchowości, jakby ciągle mówił: *Ecce Homo*.

Niewątpliwie Mikołajek jest malarzem abstrakcjonistycznym; to wprawdzie abstrakcja oparta na konkretnej formie – pochodnej figuracji, wspartej materią farby, tj. jakby owej „gliny”, z której w mitach został ulepiony pierwszy człowiek. Artysta ten maluje, „lepiąc” formy antropoidalne, kształtuje je w płataninie struktur, grubo kładzionych impastów, w ich krakelurze pokrywającej gęstą siatką splekań plamy barwy, laserunki, choć pozostawia też fragmenty niezagruntowanego podłoża. Więc Mikołajek maluje swoje prace, jakby je rzeźbił, proponując swego rodzaju „reliefy” przedstawień – maluje, rzeźbiąc w materii koloru, i rzeźbi, malując. Bo to, co w pierwszym spojrzeniu z jego prac uderza, to konsekwentność zastosowanej farby (w równym stopniu celowo dobrany jej odcień, jak i wypracowana faktura), jej odbłask w widzeniu, jej taktylność, niemal

fizycznie odczuwalne użycie materii, w której artysta tworzy, z której wyprowadza swoje przedstawieniowe formy – tyleż abstrakcyjne, co figuratywne. Choć to specyficzna figuracja, która jest tylko sugestią postaci ludzkiej; bez jej cech identyfikacyjnych (twarzy, głowy, charakterystycznych szczegółów); więc raczej propozycja „znaku” stojącego między abstrakcją a realizmem, celowe uproszczenie, które ma sens uogólniający; bo Mikołajek maluje nie konkretną osobę, ale w swym uogólnieniu przedstawia wymiar ludzki, typ człowieczeństwa. Znamienna więc dla figuracji w wydaniu tego artysty jest jej niefiguratywność, tj. pewna nieforemność przedstawień owych kadłubków, jakby „okaleczonych” ciał; prezentacje kształtów równie antropomorficznych, jak pokracznych, przekraczających swą formą znaną konwencję. Bo oto pojawiają się niekiedy jakby zwierzopochodne stwory, które ludzkiej formy jeszcze nie osiągnęły – brak im tego, co najważniejsze: symptomów duchowości; choć te malowane przez Mikołajka ciała są „rozłożone” jakby w modlitewnych pozach, a może w gestach pokuty? Ale też – co należy podkreślić – wszystkie te wypracowane stwory epatują rodzajem zmysłowości, której źródłem jest technika malarska artysty; to „cielesność” kładzionych (grubo) farb stwarza pozory życia i skłania do emocjonalno-zmysłowych reakcji odbiorczych. Owe „mięsiste” formy epatują swym podobieństwem do ciała, jednocześnie przekraczając (w ekspresji) jego obraz – poprzez świadomie zamierzoną grę użytymi kolorami. Malarz ten mistrzowsko dobiera barwy: albo w opozycyjne kontrapunkty, umiejętnie je ze sobą zderzając, albo wzmacniając i stosując harmonijnie układy dopełniających się kolorów. Ta jego „gra” barwą, czyli malarskie komponowanie, jest celowe, ale i stanowi wyraźny efekt spontaniczności – bo to przecież produkt artystycznej ekspresji, skutek emocjonalnych skojarzeń ich autora, w istocie sprzyjający swobodnej odbiorczej interpretacji. Stąd wiele prac, mimo przypisanych im tytułów, prowokuje do różnych odczytań i wielowątkowej interpretacji. Ponadto niektóre obrazy malarz pozostawia bez tytułu, licząc że ich wizualna sugestywność jest tak poruszająca, że wobec ich przedstawień nasuwa się jednoznaczna narracja, albo po prostu zakładając, że trzeba odbierać je w milczeniu, bez wyraźnej identyfikacji treściowej. Przeważnie jednak tytuły prac sugerują ich, jednoznaczne w obrębie chrześcijańskiej ikonografii, odczytanie; stąd owo „ukrzyżowanie”, sugestia znaku krzyża, opłakiwanie, pieta, odwołanie do Ewangelii itd.

Jednak to nie tematyka sakralna wydaje się dominująca w twórczości Mikołajka; tym, co również wyraźnie determinuje jego postawę artystyczną, jest rodzaj lęku o moralno-egzystencjalną kondycję współczesnego człowieka; wyraz zatroskania (w artystycznej formie) o jego sferę przeżyć duchowych; zatrwożenie stanem hedonistycznej świadomości i miałości wewnętrznych przeżyć. Artysta poprzez owe skrótowo potraktowane „fragmenty” człowiecze chce zwrócić uwagę na naszą kondycję emocjonalno-duchową: ekspresja abstrakcyjnie potraktowanych elementów ciał ma służyć impresji eschatologicznej, jak i pytaniu o wartość naszego życia i jego cel. Tym samym w znacznej części

swych prac Mikołajek opowiada się za etyczną rolą uprawianej sztuki; deklaruje się po „jasnej” stronie naszych dążeń i sugestii wyboru. Ale jest intrygujące, że od strony formalnej jego sztuka bywa porównywana do twórczości Francisca Bacona, w treści eksponującej całkiem odmienne wątki i tematy.

4.

Zniekształcone figury przedstawiane w pracach Mikołajka były przez krytykę porównywane z Baconowską praktyką odejścia od realizmu i stosowania charakterystycznych rozwiązań formalnych, służących „znakowemu” uogólnieniu ludzkiego cierpienia, wyrażaniu bólu i rozpacz. Stara się więc Mikołajek również (jak Bacon) zintensyfikować proces malarski, nadać mu charakter wypowiedzi osobistej, wyczułonej na sygnały otoczenia, a przy tym wyrażanej językiem ekspresywnym, emocjonalnym. W procesie (twórczym) w obu przykładach świadomość celu i zamiaru artystycznego są pod silnymi wpływami podświadomości; ich intencje opierają się tyleż na racjonalnym zamyśle, co i na presji intuicji czy grze wyobrażeń. Rodzaj podobnego zaangażowania malarza w proces twórczy, pewne zawrzenie zmysłowości w ich postawach, a także przyjęte rozwiązania formalne (skrót, zniekształcenia figuralne itp.) pozwalają na snucie pewnych analogii – z zachowaniem rozsądnego oczywiście, uzasadnionego rozróżnienia między rangą prac Mikołajka a sztuką Bacona – ale w istocie przesłanie prac obu tych artystów zdecydowanie się różni. Przede wszystkim w treści swych obrazów Mikołajek nie gloryfikuje rozważań nad śmiercią, nad jej po baconowsku oddaną nieuchronnością, a stąd też (w duchu Nietzscheańskim) rozpacz. Polski malarz raczej „przemawia” z przeciwnego bieguna: o nadziei, o wyzwoleniu z ciemności „ku życiu” w osłonie boskiej mocy, o zbawieniu. W każdym razie takie treści afirmuje swymi pracami. Czy przemawiają one do wszystkich odbiorców – to już inna sprawa. Nie sposób bowiem wpływać na percepcję ogólności, takie bodźce zwykle docierają tylko do nielicznych, przygotowanych (otwartych) na ich odbiór.

Wiele prac Bacona wizualizuje ludzki gest złości, ale i bezsilności, wyrażany krzykiem. Artysta często malował usta w takim grymasie: w jego ujęciach portretowych, zwykle zniekształconych, krzyczące usta są eksponowane wyraźnie. Mikołajek wręcz unika przedstawień twarzy, jego figury są zwykle pozbawione części identyfikującej osobę – czyli twarzy, a więc są tym samym „milczące” – choć to pozorna cisza, którą nasyca ekspresja napięcia wyobrażonego skrótowi korpusu ciała. Krzyczącym (na zewnątrz) postaciom Bacona można przeciwstawić „medytujące” sylwety Mikołajka, postacie skupione na sobie, jakby wgnębione we własne wnętrza, często rozmodlone... Te jego przedstawienia – skulone w przysiadzie kadłuby, pozostające w jakimś niby pokłonie wobec kogoś, a raczej wobec ostateczności – też w konsekwencji zdają się krzyczeć całymi sobą, ale jest to „niemy” krzyk. Naturalność, niemal zwierzęca, krzyku

albo paniki u Bacona, jest u Mikołajka transponowana na ludzki pokłon w wymownym milczeniu. Krzyk jest wyrazem „instynktownego skurczu ciała” (mówi Julia Kristeva), milczenie bywa wyrazem duchowego wgłębiania się w Absolut. Jeśli u Bacona, jak pisze Gilles Deleuze, „całe ciało ucieka przez krzyczące usta”, ciało skręcone w bólu i cierpiące, to u Mikołajka ciało, choć „rozdarte”, podane skrótowo, ułomne, jest jednocześnie wychylone ku nadziei zbawienia; czy płonnej?

Łączy Mikołajka z Baconem również temat ukrzyżowania (jako rodzaj motywu z początków twórczości), ale ukrzyżowane „mięso” angielskiego twórcy nie ma nic wspólnego z przedstawieniem proponowanym przez olśnionego „łaską wiary” malarza. Ukrzyżowanie w wydaniu tego drugiego świeci swą wewnętrzną aurą (światlistością), odsyłającą – poprzez obraz cierpienia – ku zmartwychwstaniu, w przeciwieństwie do brutalnej prawdy krwi i natury pierwszego. Zatem nihilistyczny wydźwięk prac Bacona jest w przypadku twórczości Mikołajka zupełnie wyciszony, a wręcz zastąpiony pewną (być może iluzoryczną) nadzieją odkupienia. Który rodzaj artystycznej perswazji jest bliższy prawdy? To niełatwe do rozstrzygnięcia, chyba że poddamy się bezwarunkowo „łasce wiary”.

Niemniej tym, co zbliża postawy obu malarzy, jest eksponowana w wielu ich pracach tematyka egzystencjalna, obecna u Bacona już w pierwszej połowie XX wieku, i jej pewnego rodzaju kontynuacja u Mikołajka w końcówce XX i początkach XXI wieku. Bliskość formalna wielu prac obu malarzy nie może natomiast upoważniać do ich jednoznacznego utożsamiania; różnice w treści – od zdeklarowanego agnostycyzmu do afirmującego katolicyzmu – sytuują je na przeciwnych biegunach. Od strony czysto wizualnej zaś różnice te są już mniej wyraźne; w obu wypadkach owo „przełamanie” realizmu abstrakcyjnymi formami wydaje się obowiązującym kanonem. Z tym, że Mikołajek nie unika pewnych nawiązań do stylistyki amerykańskiego *action painting* czy abstrakcyjno-mistycznych obrazów Ad Reinharda (*nota bene* wrocławski artysta powołuje się na jego twórczość), czy wreszcie inspiracji europejskim tasyzmem (malarstwem materii). Nie zmienia to faktu, że wypracował on już własną, niezależną i rozpoznawalną stylistykę, o niebanalnym przesłaniu.

5.

Co chce nam ten artysta swoją sztuką zakomunikować? Wiemy, że kieruje nim spora empatia wobec człowieka skrzywdzonego, że jest wrażliwy na wszelkie formy społecznego wykluczenia, że wreszcie – jak trochę naiwnie, w duchu postromantycznym wierzy – poprzez sztukę i dzięki sztuce wpłynie na zmiany w postępowaniu niektórych środowisk odbiorczych i tym samym uwznieśli ich szarą egzystencję. Dał już tego liczne dowody; w tym wymiarze wydaje się współcześnie ukształtowanym „społeczni-kiem” o pozytywnym nastawieniu do otoczenia, a wręcz niemal stawia się w swoiście

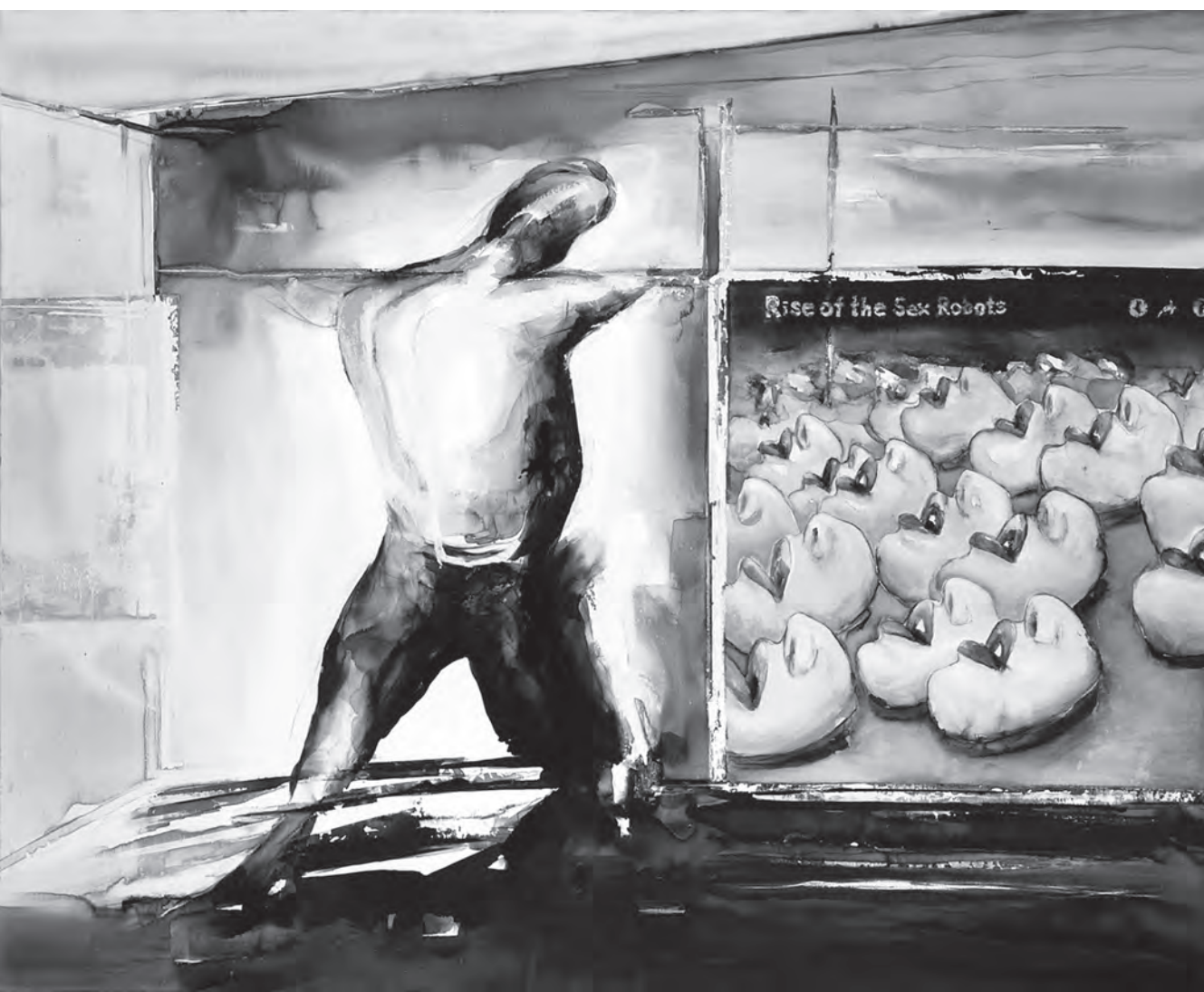
„apostolskiej” powinności mówienia o zbawieniu, przekonywania do swoich koncepcji poprzez sztukę, tj. przez jej szczególnie perswazyjną postać – obraz, namalowany komunikat o wyraźnej sile promowania zakładanych treści. Jednak ta presja wizualna nie jest nachalna. Mikołajek nie narzuca swojego punktu widzenia, stara się tylko o to, by „otworzyć” oczy odbiorcy na widzenie przedstawianej prawdy, jakby mówił: „Bierzcie i patrzcie” – oto jest chleb mojego malowania, mojego dla was przesłania...² Obrazy Mikołajka – te ekspresyjno-abstrakcyjne zapisy pasji ich autora – są tak sugestywne, że można je odbierać właśnie jako swoiste deklaracje: argumenty dla poruszenia umysłów i wstrząśnienia obojętnymi. Dlatego jego malarskie komunikaty wyrażają przede wszystkim poziom uogólnienia, skrótu wizualnego, są syntezą formy i treści. Artysta proponuje bowiem tylko znaki – zarysy ludzkiej postaci. Proponuje rozczłonkowane – jakby „kalekie” wyobrażenia ciała; nie są to więc ani upostaciowione wyobrażenia Boga, ani sylwety jego Syna Chrystusa. A jednocześnie te człekoidalne formy są symboliczne dla losów współcześnie egzystujących tu i teraz ludzi. One, apelując do powszechnej świadomości, stanowią rodzaj przewrotnie pisanych ikon – obrazów, które mówią jednak o losie człowieka, przedstawiają nagą egzystencję ludzką, odartą ze wszelkiej sakralności.

Zatem jaka w swej istocie jest twórczość Mariusza Mikołajka? Czy całkowicie podporządkowana owej sakralności inspirowanej religią katolicką? Czy raczej jest to świadomie podporządkowana aktywność wokół egzystencjalnych problemów współczesnego człowieka? Zresztą – jak się wydaje – pierwszy punkt widzenia nie wyklucza sądu drugiego.

Niewątpliwie złożone intencje malarza i jego bogate twórcze dokonania nie pozwalają na jednoznaczne uporządkowanie już prawie czterdziestoletniego okresu jego aktywności artystycznej. Mikołajek w tym czasie, pozostając pod dobroczynnym wpływem „łaski wiary”, w istocie osiągnął znakomity stan „łaski tworzenia” – i w tym sensie spełnia się jako człowiek i jako artysta. Wydaje się także, że zawsze przestrzegał hasła jednego ze swych ziemskich mistrzów (Ad Reinharda), że sztuka ma być przede wszystkim sztuką.

Artykuł w zmienionej formie był publikowany w katalogu: Mariusz Mikołajek: „Malarstwo jako źródło”. Wyd. OKiS oraz Ośrodek „Pamięć i Przyszłość” Centrum Historii, Zajezdnia. Wrocław 2021.

2 To nawiązanie do wiersza dedykowanego Baconowi, zob. Andrzej Saj, *Ofiarowanie*, „Dyskurs” 2015, nr 19.



Mariusz Mikołajek, *Kochasz mnie*, 2018

URSZULA M. BENKA

Wiersze

Wisienki śmierci podrzucamy sobie patyczkami jak w palanta
Plaża to krawędź nasza krawędź kochany
Z Malewiczem za kark
Lśnienie nocą wiśniowe wieczne ognie

Aż ciągniesz noc za struny jak za włosy kobietę
Kobiety podrzucamy sobie jak w palanta
Stare kobiety młodziutkie kobiety
Są irysami są tulipanami nocą

Biel
I czarny punkt
Muzyka zawsze wypływa otworem płciowym
Komóreczka wypatruje komóreczki
Nutka w nutkę
Na golaska
Wisienki śmierci
Wilcze jagody życia
Dziury dziurawe
Oko zezowate

Dziurawa podróż przez góry jak przez dziury w mięsie życia
Zaczyna się tym że klucz wiolinowy z żelaza
Zgrzyta i piszczy w swojej dziurce
Kłuje to co po drugiej stronie
I każda melodia w głuchym uchu jest jak komponowana
Od początku

W tej dziurce od klucza coś ją miażdżyło ucierało
Kawałkowało
Krople doskonałe nut spłaszczają w naleśniki
Wyrwane ogonki kropelek poprzyrastały tu i tam
W dziurce już cały gąszcz pustki cała dżungla

Na czarnym tle biały kwadrat
Okręt świeżo wybielony niczym nieobciążony
Lekki wiekuiście
Przemierza czerń z prądem tego co ciemne
W czerni napierają drogi falują szlaki
Rozbawione białym kwadratem

Czarny kwadrat na krawędzi rozumu
Z kółkiem w nosie
Wisienka Boga z kółkiem w nosie
Mówili święci że erekcja to rezurekcja

Białe kółeczko w mleku bieli
Gdzie nie ma śmierci nie ma nadziei
Przyptyw zaczyna się przy pełni
I wszystko okazuje się lustrem
A lustro kochane ma w nosie kółko
I trzęsie kółkiem

Wiśnie śmierci słodkie
Przez gałęzie migają gwiazdy
Pod stopami wyrocznie z piasku
Jak baby brzuchate piersiste
Dalej morze pachnie jodem jak to morze
I kuliście za horyzontem się zagina
Ciemne jak przyptyw wieczorem
Kiedy świat to śmierci wiśnia

Trudne pytania

Elżbieta Wojnarowska: Andrzej, żyjesz w zakonie. Panuje stereotypowy obraz życia zakonnego, zgodnie z którym człowiek, zrezygnowawszy ze swojego życia, ze swojej wolności, daje się zaprząć w kierat służby Bogu oraz ludziom. Jak to jest z tą wolnością? Czym jest, czym powinna być także dla Ciebie?

Jan Andrzej Kłoczowski: Wolność znaczy móc samostanowić o sobie, najkrócej mówiąc, przytaczając tę Arystotelesowską definicję. Mam absolutne poczucie, że zakonnikiem zostałem samostanowiąc o sobie i odnajdując swoją drogę. Więc w tym sensie, zaczynając i ponawiając ją każdego dnia, to przecież problem życia każdego z nas, czuję się, jak wtedy, gdy wstępowałem do zakonu – wolnym człowiekiem. Czuję się, a czy jestem? To się okaże kiedyś, tam na górze.

Uważa się, że człowiek wolny może wszystko, że jego możliwości są nieograniczone. Jednak w praktyce nie wszystko wolno, stąd zaczyna się przekraczanie granic, norm, zasad, często ich zupełny zanik. Gdzie kończy się wolność, a zaczyna samowola? Czy mądrość to przede wszystkim umiejętność korzystania z wolności, z przewidywania konsekwencji swoich czynów i odpowiedzialności za nie?

W tym pytaniu założyłaś dwie koncepcje wolności, jedną znaną już w starożytności, zaakceptowaną potem także przez chrześcijaństwo, że właśnie wolność to stanowić o sobie, w tym Sokratejskim znaczeniu, bycie sobą i tworzenie siebie. Natomiast te nowożytne koncepcje wolności polegają na jej przekraczaniu: norm, wszystkiego. Stąd jesteśmy tu u źródeł debaty bardzo istotnej, na temat tego, czy przekraczając wszystko, stajemy wobec pustki. Przypomina mi to bardzo mi bliski poemat Tadeusza Różewicza *Spadanie*, który właśnie o tym mówi. Dla mnie jest tam bardzo interesująca i głęboka analiza, i opis naszej sytuacji. Różewicz bardzo złośliwie mówi, że kiedyś były jeszcze góra i dół, jeszcze można było spaść, czyli były upadłe kobiety i upadli księża, a teraz spadamy we wszystkich kierunkach i sądzimy, że to jest wolność. Ja próbuję jednak bardziej czy mniej zgrabnie, udatnie czy mniej udatnie, kierować się przekonaniem,

że wolność jest raczej odnalezieniem zadania, które odkryłem w życiu, a które w języku religijnym nazywa się powołaniem, i które mam w rzeczywistości realizować. Wolność jest tym, co umożliwia prawdziwe, człowiecze i dojrzałe życie.

Jak wygląda Twoje życie w zakonie? Czy jest dla Ciebie trudne? Co sprawia Ci największą trudność? Czy masz czasem ochotę zwiąć, gdzie pieprz rośnie?

Pieprz bardzo lubię, ale nie tam, gdzie rośnie. (*śmiech*) Ale żarty na bok. Muszę tutaj zwolenników dynamicznego i twórczego życia rozczarować. Nigdy nie miałem ochoty uciekać z zakonu. Nie to, że mi jest dobrze, tylko wiem, że to jest moje miejsce i w tym znaczeniu dobrze się czuję, nawet gdy muszę wstawać pięta czterdzieści pięć – to dobrze robi na cały dzień. (*śmiech*)

Zawsze tak było, czy się przyzwyczaiłeś?

Wiesz, mimo że jestem takim już trochę starszym człowiekiem, to cały czas bardzo dobrze mi to robi (*śmiech*). Żyjemy w dużej rodzinie, bo jest nas prawie setka w krakowskim klasztorze. Ja się zaliczam do seniorów, ale większość są to bardzo młodzi ludzie, którzy odbywają tutaj studia teologiczne i filozoficzne. Oni uczą się do późnych godzin nocnych, więc bardzo walczą, aby godzina porannego wstawania na modlitwę była nieco późniejsza. Mamy taką walkę pokoleń, jak w każdej porządnej rodzinie, z tym że rodzinka jest troszkę duża. Stosujemy zasadę życia wspólnego, czyli to, co nas łączy, to wspólna modlitwa i wspólne posiłki, natomiast mamy ogromną swobodę w typie pracy. Ojciec Bocheński, dominikanin, powiadał, że w zakonie dominikańskim posłuszeństwo obowiązuje w kwestii wspólnego rytmu życia, na przykład modlitwy i wspólnych posiłków, natomiast jest wolność w sensie intelektualnym. Nikt na przykład nie każe mi być tomistą. Szanujemy świętego Tomasza, trzeba go znać, tak jak porządny muzyk musi zagrać Bacha, ale ma przecież świadomość istnienia Chopina czy Schuberta i innych kompozytorów, tak samo jest z nami i ze współczesną myślą filozoficzną. Odrębną sprawą jest wiara, i to, jak ktoś się decyduje na taką, a nie inną drogę, i czy ona ma przebiegać zrykami, czy być pogłębiana. To już inna sprawa.

Jak pisał w książce *Sens życia i sens wszechświata* ks. prof. Michał Heller: „Teologia powinna reagować na zdobycze nauki. Jednym z najważniejszych jest konieczność zreinterpretowania niektórych prawd religijnych, tak aby dostosować je do współczesnego, naukowego obrazu świata. Uwikłanie teologii w archaiczny obraz świata utrzymuje się tak uporczywie na skutek nieświadomości zarówno wielu teologów, jak i szerokich rzesz wierzących. Dla ludzi zaangażowanych w naukę,

obciążenie teologii czy wręcz religii, nieaktualnymi już obrazami świata, jest źródłem osobistych konfliktów i odejść od przekonań religijnych. A więc reinterpretacja prawd religijnych jest koniecznością duszpasterską”.

Umówiłam się więc z o. Kłoczowskim, że zbiorę trochę pytań, a raczej problemów od ludzi pełnych wątpliwości, tak natury metafizycznej, jak egzystencjalnej, ludzi, którzy w związku z tym często omijają progi Kościoła. Są to problemy dotyczące m.in. wszechmocy Bożej, nieśmiertelności i wieczności, cudów, dogmatów, objawień, zła, wolności, zbawienia i miłości. Zdaję sobie sprawę, że na wiele z tych pytań nie znajdziemy odpowiedzi, gdyż problemy przez nie poruszane pozostają na razie nierozwiązane, także w świetle nauki. Ale spróbujmy przynajmniej je postawić i jakoś się do nich ustosunkować. Te pytania przygotowałam i zadam je teraz kolejno naszemu gościowi. Mam nadzieję, że o. Andrzej odpowie na nie tak jak będzie potrafił, ale przede wszystkim przystępnie, i że odpowiedzi te umożliwią innym głębką refleksję.

Do tej pory, od wielu, wielu lat ja egzaminowałam, a teraz ja będę egzaminowany. (*śmiech*)

Nie ma lekko!

To będzie moje przygotowanie do Sądu Ostatecznego. (*śmiech*)

Zaczynamy. Czy człowiek wierzący może nie identyfikować się z żadną religią? Co dla takiej osoby znaczy wtedy dzień święty święćić? Co na co dzień oznacza religijność?

Po pierwsze odróżniam religię i wiarę. Religii jest ogromna liczba. Religia jest istotnym wymiarem ludzkiej egzystencji. Religia istnieje w kulturze, zawsze istniała, religia posługuje się językiem, obrazem, symbolem, a więc obrazem świata i posiada swój język, którym się komunikuje. Religia istnieje jako pewna wspólnota i jest tych religii niesłychanie dużo. Wiara jest zaś pewną postawą, jedną z postaw religijnych, nie jedyną, polegającą na akceptacji Boga. Znam wielu ludzi uznających istnienie Boga, którzy nie są ludźmi religijnymi. Takim przykładem modelowym, belferskim jest Arystoteles, który drogą czystej dedukcji metafizycznej doszedł do wniosku, że istnieje ta pierwsza przyczyna, którą nazwał Bogiem, ale ten termin „Bóg” był daleki od tego religijnego, w sensie takim, jakim go rozumieli Grecy, mówiąc o boskości. No, ale nie był człowiekiem wierzącym. Czy Spinoza, jeden z najbardziej wyrafinowanych, najwspanialszych umysłów

naszej cywilizacji, który nie wierzył, tylko wiedział, że jest Bóg, natomiast religia była dla niego czymś potrzebnym maluczkim, którzy nie są w stanie pojąć wyrafinowanego procesu weryfikacji tego przekonania. Definiował, że religia jest po to, żeby hołotę trzymać za pysk, przepraszam, że tak bezpośrednio przetłumaczyłem, ale chodziło mu o narzędzie posłuszeństwa, absolutnie się z tym nie zgadzam, ale takie miał podejście. Natomiast wiara jest to charakterystyczna postawa tych, którzy pośród innych religii definiują się jako monoteiści. Na przykład Żydzi nie definiują się jako wierzący, tylko na praktykującego Żyda mówią: bojący się Boga. Zaś chrześcijanie, wszystkich kościołów definiują się jako wierzący, nie tyle w Boga, ile Bogu. Dla nich wiara jest osobistą relacją z Bogiem. W tym znaczeniu religia jest szerokim terminem. Wiara urzeczywistnia się w pewnych zachowaniach, które mają charakter religijny, czyli w modlitwie, wyrażanej w słowach, gestach, w pewnych przekonaniach, definicji swojej tożsamości. Muzułmanin definiuje swoją tożsamość jako wyznanie Boga jedynego, którego Mahomet jest prorokiem. To jest ich wyznanie wiary.

Jako wieloletni spowiednik poznałeś bezmiar ludzkiej słabości. Stąd pytanie o wszechmoc Bożą i sens stworzenia: czy uważasz, że człowiek, tak przerażająco ułomny, faktycznie jest obrazem Boga, najwyższej doskonałości?

Jeśli mamy przejść od rozważań filozoficznych do rozważań i przemyśleń wynikających z mojego doświadczenia z kontaktów z ludźmi, to w mojej książce napisałem, że bardzo się bałem, gdy rozpoczynałem pracę jako spowiednik. Bałem się, że będę siedział w takim *anus mundi*, gdzie wszystko, co najgorsze, będzie na mnie spływało. Teraz, po 45 latach, gdy nie jestem już początkującym młodzieńcem w tej dziedzinie, moje doświadczenie jest takie, że w ludziach jest więcej biedy niż zła. Spotkałem się też oczywiście z przypadkami takiego zła świadomego, gdy człowiek celowo zadaje ból drugiemu, niszczy jakieś dobro, czyli zdradza coś bardzo fundamentalnego. Ale nigdy nie spotkałem człowieka doskonale złego i doskonale dobrego. Nasza ludzka natura jest ułomna, ale ta ułomność składa się zarówno z dobra, jak i zła. Zaś wszechmogący Bóg... musimy pamiętać o tym, że były takie próby przedstawienia sobie Boga jako absolutnego monarchy, który może dowolnie stanowić, co to jest dobro, a co zło. Były takie kierunki, nominalizm na przykład z końcem Średniowiecza, gdzie podkreślano szczególnie właśnie wszechmoc Boga i że jest ona ważniejsza do jego mądrości, że Bóg może wszystko i jeśli zechce, to z dnia na dzień może wszystko zmienić. Jest to logika przedszkolaka, który pyta, czy Bóg może stworzyć taką kulę, której sam nie podniesie. Albo, czy jeżeli jest wszechmocny, to może sprawić, że prawa fizyki, matematyki czy logiki przestaną obowiązywać, że stworzy geometrię nieeuklidesową. A przecież wiemy, że choć geometrie się rozwinęły ogromnie, wszystkie się mieszczą w obrębie jakiejś

logiki. Chrześcijanie czy większość monoteistów rozumie Boga osobowego jako takiego, który gra z człowiekiem czysto, to znaczy warunki brzegowe tej gry są jasno określone. Trzeba rozpoznać w swoim własnym sumieniu, co to jest dobro i co to jest zło. I starać się w myśl tego działać. Uważam, że trzeba mieć nadludzką siłę, żeby być człowiekiem. Bo jak mówi premier sąsiadującego niekoniecznie blisko z nami państwa: „chcieliśmy dobrze, wyszło jak zawsze”. I to jest jedno z określeń wskazujących na tę ułomność, niekoniecznie na zło.

Bóg jako wszechmocny, uosobienie miłości, stwarza tak ogromny skomplikowany, wiele miliardów lat trwający Wszechświat dla tak ułomnego człowieka, którego potem musi zbawiać?

Ja nie wchodzę w problemy kosmologiczne i astronomię, od tego mamy księdza profesora Michała Hellera. Uważam, że dzięki takim osobom jak profesor Michał Heller czy instytucjom jak Papieska Akademia Nauk, z którą współpracuję, dyskusja między nauką a wiarą bardzo się posunęła. Ma dziś inny charakter niż na przykład w XVII czy nawet XIX wieku. W gronie studentów, z którymi spotykam się w sensie duszpasterskim, widzę, że wśród wierzących więcej jest tych, którzy studiują nauki ścisłe, przyrodnicze czy matematyczne, niż humanistów. Problem debaty nauka–religia w tej chwili rozgrywa się więc na poziomie nauk humanistycznych. Humanistyka przeżywa pod względem metodologicznym bardzo wielki kryzys. Wracają postmodernizm, relatywizm czy nihilizm. A jednocześnie rozwija się świadomość historyczna, umiejętność interpretacji dokumentów historycznych. W tej chwili spór między wiarą a nauką toczy się głównie między fundamentalistami, którzy mieszkają na południu Stanów Zjednoczonych, czyli Teksas i okolice. Mówi się o nich, że stanowią taki biblijny pas. Oni nadal wierzą w siedem dni stworzenia i że Pan Bóg ulepił człowieka z gliny. A po drugiej stronie tego sporu są fundamentaliści ateistyczni, którzy podejmują polemikę z tymi Teksasńczykami. Czy jest życie w Kosmosie? Oczywiście, że jest, na pewno bogatsze niż tutaj. Cała religia chrześcijańska dotyczy tylko człowieka i jego egzystencji tu na ziemi. Kosmos jest piękny, ale i przerażający. Najbardziej przerażają mnie te czarne dziury. Natomiast naszym problemem jest to, co my mamy ze swoim życiem tu na ziemi zrobić. To tu na ziemię przyszedł Bóg zbawić człowieka. Historia zbawienia dotyczy tego, co się stało, tu na ziemi, tych świadomych istot, które będą odpowiadały za to, jak tu na ziemi żyły.

Jeżeli nasz świat, cały Wszechświat, istotnie jest stwarzany cały czas, a raczej wciąż dzieje się akt stwarzania, czyli zamysł stwórczy jest jednocześnie dziełem, to czy Bóg nie widział, a raczej nie widzi, ile w tym, co tworzy, jest zła i cierpienia? Jak

można uznać za dobre pożeranie się zwierząt, wojny, choroby dzieci, śmierć, potworność Oświęcimia? Czy życie ludzkie musi być ceną?

Poruszyłaś tu wiele różnych rzeczy. Jest zło, za które odpowiada człowiek. I są zjawiska przyrodnicze, które są związane z pojęciem śmierci. Ale wyobraźmy sobie świat, w którym by nie było śmierci, Przecież byśmy się w nim po prostu nie zmieścili. Więc jest w tym zawarta pewna logika. Zastanówmy się, czy na pewno suma zła jest tylko dziełem człowieka. Czy to zmaganie się, nie jest czymś szerszym w sensie kosmicznym, duchowym. Pamiętajmy też o tym, co jest sensem religijności, że życie tutaj jest tylko wstępem do tego, co ma się dzieć potem, czyli do życia wiecznego, a więc życie tutaj nie jest zamknięte.

Zło czyste istnieje, chrześcijaństwo uznaje jego istnienie. Niezależnego od człowieka zła, które kusi, a które ostatecznie zostało opisane w Księdze Rodzaju. Pokusa polegała na tym, by człowiek zjadł jabłko z Drzewa Poznania Dobrego i Złego. Pokusa obiecywała, będziecie jako bogowie, znający dobro i zło. Ciekawe jest odwołanie się do hebrajskiego, „znający” to tyle, co „stanowiący o tym”. To znaczy, że grzech pierworodny jest wzorem każdego grzechu, polegającego na tym, że to człowiek chce decydować, zamiast Boga, o tym, co to jest dobro i zło. Ja chcę być jak Bóg – to jest ta pokusa. Owocem tego jest opis biblijny, mitologiczny, a mity, jak to rozumie współczesna hermeneutyka, to rozbudowany symbol. Nie można tu czynić weryfikacji w sensie historycznym, to jest coś znacznie głębszego. Potoczne rozumienie wyrazu symbol jest banalne. Na przykład mówi się, dostałem pracę, ale płacą mi symbolicznie, albo obiecali mi obiad, ale to było tylko symboliczne jedzenie. A symbol w mocnym znaczeniu, otwiera nas na nowy, głęboki wymiar rzeczywistości. Pierwsze, co czyni człowiek, zerwawszy przymierze z Bogiem? Brat zabija brata. Wszystko, co potem następuje to katastrofa. A to znaczy, że człowiek, chcąc być jak Bóg, nie tylko popełnia błędy, ale staje się mordercą – też bratobójcą. Duże wrażenie zrobiło na mnie zdjęcie z Auschwitz pokazujące przedstawicieli zarządu koncernu gazowni, którzy mieli sprawdzić działanie gazu w komorze gazowej. Przyjechał elegancki pociąg, przyjechali bardzo eleganccy panowie, w pierwszym rzędzie dyrekcja, za nimi w drugim rzędzie sekretarze, a pierwszy z lewej strony, sekretarz jednego z dyrektorów, doktor Faustus. Mówi się, że każdy naród ma takiego diabła, na jakiego zasługuje. W Polsce mamy bardzo niepoważne postacie diabła, jakiś Boruta czy Rokita, nie mam tu na myśli polityka. Niemcy mają groźniejszego, doktora Faustusa. W katechezie takie obrazki diabełka z kopytkami i ogonkiem dają mylące wyobrażenie, bo odbierają prawdziwą groźbę tego zła, które naprawdę jest złe i naprawdę zabija. Trzeba oczywiście robić mądre rzeczy, na przykład martwić się o ocieplenie klimatu, ale przede wszystkim pytajmy o to, w jakim sensie my jesteśmy za coś odpowiedzialni. Nie chodzi o zło fizyczne, nie mamy wpływu na tsunami, chodzi mi głównie o zło moralne, które jest dziełem człowieka. A wybuchy wulkanów czy tsunami to już inna rzecz.

Wiemy, że ewolucja jest udowodniona, także ewolucja człowieka, czyli nie było Adama i Ewy. Człowiek rozwinął się ewolucyjnie między innymi z Pitekatropów, Australopiteków, czyli nie było żadnego raju. To skąd to zło? Zacytuję prof. Michała Hellera: „Jeżeli wszechmoc wyobrażamy sobie w ten sposób, że wyrażenie chęci jest równoznaczne z jej spełnieniem, to trudno wybronić Boga przed zarzutem odpowiedzialności za cierpienie. Wybrał drogę ewolucji oznaczającą się wzrostem entropii, koniecznej do wzrostu coraz większej złożoności organizmów, wtedy cierpienie jest naturalną koniecznością, a nieprzystosowani to odrzuty. Bóg, zmierzając do celu, musiał cierpienie włączyć do swojego planu, bo tak mu kazała strukturalna konieczność”. Tak jakby nie mógł wybrać innego sposobu. Czy można sądzić, że jednak nie jest wszechmocny, a może po prostu pozbawiony uczuć?

Po pierwsze stworzenie nie jest początkiem. Mówi się, że to jest zapoczątkowanie w pewnym czasie. Stworzenie jest aktem dwóch zdarzeń utrzymujących świat. Stworzenie to nie jest to, że ja biorę szklankę, tylko że trzymam ją w ręku. Bóg stale stwarza świat, utrzymuje go. Biblia nie jest podręcznikiem geologii czy zoologii. Adam to nie jest tylko Adam, jest to każdy człowiek. Wielkością tego języka mitologicznego – czyli symbolicznego, jest to, że odsłania prawdę rozgrywającą się w życiu każdego człowieka. Nie jest nam dana śmierć jako koniec wszystkiego, jako śmierć wieczna w sensie utraty przez człowieka bytu na zawsze. Istotą każdej religii jest to, że człowiek jest stworzony do życia, które wykracza poza jego śmierć.

Stwórca, jeżeli jest, stworzył ludzi nie tylko o różnych kolorach skóry, ale też w różnych kulturach, o różnej mentalności i uwarunkowaniach, także genetycznych. Stąd różne drogi do Boga. Wyznający rozmaite religie zapalcząwie się zwalczają, co przybiera często rozmiary fanatyzmu i terroryzmu, na skutek twierdzenia, że ich religia jest tą właściwą, pozostali zaś to ci, których trzeba nawrócić albo zwalczać. Czy misje katolickie, prócz oczywiście działalności charytatywnej, są wobec tego celowe? Po co nawracać tych ludzi? Czy nie lepiej pozwolić im żyć zgodnie z duchem i tradycją swoich przodków? Czy katolicy mają prawo głosić, że ich droga do Boga jest najwłaściwsza?

Problem kultury. Po pierwsze, trzeba stwierdzić, czy wszystkie dotychczas nam znane tradycje kulturalne są religijne. Istniał taki mit, że pierwsze kultury były ateistyczne. To jest nieprawda. Przykładano wzorzec europejski i twierdzono, że tam, gdzie nie ma kościoła, księdza czy pastora, nie ma religii. Jest religia. Ten wymiar religijny jest bardzo istotny. Istnieją jednak ogromne różnice pod względem rozwoju cywilizacyjnego. Mamy wielkie kultury: Indie, Chiny. Każda religia ma inną wizję nie tylko Boga, ale także

człowieka, z ogromnymi konsekwencjami, które z tego wynikają. Weźmy na przykład hinduizm czy buddyzm, głoszące reinkarnację. Czyli każdy, kto pojawia się na świecie, zaciąga karmiczny dług, bo życie jest tylko kolejnym wcieleniem, w którym człowiek musi spłacić swój dług. Stąd złudzenie, że reinkarnacja jest formą życia wiecznego, i stąd przekleństwo reinkarnacji polegające na tym: nie będę żył wielokrotnie, tylko będę umierał wielokrotnie, a cierpienie jest po to, żeby spłacić dług karmiczny. Matka Teresa zajmowała się tymi cierpiącymi ludźmi. Czy miała się nimi nie zajmować, bo oni cierpią żeby spłacić swój dług? A Karl Jaspers, bynajmniej nie religijny filozof pisał, że Europejczyk musi się spieszyć, bo żyje tylko raz. Najubożsi ludzie, nawet w slumsach i fawelach mają komórki i telewizory, w takim kierunku poszła dziś technologia. Nie chcę przez to głosić wyższości kultury europejskiej. Często Chopina grają najlepiej Japończycy, a to świadczy o tym, że powinniśmy mieć tendencje do wzajemnego wzbogacania się. Mówimy o naszych misjonarzach w Afryce, ale przecież są misjonarze buddyjscy w Stanach Zjednoczonych i Europie. Dialog religijny jest wielkim wyzwaniem cywilizacyjnym i najpierw powinien być poddany badaniom znawców. A tymi znawcami są mnisi, którzy istnieją w każdej tradycji.

Świadomość powstaje na styku energii – tej, która działa we wszechświecie na każdym z jej poziomów, oraz biologicznych, genetycznie indywidualnie uwarunkowanych, a więc jednostkowych osobniczych i niepowtarzalnych warunków w mózgu. Stąd nasza indywidualność osobnicza i wyjątkowość naszej świadomości, jej niepowtarzalność. Śmierć powoduje nieodwracalne zniszczenie struktury mózgu. Jak mamy zachować wobec tego po śmierci naszą świadomość, gdy brak jest tej biologicznej podstawy? Nie jesteśmy przecież samą energią, tylko jej biologicznym receptorem. Czym więc jest nieśmiertelność? Jak należy rozumieć „życie wieczne”?

Widziałaś trójkąt? Nie. Widziałaś rysunek na tablicy. Trójkąt jest pojęciem abstrakcyjnym. Oczywiście jesteśmy psychofizyczni, ale jestem zwolennikiem Arystotelesowskiej koncepcji duszy jako tego elementu ożywiającego. Jednocześnie jestem głęboko przekonany o tym, że ten biologiczny twór integralny, jakim jesteśmy, nie zamyka się tylko i wyłącznie w naszej bytowości czysto fizycznej czy psychofizycznej. Stara dobra tradycja grecka pogłębiona przez religie monoteistyczne, wyróżnia ciało i duszę – czyli jesteśmy zdolni do myślenia wykraczającego poza czysto fizyczne uwarunkowania, które oczywiście mają znaczenie. Ale duch to jest ten wymiar, dzięki któremu wykraczamy poza sprawność komórek mózgowych. Tak jak jakość fortepianu ma znaczenie dla jakości dźwięku, który wydobywa pianista, ale nuta muzyczna przenoszona przez falę dźwiękową jest jeszcze czymś więcej niż falą. Teza, którą przytoczyłaś jest typową

tezą naturalizmu – czyli redukcjonizmem, sprowadzającym wszystko do tego, co może być w sensie fizycznym sfalsyfikowane bądź zweryfikowane. Ewentualnie, jak w przypadku matematyki czy logiki, wywodzone przy pomocy wnioskowania z pewnych reguł logicznych, które są nieweryfikowalne w sensie empirycznym. Człowiek jest dużo bardziej złożoną strukturą. Chrześcijanie wierzą w zmartwychwstanie, ale to jest tylko wiara.

A co z odpowiedzialnością za czyny – piekło, niebo, itd.? Jak można poważnie traktować objawienia czy wizje świętych, ich zapewnienia, że widzieli piekło i grzeszników smażących się w smole, mimo iż ci nie mają przecież ciał? Jak się ma wieczne potępienie do Bożego miłosierdzia i tego, że Jezus umarł za wszystkich, także grzeszników? Jak rozumieć zbawienie?

Jak powiedziałem, człowiek jest ułomny i trzeba nadludzkiej siły, żeby być człowiekiem. Co jest znane choćby myśli rzymskiej, która mówi, widzę dobro, ale idę za złem. To jest nieustanne nasze doświadczenie, że najważniejsze nasze wydarzenia przychodzą do nas jako dar. Nie można kupić przyjaźni ani miłości. Czyli te wielkie duchowe wartości przychodzą do nas za darmo. Pokorę traktujemy nie jako uniżenie. Pokora jest umiejętnością przyjęcia daru. Pycha polega na tym, że zawsze muszę mieć zamknięty rachunek z kimś. Tak często jest z nami, gdy ktoś nam coś ofiaruje, od razu się zastanawiamy, co ja mam mu dać, żebyśmy byli na zero. Człowiek sam siebie potępia, odmawiając przyjęcia daru, jakim jest zbawienie. Żartując, człowiek niedojrzały, gdyby się znalazł w niebie, nie wiedziałby, gdzie jest. Na pewno obrazy piekła są naiwne, choć genialnie opisane przez Dantego. Gdy rozmawiam z ludźmi, którzy przeżywają właśnie ostry atak depresji, widzę ilu ludzi doświadcza cierpienia polegającego na odrzuceniu miłości. Tutaj szukajmy opisu tej niedoli ludzkiej i tego rozmijania się człowieka ze sobą. W nasz los tutaj wpisane jest ponoszenie konsekwencji naszych czynów. Najchętniej obarczamy tymi konsekwencjami innych. Różnica polega na tym, że to ja, a nie ktoś inny mam ponieść wszystkie konsekwencje mojego życia, skazuję się na nie.

Na ziemi życie rządzi się prawami biologii. Każdy człowiek ma inne uwarunkowania genetyczne, do tego dochodzą różne rodzaje osobniczego życia, wychowanie, odżywianie, warunki mieszkaniowe itd. Różnie więc reagujemy na leki i choroby, żadna choroba nie ma identycznego przebiegu, a leczenie – nawet w przypadku identycznej choroby – ma niemożliwy do przewidzenia skutek. Nawet bardzo szczegółowe badania nie są w stanie wykazać, co się w nas dzieje, często dopiero na stole operacyjnym okazuje się, co naprawdę mamy tam w środku. U jednych ludzi ta sama choroba cofa się samoistnie, podczas gdy inni umierają. Organizm

jednego człowieka potrafi zwalczyć chorobę, innych – nie, i nie ma to nic wspólnego z cudami. Widać to najlepiej, gdy msze za zdrowie i modlitwy za chorych nie odnoszą żadnego skutku, chorzy umierają, jeśli mieli umrzeć. Dlaczego nie potrafimy się z tym pogodzić, a jeśli nie umiemy sobie czegoś wytłumaczyć, uważamy to za cud, podczas gdy w świetle naszej wciąż ułomnej wiedzy, wciąż jeszcze nie wszystko o naszych organizmach wiemy? Dlaczego Kościół trzyma się pojęcia cudu, skoro na skutek nawet nieuchwytnych zmian okoliczności, zadziałały prawa biologii, które przedtem, w nieco innych okolicznościach nie mogły zadziałać? Zawsze należy mieć nadzieję, że wyzdrowiejemy, ale może jednak nie oczekujemy cudu tylko po prostu pozytywnego zakończenia? Znane są przecież przypadki, że chorzy zrezygnowali z leczenia na przykład na raka, bo liczyli na cud i przez to przegrali walkę o życie.

Gdybyśmy byli czysto biologiczną naturą, nie byłoby kultury, nie byłoby ksiązek. Co do wiary i cudów, ja posługuję się klasyczną zasadą świętego Augustyna, który powiedział: chorujesz, to módl się tak, jakbyś nic nie mógł zrobić, ale lecz się tak, jakby Boga nie było. To jest uczciwe chrześcijańskie podejście. Po to Bóg dał ci rozum, żebyś go wykorzystał. I nie należy mylić prośby o uzdrowienie z magią. Magia to karykatura religii i polega na wierze, że określone fizyczne działania pozaracjonalne sprawiają pewne fizyczne skutki. Nie, tu jest coś innego. W ręku Boga jest to, czy się wyleczysz, ale ty masz rozum i masz się leczyć.

Znów zacytuję prof. Hellera: „Dla teologa obraz ewoluującego świata stwarza konieczność nie tylko przemyślenia w nowym kontekście problemów zła i cierpienia, ale także zreinterpretowania wielu fundamentalnych prawd religijnych: o stworzeniu, o grzechu pierworodnym, o odkupieniu, o eschatologii, a zatem praktycznie całej teologii. Ewolucyjny obraz świata do tego stopnia różni się od obrazu świata biblijnego, w ramach którego średniowieczni i późniejsi filozofowie tworzyli swoje syntezy, że fakt ten wymaga od współczesnej teologii gruntownych przemyśleń”. Czy Kościół robi coś w tej sprawie?

Średniowiecze przejęło starożytną koncepcję świata. Dzisiaj, jak mówiłem, nie tyle zagrożeniem jest spór „nauki przyrodnicze a wiara”, ile nauki humanistyczne, ich wizja świata. Drugi sobór watykański też o tym mówił. Współczesna teologia jest zdecydowanie inna niż ta reprezentowana przez filozofię starożytną czy wielkich klasyków średniowiecznych. A Oświecenie ma też swój ciemnogród. Mówiono na przykład że średniowiecze było wiekami ciemnymi, podczas gdy higiena była wtedy na o wiele wyższym poziomie, a to panie w XVII wieku nie myły się, tylko perfumowały.

Wracamy do wolności. Czas, który dla nas istnieje, warunkuje możliwości, które teoretycznie możemy urzeczywistniać, jednak za cenę przemijania, bo kierunek czasu wyznacza nam rozpad – czyli śmierć. Z drugiej strony religia mówi, że Bóg przeznaczył każdemu człowiekowi indywidualny cel do urzeczywistnienia w jego życiu. Gdzie w takim zdeterminowaniu miejsce na wolność i gdzie objaw Bożej miłości w stworzeniu np. kaleki? Jeżeli Bóg zna przyszłość na mocy oglądu, to znaczy, że ona już istnieje, została postanowiona. Czy pozostawia to faktycznie miejsce na wolność człowieka? A to co nam się wydaje naszą decyzją, zostało w jakimś sensie już zadekretowane? Gdzie miejsce na naszą odpowiedzialność?

A czy znasz utalentowanych, którzy się nie urzeczywistnili, nie objawili swojego talentu? Dramat człowieka polega nie na tym, że nie jest zdolny, ale że jest zdolny, ale nie chciał o niego. Wolność polega na tym, że mamy odkrywać, co jest w nas iskrą Bożą. I znalezienie tego jest znalezieniem także drogi, która pozwoli nam urzeczywistnić siebie. I w tym znaczeniu odbieram moje powołanie – jako realizację mojej wolności, właśnie w sensie twórczym. Każdy został wezwany, ale dobra są różne. Czasem są one zupełnie niewidoczne. Chyba więcej jest dobra takiego niewidocznego niż takiego, które widzimy. Czy pani Szymborska byłaby wolna, gdyby zmarnowała talent, czy jednak była wolna, bo posłuchała tego czegoś, co w niej było, co ją niepokoiło i co jej kazało przekraczać stale siebie? Czym jest ten niepokój twórczy? No tym, co decyduje o jakości ludzkiego życia w każdej dziedzinie.

A jeżeli dziecko bardzo utalentowane bardzo wcześnie umrze i nie zdąży rozwinąć swojego talentu?

Nie wiem. Wierzę, że to dziecko ma swoje miejsce, gdzie już jest mu dobrze.

Prof. Heller pisze: „W czasowej perspektywie Boga nic nie stoi na przeszkodzie, by wysłuchać czyjejs modlitwy zanoszonej w XXI wieku, przez umieszczenie w warunkach początkowych wszechświata takich elementów, które zagwarantują jej spełnienie”. Czyli miliony próśb i modlitw, często kolidujących ze sobą, powodują modyfikacje przez Boga w już zamierzonym i zrealizowanym wszechświecie? Wystarczy modlitwa o dziecko i już historia inaczej się toczy, a drzewa genealogiczne wyglądają inaczej? To dość naiwne wyobrażenie.

To jest język fizyczny, nie normalny język. Nie ma wzoru fizycznego na modlitwę, jak nie ma wzoru fizycznego na miłość. I ostatnią rzeczą, którą się może zająć fizyk, to kwestia wolności. Fizyka interesują prawa – czyli determinizm fizyczny. To jest inny język, inny porządek. Sam determinizm nie jest w stanie wytłumaczyć, dlaczego Einstein był

geniuszem. A to właśnie była jego wolność, że mógł to w sobie uchwycić i rozwinąć. Język fizyczny i budowanie takich modeli jest czymś innym niż język budowania relacji międzyosobowych. Fizycznie mogę opisać, ile metrów nas dzieli i jaki jest przekrój twojej czaszki. Ale to nic nie mówi o tym, co siedzi w twojej czaszce. A jeśli chodzi o nasze relacje z Bogiem, również posługujemy się ludzkim językiem. Oczywiście jesteśmy wpisani w czas i przestrzeń. Natomiast wieczność nie jest nieskończonym przedłużeniem życia, nieskończonym czasem, tylko jest wyjściem poza wymiar czasu i przestrzeni. Możemy to przyjąć jako definicję, natomiast żadne wyobrażenia temu nie towarzyszą. Dywagacje nad tym, czy Bóg wysłuchał modlitwy jakiejś Chinki w III wieku nie mają sensu, natomiast do mnie mówią na przykład Psalmi czy Pieśń nad pieśniami, bo są ponadczasowe. Mówią o sprawach, które teraz czuję, o których teraz myślę, które przeżywam. Relacja Boga i człowieka raczej w tych kategoriach się odbywa. Dlatego tak specyficzny jest język religijny, jego sposób rozumienia i interpretacji, zbudowany na modelach relacji międzyosobowych, a nie na języku fizycznym, który jest po prostu ułomny.

Od setek lat wmawiano człowiekowi, że jest we Wszechświecie uprzywilejowany i ważny. A jeśli nie jest ważny? Już kiedyś dowiedział się, że to Ziemia kręci się wokół Słońca i przeżył szok, potem okazało się, że jego Ziemia krąży gdzieś na peryferiach Wszechświata i ciężko to zniósł. Teraz może się okazać, że wcale nie jest jedyną istotą we Wszechświecie. A jeśli naprawdę jedyną, ale zupełnie przypadkową? Może czas na pokorę, na szacunek i tolerancję wobec wszystkich ludzi i ich odmiennych postaw, skoro być może jesteśmy samotni w kosmosie i mamy tylko siebie?

A dlaczego wszędzie mają być ludzie? Może gdzie indziej jakieś bardziej inteligentne twory są na Alfa 7 czy 8? Setki miliardów lat świetlnych od nas. Owszem, było to wszystko dla ludzi wstrząsem niesłychanym, głównie w XVII wieku. Pascal świetnie zauważył: nieskończoność przestrzeni przeraża mnie. Uświadomił sobie człowiek swoją kruchość. To prawda. Ale czy zmieniło to teologię albo relację między człowiekiem a Bogiem? Bóg nie mówi do nas językiem kosmologii i fizyki. Mówi językiem miłości. I to jest problem istotny. A fizycznego wzoru miłości nie ma.

Czym wobec tego jest, czym powinna być miłość? Jak należy ją rozumieć, skoro przy okazji najprostszycy kryzysów międzyludzkich dochodzi do rozpadu więzi, norm, zasad, przestają one istnieć, zastępowane namiastkami lub pełnym ich brakiem. Dlaczego wciąż więcej zła niż dobra? I dlaczego czynienie dobra nie jest czymś oczywistym, tylko uważane jest za bohaterstwo albo za głupotę? Jak wobec tego, wciąż tak doświadczani, mamy uważać, że Bóg jest miłością, że kocha nas, jednocześnie zsyłając nam śmierć?

Nie wiemy, czy więcej jest zła niż dobra. Trzeba być Panem Bogiem, żeby to wiedzieć. Ja przyznam, że tego nie wiem. Spotykam się z bardzo różnymi doświadczeniami, ale moje doświadczenie wskazuje, że jest bardzo dużo dobra. Nie należy patrzeć na świat przez telewizję. Kłamstwo literatury polega na tym, że przedstawia zło jako coś bajecznie ciekawego, interesującego, natomiast dobro jest zawsze nudne, śmieszne i banalne. A to nie jest prawda. Dobro jest zawsze ciekawsze, bogatsze od zła. To zło jest banalne i brudne. A czym jest miłość? Prosta sprawa, posługujemy się takim podziałem na altruistów i na egoistów: egoista to ten, który kocha siebie, a altruista to ten, który szuka dobra w innych. Co jest teoretyczną bujną. Dla mnie prostsze i bliższe doświadczeniu jest przykazanie: kochaj bliźniego jak siebie samego. Czyli możesz kochać innych, jeżeli kochasz siebie. Bo taki jest pierwszy etap dojrzałości – zaakceptować siebie. Najgorszy typ człowieka, jakiego można spotkać, to nienawidzący siebie egocentryk, który jest zajęty sobą, a ponieważ stale siebie nienawidzi, stale jest sobą zajęty. I nie ma tu w ogóle miejsca na drugiego człowieka, bo on tylko sam siebie widzi. Miłość jest dynamiką, więc rozwój miłości polega na tym, żeby kochać siebie, ale przestać się tylko sobą zajmować. A co to znaczy miłość? Oznacza pełne wzięcie odpowiedzialności za drugiego człowieka. Bliski jest mi pogląd właśnie odpowiedzialności, że problem etyczny tych relacji międzyludzkich jest bardzo mocno określany przez postulat odpowiedzialności. Miłość jest to więc akceptacja i odpowiedzialność za drugiego. Wziąć na siebie jego życie, ból, wszystko, co go dotyczy. Miłość to radość z istnienia drugiej osoby i pełna życzliwości troska o tego człowieka, żeby ta radość mogła rosnąć. I z tym się całkowicie zgadzam.

Rozmowa z O. Janem A. Kłoczowskim pochodzi z książki E. Wojnarowskiej pt. „Światłoodczucie II. Czyli rozmowy na XXI wiek”, przygotowywanej do wydania przez SPP.



Henryk Tomaszewski, opera Stanisława Moniuszki *Paria*, 1951,
Opera we Wrocławiu (czyt. s. 156)

Czyżby to była jedna z tajemnic Henryka Tomaszewskiego?

Ruch jest afirmacją życia.

Henryk Tomaszewski

Czwartego listopada 1956 roku odbyła się we Wrocławiu premiera pierwszego programu nowo powstałego Teatru Pantomimy Henryka Tomaszewskiego. Nikt wtedy nie sądził, że nazwisko Tomaszewski stanie się w Polsce synonimem słowa pantomima; lecz aby to się spełniło, czekała przyszłego mistrza syzyfowa praca.

Swój teatr budował w zasadzie z niczego, mając jedynie pomysł, olbrzymi entuzjazm i talent. Skąd miał brać wzory? W pantomimie był samoukiem, a takiego teatru w Polsce brakowało. Aktorów – przyszłych mimów, sam musiał kształcić i przygotowywać do kolejnych ról i kolejnych premier. Tworzył teatr autorski, w którym nie tylko był aktorem (do 1962), autorem scenariuszy, reżyserem, ale i często dobierał do swych pantomim muzykę. Budował i stworzył w Polsce teatr nowatorski, teatr mimu zbiorowego, gdzie tworzywem sztuki dramatu był nie pojedynczy aktor mim, lecz zespół. Był zarazem twórcą i propagatorem jedynej w takiej skali, indywidualnej formy dramatu pantomimicznego.

Tymi słowami wprowadzałem uczestników pokazu i wykładu odbywającego się w dniach 30 listopada – 2 grudnia 2006 w Instytucie Polskim w Paryżu podczas Hommage à Henryk Tomaszewski. Zorganizowała te obchody mieszkająca i prowadząca w Paryżu własną szkołę Magenia, jedna z pierwszych aktorek Teatru Pantomimy Ella Jaroszewicz. Chociaż podczas mojej gawędy koncentrowałem się głównie na muzyce w spektaklach Tomaszewskiego, częścią mego słowa wprowadzającego były fakty z historii pantomimy i powiązania mimu z baletem. Wtedy padło pytanie: kto dla Tomaszewskiego był wzorem, skąd brał przykłady...? Domyśliłem się, że to pretekst, aby przywołać szkołę francuską: Debureau, Decroux czy Marceau. Od nich Tomaszewski wziął technikę mimu. Później jej twórców zwał imitatorami.

O twórcy polskiej pantomimy i jego teatrze napisano wiele. Istnieją opracowania: Janiny Hery, Andrzeja Haubsbrandta, Krzysztofa Kucharskiego, Jolanty Kowalskiej, wywiady Magdy Podsiadły, obszerne prace naukowe Karola Smużniaka, wspomnienia aktorów teatru Leszka Czarnoty i innych.

Zadane wtedy pytanie przypomniało mi, że Tomaszewski wzorował się nie tylko na szkole francuskiej, także na innych. Będąc autorem opracowania muzycznego i fragmentów muzyki do jego dwóch ostatnich spektakli (*Kaprys* i *Tragiczne gry*), wielokrotnie mogłem bezpośrednio uczestniczyć w procesie kształtowania tych spektakli i czasami przy tej okazji ucinąć sobie z mistrzem na różne tematy rozmówkę.

Tomaszewskiego poznałem podczas cotygodniowych, niedzielnych „poszukiwań skarbów” na giełdach staroci odbywających się ongiś przed WDK-iem i Halą Stulecia (wtedy Ludową). Należał, tak jak i ja, bracia Motasowie czy prof. Roman Kaleta do starych bywalców. Krążył wśród rozlicznych stoisk-kramów i jak każdy bywalec chował za pazuchą swą zdobycz.

Kiedy zaprosił mnie do teatru i zaproponował prace przy *Kaprysie*, z naszej rozmowy wynikało, że wiedział o mojej wiedzy teatralnej i o pantomimie. Byłem wtedy współautorem i autorem kilkudziesięciu muzyk, między innymi w teatrach dramatycznych, lalkowych, teatrach studenckich, zwłaszcza Teatru Mimu „Gest”. No i byłem w miarę młody, obyty z teatrem awangardowym. Znałem współczesną sztukę mimu, wszak wielokrotnie uczestniczyłem, razem z Gestem w festiwalach teatrów pantomimy między innymi w Jenie, Yorku, Reus (Hiszpania), Berlinie.

Zasadniczo te teatry różniły się od sztuki Tomaszewskiego. Dominował teatr ludyczny, małoobsadowy z elementami kłownady, często z tekstowymi wstawkami. Mimo że zwały się zespołami pantomimy, mieszały techniki teatralne. Można w nich było znaleźć wszystko: od teatru lalkowego po cyrkowe numery i uliczną paradę.

Był to jakby drugi biegun w stosunku do teatru Tomaszewskiego, teatru w założeniu „eleganckiego”, którego podstawowe cechy to precyzyjny, dopracowany do każdego szczegółu ruch i, co za tym idzie, wysmakowana estetyka każdej sceny. Obraz dopełniały – poza muzyką, scenografią i światłem – znakomite kostiumy, starannie uszyte z prawdziwych, a nie erzacowych materiałów. Ważne było też to, że teatr zawsze grał na klasycznej, z kurtyną, horyzontem i kulisami, pudełkowej scenie.

W swoich ostatnich przedstawieniach mistrz coraz więcej i częściej czerpał z języka ubogiej pantomimy. Mimo że wielu z jego aktorów było tancerzami, rezygnował z baletowego ruchu oraz nadnaturalnego gestu, często będącego swoistą, a nawet emfaticzną nadinterpretacją granej przez mima sytuacji. Mówił, że: „Renesans pantomimy jest następstwem przemian w teatrze »mówionym«. Teatr awangardowy zmienił funkcje aktora. Z przeżywającego, wczuwającego się w rolę, stał się aktorem grającym, udającym. Mówiąc swój tekst, prawie natychmiast go komentuje. Bywa, że jest tylko marionetą.

Również taniec, balet bardzo się zmienił, choć trudno powiedzieć, czy w swoich kolejnych metamorfozach zbliżył się do pantomimy...”. Aktorom udowadniał, że balet to akwarela, pantomima zaś to tylko rysunek.

Jolanta Kowalska w książce wydanej z okazji sześćdziesięciolecia Wrocławskiego Teatru Pantomimy zatytułowanej *Teatr swój widzę kuliście*, w artykule *Alfabet ciała* pisze, że poza niemyym kinem i teatrem chińskim prawdopodobnie jednak najobfitsze inspiracje przyniósł Tomaszewskiemu niemiecki ekspresjonizm, w tym przede wszystkim pantomimy Maxa Reinhardta i nurt tańca wyrazistego reprezentowany przez Rudolfa von Labana oraz jego wybitnych uczniów: Kurta Joosa i Mary Wigman. Kowalska używa przy tym określenia „prawdopodobnie”. Obszerniej pisze o tym Rafał Węgrzyniak w tekście *Jeszcze o Tomaszewskim* zamieszczonym na stronie serwisu internetowego teatrologia.info. Jest to recenzja książki jednego z czołowych mimów teatru w latach 1959–1974 Leszka Czarnoty pod tytułem *Książka o mistrzu. Subiektywna historia teatru pantomimy Henryka Tomaszewskiego (1959–1974)*.

Kilka słów o Mary Wigman pozwoli czytelnikowi przyswoić twórczość niemieckiej tancerki. Inspiracją jej tańca były instrumenty perkusyjne, zwłaszcza instrumentarium kultur dalekiego wschodu. Fascynowały ją dzwony, gongi, bębny z Indii, Tajlandii, Afryki, Chin. Bywało, że muzyczny akompaniament jej tańców stanowiła tylko sama perkusja, a często wykonywała taniec w ciszy.

W swym tańcu przedstawiała walkę dobra ze złem. Niektóre z choreograficznych układów były rodzajem akceptacji śmierci. W 1920 roku Wigman otworzyła szkołę w Dreźnie, które odtąd stało się centrum niemieckiego tańca nowoczesnego. Najwięksi niemieccy tancerze i choreografowie, w tym Harald Kreutzberg, związani byli z jej szkołą. Jej często ekscentryczne pomysły choreograficzne nazywano *Ausdrucktanz* (taniec ekspresyjny). Ówczesna amerykańska prasa pisała: „Mary Wigman... stała się najważniejszym interpretatorem europejskiego tańca stylu nowoczesnego, stworzonego w Niemczech i znanego jako taniec ekspresyjny”. Nic dziwnego, że stanowiły jeden z „klocków-wzorów” składających się na wyraz i kształt późniejszej twórczości mimicznej Tomaszewskiego.

Nim przejdę do Haralda Kreutzberga, przywołam pewną sytuację, a była ona związana z opracowywaniem muzyki spektaklu. Do tej pory (poza okresem pierwszych przedstawień) mistrz zamawiał oryginalną, specjalnie komponowaną do danego przedstawienia muzykę u uznanych kompozytorów, także wrocławskich (np. Augustyn Bloch, Andrzej Markowski, Juliusz Łuciuk, Zbigniew Karnecki, Rafał Augustyn), którą nagrywało się w studio. Uczestniczyłem w niektórych nagraniach jako tak zwany muzyk sideman.

Ostatni okres jego twórczości charakteryzował się dobieraniem określonych utworów muzycznych z gotowych nagrań. Chciał, aby muzyka ściśle współgrała z charakterem sceny, pośrednio inspirowała grę aktorów i była – bez względu na jej rodzaj



Henryk Tomaszewski, balet Reinholda Gliérea *Czerwony mak*, 1952,
Opera we Wrocławiu (czyt. s. 156)

(symfoniczna, jazzowa, rockowa, popowa), jeżeli jemu nieznana – to przynajmniej „osłuchana”. Nie było to proste. Tomaszewski był szczególnym melomanem. Posiadał mnóstwo płyt, był muzykalny i nieźle znał muzyczną literaturę.

Technika dobierania do spektaklu tego typu warstwy muzycznej wyglądała zwykle podobnie. Powstające przedstawienie można było podzielić na szereg scen. Najczęściej dostawałem własnoręcznie sporządzony przez Tomaszewskiego dokładny opis i charakter sceny z podanym czasem jej trwania. W innych przypadkach w sali prób pokazywał mi jej załączek w wykonaniu aktorów, czyniąc liczne uwagi, które zapisywałem łącznie z przewidywanym czasem trwania sceny. Znajdowałem wśród posiadanych przeze mnie płyt CD odpowiedni „kawałek”, oraz wyszukiwałem w różnych miejscach płytowe lub taśmowe gotowe utwory pasujące muzycznie do ewentualnej kompilacji. Bywało, że poszczególne fragmenty i utwory nie chciały się dopasować, czasem więc sam w swoim studio nagrywałem skomponowany przez siebie „łącznik”.

Co jakiś czas spotykaliśmy się w dyrektorskim gabinecie. Wcześniej wiedziałem albo widziałem, jaką scenę Tomaszewski ułożył, lub „na sucho”, bez muzyki, próbował. Wręczałem mu płytę CD z gotowym fragmentem nagrania i po jej przesłuchaniu i przepróbowaniu z aktorami wybrany fragment zwykle aprobował. Pamiętam w zasadzie jeden przypadek niespasowania jego wyobrażenia przygotowanej sceny i zaproponowanego muzycznego podkładu.

Te spotkania, w których czasami uczestniczyli dyrektorzy administracyjni teatru – wcześniej Jerzy Brewko, później Janusz Doniec – pozwalały prowadzić rozmowy na różne tematy. Kiedyś, przypominając o „giełdowych łupach”, pochwaliłem się znalezioną, dziewiętnastowieczną niemiecką broszurą zatytułowaną „Ifflanda sceny mimiczne dla aktorów i rysowników”. Podtytuł informował, że rysunki powstały w trakcie przedstawień w Berlinie w latach 1808–1911. Był to zbiór oryginalnych kolorowanych litografii przedstawiający aktora Ifflanda w sztuce Williama Shakespeare’a *Wiele hałasu o nic*.

Zauważyłem wielkie zaciekawienie Tomaszewskiego tym staroświeckim rodzajem rysunkowego podręcznika gry aktorskiej. Zapytał, czy nie mógłbym mu na jakiś czas pożyczyć broszurę. Bez wahania spełniłem prośbę. Wówczas jeszcze nie wiedziałem, że ów zmarły w 1814 roku August Wilhelm Iffland to jedna ze znaczących postaci niemieckiego dramatu – aktor, dyrektor teatrów, przedsiębiorca teatralny, dramatopisarz, autor sześćdziesięciu utworów.

Podczas jednego z następnych spotkań związanych z przygotowaniem muzyki, kiedy Tomaszewski oddawał mi pożyczony zbiorek litografii przedstawiających mimiczne sceny Ifflanda, napomknąłem, że mam też i inne niemieckie książki dotyczące początków tańca moderne. Są tam fotografie ze Szkoły Herthy Feist, Rudolfa Labana, Mary Wigman... Wiedziałem, że Tomaszewski swoją profesjonalną karierę zaczynał w zespole Feliksa Parnella, który był w Polsce jednym z prekursorów tej

formy tańca. *Crème de la crème* moich zbiorów była wydana w 1941 roku w Wiedniu, zawierająca znakomite fotografie (160), książka Emila Pirchana na temat Harald Kreutzberga (jego życia i jego tańca). Kiedy wyrażałem zachwyt nad tym niemieckim tancerzem, niespodziewanie mistrz ostro mi przerwał. Zrobiło się jakoś tak cicho, zimno... Wróciliśmy na salę prób.

Kreutzberg był przez wielu uważany za najlepszego tancerza od czasów Niżyńskiego. Urodził się w 1902 roku w Libercu, zmarł w 1968 roku w Bernie. W 1907 roku rodzina przeniosła się do Wrocławia. Jako dziecko zadebiutował w nieistniejącym już dzisiaj Teatrze Lobego (ul. Dobrzyńska) w operetce Leo Falla *Wesoły rolnik (Der fidele Bauer)*. Zagrał ważną rolę Heinerlego, nieślubnego syna bohatera operetki. Wykonywał wtedy bardzo popularną arię „Heinerle, Heinerle nie masz pieniędzy”.

Późniejsze nawiązanie przez Kreutzberga współpracy z Maxem Reinhardtem było momentem przełomowym w jego karierze. Początkowo występował w grupowych przedstawieniach, między innymi w baletowo-pantomimicznym *Don Morte* (Berlin 1926). Jednak międzynarodową sławę zyskał jako tancerz solista, wykonawca własnych układów choreograficznych w samodzielnie zaprojektowanych, efektownych kostiumach. Najczęściej występował z akompaniatorem, pianistą i kompozytorem Friedrichem Wilckensem.

Spoglądając na fotografie Kreutzberga, można zauważyć, że jego reklamowe portrety, utrwalone na zdjęciach pozy i kostiumy mogły być, i pewnie były, inspiracją do wczesnych prób mimiczno-tanecznych mistrza Tomaszewskiego. Na początku swej kariery tancerza oraz mima był on często uwieczniany na fotografiach Stefana Arczyńskiego i tam przybierał bardzo podobne pozy.

Magda Podsiadły w artykule *Pan Henryk* („Notatnik Teatralny” 2004, nr 30/31) opisuje słowami mima teatru Anatola Krupy sekwencję z rewii pantomimicznej *Strzelnica* (1961), zwaną *Lot śmierci*. Wykonywany przez Tomaszewskiego finałowy taniec śmierci, w którym głównym elementem kostiumu była czterometrowej długości czarna peleryna, zachwycał maestrią wykonania. Podobną formę i podobny element kostiumu można odnaleźć w tańcu *Anioł sądu* u Kreutzberga, który przez Tomaszewskiego jako *spiritus movens* nigdy i nigdzie nie był wymieniany, a moim zdaniem jego wizja tańca mogła być dla Tomaszewskiego iskrą do pantomimicznych pomysłów.

Urodzony w 1919 roku Tomaszewski pochodził z polsko-niemieckiej, poznańskiej rodziny. W wywiadzie udzielonym Rafałowi Bubnickiemu nieżyjący już Henryk Kayser, aktor mim i wieloletni partner mistrza mówił, że ten urodził się jako Heinrich Koenig. Nazwisko po babce Tomaszewski nosił od czasów wojny. W dowodzie osobistym zapisać miał nazwisko Koenig-Tomaszewski. Znał znakomicie język niemiecki, jego literaturę i kulturę. Doskonale władał językiem polskim, ukończył bowiem w Poznaniu polskie gimnazjum im. Adama Mickiewicza.

Z samych tylko dat wynika, że miał okazję zapoznać się z bardzo popularnym wtedy w Niemczech, a potem także w USA, tancerzem. Pewne podobieństwa istniały także w zakresie metod pracy obu. U Kreutzberga nowy taniec w etap realizacji wchodził tylko wtedy, kiedy jego pomysł był całkowicie gotowy. Tomaszewski miał słynny kajecik, w którym każda z poszczególnych scen była szczegółowo opisana. Dopiero wówczas zaczynał nad nimi pracę. Co ciekawe, jedne były opisane po polsku, inne – czasem – po niemiecku. Były jednak, jak u Kreutzberga, zawsze gotowe.

Dlaczego mówiąc o swoim teatrze, tańcu, pantomimie i sztuce, nie wymieniał Kreutzberga? Chyba jednym z powodów, by nie afiszować się tą postacią, mogła być działalność tancerza w okresie nazistowskich Niemiec. W 1936 roku z okazji Igrzysk Olimpijskich w Berlinie opracował on choreografię zespołową zatytułowaną *Waffentanz*. W tym okresie grał w filmie *Paracelsus* (1943). Często występował na scenach Europy i USA. Od 1941 roku kierował Akademią Tańca w Wiedniu. Raz jego taniec był przez hitlerowski reżim traktowany jako towar eksportowy, innym razem jako dekadenski wytwór degenerata, homoseksualisty. Politycznie się nie angażował i gdy zakończyła się wojna, po denazyfikacji mógł kontynuować działalność artystyczną. Był odznaczany austriackimi i niemieckimi odznaczeniami państwowymi.

Myślę, że w czasach, kiedy Tomaszewski zakładał swój teatr, powoływanie się w dawnym Breslau na niemiecki ekspresjonizm, na Wigman, Labana, a zwłaszcza Kreutzberga, będących źródłem inspiracji dla jego *własnego języka pantomimy* nie byłoby ani mądre, ani bezpieczne. Pewnie dlatego próżno szukać tych śladów w opracowaniach o jego teatrze.

PS. Zamieszczone w publikacji fotografie tancerzy i mimów, służą przede wszystkim omówieniu ich warsztatu, czyli głównie „mowy ciała”, natomiast prezentowane jednocześnie kostiumy, które mogą być przypadkowo podobne do dzieł różnych scenografów - nie są przedmiotem zainteresowania autora artykułu

Ilustracje (str 41, 86, 153, 159) autorstwa Stefana Arczyńskiego. Za udostępnienie dziękujemy Muzeum Miejskiemu we Wrocławiu. Ilustracje ze stron (53, 87, 111, 163) pochodzą z archiwów prywatnych i autora tekstu.



Harald Kreuzberg, sztuka *Anioł Sądu Ostatecznego* (czyt. s. 156)

Dionizyjska gra. Wywiad z samym sobą

Dionizyjska gra jest fragmentem z *Pamiętników teatralnych: Wywiadu z samym sobą* Krzysztofa Venedy Szwai, z okresu kiedy autor był aktorem-mimem Wrocławskiego Teatru Pantomimy i grał główną rolę w przedstawieniu *Przyjeżdżam jutro*. Jak wskazuje podtytuł, „wywiad” ów zapisany został w formie dialogu z samym sobą, gdyż autor uważa, że taka rozmowa jest kreatywna, pozwala poznać samego siebie i uczyć się z własnego doświadczenia. Dopiero pisząc o tym, co się wydarzyło, w pełni stajemy się tego świadomi. Autor dzieli się doświadczeniami wyniesionymi z Wrocławskiego Teatru Pantomimy z nadzieją, że spuścizna twórcy tego teatru, Henryka Tomaszewskiego, będzie kontynuowana.

Które przedstawienie we Wrocławskim Teatrze Pantomimy było dla Ciebie najważniejsze?

Przyjeżdżam Jutro. Zdecydowanie. To było genialne przedstawienie, a ja odniosłem w nim swój największy sukces jako aktor-mim.

Opowiedz mi o tym.

Przyjeżdżam jutro było wielkim wydarzeniem teatralnym, ludzie walili drzwiami i oknami, aby je zobaczyć. Temperatura zawsze była wysoka, atmosfera ekscytująca. Ludzie wariowali na punkcie tego przedstawienia.

Nieźle, jak na początek kariery.

No właśnie, to było demoralizujące.

Dlaczego?

Bo kiedy raz taki wielki sukces się przeżyło, to później trudno jest zadowolić się czymś mniejszym. Tylko pierwsza miłość jest doskonała. A wszystkie późniejsze, to kompromis.

O, to brzmi tragicznie. Ciągłe żyjesz tym przedstawieniem?

Nie, jak bym tym ciągle żył, to rzeczywiście byłoby to tragiczne. To przecież było tylko przedstawienie, piękna, ale jednak – iluzja teatralna. Żyć się tym nie da. Dla zdrowia psychicznego oddzielam życie od fikcji.

Co w takim razie pozostało ci z tego przedstawienia na trwałe?

Sceniczne doświadczenie. Nauka, jaką z niego wyniosłem: jak robić teatr, jak grać. Na *Przyjeżdżam jutro* uczyłem się pantomimy i zespołu.

Uchyliś kulis tej historii?

Przyszedłem do Pantomimy kilka tygodni po premierze *Przyjeżdżam jutro*, z końcem kwietnia 1974 roku. Pamiętam, jak Henryk Tomaszewski powiedział mi żartobliwe na przywitanie: „Co pan tam tak długo robił w Operetce, jakby pan przyszedł do nas trochę wcześniej, to już by pan grał w »Przyjeżdżam jutro«, naszym najnowszym przedstawieniu”. Zresztą szybko mnie w to przedstawienie wprowadził, ponieważ było wtedy trochę przetasowań w zespole – robiłem zastępstwa za tych, którzy odchodzili. W ten sposób uczyłem się pantomimy, szybko, ale skutecznie i wszechstronnie. Grałem dużo ról w *Przyjeżdżam jutro*, najpierw w zespole, w niemal wszystkich scenach zbiorowych. Potem dostałem małe role solowe, epizodyczne, i w końcu zagrałem główną rolę. Wydaje mi się, że znam to przedstawienie od podszewki.

Ta główna rola to...?

To była podwójna rola Gościa i Dionizosa.

Kim była postać Gościa, a kim Dionizosa?

Gość był współczesnym ucieleśnieniem boga Dionizosa w postaci tajemniczego młodzieńca, który pojawia się w domu burżuazyjnej rodziny i rozbudza w nich dionizyjskie szaleństwo.

Jak on to robi?

Uwodzi ich wszystkich po kolei, całą rodzinę, najpierw ich służącą, potem córkę, syna, matkę, i na końcu ojca.

Co było jego uwodzicielską mocą?

Boska charyzma. Był niezwykły, jak ukryte marzenie. Nikt mu się nie potrafił oprzeć.

Jak dokazałeś tej sztuki?

To tajemnica.

Nie ma już dzisiaj tajemnic w sztuce, możesz powiedzieć.

Jeżeli bym ci wyjawiał dionizyjską tajemnicę, to byś się żywcem spalił w gorączce szalonych namiętności i pragnień.

(śmiech) **A więc o tym to było?**

Tak, to było o miłości, która doprowadza ludzi do szaleństwa.

Cóż jest atrakcyjnego w takiej miłości?

Tutaj była to chwila boskiego szczęścia z Gościem.

Tylko chwila?

Niestety tak, bo Gość odchodzi. Tak nagle jak się pojawia, tak też znika. Zostawia ich. Cierpią z tego powodu strasznie, bo nie są w stanie znaleźć szczęścia ponownie.

Tak jak porzuceni kochankowie?

Tak.

Jak dostałeś tę podwójną rolę Gościa i Dionizosa?

To było zastępstwo za dwóch aktorów, bo najpierw role Gościa i Dionizosa były grane przez dwie różne osoby. Gościa zacząłem grać od sierpnia 1975, a Dionizosa od września 1976 roku.

Dlaczego ty sam grałeś te dwie role, skoro wcześniej były one grane przez dwóch innych aktorów?

Niezależnie od takich czy innych powodów to miało sens, bo te role były ze sobą powiązane. Gość był współczesną wersją czy też manifestacją mitologicznego boga Dionizosa. Co stawało się bardziej jednoznaczne, kiedy te dwie postacie grał jeden aktor.

Ale ciągle to były dwie różne role, tak?

Tak, przynajmniej tak to było ujęte w programie. Dla wyjaśnienia: przedstawienie *Przyjeżdżam jutro* miało czterdziestominutowy prolog wprowadzający mit Dionizosa, i ta część była zainscenizowana w czasie archaicznym, natomiast cała reszta prawie dwugodzinnej sztuki rozgrywała się w czasach współczesnych.

Którą rolę wolałeś grać, Gościa, czy Dionizosa?

Trudno powiedzieć, bo lubiłem grać je obie, chociaż z całkiem innych powodów. Gość był aktorsko-mimicznym typem roli, natomiast Dionizos, taneczno-mimicznym. Znalazłem spełnienie w jednej i drugiej. Ale mogę powiedzieć, że rola Gościa była dla mnie dużo trudniejsza do opanowania niż rola Dionizosa.

Zastanawiam się dlaczego...

Może dlatego, że byłem wtedy mniej doświadczony, ale też i dlatego, że formalnie były to różne role, wymagające innych umiejętności i technik.

Miałeś problem z pantomimą?

Nie, z aktorstwem.

Można by przypuszczać, że aktorstwo jest dużo łatwiejsze niż pantomima.

Pod pewnymi względami jest, ale pod innymi nie.

Co było twoim problemem aktorskim?

Na początku, kiedy jeszcze byłem w próbach, miałem problem z wyrazem. To jest typowy problem początkujących aktorów. Przeżywałem rolę postaci, ale tylko wewnętrznie – nie potrafiłem tego zewnętrźnie wyrazić.

Również miałem problem ze stabilnością grania w kilku pierwszych tygodniach występowania. Co drugie przedstawienie było niedobre. Byłem bardzo nierówny, jednego dnia grałem dobrze, a drugiego źle, w kratkę.

Byłeś tego świadomy?

O tak. To się czuje. Czuję, kiedy byłem w sztosie, a kiedy nie. Poza tym, Tomaszewski nigdy nie omieszkął mi o tym powiedzieć, jak bardzo byłem niedobry.

Au!

W tym względzie, był brutalnie szczery. Nie cackał się zbytnio. Wpadał do mojej garderoby zaraz po przedstawieniu i mnie beształ: „Co Pan tam, kurwa, wyprawiał? To było okropne!”.

Tak bez ogródek?!

O tak.

Jak to przyjmowałeś?

Z wdzięcznością, nie obrażałem się, bo to była szczerza reakcja, mimo że niepochlebna

to jednak dużo mi dawała, bo od razu rozumiałem własne błędy, które mi zresztą wyjaśniał. Co było w tym najważniejsze, to to, że mogłem Tomaszewskiemu ufać. Wiedziałem, co myśli. I mogłem na nim polegać, że zawsze powie mi prawdę. Z drugiej strony, kiedy grałem dobrze, to Tomaszewski też zawsze to zauważył. A kiedy mu się bardzo podobało, to wpadał w euforię.

Jak?

Jakby widział cud! Henryk Tomaszewski wiedział, jak podziwiać aktora. To było inspirujące.

Czy w końcu przewyciężyłeś brak stabilności?

Tak.

Jak?

Zauważyłem, że kiedy jednego dnia mam dobre przedstawienie, to następnego próbuję je dokładnie powtórzyć. Ale tak się nie da, to błąd.

Dlaczego nie?

Aktorstwo jest żywym procesem; mimo to, że każde przedstawienie jest formalnie repliką poprzedniego, to emocjonalnie (czy duchowo) każde przedstawienie musi być grane od nowa, tak jakby było grane pierwszy raz.

Jak to się robi?

Trzeba to ponownie od nowa przeżywać, a nie tylko odtwarzać.

Dlaczego miałeś z tym problem w roli Gościa, a nie we wcześniejszych rolach, które przecież grałeś, kiedy byłeś nawet jeszcze mniej doświadczonym aktorem?

Esencją roli Gościa była obecność postaci na scenie, bez jasno określonych dążeń, i to wyróżniało ją ze wszystkich ról, które grałem wcześniej. Gość jest tajemniczym nieznanym, który przychodzi znikąd. Nie znamy jego historii, on po prostu jest, tu i teraz. I to było najtrudniejsze do zagrania, jak być obecnym w danym momencie, chwila po chwili, bez określonego celu.

Wydawało by się, że to jest łatwe, po prostu być.

Też tak myślałem.

Nie było?

Nie.

Jaki był problem?

Kiedy próbowałem po prostu być, stawałem się samoświadomym, tak jakbym sam siebie obserwował, i to mnie usztywniało.

Jak miałeś się zachowywać?

Miałem być zrelaksowany, a jednocześnie uwodzicielski. Ale Tomaszewski chciał, żebym jeszcze zagrał Gościa jako upostaciowanie niewinności.

A czemu?

Nic nie jest bardziej uwodzicielskie niż niewinność.

A niby dlaczego?

Ponieważ „niewinność” była tylko na powierzchni; była jak przynęta, ale pod spodem miał być haczyk. Gość miał dionizyjski dualizm. Był pozornie niewinny, ale w rzeczywistości był uwodzicielski i niebezpieczny.

Jak zakazany owoc?

Tak, kto się na niego połasił, musiał upaść.

I to była dionizyjska gra.

Tak.

Jak zatem rozwiązałeś problem z obecnością?

Henryk Tomaszewski chciał, żeby moja obecność na scenie była osobista, ale jednocześnie neutralna. Żeby to osiągnąć, poradził mi, abym po prostu powiedział sobie: „Ja, Krzysztof Szwaja, jestem tu i teraz, a wszystko, co mnie otacza, wpływa na mnie na pewnym poziomie”. Powiedział mi również: „Wyobraź sobie, że jesteś punktem ogniskowym, na którym, a raczej w którym, wszystko się skupia, a następnie zaczyna od nowa, przekształcone”. To była jego magiczna formuła scenicznej obecności. Nie wiedziałem, jak dokładnie to zrozumieć, ale na pewno działało to na moją wyobraźnię. Pomogło mi to znaleźć się w centrum rzeczy i wydarzeń, doświadczyć je po swojemu, osobiście. Jednak to nie wystarczyło, by osiągnąć charyzmatyczną obecność, która naprawdę zaintrygowałaby publiczność. Wyczułem, że potrzebne jest coś więcej, coś konkretnego, ale nieujawnionego, coś tajemniczego. Więc zacząłem grać, że mam sekret, i to zadziałało – wzbudziło widza, zaintrygowało go. Potem jeszcze nauczyłem się promieniować obecność instrumentalnie i przez to uzyskałem hipnotyczny efekt na widowni.

Jak się promieniuje obecność?

Wysyłając energię do całego teatru. To namacalny proces; czuje się, że cała publiczność skupia się na tobie, jakbyś ich zahipnotyzował.

Przez zwykłe promieniowanie obecności możesz zahipnotyzować publiczność?

Tak, przynajmniej było to możliwe w latach siedemdziesiątych. *Przyjeżdżam jutro* było wielkim hitem, a Gość był postacią ikoniczną, która miała kuszącą moc nad publicznością.

Czego był ikoną?

Gość był ikoną ducha lat siedemdziesiątych.

Czym był ten duch?

To był duch wyzwolenia.

Wyzwolenia od czego?

Od wszystkiego, od wszystkich tych ograniczeń, które uciskały mężczyzn i kobiety przez wieki.

I to właśnie był duch dionizyjski?

Tak, duch wyzwolenia w latach siedemdziesiątych był dionizyjski.

Czy to nie oznacza także: orgiastyczny?

Według niektórych słowników tak, oznacza.

Czy taki właśnie był?

Jaki?

Orgiastyczny.

Wolę określenie „wyzwalający”.

Czy może być jednym i drugim?

Tak, był. I to był jeden z dylematów *Przyjeżdżam jutro*. Dionizyjski duch jest wyzwalający i/lub orgiastyczny.

Dlaczego „i/lub”?

Ponieważ to nie jest jasne, duch dionizyjski jest zwodniczy; trudno jest wytyczyć wyraźną granicę między tym, co wyzwała, a tym, co jest orgiastyczne.

Ale czy istnieje taka linia?

Mam taką nadzieję.

Co to jest?

To temat tabu.

Więc jakie było moralne przesłanie „Przyjeżdżam Jutro”?

Przesłanie brzmiało: jeśli przekroczysz tę linię, jesteś skazany na zagładę. Ale wiesz, to było przesłanie, którego nikt nie słyszał, nikt nie odebrał: ani postaci w sztuce, ani publiczność. Główną atrakcją przedstawienia *Przyjeżdżam jutro* było przekraczanie granic, czyli tabu. Dlatego przyszła publiczność, i dlatego przedstawienie było tak bardzo popularne.

Czy było tak popularne, ponieważ występowałeś nago na scenie?

A tam, nie przesadzajmy z tą nagością. W sumie byłem na scenie przez półtorej godziny i byłem nagi przez zaledwie półtorej minuty – dwa razy, raz jako Dionizos i raz jako Gość.

Niemniej było to nowe dla ludzi. Nigdy wcześniej nie widzieli całkowicie nagich ludzi na scenie.

To prawda, *Przyjeżdżam jutro* było jednym z pierwszych, jeżeli nie pierwszym, spektaklem w Polsce, w którym byli nadszy aktorzy.

Kto jeszcze był nagi w „Przyjeżdżam jutro” oprócz ciebie?

Oprócz mnie jeszcze było trzech aktorów nagich. Ale nie będę o tym za nich mówił.

Dlaczego nie?

Bo to może być źle odczytane. Ludzie wstydzą się nagości. A ta w *Przyjeżdżam jutro* była wyzwolona ze wstydu. Nie było tam nic niecnego. Kiedy grałem erotyczną scenę z matką, którą była Danuta Kisiel-Drzewińska, publiczność była tak przejęta, że nikt nawet nie odważył się oddychać.

Co oni tam widzieli, że ich tak zamurowało?

Widzieli akt erotyczny uduchowiony pięknem. To było wyzwalające z pruderii. Tak jakby to był akt święty.

Jak na ciebie osobiście wpłynęło granie podwójnej roli Gościa i Dionizosa?

To było niezwykle przeżycie... jakby nie z tego świata. Ludzie utożsamiali mnie z rolami Gościa i Dionizosa i ubóstwiali mnie. Byłem ich idolem.

Jakie to było uczucie, być idolem?

To było wspaniałe – przynajmniej w pewnym względzie, bo nagle stałem się sławny i miałem wielu wielbicieli. Ale było to również dziwne, ponieważ niektórzy z moich wielbicieli byli tak zauroczeni mną, a raczej moją sceniczną osobowością, że stracili głowy i zrobili wiele szalonych rzeczy, aby być blisko mnie.

Czy miałeś stalkerów?

Tak, miałem, ale żadnemu z nich nie udało się zaingerować w moje życie osobiste.

Jaka jest różnica między wielbicielem a stalkerem?

Wielbiciele uwielbiają swojego idola; a stalkerzy go dręczą; jedni i drudzy chcą iść z nim do łóżka.

Naprawdę? (*śmiech*)

Naprawdę. (*śmiech*)

Czy wielbiciele nie są potencjalnymi stalkerami?

Nie, raczej nie są. Chociaż to nigdy nie wiadomo, kim jest ta nieznajoma, (czy nieznajomy) z bukietem kwiatów, czekająca na ciebie po przedstawieniu, przy tylnych drzwiach teatru.

Tak?

Tak...

A co?

Ach, była taka dziewczyna, która regularnie wysyłała mi kwiaty za kulisy z dołączonymi do nich perfumowanymi listami miłosnymi.

Jak miło.

Chciała się ze mną spotkać.

No i co, spotkałeś się z nią?

Nie.

Dlaczego nie?

Bo to było nierealne. Jej listy były namiętne, ale bardzo egzaltowane.

Była zakochana w tobie?

Raczej w Dionizosie, a nie we mnie.

Czy to był problem?

Nie, to nie było problemem, że była zakochana w Dionizosie, bo zakochać się w postaci jest dosyć typowe dla widza. Problemem było to, że nie widziała różnicy między Dionizosem, postacią sceniczną, a mną, aktorem, i chciała się umówić ze mną na randkę. *A ty?*

A ja nie miałem ochoty odgrywać Dionizosa czy Gościa w życiu dla moich egzaltowanych wielbicieli.

Nagabywała cię?

Nie, nigdy się nie narzucała, ale była wytrwała w zalotach.

Jak?

Po wysłaniu mi kwiatów z listami, w których błagała mnie, bym się z nią spotkał po przedstawieniu, czekała na mnie przy tylnych drzwiach teatru, stojąc w odległości około pięćdziesięciu metrów. Co ciekawe, nigdy nie podeszła do mnie, ani przekroczyła mojej drogi, kiedy wychodziłem z teatru. A tylko czekała, z nadzieją, że ja do niej podejść.

Czy byłeś w stanie dojrzeć, jak ona wyglądała?

Tylko w zarysie, sylwetkę, ale nie twarz, bo stała zazwyczaj w zaciemnionym miejscu ulicy, no i nosiła stylowe kapelusze z rondami, które dodatkowo rzucały cień na jej twarz. Raz czy dwa, kiedy przechodziłem obok niej w bliższej odległości, widziałem, że miała twarz zasłoniętą welonem.

To był jej styl?

Tak, nosiła się tajemniczo.

Czy to było intrygujące?

Teatralne raczej.

Więc nigdy się nie dowiedziałeś, kim ona jest?

Dowiedziałem się, ale dopiero po dwudziestu siedmiu latach.

Jak to się stało?

Stało się to podczas mojej wizyty w Polsce, kiedy brałem udział w otwarciu wystawy rysunków Salvadora Dalí w Muzeum Ratusza we Wrocławiu. Nagle podeszła do mnie stylowo ubrana kobieta w średnim wieku i powiedziała: „To ja wysyłałam ci kwiaty po przedstawieniach *Przyjeżdżam Jutro*”.

Co na to odpowiedziałeś?

„W tym czasie było wiele dziewcząt i kobiet, które przysłały mi kwiaty za kulisy, którą z nich byłaś ty?”

(Śmiech) No i co ona na to?

Zrobiła rezerolutną minę i powiedziała: „Byłam tą dziewczyną, która wysłała ci razem dwanaście bukietów kwiatów z perfumowanymi listami. Czy pamiętasz teraz?”

„Tak” – odpowiedziałem. – „Teraz pamiętam”.

„Wysłałam ci również kaktusa do siedziby Teatru Pantomimy. Pamiętasz kaktusa?” – zapytała.

„Tak, pamiętam” – odpowiedziałem.

„Kaktus miał być na pożegnanie” – wyjaśniła. „Wysłałam go w gniewie, ponieważ nie chciałeś się ze mną spotkać. Ale nie potrafiłam się powstrzymać, i znowu wysłałam ci kwiaty”.

„Wiem” – odpowiedziałem.

Potem formalnie przedstawiła się: „Nazywam się Małgorzata. Jestem artystką szkła”, i tak dalej. Zaprosiła mnie na wystawę, która odbywała się w tym samym muzeum, ale na innym piętrze.

Poszedłeś zobaczyć jej wystawę?

Tak.

Jak ci się podobała?

Jej szkło było piękne. Małgosia jest bardzo utalentowaną artystką.

Czy utrzymujesz z nią kontakt?

Tak, utrzymuję. Zaprzyjaźniliśmy się i pisaliśmy do siebie listy.

Czy zapytałeś ją, dlaczego chciała się z tobą spotkać, kiedy grałeś Gościa i Dionizosa w „Przyjeżdżam jutro”?

Tak.

Co ona odpowiedziała?

Napisała mi o tym namiętny list.

Czy możesz mi przeczytać jej list?

Tak mogę. Spytałem Małgosię o zgodę, i chociaż trochę się krygowała, pozwoliła mi opublikować jej list.

Jak to?

Powiedziała: „Trochę się wstydzę moich młodzieńczych uniesień, ale co tam, zgadzam się. W końcu to było piękne przeżycie”.

Proszę, przeczytaj jej list.

Oto tu jest, Małgosi list w oryginale:

17 grudnia 2003 10:57

Cześć Krzysztofie,

Jak tam Twoje zmagania z grypką? Mam nadzieję, że się wykurowałaś i wzmocniłaś, bo trzeba dużo siły, żeby udźwignąć to, o co poprosiłaś. Ale sam chciałaś i należy Ci się to z pewnością. To mój prezent dla Ciebie pod choinkę. Moja szczerza opowieść-relacja, być może niedokładna, bo wiele czasu minęło, ale z pewnością szczerza. Nakarmi ona z pewnością Twoją próżność!

Kiedy w 1977 roku dostałam się na studia do Wrocławia na moje wymarzone szkło, byłam dobrze wychowaną, starannie wyedukowaną panną z tzw. dobrego domu, o dużej wiedzy i sto razy większych możliwościach. Na studia zdałam jako pierwsza na liście i bez większych stresów – wiedziałam, że mi dobrze pójdzie. Otwierała się nowa karta w moim życiu i zamierzałam ją wypełnić samymi rewelacjami.

Dokładnie wiedziałam, jaką ofertę ma dla mnie Wrocław, toteż, kiedy po wakacjach przyjechałam tu na praktykę robotniczą (taki komunistyczny wynalazek dla przyszłej inteligencji, żeby wiedziała, co to robotniczy trud), postanowiłam nie marnować czasu i wybrałam się na spektakl pantomimy pt. „Przyjeżdżam jutro”.

Cóż to było za widowisko! Niesamowita magia tego spektaklu odebrała mi spokój na długi czas. Emanująca z niego tajemnica, mroczny erotyzm, tragizm bohaterów, czarowny prolog, a nawet świetny tekst programu w lapidarnych słowach ujmujący, choć nie wyjaśniający, sens tego przedsięwzięcia (arlekin, symbol i animator teatru otwiera widowisko z udziałem... itd.) zrobiły na mnie dojmujące wrażenie. I na domiar wszystkiego ten charyzmatyczny

aktor obsadzony w głównej roli, w pierw w prologu, a potem we współczesnej części dramatu jako demiurg-sprawca wszystkiego, co doraźnie wspaniałe, przynosi tak zgubne skutki! Już sam wydzźwięk tych postaci był demoniczny, a na dokładkę ten niesamowity facet o wyrazistej, nieco drapieżnej twarzy i obłądnie pięknym, proporcjonalnym ciele z ciepłym odcieniem skóry i świetnie zarysowaną muskulaturą. To byłeś Ty, rzecz jasna, dla mnie żywy kanon urody męskiej. Oprócz tego, co wystarczająco silnie działało na moje zmysły, byłeś podobny z rysów twarzy do czarownych postaci z obrazów prerafaelitów i z wyuzdanych grafik secesyjnego Aubreya Beardsleya. Te wszystkie naraz wrażenia spowodowały, że wróciłam po spektaklu porażona.

Opowiadałam o swoich wrażeniach swoim dwóm koleżankom i o tym, niezwyklej urody aktorze, który owładnął mną bez reszty. Jedna z nich – też Małgośka – doradziła mi, żeby wysłać Ci kwiaty i poczekać na Ciebie po spektaklu. Tak też się stało, i to ona przekazała pierwszy bukiet ode mnie z wyperfumowanym bilecikiem (zauważyłeś, że pachniał, jak i wszystkie pozostałe?). Czekałam wówczas na Ciebie, gotowa podejść, ale Ty pojawiłeś się w towarzystwie przystojnej brunetki o długich włosach, która niosła w dłoni – o zgrozo – bukiet pachnących groszków. Ten ode mnie.

Cala odwaga mnie opuściła, ale nie mogłam odmówić sobie kolejnego pójścia na

„Przyjeżdżam jutro”. Oczywiście, kupiłam też dla Ciebie kwiatki. Tym razem przesałam je przez szatniarkę i to stało się moim stałym obyczajem.

Spektakl był naprawdę mistrzowski i podobał mi się coraz bardziej. TY TEŻ. Już trudno mi było powstrzymać dziką, narastającą we mnie namiętność, pragnienie bycia z tym mężczyzną. Chodziłam na kolejne spektakle i miało to w sobie coś z narkotycznego ciągu.

Byłam uzależniona! Na Ciebie miałam straszną ochotę, ale nieśmiałość i niska samoocena nie pozwalały mi odezwać się do Ciebie. Nie mogłam jednak się oderwać od tego dziwnego rytuału składania kwiatów w ofierze mojemu wybrankowi. Miałeś być moim pierwszym mężczyzną, zostałeś wybrany.

Oczywiście, że Cię kochałam, i to jak!
Dziko, namiętnie i... bez sensu. Byłam też wściekła na Ciebie, że brak Ci intuicji, by się domyślić, że ta ekscentrycznie, malowniczo ubrana kobieta, na którą wszyscy zwracają uwagę z powodu jej nieco szokujących kreacji, stoi pod teatrem co spektakl, czekając na Ciebie! Ale Ty przechodziłeś obok. Czasami zawieszaleś na mnie wzrok i po Twojej twarzy przemykał uśmiech. Przyglądałam Ci się i chłonełam najdrobniejsze gesty.

Zapamiętałam, że masz zielone oczy – a może to nieprawda? Nie zweryfikowałam tych wszystkich wspomnień, gdy nagle, we wrześnie, po prostu zagadnęłam Cię w muzeum, i było tak miło z Tobą rozmawiać, że zapomniałam, że posiadasz jakąś fizyczność. Ale wtedy Twoja fizyczność była straszliwie ważna, również Twoje aktorstwo, które oddziaływało bardzo silnie. Ja jednak nie umiałam podjąć nawet próby dotarcia do Ciebie, a moje pragnienie stało się dla mnie istną udręką. W tym czasie włączył się za mną pewien student 5 roku, jeżdżący na harleyu – to dodawało mu wyrazu. On z kolei czekał po spektaklach na mnie. Pewnego razu, zima – pamiętam to dokładnie – też czekał. Oczywiście, że i wówczas wysłałam Ci kwiaty i wciąż wyczekiwałam pod teatrem, myśląc, że może stanie się jakiś cud. Nie stał się. Toteż poszłam z nim do akademika, upiłam... i w ten sposób straciłam bezpowrotnie nadzieje na bycie „moim pierwszym”. Później, kiedy zasnęła, uciekłam od niego, gubiąc w jego łóżku kołczyk z pawiego piórka. A on zawiesił go potem nad biurkiem. Ja nie chciałam go więcej znać, ale po latach stu spotkaliśmy się i upili, jak za dawnych dni. On ożenił się z moją przyjaciółką, która do dziś o niczym nie wie.

Wracając. Ja nadal chodziłam na spektakle pantomimy i nic nie zmieniło się w moim stosunku do Ciebie. Ale zaczęłam zdawać sobie sprawę, jak spala mnie ta miłość, która już nie mogła się spełnić tak, jak to widziałam w marzeniach. Postanowiłam zwalczyć to w sobie. Ale w momencie, kiedy pozostawiłam Ci u Irenki, w sekretariacie pantomimy kaktusa i bilecik z informacją, że więcej nie będę czekać, wciąż czułam ku Tobie niepohamowaną żądzę. Gdyby mi wówczas przyszło dotknąć

Cię choćby, spłonęłabym z żaru, który zalewał mnie na samą nawet myśl o Tobie.

Ta historia ma swoje wątki poboczne. Wokół Ciebie – nieświadomego swojego w moim życiu znaczenia – wydarzyło się wiele rzeczy pięknych i tyleż straszliwych. Moje życie pełne było dzikich namiętności, wzlotów, upadków, radości, a nawet, niestety, wyuzdanego okrucieństwa. Ale chyba nie chcesz, żebym napisała teraz dla Ciebie książkę, choć z pewnością dałabym sobie z tym radę.

Napisałam Ci o tym, co było osią i początkiem całej, już dość długiej, historii mojego życia, w której pojawiłeś się mimo swej woli i odcisnąłeś na niej trwałe piętno. Wspomnienie tamtej miłości do dziś nie jest mi obojętne i z pewnością nigdy nie będzie. Znajomość z Tobą jest dla mnie samą radością.

I co Ty na to? Czy byłeś na to przygotowany? Wiem, wiem, spodziewałeś się tego i zastanawiałeś, na ile starczy mi odwagi. Mnie starcza odwagi na wszystko.

Czy ubraliście sobie choinkę? To weź to żarliwe wspomnienie i delikatnie pod nią połóż. Niech Ci ogrzeje święta swoim za-rem – i pomyśl też przy tym ciepło o mnie.

Trzymaj się zdrowo – życzę nieustającej formy supermana

Małgorzata (OWIANA ZAPACHEM ŚWIEŻO ZAKUPIONYCH PERFUM O ADEKWATNEJ DO SYTUACJI NAZWIE „MADNESS”)

Co myślisz o liście Małgosi?

Myślę, że jest wspaniała, i bardzo pochlebny.

Czy karmi swoją próżność, jak podejrzewała Małgosia?

Tak, może trochę, bo jej list przypomina mi, że kiedyś miałem magnetyczną moc oddziaływania na widza. Ale również mnie niepokoi.

Dlaczego?

To jest historia nastoletniej dziewczyny, zakochującej się szaleńczo w aktorze, który nie chce się z nią osobiście spotkać, z czym nie jest w stanie się pogodzić przez całe życie. Ta miłość pozostaje w niej jak obsesja, chociaż wie, że nigdy nie będzie w stanie jej spełnić.

To jest paradoksalne...

Jest również tragiczne.

Dlaczego?

Ponieważ niespełnione marzenia i pragnienia powodują rozczarowania w życiu.

Jakie jest na to rada?

Nie przekraczać linii między publicznością a sceną. To jest tabu. Ta linia to symboliczna bariera, która odróżnia fikcję od rzeczywistości. A to są dwa różne światy, których nie należy mieszać.

Powiedz jej to.

Jest za późno. Dawno temu przekroczyła tę linię i teraz musi cierpieć nienasycone pragnień doskonałej miłości, która nigdy nie może się spełnić.

To okrutne.

Ona to wie.

Więc dlaczego ona to robi?

Nie może się powstrzymać. Ona jest artystką.

Jak myślisz, dlaczego napisała ten list?

Żeby sobie ulżyć. Była zakochana, nie we mnie, jako prawdziwej osobie, ale w wyobrażeniu teatralnym, jakie tworzyłem, widmie, które mieszkało w jej wyobraźni ponad dwadzieścia pięć lat, zanim napisała ten list. Jest to przypadek zarówno obsesji, jak i opętania. Prawdopodobnie więc musiała skonfrontować ten fantom z prawdziwą osobą i przez to pozbyć się go. Wiesz, kiedy konfrontujesz swoje złudzenie z rzeczywistością, to pierwsze musi ustąpić temu drugiemu.

A co ciebie skłoniło do napisania tych wspomnień?

List Małgosi. Przejąłem się nim. Nie myślałem wtedy, że przedstawienie teatralne może mieć tak olbrzymi wpływ na życie widza. Bo dla mnie była to tylko gra. Teatralna iluzja. Sam nie identyfikowałem się z postacią Gościa/Dionizosa w życiu, bo to była destruktywna postać, a nie model do naśladowania. Przecież on rozwaliał całą rodzinę. Doprowadzał do szaleństwa jej członków i sprowadzał ich na manowce. Przesłanie *Przyjeżdżam jutro* było wymierzone przeciwko łaadowi społecznemu, który w tym przedstawieniu miał charakter mieszczański; ojciec był dyrektorem, czy też właścicielem fabryki samochodów, cała reszta rodziny była modelem sukcesu w burżuazyjnym

społeczeństwie. Jednak ten sukces nie dawał im szczęścia, bo żyli w zakłamaniu. Dopiero obecność Gościa wyzwoliła w nich prawdziwe namiętności i uczucia.

No dobrze, to jaka w tym przedstawieniu była pozytywna lekcja dla widza?

Henryk Tomaszewski by powiedział, że to przedstawienie było ostrzeżeniem dla widza, aby nie dać się ponieść dionizyjskim impulsom, bo one są irracjonalne i prowadzą do destrukcji. Ludzie, którzy im ulegają, tracą rozum i robią strasznie głupie rzeczy. Dionizos jest zwodniczym bogiem. Kto w niego uwierzy, gubi siebie i idzie na (wieczne) zatracenie.

Wszystkie fotografie towarzyszące rozmowie *Dionizyjska gra*, przekazane nam do druku przez K. Szwałę, pochodzą z jego prywatnego archiwum.



Krzysztof Szwałę i zespół w spektaklu Henryka Tomaszewskiego *Przyjeżdżam jutro*, 1976, fot. T. Drankowski (czyt. s. 156)



Henryk Tomaszewski i Krzysztof Szwaja na próbie spektaklu *Przyjeżdżam jutro*, 1975, fot T. Drankowski (czyt. s. 156)

Wszystko, co chcielibyście wiedzieć o najnowszej książce Olgi Tokarczuk, ale baliście się zapytać

Kiedy powstawał tekst¹ o zapomnianym eseju Jeana Améry'ego², trudno było przewidzieć, jak prorocze okażą się początkowe fragmenty artykułu w kontekście nowej powieści³ Olgi Tokarczuk, której to książki – rzecz jasna – wówczas jeszcze nikt nie miał okazji poznać. Nie od rzeczy będzie zatem przytoczenie kilku zdań tej wizjonerskiej publikacji:

„Co ciekawe, podobnie absurdalny klucz [...] funkcjonuje i w naszym rodzimym grajdołku, gdzie wszelkie poważniejsze nagrody literackie przyznawane są w ściśle zamkniętym kręgu wydawców i pisarzy (raz występuje się tu w roli laureatów, a innym razem w roli tych, którzy ich opiniują). **Zawsze zdumiewa również przedmiot wyróżnianych książek, który – podobnie jak to, co dzieje się na scenie politycznej – niezmiennie obraca się w kręgu zaprogramowanych motywów**”.

Nieprzypadkowo ostatnie zdanie zostało wyróżnione, *Empuzjon* jest bowiem książką napisaną jakby na zamówienie określonych środowisk, z jednej strony stojących po jasnej stronie mocy w kontekście ostrej politycznej walki z przytłaczającym nas od dłuższego czasu prawicowo-populistycznym reżimem, a z drugiej zamkniętych się w ściśle policzalnym środowisku kultury, lansującym wyjątkowo płasko pojmowany feminizm (rodem z listów pisanych do „Wysokich Obcasów”) i równie płasko tłumaczący problemy społeczności LGBT, której często wyrządzają podobną krzywdę jak kościelno-faszystowskie kręgi. Nie chciałbym być oczywiście źle zrozumiany. To są działania idące w dobrym, a właściwie jedynym możliwym kierunku, ale często (choćby poprzez klucz polityczny) realizowane są nieudolnie,

1 Krzysztof Rudowski, *O starzeniu się starzenia*, „Format Literacki” 2022, nr 3.

2 Jean Améry, *O starzeniu się. Bunt i rezygnacja*, przeł. Bogdan Baran, Warszawa 2018.

3 Olga Tokarczuk *Empuzjon*, Kraków 2022.

sprowadzane wyłącznie do pięknych haseł. Wróćmy natomiast do nowej książki Olgi Tokarczuk.

Trudno powiedzieć, co przyświecało świetnemu pisarzowi, jakim jest Paweł Huelle, gdy postanowił napisać prequel⁴ *Czarodziejskiej góry*. Wzmianka o studiach Hansa Castorpa w Gdańsku – mieście, z którym pisarz pozostaje nierozzerwalnie związany – to za mało. Tym bardziej że w utworze Manna już ten wątek nie wraca (i dobrze). Fascynacja niezaprzeczalnie wielkim arcydziełem to również dość dyskusyjna przesłanka. Może zatem pustka, jaka w rodzimej literaturze powstała po *Lalce* Bolesława Prusa, a którą to pustkę bezskutecznie próbowało wypełnić wielu pisarzy...

Jaki sens po oczywistym fiasku gdańskiego literata miałyby wchodzenie do tej samej rzeki, która zresztą okazała się płytka i bezbarwna? A może ta druga próba dokonała się równoległe z tą pierwszą? Może *Empuzjon* napisany został w tym samym czasie co *Castorp*, a ewentualnie ostatnio tylko go zmodyfikowano, przystosowując do „kręgu zaprogramowanych motywów”?

Nie sposób dociec, ale infantylizm tej prozy świadczy albo o powstaniu tekstu jeszcze przed największymi osiągnięciami pisarki, albo o jej kompletnym zagubieniu się po otrzymaniu nagrody Nobla. Zauważmy, że dla sporej grupy literatów to wyróżnienie spowodowało definitywne zakończenie ich kariery. Tuszę, że tak nie jest w tym wypadku, choć mające chyba przykryć niedostatki książki motto z *Księgi niepokoju* Fernanda Pessoa, z którym autorka nie ma i nie miała nigdy niczego wspólnego, nie jest najlepszym sygnałem. Chyba że chodziło o podparcie się aktualnie modnym nazwiskiem, które wtajemniczeni znali przecież od lat.

Nie koniec na tym. W nocie autorskiej noblistka wymienia autorów, których „mizoginistyczne poglądy na temat kobiet i ich miejsca w świecie” parafrazowała w tekście. Zaczyna od Aureliusza Augustyna (św. Augustyna), a kończy na Williamie Butlerze Yeatesie (Nobel w 1923 roku). Te złote myśli wplecione w teść książki są po prostu niesmaczne. Powstały w określonym czasie, w określonych sytuacjach społecznych. Równie dobrze moglibyśmy cytować Biblię i załamywać ręce nad budzącymi grozę fragmentami. Ale nic z tego nie wynika. Nic.

Pozostają jeszcze drewniane dialogi bohaterów, którym w usta włożono przyszlifowane złote myśli, brzmiące jednak naiwnie. A skoro wyszliśmy od Tomasza Manna, warto dla porównania przypomnieć sobie świetne sekwencje z *Doktora Faustusa*, gdzie młodzi ludzie prowadzą rozmowy podczas wycieczki z Eisenach. To przecież ta sama epoka, którą opisuje Tokarczuk...

Empuzjon nie jest wolny również od prawdziwej zmory współczesnej „średniej” literatury – opisów wyjętych z rozlicznych encyklopedii, wprowadzających zdumionego czytelnika w szczególności teorii naukowych, meandrów historii, a nawet,

4 Paweł Huelle, *Castorp*, Gdańsk 2004.

jak właśnie w książce Olgi Tokarczuk, relacjonujących tradycyjny sposób otrzymywania węgla drzewnego. Znajdujemy również przepis na dzisiaj już rzeczywiście rzadko jadaną czerninę, która ma chyba za zadanie przerażać wegetarian swoim głównym składnikiem, czyli krwią. Nie wiem, czy to sama autorka wyszukiwała podobne rewelacje w Internecie, czy przygotowali je dla niej jacyś sekretarze, ale nawet niewprawne oko dostrzeże, z czego uszyta jest fabuła powieści.

Błędów i przekłamań również nie brakuje. Bohater używa w górach butów na gumowych podeszwach (s. 97). A to jest 1913 rok, kiedy tego typu obuwie miało podeszwy skórzane i co najwyżej, dla lepszej przyczepności, nabijało się na nie gwoździe.

Byłbym okrutny, przytaczając pojawiające się w książce opisy przyrody. Te sprawiają wrażenie wyjętych z wypracowań niezbyt pilnej licealistki, która nic nie pojęła z piękna wizji Mickiewicza w *Panu Tadeuszu* i prawdziwego kunsztu, z jakim Sienkiewicz maluje Dzikie Pola.

To przeciętna literatura, od której uginają się półki naszych księgarń. Zdumiewające, że jej wydanie stało się tak wielką sensacją. Choć może jednak nietrudno rzecz wyjaśnić. Wydawnictwo Literackie z powodzeniem publikuje książki Kataryny Grocholi i Janusza Leona Wiśniewskiego. Do ich rozchwytywanych czytań dołącza tymczasem *Empuzjon*.



Jerzy Stępnik i Krzysztof Szwaia w spektaklu Henryka Tomaszewskiego *Przyjeżdżam jutro*, 1975, fot. T. Drankowski (czyt. s. 156)



Danuta Kisiel Drzewińska i Krzysztof Szwaja w spektaklu Henryka Tomaszewskiego
Przyjeżdżam jutro, 1975, fot T. Drankowski (czyt. s. 156)



Format Literacki

NR 5 (2022)

POEZJA – PROZA – ESEJE – SZTUKI WIZUALNE

ISSN 2720-0892

Spis treści numeru 5

- Monika Braun** Narysuj sobie mapę — **188**
- Robert Gawłowski** Wiersze — **196**
- Bogdan Koca** EREMITA — **202**
- Bogusław Jasiński** Imię wszystkim imion „Jam jest, który Jest”
i jego metafizyczne konsekwencje — **204**
- Janusz Jano Mieleczarek** Człowiek ze szramami na dłoniach — **218**
- Krzysztof Rudowski** Dobrowolność śmierci — **226**
- Lesław Nowara** Wiersze — **234**
- Musa Çaxarxan Czachorowski** Idący — **238**
- Stanisław Karolewski** Sekrety antykwariusza czyli czy w raju pachnie kurzem?
(fragment) — **242**
- Roger Piaskowski** Złota Wieża — **244**
- Janusz Jaroszewski** Błędówka — **252**
- Krzyszyna Konecka** Wiersze — **264**
- Urszula M. Benka** Senny wampir Nosferatu w kawiarence Pod Łzą Tajemnicy — **268**
- Krzysztof Rudowski** Nicowanie — **280**
- Marian Lech Bednarek** KRAINA PE — **284**
- Waldemar Okoń** Dniownik (fragmenty) — **288**
- Gabriel Leonard Kamiński** Wiersze — **306**
- Andrzej Saj** Faces: twarze, maski, imiona — **308**
- Andrzej Kostolowski** Kim jestem (z cyklu Roje Uwag) — **318**
- Katarzyna Aksamit** Harmonia zmienności – Waldemar Okoń *Dniownik* — **322**
- Urszula M. Benka** Kronika — **330**

Narysuj sobie mapę

*Ten co zapomniał swojego imienia
nie mógł być przepuszczony na tamtą stronę'*

Kiedy moja matka nosiła mnie w sobie, rozmyślała, kim będę i szukała imienia dla tego czegoś, co się z niej wydobędzie, stając się osobnym bytem. A ponieważ jej ulubioną w dzieciństwie książką była *Monika jedzie na Madagaskar*², postanowiła, że właśnie tak mnie nazwie. W tamtym czasie to nie był wybór oczywisty, imię rzadkie i na dodatek zupełnie niemające tradycji w rodzinie. Żadna z moich antenatek go nie nosiła, więc już samo sięgnięcie po miano obcej krwi było decyzją wiele mówiącą. Zamiast zatrzymać mnie w kręgu ustalonych zwyczajów nazewniczych oraz świętych patronów, których kompetencje były wszystkim dobrze znane, matka wydała mnie inności. W jakimś sensie wyzuła z dziedzictwa mych szacownych przodków, ich koligacji i powinności wynikających z bycia Mariami, Konstancjami czy Elżbietami, przy czym – co warte refleksji – nazewnicze wolnomyślicielstwo mojej matki nie przeszkodziło jej na drugie imię dać mi jednak Maria, abym miała wsparcie tak w tradycji, jak i w kościele.

Poza tym jednak wówczas podobała jej się po prostu historia dziewczynki, która z ojcem podróżuje na odległą afrykańską wyspę i przeżywa różne przygody w świecie odległym od Polski znacznie bardziej niż dziś, kiedy na Madagaskar można dotrzeć na własną rękę lub z biurem podróży, a nawet jeżeli jest to trudne w realu, to w wirtualu da się obejrzeć tamtejsze pejzaże, rośliny i zwierzęta – wyraziste i jaskrawe dzięki cyfrowej fotografii, całkiem odmienne od bladych, jakby wypłowiałych ilustracji z wydania książki, na którym wychowała się mama. W jakimś sensie zatem, wysyłając mnie wtedy na Madagaskar, czyli na kraj świata, wyekspediowała mnie zarazem w rejony nieobjęte bezpośrednim doświadczeniem, poza horyzont.

Więc może moja pozycja outsidera w rodzinnym gronie, kogoś kto nie przynależy całkiem i w sposób uświęcony tradycją, stąd się wzięła? I potrzeba chodzenia własnymi

1 Julia Hartwig, *Imię*, w: eadem, *Jasne niejasne*, Kraków 2009, s. 13.

2 Maksymilian (Max) Mezger, *Monika jedzie na Madagaskar*, przeł. Leodegarda Schechtlówna, Poznań 1934 (niemiecki pierwodruk: 1931).

ścieżkami. W późniejszym życiu także niechęć do wszelkich organizacji, akcji zbiorowych, dużych gremiów. Została magicznie przywołana przez historię małej podróźniczki. „Zosia-Samosia” – śmiała się ze mnie mama, mieszając w tych słowach uznanie dla moich dziecięcych przedsięwzięć i przyganę z powodu lekceważenia społecznych norm. Później uznała, że od bohaterki powieści niemieckiego pisarza, napisanej w latach trzydziestych XX wieku, lepsza będzie św. Monika, matka św. Augustyna, heroicznie i wbrew zdrowemu rozsądkowi modląca się w VI wieku o zabawienie syna i w końcu je wymadlająca, co odcisnęło piętno na kartach historii nie tylko kościoła, ale i całej kultury europejskiej. Patronka odszczepieńców i ludzi nieszczęśliwych. Właściwie także samotniczka. Tak czy inaczej, bycie „poza” łączy się w mojej wyobraźni z brzmieniem mojego imienia, z greckim *monos*, czyli „jeden, sam, pojedynczy, jedynak”, bo choć mam rodzeństwo, idzie ono diametralnie innymi niż moje drogami. Z tego samego rdzenia pochodzą monogamia, monoteizm czy monaster. Niektóre źródła podają, że imię Monika bierze się od greckiego *monaché*, co znaczy „samotna, odosobniona” (i teraz we Włoszech na zakonnice mówi się *monaca*, a w niektórych dialektach po prostu *monica*).

„Przechodniu, powiedz imię,/ a poznamy miejsce/ marzenia, które niesie/ bezpiecznie i lekko”³ – pisze Gajcy, i jest w tej frazie owo zjawisko docierania do przestrzeni wcześniej niedostępnych, niezwykłych, pragnionych – tylko dzięki dawaniu nazwy. Ale też ulotność i radość dawania miana. Jest także przygodność nazywającego, któremu w jego drodze przydarza się nazwać coś lub kogoś. Będącego posłańcem między bytem amorficznym, niejasnym a jego uformowaną postacią. Może czyni to nie całkiem świadomie, z pobudek nie zawsze oczywistych i logicznych, jak moja matka, sięgając po imię bohaterki książki dla dzieci; może nazywający czuje się w obowiązku uwiecznić czy uczcić coś lub kogoś, co widać w nazwach ulic lub planet, albo całkiem świadomie przywołać istotne więzi desygnatu i desygnowanego jak w botanice czy biologii. Tak czy inaczej, jest on w jakimś sensie tylko przypadkowym narzędziem umieszczania istoty, rzeczy czy zjawiska w systemie rozległych związków. Dostając imię, jesteśmy posyłani w termin do tego kogoś innego niż my, i tego czegoś, co z nim się wiąże – w świat.

Imię może być duchowym darem albo symbolicznym dopustem. Moi dziadkowie, szukając dla mego ojca wsparcia u właściwych instancji, dali mu na imię Kazimierz, po jego zmarłym w wieku dwudziestu jeden lat stryju-lotniku, którego legenda wydawała się wystarczająco heroiczna, a podniebna śmierć – ekskluzywna (w 1921 roku mało kto spadał z samolotem), i po jagiellońskim królewiczu, który także nie dożył trzydziestki, zajęty ćwiczeniami w rządzeniu krajem, modlitwą i umieraniem na gruźlicę. Chodziło dziadkom oczywiście o patriotyczne i religijne zasługi obu młodzieńców. Czy także

3 Tadeusz Gajcy, *Epitafium*, w: idem, *Wybór poezji. Misterium Niedzielne*, oprac. Stanisław Bereś, Wrocław 1992, s. 156.

o ich cierpienia i niedopełnione żywoty? O specyficzny balast obowiązków i oczekiwań imieniu przypisanych? Imię dziedziczone to coś w rodzaju nabytku na kredyt, z niejasnym horyzontem spłat.

Matki i ojcowie, ale także naukowcy, nadający imiona gwiazdom i roślinom, badacze nadający je rzekom i górcom, wydobywają istnienia z niebytu i wskazują im miejsce w świecie. Czy to w porządku rozumu, nawiązując do nazewniczych tradycji i przydatnych aliansów, jak na przykład mój praprapradziadek, lwowski stolarz Andrzej, gdy swemu synowi dawał imiona Józef Leopold na cześć austriackich cesarzy, czy w porządku magicznym, jak to bywało niegdyś na Słowiańszczyźnie, gdy rodzice wynajdowali dzieciom imiona zastępcze, ochronne, potrzebne wówczas, „gdy imię **prawdziwe** należało ukryć przed siłami zła, sprowadzającymi choroby i śmierć”⁴, przed demonami i strzygami. Ale wystarczyło zawołać, powiedzmy, Niemir i już było wiadomo, że moce nieczyste zostawia w spokoju „tego, kto nie zna pokoju”, sądząc, że dokuczyły mu już wystarczająco. A taki Linneusz na przykład? Ileż miał przeżyć, gdy tworzył swoją taksonomię, zarządzał królestwami, organizował rodziny. Dzięki niemu istnienia pozbywały się swojej nieokreśloności, zyskując imiona szacowne i miejsce w ordynku bożych stworzeń. Ślimak winniczek przestawał być kupką śluzu, w najlepszym wypadku cudzym pokarmem, awansował na *Helix pomatia* i otrzymywał godną pozycję w drzewie filogenetycznym. Zupełnie jak członkowie arystokratycznych rodów zapelniający karty *Almanachu Gotajskiego*, będący częścią systemu większego od ich pojedynczych losów.

Otrzymując nazwę, stajemy się fragmentem konstelacji odniesień i powiązań, nie istniejemy sami przez się, ale dzięki komuś lub czemuś, mamy prawo spodziewać się pomocy od krewnych i powinowatych, a przede wszystkim wiemy, iż nasza siła pochodzi także z sieci nieoczywistych połączeń, która teraz nas unosi, i że możemy uciekać się pod obronę tych wszystkich niematerialnych mocy i wpływów z naszą nazwą związanych. Korzystać z zasobu owej sumy rzeczy i zjawisk. Tak uczy potoczne doświadczenie, ale także, jeśli „język stanowi rozległy i odrębny system wzorców, sankcjonujący kulturowe formy i kategorie, za pośrednictwem których nie tylko porozumiewamy się, ale co więcej analizujemy rzeczywistość, wyróżniając bądź ignorując w niej pewne typy relacji i zjawisk, za pomocą których rozumujemy i którymi wypełniamy naszą świadomość”⁵, to dostając imię otrzymujemy zarazem pozycję w tym systemie oraz – przynajmniej pośrednio – dostęp do innych jego domen. W tym sensie zestawy imion, którymi obdarzano niekiedy ludzi dobrze urodzonych (czytajac na studiach *Życie jest snem* Calderona, nigdy nie mogłam zapamiętać sekwencji: Pedro Calderón de la Barca

4 Maria Malec, *Kulturowe przyczyny zmian w imiennictwie osobowym (w ujęciu diachronicznym)*, „Onomastica” 2015, t. 59, s. 124.

5 Benjamin Lee Whorf, *Język, umysł, rzeczywistość*, w: idem, *Język myśli, rzeczywistość*, przeł. Teresa Hołówka, Warszawa 1982, s. 340.

i Barreda González de Henao Ruiz de Blasco y Riaño) były zarówno czymś w rodzaju polisy ubezpieczeniowej, jak i symbolem owych rozległych koneksji. Przekonanie o ich wpływie przekraczającym doczesność przyjmuje też postać kultu świętych, występującego w różnych formach, nie tylko w chrześcijaństwie. Żyjący mogą czerpać z duchowych sił męczenników i ojców kościoła w katolicyzmie, przodków w konfucjanizmie, czy cadyków w judaizmie. Nawet w protestantyzmie, odrzucającym kult świętych, można odwoływać się do wzorca „świadków wiary”, a w anglikanizmie sięgać po ich wstawiennictwo.

Ale zawołać kogoś, użyć jego imienia, to nie tylko nawiązać z nim porozumienie, włączyć we własne doświadczenie, rozpoznać, to także uznać jego osobność i pojedynczość. Pozwolić mu na samorozpoznanie. Leśmianowska Łąka „zawołana po imieniu/ raz prze[gląda] się w strumieniu –/ i odtąd pozna[je] siebie wśród reszty przestworu”⁶. Zyskuje tożsamość, ale i konstatuje swoje miejsce wśród innych bytów. Jak dziecko, z którym dorośli dopóty igrają jego imieniem, dopóki z wokalnego znaku czułości nie stanie się ono dla niego znakiem własnego „ja”. Imię oswaja. U Julii Hartwig „rad jest też/ że został nazwany/ mały zaskroniec/ prześlizgujący się przez ścieżkę/ bo sprawia to, że nie budzi w ludziach/ daremniego strachu”⁷. Jeśli wiem, jak się nazywam, lepiej rozumiem swoje miejsce w świecie, jeśli wiem, kim jesteś, zyskuję dostęp do ciebie w twojej unikalności, a zarazem do ciebie jako reprezentanta typu, gatunku, rodzaju.

Nadawanie imienia jest gestem rytualnym i duchowym, obrzędem przejścia z niepełności i nieokreśloności ku społecznej pełni⁸, w różnych kulturach wzmocnianym ceremoniami, których znaczeń i konsekwencji nie obejmują akta urzędu stanu cywilnego. Obecnie traktowane jako oczywistość, wydaje się często zaledwie pragmatycznym i koniecznym sposobem umiejscawiania osoby we wspólnocie, wymogiem prawnym, obwarowanym przepisami i zakazami. Ma także wiele wspólnego z modą i stylem. Bywa wytrychem, zabawką, intrygującym gadżetem. Coraz rzadziej warunkowane tradycją staje się okazją do uprawiania specyficznej wynalazczości. Imię może być przydatne, gdy równie łatwo wymawia się i zapisuje w różnych językach. Zacerpnięte z biografii słynnych osób jak Józef Stalin, Włodzimierz Lenin, Ronald Regan, Walentyna Tierszkowa czy Jezus, staje się manifestem przekonań rodziców. Czerpane z kultury pop – filmów i piosenek, albo z kultury wysokiej – literatury i historii, zapisuje właściciela do fanklubu określonych trendów i upodobań. Czyni go, nie zawsze zgodnie z jego wolą, wyznawcą religii czy ideologii. Niekiedy jest szansą wzięcia symbolicznego udziału w serialowej baśni, grze RPG, *reality show*, stwarza

6 Boleśław Leśmian, *Łąka*, w: idem, *Poezje*, Warszawa 1973, s. 204.

7 Julia Hartwig, *Imię*.

8 Zob. Arnold van Gennep, *Narodziny i dzieciństwo*, w: idem, *Obrzędy przejścia*, przeł. Beata Biały, Warszawa 2006, s. 81.

możliwość wejścia w rzeczywistość inaczej niedostępną. Jako dziewczynka miałam żal do rodziców, że nie dali mi na imię Nel, tak jakbym nosząc je, mogła przeżyć *W pustyni i w puszczy*, oczywiście w najbardziej romantycznych fragmentach powieści. Potem chciałam być Kingą, jakoś dobrze to brzmiało, nie wiedziałam natomiast o przywódczych konotacjach imienia, a tym bardziej że pochodzi ono od Kunegunda, co na pewno dla mnie kilkunastoletniej brzmiałoby gorzej. W końcu wybrałam Rachełę, tak dla egzotyki biblijnej historii, jak i dla ekscentryczność bohaterki *Wesela*. Zaraz potem znalazłam się w szkole teatralnej, gdzie na drugim czy trzecim roku podczas zajęć ze scen klasycznych grałam Rachełę. Ale imienia nie zmieniłam.

Więc mieć imię to zawsze nie tylko indywidualizować, lecz także włączać – w plemie, ideologię, wyznanie – nawet gdy chodzi o pośredni hołd składany geniuszowi Alberta Einsteina, mięśniom i sprawności Bruce’a Lee lub seksapilowi Marilyn Monroe. W tym sensie imieniny to świętowanie związku, obecności w klanie, społeczności, niekiedy sekcje, rocznica sięgania po wsparcie wyższych instancji, i nie ma tu właściwie znaczenia, czy chodzi o Maryję Dziewicę, matkę boga, czy Marię Stewart, zdekapitowaną władczynię. Dzień patrona to okazja dla wypominków, kolekcjonowania zasług, nie własnych, co prawda, ale mimo wszystko w pewnym sensie naszych, poprzez obecność protektora celebrowaną w duchu i wyobraźni. Nie tak jak urodziny, które nas samych czynią centrum uwagi. Rocznica przyjścia na świat jest uroczystością świecką i z gruntu indywidualistyczną, nowoczesną, bo podkreślającą osobność człowieka, w przeciwieństwie do imienin, nieco archaicznych, wydobywających aspekt bycia częścią, otwierających jednostkę na metafizykę i szerszy świat jakiejś zbiorowości.

Dlatego, jak sądzę, imionom można by namalować mapę pokazującą je w siatce kartograficznej wzajemnych zależności, w etymologicznej genealogii ułożonej jak drogi i linie kolejowe, wśród źródeł i dopływów, którymi się karmią, a zarazem je same jako źródła innych rzek i strumieni. Taką jak niegdyś, gdy mapy wykonywano ręcznie jako jedyne i niepowtarzalne odwzorowanie miasta czy krainy. Rysowano je i pokrywano farbami czule i z uwagą, ufając, że istnieje bezpośredni związek między zjawiskiem a jego reprezentacją. Na tej karcie dominantą byłyby ciągły ruch, komunikacja, przepływy inspiracji i transport treści składających się na właściwy sens nazwy, migracja spuścizny zasilającej imiona i przez nie tworzonej. Ten ruch odbywałby się wskroś czasu i przestrzeni, z lekceważeniem ograniczeń epok i kontynentów. Tworzenie mapy uwzględniałoby najbardziej nieprawdopodobne filiacje i sprzężenia. Byłoby z nią jak z odwzorowaniem globu, wypełniałaby się z czasem, znikalyby białe plamy uzupełniane treścią przez kartografa-demiurga, jednak nie wszystkie. Niektóre pozostawałyby na zawsze – ukryte i niepokojące – jako tajemnica osobowości, Freudowskie id, Jungowskie instynkty i archetypy.

Takimi *quasi*-mapami stają się niekiedy domy wypełnione obrazkami patronów, portretami przodków, ich drzewami rodowymi, pamiątkami po nich, książkami, które cenili i wspomnieniami potraw, których nie znosili, fotografiami. Właścicielki i właściciele takich domów-sanktuariów celebrować owe przedmioty (wspomnienie, po latach, też bywa rzeczą niemal dająca się obracać w dłoniach, możliwą do oglądania), by wciąż od nowa afirmować własną tożsamość, spierać się z nią i z nią kłócić. Chodzić na palcach koło „szafy z trupem”, ale nie otwierać jej jednak. Bywają też powieści i poematy, obrazy, a nawet budowle, w których autorzy zamykają własne intymne doświadczenia, obserwacje, zaciekawienia. Przecież właściwie wszystkie są takie, nie tylko Proust czy Conrad, Brueghel czy Malczewski, Bernini czy Gropius, prawda? I choć czysto biograficzne czytanie sztuki nie uchodzi od czasów Lévi-Strauss’a, to przecież on właśnie widział świat jako systemy więzi, struktury pokrewieństwa, sojusze i alianse przekraczające czas i przestrzeń, których komponenty wpływają na siebie.

Innym materialnym odwzorowaniem imienia, jego obrazem jako w istocie całej konstelacji elementów i natchnień do budowania struktur szerszych, były popularne w XIX wieku imionniki, kolekcje pamiątek i miejsca *quasi*-spotkań różnych osób, motywów, tropów i metafor. Rodzaje przenośnych salonów, do których zapraszano gości, którzy zostawiali w nich uwagi i rysunki, nawiązania i wtrącenia do poprzednich – szkieletowane bibeloty, fraszki i błahostki. Adresując swe wpisy do właściciela/właścicielki, nawiedzający karty sztambucha wprowadzali doń własne skojarzenia, dla których imię było zaledwie pretekstem. Imionnik stawał się rodzajem kolażu opowiadającego nie tyle o posiadaczu, ile o jego predylekcjach, marzeniach, nieoczywistych nawet dla niego samego, o pewnej potencji duchowej, którą wpisujący wiersze, aforyzmy i notki rozszyfrowywali swym poetyckim, a może szóstym zmysłem. Imionnik stawał się projekcją ukrytych właściwości i szans posiadacza, historią jego niewyartykułowanych jasno klęsk i sukcesów. Bo „choć nadawanie imienia jest odświętne/ to skłonni jesteśmy wierzyć/ że jest jeszcze imię sekretne/ które przychodzi wraz z nami na świat/ i do którego poznania wciąż dążymy”⁹.

Więc być może najpierw imię po prostu nam się trafia – niezasłużony prezent, przypadkowa etykieta, dar według cudzego, nie naszego gustu – potem oswajamy się z nim, rozpoznajemy jako własne, a później jeszcze zaczynamy je sami tworzyć. Tak bywa. Choć nie zawsze. Imiona podobnie jak twarze, można nosić i używać. Jak płaszcz, który nawet do przeniechania nie nadaje się w końcu. Czy możliwe, że ci, którzy zapominają swojego imienia, nie będą mogli być przepuszczeni na tamtą stronę? Jak tacy, co zakopują talenty. Marnotrawcy. Możliwe jednak, że mając mapę, dotrą tam jednak. Bo niekiedy imię z upływem lat wyraźniej, jak początkowo blade kartograficzny szkic, ale też nabiera mocy, podobnie do alkoholu, którym trzeba czasu, by mogły

9 Julia Hartwig, *Imię*.

osiągnąć właściwy aromat. By roślinne esencje przemacerowały się i w procesie sublimacji stały się nową jakością. I jeszcze destylacja, filtrowanie. Czy to właśnie znaczy dbać o dobre imię, zachować imię, ale też zszargać imię? Że trzeba chronić własne miano, zabiegać, by nie mówiono: niech wejdzie, niech zrobi, niech poda? Kazać, by **widziano** nas poprzez imię. A może i innych nazwy tak chronić? W każdym razie doglądać je na podobieństwo win czy nalewek w słojach, troszczyć się o proporcje owoców, przypraw, cukru, zabiegać o właściwe światło i temperaturę. Dawać im czas, by dojrzały.

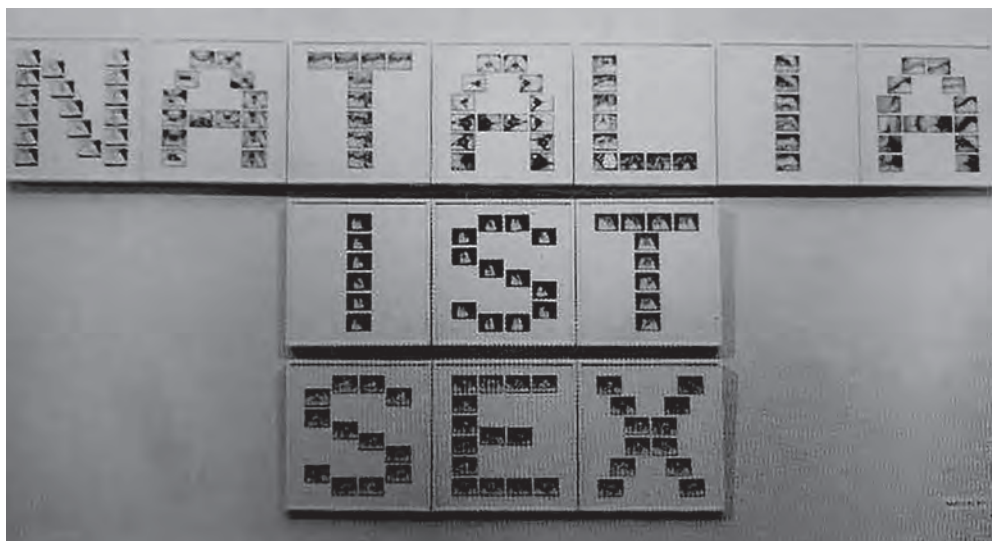
Ale też dozwolić, by się zmieniały od brzmień zdrobniałych, figlarnych, pieszczotliwych ku dorosłym, poważnym, samodzielny. Bo deminutywy wydają się mieć większą interakcyjną moc, podczas gdy ich antonimy oddzielają, każą odpowiedzialnie i bez oglądania się na innych radzić sobie. Zmuszają niejako do wejścia na piedestał. W mojej rodzinie imię Juliusz, nadane po raz pierwszy jako trzecie pradziadkowi Braunowi (po jego ojcu chrzestnym, pewnym galicyjskim urzędniku o nazwisku Gebauer), w następnych pokoleniach nabierające romantycznego stylu przez skojarzenia ze Słowackim, z którego poezjami rodzina utrzymywała zażyłe związki, oraz godności dzięki Juliuszowi Cezarowi (tu znów przez uwielbienie dla porządku i kultury rzymskiej), przyjmowało u dzieci i młodzieńców formę Julusia, Juleczka i Jula, potem stawało się Julkiem. W każdej ze swoich odmian podkreślając aktualny *image* oraz społeczne miejsce osoby. Także specyfikę relacji między danym Julkiem (było ich w rodzinie kilku) a tymi, którzy się do niego zwracali. I niepodobieństwem zdawało się zaburzenie porządku, w którym pełne patosu ujęcie metrykalne miałyby zostać podmienione zdrobieniem, szczególnie wobec starszych mężczyzn. Dla mojego ojca jego ojciec był więc nieodmiennie Juliuszem, postacią pomnikową, i moje próby traktowania dziadka jako Julka – a był człowiekiem pogodnym i lubiącym życie towarzyskie, więc zdawało mi się to naturalne – uchodziły w oczach mojego ojca za poważne i wysoce niewłaściwe naruszenie.

A przecież imię nie jest czymś całkiem stabilnym, poza cieniutką warstewką liter, zwykle niezmiennych od aktu urodzenia do aktu zgonu, istnieje cała różnorodność jego właściwych sensów. Już nawet głoski okazują się dziwnie różne w zależności od sposobu ich artykułowania, śpiewności mowy wyrażającej uczucia osoby miano wypowiadającej. Czy to gdy zwracamy się do kogoś, czy też gdy sami się przedstawiamy. Akt wymawiania własnego imienia nie jest tylko konwencjonalnym gestem, obserwowany uważnie bywa manifestacją osobowości jego posiadacza. Imię to „ja”. Tak bardzo, że w skrajnych przypadkach pragnie się „nie być już więcej i nawet własne imię/ porzucić, jak porzuca się połamaną zabawkę”¹⁰. Pozbyć się go, by nie uczestniczyć w interakcyjnym rytuale, którego zdefiniowane imieniem życie wymaga, nie hołdować konwencjom i konwenansom, pozbyć się go, by nie musieć więcej o nie dbać. Nie mieć imienia to w jakimś sensie nie istnieć.

10 Rainer Maria Rilke, *Pierwsza elegia*, w: idem, *Poezje wybrane*, przeł. Mieczysław Jastrun, Warszawa 1967, s. 100.

Matka mojego ojca zwykła była mawiać, że na swoją twarz człowiek pracuje całe życie; miała na myśli zmarszczki i wzajemne konfiguracje mięśni i ścięgien, szczególnie zmrużenia oczu, grymasy i asymetrie – latami tworzoną wyjątkowość fizjonomii, zdającą się jakąś całkiem nową jakością, niezależną od anatomii. (Gdy to mówiła, nie brała pod uwagę chirurgii plastycznej i kosmetologii, ani wszelkich cywilizacyjnych interwencji w twarz, czyniących z niej sztuczną konstrukcję barw, form i proporcji – *quasi*-maskę będącą osobnym bytem). Podobnie rzecz się ma imieniem, które może być naczyniem napełnianym różnymi treściami, jak alembik czy amfora, do której dodaje się nowe ingredencje. To trwa do śmierci. Niektórzy dodają niewiele albo składniki dość trywialne. Nie przejmują się zawartością. Inni są pilnymi alchemikami. Badają księgi, chcą widzieć i rozumieć. Ale w znacznej mierze konsystencja i skład naszych nazw jest wynikiem przypadków, nie wyborów – działań, a nie spekulacji. Więc chodzi o to, jak kierunkuje się uwagę na aleatoryczność naszego życia. „Czymże jest edukacja? – pyta Kierkegaard. – Myślę, że to droga, którą przechodzi pojedynczy człowiek, aby poznać samego siebie. A kto tej drogi nie dopełni, mało wyciągnie korzyści z faktu, że urodził się w najbardziej oświeconej epoce”¹¹. Więc próbuję wejść do wnętrza siebie i – nie dając się oslepić „oświeconej epoce” – z ołówkiem w ręku (a mam jeszcze temperówkę i pędzelki do akwareli, takie, jakimi wypełniano siatkę Merkatora na dawnych mapach Madagaskaru) mapuję zawartość mojej nazwy.

11 Søren Kierkegaard, *Bojaźń i drżenie*, przeł. Jarosław Iwaszkiewicz, Warszawa 1995, s. 59.



Natalia LL, *Natalia ist sex*, 1974 (czyt. s. 316)

ROBERT GAWŁOWSKI

Oczy

Nigdy nikomu nie zdradził
swojego imienia,

twarzy też starał się
nie pokazywać.

Najwięcej ludziom mówiły
o nim jego oczy.

A każdy, kto w nie zajarzał,
widział swoje odbicie
pośród niepojętego,
ciemnego kosmosu,

lub pośród mórz, które
zapomniały brzegów.

I pośród stad, co idą
i idą.

Pispir

Tu, w ruinach fortecy, jak wielu innych
przed nim, Peregryn widzi słoneczne
rydwany.

Świetliste rumaki rwą chmury, cwałują
od rana, w nieustannym galopie chwil,
rzą i rzą.

I pamiętają to one, gołe klasztorne ściany,
choć dawno już odeszli pustelnicy i mnisi,
pamiętają.

Cień świętego opata pod drzewem jednak
ciągle trwa, pochyla się nad księgami, pisze
i pisze listy.

Niosą je bracia do Aleksandrii i innych miast,
a stoi w nich jedno, że on już nie boi się Boga,
ale Go kocha.

Nitria

Dojść do Nitrii można przez pustynię, albo od
pól zielonych, za którymi już świeci się morze.

Zrazu wyrasta przed Peregrynem kościół, tuż
obok dymi piekarnia i pachną złociste chleby.

A bochenków są setki, jakby miały wyżywić
nie jedno miasto, pierwsze idą do hospicjum.

I Peregryn pojmuje, dlaczego ten chleb jest
tak pyszny; bo dla wielu to już ostatnia strawa.

Oto wynoszą tych, co Bogu oddali swe dusze,
ciała obsypują natronem, owijają w białe płótna.

A potem wiozą na cmentarz, za miasto, składają
w ziemi, albo zamurują w skalnych jamach.

Na placach Nitrii kupcy rozkładają towary, ale
eremici częściej oglądają, niż kupują to i owo.

Co innego zachłanni jeszcze świata nowicjusze,
oni dopiero pojmą sens i trudy tych wyrzeczeń.

Patrząc na nich, Peregryn postrzega, jak cisza
zmienia człowieka i jak milczenie leczy dusze.

Też by tak chciał, ale ma przecież swoją drogę,
nie dla niego pustelnia cicha, chłodna i ciemna.

Sketis

Po Jutrzni każdy z nich podejmował pracę,
i każde zajęcie było tu modlitwą.

Modliły się ręce, nogi, barki, i uszy, i oczy,
a ich ducha krzepiło uwielbienie.

Tak doświadczali owej tajemnej jedności,
i czcili Boga zwykłymi posługami.

Dźwięczała kuźnia, chrobotąła stolarnia,
ktoś pielął warzywa w ogrodzie.

I Peregryn też znalazł w Sketis zajęcie,
czyścił obory i stajnie z gnoju.

Ale w ich trudzie, zmęczeniu, ciężarach
nie było ni krzty przekleństwa.

Powtarzali: „będziesz jadł swój chleb
przez pot z czoła”, i takóŜ było.

Czy to na polach, czy w gospodarstwie,
w szpitalu, w ogromnej kuchni.

*A garnków domu Pana będzie jak czasz
ofiarnych przed ołtarzem.*

Gdy tak szeptał Zachriasz, to i Peregryn
słyszał końskie dzwoneczki.

Kellia

Ta osada to dywan z kamienia, a jej białe domy
z mułowej cegły to klocki rozrzucone daleko
od siebie.

Peregryn dotarł tu po wielu dniach wędrówki
wśród skał i kamieni, spragniony i znużony
pustynią.

Rozgląda się niepewnie, bo nie ujrzał dotąd
żadnego człowieka, może tu nikt nie jest go
ciekawym?

I się dziwi, że nie widać tu murów, ani bramy,
dookoła tylko widma ze światła, poszarpany
horyzont.

Ale po chwili, niby czarne owady, zaczynają
przemykać pochyleni mnisi, kątem oka rzucają
spojrzenia.

I już śladu po nich, każdy kryje się w swojej celi,
choć drzwi do sieni na oścież otwarte, nikt go
nie zaprasza.

Nie jest dla nich intruzem, wielu mu podobnych
przecież już tu było, a wszyscy szli za północną
gwiazdą.

Opowieści Peregryna

Widział, jak wyplatali koszyki, liny, maty;
niekiedy siadał z nimi, próbował rzemiosła.

Choć okazał się pojętny i zręczny, nie było
łatwo: krwawiły palce, pękały pęcherze,
piekły dłonie.

Witki nie poddawały się niewprawnemu,
miały swoje tajemnice, których można
dociec tylko przez ból.

Niektórzy trudnili się przepisywaniem ksiąg,
lecz mało kto poważał i cenił ich zajęcia.

Nie to, co tkacze, ci zawsze byli w cenie;
a i on, jego wiedza i talenty, jakże mało
praktyczne.

Oczyszczony ze spraw i pasji ziemskich,
Peregryn snuł się z kata w kąt bezużyteczny,

Gdybyż jeszcze przepowiadał, wróżył,
leczył albo czynił jakieś magiczne sztuczki.

A jednak siadali przy nim chętnie, prosili
o opowieści, a on snuł je niczym wełnę,

splatał i rozplatał.

Wiersze pochodzą z przygotowywanej do druku książki poetyckiej *Peregryn*.



Natalia LL, *Destruct 2*, 1988 (czyt. s. 308)

EREMITA

Mówią, że pustelnia jest powołaniem. Życie pustelnika nie jest łatwe, a konkurencja jest tutaj ogromna. Tu jest się skazanym na samego siebie. Kandydat na pustelnika dostaje skałę, domek w lesie lub wyspę. Najpierw mówię mu: rozejrzyj się, posmakuj, doświadczyć, zostań tu przez kilka dni i nic nie rób. Przyjrzyj się sobie, otwórz się na pustkę, ciszę, samotność. Nie chodzi o to, żeby ten, który tu trafi, od razu podejmował straszną walkę na śmierć i życie, bo tylko nabawi się stresów, zniechęci i w końcu odejdzie. Spokojnie. Ucz się pokory. Po kilkunastu latach pustelniczego życia śmiem twierdzić, że życie pustelnika to ciężka paca. Kto nie chce pracować, ten nigdy nie stanie się prawdziwym pustelnikiem, bo to nie jest „zawód” dla darmozjadów. Praca pozwala nie tylko na zdobycie pożywienia, ale pełni także funkcje ochronne. Dlatego każdy pustelnik powinien mieć swój ogród, pasiekę, grządki. Powinien uprawiać i zbierać. To pomaga utrzymać wewnętrzną równowagę. W moim przypadku zaczęło się od domu rodzinnego. Matkę pamiętam jako potok słów zlanych w jeden niekończący się, pozbawiony oddechu jęk.

...po co mi to było po co ja już nawet nie wiem czy jestem nieszczęśliwa darmozjad i to z mojego łona wyskoczył jak zgnięta śliwka gad żeby cię tak wszyscy święci żeby cię ludźmi ludzie poszczuli żebyś tak musiał dziergać zamiatać klaniać się i prosić i przepraszać zaślinić się gdyby nie to twoje podobieństwo do mnie to nawet bym się nie wstydziła mogłabym spokojnie umrzeć nie ze zgryzoty nie z poniżenia i upokorzenia tylko tak zwyczajnie jak każda normalna matka kartofle zjadłeś nie niemota nierób patrzy taki tylko i nic do roboty jakiej by się wziął ale gdzie tam siedzi jak jaki sęp i patrzy na nic na co się gapisz bałwanie jeden głuptak kretyń syn-kretyń to po ojcu wszystko przez tego ojca twego bo gdyby mnie był nie zapłodnił wbrew woli i natury to byś tu nie siedział jak jaki świętek zasmarkany znów się zaślinił do roboty by się wziął pożytecznym był wody przyniósł podłat zmył zarobił ręce wytartł zjadłeś kartofle siedzi to i śmierdzi jak jaka przegniła gadzina i to ze mnie to wyszło ku przekleństwu świata i natury wydalłam to z siebie jak jad umyj ręce i nie dotykaj się co za świnia zboczona jakaś kartofla...

Ojciec kojarzył mi się z nożem rzeźniczym, przy pomocy którego, w zwinny sposób uśmiercał wszystkie żyjące w okolicy stworzenia i przerabiał je w „jadło”. Kolor krwi ociekającej z tłustych paluchów ojca pamiętam bardziej niż kolor jego oczu; oczu ukrytych za maską wiecznego zakłopotania. Oczu w ogóle nie pamiętam... on chyba nigdy nie miał oczu.

Uciekałem w kąt kanapy, ukrywałem się tam, oddzielony od jęku matki i poplamionych, pozbawionych cienia zmysłowości rąk ojca kotarą wyobraźni. W moim „kanapowym” świecie towarzyszyły mi gigantyczne stwory – jedyne żyjące stworzenia, których ręka ojca nie dosięgła. Kanapę nazwałem Galápagos, co oznacza przełęcz, angielskie siodło lub też skorupę żółwia. Zostałem zawodowym pustelnikiem w tajemnicy, wbrew woli, z konieczności; ukryty za poduszką przypominającą kamień przeżywałem... marzyłem, karmiłem moje ptaki, gady i rośliny. Milczałem całemu światu prosto w twarz.

Winton, 21.09.2004



Natalia LL, *Destruct 3*, 1988 (czyt. s. 308)

Imię wszystkim imion „Jam jest, który Jest” i jego metafizyczne konsekwencje

Tę scenę znamy wszyscy: Mojżesz schodzi z góry Horeb, gdzie po raz kolejny spotkał Boga. Jeszcze nie ma kamiennych tablic, z wypisanymi na nich przykazaniami, ale za to usłyszał imię Boga, którego domagali się Izraelici. I choć usłyszał, to jednak waha się, czy naprawdę powinien powtórzyć je wobec własnego ludu. Bo, zaiste, nikt takiego imienia wcześniej nie słyszał: co to znaczy JEST?

Dotykamy właśnie fundamentu tajemnicy, a jest nią w istocie próba zgłębienia natury samego Boga. Próba – dodajmy – podejmowana ciągle na nowo i ciągle od początku. „Odpowiedział Bóg Mojżeszowi: »JESTEM, KTÓRY JESTEM«. I dodał: »Tak powiesz synom Izraela: JESTEM, Bóg ojców waszych, Bóg Izaaka i Bóg Jakuba posłał mnie do was. To jest moje imię na wieki i to jest moje zawołanie na najdalsze pokolenia«” (Wyj 3, 14–15). Prawdopodobnie jesteśmy też blisko samego fenomenu wiary, aczkolwiek to nie ona jest przedmiotem naszej refleksji.

A zatem koncentrujemy się na owym JESTEM. Oto rdzeń istnienia jako takiego i zarazem klucz do metafizyki. W zgłębieniu jego natury zawiera się sens bytu a zarazem wyobrażenie Boga. A jednak w jakiegokolwiek próbie analizy istnienia zawsze zawodzą tradycyjne, a w szczególności filozoficzne metody myślenia. Nie ma tu bowiem problemu definiowania co jest czym – albowiem istnienie albo jest, albo nie jest, i doprawdy nie jesteśmy w stanie użyć żadnego *definiendum* do jego zdefiniowania, gdyż z istoty swej jest ono najszersze zakresowo. Jawi się nam z mocą oczywistości. Nie może też być w tym wypadku nawet „filozoficznej” kwestii fałszu lub prawdziwości – te konceptualne zabiegi są bowiem czysto ludzkie, tzn. są dystynkcjami naszego rozumu, który tak właśnie ustawia jakiegokolwiek znaczniki w samym życiu. To jedno z wielu wytworów naszego rozumu i jako takie – w obliczu porażającej oczywistości owego JESTEM – nie mają sensu. Nie da się znaleźć – podkreślmy to raz jeszcze – jakiegokolwiek szerszego zakresowo pojęcie dla **Jest** – bo cóż bowiem może tu być? Pustka, nicość, czyli nie-byt?

Jakże trudno poruszać się tu słownie! Te intelektualne procedury nie mają w tym wypadku żadnego sensu, a świadczyć tylko mogą o ułomności naszego rozumu, przy okazji mimowolnie stają się przejawem naszej pychy. Droga ta prowadzi donikąd, aczkolwiek to właśnie na niej dokonujemy naszych życiowych wyborów. Więcej: to jest szlak naszego życia! To doprawdy zadziwiające, jak życie uzasadnia się samo, jak stało się samowystarczalne, i zadziwiające jest również to, że nie zadajemy już pytania, dlaczego tak się stało. Kiedy i jak?

Biblijne JESTEM, KTÓRY JESTEM staje się w tym wypadku potrząśnięciem za ramię, a w blasku tego stwierdzenia wszystkie formy życia nagle okazują się nieoczywiste, nieabsolutne, względne i tymczasowe. To jakby obudzenie się z drzemki, w którą padamy mimowolnie – żyjąc tylko życiem powszednim.

Moje „jestem” odsyła mnie także natychmiast do JESTEM, KTÓRY JESTEM – ale tylko wtedy, kiedy w tym doświadczeniu staję prawdziwy i autentyczny; to znaczy wtedy, kiedy wiem na kołku wszelkie role i maski, a pozostaję wyłącznie z moim „jestem”. To wszak wspólny mianownik dla wszystkiego, co... właśnie jest. Czy często widzimy tę relację i to wynikanie? Jak głęboko trzeba zagłębić się w sobie i jak boleśnie nieraz trzeba upaść, czego doświadczyć i przez ogień jakiej tragedii trzeba przejść, aby do tego dotrzeć? Każdy na mocy swojego „jestem” ma swoją miarę i swój rozmiar bycia, które dźwiga i zaprawdę nigdy nie jest i nie może być tak, że spoza jego chmury nie można dostrzec TEGO, KTÓRY JEST. Cała reszta zależy tylko ode mnie, od mojej woli i od mojej prawdy, którą decyduję się odkryć, i stanąć wobec niej. Lękamy się jej, ponieważ zawiesza ona całe życie, jego porządek, jego formy i jego logikę, na chwilę choćby czyni je nieważnymi i bez znaczenia bezwarunkowego, jak dotychczas bywało. Ta logika przestaje tu obowiązywać. Tego się właśnie boimy. Bo nie wiemy, co dalej. A dalej przecież JEST TEN, KTÓRY JEST. Tak, to rzeczywiście wymyka się porządkowi życia, a życie to jest przecież naszą drugą naturą. Dlatego wolimy zdecydowanie być zasznurowani w swoich mniemaniach i wyobrażeniach o sobie samych i świecie dookoła, zamknięci na jakąkolwiek prawdę inną od własnej. W niej bowiem czujemy się bezpieczni. Bo tu wszystko jest sprawdzalne naszym rozumem i dosłownie na wyciągnięcie ręki. A nie widzimy, że w ten sposób uruchamiamy mechanizm samopotwierdzania naszej własnej egzystencji, tak jak nasza wiedza zakłada i potwierdza samą siebie. I na koniec pozostaje tylko to w istocie swej banalne stwierdzenie, że dokądkolwiek się w życiu obrócimy, to widzimy własną twarz.

JAM JEST, KTÓRY JEST – to jedno, wcześniej nieznanie imię – rozbija tę logikę i demistyfikuje nasze narracje codzienne, zimną wodą polewa nasze głowy. Pokazuje jednocześnie, że istnieje twardy grunt pod stopami, któremu nie sposób zaprzeczyć – istnienie samo, nagie i oderwane od życia i jego form. Bo czyż bez dozy szaleństwa da się zaprzeczyć wędrownce słońca po niebie, wianiu wiatry, biegowi rzeki lub temu, że deszcz

pada? To jest dopiero prawdziwy absurd – właśnie to, a nie literacki fakt, opisany przez Alberta Camusa, i który w całości przypisany jest życiu. Może i życie jest absurdalne, ale przecież z punktu widzenia istnienia samego jest przede wszystkim ułudą. Otwórz oczy i zobacz, odetkaj uszy i słuchaj, zamknij usta i mów. Tak właśnie każe myśleć Jestem.

Ten powszechnie znany i wyżej przytoczony cytat z Biblii (*ehjeh aszer ahjeh* – Jestem, który jestem) wbrew pozorom nie jest jednak jednoznacznie rozumiany. Nakłada się bowiem na jego sens tłumaczenie greckie z Septuaginty, które – *nota bene* – często porzucając literę hebrajskiego oryginału, przekazywało zdumiewającą logikę do tego stopnia, że stawało się tekstem kanonicznym. I to nawet dla samych Izraelitów! W tym konkretnym przypadku jest podobnie. Otóż o ile dla Hebrajczyków ów cytat oznaczał po prostu bycie Boga pośród ludzi, i to prawdopodobnie wręcz w sensie osobowym, o tyle dla Greka tłumaczącego stary tekst hebrajski owo „Jest” stawało się pewną inwariantną cechą wszelkiego bytu (*ego eimi ho on*), a zatem pewną abstrakcją, albowiem ów Grek już wiedział, co to jest Absolut. Bo już miał w głowie całą filozofię! Czyli myślenie abstrakcyjne. Tymczasem jesteśmy w świecie, w którym jeszcze nie wymyślono filozofii. Dlatego właśnie jest to przedziwne imię JESTEM, które dopiero potem, czyli po odkryciu myślenia abstrakcyjnego przez filozofów, stało się abstrakcją lub Absolutem.

Na marginesie tych uwag zwróćmy również uwagę na jeszcze jeden szczegół. Niewątpliwie kwestia istnienia była również obecna w dawnej myśli greckiej i w jej duchowości. Jeśli wierzyć Plutarchowi, to nad centralnym wejściem do świątyni delfickiej widniał tajemniczy napis „E”, który należało tłumaczyć jako „Jesteś”. To są naprawdę zadziwiająca analogie i inspiracje dla dalszych badań. Dlaczego nikt wcześniej ich nie zauważył?

JEST tylko w modlitwie?

A zatem w doświadczeniu owego „jestem” tak naprawdę przemawia do człowieka sam Bóg JESTEM. Jak? Pytanie to nieustannie powraca – zarówno pod piórem teologów, jak i filozofów, w obrazach malarzy i w dźwiękach muzyków, ale także w strofach poetów i westchnieniach zwykłych ludzi w zwykłym powszednim życiu. A jak ja słyszę to pytanie? Oto widzę teraz, że niespodziewanie dla samego siebie dokonuję zmiany w tym myśleniu: już nie pytam o to, jak mówi do nas Bóg, lecz pytam o samo pytanie! Skąd ono do mnie trafia, gdzie się rodzi, dlaczego w ogóle pytam i w jaki sposób? Czy to jest zwykła asekuracja człowieka niedowierzającego, małej wiary lub wiary ułomnej? A może jest to pytanie filozofa, który bawi się myślami? Nie, to jest badanie możliwości takiego pytania.

Pytanie to powstaje w zwykłym życiu i całkiem przeciętnej egzystencji, i jako takie staje się przejawem i manifestacją... samego istnienia. Wszak istnieję również i ja – ja pytający. Innymi słowy – tak to widzę – nie przychodzi ono do mnie z zewnątrz mojego świata, lecz – przeciwnie – rodzi się z głębokiego i autentycznego doświadczenia własnego wnętrza;

z samego środka sytuacji egzystencjalnej, której jestem także uczestnikiem. „Będę słuchał, co we mnie będzie mówił Pan Bóg” (Ps 85, 9). Pytanie to, jednym słowem, staje przede mną dosłownie na mojej drodze, a nie spada jak grom z jasnego nieba. Oto pierwszy paradoks, który już na samym wstępie odkrywam: mowa Boga JESTEM nie jest kwestią nieba, lecz ziemi! To tu szukam jej śladów. To jest jednocześnie doświadczeniem konkretnym i zwyczajnym, a nie niezwykłym i nadzwyczajnym. Bo mowa ta jest faktem – albo jest, albo nie jest. Ale czy wtedy wykracza poza samą wiarę?

Innymi słowy, pytanie, od którego zacząłem, wyłania się z głębi mojej egzystencji, ze mnie samego, z wnętrza, ku któremu się wychylam cały. Ma to niewiele wspólnego z dogmatyką *stricte* religijną, lecz raczej pytanie owo wprost odkrywa oczywisty związek z realną obecnością JESTEM w moim świecie. Trzeba powiedzieć jeszcze mocniej: w tym doświadczeniu jest mniej intelektu, a zdecydowanie więcej obcowania z samym fenomenem istnienia. Wiara taka jest zatem doświadczeniem, a nie deklaracją wiary. Wiara bez wiary?

Taka mowa to kurczowe trzymanie się również mojej obecności, czyli doświadczenie oczywistości istnienia. Bóg JESTEM mówi do mnie o tyle, o ile ja jestem wobec Niego wychylony, otwarty – tak, aby mógł działać. A zatem On mówi, kiedy ja mówię o tym – jakże często bez słów!

Być obecnym wobec JESTEM jest równoznaczne z zawieszeniem form życia i trwaniem w samym istnieniu – czyli zagłębianiem się w oczywistość istnienia samego. Nawet modlitwa staje się więc wchodzeniem w głębię, a nie wzlatywaniem ponad. To ciągle ponawiana próba pozbycia się maski i roli, którą nadaje mi życie i jednocześnie odsłanianie czystego faktu istnienia, które samo w sobie jest darem całkowicie niezasłużonym. Innymi słowy, to odkrywanie, kim jestem naprawdę – to zaiste przejaw największego realizmu. Nie jest zatem czynnością konceptualną, lecz czynem i doświadczeniem. Co wcale nie oznacza, że jest bezrozumny. Uwalnia mnie od samego siebie i roztopia w istnieniu. Tak oto wchodzę w jego oczywistość.

W takim razie – z perspektywy doświadczanej oczywistości istnienia – jakże mogę cokolwiek takiemu Bogu narzucać? Dlatego w gruncie rzeczy ograniczony sens mają wszystkie błagania i prośby, lamentsy i uczucia, które wylewamy z siebie w modlitwie. To naprawdę zaśmiecanie przestrzeni, która w całości powinna być wypełniona wdzięcznością za istnienie i uwielbieniem dla samego istnienia. Cała reszta przychodzi niepostrzeżenie sama, raczej cicho, a nie przy dźwięku fanfar lub werbli – problemy rozwiązują się same. Kto inny za mnie działa. Staje się to tym bardziej prawdopodobne, im bardziej zanurzam się w oczywistość tego niewątpliwego cudu, jakim jest istnienie samo. I oto natrafiamy tu na kolejny paradoks w takiej modlitwie. Powierzyc JESTEM całe swoje życie, znaczy tu tyle, co zapomnieć to życie. Wtedy jest szansa na to, że staje się ono sensowne. I jeszcze konkretniej: rozwiązać problem poprzez

taką modlitwę oznacza zatem zapomnieć o nim choć przez chwilę dzięki zagłębieniu się w oczywistość istnienia. Widzę wtedy jego nieabsolutność, uchylam jego bezwarunkowość, a może nawet dostrzegam jego pozorną – rozwiązuję go jak supeł wcześniej zadzierzgnięty. Być może miarą tego paradoksu jest paradoksalność samej wiary – całkowicie niewytłumaczalnej z życiowego punktu widzenia. A więc bez form wiary.

To JESTEM przemawia do mnie w modlitwie, nie mówiąc jednocześnie nic, ale za to jedynie odsłaniając fakt niepodważalny mojego istnienia. Przemawia, odrzucając po kolei następne i następne warstwy, w które sam siebie owinąłem, zasznurowując się i zamykając jednocześnie na Niego. Pokazuje tym samym i udowadnia za każdym razem pozorną form mojego życia, ich tymczasowy charakter. Modlitwa zatem jest powrotem do realizmu i rzeczywistości. A dlaczego nauczano do tej pory, że jest na odwrót? To nie ucieczka, ale powrót do samego siebie.

Nie ma żadnych specjalnie uprzywilejowanych „sposobów” takiego modlenia się, a tym bardziej wyszukanych technik. Sposoby zawsze zawodzą, albowiem odkrywamy w modlitwie stan jeszcze sprzed technik jakichkolwiek. Coś, co technikę poprzedza i tak naprawdę warunkuje. Trzeba stanąć twarzą w twarz z samym istnieniem – doświadczyć w pełni tego prawdziwego cudu niczym niezasłużonego.

Modlitwa taka wreszcie pozwala właściwie – a to znaczy z oddalenia – spojrzeć na samo życie, wziąć je choć na chwilę w cudzysłów. I to najrealniej jak tylko można, a nie z perspektywy doraźnych ułud. A są nimi nasze pomysły na życie konstruowane na miarę naszego rozumu, ideologie, poprawności intelektualne, obowiązujące style myślenia *etc.* Kiedy niczego nie zakładam z góry, niczego też sobie nie wyobrażam, o niczym nie myślę, wtedy słyszę, jak modlitwa we mnie dźwięczy – bo zrobiłem jej miejsce. Dźwięczy, to znaczy objawia mi się sama oczywistość istnienia. Czyli Jego imię.

Modlitwa taka nie jest też sprawą ludzi szczególnie „słabych” ani też ludzi szczególnie „mocnych”, albowiem jest poza tymi rozróżnieniami. Odsłania ona całkowicie inny porządek i inną logikę, gdyż jako taka jest wejściem w tajemnicę i zarazem moc istnienia. Modłę się nie dlatego, aby po ludzku szukać oparcia (życiowego), lecz właśnie na odwrót: porzucam jakiegokolwiek życiowe podpórki i dosłownie rzucam się w niezgłębianą tajemnicę bycia. W szczególności zaś modlitwa nie może być pułapką zastawioną na Pana Boga: modłę się, bo czegoś chcę. Bóg JESTEM wszystko wie i wie też, co jest właściwe dla mnie, trzeba więc przede wszystkim być blisko Niego. Modlitwa zatem to czyn, a nie konceptualne rozważanie, to doświadczenie niekiedy heroiczne, a nie eksperyment myślowy, w końcu wyzwanie, a nie spoczywanie na laurach.

Są – jak wiadomo – dwa podstawowe akty w modlitwie: uwielbienia i dziękczynienia. Uwielbienia, bo od tego się zaczyna: uwielbienia Tego, który Jest. I wszystkiego, co jest. A potem dziękczynienia za to, że Jest. Także wszystkiego, że jest – i wreszcie, że ja jestem ponad wszelką filozoficzną wątpliwość. Oba te akty są zarazem bramą

do modlitwy. Dopiero potem następuje złożenie przed Bogiem całego swojego życia, z jego wszystkimi problemami, troskami, pragnieniami i lękami. A one rozwiązują się same, bo wystarczy tylko być przy Bogu JESTEM. Okazują się w pewnym sensie pozorne z punktu widzenia samego istnienia. Nic bowiem w gruncie rzeczy istotniejszego nie ma ponad istnienie samo. „»Ten, który jest« brzmi Jego imię” (Wj 15, 3).

Wybór zatem jest jasny i prędzej, czy później przed nim stajemy – oby jednak szybciej, by nie tracić czasu na życie. I oby nie wtedy, kiedy przed oczami jest już tylko ściana rozpacz. Z tego punktu widzenia szczęście jest brakiem tragedii i na tym spróbujmy poprzestać. Niechaj życie nie boli, a z upadku dźwigajmy się szybko. Miarą tak pożądanego przez nas szczęścia jest odległość, która dzieli od Tego, Który Jest – tą miarą jest zatem doświadczanie samego Istnienia, trwanie w Nim, kontemplowanie Go, bycie w Nim. Mogę zatem definiować szczęście poprzez to, czym na pewno nie jest – a to zaś jest enumeracyjne wymienianie form życia utkanego mocą naszego rozumu; to jest jak obieranie z łupin cebuli.

Mówili i powtarzali: „powierz to i to, swojej modlitwie” – ale co to znaczy? Tak często to słyszę... Otóż prawdziwe i realne prze-modlenie czegokolwiek, to tak naprawdę zapomnienie tego czegoś – oddanie miejsca samemu istnieniu, a wtedy rozwiązanie przychodzi samo. Napisało się kiedyś: zrobię miejsce Duchowi Świętemu, niech działa sam i wymiata z umysłu moje ułudy. Co to teraz znaczy? Tak naprawdę to tylko kwestia dokonania pewnego wyboru i podjęcia decyzji – cała reszta dzieje się już bez mojej woli i bez mojego udziału. Jestem świadkiem i widzę wszystko z właściwej perspektywy, a to znaczy już nie mojej. Widzę życie z brzegu rzeki, ale nie płynę – oto perspektywa modlitwy zanurzającej w samym istnieniu. Tak to czuję, kiedy jestem naprawdę, i kiedy nie próbuję rozstrzygać czegokolwiek własną myślą, wolą, a zwłaszcza wyobraźnią. Kiedy tylko jestem – jestem najpełniej i najprawdziwiej. Czy jestem rzeczywiście gotów?

Jest i Istnienie

Być może tylko tak jak wyżej można mówić o imieniu JESTEM. Czyli w formie modlitwy, która nie jest ucieczką, ale – na odwrót – powrotem do doświadczenia oczywistości samego istnienia. Na ile jednak zmienia to nasze wyobrażenia o wierze i samej modlitwie? Prawdopodobnie nie ma jednej i konkluzywnej odpowiedzi na to pytanie. Spróbujmy jednak zrobić przynajmniej rejestr problemów, które wynikają z owego JESTEM – tym razem językiem filozofii.

Istnienie jest zatem pojęciem niedefiniowalnym, albowiem – jak powiedzieliśmy – najszerszym z wszystkich zakresowo. Nie jest tu zatem możliwa żadna definicja w ustalonym sensie tego słowa. Pozostaje nam posługiwanie się, w tym względzie, paradoksami – które akurat w tym przypadku wyjaśniają więcej niż jakakolwiek definicja. To,

co Istnieje – Istnieje. Albo coś Istnieje, albo Nie Istnieje. Jediną poważną rzeczą – tak naprawdę – jest zajmowanie się tym, co Istnieje, ponieważ to, co Nie Istnieje – Nie Istnieje. Jest jest. Czy coś może być bardziej oczywistego? Oto zdania zwykłego dyskursu, od których zaczynamy.

Nawet człowiek nieszczęśliwy niejako w naturalny sposób predestynowany jest do praktykowania Samego Istnienia. W pewnym sensie z konieczności, mniej z wyboru. Tylko bowiem święci naznaczeni są mocą im daną do świadomego wybierania tej praktyki, do stąpania zaiste po krawędzi, balansowania na linii, chodzenia po ostrzu miecza... Ale i jedni, i drudzy, tak bardzo w tym do siebie podobni, są odrzuceni przez logikę życia powszedniego. Oni zamieszkują margines, który dla nich jest stworzony. Jest marginesem i jest tak dlatego nazwany, ponieważ życie ustanawia centrum zupełnie gdzie indziej; tam, gdzie tętni rytm i porządek innej logiki – ustanowionej przez rozum ludzki. Istnienie Samo zaś nie przez tę logikę i przez rozum człowieka jest ustanowione. To zasadnicza różnica, do której m.in. przez nieszczęście się dorasta. A zatem praktykowanie Istnienia to zarazem odrzucanie Form Życia i heroiczne odsłanianie tego, co naprawdę tylko jest. I jednocześnie aż jest. To nie jest też ćwiczenie li tylko intelektualne, rodzaj zabawy rozumu – tak naprawdę jest to przewracanie życia do góry nogami właśnie po to, by nadać właściwy mu sens. Może tak właśnie rodzi się moc – moc bycia samego. Nie nazywaj tego tajemnicą, w ogóle tego nie nazywaj, a tylko opisz najprościej, jak możesz, bez żadnych literackich ozdobników. Niczego nie zakładaj i nie nazywaj, raczej dawaj świadectwo, cicho notuj, wydobywaj, nie stwarzaj i nie określaj. A wcześniej porzuć formy życia i poczuć się cichym pasterzem samego bytu. Bo przecież nie ma przypadku w tym, że tak zaczyna w swym *lazen* (późniejsze *lassen*) Mistrz Eckhardt, którego uważnie czyta Martin Heidegger. Tu trzeba rzeczywiście zachowywać się nader ostrożnie.

Kłopoty z definicyjnym ujęciem istnienia

Ponieważ nie da się zdefiniować pojęcia istnienia, nie da się także podać definicji jego przedmiotu. W przypadku istnienia nie jesteśmy w stanie posłużyć się jakimkolwiek terminem go definiującym, albowiem – powtarzamy to raz jeszcze – to, co definiowane posiada najszerszy z możliwych zakresów. Podobnie dzieje się w przypadku definiowania przedmiotu, ponieważ i tu musimy posługiwać się terminami definiowanymi. Z takiego paradoksu – jak wiadomo – częściowo wybrnął Alexius Meinong, który przyjął, iż takim przedmiotem jest ogół tego, co istnieje. A zatem kwestia definiowalności przedmiotu została tu zepchnięta na plan dalszy (mimo szczegółowego wyróżnienia przez Meinonga różnych klas przedmiotów). W tym też sensie kłopot z definicyjnym ujęciem przedmiotu jest analogiczny do kwestii definicji samego istnienia. Czy na pewno?

Jest „jest” i ethos istnienia

Przyjmujemy zatem na wstępie, że istnienie jest pojęciem niedefiniowalnym. Przynajmniej w sensie tradycyjnej logiki i filozofii. To, co istnieje — istnieje; prawdopodobnie na tym stwierdzeniu powinniśmy poprzestać. I dalej: albo coś istnieje, albo nie istnieje – tyle tylko, że taka gruntowna alternatywa przekracza granice tautologii i logiki, ponieważ nie tyle orzeka o czymś, ile bardziej daje świadectwo czemuś. Mówiąc wedle różnic wyżej przeprowadzonych, jest ona przekonaniem, a nie sądem. Dlatego sama jest wyrazem bytu i jego przedstawicielem. Nic dziwnego zatem, że sprawą znacznie bardziej poważną jest zajmowanie się tym, co jest, a nie tym, czego nie ma. Do tego celu powołaliśmy kiedyś *ethosofię*¹, która z definicji niejako zajmuje się tym, co istnieje, ponieważ to, co nie istnieje – nie istnieje. To ma być oczywiste.

W tym miejscu można też odwołać się do wywodów na temat pojęcia prawa. Otóż starotestamentowe prawo – które wszak w pewnym sensie stworzyło imię JESTEM – możemy czytać w kontekście pojęcia ethosu greckiego, tyle tylko, że nadajemy mu specjalne znaczenie.

Najogólniej mówiąc, przyjmujemy, że *ethos istnienia jest tym, co istnieje. Ale nie tylko w sensie „ogół tego, co istnieje” (jak u Meinonga), ale również w znaczeniu „organiczny porządek wszystkiego, co jest”. A zatem mowa tu o tym, co nie tylko jest, ale i jest w określonym łańdzu. To wyczerpuje zakres pojęcia ethosu istnienia. W tym sensie powiedzieć możemy, że ethos istnienia jest podstawową racją istnienia tego, co istnieje. Tautologiczność tych twierdzeń jest oczywista, bo inna być nie może. Ale zarazem oddaje ona maksymalistyczny wymiar takiej ontologii. Skoro wobec tak ujmowanego istnienia bezradna jest logika i sama teoria poznania zorientowana przedmiotowo, to pozostaje nam kwestia oczywistości bytu – tej niewzruszonej pewności, której zaprzeczyć się po prostu nie da. Tak właśnie jawi się nam to twierdzenie, iż jest „jest” i które odsłania nam zarazem zasadę wszystkich zasad. W pewnym też sensie jest też wyrazem wiedzy sprzed wiedzy, czyli jednak owej rzeczywistości przedpojęciowej. Franz Meinong powiedziałby w tym momencie o przekonaniach.*

Bezradność logiki

Przedstawmy jednak dokładniej tę bezradność logiczną wobec kwestii istnienia. Zaczniemy od obecnego w tej tradycji rozróżnienia na bycie i istnienie, które sprowadza „jest” do logicznej spójki. Wyrażenie: „ten śnieg jest biały” wcale nie jest tym samym co „ten biały śnieg istnieje”. To drugie twierdzenie (wzbogacone asertywnością) odsyła nas

1 Zob. Bogusław Jasiński, *Tezy o ethosofii / Theses in ethosophy*, Olsztyn – Warszawa 1992.

do rzeczywistości poza logicznej. Trudno jednak znaleźć „logiczne” przejście od od jednej do drugiej. Ten brak komunikacji między jednym a drugim jest w istocie określeniem skoku od niewiedzy do wiedzy, co będzie jeszcze rozpatrywane niżej. Dlatego w tym miejscu pojawia się nasza kategoria oczywistości bytu, która z istoty swej jest nie tylko poza logiczna, ale i poza filozoficzna. A więc raz jeszcze wychodzi, że jest Jest.

Tu natomiast poświęćmy słów kilka omówieniu innego rodzaju owej bezsilności logiki w określaniu rzeczywistości poza logicznej. Przede wszystkim wynika z niej niemożność ścisłej formalizacji niektórych przynajmniej problemów filozoficznych. Tak się dzieje w przypadku chociażby formalizacji teorii prawdy². Innymi słowy nie da się oddać językiem logiki pojęcia prawdy rozumianej w sensie filozoficznym. Co najwyżej tę ostatnią można badać pod kątem spójności wewnętrznej.

A jeszcze bardziej wyraźnie widać ten problem w przypadku próby opisu przy pomocy logiki zmian w języku nauki; tu logika nader wyraźnie rozchodzi się z teorią poznania. Załóżmy, że przy pomocy aparatu logicznego próbujemy opisać niektóre przynajmniej zagadnienia teoriopoznawcze, w szczególności kwestię zmian w teoriach naukowych. Sprowadza się to do pokazania, jak wzbogaca się sam język nauki, a więc jak stare pojęcia i kategoria zostają wzbogacone o kategorie nowe. Innymi słowy język nauki epoki późniejszej zawiera w sobie (z zachowaniem kategorii syntaktycznych) nie tylko wyrażenia epoki wcześniejszej, ale i wyrażenia nowe – na gruncie wszak tej samej standardowej formalizacji. Innymi słowy każde wyrażenie proste języka wcześniejszego jest również wyrażeniem prostym języka późniejszego (rzecz jasna przy zachowaniu – co podkreślamy - kategorii). Krótko mówiąc cały aparat pojęciowy „starej” nauki musi być zawarty w aparacie nauki „nowej”. Sama zaś zmiana pozostaje dla logiki nieuchwytna, czyli niedefiniowalna. Trzeba by było bowiem przy próbie opisu takiej zmiany zmienić wyjściowe założenia dotyczące pojęcia języka nauki „późniejszej”, co na ogół się nie zdarza. Nie mówiąc już o tym, że zupełnie niewykonalne jest oddanie analizą logiki zmian paradygmatycznych w nauce – tu bowiem pękają sztywne gorsety formuł logicznych. A to one przecież stanowią o naukowości wiedzy. Mówiąc krótko, jeśli zapis formalny jest w stanie uchwycić pewne zależności na płaszczyźnie synchronicznej, to jego użyteczność w opisie zjawisk w ich przebiegu diachronicznym staje się wątpliwa.

Konkludując mamy zatem dwa poważne ograniczenia w formalnym opisie rzeczywistości poznawanej. Raz wtedy, kiedy stajemy wobec przedmiotów obiektywnych, czyli poza logicznych: tu nie ma i być nie może przejścia od logiki do ontologii. Bo ma ono

2 Wykazali to błyskotliwie Max Black (w eseju „Semantyczna definicja prawdy”) oraz P. F. Strawson (w pracy „Prawda” - obie pomieszczone w książce „Logika i język”, PWN, Warszawa 1967). Wynika z ich dociekań, że nie istnieje żadna formalizacja teorii prawdy – na przykładzie semantycznej teorii prawdy Alfreda Tarskiego. Tu milczy albo logika, albo filozofia i wydaje się, że granica ta jest dla obydwu nieprzekraczalna.

naturę skoku od niewiedzy do wiedzy – przynajmniej tej wiedzy, za jaką ją zazwyczaj uważamy w życiu. I dwa – język formalnego opisu pęka wtedy, kiedy musi oddać naturę zmiany i rozwoju w nauce.

Perspektywa ontologiczna i propozycja ethosofii

Przejdźmy teraz do ontologicznej perspektywy opisu istnienia. Widzimy już, że ethosem nie są dowolne wartości i ideały, dotyczące „świata w ogóle”, „życia w ogóle” lub „człowieka w ogóle”, lecz tylko te wartości i te ideały, które dotyczą samego istnienia. Tylko tak można domknąć oczywistość tego twierdzenia.

Ethos w tradycji filozoficznej rozumiano w sposób dwojaki. Po pierwsze, ethosem nazywano te wzorce i normy postępowania (obyczajów i życia wśród ludzi), które człowiek nabywa wraz z procesem wrastania w społeczeństwo. Jest to proces świadomy, oparty o swoistą wiedzę. Po drugie, przez ethos rozumiano ten zespół wartości, które człowiek – przez sam fakt swego istnienia – przyjmuje niejako bezwiednie. Pierwszy typ opiera się na procesach świadomych, drugi na procesach nieświadomych. W przypadku pierwszym ethos przychodzi z zewnątrz, w drugim zaś odnajdujemy go wewnątrz sfery istnienia życiowego. Jest to różnica między transcendentnym a immanentnym punktem widzenia. Ethosoficzne rozumienie ethosu wychodzi od drugiego sposobu pojmowania tej kategorii. Nawiązujemy w ten sposób do naszych rozważań o rzeczywistości przedpojęciowej, o wiedzy sprzed wiedzy oraz o naturze przekonań, które były przedmiotem poprzedniego punktu³.

Widzimy więc, że i wspomniana ethosofia nie może być tradycyjną filozofią. Filozofia się wyczerpała. Wybór jakiegokolwiek stanowiska teoretycznego w filozofii jest w świetle naszych powyższych uwag swoistym aktem wiary. Żadnego bowiem stanowiska teoretycznego w filozofii nie da się całkowicie uzasadnić. Trzeba je tylko przyjąć — jest to kwestią założenia i jego konsekwencji.

W ethosofii tymczasem proponujemy odmienny porządek. Wychodzi się tu od tego, co istnieje. I co jednocześnie doświadczane jest jako oczywiste. Założenie może być rozumiane jako zarazem uzasadnienie i na odwrót (oczywiście w tradycyjnym języku filozoficznym).

Następujące po sobie koncepcje filozoficzne nie dają żadnych pewnych odpowiedzi. Dopiero – paradoksalnie – w pęknięciach filozofii, w przerwach, szczelinach między

3 Co ciekawe taki sposób patrzenia na tradycję filozoficzną zaowocował w moim rozróżnieniu na introsofię i extrasofię, który przeprowadziłem w książce „Dwie fenomenologie: Husserl i Heidegger”. Oba te pojęcia traktowałem jako narzędzia analityczne do badania dziejów filozofii, to znaczy miast ustalonych podziałów na filozofię idealistyczną i filozofię materialistyczną (wraz z wszelkimi możliwymi pochodnymi tego podziału) wprowadziłem podział na nurt właśnie introsoficzny i extrasoficzny. To pozwala niewątpliwie inaczej porządkować całą historię myśli filozoficznej i nie tylko.

kolejnymi koncepcjami pojawia się *ethos* istnienia. Zadaniem ethosofii jest wydobyć ethos istnienia poprzez eliminację metasfery istnienia, do której należy, i którą zarazem uzasadnia, filozofia sama.

Filozofia oparta jest – zauważmy; i co już podkreślaliśmy – o podstawowy dualizm przedmiotu i podmiotu. Nie da się pomyśleć filozofii bez tego dualizmu. Dualizm ten jest jednak w istocie formą niewiedzy, albowiem nie wynika z istnienia, które jest samoistne, realne i jedno – dualizm ten traktować więc musimy wymyślony.

Wszak założeniem i milczącą podstawą każdej tezy filozoficznej – zgodnie z wymogami logiki, na której filozofia właśnie się opiera – powinna być teza dokładnie przeciwna, tj. nie-filozoficzna, w przeciwnym bowiem wypadku pierwotna teza filozoficzna nie będzie należycie uzasadniona – chyba że przez tautologię, a tę trudno przyjąć za jakiegokolwiek uzasadnienie. A zatem – w takim wypadku – każda taka teza filozoficzna staje się czysto deklaratywna, na zasadzie: jeśli A, to... A. Nie istnieje jednak jakiegokolwiek logiczne przejście – a takiego właśnie żąda sama filozofia – od niewiedzy do wiedzy, od nie-filozofii do filozofii. I dlatego filozofia w swej istocie musi pozostać wyłącznie deklaratywna. Stała się co najwyżej ekspresją osobowości filozofa, światem całkowicie zakleszczonym w słowach i pojęciach... filozoficznych; jako taka właśnie w całości należy do metasfery istnienia i zarazem sferę tę tworzy. Filozofia jest więc oparta na tautologii i nie może istnieć po eliminacji tautologiczności myślenia. To jest wewnętrzna sprzeczność, która niejako z definicji ją rozsądza: z jednej bowiem strony wymaga myślenia opartego o zasady logiki, z drugiej zaś skazuje samą siebie na brak jakiegokolwiek logiki, ponieważ musi zaakceptować tautologiczność swych dociekań.

Traktujemy zatem filozofię jako element całej metasfery istnienia. Metasfera istnienia jest domeną świata zreprodukowanego, a to jest przestrzeń istnienia życiowego. Żyjemy całkowicie zanurzeni w świecie zreprodukowanym – człowiek stworzył wokół siebie naturę zreprodukowaną, której materia, choć jakościowo inna od pierwotnej, utkana jest na podstawie mniemań o tej ostatniej. Rządzą nią tak samo twarde zasady jak prawo w pierwszej. Ta zreprodukowana natura jest na tyle gęsta i nieprzezroczysta, że uniemożliwia autentyczny dialog z naturą pierwotną.

Postawa ethosoficzna, która wychodzi od oczywistości samego istnienia, tymczasem znosi metasferę istnienia i restytuuje samo istnienie za pomocą eliminacji form życia (ograniczenie, powstrzymanie)⁴. Usiłuje ona odnaleźć zagubioną konieczność, która przewija się w istnieniu życiowym człowieka i która wynika z samego istnienia. Konieczność ta zarazem określa miejsce w byciu, które zajmujemy faktycznie. To jest *ethos*. Czy tak działa JESTEM, ale w dyskursie czysto filozoficznym?

⁴ Każde z tych pojęć będzie przedmiotem osobnych dociekań w innym miejscu. Tu musimy z konieczności zachować pewną powściągliwość w dalszym badaniu, albowiem w przeciwnym wypadku utracilibyśmy z pola widzenia główny temat niniejszej rozprawki.

Natura zreprodukowana rozwija się już według swoich, sobie tylko właściwych, prawidłowości. I tak człowiek, choć wyemancypował się z natury pierwotnej, popadł w niewolę natury zreprodukowanej, której – paradoksalnie – sam jest wyłącznym twórcą. Ethosofia, wobec powyższego, wskazuje na kierunek drugiej emancypacji człowieka, emancypacji od niego samego, a ściślej, od jego wytworów, które nim zawładnęły⁵.

Filozofia jest więc produktem natury zreprodukowanej. Człowiek stworzył system pojęciowy, który miał tłumaczyć i racjonalizować naturę, tymczasem system ten sam stał się naturą zreprodukowaną. Proces ten jest wielkim etapem w rozwoju ludzkości⁶.

Natura zreprodukowana w odniesieniu do człowieka stanowi zatem metasferę istnienia. W jej przestrzeni rozgrywa się istnienie życiowe. Pragniemy tu podkreślić jeden jego aspekt. Człowiek naszego czasu, otrzymując informację, pozbawiony został możliwości stawiania pytań. Zdolność tę wykorzystała właśnie metasfera istnienia. Z pierwotnej natury dialogowej człowiek przekształcił się w naturę monologową, będącą ukonkretnieniem natury zreprodukowanej. Rozmawiamy już tylko sami z sobą, a do jakiegokolwiek studni zajrzemy, to odnajdziemy w niej tylko własne oblicze.

W naturze zreprodukowanej mamy do czynienia zawsze i bez wyjątku tylko z sensem sensu, wartością wartości *etc.* O ile bowiem w naturze pierwotnej można było mówić o sensie i o wartości, o tyle tu mówimy o sensie tamtego sensu i o wartości tamtej wartości. Wszystkie problemy teoretyczne, które są tu stawiane, w tym także problemy wypełniające przestrzeń metasfery istnienia i odnoszące się wprost do istnienia

5 Prekursorem wyrazem tych tendencji w filozofii współczesnej jest najważniejszy w niej nurt demystyfikujący metasferę istnienia, którego wyrazem są zarówno badania współczesnych marksistów nad świadomością fałszywą, jak i badania fenomenologów nad nastawieniem naturalnym, egzystencjalistów nad życiem nieautentycznym oraz psychoanalityków nad „id”. Filozofia współczesna tym samym odkryła samą siebie, tj. fakt, że nie prowadzi jakiegos wyimaginowanego dialogu z naturą, lecz raczej monolog sama ze sobą. Wszystkie zatem odkrycia, których dokonywała, nie przekraczały jej własnych granic – granic, które zarazem stały się granicami wszelkiego dyskursu teoretycznego.

6 Zamkniętość filozofii potwierdzają np. analizy Hansa Georga Gadamera, który uważa, że przez filozofię należy rozumieć mówienie i rozmowę. Filozofia w takim ujęciu „pracuje” całkowicie na poziomie natury zreprodukowanej niewykraczając poza niego. Ethosofia tymczasem próbuje porzucić ten poziom i dlatego zrywa z filozofią. Doświadczenie, do którego odwołuje się filozofia, jest w przeważającej mierze przez nią kreowane, w o wiele zaś mniejszym stopniu tylko jest.

Należy tu także uwzględnić – jako typowe – propozycje teoretyczne J. Lacana, w których to widać ów proces zdobywania samoświadomości przez filozofię współczesną. Uspołecznienie jednostki rozumie on jako jej partycypację w symbolicznym języku kultury. Struktury owego języka zaczynają z czasem kształtować osobowość i psychikę jednostki. Na tej podstawie twierdzi on, iż człowiek jest całkowicie pisany przez alfabet języka kultury. Ów język zniekształca przedmiot swej wypowiedzi (a także wypowiedź samą). Margines owego zniekształcenia powinna badać filozofia poprzez odsłanianie sfery podświadomej. Podświadomość bowiem – według Lacana – utrudnia bezkonfliktową komunikację społeczną, ponieważ wprowadza element przypadku i chaosu z punktu widzenia zracjonalizowanej struktury społecznej. Podświadomość ma jednak – jak dalej dowodzi – podobną strukturę jak język. Dlatego Lacan wprowadza tu pojęcia przeniesienia i kondensacji. Historia podmiotu – w ujęciu Lacana – staje się historią szczególnego poszukiwania siebie.

życiowego, mają taką właśnie strukturę podwójnego wzroku. Jest to wzrok, w którego patrzenie nieodwołalnie wpisany jest odbłask metafery istnienia. Istnienie postrzegamy więc wraz z jego interpretacją, czyli wraz z metaferą. Oba te elementy ludzkiego doświadczenia są nieodłączne i da się je rozdzielić tylko abstrakcyjnie. Ta abstrakcja także należy do metafery istnienia.

Czy powyższe uwagi są próbą restytucji poznania bezzałożeniowego lub intuicyjnego, wszak wielokrotnie podejmowanego przez samą filozofię? Czy wynikają one z imienia JESTEM, które przecież jest przed-filozoficzne i pozapojęciowe?

Tymczasem na horyzoncie ciągle powiewa proporzec z napisem imienia „Jam Jest, Który Jest”. Nikt nie rozumie tych słów i nikt też nie zwraca uwagi na wiatr, który nim kołysze – który też jest. Jestem po stronie wiatru.



Natalia LL, *Destruct 4*, 1988 (czyt. s. 308)

Człowiek ze szramami na dłoniach

Zerwał się wiatr. Mężczyzna usiadł na rozgrzanych słońcem kościelnych schodach, jakby ciepło z nich chciał zatrzymać przed snem. W dole ostatni przechodnie, kuląc się, opuszczali ulice miasteczka. Chciał tam zejść na noc, ale postanowił zostać tutaj, na odludziu, i w kącie przy kościelnym murze zamknąć oczy do świtu. Z tyłu usłyszał chrobot zasuwu w drzwiach. Musiała przesuwac się z trudem, albo ten, kto to robił, miał niewiele siły, bo rygiel wszedł w swoje jarzmo dopiero za trzecim razem. Zamierzał sięgnąć po jedzenie, ale wtedy nie miałby nic na rano, przed drogą.

Obok, niespodziewanie, upadł różowy kamyk, podskoczył i po stopniach schodów toczył się coraz niżej. Obejrzał się, w pobliżu nie było nikogo. Wkrótce inny kamyk upadł z drugiej strony. Był lżejszy i nie dotoczył się nawet do skraju stopnia. Po chwili do kamyka podeszła zakonnica, przyklękła na jedno kolano, podniosła go, przeżegnała się i dotknęła nim czoła. Była blisko i słyszał słowa wymawianej przez nią modlitwy. Wstała z klęczek, przyjrzała się obcemu i powiedziała szorstko:

– Czego tu szukasz?

Przywykły do ludzkiej niechęci, nie odpowiedział, ale nie zamierzał opuszczać kościelnych schodów. Były dobrym miejscem dla ptaków startujących stąd do lotu nad cichnące teraz w dole miasteczko.

– Wynoś się! – powiedziała ciszej i podeszła bliżej. – Jesteś z nimi. – Pokazała w stronę domów. – Oni cię tu przysłali.

Była marnej budowy, ale jej energia skupiała się w twarzy, w rozgniewanych teraz, zielonkawych oczach, skrytych pod ciemnymi brwiami.

– Przeszedłem od strony Okapu, przez winnicę. Przenocuję gdzieś w kącie i rano pójdę dalej.

Usiadła. Kilkakrotnie przemaglowała w dłoniach kamyk i zapytała już spokojniej:

– A dokąd to Bóg każe?

– Wyżej – pokazał w stronę gór mających na horyzoncie. – Dwa, trzy dni i będę na miejscu.

Zakonnica nieruchomo wpatrywała się w domy miasteczka pograżające się w cieniu góry. Miała młodą twarz z wąskim nosem, bladą skórę, rzadko spotykaną w tych stronach, wyraźnie zarysowane wargi, a na ciemne włosy wymykające się spod

czepka wciskały się pojedyncze sreberka. Otrzeptała wykoślawione sandały, jakby wstydiła się zakurzonych stóp i próbowała je zasłonić szarą spódnicą. Z przepaścistej kieszeni wydobyła kiść winogron.

– Spróbuj – podała mu – nigdzie nie ma takich jak na Księżycowym Wzgórzu.

Sięgnął po nie. Kołysał i ważył przez chwilę grono w dużej dłoni, podniósł do ust i wargami odrywał owoce. Rozgryzał je i żuł powoli, potem obwąchał kiść z różnych stron i powiedział: – Smakują tak, jakby słońce wstrzyknęło w nie zapach mięty.

– Dlatego sok z nich najlepiej gasi pragnienie – rzuciła zakonnica – a po wino przyjeżdżano tu kiedyś z dalekich stron.

Wzniesienie, na którym blisko dwieście lat temu zbudowano kościół, nazywano Księżycowym Wzgórzem, bo jego łukowaty szczyt przypominał księżyc w nowiu. W czasie pełni, naga po obu stronach zejścia do miasteczka, bazaltowa skała, której kryształy gdzieś tam miały po kilka centymetrów, przez pierwsze nocne godziny jarzyła się rubinowo-błękitnym światłem widocznym z daleka. Druga strona wzgórza, ta z kościołem, toczyła się łagodnie ku dolinie, a niemal do samego szczytu sięgały resztki starej winnicy.

Zakonnica w skupieniu obserwowała dłonie człowieka jedzącego winogrona. Dostrzegła, że są nieporadne, że palce zgina z trudem, może nawet z wysiłkiem. W pewnym momencie złapała go za rękę i zawołała: – Boże, ty masz ręce Jezusa! – Dotykała zagłębień i szram na jego skórze.

Spojrzał na nią i pomyślał, że w głowie żyjącej tu, na odludziu, samotnej kobiecie różne przywidzenia mają prawo zamieszkać. Uśmiechnął się, spokojnie wysunął rękę z uścisku i dalej jadł winogrona.

– To jest ślad po ukrzyżowaniu – mówiła, zagryzając wargi i uderzając o siebie zacienionymi dłońmi. Wyglądała, jakby miała wybuchnąć płaczem. – To są ślady po gwoździach z krzyża. Na pewno.

– Miałem wypadek w kopalni. – Spojrzał na wierzch prawej dłoni i wytarł nią resztki soku na wargach. Od niedawna mogę poruszać palcami. – Oddał kobiecie winogrona i pogładził włosy. – Tam, w ciemności, nie wiedziałem, czy żyję. Ręce miałem pod gruzem. Wydostałem je, ale ich nie czułem. Zamknął oczy i wystawił twarz ku niskiemu słońcu. – Głową sięgałem wyłomów, żeby odwlec się w miejsce, w którym mógłbym się położyć i skonać. Tracąc co jakiś czas przytomność, usłyszałem stuknięcie. To był znak, że za chwilę skała znowu zwali się na mnie. Ale stukot się powtórzył, po nim przyszły kolejne. Tak, jakby uderzano o ścianę dziecinnym młoteczkim. Pomyślałem, że są to sygnały od mojego trzyletniego syna, które mnie poprowadzą w dobrą stronę. Szedłem za nimi, póki było we mnie czucie. Ocknąłem się w szpitalu. – Uniósł ręce, jakby sprawdzał ich obecność. – Chcieli mi je odciąć, ale miałem szczęście. – Podwinął rękaw koszuli. – Widzisz te plamy? – Pokazał ciemne punkty pod skórą. – To są kawałki kamieni, zarosły tam i tak je sobie noszę.

– Boże, to jest Jezus – szeptała do siebie – dlatego nie mogli mu amputować rąk. Jak by go potem ukrzyżowali? – Ukryła twarz w dłoniach. – Jak by go ukrzyżowali? – powtarzała.

– Co ci się stało? – Dotknął jej ramienia.

– Jeśli nie jesteś Jezusem, to uciekaj stąd, bo tu spotka cię nieszczęście.

– Nie robię nic złego. Siedzę tylko z tobą na kościelnych schodach.

– Zło jest tam, w dole – pokazała.

– Tam są tacy sami ludzie jak wszędzie.

– Tak było do niedawna. – Objęła dłońmi głowę i siedziała bez ruchu. Oddychała głośno. – Pięć dni temu z dołu przyszedł chłopiec z wiadomością, że jego matka jest umierająca i prosi Ojca Domino o ostatnie namaszczenie. Powiedział to, ale pokazał też, że w kołnierzu koszuli ma wciśniętą kartkę. Jego tata nagryzmolił na niej, że spełnia ostatnie życzenie żony, ale prosi, by Ojciec nie schodził do miasteczka, bo go zabiją. – Zakonnica miała teraz szarą, zasmuconą twarz, przetręła ją rękawem i mówiła dalej: – Zdecydował, że pójdzie. Kiedy był już gotowy, stanął z podniesioną ku niebu głową w tym samym miejscu, gdzie siedzimy, i kazał mi uderzyć w żałobny dzwon. Bał się i drżał. Zaczekał, aż ludzie wyszli przed domy i wtedy spokojnym krokiem, tuszującym ból nóg od podagry, zstąpił ku przeznaczeniu.

– Dlaczego go zabili?

– Bo tak chciał Grober.

– Kto to taki?

– Przybył tu około rok temu, aby pomagać w posłudze Ojcu Domino. Przedstawił dokumenty z biskupstwa, okazało się, że były fałszywe. Na początku był spokojny, skupiony na modlitwie, a nawet nazbyt usłużny. To zaniepokoiło Ojca. W czasie najważniejszego w roku nabożeństwa dla tego kościoła, w dniu Świętej Genowefy, zaatakował. Domyślałam się, że może stać się coś złego, bo kilka dni wcześniej rzucił się na mnie w winnicy, ale nie wiedział, że nim wstąpiłam do zakonu, dwa lata byłam w wojsku.

Zbliżało się ofiarowanie. Czekał na tę chwilę. Zepchnął Ojca Domino z ołtarza, rozdarł na sobie komżę i zarzucił na ramiona czarną pelerynę z wyszytą na plecach głową sępa. Jego współnicy zagrozdził drogę do ołtarza. Opatrywałam Ojca, który dostał krwotoku, a Grober krzyczał i wygrażał. Wyprowadził na środek chorego psychicznie Rodo i zapytał go, czy obmywa się trującą wodą wisielca, jak nazwał figurę Chrystusa przy bocznym ołtarzyku. Wystraszony chłopiec potwierdził skinieniem głowy. Wówczas niemal z pianą na ustach groził, że wszyscy, którzy robili podobnie, mają głowy zatrute tą samą chorobą, że matki będą rodzić dzieci z rozwodnioną krwią, a mężczyznom uschną jądra. Potem obiecywał, że ich życie będzie lepsze, jeśli tylko wyrzuci się z kościoła figurą wodnego wisielca, bluźnił – tego topielca, którego powiesili, żeby go wysuszyć, a on wciąż jest mokry.

Wystraszeni ludzie opuścili kościół, a Grober ze swoimi przybocznymi zeszedł potem

triumfalnie do miasteczka. Wcześniej zadbał tam o lokum i zaczął działać jako uzdrowiciel. Tych, co mieli jeszcze odwagę przychodzić do kościoła, szantażował i straszył zarazą. Ubywało odważnych do wspólnej modlitwy, aż zostaliśmy tylko we dwoje, z Ojcem Domino.

Opowiada ludziom, że z kościoła zrobi dla nich pałac i że każdy będzie mógł sobie stąd zabrać, czego tylko zapragnie. Mało kto mu wierzy, ale są ciekawi, jak to będzie naprawdę.

– Wszystkiemu winna jakaś figurka na krzyżu?

– To tylko pretekst. Ona jest w tym kościele ponad sto lat. Niewielka, trochę nieporadnie wyrzeźbiona w ciemnym marmurze, ma około metr wysokości. W czasie dużej wilgotności powietrza, co tutaj jest częste, woda skrapla się na wciąż zimnym kamieniu. Od dawien dawna wierni przystawali przy krucyfiksie i jego rosą nacierali czoła, żegnali się wilgotnymi od niej palcami. Tak było od pokoleń. – Zakonnica poprawiła paski sandałów. Oddała się chwili zamyślenia i mówiła dalej:

– Co kilka dni przychodzi do mnie nocą kobieta z miasteczka. Przynosi coś do jedzenia i opowiada o tym, co tam się dzieje. Jej wnuczek słyszał, że dzisiejszej nocy mają tu przyjść. – Podparła brodę na kciukach, zamyśliła się. Nagle wstała, podniosła ramiona, zamachała nimi nieporadnie, jakby były bardzo ciężkie i powiedziała: – To mój ostatni zachód słońca. Szkoda, że nie jestem ptakiem. – Przygarbiła się i usiadła. – Gdy pierwszy raz wchodziłam tu od strony miasteczka, te schody były dla mnie wejściem do nieba.

– Może teraz takim będą naprawdę. – Spojrzał na nią bezradną, pokurczoną.

– Myślisz, że pójde do nieba – ożywiła się. – Nie boję się śmierci – wpatrywała się w twarz mężczyzny z wystającymi kośćmi policzkowymi, oczami koloru orzecha i ustami o spękanych wargach. – Nie powinnam się do tego przyznawać, ale boję się cierpienia.

– Z niego się rodzimy i ono jest z nami do końca. – Wstał, przeszedł kilka kroków, a potem stanął przed nią i zapytał: – Musisz oddać życie za jakąś kamienną figurkę?

Zerwała się, stanęła przed nim rozedrgana.

– Tak, muszę! – odwróciła się zagniewana, nieprzystępna. – Nie za jakąś, nie za...

– Jest jeszcze czas, ukryjmy ją i ruszajmy stąd jak najdalej. Wrócisz, jak się zmienię.

– Ważył słowa. – Zło nie trwa wiecznie, ci ludzie sami to pojmą.

– Wielu o tym wie, ale chcą żyć. Boją się pójść w ślady Ojca Domino.

– On także nie chce śmierci dla ciebie.

– Znowu bylibyśmy razem – mówiła uspokojona – to był mądry i cichy człowiek.

Całkiem oddał się czynieniu dobra. Do końca.

– We dwoje ich nie zatrzymamy.

– Zrobiłbyś to, gdybyś był Jezusem.

– Nie jestem nim i być nie chcę.
– Ale masz ślady po ukrzyżowaniu.
– Bajdurzysz wciąż swoje. To tylko pamiątka po spotkaniu z tą, która mnie nie pokonała.

– Tak samo jak Chrystusa – mówiła, patrząc w jego szeroką twarz o śniadej cerze okoloną parodniowym zarostem.

– Nie wiem, jak z nim było, ale ty już się poddałaś. Zaplątała ci myśli, zawiązała oczy i rozkazała czekać na siebie.

– Jestem tylko słabą kobietą... – odwróciła się w stronę mężczyzny – ale Bóg sprowadził do tego świętego miejsca człowieka ze śladami po ukrzyżowaniu.

– Przestań! Bo ten twój Bóg tego nie wytrzyma. – Energicznie podszedł do kościelnych drzwi i kilkakrotnie uderzył w nie pięścią. Dotknął czołem pomalowanego na żółto drewna, trwał tak chwilę, a potem odwrócił się ku niej. – Nie ma czasu, zdejmujemy figurę z krzyża!

Do kościoła weszli bocznymi drzwiami. Ostatnie promienie słońca układały się w złotawy pierścień przy prześwitach kościelnej wieżyczki. Gwoździe trzymające figurę lekko wyszły ze starego drewna. Dotknął chłodnego kamienia i przez chwilę trzymał przy nim dłoń. Podważyli podest bocznego ołtarza i wsunęli tam figurę. Zamknęli kościół.

– Zabierzesz swoje najważniejsze rzeczy i przez winnicę zejdziemy ku dolinie.

Zakonnica pobiegła do domku z czerwonym dachem. Wróciła z podręcznym workiem na ramieniu. Przeszli kilkadziesiąt metrów.

– Muszę wrócić na chwilę. Koniecznie – powiedziała, przytrzymując go za rękę. – Poczekaj tutaj.

Wrócili, w kościele zalegał już półmrok. Mężczyzna czekał na zakonnice przy bocznych drzwiach, a ona podeszła do ołtarza. Z uniesioną głową wpatrywała się w twarz świętej na obrazie, uklękła, przeżegnała się i ze skrytki tabernakulum wydobyla kielich z białymi płatkami hostii. Niosąc go przed sobą, zeszła po stopniach ołtarza, jakby pokazywała go wiernym uczestniczącym w nabożeństwie. Podszedł do niej i ponaglił do wyjścia. Palcem przy ustach poprosiła o milczenie.

Był od niej wyższy i ledwie sięgnęła kciukiem prawej ręki do jego czoła, na którym nakreśliła znak krzyża. Zdziwił się. Patrzyła mu przez chwilę w oczy i podała jeden z płatków. Długo czekała, zanim rozchylił usta. Trzymał go w nich jakiś czas, nie przełykając. Sobie także kazała podać. Wahał się. Przed sobą miał twarz o skórze pachnącej podobnie jak winogrona podane mu na schodach. Opuszczone powieki skryły zielonkawę oczy, a rozchylone wargi poruszały się jak śpiące pisklą. Wytarł ręce o koszulę, strzepnął nimi kilkakrotnie, uniósł i rozpostarł nad kielichem, jakby bał się zabrudzić to, co w nim było. Wreszcie sięgnął po kruchą biel zacinającymi się ruchami niezdatnych palców. Zakonnica uklękła i z zamkniętymi oczami szeptała modlitwę.

– Resztę musimy spalić – powiedziała po chwili. – Oni nie mogą tego znaleźć. – Wyszła na posadzkę stosik opłatków i podpaliła. Wątle płomyki powoli połykały białe krążki, pozostawiając gdzieś niedopalone brzegi. Schowała kielich i z dobytciem w worku przewieszonym przez ramię podeszła do mężczyzny wpatrzonego w migające pośród spalenizny punkciki czerwieni.

– Muszę chwilę odpocząć, sen mnie naszedł – mruknął oschle. – Rozejrzył się za miejscem, gdzie mógłby to zrobić, i poszedł do jedyne go konfesjonału, zbitego tutaj z dwóch grubych desek stojących pionowo po bokach, połączonych siedziskiem. Usiadł tam i odchylił głowę ku ścianie. Zakonnica przykucnęła na stopniu ołtarza, chciała jak najszybciej wyjść na powietrze i też odpędzić usidlający ją sen. Zerwała się, słysząc jego głos: – Oni przyjdą tej nocy? – pytał.

– Tak mówiła tamta kobieta. – Podniosła się ciężko, wciągając na ramię worek z bagażem. – Powiedziała też, że chora jest przyboczna Grobera, a jednemu z jego pomocników zmarło dziecko.

Mężczyzna położył dłoń na jutowym chlebaku, drugą zakrył twarz. W świetle padającym od strony drzwi szrama i zagłębienia w skórze jego dłoni wyglądały jak ślad po pocisku, który nie mógł przebić jej do końca i rozerwał się wcześniej.

– Zostajemy! – powiedział krótko.

– Mieliśmy uciekać.

– Zostaniemy.

– Masz kilka dni drogi. Mamy pójść za Ojcem Domino? – zapytała. – Nawet nie będzie miał kto uderzyć w żałobny dzwon.

Stanął przy niej, unióśł ręce i bardzo powoli wierzchami dłoni dotknął jej policzków. Stała nieruchomo w ich zamku i czuła na twarzy każdą nierówność, rysę i pulsującą krew. Drżąc, nałożyła na nie swoje.

– Twoje to one, czy może jednak... – wyszeptwała, opuszczając ręce, a po chwili dodała, już głośniej: – Strach rozplątuje sznury, bo Bóg sprowadził do tego świętego miejsca...

– Zamykasz boczne drzwi i zostawiasz w nich klucz! – rozkazał, a sam poszedł sprawdzić zasuwę przy głównym wejściu. Kilкома uderzeniami rozbił konfesjonał i jego boczne, grube deski postawił niedaleko jedyne go tu okna, przez które mógłby przecisnąć się człowiek. – Czuwamy na zmianę. Wszystko robimy w ciszy, nawet gdyby bardzo bolało. Tutaj nikogo nie ma! Zapamiętaj to.

Poddańczo słuchała jego matowego, gardłowego głosu i kuliła się w sobie przestraszona i niedowierzająca. Porażała ją energia, jakiej nie dostrzegła wcześniej w gburowatym i ospałym człowieku siedzącym na kościelnych schodach. Wstydził się swoich jesusowych dłoni, choć wcześniej, jakiś obcy mu człowiek w strzępach ludzkiego mięsa wyczuł jeszcze resztki życia. Czegoś, co pozwoli stawiać litery, łamać chleb, dotykać głowę dziecka, wymierzać karę i stawać w obronie. I, najważniejsze: ten obcy w to uwierzył.

Znowu zważyło się coś na niego, ale tym razem nie było już nieprzeniknionej ciemności. Dojrzał białą postać. Śpieszyła mu z pomocą. Uwalniała jego dłonie od gwoździ, a może szkieł przytwierdzających je do ziemi. Czyniła to lekko, bez wysiłku. Chciał dziękować, ale ona, nie pokazując twarzy, oddaliła się. Ocknął się. Mokre od potu czoło przecierały mu drobne palce zakonnicy.

– Krzyczałeś przez sen.

– Od wypadku tamto jest we mnie. Czasem boję się zamknąć oczy do snu, żeby tamto znowu mnie nie pochłonęło.

– Wołałeś kogoś.

– Długo spałem?

– Nie wiem, może godzinę.

Umilkli, bo skrzyknęła klamka bocznych drzwi. Nasłuchiwali. Za chwilę starano się włożyć do zamka jakiś przedmiot, ale przeszkodził temu klucz. Na zewnątrz kilka osób rozmawiało ze sobą półgłosem. Wkrótce próbowano wyważyć główne drzwi. Gdy się nie powiodło, zaczęto podważać je łomem. Wytrzymały. Wtedy pozostało wejście przez okienko. Najpierw wybito szybę. Wsunęta przez otwór ręka odblokowała zasuwkę. Za jakiś czas, na framudze okna ukazały się obie ręce, a za nimi głowa. Wspinający się odpoczywał, oddychał głośno. Okienko było wąskie, przeciskał się przez nie z trudem i prosił, żeby tamci na dole mocniej podpierali mu stopy. Głowę i ramiona miał już wewnątrz kościoła. Dłoń musiał skaleczyć szkłem, bo przyłożył ją do ust i wysysał krew.

Podciągnął się na łokciach; jego głowa i ramiona były już po stronie kościoła. I wtedy z całą siłą spadła na niego deska z konfesjonau. Nie zdążył dobyć głosu i zawisł bezwładnie na murze.

W ciszy, jaka skleiała wszystko wokół, zakonnicy wydawało się, że bicie jej serca słyszą teraz ludzie w miasteczku i że za chwilę, z rumorem, wypadnie ono na kościelną posadzkę.

Nad nieruchomym ciałem zatrzepotał nietoperz. Ich rodzina zamieszkiwała dziuplę starego drzewa obok dzwonnicy. Z zewnątrz wołano do mężczyzny. Próbowano go tam przeciągnąć. Rozmawiano coraz głośniej. Ktoś zaklinał się, że nie chciał tu przyjść, a inny dowodził, że tamtego dosięgła zemsta Ojca Domino.

Dopiero za jakiś czas bezwładny dotąd człowiek poruszył rękami, potem zatrzepotał nimi, jakby próbował płynąć. Jęczał, kulił się nieporadnie, skręcał i odruchowo próbował przeciskać na zewnątrz. Po stronie kościelnej wciąż jeszcze miał ręce i głowę.

Mężczyzna ponownie ujął drewno w jesusowe dłonie i gotował się do zadania ciosu, ale w ostatniej chwili dojrzał, jak tamtym podrzuciło i że z ust bluznęła mu struga krwi. Powstrzymał się. Napastnik – wspomagany przez tych z zewnątrz – rżąc zakrwawionym gardłem, centymetr po centymetrze przesuwiał się na zewnątrz i wkrótce opadł bezwładnie na bruk dziedzińca. Zaległa cisza; potem zaświstały przekleństwa.

Ktoś zawołał, że w dole płonie dom. Odgłosy kroków oddalały się, a za nimi milkł też szurgot wleczonego po ziemi ciała.

Mężczyzna i zakonnica patrzyli w stronę jaśniejącej za oknem poświaty nocnego nieba. Stamtąd doszedł ich ożywczy podmuch chłodu. Zmęczeni opadli na posadzkę nieopodal krzyża. I dopiero po jakimś czasie poczuli kwaśną woń spływającej po ścianie żółci zmieszanej z krwią.



Eugeniusz Get-Stankiewicz, *Autoprtrret* z cyklu „Oszmiańska szkoła passe partout” (czyt. s. 308)

Dobrowolność śmierci

Gdy pracowałem nad tekstem odnoszącym się do eseju Jeana Améry'ego *O starzeniu się, nie miałem zamiaru pisać już niczego więcej o twórczości tego autora. Zwłaszcza dotyczyło to innej jego książki – Dyskursu o dobrowolnej śmierci*¹. Przyznam, że nawet nie zamierzałem jej przeczytać.

Co wpłynęło na to, że sięgnąłem jednak po ów budzący trwogę traktat, szczególnie tę trwogę budzący w kontekście „podniesienia na siebie ręki” przez autora? Może czas, w jakim żyjemy. Może doniesienia o kilkuset zgonach dziennie, o wielce prawdopodobnej śmierci, co prawda nie przez podniesienie na siebie ręki, choć w przypadku okupujących covidowe łóżka osób niezaszczepionych nie da się jednoznacznie tego wykluczyć. To przecież rosyjska ruletka, do której nikt nie zmusza, ale ewentualna wygrana oznacza wyłącznie pozostanie przy życiu.

Mottem książki Améry'ego jest cytat z Ludwiga Josefa Johanna Wittgensteina (nie zapomnijmy, rzecz jasna, że to właśnie Wittgenstein stwierdził w jednym ze swoich wykładów [12 grudnia 1946], że filozoficzny problem powstaje wtedy, gdy się w niczym nie możemy rozeznaczyć):

Świat szczęśliwego jest inny niż świat nieszczęśliwego.

Tak jak ze śmiercią świat się nie zmienia, lecz kończy.

I owo zaprzeczenie przeciwstawiania niebytu bytowi czy nawet próba porównywania życia i nieżycia jest nieustannie przypominana na kartach dyskursu. Napomknięcie o Cesarem Pavese i Paulu Celanie przeplata się natomiast z przywołaniem postaci literackiej pióra Arthura Schnitzlera – porucznika Gustla. Ale to akurat jest przeciwstawienie. Pavese i Celan popełnili samobójstwo, natomiast porucznik Gustl był bliiski tego rozpaczliwego czynu, ale nie uczynił tego. Przywołanie zapomnianego (nie dla wszystkich!) Schnitzlera ma wszakże sens głębszy, choćby w kontekście jego znajomości z Sigmundem Freudem. Psychologia, psychoanaliza, seksualność i nowatorski literacko monolog wewnętrzny.

Wróćmy jednak do Améry'ego, który używa – świetnie przetłumaczonego przez

¹ Jean Améry, *Podnieść na siebie rękę. Dyskurs o dobrowolnej śmierci*, przeł. Bogdan Baran, Warszawa 2018.

Bogdana Barana – terminu „sytuacja odskoku”, a zatem granicznego stanu prowadzącego do odebrania sobie życia. Podaje również, zdaje się naukowy, termin „samobójstwo bilansowe”, które jest niczym innym jak zaplanowanym na późny wiek odebraniem sobie życia. To z kolei rodzaj zimnej kalkulacji odkładający akt na „kiedyś tam”.

Znowu przywoływani są Pavese i Celan, a zaraz potem bohater noblisty Rogera Martina du Gard, Jean Barois (czy może być coś lepszego niż przykłady z literatury?). Bohater tej (zdaje się nieprzetłumaczonej) powieści – w odróżnieniu od przetłumaczonej tasiemcowej *Rodziny Thibault* – w wieku lat czterdziestu spisuje testament, w którym deklaruje się jako ateista i w związku z tym nie życzy sobie w przyszłości chrześcijańskiego pogrzebu. Jako umierający starzec, wzywa księdza i się spowiada. Zmiana perspektywy. Co prawda nie ma tam zaplanowanego na stare lata samobójstwa bilansowego, ale jest zgoda na śmierć będącą niebytem. Ta ustąpiła śmierci, która – niewykluczone – stanie się życiem po śmierci w blasku chrześcijańskiego Boga.

Natrafiamy na kolejną myśl: „kto szuka dobrowolnej śmierci – ten wyłamuje się z logiki życia”. Ale tę myśl tak łatwo przecież podważyć, pytając, co jest ową logiką życia, i odpowiadając, że przecież logika życia nie istnieje. A jeśli istnieje, to jest ciężarem, którego pragnie się pozbyć każdy myślący człowiek.

Do Pavesego i Celana dodajemy kolejne nazwiska: Heinrich von Kleist, Thomas Chatterton, Péter Szondi, ci – gdy przyszedł czas, iż pojawiła się sytuacja odskoku – uzyskali przekonanie, że życie nie jest najważniejszym z dóbr. Choć w świetle wcześniejszego podważenia przeciwstawię zdanie to jednak traci sens, ponieważ „dobra mogą występować tylko w życiu, a nie w nicościowej nicościowości śmierci, życie musi zatem być z takich dóbr pierwszym, ostatnim, najgłębszym i najwyższym”. Mrozi grozą to ostatnie zdanie, prawda?

Tymczasem dochodzimy do fundamentalnego stwierdzenia Améry’ego: „Z całą powagą uważam, że dyskurs o dobrowolnej śmierci zaczyna się dopiero tam, gdzie kończy się psychologia”. I zaraz wracamy do Arthura Schnitzlera, który „ubiera czytelnika w oficerski mundur” jednego ze swoich bohaterów, tylko po to, by ów czytelnik mógł zrozumieć jego decyzję o samobójstwie, pozwalającą – po odmówieniu mu w pewnym sporze satysfakcji – pozostać do końca (jakże bliskiego) oficerem, a zatem człowiekiem honoru. Paradoksalne, ale publikacja opowiadania o niedoszłym samobójcy, poruczniku Gustlu, przyczyniła się do pozbawieniu autora stopnia oficerskiego. Ba.

Nie byłby Améry sobą, gdyby nie wymienił Jean-Paula Sartre’a (jak czynił to w poprzednim omawianym przeze mnie traktacie²), ale również – jak poprzednio – by mu zaprzeczył. Przytoczył jego sentencję: *le faux, c’est la mort* („śmierć to błąd”), wytykając, że egzystencjalista w gruncie rzeczy rozdarty był między logiką życia a logiką śmierci. Musiał autor omawianego przeze mnie dyskursu bardzo cenić twórczość Arthura

2 Jean Améry, *O starzeniu się. Bunt i rezygnacja*, przeł. Bogdan Baran, Warszawa 2018.

Schnitzlera, którego przeciwstawia francuskiemu nobliście, twierdząc, iż należał do niewielu współczesnych autorów poważanych przez Sigmunda Freuda i, choć nie był uznanym psychologiem ani antropologiem, „znał się jakoś na ludziach, o czym niepodważalnie zaświadcza każda linijka jego dzieła”. Zgłębiwszy spory wycinek twórczości tego pisarza, jestem skłonny przyznać mu rację.

Do listy samobójców dorzucić trzeba Ernest Hemingway, którego pojawienie się ma być „niezaprzeczalnym dowodem, iż życie nie jest »najwyższym z dóbr«”, a sentencja parafrazująca Kartezjusza – „umieram więc jestem” – pieczętuje tę tezę.

Pozostaje kwestia zmarnowania sobie życia przez samobójstwo w młodym wieku (ileż jeszcze mógł zrobić!), wobec czego – w kontrze – pojawiają się przykłady tych, którzy odeszli w kwiecie wieku śmiercią „naturalną”: Gérarda Philippe’a, Georga Büchnera czy bohatera *Czarodziejskiej góry* Joachima Zimssena (znowu, jak w poprzednim traktacie, ulubiony nie tylko przez niego, Thomas Mann). Właśnie, śmierć – określana jako naturalna. A czy nienaturalne jest odebranie sobie życia? Tymczasem w dyskurs o naturalności czy nienaturalności wprzężony zostaje Bóg i pada stwierdzenie: „Naturalnie-nienaturalna śmierć jest większa od Boga”.

„Martwych każdy już widział, Bóg pozostaje skryty, z tego triku żyje”

Ale wróćmy do Thomasa Manna i weźmy na tapet jego Peeperkorna – *alter ego* rodzimego Gerharta Hauptmanna – który uznał, że hańbę, jaką jest impotencja, może zmyć tylko śmierć, „ucieczka z absurdu życia w absurd nicości”, jak powie Max Frisch.

I jeszcze czynnik społeczny. Potencjalny samobójca boi się społeczeństwa, które go potępia i zrobi wszystko, by go ratować (resocjalizować). A przecież – jak powtarza autor – dobrowolna śmierć zdarza się we wszystkich znanych nam społeczeństwach, we wszystkich epokach i wszystkich wspólnotach religijnych. Już dawno porzuciliśmy (przynajmniej w cywilizowanych społecznościach) piętnowanie wszelkich mniejszości, a mniejszość samobójców zdaje się pozostawać „ostatnim wielkim outsiderem”. Améry przeciwstawia oficjalnemu stanowisku psychologów i psychiatrów poglądy Michela Foucaulta, Félix’a Guattariego i Gilles’a Deleuze’a. Nie jest zatem osamotniony, nie jest zatem „ostatnim outsiderem”.

Na wątpliwości i uspokajającą ludową mądrość, że trzeba jakoś żyć, słyszymy odpowiedź: „wcale nie musi się jakoś żyć, skoro i tak wszystko zmierza do tego, że pewnego dnia, który niewątpliwie nadejdzie, nie będziemy mogli dłużej żyć, bo nie będziemy **mogli**”.

Tu następuje lista naturalistycznych opisów samobójstw, wśród których ten człowiek wkładającego głowę w imadło i kręcącego do momentu, aż pęka mu czaszka, jest bodaj najdrastyczniejszy. Po to tylko ten horror, by uświadomić sobie, że choć „ja i ciało” zdają się być jednością, są przecież zarazem czymś osobnym. Ciało – „wierny poddany, niemy sługa, który bezszelestnie znika, gdy prace są wykonane, a my zapadamy w sen”. Palec, który się obiera, boli nieprzytomnie, doskwiera, gotowi jesteśmy

nazwać go cholernym palcem, choć jest nasz. Tak jest z zębem, nawet kończyną, które – w ostateczności – jesteśmy gotowi usunąć, amputować. A jak jest z ciałem, bezwolnym nosicielem naszego „ja”? „To ciało staje się **rzeczą** w rękach lekarzy, grabarzy”. Czy i w naszych nia stać się nie może? Przypomnijmy sobie samobójcę ściskającego głowę w imadle. Nim straci świadomość, usłyszy trzask pękającej czaszki-rzeczy.

Tymczasem pojawia się u Améry’ego pojęcie skłonności do śmierci (które on sam uważa za nieprecyzyjne). Przeciwwstawia je woli (życia) Schopenhauera, „woli rozprze-strzenia **ja** na świat”. A zaraz potem pojawia się jedno z najciekawszych sformułowań; „**granice języka, które są wyrazem granic bytu**”. Nie, nie dorówna osiągnięciom w tej materii noblisty Petera Handkego, choćby dlatego, że są równoległe do jego poszukiwań. My jednak możemy to zrobić, porzucając prymitywną propagandę dyskredytującą tego wybitnego pisarza.

Améry sięga do przykładu z twórczości znanego u nas z opowieści grozy i bajek Wilhelma Hauffa. Dobrowolną śmierć przyrównuje do upartego towarzysza życia – „kavalera w czerni o bladym obliczu” z opowieści *Człowiek na księżycu*. Nie, nie znam tego horroru, ale domyślam się jego głębszego niż chęć przerażenia czytelnika sensu. Tymczasem znalazłem inne opowiadanie Hauffa w zgrabnym zbiorze pt. *Czarny Pająk*³, gdzie zamieszczono również biografię autora. Niezmiernie zdumiało mnie, że ten autor kilkunastu powieści i zbiorów opowiadań żył tylko dziewiętnaście lat i umarł w miesiąc po swoim ślubie. Już to przejęło grozą i domysłami, że nieprzypadkowo znalazł się w dyskursie o dobrowolnej śmierci. Sięgnąłem do innych źródeł i okazało się, że Hauff żył lat dwadzieścia pięć (to, rzecz jasna, też nie za długo jak na jego bogaty dorobek literacki) i umarł rok po ślubie na... zapalenie mózgu.

A teraz czas. Czas, w którym według statystyk najczęściej popełniane są samobójstwa. Wieczorem i wczesną nocą. Teraz zaś już moje przemyślenie: samobójstwo – w przeciwieństwie do odbierania życia podczas egzekucji – jest jakby układaniem się do snu.

I dalej o czasie, już za Amérym, który podaje wynik dociekań fizyków, iż czas kiedyś się zaczął. Wcześniej go nie było. Czyż nie o powrocie do tego błęgiego stanu myśli potencjalny samobójca?

Przed nami chyba najciekawszy rozdział dyskursu, zatytułowany *Należać do siebie*. Zaczynamy od społeczeństwa, którego jednostka jest składową. Jednostka, którą zmusza się do walki, gdy wybucha wojna, i skłania się do pracy w czasie pokoju. Gdy pracy zabraknie, przymiera ona głodem; gdy zabraknie miejsca w szpitalu, pozostawia się ją bez pomocy medycznej, ale gdy dobrowolnie chce pożegnać się z życiem... O nie, nie wolno, bo należy do społeczeństwa, a to by działało przeciwko niemu (społeczeństwu).

3 *Czarny pająk. Opowieści niesamowite z literatury niemieckojęzycznej*, wybór i wstęp Gerard Koziłek, wyd. 2, Wrocław 1988.

Améry wywodzi, że to „właśnie społeczeństwo źle wyposażoną, bezwolnie mu podaną jednostkę prowadzi do samobójstwa.

Do kogo należy zatem człowiek?”.

Może do chrześcijańskiego Boga? Dany jest przykład Ludwiga Landsberga, chrześcijańskiego filozofa pochodzenia żydowskiego, który był prześladowany przez niemieckich okupantów we Francji. Landsberg długo nosił przy sobie truciznę, by „wymknąć się” oprawcom, ale pewnego dnia wyrzucił ją, powierzając – jak to określił – swój los Bogu. Cóż, Bóg dopadł go pod postacią brunatnych katów w Sachsenhausen. „Człowiek umiera swoją śmiercią, własną, której Pan nie musi mu dopiero dawać”.

Podsumowując: „roszczenia religii wobec człowieka, jeśli chodzi o stosunek do dobrowolnej śmierci, mają taki sam charakter, jak wymagania społeczeństwa. Religijna presja [...] to nic innego jak wyraz presji społecznej”.

A zatem samobójstwo obłożone jest klątwą. Uznano je za ciężkie schorzenie.

Nie byłbym sobą, gdybym nie zacytował fragmentu, który mówi, kiedy dokładnie pisany był dyskurs Améry’ego. Oczywiście nie tylko dlatego go cytuję.

Gdy piszę te słowa, około trzydziestu lekarzy maltretuje hiszpańskiego dyktatora Francisco Franco, już tylko rżęzący szkielet, diabelskimi sztuczkami medycznymi, dzięki którym życie od kilku tygodni praktycznie nieobecne można będzie przedłużyć o jeszcze kilka godzin lub dni. Zawsze żywiłem największą niechęć do tego okrutnego, a nawet żądnego krwi człowieka. Teraz jednak obserwowanie, jak poniżają się lekarze odurzeni swoją techniką, jest dla mnie nie do zniesienia. Chciałbym do nich zawołać: przestańcie! Czyż chcecie być tak nieludzcy, jak nieludzka była ta ofiara waszej budzącej grozę sztuki rzeźniczej i zdeprawowanej mechaniki precyzyjnej?

Uff.

Rozpatrzone zostaje pojęcie „zabijania siebie jako działania zastępczego w stosunku do morderstwa”. Améry uznaje je za całkowicie błędne, tłumacząc, że mord jest w rzeczy samej najbardziej skrajną formą wzmocnienia własnego życia, gdy samobójstwo jest jego przeciwnością.

I powolutku dochodzimy do Schopenhauera – świat jako wyobrażenie. „Świat jest moim wyobrażeniem – powtarza autor dyskursu – [Ktoś] inny był moim wyobrażeniem. Wraz z wygaszeniem mojego ja gaśnie wyobrażenie, przepadają świat i inni”. Przychodzi czas, by powtórzyć motto książki, cytat z Ludwiga Josefa Johanna Wittgensteina: „Świat szczęśliwego jest inny niż świat nieszczęśliwego. Tak jak ze śmiercią świat się nie zmienia, lecz kończy”.

A teraz coś z medycyny, gdzie naturalne jest dokonywanie amputacji, wręcz nieuniknione jest dokonywanie amputacji. Oczywiście są wiadomości o nich (podawane,

powiedzmy, w prasie medycznej). A wiadomości o amputacji siebie? Gdzie są podawane o nich wiadomości?

W ostatnim rozdziale – *Droga do wyzwolenia* – Améry sięga do swojej biografii. Pokazuje obrazek z baraku kwarantanny w obozie koncentracyjnym, gdzie jego umęczony towarzysz mówi, że jutro będą wolni. Nie, nie myśli o wolności w ogóle, „myśli o wyjściu z barakowego półmroku na światło dnia ogrodzonego obozu”. Sięgamy do poezji Heinego: „Dobry jest sen, lepsza jest śmierć – jednakże najlepiej byłoby się nie urodzić”. A może powrócić do owego błęgiego stanu nieurodzenia? (To już oczywiście moje pytanie). Autor dyskursu dodaje, że „już w chwili, gdy człowiek mówi sobie, iż mógłby porzucić życie, staje się wolny”.

O rzeczywistości obozowej napomknął Améry w innym jeszcze tekście⁴. Przedstawia tam konsekwencje nieudanego samobójstwa w warunkach obozowych. Twierdzi mianowicie, że kara była tak surowa, iż więźniowie „nie śmieli ryzykować i tylko niewielu decydowało się »iść na druty«”. Natomiast psychoanalityk Bruno Bettelheim, w jednym ze swoich artykułów⁵, odwraca wręcz pojęcia, twierdząc, że „z psychologicznego punktu widzenia większość więźniów w obozach zagłady popełniała samobójstwo, poddając się śmierci bez oporu”.

Niezwykła jest konstatacja, że bardzo niewielu z nas odczuwa wstręt do bytu i skłonność do śmierci, reszta „trzyma się bytu i biologicznie przepisane go egzystowania”. Zdumiewa to rozróżnienie, to przesianie populacji siemą świadomości. Dorzućmy trochę matematyki.

X odebrał sobie życie w sytuacji, w której Y, Z i wszystkie pozostałe litery alfabetu [...] żyły nadal. Czy X, outsider, jest bardziej bezsilny, ma mniej sił woli? Czy może raczej to jego wola jest wolna i silna?

Porzucamy społeczeństwo i wracamy znowu do Boga. I tu nie sposób wprost nie zacytować Améry'ego: „Wolność do dobrowolnej śmierci nie jest podejrzaną wolnością chrześcijanina. Nie z Bogiem mam do czynienia podczas przygotowań, lecz z bronią, pętlą [...] lub asfaltem, w który się wpatruję z szesnastego piętra”.

Rozkoszą dla mnie jest powrót autora dyskursu do literatury. Przede wszystkim do – odkrytego przeze mnie niedawno – Arthura Schnitzlera („powierzchniście ocenianego i potępionego jako zalotny utracjuszek literatury”), Thomasa Manna („badacza bezsensownego życia i umierania, przyjaciela śmierci”) i Marcela Prousta („którego bohater niewypowiedzianie cierpi po odejściu Albertyny i nie roni nawet łzy, dowiadując się o jej śmierci”).

4 Jean Améry, *Poza winę i karę. Próby przełamania podjęte przez złamanego*, przeł. Ryszard Turczyn, posł. Piotr Weiser, Kraków 2007.

5 Bruno Bettelheim, *The Human Condition in Modern Mass Society*, London 1961.

Pojawia się ponownie Sartre, stając się powodem do wyjątkowo spójnej wypowiedzi na temat dobrowolnej śmierci, która „jest absurdałna, ale nie błazeńska, bo przecież jej absurdałność nie powiększa absurdałności życia, lecz ją ogranicza”.

François Villon pojawia się w towarzystwie niesłusznie zapominanego Bertolta Brechta, którego relacje o wojnie trzydziestoletniej czy wczesnej karierze Juliusza Cezara zdają się być diagnozą wojen naszych czasów i karier czasów naszych. Cytowane słowa samobójcy – „Wam, którzy dalej tu będziecie żyć, niech na myśl o nas nie twardnieje serce” – przywiódł mnie do Szekspira, który mówi: „Moje ręce mają twoją barwę; lecz wstyd mi, że mam serce tak białe”. To motto najlepszej – według mnie – powieści ostatnich kilkudziesięciu lat, dzieła Hiszpana Javiera Marías *Serce tak białe*.

Mam wrażenie, że z bezmiaru dygresji odnoszących się do tematu dobrowolnej śmierci uratować może nas jedynie sam Jean Améry, a w szczególności ostatni akapit jego tekstu. Ten (z pełnym przekonaniem) dedykuję autorowi, który – poprzez czyn ostateczny – stał się swoim własnym bohaterem.

Nie mówi się dobrze o potencjalnym samobójcy, nie mówiło się najlepiej o samobójcy. Nie powinniśmy odmawiać im szacunku, życzliwości z powodu ich czynu, zwłaszcza że sami nie stanowimy świetlnych postaci. Każdy widzi, jak pożałowania godne jest nasze postępowanie. Pochylmy więc głowy i z pokorą oraz uszanowaniem wyrażmy żal za tym, który nas opuścił w wolności.



Natalia LL, *Destruct 5*, 1988 (czyt. s. 308)

LESŁAW NOWARA

Wstyd

Na pogrzebie teścia
czteroletnia córka szwagra
pyta mojej teściowej
– A kiedy ty umrzesz, babciu?

I nie może doczekać się
odpowiedzi

To wstyd
że kobieta
która ma lat prawie osiemdziesiąt
nie potrafi odpowiedzieć dziecku
na tak proste pytanie

Gdy zbiera się na burzę

Gdy zbiera się na burzę
wystarczy
cieniem jaskółki
musnąć przydrożny kamień
by go skaleczyć do krwi

Tam

Widuję ich oboje
na spacerach w parku

Około dziesięcioletnia dziewczynka
i mniej więcej siedemdziesięcioletni mężczyzna
Dziadek i wnuczka
można tak powiedzieć
ale nie ma to przecież żadnego znaczenia

Jedyne co się liczy
to dziesięć lat
które ona ma już za sobą
a on przed sobą
pewnie też około dziesięciu

Łączy ich oboje
te dziesięć lat

Bo właśnie tyle
oboje ich oddziela
od tego co się kończy
tam
gdzie się właśnie zaczyna

Po obu stronach

Przewróciłem się w nocy. Pamiętam tylko, że byłem pijany.
Jakieś cztery piwa z dolewaną wódką.
Obudziłem się rano, mając krew na rękach. Rozcięty łuk brwiowy pozszywany
świeżymi strupami.
Na podłodze zgniecione okulary. Obok niewielka plama krwi. To wszystko.

*

Czyżbym w taki sposób przeszedł już na drugą stronę?
Czyżby i po drugiej stronie dzień tak samo zaczynał się od kaca?
Od szukania okularów? Zmywania zakrzepłej krwi?

Więc gdybym nawet chciał poszukać tu śmierci
to nie znajdę tutaj po niej ani śladu?

Ani nawet śladu zacierania śladów?

Ekspedycja

Chyba już najwyższy czas wybrać się na Ukrainę
do Mariupola Chersonia i Buczy
a może jeszcze w jakieś inne miejsca
gdzie na ulicach
wciąż leżą przestrelone hełmy
zaplamione krwią mundury i bandaże
nie mówiąc już o odłamkach i łuskach
i fragmentach murów i ścian
z powbijanymi w nie pociskami

To ostatni moment
by wszystko to pozbierać
bo ta wojna
niebawem może się skończyć
i wtedy już będzie za późno
by wyszperać wśród gruzów
takie cenne pamiątki i eksponaty
17-19.06.2022

Park Chopina

Bez trudu rozpoznaję te same drzewa, rosnące wzdłuż alejek,
które wciąż pamiętam z dzieciństwa.
Ogromny dąb szypułkowy opodal Palmiarni wciąż trzyma się mocno,
choć podobno liczy sobie już ćwierć tysiąclecia. Ale to żaden wiek
dla takiego dębu. Może nawet mniej niż dla mnie
ćwierć stulecia. A ja? Ile przez te lata posadziłem dębów?
Aż wstyd się przyznać, że przecież żadnego. A są tu przecież jeszcze
klony, lipy, buki, platany, miłorzęby, wiązy i jesiony,
robinie, olsze, graby, są głogi i leszczyny,
i żadne z nich z pomocą mojej ręki nie zapaściło tu korzeni.
Trochę żal, że nawet tam,
gdzie w dzieciństwie grywaliśmy w piłkę, nie pozostał już żaden ślad,
ani jednej złamanej gałęzi, ani nawet wydeptana trawa.
Ale najbardziej mi żal, że nie ma już Cyganek,

które po dwie, po trzy przechadzały się wzdłuż alejek
i zaczepiały każdego, by powróżyć z ręki,
i teraz nie ma już od kogo tego się dowiedzieć
ani jaka czeka mnie przyszłość,
ani czy kiedyś znajdę jeszcze szczęście w miłości.



Czesław Czaplński, *Czesław Miłosz*, 1983, Nowy Jork (czyt. s. 308)

Idący

Pamięci cioci Luli

Powoli otworzył oczy. Rozejrzał się na boki, potrząsając przy tym lekko głową, zdziwiony, że znalazł się w miejscu, o którym wielokrotnie rozmyślał, ale którego wcale się nie spodziewał. Jestem w raju, szepnął. W raju...

Siedział, wsparty plecami o szorstki pień topoli. Jej liście szeleściły w sobie tylko właściwy sposób. Będąc dzieckiem, wsłuchiwał się w nie przeświadczony, że przekazują wiadomości z dalekiego świata. Topola topoli, ta zaś następnej i następnej. Miał nadzieję, że kiedyś pojmie cokolwiek z ich sekretnego języka. Uśmiechnął się na wspomnienie długich godzin, które spędzał przytulony do pnia to uchem, to ustami, szepcząc w korę swoje własne komunikaty. Rozumieli się dobrze, chociaż topole mówiły po swojemu i on po swojemu. Były dla niego łącznikiem między niebem a ziemią, pozostałością z czasów, gdy możliwe było przemieszczenie się ze sfery do sfery, z wymiaru do wymiaru.

Nieopodal rozpościerała się łąka, duża, jak mu się wydawało, aż po horyzont. Z jednej strony przecinał ją długi pas zarośli. Tak właśnie było na łące z jego dzieciństwa: na skraju rosła topola, gdzieniegdzie kępy niewielkich drzew, dalej zaś płynęła struga z zarośniętymi przez krzaki brzegami. Widział ją teraz przed sobą, czuł zapach trawy, zapach wody i zapach koni, bo przecież musiały być gdzieś blisko. Słyszał te wszystkie niezwykle dźwięki: cykanie, kumkanie, dzwonienie, buczenie, popiskiwanie, świergotanie. I jednocześnie słyszał spokojny oddech ciszy. Swojskiej, życzliwej, przyzwalającej, aby zanurzył się w nią, wciągnął głęboko do swego wnętrza jej czyste tchnienie. Owiewał go lekki wiatr, ogrzewało słońce.

Miał odczucie, że zaraz usłyszy odległy głos cioci, jak zwykle wołającej go na obiad. Idź, rozejrzyj się za nim, bo znowu gdzieś przepadł, mówiła do kogoś. Jeszcze się nam chłopaczysko zgubi... Widział ją, szczupłą, ciągle w ciemnym ubraniu, z białymi, lekko falującymi włosami. Odkąd pamiętał, zawsze była taka sama, zatroskana, dobra... Gdzieżeś to się wałęsał, pytała, gdy przychodził wreszcie bosy, często z siniakami i podrapanymi nogami oraz rękoma. Nigdzie, ciociu, odpowiadał i odwracał głowę. Źrenice jego zmrużonych oczu ciemniały wtedy i na mgnienie zapadały się w głąb, odlatywały.

Może jeszcze raz chciały napatrzeć się na polne drogi, łąki, drzewa. Nigdzie, powtarzał bezgłośnie. Nigdzie...

Chłopiec wychodzi z domu i zamyka za sobą drzwi sionki. Idzie ścieżką między sporym zagonem ziemniaków a sadem, dochodzi do ulicy wykładanej kocimi łbami. Turkoczą na nich metalowe obręcze na kołach furmanek i dźwięczą końskie podkowy. Skręca w prawo, w stronę cmentarza. Mija go, przechodzi dalej, dalej, jest już za ostatnimi zabudowaniami miasteczka. Zatrzymuje się i rozgląda wokoło, zdawałoby się, wypatrując za kims, za czymś, nie wiadomo. Wszędzie jednak pusto, rusza więc przed siebie. Nie rozważa, gdzie dojdzie ani co każe mu tak iść. Nie obawia się samotnej wędrówki. Idzie, po prostu idzie.

Ma wrażenie, że polna droga prowadzi donikąd. Zarośnięte pobocza, czasem zapuszczony melioracyjny rów, wierzby – podobno rosochate, chociaż według niego tylko koślawe. Zdejmuje sandały, spina paski i zawiesza sobie na szyi. Ziemia przyjemnie chłodzi stopy, piasek jest mięciutki jak... Zastanawia się, do czego przyrównać tę niezwykłą miałkość, lecz nic nie przychodzi mu do głowy. Dociera do rozstaju, wkłada sandały i za przydrożną kapliczką skręca na miedzę. Przechodzi z jednej na drugą, z węższej na nieco szerszą, z szerszej na całkiem wąską, obrobioną z obu stron tak bardzo, że ledwo da się przejść. Idzie.

Przypomniawszy sobie szlaki, leśne przesieki i bezdroża, ulice w rozmaitych, większych i mniejszych miejscowościach, które przez lata przechodził. Szedł, ponieważ musiał, posłuszny zapisanemu w swoim wnętrzu nakazowi. Szedł powoli, często zatrzymywał się, dotykał drzew, jednych krócej, innych dłużej, można nawet powiedzieć, że z pewną czułością. Gładził ich korę, wachał, zdarzało się, że odrywał kawałek lepkiej żywicy i wsadzał do ust. Podnosił kamienie, oczyszczał dłonią, oglądał na wszystkie strony i pieczołowicie odkładał na to samo miejsce. Czasem w skupieniu wpatrywał się w niebo, jak gdyby oczekiwał, że zaraz coś się na nim pojawi, on zaś musi to koniecznie zobaczyć. Co – trudno powiedzieć. Nie wiedział.

Tak było tamtego ranka. Poszedł wzdłuż pola kapusty, minął wykrot wielkiej topoli, powalonej kilka lat temu przez burzę, i ruszył obok bocznego płotu cmentarza. Ścieżka była prawie niewidoczna, bo mało kto tędy chodził. Nie zdarzyło się jeszcze, aby kogokolwiek na niej spotkał. Stanowiła jego, tylko jego, wilczy przesmyk. Po jednej stronie świat martwych, po drugiej żywych, nad głową niebo, pod stopami ziemia, na której zostawiał swój ślad. Wtenczas nie myślał o tym, a co więcej nie czuł wcale takiej potrzeby. Nie musiał przecież w żaden sposób uzasadniać swojej tutaj obecności, stanowił bowiem naturalny element otoczenia, jak kamień, trawa, krzak. I doszedł do miejsca, którego nie znał.

Wygląda trochę jak uroczysko, ukryte za gęstymi krzewami i zagajnikiem, do którego wiedzie nieomal całkowicie zarośnięta dróżka. Po bokach polany tkwią wryte w ziemię dwa głazy. Sięgają mu prawie do kolan, są rozłożyste, zimne, porośnięte mchem. Pomiędzy nimi znajduje się trawiasty pagórek ze szczytem z ubitej ziemi. Chłopiec obchodzi go wokół, najpierw w prawą stronę, następnie w lewą. Potem kładzie się na zboczu, rozpościera szeroko ramiona i wstrzymuje oddech. Wsłuchuje się we wnętrze pagórka, jakby liczył, że dobiegną stamtąd jakieś słowa: objawienie, rada, obietnica albo przestroga.

Leży tak i leży, aż można by przypuszczać, że jego ciało wrosło w zmierzwioną ruń lub coś od spodu je przytrzymuje, nie pozwala się podnieść. Wreszcie wstaje powoli, z pewnym trudem. Zbliża się do kamienia, siada przy nim, przyciąga kolana do piersi i opiera na nich głowę. Milczący i nieruchomy wygląda w ciemniejącym powietrzu na zwykły pień. Na grzyba jest za duży. Trudno powiedzieć, ile minęło czasu: może tylko chwila, a może cała wieczność. Naraz z jego ust rozlega się przenikliwy dźwięk. Skowyt, nawoływanie, ostrzeżenie. Jego tonacja zmienia się, obniża, podnosi, przeciąga, wzmacnia. I niknie między drzewami.

Nie sposób stwierdzić, czy akurat wówczas dowiedział się czegoś istotnego. Wiele razy wydawało się, że to, co ma wiedzieć, już wie. Że jego postępowanie wynika z odkrywanych stopniowo źródeł pradawnej świadomości, przesączającej się kropla po kropli do serca, duszy i mięśni. Czego więc jeszcze nie poznał, cóż takiego pragnął się dowiedzieć? Jeden Bóg wie. Wracał do domu, pierwotnym zmysłem wyczuwając właściwą trasę. Tylko raz skrzył w inną stronę, aby wejść do dawno opuszczonego sadu. Minął obwieszoną owocami uleżałką i zatrzymał się przy jabłoniach. Zawsze smucił go widok jabłek, których nikt nie zbierał. Często, gdy miał w czym, przynosił je do domu albo rozdawał napotkanym osobom.

Najpierw podniósł kilka owoców leżących w trawie. Obtarł rękawem i jak zwykle zjadł w całości. Z przyzwyczajenia wziął parę ze sobą. Dobre, jednak żadne jabłka nie mogły dorównać tym, które rosły w dziadkowym sadzie. Zbierał je spod drzew, wkładał do kieszeni lub za pazuchę. Na później. Kiedyś zapytał, jak się nazywają. Jabłka, usłyszał w odpowiedzi, jabłka. I tak mu zostało: jabłka były jabłkami, niczym więcej i niczym mniej. Uważał, że nie ma od nich nic lepszego, żadne tam pomarańcze, gruszki, śliwki, banany. Kiedyś chciał się odżywiać jedynie jabłkami i herbatą. Żyć w zapachu jabłek... Umrzeć w zapachu jabłek... Wytrwał miesiąc czy półtora, ale wciąż mu smakowały.

Ma pewnie ze trzy lata, dopiero co wstał z łóżka. Widzi jakąś obcą panią, która uśmiecha się i wyciąga do niego ręce. Nie wie, kim ona jest, inaczej pachnie, inaczej się odżywa. Wyrywa się z jej objęć, odpycha i wybiega na dwór. Ucieka do sadu,

przedziera się przez krzaki porzeczek i agrestu. Jest już wśród jabłoni. Podciąga spodnie od piżamy i kładzie się między drzewami. Rozkłada ręce i nogi, przymyka oczy. Uspokaja się, otula w znajomą woń dojrzewających jabłek. Prawie zasypia, gdy dobiegają go ciotczyne słowa: No i dlaczego uciekłeś, przecież to twoja mama. Mamy się wystraszyłeś? Mama... Moja mama?

Podnosi z wahaniem powieki, patrzy uważnie na tę obcą panią, która wcale nie jest obcą, tylko jego mamą. Potem bierze spod drzewa duże czerwone jabłko i podaje bez słowa mamie. Pani, już mama, pochyla się i odbiera je w milczeniu. Jednocześnie wyciąga ku niemu swoją dłoń, w której także ma dorodne jabłko. Spoglądają teraz to na siebie, to na owoce wymienione na znak porozumienia, przymierza. Jest dobrze, wszystko znalazło się na swoim miejscu. Wracają do domu, trzymając się za ręce. Niosą swoje jabłka niby cenne znaleziska z dziadkowego sadu. Ich zapach i smak pozostanie z nim przez całe życie.

Zamknął na moment oczy i ponownie otworzył. Nie, to z pewnością nie jest raj. Nie ma już żadnej łąki ani strugi. Nie ma sadu ani polnych dróg, nie szumią topole. Nikt nikogo nie nawołuje z oddali. Ten świat trwa wyłącznie w nim. Będąc dzieckiem, odebrał wezwanie i odpowiedział na nie. Podąża za nim bezustannie.

29.11.2021



Eugeniusz Get-Stankiewicz, *Autoprtret* z cyklu „Oszmiańska szkoła passe partout”(czyt. s. 308)

Sekrety antykwariusza czyli czy w raju pachnie kurzem? (fragment)

Dzień kolejny

Znów wczesno-poranny początek dnia, ale tym razem to jednak godzina ósma – słońce już rażno przyświeca. Wjeżdżamy w skrawek kamienic wciśniętych pomiędzy tyły wielkiej arterii, jakiś zakład otoczony ceglastym murem – charakterystycznym dla starego Wrocławia, a z drugiej strony kolano Odry. Klepisko, na którym parkujemy, usiane jest gruzem, z kilku drzew opadły już liście. Trzy klatki pośrodku niczego. Przez otwarte drzwi wchodzimy na drewniane schody i wspinamy się na szczyt. Duszę dzwonek – taki staroświecki z lat pięćdziesiątych, o którym nie sposób napisać „naciskam”. Z głębi mieszkania słychać gong, jednak nikt nie otwiera. Jest trzy po dziewiątej. Szukam telefonu, pod którym umówiliśmy wizytę, ale słychać kroki na schodach, i rzeczywiście – po chwili naszym oczom ukazuje się niski trzydziestolatek. Witamy się, wpuszcza nas do mieszkania i dodaje:

– Tu, te książki, za chwilę przyjdzie brat. – Jednocześnie wskazując olbrzymią pryzmę rozłożoną na dywanie. Górują nad nią regały. Zrobione na wymiar, przeszklone i całkowicie puste. Opadają mi ręce i tracę profesjonalizm. Pytam, po co wykładali to na podłogę, skoro stało na tych półkach, ale nie doczekuję się odpowiedzi.

Na pierwszym froncie tak zwane kolekcje. Serie wydawnicze dołączane do gazet lub sprzedawane w kioskach, także czasopisma zbierane w firmowych segregatorach: „Twój Ogród”, „Życie Zwierząt”, „Geografia Świata” i podobne – z trudem przesuwamy je (daleko) i docieramy do głębszych, już bardziej interesujących pokładów. Przychodzi zapowiadany brat – wygląda identycznie jak ten, który nam otworzył, ale ma inną koszulkę i jest nieco bardziej rozmowny. Książki zbierał ich ojciec. Ma nadzieję, że coś wybierzemy i dziwi się, że serie z kiosków nas nie interesują.

Biblioteka przyrodnicza: kilkanaście atlasów motyli w różnych językach – choć na szczęście przeważa polski – ornitologia, a zwłaszcza gołębiarstwo, anatomia zwierząt, pszczelarstwo, jest też dział numizmatyczny, trochę „bibuły” z lat osiemdziesiątych oraz prawo. Nie ma literatury, co się rzadko zdarza – zastanawiam się, czy bliźniacy wyczyścili półki, czy biblioteka była tak starannie skompletowana. Przez telefon,

podczas umawiania wizyty, rozmawiałem z żoną jednego z nich – może ona? Potem przeglądamy rzeczy zgromadzone w drugim pokoju: winyle, kilka obrazów, rogi zwierząt, kolekcję medali. Na ścianie wisi gablota z motylami – ich fosforyzujące skrzydła przykuwają uwagę Agnieszki.

– Książki są jeszcze na strychu. – przypomina sobie jeden z bliźniaków.

Przechodzimy więc przez drzwi naprzeciwko wejścia do mieszkania. Przed nami wyrasta gołębnik – pełen żywych i gruchających okazów, którym przyglądamy się przez siatkę nieco oniemiał. Gołębie oczy wpatrują się w nas i nie wydają się spłoszone. Powietrze jest rześkie, słońce oświetla leżące na podłodze piórka. Bliźniacy dziwnie chichoczą, odwracam się i widzę, że patrzą na sznur, na którym suszą się push-up i koronkowe majteczki.

Książki stoją w segmencie nieopodal gołębnika. I tu widać porządek właściciela przeszklonych regałów zrobionych na wymiar. Książki prężą się w równych szeregach – za zamykanymi drzwiczkami i dodatkowo poprzykrywane długimi płatami folii. Podręczniki szkolne z lat dziewięćdziesiątych, kilka lektur szkolnych, trochę czerwonej propagandy z lat pięćdziesiątych, „Kobieta i Życie” – młodsza o dwie dekady, „Etyka Katolicka”, „Trybuna Ludu”. W dolnej szufladzie słoiki i czerwony sztandar, również zawinięty w folię i przewiązany sznurkiem pakowym.

Bracia coś szepczą do siebie, zdaje mi się, że słyszę imię: Anastazja. I rzeczywiście, po chwili słychać kroki, a na strych wchodzi długowłosa blondynka z plastikowym koszem w ręku. Bliźniacy nie mogą powstrzymać chichotu, a ona obrzuca ich spojrzeniem i lekko się czerwieni. Powoli zbiera pranie, przysięgłbym, że zbyt powoli i odchodzi, kołyszając się i stukając obcasami.

Później mijamy się na schodach. Smuga jej perfum towarzyszy mi podczas kolejnych zejść i wejść z wypchanymi od motyli torbami.

Tekst powstał w ramach Stypendium Artystycznego Prezydenta Miasta Wrocławia.

Złota Wieża

Młody, wchodzący na rynek intelektualista, jakim był nowojorski pisarz Lewis Mumford, uważał, że miasto jest produktem ziemi, faktem natury, ludzką metodą ekspresji. Podobnie jak on, widziałem miasto jako twór średnio-wiecznej Europy, który w Ameryce – na przykładzie Nowego Jorku – ewoluuje brutalnym, racjonalnym pięknem. Mumford uderzał tym stwierdzeniem i inspirował. Podobała mi się zasada ograniczonego zaufania do finansjery: „Nie ufajmy branży finansowej, strukturom politycznym. Obawiać się trzeba – twierdził Mumford – finansów metropolitalnych i ich dystrybucji przez odhumanizowane mechanizmy biurokratyczne”.

Współczesne miasto jest krytykowane za pragmatyzm inteligentnych technologii bez duchowych wartości. Nie podzielam tej opinii. Takie miasto – jak Nowy Jork – kreuje nowoczesne piękno, inspirowane i pokazywane – jeszcze w latach dwudziestych/trzydziestych dwudziestego wieku – przez Berenice Abbott na jej zjawiskowych fotografiach. Dlaczego o tym myślę właśnie teraz? Skąd w centrum mojego zainteresowania znalazł się Lewis Mumford, a raczej jego poglądy na amerykańskie miasto?

Jako architekt w firmie Abboty&Abboty, projektując swoje pierwsze zlecenia, przystąpiłem do konkursu na nową siedzibę giganta naftowego w zachodniej części Manhattanu. Oczywiście w grę wchodziła inwestycja miliardowa, której zadaniem było odróżnić się od dwustu metrowych kostek cukru – strzelających w niebo katedr naszych czasów. Po dobrym starcie – wręcz entuzjastycznym – zaczęły się dyskusje, spory, którym towarzyszyła rosnąca presja umykającego czasu. Znalazłem się w ślepych zaułku z majaczącym na wzburzoną morzu światłem latarni morskiej, które miało mnie ocalić i doprowadzić do portu. I wtedy pewnego listopadowego poranka otrzymałem znak od istoty dobrze mi życzącej, lecz wymagającej specyficznych starań. Mam na myśli pamięć. Przypomnienie pewnego wydarzenia sprzed piętnastu lat odbyło się w trybie podświadomych, wręcz sennych scen z dzieciństwa, które z całą odpowiedzialnością mogę nazwać przeżyciem metafizycznym.

O mój miły Augustynie, nie wszystko przepadło! A to, co przeżywamy w dzieciństwie jest naszym dziedzictwem, z którego czerpiemy przez całe życie.

Flushing Meadows Park, który wyrósł na znacznym obszarze, nieprzyjaznym i odpychającym wśród bulgoczących bagienek, chaszczki dzikich i niedostępnych, z rzeką Flushing przecinającą – jak pasek od spodni – teren z północy na południe. Strach

powiedzieć, ale jakieś sto lat temu było to gigantyczne wysypisko, głównie popiołów i odpadów produkowanych w paleniskach Nowego Jorku.

Rzeka Flushing, w której jako chłopak łowiłem z ojcem ryby, gdzie trafiały się morskie zwierzaki, płynie sobie jak dawniej, dość zielona w słońcu i brunatna w deszczowe dni, pośród betonowych oszkarpowań i drenów. Są też dwa jeziora: Meadow i Willow, przypominają hermofory z dużymi cyckami na korek. Teren pozostaje w prehistorycznym układzie, którego ludzie nie wyeksploatowali do końca, aż do dwudziestego wieku.

Nie przywiązuję szczególnej wagi do wspomnień. Owszem, znam historię i czerpię z niej to, co konieczne i przydatne, ale bez przesady. Dopiero wspomnienie z Flushing Meadows uzmysłowiło mi jej znaczenie i pogłębiło ignorancję wobec roli przypadku, który zarówno w pozytywny, jak w negatywny sposób wpływa na bieg spraw nie tylko naszych osobistych, rzecz jasna. Muszę zatem zacząć wątek sentymentalny, do którego skłoniły mnie myśli i koncepcje pewnego projektu.

Ja, Ken Morris, Lee Archer, Nigel Frost i Chuck Owen, koledzy z sąsiedztwa, chłopaki z Queensu, graliśmy w nogę na dość zarastającym terenie parku, gdzie przed laty Nowy Jork zorganizował spektakularną wystawę światową. W pewnym momencie Ken kopnął piłkę swoim strasznym, skórzanym butem na świńskiej zelówce, jakby chciał wybić okno w niebie. Pobiegliśmy za piłką na skraj bagna, gdzie spadła na kępę trawy, która tutaj rośnie bujnie od maja do końca lipca, soczystą zieleń zawdzięczając nawilgoceniu i nieustannemu podmywaniu i podtapianiu. Czekają nas coś jeszcze. Staliśmy się świadkami tajnego misterium, z którego – jak się okaże po latach – miałem czerpać inspirację.

Zza drzew i zarośli wyłoniły się parkujące samochody tworzące pierścień wokół znanego nam, opuszczonego pomnika z jakimś baśniowym królem – w rycerskiej zbroi i w koronie siedzącym na kunsztownie odzianym koniu – ku naszemu zdziwieniu trzymającym nad głową dwa skrzyżowane miecze. Oczywiście baśniowe skojarzenia z królem Arturem i rycerzami okrągłego stołu przysły później, najpierw uważaliśmy, że to jakiś szalony średniowieczny król-widmo, który przybył do Ameryki z zagubionego królestwa Poland (napis ten widniał na cokole pomnika). Oprócz tego bliżej nas walały się fragmenty jakiejś tajemniczej konstrukcji z metalu: mocno zardzewiałe i porośnięte dziczkami, wyglądające jak prostopadłościenny szkielet.

Scena, którą jako chłopiec oglądałem z kolegami, wyglądała tajemniczo i dość dobrze ją zapamiętałem. Kilkudziesięciu mężczyzn w czarnych ubraniach, w cylindrach i kapeluszach na głowie, kobiety jasno, świątecznie ubrane, w tym kilka dziewczyn w kolorowych sukienkach w kwiaty z wianuszkami we włosach. Powiewały sztandary biało-czerwone, a do naszych uszu dolatywał śpiew. Musiała to być podniosła pieśń wykonywana przez wszystkich zebranych wokół pomnika w języku niepodobnym do znanych mi ze szkoły i kościoła. Po pieśni zaczął przemawiać niewysoki, elegancki mężczyzna o bladej twarzy. Zapamiętałem, że zdjął z głowy błyszczący, czarny cylinder. Nie za bardzo nas

to ciekawiło. Woleliśmy wrócić na boisko i dokończyć mecz. I jak tylko Nigel powiedział: „wracamy”, pobiegliśmy z powrotem do naszych rozrywek.

Do parku mieliśmy z naszych domów niedaleko. Nie było problemu z pokonaniem odległości, od drewnianych domów. Mój był pomalowany na żółto, postawiony wśród wysokich drzew, porastających dawną drogę. Drzewem „domowym”, dominującym, był kasztan, zwany burczypniakiem, o gałęziach wchodzących wprost do okna na piętrze, gdzie tato miał gabinet i lubił otwierać okno latem; podmuchy wiatru nawiewały gałęzie do środka, co ojciec witał z wylewną gościnnością. Wraz z Frankiem – młodszym o dwa lata bratem – mogliśmy cieszyć się względną swobodą dzielnicowych urwisów z dobrych domów klasy średniej, dlatego mogłem penetrować zakamarki parku Flushing Meadows: obszar niemały, który po światowych wystawach w latach 1939 i 1940 pozostawiono w spokoju przez kilka lat.

Jasne, że podniecała nas okolica, której przeszłość wydawała się kryć niesamowite historie, począwszy od epoki lodowcowej, kiedy mega siła kosmicznego inżyniera, spowodowała ustawienie Long Island, przy okazji rozgniatając wszelkie wzniesienia gigantyczną stopą, zostawiając tylko żwir, glinę i piasek. W efekcie gigantomachii lód stopniał, temperatura powietrza wzrosła i rozgościło się słone bagnisko – koronny świadek rozstania lądu z pobliskim Oceanem Atlantyckim, który kusił i pobudzał wyobraźnię tubylców od czasu, gdy rozpalili tu pierwsze ogniska. Ach te łąki! Uwodzicielskie, bujne, nadmorskie. Wpadały w oko letnikom i nadal kuszą nowojorczyków, którzy ładują akumulatory, zamieszkując w nowych bądź w remontowanych domach z lat trzydziestych, w hotelach, zajazdach i pensjonatach w rodzaju mojego ulubionego, kremowo-truskawkowego Long Beach, stojącego na wysokich palach z żółtymi okiennicami w pobliżu starej mariny. Idąc plażą bądź brzegiem oceanu, zatrzymując samochód na bulwarze, warto podziwiać domy jak z obrazów Edwarda Hoppera. Jego obrazy zaważyły na mojej wyobraźni bardziej niż opowieści osadników holenderskich, wierzenia Indian czy komiks o potworze z popiołów i śmietnisk Głupim Popieluchu albo baśń o wielorybie z Białej Laguny.

Mój dziadek Al barwnie gawędził o tym, co tu mogło być i co mu się zdarzyło, a może przyśniło, po przybyciu z Bostonu do Nowego Jorku. Wyganiałem z Aleu ptactwo wodne, strzelając z dwururki. Zdawało mi się, że odkryłem zapomniany ląd. A widok tysięcy krabów – najeżdżających wybrzeże i nacierających, aż do rzeki Flushing – nauczył mnie dystansu, nawet pokory do praw rządzących przyrodą. Nie mieliśmy nic wspólnego ani z Indianami Lenape, ani z holenderskimi osadnikami z siedemnastego wieku, których przyciągnęły leśne zasoby bogate w dęby, buki, sosny – surowca niezbędnego do budowy statków i domów. Nie raz w czasie zimowych wichur szum wyciętych i wykarczowanych lasów dawał o sobie znać. Powietrze przynosiło coś wzniosłego. Godny pradawnej kniei wiatr buszował na ulicach, wywracał parasole i stoliki, jęczał i zawodził w kominie, gdy rozpalano ogień, trzaskał okiennicami, gdy zasiadaliśmy całą rodziną do kolacji.

Opowieści o bezdrożach polnych, o prymitywnych drogach dla krów i wozów konnych wydają się obrazkami z odległej przeszłości, gdy widzi się Bulwar Północny i autostradę Long Island, a na nich coraz to nowsze modele pędzących fordów, bucków, chevroletów i cadillaków.

Dlaczego o tym mówię? Może z rozpędu, może z nadmiaru miłych wspomnień, bez których sens i przeznaczenie tej opowieści nie mogą być prawdziwe. Najważniejsze, że widziałem bajkowe pałace i światła wystawy światowej, które w upalne wieczory zamieniały „dolinę popiołów” w rozbawiony, kolorowy lunapark oświetlany pokazami ogni sztucznych.

Którejś niedzieli było święto naszej ulicy i pułkownik Sarivan z paniami z klubu sąsiedzkiego zorganizowali pchli targ. Każdy kto co ma w domu niepotrzebnego, a fajnego, nawet cennego, lecz zbędnego, wystawił na sprzedaż, a przy okazji integrowano się przy ciasteczkach, lodach, kawie i muzyce zaproszonego zespołu Cold Desert. I jak to bywa w historii, stało się, co się miało stać, i co było zapisane mi w niebie, w mojej niebiańskiej kartotece zdarzeń niezbędnych do zbawienia mojej duszy. Lubiliśmy takie niedziele i spotkania, a także drobne zakupy z żoną Margaret i chłopcami. Początkowo nic szczególnego nie wpadło mi w oko pośród obrazków, plakatów muzycznych, dopiero przy herbatce z pułkownikiem zauważyłem – raczej wypatrzyłem – to „coś”.

Z dystansu zaledwie dwudziestu kroków, podnosząc do ust porcelanową filiżankę z pyszną herbatą Dajerling, zauważyłem błysk metaliczny, dochodzący z niedużej patery czy może tarczy pozbawionej narożników, która stała na drewnianym radioodbiorniku z klawiszami. Nie dopiłem. Postawiłem filiżankę na stoliku i pospiesznie, mówiąc „przepraszam”, z miną majtka, który z bocianiego gniazda wypatrzył ląd, oddaliłem się przyciągany magnetycznym blaskiem. Dałem Panu TV (taki przydomek nosił sześćdziesięciolatek, wielokrotny zwycięzca telewizyjnych teleturniejów) siedem dolarów i wypytałem o pochodzenie ciężkiej brązowej tarczy zawiniętej na rogach i połączanej, opatrzonej na rewersie małą tabliczką z napisem w nieznanym języku, którego ani Pan TV, ani ja, nie byliśmy w stanie zrozumieć. Dopiero (zwykle milcząca) Ann, żona profesora Masky, marszcząc brwi i poprawiając okulary, stwierdziła autorytatywnie: „to po polsku” – i przeczytała zdanie, z którego zapamiętałem jedno słowo, wypowiedziane na końcu przez Ann: „Wojtek”. Była to wygrawerowana dedykacja: „Drogiemu stryjowi Andrzejowi w dniu imienin Wojtek”. Ustawiłem egzotyczny przedmiot na półce z książkami i wpatrywałem się weń, na zasadzie gadał dziad do obrazu, a obraz ani razu.

Nie sposób wyjaśnić, jak w mojej pracy nad projektem objawiła się i zagnieżdżyła Wieża, której fantazjom zacząłem ulegać, oddając jej dziesiątki szkiców, notatek i przemyśleń. W architektonicznym sensie odbudowanie wieży z wystawy nie miało sensu, natomiast w rozumieniu inspiracji – tak. Chciałem urzeczywistnić ideę wieży na podstawie zachowanego jej kawałka. Miałem w pamięci jej relikty powalone na ziemię, skazane na złomowisko.

W pudle z papierami, ręką ojca oznakowanym „Niezrealizowane podboje miłosne”, umieszczonym na poddaszu obok nart, kijków i wędek, których nikt nie odważył się ruszać ani sprzedać, znalazłem teczkę z wycinakami prasowymi – właściwie zbiór albumów typu ephemera, poświęcony osobliwej pasji ojca, jaką były parki Nowego Jorku. Wzruszyłem się, czując obecność taty wycinającego nożyczkami artykuły z gazet, przyklejającego zdjęcia i notki o zapomnianych i oddalonych w czasie sprawach. Traf chciał, iż po otwarciu albumu, i to zaraz na początku, wpadł mi w oko nagłówek „Timesa” z trzeciego maja 1940 roku. Zobaczyłem zdjęcie mężczyzny, bardzo dobrze ubranego, w cylindrze i fraku, rozmawiającego z pierwszą damą USA, żoną prezydenta, panią Eleanorą Roosevelt, która trzymała w ręku kwadratową tarczę z zaokrąglonymi narożnikami – wypisz, wymaluj taką jak moja zdobycz od Pana TV. Zagłębiłem się w lekturze. Dowiedziałem się, że panem w cylindrze był baron Stefan de Ropp, komisarz pawilonu polskiego na World’s Fair, który dziękował pani Roosevelt za udział w loterii na rzecz zbierania funduszy na zakup i zachowanie wieży z pawilonu polskiego. A zatem loteria tarcz! Ale skąd tarcze? Zbiegłem po schodach na dół, wymachując tarczą i pochwaliłem się swoim odkryciem. Postawiłem tarczę nad kominkiem i chociaż Margaret poprosiła do stołu w salonie, gdzie siedzieli już chłopcy, zacząłem opowiadać o moim odkryciu. Jakże byłem wdzięczny tacie za jego hobby.

Baron de Ropp poprowadził mnie w głąb niebywałej opowieści. Był honorowym obywatelem Nowego Jorku w czasach, gdy biedna Polska ze swoim fantastycznym pawilonem, stała się we wrześniu 1939 roku ofiarą napaści przez kreatury w osobach Hitlera i Stalina, którzy złamali opór obrońców i zniszczyli kraj i ludzi. I pawilon „Poland”, zwłaszcza jego złota – od pokrywających ją tarcz – prostopadłościenna wieża, która podziałała na moją wrażliwość architekta, uruchomiła wyobraźnię zamkniętą w kapsule wspomnień z dzieciństwa i przywołała tajemniczą konstrukcję, znaną przed laty w Parku Flushing Meadows.

Znalazłem się pod jej urokiem. Zachłannie oglądałem na plakatach, na znaczkach pocztowych, na zdjęciach udostępnionych w Instytucie Józefa Piłsudskiego. W proporcjach, konstrukcji, dekoracji widziałem myśl twórczą o nowatorskiej sile. Oryginałe zastosowanie konstrukcji kratownicowej i ażurowe wykorzystanie zwielokrotnionych, multiplikowanych złożonych tarcz, lekkość i matematyczne proporcje miały klasyczną wręcz pitagorejską prostotę złotego podziału. Było tu piękno oparte na harmonijnym połączeniu części w całość, podporządkowane wertykalnej, gotyckiej bryle prostopadłościanu o zaokrąglonych narożnikach. Analogie do wieży warownej w średniowiecznych zamkach i fortyfikacjach były oczywiste!

Zdałem sobie sprawę z niezłej pamięci wzrokowej i architektonicznego nosa! Stalowa konstrukcja polskiej wieży o gęstej siatce kratownicowych otworów po bokach, rdzewiejąca, zarośnięta trawą i chwastami, ogołocona ze złożonych tarcz czekała – ukryta w mojej

podświadomości – na znak do przebudzenia. Treści zawarte w wieży zwróciły moje myśli ku nieznanym, polskim projektantom.

W sensie koncepcji architektonicznej i w kontekście moich propozycji konkursowych, byłem zdumiony tym odkryciem. Złota Wieża wyprzedzała o dwadzieścia lat funkcjonalizm stylu międzynarodowego. Sukces 157-metrowego wieżowca Seagram – zaprojektowanego przez gwiazdę światowej architektury, Niemca, Miesa van der Rohe wraz z Philipem Johnsonem, zbudowanego za czterdzieści milionów dolarów w 1958 roku i podziwianego przy 375 Park Avenue – nie podlegał dyskusji. Drogie materiały zastosowane dwadzieścia lat wcześniej w Złotej Wieży (brąz, trawertyn) zostały w Seagramie (tysiąc pięćset ton brązu) wprowadzone na ogromną skalę. Mies – przede wszystkim – rozwinął ideę gotyckiej konstrukcji szkieletowej (system wiązany) zastosowaną przy budowie wielkich katedr – jak w paryskiej Notre Dame. Jeśli ktoś zapyta, jaki wieżowiec w Nowym Jorku nazywany jest rolls-roycem, to strzelajcie w dziesiątkę, że chodzi o Segram! Nota bene, to określenie wymyślił wspomniany, niezrównany Lewis Mumford.

Ale było coś jeszcze, co trwało w ukryciu przez te wszystkie lata, co symbolizowała brązowa tarcza. Była w niej magnetyczna siła przyciągania. Stałem przed zadaniem: przywrócić pamięć i znaczenie dzieła polskich projektantów. Wchodziłem w głąb polskiej historii, zbliżałem się do zaiste zaskakujących źródeł architektury XX wieku.

Późnym wieczorem, który spędziłem z Margaret na koncercie zachwycającej Elli Fitzgerald w Madison Square Garden, zadzwonił Ken Morris. On także interesował się historią wystaw światowych i pamiętał o naszej przygodzie we Flushing Meadows. Od Kena dostałem fotokopię artykułu wyjaśniającego tajemniczą scenę, której byliśmy świadkami jako chłopcy.

Artykuł opatrzony był nagłówkiem *W rocznicę Grunwaldu*. Przeczytałem go z wypiekami na twarzy. „Pod pomnikiem króla Polski Władysława Jagiełły w rocznicę Grunwaldu, 15 lipca 1942 roku, na opuszczonym terenie dawnej wystawy światowej z 1939 roku, na terenie parku Flushing Meadows, gdzie pozostaje pomnik Władysława Jagiełły, zebrali się Polacy, aby uczcić wielkie zwycięstwo nad niemieckimi Krzyżakami i wyrazić solidarność Polaków walczących na frontach wojny, o wolność Kraju. Niejednemu z uczestników zakreśliła się łza w oku, gdy profesor Stanisław Ostrowski, twórca wspaniałego pomnika Jagiełły, przy pomocy kilku uczestników uroczystości, począł okrywać podniszczony cokół, z którego podpadały cieniutkie płyty sztucznego kamienia, sztandarem gwiazdystym Stanów Zjednoczonych z jednej, a polskim z drugiej strony”.

Nieznany był tytuł cytowanej gazety, prawdopodobnie wydawanej przez jakąś polską organizację. Możecie sobie wyobrazić, jak się poczułem. Są wspomnienia, które towarzyszą nam przez całe życie, wracają co jakiś czas, niby sen na jawie zdumiewające i poszerzające wiedzę o nas samych.

Polacy nie zgadzali się na rozebranie i likwidację Złotej Wieży, która stała się w Queens jednym z charakterystycznych punktów widokowych, częścią jego skyline. Baron Ropp obawiał się, że przeniesienie pomnika króla Jagiełły do Central Parku (stoi do dziś) spowoduje rozebranie jej na złom, czego domagał się Robert Moses, komisarz parków miejskich Nowego Jorku. Opinie architektów i znawców podkreślały, że pomnik Jagiełły z Wieżą stanowi całość. Postanowiono działać w tej sprawie, o czym świadczy list Roppa do attaché prasowego polskiej ambasady w Waszyngtonie W. Bestermana, w którym Ropp informuje, iż rozpoczęto sprzedaż tysiąca dwustu tarcz Złotej Wieży. Za każdą tarczę płacono 50 dolarów. We wrześniu 1940 roku na posiedzeniu American-Polish Memorial Committee poinformowano o sprzedaży trzystu tarcz.

Do realizacji polskiego pawilonu w Nowym Jorku wybrano, nagrodzony trzecią lokatą w konkursie, projekt architektów Jana Cybulskiego i Jana Galinowskiego. Dzięki uprzejmości pani Oleny Sadowsky uzyskałem tłumaczenie artykułu z przedwojennego czasopisma polskiego „Plastyka”, gdzie znalazłem komentarz recenzenta nagrodzonego projektu, który wprowadził mnie w zakłopotanie: „Wieża, mury, husarz” – pisze recenzent. Tylko trzy słowa w tym jedno niezrozumiałe: „Husarz”. Co to takiego „husarz”? Wyjaśniono mi, że to najsławniejszy w historii wojska polskiego żołnierz jazdy, zwanej husarią, która pod berłem króla Jana III Sobieskiego, rozgromiła wojska tureckie pod Wiedniem w 1683 roku i ocaliła Europę przed niewiernymi. Husarz odziany był w charakterystyczną zbroję kolczą, a na plecach nosił skrzydła, groźnie furkoczące w czasie ataku rozpadzonej konnicy. Zrozumiałem. Nawiązanie do husarskiej zbroi w sposobie dekoracji i łączenia umieszczonych na wieży tarcz miało symboliczny sens, przy tym było oryginalne.

Oglądałem obrazki na znaczkach pocztowych: otoczone białą bordiurą z ząbkami, gdzie na ciemnoniebieskim tle rysował się biały prostopadłościan wysokiej wieży z herbem orła białego. Na tle zarysu obłoków, czerwone litery tworzyły napis „Polish Pavilion”. Sylwetkę wieży porównałem z kolorowym plakatem, promującym nowojorski wieżowiec Seagram. Podobieństwo obu wież jest uderzające! Architekci Jan Galinowski i Jan Cybulski stali się moimi kolegami, czułem, że moglibyśmy być partnerami. Mimo że dzieliła nas nieprzekraczalna granica czasu, to rozumiałem bez trudu formę i funkcje całego pawilonu oraz Złotej Wieży, którą sam Jan Galinowski opisał w wywiadzie opublikowanym w czasopiśmie „Nowy Świat” przed swoim wyjazdem do Ameryki, na otwarcie pawilonu wiosną 1939 roku, w przededniu nadchodzącej katastrofy.

Z pewnym wzruszeniem czytałem wywiad zaczynający się od pytania dziennikarza: co może pan powiedzieć o Polskim Pawilonie jako jego współautor? „Cały budynek pawilonu polskiego – odpowiadał Galinowski – składa się zasadniczo z trzech elementów: wysuniętej naprzód wieży i dwóch tarasowo do siebie przylegających brył: niższej, wysokości siedmiu metrów, krytej czarnym, błyszczącym materiałem i drugiej,

jasnej, wyższej o trzy metry. Głównym akcentem architektonicznym jest oczywiście czterokątna wieża, wysokości trzydziestu sześciu metrów, wykonana ze stali i kryta kasetonami, łączy ona nowoczesną architekturę z elementami architektury staropolskiej. Wyglądem przypomina nieco wieżę Floriańską w Krakowie. Pod tą właśnie wieżą poprzez gotycką bramę wchodzi się do wnętrza pawilonu. „Złota wieża” jest syntezą polskich baszt średniowiecznych. Skonstruowana ze stalowej diagonalnej kratownicy, do której przymocowano stylizowane tarcze z pozłacanej miedzi w kształcie kwadratów o ściętych narożach, lekko wklęsłych bokach i dekorowanej linearnie powierzchni. Połączono je efektownymi guzami. Wieża ma dwa wejścia: boczne i główne, reprezentacyjne, nad którym wisi godło Polski. Wejścia zwieńczone są kratą nawiązującą do średniowiecznej brony, zasłaniającej wejście bramy warownej – jak to występuje w Bramie Opatowskiej w Sandomierzu”.

Jeszcze jedno odkrycie – zaiste smaczny szczegół. Firma, która zbudowała pawilon polski, to ta sama, której pracownicy postawili Seagram Building. Pani Sadowsky pokazała mi kopię telegramu podpisanego przez barona Roppa (oryginał znajduje się w ambasadzie polskiej w Waszyngtonie). „Proszę – pisał Ropp – o formalne uwierzytelnienie zastępstwa Miłkowskiego celem podpisania z Fullerem kontraktu budowy na siedemnaście tysięcy złotych”. Oczywiście chodziło o Georga A. Fullera, szefa znanej nowojorskiej firmy budowlanej, która zbudowała Seagram dwadzieścia lat później, w 1958 roku.

Poczułem się jak w domu, praca poszła jak po maśle! Trzecia makieta wieżowca wyszła bezbłędnie. Ustąpiło zniecierpliwienie i odzyskałem pewność siebie. Górą był gotyk bram: Floriańskiej i Opatowskiej, wraz z modernizmem Złotej Wieży, przetransponowane w przestrzeń Manhattanu. Inwestorzy lokujący tutaj wielkie pieniądze – z dyrektorem generalnym Inland Steel, Mosesem Wiesem uznali, iż powstanie wieżowiec przy 270 Park Avenue (gdzie stężenie drapaczy jest największe), „istotny dla centrum biznesu gmach na Manhattanie” (tych ostatnich słów użył dyrektor Wiese, gratulując mi zwycięstwa w konkursie). Było w tym projekcie światło tamtej, polskiej Wieży, a właściwie nowe wcielenie idei światowej wystawy z 1939 roku, która wbrew zbliżającej się wojnie światowej, wytyczała w Nowym Jorku, pozytywne szlaki rozwoju ludzkości, zawarte w (ciągle aktualnym) przesłaniu „The World of Tomorrow”.

To wytęsknione „jutro”, wypatrywane i oczekiwane, nadzieja ludzkości na lepszy, humanistyczny świat, ciągle nie może nadejść. Koszmar wojny niszczy szlachetne idee i piękno dzieł ludzkiego ducha. Pocięszam się, że dążenie do osiągnięcia wysokości ponad sprawy ziemskie jest wpisane w modus amerykańskiej architektury, a architekci od ponad stu lat wznoszą katedry ze stali, szkła i betonu dla marzycieli potrzebujących wież, aby marzyć. Im (trochę też sobie) dedykuję to opowiadanie.

Błędówka

Minąłem porośnięte krzakami malin ogrodzenie domku moich cioć i już za chwilę znalazłem się za rogatkami miasta, na wylotówce na Drwińsko. Drodze kategorii trzeciej lub czwartej, sądząc po jej szerokości i jakości asfaltu. Ruch na tej „szosie” na szczęście był znikomy, więc kierowałem swój rower środkiem. Najpierw minąłem brunatne pasy pól zaoranych, potem droga zagłębiła się w liche zagajnik sosnowy. Dobiegły mnie z oddali dźwięk kościelnego dzwonu i smętne ujadanie wiejskich kundli łańcuchowych. Za drewnianą, prowizoryczną kładką przerzuconą przez potok udający rzeczkę, obklejony mułem, porośnięty sitowiem i innym zielskiem, zobaczyłem przekrzywiony napis „Wykroty”. Tę małą wieś wyciągniętą pod sznurek minąłem w kilka minut i znów były pasma pól, drobiażdżki różne: kępki, krzaczkki, świerczki, jabłonka rosnąca dziko na miedzy, pijany chłop podążający przed siebie chwiejnie w gumiakach i kufajce, murowana kapliczka z Matką Boską za szybką i wianuszkami plastikowych kwiatków, pogiętych, postawiona w jakiejś intencji, wreszcie grobla, staw rybny błyszczący w słońcu niczym lustro, a za nim wieś Wiry, której nazwę ktoś z nudów przechrzczył na Wirówkę, przemieniając „y” na „ó” i dopisując końcówkę. Jeszcze tylko, zgodnie z instrukcją ciotki, cmentarz musiałem znaleźć i przed nim w prawo, w polną drogę skręcić. Zobaczyłem groby, na nich krzyże i trakt przez koła traktorów wytłoczony w rozmokłej glinie. No to skręciłem i jechałem po tych polnych wertepach, omijając wystające z ziemi otoczaki i gliniaste kałuże.

Chałupy Wirów dawno się skryły za polami, ścieżka stała się jeszcze bardziej wyboista i podmokła. Dobrych kilka kilometrów przejechałem nią i nic. Wsi Błędówka jak nie było, tak nie ma! Zamiast niej dostrzegłem w oddali jakieś budynki gospodarcze, zrujnowane stodoły, obory, a może chlewnie, ogrodzone zardzewiałą siatką, a nad bramą, gdy już tam się znalazłem, zobaczyłem wyblakły napis pochodzący z czasów jedyne go słusznego ustroju: „Państwowe Gospodarstwo Rolne nr 173 – Grząskie”. „Kiczort!” – pomyślałem zdezorientowany, rozglądając się wokół. Na podwórzu, przy wrakach kombajnu i starej przyczepy pozbawionej kół, taplało się w błocie dwóch małych oberwańców. Zawołałem do nich:

- Nie wiecie, gdzie wieś Błędówka się znajduje?
- Jędek, ty coś wiesz o takiej wiosce? (pierwszy drugiego zapytał).
- Nii (tamten odpowiedział).

– Ni ma tu takiej wioski – obwieścił mi wrzaskliwie ów bardziej obyty ze światem. – Jest Błędowo. Ale Błędówki nijakiej tu ni ma.

– Juści. Błędowo jest (potwierdził ten pierwszy). A o Błędówce my nie słyszeli.

– To gdzie to Błędowo? (zapytałem, bo pomyślałem, że ciocia Cecylia, jak to ona, coś pomieszała, albo zdrobniła nazwę tej choleralnej wioski).

– Trza wam nazad jechać, będzie z pół kilometra... abo i więcej, i w prawo w ścieżkę skrócić, co jest koło kartofliska.

– Tam bucki rosą trzy, to wedle tych bucków skryncajcie (objaśnił mi ten mniej rozgarnięty). A dalij ścieżka prowadzi do Błędowa... Bo u nas nijakiej Błędówki ni ma (upewnił mnie ponownie w moich podejrzeniach).

„Niech to szlag! – pomyślałem. – Przynajmniej wyjaśniło się, że jest wieś Błędowo zamiast Błędówki”.

Bucki odnalazłem. Coś na kształt kartofliska również, i ścieżkę w prawo biegnącą miedzą. Potem przez groblę koło zatęchłych stawów rybnych przejechałem i wreszcie jedną chałupę zobaczyłem, następną i kolejne. Ktoś grill rozpałił przy niedzieli, kiełbasa na nim skwierczała, pachniało tak, że w żołądku ssanie z głodu poczułem. Inny ktoś w waciaku kury karmił na innym podwórku, jeszcze inny wodę ze studni niósł w wiadrze.

Wreszcie zatrzymałem się, do cna wymordowany i po kolana ubabrany błotem przed jakąś chałupą, i zapytałem dwóch bab siedzących tam w chustach na przyzbie, gdzie czworaki znajdę. A one, jedna przez drugą, mówią mi, że: – U nich we wiosce czworaków nijakich ni ma, bo skąd by miały być, jak i dworu tu nijakiego przenigdy, nawet i za ich prababek nie było. I że: – Jaśnie pan hrabia Ignacy Pobłocki, co to do niego onegdaj wieś Błędowo, ale tyż wioski Wilgoć, Kropidło, Uwiad, a i Suchodoje Pańskie należały, dwór miał w tych ostatnich, bo tam klimat był lepszy i widoki ładniejsze. Więc jak czworaków dawnych szukać, to ino tam.

– A szanowne panie coś o wsi Błędówka może wiedzą?

Zapytałem z bezsilności, bo już zwątpiłem we wszystko, co do tej pory wydedukowałem. Na to ta grubsza i bardziej kumata kuma ożywiła się:

– Było, panoczku, od razu o Bądówce gadać, bo tu wieś Błędowo jest, a nie Błędówka, a tam insza inszość, i pan onegdaj całkiem inszy był, to i dwór miał, a jak dwór był, to musowo musiały być tyż czworaki. Tyle, że to daleko stąd.

– Z piętnaście kilometrów będzie, licząc od Wiatrozłogów, a do nich od Błędowa jeszcze ze trzy trza dodać (dodała ta kuma mniej postawna i skromniejsza w ogólnym obejściu).

– Abo i pięć nawet, jadąc drogą na Knurów, bo skrótem przez pola to prawda, trzy będzie, nie więcej.

– Dwadzieścia kilometrów! (ja na to oszołomiony i przybity skalą swojego

idiotycznego błąkania się). A gdzie ta droga na Knurów? – zapytałem, bo ani mi się śniło znów po podmokłych i grząskich miedzach się szlajać.

– Wedle kościoła w lewo jechać trza.

Ta druga baba objaśniła. A tamta bardziej od niej obyta doprecyzowała:

– Ze dwa kilometry za naszą wioską będą Mokre Doły, po nich Wiatrozłogi, tam trza wam skręcić w prawo na Pasłęki, a dalij będą Powrósła.

– Wpierw będą Powrósła, a po nich Pasłęki (druga kuma poprawiła tę).

– Może i tak, zawsze mi się mylą (przyznała jej rację tamta gospodyni). Ty lepiej wiesz, bo bratowa twoja z Pasłęków przecie jest.

– Z Powróseł (znów ją poprawiła).

– Co ty Gienia nie powiesz? A Jadzia mówiła mi, że łona z Pasłęków się wywodzi.

– Jej dziadek przeniósł się z Postronków do Pasłęków, ale jego młodszy syn, znaczy jej ojciec rodzony, po ożenku osiadł w Powrósłach, bo tam przecie sześć morgów dostał we wianie żony i dwie krowy.

– To jak mam dotrzeć do Błędówki?

Przerwałem ich konwersację zmierzającą na ewidentne manowce.

– W Pasłękach w prawo trza zjechać na Kropidło Pańskie...

– Kropidło w lewo jest, nie w prawo. Bo w prawo, to się na Wyrwinowo Księżę, a potem na Tarłopóty jedzie.

– Może i w lewo? Trudno spamiętać. Najlepiej zapytajcie w Pasłękach, jak na Kropidło jechać, bo za nim ta wasza Błędówka jest.

– Nie za nim, bo jeszcze trza minąć Naliwajki!

– Racja. O Naliwajkach ja głupia zapomniała. Ale to wszystkiego pięć chałup na krzyż, to i nie dziwota, zapomnieć można.

– Ano.

Druga kuma przytaknęła pierwszej, a ja im podziękowałem za wskazówki i całkiem skołowany pojechałem. Ale dla pewności w każdej napotykaniej wioszczynie pytałem o drogę. I bardzo dobrze, bo się wnet wyjaśniło, że z Pasłęków trzeba w lewo skręcić, ale nie na Kropidło Pańskie, bo to za nim są Tarłopóty, tylko należy się kierować na Wyrwinowo Księżę, za którym jest ta zabita dechami wioska Naliwajka, a zaraz za nią Błędówka się znajduje, do której pięć godzin z okładem jechałem!

Dawne czworaki faktycznie na końcu wsi były, na wzgórk pod lasem, na wprost ruin pańskiego dworku z kolumnienkami, a jakże, ale z oknami oraz drzwiami zabitymi dechami i zapadłym dachem. Słońce już nisko nad horyzontem przeświecało przez korony drzew, rysując ich długie cienie na szutrowej ścieżce i porośłym trawą,

ładnie wysprzątanym podwórku z krzewami bzu, magnolii, hortensji i innych kwiatów. W oknie czworaków paliło się mdłe światło. Dzwonka nie dojrzałem, więc kilka razy do drzwi zapukałem. Otworzyła mi kobieta będąca w starszym już raczej niż średnim wieku, lat około sześćdziesięciu pięciu, niewysoka, korpulentna, ubrana ni to z miejska, ni z wiejska w ciemnogrnatową suknię, na którą narzucony miała kubraczek z futerka.

– Pan szanowny do kogo?

Przedstawiłem się jako siostrzeniec Cecylii Napiórkowskiej. Na co się rozchmurzyła i z uśmiechem uprzejmie zaprosiła do wnętrza, gdzie w ni to w izbie, ni salonie urządzonym skromnie, oświetlonym jedną żarówką osadzoną w szklanym kloszu zwieszającym się smętnie na kablu z powały, przy przykrytym ceratą zdobną w bratki, owalnym stole siedziały trzy kobiety. Ubrane były podobnie jak ta pierwsza, po domowemu, ale gustownie.

– No i zguba się znalazła! (oświadczyła radośnie Pelagia Waluśkiewiczówna, którą zdążyłem już wcześniej z imienia i nazwiska poznać).

– Pan pozwoli, moja starsza siostra, Konstancja (przedstawiła najstarszą w tym pomieszczeniu, na oko siedemdziesięcioletnią, zupełnie siwą, nieco wyższą i chudsza od niej kobietę. Z wyglądu mniej sympatyczną, być może nawet oschłą).

– A to nasza droga kuzynka Anastazja Szczyпка (wskazała mi kolejną kobietę, przeciętnej urody, siwiejącą już, na oko lat sześćdziesiąt z hakiem, która machinalnie skinęła mi głową i zachichotała).

Na koniec przedstawiła siedzącą na wprost mnie, zajętą lekturą książki w miękkiej okładce, najmłodszą z nich, około czterdziestoletnią, kościstą, myszowatą szatynkę o wyglądzie wiejskiej bibliotekarki, w za dużych rogowych okularach na nosie.

– To nasza bratanica, Arkadia.

Ta tylko na chwilę wzrok znad książki podniosła i także skinęła mi głową, ale w przeciwieństwie do swojej kuzynki zrobiła to nader chłodno.

– Można wiedzieć, gdzie się pan tak ubłocił? – zapytała najstarsza z nich (Konstancja).

– Właśnie (podchwyciła temat jej młodsza siostra). Nie zauważyłam, by dziś padało. Może zechce pan zdjąć spodnie? To przynajmniej z grubsza je oczyszczę i na piecu wysuszę.

Tą propozycją skonsternowała mnie tak, że się zarumieniłem, bo jak tu przed czterema obcymi kobietami spodnie ściągać i w gatkach samych konwersację prowadzić? Podziękowałem więc za troskę i zaraz przeprosiłem za spóźnienie, tłumacząc się tym, że drogę zgubiłem.

– Do nas trafić łatwo. Wystarczy w Wirach przed cmentarzem w lewo skręcić, w szutrową drogę, i już po niecałym kwadransie nieśpiesznego marszu jest nasza wioska. Jak tu pobłądzić? (zdziwiła się Konstancja).

– Widocznie moja ciocia coś pomyliła, bo dwa razy, dla pewności mi powtórzyła żebym skręcił w prawo.

- W prawo to tylko traktory jeżdżą do dawnego PGR-u. Drogi tam żadnej nie ma!
- Teraz to i ja to wiem.

A Pelagia zaproponowała:

- Widać, że pan umordował się tym błędzeniem, to pewnie głodny. Nic specjalnego co prawda nie mamy, ale mogę kapuśniaku odgrzać. Chyba pan nie wzgardzi?

Przystąpiłem na to z ochotą, bo głód mi mocno doskwierał. Wyszła do kuchni, a ja niecierpliwie czekałem na jej powrót, bo pozostałe kobiety nie kwapiły się do podtrzymania rozmowy. Zatem w kłopotliwym milczeniu rozglądałem się po tym skromnym wnętrzu. Niewiele tu było do oglądania: dwie szafy, piec kaflowy, komoda, obrazek Matki Boskiej wiszący nad drzwiami i kilka makatek przytwierdzonych gwoździami do ścian. Na jednej półnaga nimfa z bujnymi lokami i obfitym biustem wynurzała się ze stawu z nenufarami, wśród girland kwiatów. W tę sielską scenkę wpleciono haftowaną sentencję: „Myj się zimną wodą, to będziesz piękniejszą i młodą”. Z sąsiedniej makatki, też ornamentalnie ukwieconej, uśmiechała się filigranowa panienska w fartuszku, do której odnosił się tekst: „Młoda kuchareczka, zwinna jak laleczka”. Kolejne, utrzymane w podobnym charakterze i stylu scenki opatrzone były równie pouczającymi sloganami: „Każda żona tym się chlubi, że gotuje, co mąż lubi”, „Gdzie dobra gospodyni warzy, tam się dobrze darzy”, „Tata jest wtedy najbardziej kochany, gdy wzorem dzieci słuca się mamy”. Najbardziej przypadła mi do gustu porada na obrazku ukwieconego domku o treści: „Gdy każdy przed swym domem zamiecie, będzie porządek na świecie”. Natomiast poczułem się mocno skonfundowany, wręcz zaniepokojony wyszytym pogrubionymi literami tekstem: „CI, CO TEN PRÓG PRZEKRACZAJĄ, CZEGO NAM ŻYCZĄ NIECH I SAMI MAJĄ!”. Zabrzmiiał on w mojej głowie niczym groźne zaklęcie, memento lub nawet przekleństwo. Co prawda owa sentencja wpisana była, jak i pozostałe, w ornament roślinny, ale nie opatrzone jej żadnym figuralnym obrazkiem. Najpewniej przekaz ten był zbyt trudny do zilustrowania.

Ponieważ Pelagia wciąż jeszcze nie wróciła z kuchni, zwróciłem się z pytaniem do Arkadii Waluśkiewiczówny:

- Którą z makatek lubi pani najbardziej?

A ta, nie odrywając wzroku od książki, palcem wskazała makatkę nad jej głową wiszącą. Przedstawiała ona pana z bródką, we fraku, w ogrodowej altanie, uchylającego z ukłonem cylinder. Scenkę tę uzupełniał napis: „DO WIDZENIA”.

Na szczęście w tym niezręcznym dla mnie momencie pojawiła się młodsza siostra Waluśkiewiczówna, z uśmiechem i wazą dymiącego kapuśniaku, którego smakowity zapach rozszedł się po izbie. Z szafy wyjęła głęboki talerz i łyżkę. Chochłą nałożyła mi solidną porcję, po czym oświadczyła:

- Mam nadzieję, że kapuśniak będzie smakował, bo tłusty, niedzielny, na golonce zrobiony, specjalnie na pana przybycie. Bo musi pan wiedzieć, że my już od dawna

nosimy się z zamiarem przyjmowania letników, ale do tej pory nie udało nam się nikogo do wynajmowania kwatery nakłonić. Może chleba panu z kuchni przyniosę, bo niektórzy z chlebem wolą?

Nie odmówiłem, i kapuśniak pochwaliłem. Ona trzy pajdy wiejskiego chleba mi przyniosła i kapuśniaku chochlą dołożyła, bo migiem pierwszą porcję zjadłem.

– Cieszę się, że smakuje. Proszę jeść bez krępacji. Pańska ciocia powiedziała nam, że pracuje pan w biurze podróży, które nacisk kładzie na opiekę nad letnikami. A my, wie pan, z natury opiekuńcze jesteśmy. Z pewnością wielu rzeczy nam zbywa, ale tego akurat mamy w nadmiarze.

Roześmiała się, a pozostałe kobiety spojrzały na nią karcało.

– Może jednak zdecyduje się pan zdjąć spodnie, to je na piecu wysuszę, bo niezdrowo tak w mokrych siedzieć. A jak pan się krępuje, to ręcznik dam do przykrycia.

– Och doprawdy. Szkoda czasu i fatygi. Zresztą już prawie są suche – zapewniłem ją i natychmiast zmieniłem ten niezręczny temat, zadając pytanie: – Czy moja ciocia dokładnie wyjaśniła paniom szczegóły najnowszej strategii Biura Podróży „Travellas”, której jestem przedstawicielem?

– Cecylia zapewniła nas, że wszystko z detalami w tej letniskowej kwestii pan nam dokładnie objaśni (odparła Konstancja).

– Powiedziała tylko, że pańskie biuro pragnie maksymalnie poprawić jakość świadczonych letnikom usług (dodała Pelagia).

– A na poszerzony zakres świadczonych usług też panie są otwarte?

– Co pan przez to rozumie? (zaniepokoiła się starsza z sióstr).

– Rozumiem przez to możliwie jak największe spektrum zaspakajania różnorodnych oczekiwań naszych klientów.

– Czyli? (Konstancja nie odpuszczała).

– Właśnie. Przejdźmy najlepiej do konkretów (zaproponowała Pelagia).

– Konkrety są takie... Że po przeprowadzeniu wielorakich, dogłębnych badań i analiz travellingowego rynku oraz oczekiwań społecznych z nim związanych moje biuro ustaliło ponad wszelką wątpliwość, iż aktualnie mamy do czynienia z dynamicznym przewartościowaniem, radykalną zmianą dotychczasowych turystycznych trendów.

– Polegającą na?

– Gwałtowne przemiany, jakie aktualnie dokonują się w ludzkiej, a więc w naszych klientów psychice... (dalej ten ciężki wóz z sianem ciągnąłem, jak koń pod górkę, pocąc się przy tym niemiłosiernie i przeklinając w duchu ciocię, która praktycznie całą tę kłopotliwą i niezręczną, intelektualno-propagandową robotę zostawiła na mojej głowie)... Otóż te przemiany implikują, czy wręcz wymuszają, radykalnie odmienne podejście do tego zagadnienia, otwarcie się na nowe, pełne tajemnic, zagadkowe obszary ludzkiej psychiki.

– Czyli? (Konstancja nadal przypierała mnie do muru).

– Właśnie! (Pelagia ją poparła).

– Najprościej mówiąc (przeszedłem wreszcie do istoty rzeczy), dziś już nikomu nie wystarczą piękne widoki, ciekawe podróże, dobra kuchnia, miła atmosfera, etc. W dobie obecnej na plan pierwszy ludzkich potrzeb, pragnień i zachowań związanych z doznaniem, w tym tymi letniskowymi, wysuwają się ich marzenia, tęsknoty i rojenia... Proszę choćby spojrzeć na panią Arkadię (wpadłem na pomysł posłużenia się jej osobą, jako przykładem owej tendencji). Zauważyły panie, że w trakcie całej naszej rozmowy ani przez moment nie oderwała wzroku od książki? Można wiedzieć, co pani czyta?

– Właśnie! Mogłabyś, Areczko, chociaż udawać, że sprawy tego domu są dla ciebie ważne i coś niecoś cię obchodzą! – napomniała ją, pewnie już po raz n-ty, jej ciocia Pelagia.

Natomiast ciocia Konstancja bezceremonialnie wyrwała jej z rąk książkę, mówiąc:

– Oddawaj!

Arkadia przez chwilę próbowała się z nią szarpać, chcąc odzyskać książkę (bez rezultatu), potem wrzasnęła: „Walcie się!”, tym samym wysyłając nas do wszystkich diabłów, i wybiegła z izby, trzasnąwszy za sobą drzwiami. Na co małowówna kuzynka Szczypka, skupiona przez czas naszej rozmowy wyłącznie na grze w sudoku na ekraniku swojego smartfona, piskliwie zachichotała. Potem nastąpiła chaotyczna wymiana przeprosin: moich za być może zbyt obcasową uwagę, Pelagii za brak dobrych manier Arkadii, Konstancji za niestosowny chichot Anastazji (która nic nie powiedziała, tylko splecioną na policzkach odłożyła swoje mobilne urządzenie na krawędź stołu), znów moich za całe zamieszanie. I mogłaby ta wymiana wzajemnych uprzejmości trwać bez końca, gdyby starsza z siostr Waluśkiewiczówien jej nie przerwała:

– *Cztery noce z księciem*.

– Że co? (zapytała zaskoczona jej młodsza siostra).

– *Cztery noce z księciem* (powtórzyła, wczytując się w okładkę wyrwanej Arkadii książki). Piszą, że to najnowszy światowy bestseller autorstwa jakiejś Eloisy James. Ponoć romans historyczny.

Pokazała nam okładkę, na której ukazano, na tle złotej kotary w stylu empire, modelkę udającą damę, albo nawet jakąś hrabinę, z doklejonymi rzęsami i krzykliwym makijażem (mającym zapewne świadczyć o jej rozplomionym skromnością zawstydzaniu), zwróconą do widza plecami, z przechyloną w jego kierunku głową, niby skromnie i z gracją, lecz w mojej ocenie w sposób mdły i ckliwy – odstręczająco sztucznie przestylizowany, ubranej jedynie w krwistoczerwony gorset (pochodzący zapewne z tej samej co złota kotara epoki), częściowo rozsznurowany na jej wygładzonych (przy pomocy Photoshopa) plecach, którego jedno ramiączko, niby to swobodnie, z przyczyn których łatwo się domyślić, zsunęło się na jej „atłasową” rękę odzianą w długą, seksowną (ma się rozumieć), czarną rękawiczkę.

– Teraz to czyta? Myślałam, że wciąż jeszcze *Boginię niewiary* (znów zdziwiła się Pelagia).

– Arkadia *Boginię niewiary* czytała w zeszłym tygodniu (włączyła się do dyskusji kuzynka Szczypka). Wczoraj kończyła *Porę na miłość...* O ile dobrze pamiętam.

– Źle pamiętasz (oświadczyła starsza Waluskiewiczówna). Wczoraj, gdy pogoniłam tę cholere do karmienia kur, wyrwałam jej z ręki jakąś szmirę zatytułowaną *Uwolnij mnie hrabio!*

– Wcale nie szmirę (zaprotestowała Pelagia). Wiem, bo też to czytałam. I ten romans wcale nie jest gorszy od *Zanim się pojawiłeś*, *Jedwabnych rękawiczek* i *Zapomnij o mnie*. Przecież sama mówiłaś, że *Zapomnij o mnie* ci się podobało!

– Podobało, nie podobało... Jakie to ma znaczenie? W mojej opinii jakąś życiową prawdę można ewentualnie odnaleźć w *Ostatnim pocałunku* Laurelin Paige, a cała reszta to ckliwy, sentymentalny chłam!

– Pozwolę sobie z ciocią się nie zgodzić (oświadczyła cicho Szczypka). Bestseller *Zanim się pojawiłeś* Jojo Moyes przewyższa wszystkie inne! Stał się nawet kanwą dla rewelacyjnego filmu z Emilią Clarke oraz Samem Claflinem pod tym samym tytułem.

W trakcie tej, tak nieopatrnie wywołanej przeze mnie, „intelektualnej” dyskusji czułem się jak piąte koło u wozu, a czas przecież nagle, zmrok na dworze dawno już zapadł, zatem, żeby możliwie płynnie skierować naszą rozmowę na pierwotny tor, zaproponowałem:

– Pani Konstancjo, czy może nam pani przeczytać opis zawarty na czwartej stronie okładki książki, którą pani trzyma w ręku, a która tak zafrapowała waszą bratanicę, że oderwać się od niej nie mogła?

Wszystkie zamilkły, spojrzały na mnie zdziwione, przypominając sobie o mojej obecności i celu naszego spotkania. Potem Konstancja spełniła moją prośbę.

– „Czy nienawiść potrafi zagłuszyć bijące, kobiece serce. A może to zranione serce, które tak mocno nienawidzi, potrafi też ze zdwojoną mocą kochać?!

– Otóż to! (stwierdziłem z satysfakcją).

– To, czyli co? (zapytała skonfundowana Pelagia).

– Dowód na to, o czym ostatnio paniom mówiłem.

– Na te wasze „wielorakie, dogłębne badania i analizy oczekiwań” oraz potrzeb letników „implikowane” przez „gwałtownie” dokonujące się „zmiany” w ich pokręconej „psychice”? (upewniła się, nie bez zjadliwej ironii, starsza siostra, wykazując się przy tym doskonałą, jak na swój wiek, pamięcią i przytomnością umysłu).

– A w praktyce. Czym te zmiany się objawiają? (dopytała mnie młodsza Waluskiewiczówna).

– W praktyce przejawiają się tym, że ludzie w coraz większym stopniu tkwią zatopieni w światach swoich pragnień, marzeń, tęsknot, urojeń oraz wizji sennych podsycanych

przez popularne, tasiemcowe seriale, brukowe powieści, gry komputerowe, kolorowe żurnale i tym podobne, niż w życiu realnym. I taka prawda jest!

– Trudno się dziwić, przecież życie rzadko spełnia nasze oczekiwania – sentencjonalnie skonkludowała Pelagia. I zapytała: – Ale, co to ma wspólnego z wynajmowaniem wczasowiczom kwater?

– I tu, droga pani trafiła w sedno (oświadczyłem z przymilnym uśmiechem komiwojażera), ponieważ z naszych dogłębnych badań jasno wynika, iż ludziom te wirtualne światy już nie wystarczają, że pragną oni, marzą o tym, żeby choćby namiastkę swoich rojeń przeżyć w realnym życiu, czyli w praktyce.

– I wasze biuro chce im to umożliwić? (znów przytomnie, choć nader zgryźliwie, włączyła się do rozmowy Konstancja).

– Nie tylko umożliwić (potwierdziłem z udawanym entuzjazmem jej przypuszczenia), ale nawet profesjonalnie zorganizować i zagwarantować!

– Czyli, jeśli Arkadia zamarzy sobie o *Czterech nocach z księciem*, to po wykupieniu u was wywczasów, będzie je miała? (zapytała z nieukrywaną kpinką w głosie najstarsza Waluśkiewiczówna).

– Tak (odparłem hardo). O ile taki wakacyjny produkt znajdzie się w naszej szerokiej ofercie. W tej kwestii kierujemy się dewizą: każdemu według potrzeb i gustu.

– Chyba rojeń? – Ponownie zakpiła Konstancja.

A kuzynka Szczypka (jak to ona) znów nerwowo zachichotała.

– Jak zwał, tak zwał, ale o to właśnie chodzi (udałem, że nie przejąłem się zjadliwą uszczypliwością starszej Waluśkiewiczówny i chichotem jej kuzynki). W tym tkwi sedno, istota rzeczy, dostosowanego do nowych trendów, zmodernizowanego przez nas opierunku.

– To według pana, co my, proste wiejskie baby, mogłybyśmy zaoferować letnikom w ramach tej waszej dziwacznej strategii?

Konstancja przeszła do konkretów.

– Nie wiem. To wyłącznie od inwencji pań zależy. Jeśli nam panie coś w zakresie zrestrukturyzowanych usług opierunkowych zaoferują, to my ten produkt atrakcyjnie nazwiemy i spróbujemy sprzedać naszym klientom.

– Przyznam, że się całkiem pogubiłam i nie wiem, o jakim zakresie usług rozmawiamy (oświadczyła Pelagia, rozkładając bezradnie ręce).

– Bo głupia jak byłaś, tak jesteś! (bezceremonialnie skwitowała jej słowa Konstancja). On o rojeniach ciągiem, od przeszło godziny nawija. A co roi się ludziom w głowach? Przecież nie od dziś wiadomo: miłość, seks i żądze. Albo i pornografia! Panie Boże uchwaj, i gorsze jeszcze od niej zberezeństwa. Czy nie tak?

To ostatnie pytanie skierowała do mnie, przyszpilając mnie spojrzeniem pełnym ironicznej wyższości i satysfakcji, że moje śliskie intencje, w całej rozciągłości i głębi ich diabelskiej natury rozszyfrowała.

– Nie może to być!? – Pelagia załamała ręce, spoglądając na mnie pytająco, choć już z wyraźnie malującym się na jej twarzy wyrazem oburzenia.

– Ja pań do niczego nie namawiam! (pod presją ich spojrzeń natychmiast się zastrzegłem). Tylko uprzejmie informuję o współczesnych tendencjach w szeroko pojętej turystyce, no i o oczekiwaniach naszych klientów. Daleki jestem od moralnych osądów, wyjaśniam tylko szanownym paniom, na co obecnie jest popyt na travellingowym rynku. Co się sprzedaje, a co nie. To wszystko.

– Prawda, że świat na psy schodzi! (oświadczyła młodsza siostra).

– I prawda też, że zakazany owoc smakuje najbardziej (uzupełniłem jej konstatację sentencją, która mogłaby dołączyć do zestawu ich propagandowych makatek).

– Niestety, już od Adama i Ewy natura ludzka taka była (swoją sentencję do naszych starsza siostra dorzuciła).

– I ludzie na te zberezeństwa się godzą? (Pelagia dopytała).

– Owszem (oświadczyłem). Niemal wszyscy właściciele kwater nie widzą w tym nic zdrożnego. Zdradzę paniom, ma się rozumieć w sekrecie, że zdarzają się wśród naszych kontrahentów osobnicy, którzy bez żenady proponują usługi tak nieobyczajne, że nawet ja bywam nimi zniesmaczony. A mogą mi panie wierzyć, że wiele już w życiu widziałem i z niejednego pieca chleb jadłem!

– Zatem, w pańskiej opinii, bez tego erotycznego anturazu kwatery się nie wynajmie? –upewniła się Konstancja.

– Mocno w to wątpię.

– No to przyjdzie nam biedować dalej (skonstatowała), bo przecież za rozplenioną powszechną zgnilizną współczesnego świata gonić nam, starym babom, nie przystoi.

– I gdzie nam brać się za jakieś udawane amory?

Pelagia zgodziła się ze swoją starszą siostrą, a kuzynka Szczypka, chichocząc, dopowiedziała cicho:

– Albo wyuzdane dewiacje pornograficzne.

Ponieważ wszystkie trzy przygwoździły mnie oskarżycielskim wzrokiem, jakbym to ja był odpowiedzialny za wszelkie zło, patologie, zboczenia i degenerację świata, zamiast im coś odpowiedzieć, w geście obronnym, wskazałem palcem największą makatkę wiszącą w bliskości pieca. Wyobrażała starą, ale jarą babę, uśmiechniętą rzecz jasna, w fartuszku i czerwonych botkach na obcasach, podskakującą żwawo, z podkasaną kiecką, w wiadomym, listno-kwiatowym anturazu. Scenkę tę uzupełniało znane przysłowie o treści: „W STARYM PIECU DIABEŁ PALI”. Na co moje rozmówczynie lubieżnie się roześmiały. Ośmielony ich reakcją zacytowałem z pamięci inne przysłowie:

– Kiedy Bóg zamyka przed nami drzwi, zawsze zostawia uchylone okno.

I zaraz dodałem do tego komentarz:

– Ze swojej praktyki wiem, że nikt, ale to NIKT w sferze erotycznej nie jest zupełnie

normalny. Ale wśród nas zdarzają się zarówno skrajni, jak i niegroźni, zabawni dewianci. Na przykład podglądacze. I to może być dla pań owym uchylonym oknem, kompromisowym wyjściem.

– Aleś pan wymyślił! Kto by tam stare, pomarszczone baby chciał podglądać? I to za pieniądze! – Konstancja ucięła moje kalkulacje, krzywiąc się z niesmakiem i odganiając się od tej koncepcji, jak od natrętnej muchy.

Ale przecież nie po to tyle kilometrów do tej wiochy jechałem, grzęzłem w błocie, tłukłem się po wertepach, kilka godzin straciłem na pijarowe gadanie, żeby teraz jednym machnięciem ręki dać się spławić i odjechać z niczym. Oświadczyłem zatem z całą powagą i mocą swojego autorytetu, stanowiska i urzędu:

– Jako Główny Specjalista w kwestii Promocji oraz Marketingu Biura Podróży „Travelas” Spółka z o.o., zapewniam panie, że podglądaczy na świecie jest mrowie! A odsetek tych, którzy ponad wszelkie inne widoki przedkładają nasz swojski, sielsko-wiejski, siermiężno-ludyczny, realny naturalizm jest ogromny.

Najpewniej pod wrażeniem mojej wypowiedzi, na potwierdzenie moich słów, Pelagia zwróciła się do Konstancji:

– A pamiętasz, jak to kuzynek Ignac, którego gościliśmy przed laty w wakacje, ciągiem nas przez dziurkę od klucza w łazience podglądał?

– A pamiętasz (odcięła się tamta), jaką awanturę mu zrobiłam, gdy na tym podglądactwie go przyłapałam!?

– No to teraz awantury nie zrobisz... Ot i cała różnica! – stwierdziła młodsza Waluśkiewiczówna.

A kuzynka Anastazja, oblana rumieńcem, ze wzrokiem pensjonarki utkwionym skromnie w deskach podłogi, cicho tę wymianę zdań skomentowała:

– Mnie tam niczego od podglądania przez kuzynka Ignaca nie ubyło.

I na potwierdzenie swoich słów piskliwie, choć też jakby lubieżnie, ponownie zachichotała.

Ten jej nerwowy chichot, jak sądzę, ostatecznie przesądził o podejmowanych w tej izbie rozstrzygnięciach, bo starsza z sióstr po chwili namysłu oświadczyła zaiste filozoficznie:

– Nic nam nie ubyło, bo prawda to wszystkim dobrze znana: kto nie ma nic, nie ma też nic do stracenia.

Fragment niepublikowanej powieści „Opierunek”



Jacek Samotus, *prof. Janusz Jaroszewski*, 2017

KRYSTYNA KONECKA

DLACZEGO SONET

Pytasz, dlaczego sonet. Rytm. Średniówki. Rymy.
Sonetti a corona... Po co szukam w słowie
muzycznej analogii dźwięków. Co mnie trzyma
przy tych czternastu wersach do znudzenia? Powiem.

Zbieram sto osiemdziesiąt dwie sylaby w całość
w rymach naprzemianległych i okalających.
Potykam się o sensy. Żeby powięzwały
niezdyscyplinowanych wersów koniec z końcem.

Nie ogarnę ogromu świata w tetrastychach
i nie poddam refleksji w tercynach chwilowych
czy w dystychu. Potrafię hibernować cicho

jak mysz pod miotłą. Jednak gdy eksplozja w głowie,
gdy w fazie weny frazy bezrymowe mamia,
sama świadomość formy wystarcza. Że mam ją.

THE HOMELESS BARD

Trafalgar Square z Nelsonem w ludzkich falach tonie.
Pośród nich – niczym wyspa – Bezdomny Poeta
kreśli strofy na płytach białą kredą w dłoni.
Ktoś z tłumu odpryskuje do puszkii monetą.

Swe kamienne tablice w zgodzie z Dekalogiem
na kolanach, z pokorą – przed Bogiem? Przed Słowem?,
zapisuje spowiedzią – przed Słowem? Przed Bogiem?
Przede mną? Gdy w półszepcie schyla siwą głowę...

Wersety są czytelne z bożej wysokości.
Więc swój LITTLE VOICE posyła ten, co mu nieobce
nic co ludzkie. By przyszła z aniołem miłości

DEATH wziąć strudzone ciało o posturze chłopca.
Bard Lee klęka nad wierszem z pożegnalnym gestem.
– Nie trać wiary! – Ty także. Bądź szczęśliwy. – Jestem...

Londyn, 1.06.2018

ZNIKANIE

Znów – często – coraz częściej – pod pętli nawisem
odbywam, jak monodram, z masek rozebrana
dialog z minionym. Skąd tu dobiega nad ranem
szepc w tonach requiem. Kto jest ze mną. Ty? Czy nicność.

Selekcja księgozbioru świtem. Niech księżyc
oko nie dojrzy tomów myszom darowanych.
Stopklatek codzienności rozliczanie. Zmiany
w maskę rafaelickich do niedawna rysów.

Resetowanie wspomnień. Drogim spadkożercom
nic po nich. Więc odfruną wraz z szyderstwem wiatru.
Gwałtowny przypływ ciemnej krwi odetnie serce.

W tym prześmiesznym spektaklu z proscenium teatru
schodzimy maska w maskę. Ostrożnie, kochanie.
Przed nami najtrudniejsza z trudnych ról. Znikanie.

DOTKNAŁ MNIE ŚMIERĆ

Nie średniowiecznie blade z kosą w kostkach dłoni
u wezłowania, czy w płasach z danse macabre. Lecz z kości
i krwi. Z przypadku. Z męskiej na drodze sprawności.
...Rozdźwięk między tym dźwiękiem a ciszą tuż po nim...

– Jeszcze cię nie chcę – westchnął – zaledwie pogłaszczę.
Jakoś mi nie przystajesz do typowych reguł
geometrii kolizji. Więc bądź. Choć z niczego
nie wychodzi się cało. Gdy drzwi nie ma zwłaszcza.

Zatem odkrywam krwiste hiszpańskie El Muró
Tempranillo Garnacha, umykając chmurom
jedenaście tysięcy metrów nad grobami.

Kruchy statecznik skrzydła jak anielskie ramię.
Żywe krople – łez? Wina? Dławiący dylemat.
Więc śmierć mnie nie ma. Ale i mnie trochę nie ma...

ZIELONA PIRAMIDA

Ład obrazu. Jeżeli ekspresja to barwy.
Faraon w miniaturze. Lecz zgodnie z kanonem
(twarz profilem, frontalnie oko i ramiona...)
I atrybuty władzy. Słodkiej. Do tej pory.

„Nie o to bowiem chodzi, czy były potrzebne
piramidy”. Lecz „aby wola faraona,
gdy ją raz wypowiedział, została spełniona”
– Prus, polski pisarz, wierzył w sens grobów podniebnych.

Życiodajnego Nilu nurt środkiem. Powyżej
blask słońca. Przytłumiony powiewem chamsinu.
Twórcy wiadomej formy powtórzonym rytmem.

Co przetrwa chaos świata – z nadzieją myślimy
wpatrzeni w hieroglifów mądrość starożytną:
Nurt Nilu życiodajny? Piramidy? Czy my?

NIEDZIELA

Jest codziennie zwyczajnie jabłoń pachnie pszczelo
w gazecie dymi wulkan w imbryku herbata
w zasadzie spokój tylko nad mrówczą kruczają
zanoszą się łopotem wiotkie skrzydła pieluch.

Gdyby nie ta zapowiedź burzy nad niedzielą
idyllicznie rozpartą pod błękitem świata
może by się zdarzyła szansa tego lata
przemycić czas i ciszę do zimowej bieli.

Lecz stał się deszcz nie w porę i szaleństwo wiatru
i przestwór zafalował wędrownym teatrem
gdy drzewa uderzyły w poddańcze pokłony.

Do szyby przedśmiertelnie przyłgnął liść strwożony
a nam jakże bezpiecznym nie starczyło gestu
by z zielonego serca dobyć cień szelestu.



Eugeniusz Get-Stankiewicz, *Autoprtret* z cyklu „Oszmiańska szkoła passe partout” (czyt. s. 308)

Senny wampir Nosferatu w kawiarence Pod Łzą Tajemnicy

Miłosny związek Janusza Stycznia z Umarłą spowija autyzm. Pojawi się jednak coś ważniejszego dla poety niż uczucie. Dzięki śmierci kobieta staje się godna miłości, mianowicie trudu dysponowania jej ciałem i psychiką. W pojęciu Stycznia dar miłości stapia się bowiem z władzą, co wymaga bezgranicznej bierności przedmiotu; chodzi o studium przedmiotu, o uczynienie kobiety martwą naturą. Każdą właściwie strofą Styczeń kreśli życie jako długie, skomplikowane samobójstwo, mające to umożliwić, a mnożąc sukienki, włosy, prześcieradła, łyż, róże (świeże, zwiędłe i zasuszone), chryzantemy białe i złote, wreszcie płomyki świec, tka całun z własnym autoportretem i okazuje się staruchą, dziewczynką, panną młodą, damą ze średniowiecznych gobelinów, dworcową prostytutką, wreszcie mumią. Jako kobieta zaś okaże się zawieszeniem ogromu – w próżni.

Wpatruje się w księżyc swojej ciemności
I wsłuchuje się w jej przyływy i odpływy
I jej ciemność słyszy większe i dalsze ciemności
Tak jak ciemność słyszy dalekie oceany.

Przypisano jego wizjom surrealizm na skutek niedoświadczenia stanów, jakie wygenerowały surrealizm w znaczeniu notacji wizji, mylonych u nas ze sztukowaniem banału pomysłowym łączeniem alegorii. Zupełnie brakuje Styczniowi intelektualnej lekkości oraz brawurowej dociekliwości surrealistów. Oczywiście Styczeń podziela ich niesmak wobec oświeceniowo-pozytywistycznej postawy pisarskiej, też ma ją za „zaprzeczenie wzlotu intelektualnego i moralnego”, ale bynajmniej nie pragnie, jak Breton, odnosić jej do św. Tomasza z Akwinu, wobec którego nigdy nie poważałby się rzec: „czuję obrzydzenie, bo łączy w sobie przeciętność, nienawiść i płytką pewność siebie”. Styczeń jest zbyt ostrożny, aby urazić św. Tomasza, zresztą każdego z nazwiska tomisty czy neotomisty, czy autora ze spisu lektur: dzisiaj to jego lepiej nieco ustawieni znajomi. Tym bardziej nie posunie się do bliskiej myślom Georges’a Bataille’a i Pierre’a

Klossowskiego konstatacji, że oświeceniowy paradygmat to nie tyle ateizm (kosmos bez Boga jako gwaranta norm), co sama w sobie gwarancja ładu. Surrealiści wiedzieli, że odrzucenie racjonalizmu „oznacza czystą i prostą destrukcję przyjętych norm, jednym słowem, integralną potworność. Aby potworność była integralna, na miarę integralnego ateizmu, przełamać musi struktury jednostkowego »ja«, czyli suwerennego człowieka”¹.

Styczeń pielęgnujący własne „ja”, owszem, przytaknie André Bretonowi, że do zbiorowej wyobraźni artyści formowani racjonalizmem wnieśli „nagromadzenie katalogowych obrazków” i w efekcie byle wytwórca bez skrupułów „podrzuca mi widokówki, licząc na to, że zjedna mnie komunałami”. Przytaknie, ale w duchu od swobody dalekiej wyprawy w głębinę *to*, nawet dalekiej przechadzki, gdzie można natknąć się na padlinę rodem z Charles’a Baudelaire’a, woli widokówki. A co się tyczy znamionującej surrealistów pasji rozważań nad funkcją marzeń sennych i snu, to od prac z dziedziny neurologii, psychiatrii i psychologii głębi – względnie od transów – woli sennik.

Tworzy w rzeczy samej poezję „bezmyślną” w imię nieangażowania się w świat, w imię poezji „wiecznej”. Jest to znów coś o całe lata świetlne odległego od przemysłów zawartych w *II Manifestie* Bretona z 1929 roku – że wprawdzie surrealiści nie śledzą wydażeń w świecie sztuki i filozofii, ale z tego powodu, iż znacznie bardziej ciekawią ich możliwości ludzkiego umysłu, same w sobie. Stycznia myślenie nuży i drażni. Nuży i drażni go odczuwanie. U początku swojej drogi posiłkował się metafizycznym w zamysle określeniem „wata czuciowa”.

Chce być charyzmatykiem. W kilku ostatnich wywiadach dla studentek polonistyki dał wyraz temu, że pragnie podawać tezy, mieć gromadkę akolitów zwracających się doń „Mistrzu”, tak jak to celebrowano, kiedy – co za znamienne określenie – „wkraczał” do literatury. W kilku prozach upamiętnił monologi Mistrza Jana. Mistrz ów, rosły i postawny mężczyzna po czterdziestce, pracownik Urzędu Miar i Wag ubrany banalnie, znoszona ciemna marynarka i nieodprasowana koszula bez krawata, przy stoliku pod filarem kawiarni wrocławskiego Empiku zdumiewał wszechstronną erudycją. Choć sam nie parał się piórem, otaczali go młodzi pisarze pragnący go zagiąć, och, w czymkolwiek (nigdy to się nie udało i zawsze ściągało ciężkie szyderstwo), dopuszczał atoli tylko wybrańców. Styczeń do nich należał ku swojej dumie. Kobiety były z tego grona wykluczone, poza piękną, niepokojąco subtelną poetką Salomeą Kapuścińską, piszącą, że człowiek ucieka od człowieka tak jak blask od ciemności, jak echo od skał i jak Bóg od tego, co stworzył², zamkniętą później w zakładzie psychiatrycznym, skąd już nigdy nie wyszła, a zachorowała ponoć, tak przynajmniej twierdzi Styczeń, wskutek stresu, w jaki wpędził

1 Pierre Klossowski, *Sade mój bliźni*, przeł. Bogdan Banasiak, Krzysztof Matuszewski, Warszawa 1999, s. 211–222.

2 Salomea Kapuścińska, *Ucieczka*, w: *Nad nikim nie mam władzy. Poezje*, wybór i postowie Mirosław Olędzki, Wrocław 2018.

ją romans z Mistrzem Janem. Styczeń wprost przeciwnie – dbał, aby kobiety widziały w nim subtelного poetę, który tylko z rzadka uderzy, a też doprowadza do szaleństwa, przy czym szeptce dziewczynie w ucho znienacka *Trupi prędko jadą* za Andrzejem Pańtą, jako intrygujące powiedzonko, bez wiedzy, iż kolega tak przełożył wers *Die Toten reiten so schnelle* z ludowej piosenki, która natchnęła Gottfrieda Augusta Bürgera do napisania słynnej ballady *Lenora*.

Poza tym dbał Styczeń, aby otaczało go stale chociaż kilka muz, aby rywalizowały ze sobą w przenikaniu przez jego wewnętrzne lustra. Jedna z nich na korytarzu akademika zabytkową szablą nastraszyła koleżanki z Wietnamu, wołając, że jest panem Wołodyjowskim. Styczeń odgrywał przed gośćmi i w Empiku tę scenę. Pobudza go wszystko, co „niesamowite”: na równi dawne wielkie malarstwo, serial, kryminał, zdawkowa mitologia, brukowce, kawiarniane umizgi, jak w filmie Majewskiego *Wo-jaczek*, w którym sam gra: zamawia pół litra czystej z niebieską kartką dla poznanej dopiero co kandydatki na mużę, kobiety ani trzeźwej, ani eleganckiej. Mira Żelechower z kolei oddała to jego portretem z Szalejącą Mużą, gdzie pierwszoplanowa muza, bujna blondyna w czarnym opalaczu, na tle potrójnego lustra – Lustra wewnętrznej nieprzeniknioności – miota się u stóp poety. Jeśli spotka się z naganą ze strony rodziny, mamy zwłaszcza, zmienia teksty.

Kluczem do tego chaosu jest obsesja aktu cielesnego, ujętego w terminach śmierci. Powie w *Niewinnej muzie*: „Nie jesteś aniołem uciekasz przed śmiercią”.

Prywatnie kobieta zaciekawia go dopiero, kiedy umrze albo ociera się o śmierć. Przymilnie ociera. Jakby ten łagodny pan w okularach był w skrytości serca nekrofilem.

Innymi słowy, miłosna pełnia jest możliwa dopiero z ciałem dostatecznie chłodnym. W wyznaniach nekrofilów uderza często ich zmysłowa subtelność. Och, nikogo nie zabijają. W porozumieniu z pracownikami zakładu pogrzebowego obcują ze świeżymi zwłokami, lubią muskać je opuszkami palców, puklami włosów, chłonąć ich doskonałą bierność, matowy blask naprężonej skóry, nakładać pośmiertny makijaż. Ten nieraz daje złudzenie, iż zmarły odwzajemnia oczarowanie. Trzydziestoletnia Leilah Wendell mówi, że wówczas objawia się jej anioł śmierci, wyjmując więc z lodówki kieliszek i pociąga łyk krwi. Niezmieszanej z czerwonym winem, w pokoju pomalowanym i umeblowanym na czarno. Zwłoki są następnie w umówionym terminie przygotowywane do ceremonii pożegnalnej, a więc ubierane, czesane, niekiedy rozmalowane i malowane jeszcze raz, co przywraca ich rysom obojętny wyraz.

Nekrofil istotnie bywa estetą i nieobce mu artystyczne rzemiosło. Gabriel d’Annunzio, dla którego „śmierć jest ciepła”, i Sarah Bernhardt spali w trumnach. David Orm, młody skrzypek o słodkim spojrzeniu wielkich błękitnych oczu, podobnych zresztą do oczu Janusza Stycznia, kiedy zsunie grube okulary krótkowidza, lubi sypać kwiaty na zmarłą, spalać wonności, nacierać olejkami podeszwy stóp. Kładzie się później obok.

Twierdzi, że czuje ze zmarłą jedność, której nie umie wytłumaczyć, i że nic podobnego nie jest możliwe z osobą żywą. Wielu poświęca mnóstwo czasu kompozycjom specjalnie pielęgnowanych roślin. Leilah Wendel maluje obrazy w mrocznych tonacjach. Pewna zakonnica zajmowała obszerny apartament przy rue Faubourg-Poissonnière w paryskiej Dziewiątce, bliźnięta Pigalle. W swoim salonie nawet w głębokim rozmodleniu przenosiła wzrok od krzyża z Jezusem naturalnej wielkości na tacę, gdzie wcześniej kunsztownie ułożyła ciemne winogrona, arbuz z przewagą czerni w zieleni skóry, śliwki, figi, jagody; taca stała na fortepianie, meblu oczywiście lśniąco czarnym, pod kolor habitu. Powołanie otrzymała późno, po czterdziestce. Wcześniej była pianistką. Ciało mężczyzn, w jej życiu kilku za ledwie, zawsze ją mierzili. Były zbyt brutalne, pozbawione liryki, wyciszenia. Były to ciała – pokazywała mi fotografie – wtłaczające ją w jakąś plamę genitalno-rozrodczą, podczas kiedy hebanowe ciało Ukrzyżowanego utrzymywało żądzę w ryzach symbolu i piękna. Nie kosztowała krwi, aczkolwiek szczerze wierzyła, że podczas mszy w kielichu wino naprawdę zamienia się w krew. Mówiąc to, przełykała ślinę. Kiedyś mi powiedziała, że odruchowość seksualnej fizjologii podczas aktu da się porównać z rozpaczą. I że chodzi o przekraczanie fizjologii.

W świecie Janusza Stycznia nieobmyty śmiercią akt seksualny też jest zawsze brudny, zbyt łapczywy albo przerwany wpół. Powie w jakimś wierszu:

Muszę okryć się mrokiem, muszę kobietę
Okryć mrokiem (...)
Kobieta może zniknąć.

A w innym, że właściwie cała

prawdziwa przeszłość składa się ze śmieci,
Rzeczy i pamiątki gniją i zespala się ze sobą,
Tworzą jedno wspólne ciało (...)
Spowiadają się wszystkim brudom (...)

Brudy dostępują tedy rangi kapłaństwa. Tylko akt bezcielesny, poprzedzający nawet sam akt stworzenia, daje prawo, by widzieć w nim dopuszczający ekstazę oksymoron, co w trywialnej codzienności pozostaje neurotycznym krążeniem między ohydą i ekstazą, aczkolwiek wydumaną ekstazą. W tym problem Stycznia: kocha oksymoron, odurza się nim, po czym znienacka umyka w jakieś wypośrodkowane, „niewinne” alegorie, otrząśnięte z brylancików tajemnicy, Śmierć natomiast pozwalałaby przesiadawać nad grobem ukochanej wśród liści miotanych listopadową wichurą. Jednym z ulubionych opowiadań Stycznia są Williama Faulknera *Róże dla Emilii*: tu zwłoki

przechowywano w sypialni. Cóż, dla autora *Grozy wtajemniczenia* niezgoda na pochówek dowodzi głębi uczucia. Śmierć nie jest końcem, bo to nie ona zatrząskuje dostęp do ciała – zresztą, niekiedy go umożliwia. Nekrofile przyznają, iż chodzi im o sztukę kochania prawdziwszą, jak mówią, bo sięgającą w samo jądro kondycji ludzkiej. Kluczem, jak domniemywano, jest być może wyestetyzowanie dokonywanych naruszeń tabu, nadanie pięknu autonomii i uczynienie zeń mostu do eschatologii. Zapewne to, jeśli warto je smakować w moim tłumaczeniu, miał na myśli Edgar Allan Poe, nazwany świętym przez Baudelaire'a:

I could not love except where Death
Was mingling his with Beauty's breath.

Kochałem wszak tylko, gdy śmierć
Mieszała swój i Pięknej dech –

Czyli przybliżała twarz do twarzy, wargi do warg.

Jeśli dochodzi do ślubu, miłość pozostaje przepoczwarzona w trwoźnie skrywany za drzwiami sypialni, ukradkowy, żałosny obowiązek – przed jakim dworny romans zasuwiał drzwi sypialni. To swoiste zamordowanie miłości czyni ze ślubnej ceremonii rodzaj funeraliów. Właśnie dlatego potrzeba rozbudowanej teatralizacji, wręcz ukrycia się, nawet zamaskowania pod wdowim welonem, a co więcej, magicznego arcyzmu. Magia odbiera sztuce bezinteresowność i swobodę, tłamsi zabawę. Magia sięga po wiedzę i wolę – silną wolę. To znaczy, że zagłębiając wzrok w nieświadomość, przez wszystkie wmontowane tam kratownice, musimy utracić kontakt z resztą świata.

„W każdej duszy ludzkiej mieści się tylko pewien określony zasób zdolności do uczuć, jaki dane jest nam zużyć”, zauważa d'Annunzio w *Triumfie śmierci*. D'Annunzio wyraził to poprzez ilościowy zasób „uczuć” oraz ich użycie, względnie przerób, ale ograniczoność dotyczy również rodzaju spraw, jakie odczuwamy, jakie w ogóle dopuszczamy. Jeśli układa nam się w głowach, że Eros kapryśnie odtrąca swoich wielbicieli, a śmierć nigdy, to u zabląkanego na przedprożach zmysłowości Stycznia, z jego niewesołymi weselami, dopiero sztuka jako ponure, neurotyczne zaklęcie nada sens uczuciom i zresztą wszelkim zachowaniom.

Ten poeta czerpie dla uczuć nazwy i kształty z katalogu oferty na rynku uczuć, jakim jest kultura dzisiaj. Jeśli więc zdmuchniemy jej *decorum*, uderzy nas bezsens tego czegoś, co dzieje się pomiędzy kobietą a mężczyzną. Ujrzymy, jak to z kolei Alain Robbe-Grillet odkrywa w tyradzie erotycznej typowej dla autorów osobiście wycofanych, nieśmiały, iż „funkcje i stosunki, stanowiące tutaj podstawę erotycznego świata,

są w istocie nieodłączne od kreacji [...] i jej pierwszego warunku: być samemu i własnym projektem organizować świat”³.

Bo na planie rzeczywistości, odartym ze sztuki, dzieje się tak jak w ockniętej pamięci poety – działo się między matką a ojcem. Matka tedy wciąż bije mięso na kotlety, stukiem i plaśnięciami zagłuszając ukradkowe pieszczoty syna i dziewczyny w pokoju obok. Matka, przyłapawszy, bije go, bije pięściami dziewczynę albo jest bita przez ojca, gdy broni skulonego w zawstydzeniu syna. Ale broni wyłącznie dlatego, by nie trzeba było wzywać lekarza do obdukcji po pięściach ojca. Bicie rodzice nazywali dowodem miłości. Skatowany liryczny podmiot wybiega z domu i wieszka się na skakance. Jest pod postacią dziewczynki; w widnokregu Stycznia taki czyn pasuje tylko do dziewczynek; chłopaki nie płaczą.

Skakanka to jednak niuans o identycznej symbolice jak pewne antyczne obrzędy funeralno-erotyczne na cześć Dionizosa-Trupa oraz Artemidy-Wisielczyni. W Grecji wszakże fascynowanie się umarłym jako obiektem seksualnym ściągało potępienie (zwłoki palono możliwie natychmiast), i tylko niszowa sztuka, dopiero od dni Parrazjosa, malarza, który w V wieku przed naszą erą złamał owo tabu, i którego Platon nazwał sofistą widzialnego, szukała innych ścieżek. Owszem, fińska pisarka Katja Kettu w powieści *Ćma* wspomina o szamanie z tajgi nad rzeką Kołymą, który wyczuł, że pochowany mężczyzna pragnie żony, i nakazał wykopać ciało z grobu, ale tam zmarły jest aktywny i chodzi o coś, co wykracza poza pospolity seks w greckim rozumieniu. W Grecji krążył osobliwy mit o Laodamii, wdowie po pierwszym wojowniku, jaki poległ pod Troją. W przypływie rozpaczliwej żądzy sporządziła jego figurę i kładła się z nią na posłaniu; bogowie każdej nocy łaskawie przywracali go do życia. To było jednak przeciwieństwem nekrofilii. Jak błyskotliwie w *Antycznej Lenorze* wykazał Tadeusz Zieliński, opowieść powyższa dopiero u chrześcijan nabrała upiorności: wskrzeszony luby nie pięści, lecz zagryza łatwowierną, czego też słuchaniem w XVIII wieku, notował Krystyn Lach Szyrma, parafianie „w porze jesiennej długie wieczory sobie skracają”, w „całej Polsce”, „na Ukrainie, w okolicach Warszawy i Augustowa”, także „koło Jarosławia w Ziemi Przemyskiej”, nadto w Niemczech i Anglii⁴. Lecz taki upiór jest męski. Umarła kobieta w obszarze mitu, zjednoczona z każdym elementem na ziemi, przesycająca go sobą, to przy żywych kobietach wiecznie triumfująca rywalka. Symbolizujące akt płciowy pocałunek lub wręczany puchar, „oto jest spełnienie pragnień najgłębszych godne”, mówi Hamlet (akt III, 1). Robert Louis Stevenson zaś w *Requiem*:

3 Alain Robbe-Grillet, *Ład i jego sobowtór*, przeł. Bogdan Banasiak, „Magazine Littéraire” 1976, nr 114, s. 22–23 (oraz „Obliques” 1977, nr 12–13, s. 229–231).

4 Zob. Maria Janion, *Panna i miłość szalona*, „Teksty Drugie” 1993, nr 4/5/6.

Pod rojem gwiazd, u nieba stóp,
Pozwól mi spocząć, wykopać grób,
Radośnie żyłem, niech więc ślub
Zawrę ze śmiercią też szczęśliwy
I taki wiersz na grobie złoż:
Który śmierć kochał, spoczął już,
Żeglarz do domu wrócił z mórz,
I wrócił z górskich kniej myśliwy.

U Novalisa w *Utęsknieniu śmierci* ziemia zasypująca grób staje się pierśią, grób łonem miłośniczo złąknionym ludzkiego ciała, noc wieczna i sen wieczny – nocą poślubną, snem kochanków, oddaniem się niebiosom. Skierowany na samego siebie nekrofil jest bliźniakiem Narcyza: nic co ludzkie, nie powinno zmącić źródlanej ciszy szczęścia. I jest on gotów na wszystko, byle osiąść ów raj ze śmiercią-hurysą u progu. Destrukcyjna to narastająca rytm mający Ją rozekscytować, przetrwać *danse macabre* w Pierwszym Balu.

Mimo skłonności nekrofilnych, zwykle daleko do ich zaspokajania. Przeważa stopniowe i bezwiedne zbliżanie się ku zmarłemu, ale nawet i wtedy mamy pewność, iż pozostajemy w normie. Po prostu wymagania wyestetyzowanej erotyki bywają wysokie, przeważnie nietypowe, co powoduje serie nieudanych, frustrujących relacji z żywymi. Nietypowość potrzeb ludzi rozmiłowanych w Śmierci to czasami sama ich gwałtowność. To domaganie się, aby obiekt miłości – **właśnie przedmiot**, a nie podmiot – identyfikował się emocjonalnie, był intelektualnym klientem, nie sprzeciwiał się jedynej uprawnionej, jedynej aktywnej instancji, której inaczej sprawiłby ból. Powoduje taką postawę, często zgoła nieświadomą, sieroctwo, a zwłaszcza oglądana śmierć – sytuacja, gdzie uzmysławianie sobie utraty kogoś, kto nas kochał, zwłaszcza werbalnie tylko, bez zachęty do samodzielnego dojrzwania, spojone jest z wrażeniem, że nie wolno na nią przyzwolić. Dorosły człowiek być może wykrztusi: „Przez chwilę jest nic, a potem jest tąpnięcie. Ale takie bez dźwięku, nieme. Tak nieme, że aż do ucisku skroni”⁵. Dziecko odmawia sobie moralnego prawa do „nieczucia nic”, swą bezradność spaja ponadto z podniosłością i uroczystą ozdobnością katafalku, a potem konduktu sunącego za trumną matki, której dusza zdaje się jeszcze obecna, zdaje się czule głaskać po główce. Słodycz projekcji tego rodzaju pomaga wstrzymać szloch, odepchnąć rozpacz, a zatem uniknąć jej przeżywania, odczuć natomiast zamiast bólu ów szczególny rodzaj dumy, jakiej trudno nie ulec, mając na sobie odświętne ubranko, zaczesany równy przedziałek, tkliwe spojrzenia wszystkich, znajdując się w centrum obrzędu wkraczania w wieczność, w niebiosa. Co też było doświadczeniem Poego. Każdy jego w takiej sytuacji rzeczywisty związek okazuje się tylko przykrywką; w intymnych kontaktach

5 Janusz Rudnicki, *Pożegnanie z mamą*, „Gazeta Wyborcza”, nr z 4 listopada 2018.

z kimś żyjącym, myślami ulatywał ku osobie utraconej – z nią nigdy nie doszło do rozczarowania ani do wrogości, ani do „zszarpnięcia maski”. Zakładał, że nigdy i pod żadnym warunkiem nie przestałby jej uwielbiać. Żywa osoba tymczasem odstaje od takiej projekcji. Jeśli reaguje złośliwie lub odsuwa się, konflikt jest nieunikniony. O swojej żonie Poe powie: „lękała się dzikości posępnego mego usposobienia, unikała i zbyt nie kochała, lecz sprawiało mi to poniekąd przyjemność”. Był oddany jej zmarłej poprzedniczce, nawet w najintymniejszych chwilach wielbił niedoścignione walory Ligei, „tej pięknej, tej dostojnej, tej jedynej, tej umarłej”.

Uderzające to podobieństwo do pierwszych już słów dramatu Stycznia *Suknia ślubna* (kluczowego motywu mnóstwa jego wierszy). Akcja toczy się w pierwszej noc. Nowożeńcy stają na środku sypialni „jakby nie wiedzieli, co robić”. Źródłem fiaska jest duch ukochanej. To Ona tłumi cielesne zainteresowania żywą rywalką – żałośnie przyziemną z tą swoją chucią. Suknia ślubna kojarzy się z podniosłością, natomiast seks z przestrogami i zakazem, zatem karą, degradacją i upokorzeniem. Zdjęcie ubrania kojarzy się z demaskacją – albo z karami bicia na goły tyłek. Zniesmaczony pan młody zamiast żony tuli suknię ślubną, „tak jakby była Małgorzatą”, rzucając w złości: „przecież nie powinna ci zagrażać zdrada z kobietą umarłą”, co, pomimo sutej lirycznej zawiesiny, pragnącej być liryką cierpienia, brzmi raniąco. Styczeń zdaje się nie dostrzegać ani głupoty, ani okrucieństwa swojego bohatera, a poniekąd *alter ego*; chce go pokazać wiernym wielkiemu uczuciu, bez reszty oddanym temu, co wzniosłe. Zapewne wzrusza go trochę pochlebiający mu ból oblubienicy, ale tylko Umarła albo też jej inna wersja – Lalka – łączy uległość z byciem kimś niezbadanym, niepojętym, nieprzewidywalnym – „prawdziwą kobiecością”. A ponieważ tę odrzuca toporny męski świat, łatwo o wydumanie sobie posiadania samemu duszy zwierciadlanie tajemniczej, zmiennej, uprawniającej do kaprysów, a nawet sadycznych zabaw z partnerką realną – należąca do „męskiego świata”.

Lalka obdarza niespodzianką, osładza rutynę. Dreszcz strachu, jaki daje, zapowiada dreszcz rozkoszy. Posłużę się sceną na pograniczu snu u jednego z ulubionych pisarzy Stycznia lat ostatnich. Bohater powieści w pierwszej chwili ma ją właśnie za sen. Znalazł się pod przybranym nazwiskiem w obcym kraju, nie zna języka, ściągęła go tu namiętność do nieznałomej kobiety oraz osobliwa zagadka kryminalna. Otóż ktoś go wpycha do bramy starej kamienicy, zatrząskuje ją od zewnątrz, on sam stacza się po schodkach. Po dłuższej chwili, gdy wzrok nawykł do ciemności, bohater widzi, że stoi w magazynie lalek. Dokoła wszędzie aż pod sufit regały zapchane lalkami. Do niektórych na pewno wmontowano mechanizm, a więc mogą zacząć się poruszać. Jadące auto z ulicy na moment rozświetla brudną szybę w oknie sutereny i wtedy tuż-tuż ukazuje się kredowo biała, bezdennie smutna twarz Arlekina. Bohater odskakuje. „Miał wrażenie, jakby wszedł do katakumb, złowrogie głowy lalek, przypominające czaszki, wyszczerzały się do niego w demonicznych uśmiechach”

Gdyż bierność ma jednak wymknąć się spod kontroli, wykreować iluzję rzeczywistych odwzajemnień. Lalka przy tym należy do scenerii dziecięcej a przeto znowu „niewinnej”. Niewinnej oznacza u Stycznia wyłącznie aseksualność, jaka nadaje prawo do wyrządzania krzywdy; jej zaniechanie ma dowodzić łaskawości. Wcielony w Dziewczynkę, mówi w *Królowej lalek*:

Mamusi, naprawdę dziękuję ci za lalki i zabawki martwe
Jestem demokratką i zabawki martwe
Traktuję dobrze (...)
Długi czas nie miałam gdzie podziać tej niesamowitości (...)
Wyobraziłam sobie
Że ja także jestem jedną z nich: żywą lalką (...)
I wszystkie moje noce dojrzewają tylko do połowy
I pragnę spełnić swe północe w zamku piękna (...)
Który w dzień zasłania się ruinami
A tylko w dzień mamusi puszczasz mnie z domu (...)
Słuchając śpiewu lalki dotykam jej piersi
Niewinnych i gotyckich jak lilie...

Kalecząc ten wiersz, pragnę tylko zgłębić przenośnie, których podtekst makabryczny dawno spowszedniał i umyka uwadze. Tymczasem eliptyczne przejścia od pół-nocy erotycznej sprzed pokwitania, a zatem infantylnych u dorosłego wyobrażeń o Erosie, do północy romantycznego pejzażu, gdzie za moment ujrzemy w świetle błyskawicy Lenorę w objęciach jej kochanka-wampira, zdaje się pobudzać ów punkt, gdzie erotyczna niesamowitość tchnie grozą, toteż autor adoruje niewinność jako „gotyk jeszcze doskonalszy”. W znaczeniu gotyckiej powieści – powieści grozy.

Jest to jeden ze znaków zapytania, jakie stawia nam płciowość, mianowicie pokusa pogrążenia się w seksualizm poza uznaną normą, a styka się z nią każdy, kto stracił upragnioną osobę, zarazem czując trwogę przed Erosem, rozpoznając w nim wyłącznie Tanatosa, rozpoznając, najprościej powiem, nieuniknioność tego, że i w następnym związku dramat musi się powtórzyć, ponieważ któreś z dwojga umrze pierwsze. Pożądanie nie wygasa z chwilą zgonu; jednym ze sposobów uniknięcia upadku w nekrofiliczne dno człowieczeństwa jest nie dopuścić, aby namiętność dotrwała aż do śmierci. Tak więc psujemy związek i przerywamy go, albo wygaszamy pożądanie w imię estetycznej perfekcji, albo przyspieszamy śmierć własną. Z drugiej strony, jak w wypadku dziecka na pogrzebie, kompensujemy faktyczny brak wzajemności. Pozwalamy sobie na narcyzm już bez zahamowań.

Moja twarz wygląda jakby pocałował ją ktoś zmarły
I stąd na niej spokój i uśmiech
Pocałunki żywych całuję niepokojem
Moja twarz wygląda jakby pocałował ją ktoś zmarły
I stąd na niej spokój i uśmiech
Pocałunki żywych całuję niepokojem
Uśmiechy żywych uśmiech wewnętrzny przekreślają
Jestem jak muzyka która nie chce być słuchana
I która chce stanowić jedność z milczeniem

– wyznaje Styczeń w Białej narzeczonej.

Projekcję samobójstwa bądź też miłosnego śmiertelnego wycieńczenia wielu ludzi obiera jako dowód głębi psychiki. Pchają do tego nasze wielkie kulturowe struktury skojarzeń. Denis de Rougemont odsłonił w romansie rycerskim ukrywaną pod retoryką absolutnego uwielbienia trwogę na myśl o kochaniu. Kluczem była dlań noc, jaką Tristan spędził z Izoldą, odgradzoną odeń mieczem. Miecz był nagi, nie ona. Dzięki temu Izolda wraca do męża jako „niewinna” i może od początku walczyć o połączenie z ukochanym, a kulminacją ich namiętnej rozłąki będzie niespełnione małżeństwo Tristana z jej imienniczką, drugim ja. Śmierć więc przywracająca niewinność czy zmazująca grzech, śmierć-odkupienie, zawraca łukiem przez sentymentalne pola ku dziewictwu jako gwarancji tego, co erotycznie „naprawdę silne”. Jest konsumpcyjna i urynkowiona *à rebours*. Zresztą, niegasnące przywiązanie wyrażają tylko rekwizyty – ale, jak filizanka kawy niesiona komuś, kto właśnie umarł, nie są symbolami, gdyż poza rzeczą należącą do zmarłej osoby nie pojawia się żaden inny rodzaj więzi.

Realistyczne nuty erotyki u Stycznia są banalne lub odrażające, mała jest bowiem lampka liryzmu w tych ciemnościach. I ma kopcący knot. „Wielkie” figury? Styczeń przed prawdą się cofa. Manipuluje, mami, jak w wierszu *Zima*, kiedy zapewnia, że

Ujawnię się jeszcze bardziej:
Wypowiem swój chaos głośno
I jako dzwon chaotyczny
Nie przestraszę się żadnej swojej
Demonstracji.

Owszem, wystraszy się, zaprze. Dorzucmy tedy jeszcze inną stronę zagadnienia – samą mianowicie erotyczność tego, że poeta spisuje swoje intymne fantazje, że za pomocą wierszy chce zawładnąć akolitami. Przywołam słowa Quignarda z *Seksu i trwogi*: autor jest panem. „Lektura kojarzy się z pasywnością. Czytelnik staje się niewolnikiem.

Pisanie podnieca. Czytanie czyni uległym. Każdy mężczyzna i każda kobieta stają się pasywni, gdy rozkosz zaczyna nad nimi władanie. Kobieta rozkłada ramiona w geście oznaczającym pasywność pierwotną”.

Owszem, chodzi o manipulację całej sztuki Zachodu, nabytą w tym wypadku jako gotowy produkt z załączoną instrukcją obsługi. W komentarzu do *Miłości w kulturze Zachodu* Marcin Nowak uogólnia z retorycznym znakiem zapytania: czy wielkimi figurami oddania bez granic

dziś posługujemy się jedynie ze względu na nasze przyzwyczajenia fabularne, traktując je niczym martwy język konwencjonalnie używany do mówienia o miłości? Estetyką współczesnej kultury jest przecież pastisz, który jest podrabianiem określonego stylu, mówieniem głosami z muzeum wyobraźni.

Więc może spróbujmy potraktować dosłownie to, co Styczeń mówi w *Orszaku zimnych duchów*:

To co wam zdradzam ciągle nie jest wierszem
I zdradzam wam to dlatego że nie może być wierszem.



Jacek Samotus, *prof. Wojciech Pukocz*, 2017 (czyt. s. 308)

Nicowanie

„Jak wiadomo, uczucia narodowe płodzą nieustannie stereotypy. Nic więc dziwnego, że Mroźek zaczął je wcześniej nicować i wyszydzać”. To wyjątek z tekstu z Jana Błońskiego¹, którym to cytatem posłużył się *Wielki słownik języka polskiego* PAN, by dać przykład prawidłowego użycia słowa nicować. Szczęśliwie jesteśmy tu blisko znaczenia, w jakim Andrzej Szulczyński użył tego określenia w tytule swojej ostatniej książki². Co prawda starsze słowniki posługiwały się wyjaśnieniem z dziedziny krawiectwa (chodziło o przerabianie ubrań poprzez odwracania tkaniny na lewą stronę), ale bywały i ciekawsze tłumaczenia, jak chociażby to, które podaje nieoceniony *Słownik języka polskiego* pod redakcją Witolda Doroszewskiego. Tu pozwolę sobie na dwa cytaty.

„Roztrzasać, rozpatrywać co drobiazgowo, podkreślając wady; krytykować kogo lub co”.
„Przekręcać, przerabiać, przeinaczać; fałszować”.

W gruncie rzeczy właśnie te dwa określenia odnoszą się wprost do treści pracy Szulczyńskiego, który z jednej strony przeciwstawia fakty fałszywym mitom naszej historii, a z drugiej pokazuje, jak owe przekłamane mity funkcjonują.

Choć autor *Nicowania...* analizuje cały szereg wydarzeń z ostatniego tysiąclecia naszej historii, pozwolę sobie zatrzymać się na kilku zalewie zagadnieniach, które były dla mnie albo odkryciem czy wręcz zaskoczeniem, albo – w wielu wypadkach – potwierdzeniem moich własnych wniosków ze studiowania historii.

Zacznę od środka. Okres wojen napoleońskich nie znajdował się w szczególnym obszarze moich zainteresowań, nawet uwzględniając wieloletnią pracę nad literacką kontynuacją dzieła Jana Potockiego *Rękopis znaleziony w Saragossie*³, ponieważ w mojej książce tylko epizodycznie akcja przenosi się do tego czasu. Natomiast fakt, iż mój przodek – stryj mojego praprapradziada, podporucznik Ignacy Rudowski, zginął w pamiętnej szarży pod Somosierrą, wydaje się wystarczającym powodem, by zwrócić uwagę na tę kampanię.

Jak pisze Szulczyński, „Somossiera [...] jest symbolem szaleńczej, czy straceńczej szarży polskich kawalerzystów”. Kojarzy się nam – głównie poprzez przekazy literackie, ale i filmowe – z beznadziejnym atakiem na pozycje Hiszpanów, okupionym nieproporcjonalną do efektów daniną krwi naszych rodaków. W gruncie rzeczy życie straciło dwudziestu czterech (inne źródła podają liczbę dwudziestu dwóch) z ogólnej liczby dwustu

1 Jan Błoński, *Wszystkie sztuki Sławomira Mroźka*, Kraków 1995.

2 Andrzej Szulczyński, *Nicowanie historii, czyli polskie mity, legendy i stereotypy*, Warszawa 2021.

3 Krzysztof Rudowski, *Rękopis zapodziały w Saragossie*, Poznań 2009.

atakujących. Efekt, otwarcie drogi na Madryt wojskom napoleońskim, był nieoceniony.

Na tle bitew ówczesnej epoki (Austerlitz czy Borodino) to straty zadziwiająco niskie (nawet biorąc pod uwagę najmniej korzystne liczby podawane przez historyków). Mit jednak pozostał i dopiero – przynajmniej w moim przypadku – sięgnięcie po *Nicowanie historii*, a następnie po świetne opracowanie Ewy M. Ziółtek⁴, przywróciło w mojej świadomości rzeczyste proporcje.

Niezwykle ciekawy jest rozdział książki zatytułowany *Królestwo Polskie i powstanie listopadowe*. Autor drobiazgowo przedstawia polską kwestię na kongresie wiedeńskim i rolę cara Aleksandra I w dążeniu do utworzenia Królestwa Polskiego. Zdumiewająca i przecząca wszelkim stereotypom na ten temat jest przytoczona wypowiedź Romanowa, w której imperator twierdzi, iż „poczucie moralności, honor oraz wszystkie zasady sprawiedliwości i prawości każą mu wykorzystać całą swą władzę dla przywrócenia Polsce takiego bytu, który zapewniłby szczęście temu szlachetnemu narodowi”. I wcale, jak się okazuje, nie były to słowa puste, gdyż car po przybyciu do Paryża i abdykacji Napoleona odwiedza Tadeusza Kościuszkę, który podczas spotkania wręcz namawia go do ogłoszenia wolnego Królestwa Polskiego z konstytucją wzorowaną na angielskim systemie rządów. Nie dość na tym, bo oferuje swoją pomoc w realizacji tego przedsięwzięcia. Daje nawet tysiąc złotych na wzniesienie w Warszawie bramy triumfalnej na cześć Aleksandra I!

Królestwo proklamowane jest 20 czerwca 1815 roku, a w listopadzie nadano mu konstytucję – drukowaną po polsku i po francusku – która była zdecydowanie bardziej liberalnym dokumentem niż konstytucja Księstwa Warszawskiego. Nie zapomniano zadbać w niej o pewien rys zachowawczości, związany z naszą narodową tradycją. Świadczy o tym choćby jej XI artykuł, który zapewnia religii rzymskokatolickiej „szczególną opiekę rządu”.

19 października 1816 roku car funduje Uniwersytet Warszawski, a słynne Gimnazjum Krzemienieckie przeżywa w tym czasie rozkwit, co w szczególności opisuje Ryszard Przybylski w swojej genialnej, a mało znanej pracy⁵.

Tymczasem Szulczyński stawia kontrowersyjną tezę, z którą z wielu względów trudno się zgodzić, choć nie sposób pominąć przytoczonych przez niego argumentów. Sugeruje mianowicie, że zaostrzenie polityki Rosji wobec Królestwa Polskiego nie było wynikiem realizacji planu marginalizacji czy nawet wcielenia Polski w strukturę imperium, ale reakcją na to, iż „w kraju narastały nastroje i tendencje sfer reakcyjnych [...]. Doszło do prawdziwej ofensywy [...] obskurantyzmu”. Jako stałą siłę destrukcyjną wymienia polskich biskupów, a następnie patriotyczne organizacje stawiające sobie za cel uzyskanie pełnej niepodległości. Dzieje się to w czasach niebywałego rozkwitu gospodarczego ziem królestwa i zakrojonych na wielką skalę inwestycji, takich jak drogi, kanały, huty i kopalnie.

4 Ewa M. Ziółtek, *Somossiera – prawda i legenda*, „Roczniki Humanistyczne” 1996, t. 44, z. 2.

5 Ryszard Przybylski, *Krzemieniec. Opowieść o rozsądku zwyciężonych*, Warszawa 2003.

Z pewnością trudno dzisiaj dociec, czy powstanie listopadowe było ukoronowaniem irracjonalnych tendencji odśrodkowych, czy – jak się tego uczymy w szkole – narastających represji. To wciąż materiał badawczy dla historyków, choć w dobie brutalnej agresji Rosji przeciwko Ukrainie trudno się spodziewać udowodnienia przychylności (przed dwustu laty) carskiej Rosji w stosunku do Polski. Również biorąc pod uwagę argument Szulczyńskiego dotyczący Finlandii, która utrzymała autonomię, w podobnym statusie jak w przypadku Królestwa Polskiego, aż do końca caratu. Trudno bowiem porównywać specyfikę dwóch diametralnie odmiennych krajów. Niemniej warto pamiętać o tym, że to właśnie w Finlandii powstał w roku 1906 parlament (Eduskunta), który jako pierwszy w świecie włączył posłów-kobiety. Wisienką na torcie zaś jest, iż wprowadzona w roku 1860 waluta dotrwała aż do wymiany na euro. Rzecz jasna, nie wymazuje to bestialskiej wojny zimowej.

Wyjątkowo obszerny jest fragment mówiący o początkach państwa polskiego. Według mnie absolutnie zgodny z dzisiejszym stanem nauki, choć stojący w zdecydowanej kontrze do powtarzanych w podręcznikach szkolnych półprawd tworzonych niegdyś na podstawie fragmentarycznych danych, a przede wszystkim konstruowanych na rzecz chwilowej potrzeby polityki historycznej. Od kilku lat są dostępne, opublikowane w obszernym nakładzie, prace profesora Jerzego Strzelczyka⁶, oparte w dużym stopniu na nieznanymi lub bardzo mało znanych wcześniej tekstach kronikarzy niemieckich (nie od rzeczy jest przypuszczenie, że kroniki te były niegdyś celowo pomijane). Zagrożenie potęgą militarną Słowian połabskich dla formującego się właśnie Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego uznaje się w nich za wystarczający powód do zawarcia sojuszu z dynamicznie rozwijającym się państwem Mieszka I. W świetle nobilitującego porozumienia z okrytym chwałą pogromcą Węgrów, Ottonem I, wydaje się więc absurdalne przyjmowanie chrześcijaństwa za pośrednictwem Królestwa Czech, jakoby z niechęci do niemieckiej potęgi. Dowodzą tego również fakty, które podaje Szulczyński, a mianowicie to, że „Czechy w roku 966 nie posiadały swojego biskupstwa [...]. Zatem nawet jeśli aktu chrztu dokonał duchowny z Czech, to jego formalne umocowanie w prawie kościelnym opierało się na diecezji niemieckiej [...], a zatem chrzest Mieszka dokonał się za pośrednictwem Kościoła Niemieckiego i za zgodą (przychylnego) cesarza. [...] Dodać też należy, że ówczesny cesarz Otton I Wielki uważał Mieszka – o czym wspomnieliśmy wcześniej – za sojusznika (ten nazwany nawet został jego przyjacielem)”. Na koniec już tylko moja dygresja: co takiego stanęło na przeszkodzie, że Polska nie weszła w skład cesarstwa, które przetrwało przecież prawie tysiąc lat? Cesarstwo wzmocnione taką potęgą – opowiadającą się bezwzględnie za papieżem – byłoby przeciwnikiem nie do pokonania w burzliwym okresie wojen religijnych, a w szczególności podczas wojny trzydziestoletniej, gdyby ta w ogóle wybuchła.

6 Jerzy Strzelczyk: *Bohaterowie Słowian Połabskich*, Poznań 2017; *Otton I Wielki*, Poznań 2018.

Swoją uwagę poświęciłem jeszcze jednemu rozdziałowi *Nicowania historii*, a mianowicie powstaniu warszawskiemu, co winny z pewnością byłem mojemu ojcu, uczestnikowi tego zbrojnego wystąpienia. Oczywiście trudno polemizować z zimną arytmetyką, a zatem statystykami poległych, tak powstańców, jak i (o zgrozo, w nieporównywalnie większej liczbie) mieszkańców Warszawy. Nie sposób także nie ocenić negatywnie (przynajmniej z naszej perspektywy, ze współczesną wiedzą historyczną) decyzji o wszczęciu powstania. Również jego rezultat – zgodnie z sekwencjami z cytowanej pracy Jana Mieczysława Ciechanowskiego⁷ – „był wszelako taki, że powstanie ułatwiło komunistom przejście władzy w Polsce”. Autor dzieli się jeszcze informacją (którą cytuję, choć nie mam pewności, czy pochodzi z wiarygodnych źródeł), iż „generał Sosnkowski, wysyłając Leopolda Okulickiego do Warszawy, zlecił mu tylko jedno: nie dopuścić do wybuchu powstania”. Tu następuje cytat z (mało wiarygodnej; przynajmniej dla mnie) pracy Piotra Zychowicza⁸, iż Okulicki przekonywał oficerów w Komendzie Głównej, że powstanie jest konieczne, a „do celu dążył z olbrzymią determinacją, nie wahając się przed szantażem, terrorem psychicznym i kłamstwem”. Oczywiście mnie, osobie, która nie może na powstanie patrzeć obiektywnie, posiłkowanie się jedynie wspomnianymi statystykami i ujawnionymi po latach intrygami politycznymi – nie wystarcza. Pozostaje bowiem **idea powstania**, a zatem przeciwstawienie się przeważającej sile (inaczej nie mówilibyśmy o powstaniu, lecz o wojnie), które jest reakcją na krzywdę, potrzebą odwetu czy – rzecz upraszczając – najprostszą formą zemsty.

W *Nicowaniu historii* znajdziemy relacje o innych powstaniach – styczniowym, listopadowym i o insurekcji kościuszkowskiej – jednoznacznie kontrastujące z funkcjonującymi mitami, a zgodne z dzisiejszym stanem wiedzy historycznej. Natrafimy na kapitalną sekwencję o husarii (tu warto odesłać czytelnika do obszernej pracy na ten temat autorstwa Szulczyńskiego i Ciechowskiego⁹), świetnie opracowany „prawdziwy obraz” Rzeczypospolitej Obojga Narodów oraz odbrązowiony mit Konstytucji 3 maja.

Na każdej z niespełna trzystu stron pracy Szulczyńskiego znajdziemy przynajmniej kilka powodów, by studiować historię, a w rezultacie oczyścić naszą wiedzę z przekłamań, jakie przez lata nawarstwiły się, zaciemniając prawdziwy obraz wydarzeń; z mitów, których podtrzymywanie bywało i nadal jest wygodne dla bieżącej polityki (a w rezultacie działa destrukcyjnie i utrudnia patrzenie w przyszłość); z oszczerstw, które są bezkrytycznie powtarzane, dyskredytując to, co w rzeczywistości było jasnym światłem naszej przeszłości. Nie ma bowiem nic zdrowszego niż prawda.

7 Jan Mieczysław Ciechanowski, *Powstanie Warszawskie. Zarys podłoża politycznego i dyplomatycznego*, Londyn 1971.

8 Piotr Zychowicz, *Obłęd '44*, Poznań 2013.

9 Jerzy Cichowski, Andrzej Szulczyński, *Husaria*, Warszawa 1977.

KRAINA PE

Nie ma tu nikogo, tylko wiadra, stoły, różne narzędzia. Ludzie jakby wyjechali na inną planetę, zwłaszcza w samym języku zmyli się. Pozostały gesty. Zostałem sam. Gadam z przedmiotami i z samym sobą. Bez krzesłek ani rusz. Krzesłkowo musi być, bo tak naprawdę one tu rządzą, kto i gdzie ma siedzieć, te czwórki do dołu nogami odwrócone. Kto by pomyślał – na czwórce, na tej cyferce świat stoi, a raczej siedzi i kołysze się, buja, niczego nie licząc? Czwórka trzeszczy, ostrzega, może coś liczy jednak? Ale samo bujanie się jest piękne. Nagle łubudu! na ziemię i świat leży jak ścięty. Gnaty bołą.

W taczce kościoły się przeglądają, nagie kobiety i różni święci, zwłaszcza wtedy gdy taczka stoi w pionie z rękojeściami wystrzelonymi w górę jak gotycki kościół. Zlewające się zacieki po wapnie, cemencie i rdzy są przejawami zmieniającej się cywilizacji, z niezastąpionym oczywiście motywem różnych à la falbanek. Trudno nie myśleć, gdy patrzysz na taki wehikuł czasu, o przyszłych wakacjach na Majorce czy w innych wyegzaltowanych miejscach, w których włożą nam niepostrzeżenie kolorowe piórka do dupki. A te z kolei natchną nas do wypisania potężnej widokówki z ryczącymi palmami, by wysłać je z przekąsem do rodzinki i znajomych.

To wbrew pozorom dzieje się bardzo blisko siebie. W łopacie stojącej obok wielka łapa przemawia, co należy wykopać, co przekopać, co przerzucić na inne miejsce. Wyślizgane stylisko z bukowego drewna i stalowa, pordzewiała łycha nie są zakończeniem jej języka. Łopata przemawia, wystarczy spojrzeć i usta się same zamykają jak w czasie kazania. Kazanie łopaty wciąż trwa – stąd problemat niektórych doktorantów na różnych płaszczyznach pracy.

Jedna z nich, skacząca jak żaba, mówi: Przedmiot To Świadek Koronny. Tylko on naprawdę istnieje, to jedyna prawda. Reszta codziennie to samo, mało ważne, banalne, pospolite, oczywiste, małowówne i trywialne jak przepompowywanie szamba *ćwierźycie*. Tylko w przedmiotach można się przejrzeć jak w lustrze i poprawić fryzurę. I tylko o nie się walczy.

Inną perspektywę otwiera hierarchiczna sylweta drabiny opartej o ścianę szopy. Kolejna leżąca na ziemi przestrzega raczej przed jakimkolwiek wspinaniem się. Ta stojąca wyraźnie zaprasza. Wchodź – mówi – wchodź, coraz wyżej. Wchodź, bo tylko wchodzenie istnieje. Z drabiną nie ma żartów, ale to ona podnosi

poziom wykształcenia i świadomości każdego grajdołka. Na dowód tej tezy na najwyższym szczeblu usiadł właśnie ptak, potwierdzając niepodważalną rolę i majestat drabiny.

Odkręcić tego nie można w małej wiosce, gdzie nic się nie dzieje i tylko przedmioty budują scenę, na której Hamlet jest pługiem ornym, gotowym do boju, a Ofelia konewką pomocną, z grecka rzecz biorąc, lecz nie tylko lilie tu rosną. To paradygmat zatwierdzony przez sołtysa i proboszcza. Jest on niezmienny. Ale paradygmat ten topnieje w wielkich miastach, gdzie ważne jest z kim, o czym i za ile, a nie przedmiot, zwłaszcza jako ogólna, uniwersalna szminka. Co do przedmiotu tak zwanego ubożego, to raczej pogardza się nim tutaj. Nikt nie zna Tadeusza K. i jego *Umarłej klasy*, raczej tylko *Naszą klasę* znają i uprawiają niezmordowanie. Pozostał on tylko w tej nieznannej wiosce Sztuka, zamieszkał w niej dla koneserów i basta. Jedynie przepływ energii mieszka w wielkich miastach, a przedmioty, jak rzekłem, są jedynie szminką i bibelotem.

Powracam na wieś, do butelki w kącie zielonej, po dawnej oranżadzie z lat siedemdziesiątych. Wysmukła, o wyraźnych biodrach i fryzurze hardrockowej sepleni, bo jej robak wlaźł do gardła. Wstrząs mnie przeszył jak karmiczne przejście przez bramę śmierci. Piękna jest zieleń Veronesa. Ta zielona panienka ze szkła pod krzakami daje do myślenia – dlaczego Niagara tak wciąga jak kobieta? Butelka rządzi światem. Butelka to ukryty ogień świata.

Pozostały jeszcze grabie patrzące się na mnie, jakby chciały mnie zagrabić, wykrzesać coś ze mnie. Pazury mają styrane i powyginane, bez żadnego manicure. Pazerne stworzenie, nie da się ukryć. Nie wiadomo, jakiej to jest płci? Gapi się to na ciebie, jakby całym Sejmem rządziło i wiedziało, co zatwierdzić, a co nie. Odpryski zielonej farby na tym drapieżnym obliczu to smaczny kąsek dla mediów. Nie wiem, czy kogoś wołać z lokalnej gazety czy nie? Rozdmuchają to. Będą węszyć, włączyć do lodówki i pod łóżko, zadawać jakieś ciemne pytania. Wypiją zupę. Nocne ścierania się poglądów – pewnie tak bym to wytłumaczył, tę ich, jej, jego pogiętą gębę z wytrzeszczonymi zębami.

Zawieszony na gwoździu zardzewiały sierp wschodzi na niebie ściany drewnianej. Niech świeci bohaterom tego opowiadania, budującym naszą wielką historię, a jakże. Podmiot bez Przedmiotu ani rusz, cały czas się walą między sobą. To przedmiociarów szemranych *ex cathedra* przesłanie zza poprzewracanych skrzynek – że jutro wejdą w układy z moją podejrzaną ręką – brzmi jak dobry kryminał, w czasie którego bardzo mi smakują rodzynki w czekoladzie.

wrzesień 2015

ZAWIAS

Uciekając przed zwykłą wegetacją, uczepliłem się jak tonący brzytwy prostego zawiasu, znalezionego w piwnicy, zardzewiałego trochę i kiedyś używanego. Nie wiem, do czego służył. Kwadrat przełamany na dwie ruchome części, zawias, który może coś otworzyć i coś zamknąć. Ale wolę ten zawias niż zatrważającą nudę mojej wegetacji, która mnie czasem dopada, zawias przeciw czemuś. Zawias ten zadziałał w pełni, choć do niczego przyczepiony, zadziałał na innych zasadach, jemu jedynie znanych.

Dzisiaj tyle rzeczy widziałem, co mnie w ogóle nie poruszyło, na ulicy, w prasie, w telewizji, w radiu. Nagle ten zawias jakby upomniał się o mnie, bym go uzupełnił sobą, by mógł jak dawniej działać, coś zamykać i otwierać, lub coś zginać i prostować, podnosić lub opuszczać, w każdym razie służyć czemuś, żyć.

Zawias nocnej spowiedzi podczas deszczu i ciemności trochę musi skrzypieć. Razem z deszczem jednoczą się w skrzypieniu. Widać, że dawno go nikt nie smarował, ale to nie jest aż tak męczące. Ważne że poruszył prawdziwy język mojej egzystencji. Zawias ludzkiego ducha jest niepowtarzalnych wymiarów, wymiarów nieskończoności. Poprzez różne kombinacje rozmaitych triad może wnikać w opisy rzeczywistości i jej budowę. Jest już po północy, zasypiam.

Obudziłem się około czwartej rano. Zawias na mnie czekał, z otwartymi dziurkami po wkrętach, przez które można spojrzeć jak przez soczewkę. W sumie nie chodzi o zawias, tylko o to, na co on mnie otwiera. I czy to jest świadomość świadomości, głębia ducha, głębia nicości, dotyk bożej lub diabelskiej opatrności, to i tak muszę się utrzymać na fali, by jakiś sens mi jeszcze przyświecał w moich twórczych poczynaniach.

Pejzaż duchowy tutejszego środowiska, poza nikłymi wyjątkami, jest koszmarny, koszmarny dla mnie, ponieważ nie zawsze bywam, rzadko bywam, doświadczony miernością rozrywki dla mas. Dochodzą mnie echa różnych wydarzeń. Te echa mi mówią, że to już było w sztuce, że ktoś też się męczy jak ja, albo że jest to za mało porywające, by ruszyć głaz mojego ciężkiego „ja”. Najłatwiej narzekać na innych. Inni to druga połówka zawiasu mojego „ja”. To nie znaczy jednak, że mam być tym udo-bruchany, uspokojony tą drugą połówką, tą często krzątanicą wystraszonych gospodarstw z zaciśniętymi pięściami umysłu.

Patrzę za okno, raj lipcowej przyrody. Na sznurku klamerki jak kolorowe ptaki, otwierają bramę wyobraźni, ale nie chce mi się śpiewać z rana o praniu przyszłości. Świta coraz bardziej, poniedziałek. Pomału zaczynają trzeszczeć zawiasy budzącego się dnia.



Tomasz Pietrek, *Suffering face*, 2007 (czyt. s. 308)

Dziennik (fragmenty)

Często przychodzą do mnie zwierzęta nocy. Skradają się pod oknami, chowają pod podłogą. Staram się ich nie zauważać, ale słyszę niespodziewanie ich gwałtowny lot, ruch błoniastych skrzydeł. Na szczęście nie są zbyt wielkie i mogę się łatwo przed nimi obronić. Mam do tego celu sporo trujących płynów i elektryczne pułapki, które zastawiam na nie wieczorami, zanim pójde spać zmęczony walką z niewidzialnym wrogiem. Rano spotykam w wielu miejscach ich nieruchome odwłoki, które muszę pozamiatać, zanim ktoś je zauważy. Zwierzęta dnia przychodzą o wiele rzadziej. Piesek sąsiada z przeciwka, sroka zaglądnąca przez okno w kuchni, czarny kot, który zawsze przebiega mi drogę, jak wracam do domu. Jestem pomiędzy nimi, ponieważ jestem człowiekiem cienia. Ukrywam się przed sąsiadami, nie chcę z nimi rozmawiać o rosnących cenach i o kolejnych śmierciach w sąsiedztwie. Z cieniem jest mi do twarzy. Dzięki niemu pewnego dnia zniknę i nikt nie zauważy mojego nieistnienia. Zwierzęta nocy będą wtedy blisko mnie. Może przyjdzie też czarny kot, bo na pieska z sąsiedztwa raczej nie mogę liczyć. W sferze cienia mógłby się zagubić i nie mógłby wtedy wrócić do swojego pana, który nieodmiennie o piątej rano podlewa poranne rośliny. Przyglądam się im uważnie. Jest susza. Mój cień też jest też coraz bardziej suchy. Walczy o zaistnienie pomimo słońca znajdującego się prawie pionowo nad naszymi głowami.

Coraz trudniej jest mi wracać do siebie, czyli do „Dziennika”. Jestem w nim i nie jestem, piszę i zapominam o potrzebie codziennego pisania. Zamykam ten tekst na klucz i jednocześnie chciałbym, aby był otwarty i powszechnie dostępny. Kryzys tenisty w piątym secie, mój po blisko sześciu latach pisania. Stoję pod ścianą, nałożyłem biały kapelusz, robię sobie zdjęcie, mówię 142 604 słowa, 949 555 znaków. Nieustanny atak ludzi, którzy piszą do mnie listy w internecie. Udaję, że mnie nie ma, chowam się za lasami i borami, uciekam pod wodę, której jest podobno coraz mniej. Od rana czyszczę szklane naczynie wypełnione pustką, rozmawiam z duchami, ograniczam zbyt wybujałą wyobraźnię, opowiadam nieznanym o nowym „Formacie Literackim” poświęconym Apokalipsie. Apokalipsa to odkrycie i zasłonięcie jednocześnie. Musimy się z tym pogodzić. W nocy burze zabiły kilka osób. Poszukuję chłodu i kolejnych słów, które przychodzą do mnie dzisiaj niezbyt chętnie, ociągając się jak Nuszi, kiedy nie chciał iść na spacer, bo padał deszcz albo było dla niej zbyt zimno. Moje rany są w coraz lepszym

stanie, zasklepiają się i mogą już pójść do stadionu i jeszcze dalej, ale nie ma mojego pieska, a jego smycz gdzieś się przez te ostatnie lata zapodziała. Czytam o rękopisie, który też gdzieś się zapodział i nie można go już odnaleźć. To dobra proza, mówię, odpowiadam na listy, patrzę, jak puste dotąd szklane naczynie wypełnia się mgłą i dymem. Kolejna historia dopełnia się w moich załzawionych oczach. 142 779 słów, 950 663 znaki.

Stłukłem dzisiaj rano kolejny kryształowy kieliszek przypominający te z filmu Wenera Herzoga. Jeden z filmów, które po latach dobrze się pamięta, inne zapomina na drugi dzień. Muszę go odkupić, podobnie jak pozostałe rzeczy, których już nie ma. Z pewnością nie wszystko się uda, ale powinienem próbować, aby zawsze mieć blisko siebie przedmioty z czasów, kiedy byliśmy szczęśliwi. To będzie moja/nasza prywatna kolekcja złożona z pamiątek z wakacji i starych fotografii, zgubionych nieostrożnie kluczy i książek, których już dzisiaj nikt nie czyta. Powstanie z tego spory stos, który tuż przed śmiercią podpale, i spłonę razem z nim unoszony przez wiatr w stronę nieznanego nieba. Rozprysnięte na podłodze szkło musiałem pozamiatać i wyrzucić, aby nikt się o tym nie dowiedział, a przede wszystkim, żebyś ty tego nie zauważyła, ponieważ to był twój kieliszek, kupiony okazji razem z pięcioma innymi na targu w Miliczu. Teraz już takich nie ma, mówiłaś, a jak są, to bardzo drogie. Serce zatopione w kryształach, purpura i biel przenikające się wzajemnie w głębi szkła jak krew i krystaliczna woda. Na drugi raz musisz uważać / na drugi raz będę uważał. Szkło kryształowe jest takie kruche i łatwo jest je zniszczyć, podczas gdy mój całopalny stos powinien być doskonały i skończony, bez przypadkowych i zniszczonych przez czas i ludzi rzeczy. Inaczej nie dostanę się do nieznanego nieba i zostanę tutaj na zawsze, fragmentaryczny i niepewny swojego istnienia, jak ten lipcowy poranek tuż przed wschodem słońca.

Proza życia, życie lubi prozę. Piękę filet z piersi gęsi ze skórą marynowany, wyprodukowany przez firmę o nazwie „Kraina Kraka”. Pewnie firma z Krakowa, mieszcząca się niedaleko Smoczej Jamy i Kopca Krakusa. Ciekawe, czy właściciel firmy słyszał o Stanisławie Szukalskim i jego Szczepie Rogate Serce i o pisemku o wdzięcznej nazwie „Atak Kraka”? Dlaczego jednak produkuje filety z piersi gęsi? Może powinien zająć się baraniną albo produkcją smoły? Przez rok mieszkaliśmy na ulicy Wandy, boczna Krakusa, i był to ostatni rok Gierkowskiego PRL-u. W wynajętym mieszkaniu był kaflowy piec, który nie działał, i duży balkon z widokiem na Wandy. Okolica to tak zwany „kołchoz”, zamieszkały wówczas głównie przez wojskowych i ich rodziny. Nie przypominam sobie, żebyśmy wtedy jedli marynowane filety z gęsi, ale nie było tak źle i w pobliskim sklepie można było jeszcze długo kupić kiełbasę „Służewiecką” i papierosy „Marlboro”. Żegnaliśmy się z nimi później, tak jak żegna się z piękną epoką młodych, nieświadomych swej młodości lat. Filet jest całkiem niezły, do tego młode ziemniaczki i ogóreczek

małosolny. Proza życia ujawnia swoje uroki. Nie lubi poezji, żywi się mięsem, suchym chlebem i czasami filedami z gęsi. Patrzy na rzeźby Szukalskiego i szczęśliwie nic z nich nie rozumie. Później odbija jej się długo i namiętnie. Polska gęś bywa tłusta i dobrze jest ją zapić polską wódką. Poezja w tym czasie podgląda Wandę, jak wpada do prapolskiej Wisły. Zapala ostatniego w swoim życiu papierosa Marlboro, woli go od prozaicznych „Sportów” i „Klubowych”. Myśli o piecu, który nie działał, o tamtym domu zbudowanym na dymie z ponemieckiego komina.

W nocy ewidentne zagrożenie. Oddziały ubrane w czarne mundury uzbrojone w karabiny maszynowe. Zabijają wszystkich spotkanych na swojej drodze. Jak zawsze wybór – zostać tu, gdzie jesteśmy, czy uciekać jak najdalej, licząc na los szczęścia i pomoc innych ludzi. To jest już drugi atak. Pierwszy przeżyliśmy schowani w mieszkaniu przypominającym to na Wandy, ale teraz jesteśmy w zupełnie innym, którego nie znam, i wiem jedynie, że niedaleko jest brama, przez którą można przejść w stronę pobliskiego lasu. Przejść albo przejechać. Wsiadamy do starej białej laguny, którą kiedyś miałem, i jedziemy jak najszybciej, żeby stąd uciec, tym bardziej, że ubrani na czarno żołnierze są coraz bliżej. Brama na szczęście jest zawsze otwarta, o czym wiedzą tylko miejscowi i tacy jak my, którzy śnią ucieczkę, a kiedyś mieszkali w jej w pobliżu. Po drodze spotykamy mężczyznę mówiącego nam, abyśmy się nie lękali, ale widzę, że sam jest śmiertelnie przestraszony i tylko stara się to przed nami rozpaczliwie ukryć. Sen mara, Bóg wiara, mówi i ociera pot z pomarszczonego czoła. Laguna nie chce dalej jechać i musimy z niej wyjść na otwartą przestrzeń. Przeczuję, że tam się uratujemy i wydobędziemy z traumatycznej matni. Jesteś ze mną i najwidoczniej zapomniałem, że ciebie nie ma. Moja dusza wraca do ciała, twoja idzie w stronę zielonych łąk i błękitnego morza. Brama zamyka się i wiem, że nikt już przez nią więcej nie przejedzie.

Powinienem pójść do ludzi, albo przynajmniej między ludzi. Zrobić coś z sobą, wyjść na zewnątrz, a nie uparcie siedzieć we własnym wnętrzu. Pomiędzy ludźmi nie jest się samotnym, mówisz, ale przecież sama jesteś tak bardzo samotna. Staram się chodzić pomiędzy nimi, lecz niewiele mi to daje. Odbijam się od nich, ponieważ wydają się być coraz bardziej obcy i zamknięci w swoich cielesnych bańkach. Może gdyby zabrać im ciała i uwolnić dusze, byłoby łatwiej, a tak, coraz silniej odczuwam swoją obcość i niemożność porozumienia. Wolę zwierzęta, ale i one mnie opuściły, a właściwie to ja je opuściłem i idziemy już teraz odległymi od siebie drogami. Powinienem kogoś poznać lub kogoś gwałtownie zapomnieć, pożegnać lub przywitać, udowodnić, że jeszcze żyję. Jest trudniej, niż myślałem. Ciało opuszcza mnie codziennie, zabierając ze sobą kolejny jeden dzień. Dusza nie potrafi się uspokoić, jest jej we mnie za ciasno, a jednocześnie boi się odejść dalej niż na wyciągnięcie ręki. Przyklejam ją do siebie jak kiedyś gumę do

zucia do blatu szkolnej ławki. Nie chce się już niczego uczyć, przypomina spłoszonego ptaka, który szarpie się na uwięzi, machając nadaremnie niewidzialnymi skrzydłami. Ludzie pozbawieni skrzydeł przyglądają się jej uważnie. Liczą, że się wyrwie albo na zawsze uspokoi. Ja też się jej przyglądam, w końcu jest moją urojoną częścią. Macham skrzydłami, odrywam się nieudolnie od ziemi. Uczę na nowo latać.

Według Platona cała wiedza jest próbą przypomnienia sobie „błogosławionego widowiska”, które istoty bytujące w materialnym świecie nieudolnie usiłują naśladować. Według z kolei Philipa K. Dicka jedynie anamneza, czyli „odzyskiwanie pamięci długoterminowej [...]”, które dosłownie oznacza utratę zapomnienia”, jest tym rodzajem pamięci, który „rzeczywiście może odbić boski umysł poza światem [...] powołanym do istnienia”. Moja *anamnesis* nie sięga tak daleko, jednak pisząc „Dniewnik”, staram się nieustannie „utracić zapomnienie”. Czasami się to udaje, przeważnie dłubię w pamięci z pewnym trudem, wydłubując jakieś okruchy i ziarna, tak jakby nie istniała w niej żadna ciągłość ani sekwencja kolejnych zdarzeń rozpisanych na minione kilkadziesiąt lat. „Rozpisanych”, to dobre słowo, pamięć jako nieustanny, mimowolny zapis przypominający taśmy perforowane wypadające na podłogę z dawnych komputerów. Zawsze chodziłem je oglądać przez szybę do dawnego centrum obliczeniowego „Zeto” przy ulicy Ofiar Oświęcimskich, gdzie ubrani w białe kitle naukowcy i operatorzy ogromnych machin dokonywali tajemniczych rytuałów i obrzędów jak kapłani nowej religii, która miała nas wprowadzić prostą drogą do scjentyistycznego nieba. Boski umysł nie był tam potrzebny, najwyżej do sprzątnięcia taśm i wyrzucania ich na śmietnik. Miałem ich skrawki w domu. Patrzyłem przez nie na chmury i ptaki. Powracałem, opuszczając własne ja. Czytałem wiersz Roberta Duncana, według którego „Wielki nakrapiany ptak,/ który wysiaduje w Gnieździe dusz, swoje jajo/ Sen, w którym wszystkie rzeczy żyją”, przypomina nam sam o sobie. Widzę go, jak tnie dziobem białe taśmy na fragmenty, drąży w nich puste miejsca, stara się przeniknąć na drugą stronę.

Od pewnego czasu interesuję się posthumanizmem, ponieważ niedługo stanę się sam obiektem posthumanistycznym, przemienionym w popiół, grzyby i bakterie oraz, być może, w dostojne drzewo, któremu po latach uda się na mnie wyrosnąć. Dlatego dużo czytam o Roślinach, na przykład teksty takie jak ten Ursuli Kroeber Le Guin, która w „Rękopisie na ziarenkach akacji” napisała, że „Możemy tylko snuć domysły, że domniemana Sztuka Roślin jest diametralnie różna od Sztuki Zwierząt [...], jest sztuka niekomunikatywną – i prawdopodobnie niekinetyczną [...]. Kiedy ją odkryjemy, okaże się nie akcją, ale reakcją, nie komunikowaniem się, ale percepcją. Będzie to dokładne przeciwstawienie sztuki, którą znamy”. Od lat piszę coś, co jest reakcją i percepcją w większym stopniu niż akcją, która w literaturze mnie nudzi, i walką z prostym komunikowaniem,

które nudzi mnie jeszcze bardziej. Być może w związku z tym od dawna jestem już Rośliną, ponieważ słabo u mnie z kinetyką, ale za to lubię trwać w jednym miejscu jak omszały Światowid o czterech twarzach i totemicznym uśmiechu. Lubię też seks, który dla autorek postumanistycznych studiów jest niezwykle interesujący, tym bardziej, że wszędzie wietrzą dominację mężczyzny z jego dużym fallusem wystawionym bezwstydnie na zewnątrz, przypominającym orgiastyczne pręciki kwiatów stworzone po to, aby zdominować i upokorzyć delikatne, kwietne kobiece istnienia. Podobno skrzydłokwiat podczas kontaktu z ludźmi wytwarza strumień powietrza, krople deszczu oraz drgania przypominające męski orgazm, dzięki czemu w jego pobliżu kobieta nigdy nie może czuć się bezpiecznie, ale na szczęście i on nie zawsze chce okazywać jej nadmierne względy. Mam go w oranżerii, dotykam niekiedy jego rozchylony upojnie kwiat, drżymy wspólnie i czekamy na wielki deszcz, który musi po latach suszy przyjść. Jesteśmy niekomunikatywni i zajęci sobą. „Bios” łączy się z „Zoe”. Zwierzę z Rośliną, „Dniewnik” z jego Autorem. Na zawsze.

Lato wymyka się mi z rąk. Jedyna pora roku, którą tak naprawdę lubię. Staram się je zatrzymać, odpawiam odpowiednie zaklęcia i rytuały, walczę z pojawiającą się coraz częściej ciemnością, staram zapalić wcześniej rano słońce i zatrzymać ziemię, aby nie odchodziła szybko w stronę cienia. Lato dzisiaj jest pochmurne i zapewne spadnie tak długo wyczekiwany deszcz, dlatego zapraszam gości, aby wspólnie celebrować święto, które jest jednocześnie dniem odpoczynku i opowieścią o naszych dawnych latach, kiedy chodziliśmy do Liceum Ogólnokształcącego numer IX na ulicy Piotra Skargi. Przychodzi kilka osób i zanurzamy się w dymie z zielonych liści i w gorzko-słodkim smaku „Wyborowej”, odnalezionej niespodziewanie w piwnicy tuż obok wódek „Chopin”, „Sobieski” i „Polonez”. Pijemy je w skupieniu, po polsku i patriotycznie. Na szczęście nikt z moich dawnych przyjaciół się nie zmienił, tak jakby minione pięćdziesiąt lat nie potrafiło przemienić niczyjej psychiki, wytrawić danej nam przed laty młodzieńczej matrycy. Porównujemy nasze życiorysy, kariery i braki karier, urodzone i nieurodzone dzieci, domy i możliwą bezdomność. Słuchamy Lluisa Lłacha z Katalonii i Amadou z Mali, mówimy o tych, którzy już umarli. Zapada zmierzch, ale lato na szczęście pozostaje jeszcze z nami. Patrzy w nasze twarze, stara się je zapamiętać, liczy na kieliszek wódki i ogórki małosolne leżące na porcelanowym talerzyku. Gładzi po złotych włosach i zaciąga ożywczym, konopnym dymem. Powraca do moich rąk jak zagubiony ptak i zasypiamy razem ukojeni gorzko-słodkim smakiem odnalezionym niespodziewanie po latach w mojej starej piwnicy.

Nie mam już czym zasypywać tej pustki. Wrzucam słowa, książki, wspomnienia, rzeczy, nawet „Dniewnik” nie potrafi wypełnić jej chociażby w ułamku procentu. Pustka się powiększa, odczuwam to coraz wyraźniej pomimo usiłowań moich córeczek starających

się odsunąć ją ode mnie, przegnać tak, jak kiedyś przeganiało się złe duchy albo przepędzało czarne chmury niosące ze sobą śmierć i zagładę. Nie ma wyraźnego kształtu ani określonej formy i przez to trudno jest ją zobaczyć, bowiem mieści się w sferze intuicyjnych odczuć i fal ciszy płynących z głębi kolejnych dni i nocy. Nie umiem się z nią pogodzić, ani ona nie dąży do pogodzenia ze mną. Coraz bardziej znikam w jej wnętrzu i być może niedługo już w niej pozostanę. Dojdzie wtedy do pojednania, ale nie wiem, kto będzie się jednał z kim lub czym i czy będę wtedy jeszcze odrębną od niej istotą. Stoję nad brzegiem ciemnej rzeki, buduję most, z którego będę mógł zrzucić do wody kamienie i piasek. Może one zapełnią tę pustkę, zbudują tamę, poza którą będę mógł się ukryć i przeczekać złą godzinę. Woda z rzeki sięga jednak coraz wyżej, jest ciężka i jednocześnie pozbawiona ciężaru. Potrafi przewrócić nawet najwyższe tamy.

Thornton Wilder o Gertrudzie Stein: „Powiedziała do mnie pewnego razu: »Każdy kiedy jest młody, ma w sobie nieco geniuszu, to znaczy, że słucha. Potrafi słuchać i mówić jednocześnie. Potem ludzie stają się nieco starsi i wielu z nich ogarnia zmęczenie i słuchają coraz mniej i mniej. Lecz jest zawsze mała garstka, co słuchać nie przestaje. Ale w końcu i oni starzeją się, i oni przestają słuchać. To jest bardzo smutne. Nie mówmy lepiej o tym«. Geniusz słuchający i, powinno się dodać, spostrzegający innych, nie tylko siebie. Raczej bliższy dziecku niż młodości durnej i chmurnej. Od dawna potykam się o ludzi, którzy już nie słuchają i nie widzą, to znaczy nie chcą słuchać i nie chcą widzieć, zamknięci w swoich klatkach jak rak pustelnik, który zawzięcie broni swego terytorium i nie interesuje się zupełnie całym oceanem. Pisząc „Dniownik”, otrzymałem od losu nowe życie, nowy słuch i wzrok, które wyostrzyły się przez ubiegłe lata, prowadząc mnie w stronę tych, którzy słuchać i widzieć nie przestają. Nie ma ich zbyt wielu, ponieważ zbliżamy się do starości, walcząc o jeszcze jeden oddech, jedną chwilę pełnego otwarcia na tych, którzy mówią i słuchają jednocześnie. Taśma z filmem biegnącym w mojej głowie na zwolnionych obrotach, echo słów wypowiedzianych przed laty przez ciebie. Moje milczenie zmieniające się teraz pod palcami na klawiaturze komputera w kolejny fragment będący opowieścią o opowieści. Rozmawiamy po latach z Gertrudą Stein i Thorntonem Wilderem. To nas do czegoś zobowiązuje.

Jadę pod pochmurną kopułą. Jadę pod pochmurną kopułą nieba. Wiem, że za chwilę się od niej odbiję jak dziecinna zabawka na zwijającej się i rozwijającej gumce. Grałiśmy w to kiedyś i przeważnie gra kończyła się bardzo szybko. Podobnie pamiętam szał z hula-hop, kolorowymi obręczami, które nagle wszyscy chcieli mieć i prywatnie budowali na nich swoje prywatne fortuny. Moje zabawki szybko się niszczyły i później nigdy już ich sobie nie kupowałem, a kraina dzieciństwa powróciła dopiero razem z moimi córeczkami. Teraz jadę pod pochmurną kopułą nieba. Boję się, że zaraz

upadnie na samochód i przygniecie mnie do ziemi. Będę wtedy trochę niebiański i trochę ziemski, jak zawsze, kiedy odtwarzam moje obawy i urojenia. W internecie fotografie Wszechświata wykonane przez największy na świecie teleskop. Ktoś zaznaczył na nich Ziemię, jako ulubioną planetę Boga, później Układ Słoneczny i naszą galaktykę też przez niego najwyraźniej preferowane i wybrane spośród miliardów innych światów. Może inni bogowie wybrali sobie inne planety i galaktyki i tam inne istoty modlą się do nich, myśląc o własnej nieśmiertelności i zbawieniu wiecznym? Pochmurna kopuła nieba jest coraz bliżej mnie. Zmienia swój kształt, zamienia się w chmurę, z której za chwilę spadnie deszcz. Ocieram mokrą twarz. Krople zamieniają się w łzy i spadają na ziemię. Upadam razem z nimi i coraz trudniej jest mi się po tym upadku podnieść.

Przenoszę się od blisko sześciu lat do „Dniewnika”. Jest on teraz moim ojcem i matką, a może nawet Ojcem i Matką. Przenoszę do niego bagaże, walizki, książki, osoby, zdarzenia, obsesje, a przede wszystkim przenoszę słowa wypełniające mnie po brzegi, które gdzieś muszą się odnaleźć, kiedy mnie już nie będzie. Przenoszę też do niego Ciebie i wiem, że tam pozostaniesz na zawsze, tak jak moja miłość i ból po twojej śmierci. Nie piszę o „odejściu”, chociaż wszyscy teraz tak określają śmierć, ale ona nie znosi eufemizmów, lubi mówienie wprost, zdania o trwałym brzmieniu i ostatecznym wymiarze. Pamiętam spektakl Pantomimy Tomaszewskiego zatytułowany „Bagaże” i piękną, towarzyszącą mu muzykę. Przeżyłem go głęboko, podobnie jak inne przedstawienia tego najlepszego teatru, jaki dane mi było kiedykolwiek oglądać. Bagaże wypełniały scenę, a później musiały zniknąć, nieuchronnie niszczone przez los i ludzi. „Dniewnik” pęcznieje, zaczyna przypominać ruską matryoszkę, w której kolejne lalki są coraz mniejsze, aż ostatnia znika i jest zupełnie niewidoczna. Rozkładam go i składam, czytam i nie czytam. Ojciec i Matka patrzą na mnie uważnie, nie rozumieją wszystkiego, ponieważ za ich czasów nikt tak nie pisał. Pocięszam ich, że i ja wszystkiego nie rozumiem, ponieważ koincydencje, konotacje, konsonanse, dysonanse, powinowactwa i polifonie nie mogą być do końca zrozumiałe. Duch wieje, dokąd chce, mówi Ojciec. Za to ciało jest mdłe, mówi Matka. Rozmawiamy ze sobą bez słów. One są w „Dniewniku” i dzisiaj więcej w nim zapisanych już nie będzie.

W Miliczu pień drzewa przywieziony znad morza w latach 70. XX wieku. Pień, a właściwie korzeń przypominający głowę konia z rozwianą grzywą. Wypełnił sobą cały bagażnik fiata 1500 i musiałem przez to jechać na tylnym siedzeniu ze wszystkimi tobołami i walizkami. Zawsze myślałem o nim jako o rzeźbie, którą postawię w hallu mojej przyszłej rezydencji nad brzegiem oceanu. Osadzę go na złotym pręcie i będzie świadczył o potędze fal, które wyrzeźbiły go w sposób doskonały i ostateczny. Nigdy nie miałem i nie będę już miał rezydencji nad oceanem. Pozostał mi tylko ten korzeń, który przetrwał

blisko pięćdziesiąt lat i teraz służy do przytrzymywania drzwi, aby nie zamykały się podczas zbyt gwałtownego wiatru. Bardzo go lubię, ustawiam w odpowiednim miejscu, na noc chowam do domu, żeby nie zmókł. Idea morskiego konia jest w nim nadal zaklęta. Rozpisana na wiele wyplukanych w drewnie przez morską wodę elementów, głowa, cień kształtu, który najlepiej jest widoczny podczas słonecznych dni na białej ścianie. Nie ma już moich rodziców i fiata 1500. Sprzedałem go sąsiadowi z dołu za nieduże pieniądze. Sąsiad też już nie żyje. Podobno Bałtyk jest jeszcze na swoim miejscu, ale nie będę tego sprawdzał, ponieważ jeździ tam obecnie zbyt wielu prawdziwych Polaków. Wolę galopować na moim koniu, patrzeć jak toczy morską pianę, myśleć o mojej rezydencji nad odległym oceanem.

„Autobiografia Alicji B. Toklas” Gertrudy Stein. Jedyna w literaturze autobiografia napisana nie przez bohatera/bohaterkę tekstu, ale przez osobę z zewnątrz. Tak jak Daniel Defoe napisał autobiografię Robinsona Crusoe, ale ten ostatni nie istniał, a Alicja B. Toklas była kobietą z krwi i kości i w dodatku, jak twierdziła, córką Polaka z patriotycznej polskiej rodziny, której dziadek zorganizował nawet pułk dla Napoleona i dowodził nim jako pułkownik. Kopalnia informacji z pierwszej ręki o narodzinach nowoczesnego malarstwa, której warto byłoby poświęcić osobną rozprawę i dziesiątki smacznych uwag na temat ludzi, możliwych do wykorzystania w przyszłych inspirujących towarzysko konwersacjach, jak chociażby ta o pewnym Amerykaninie, że jest czarujący i rozsądny latem, ale zimą nie jest już ani czarujący, ani rozsądny. Wypisuję je sobie starannie, staram zapamiętać. Podoba mi się też sformułowanie, że prawdziwy artysta nie potrzebuje uwag krytycznych, ponieważ potrzebne jest mu wyłącznie uznanie. Jeżeli odczuwa potrzebę krytyki, to nie jest artystą. To mój przypadek, który skazał mnie na nieistnienie. Zawsze wiedziałem, że opinia tak zwanych krytyków o tym, co piszę, nie jest mi do niczego potrzebna i dlatego przez lata nie uczestniczyłem w życiu literackim, w którym żyje wielu z nich w sposób nieuprawniony i często niekompetentny. Dużo o warsztacie nowoczesnego pisarza, ze szczególnym wskazaniem na rytm każdego zdania, ponieważ zdanie, aspirując do bycia zdaniem literackim, powinno znacznie różnić się do bycia li tylko słownym paragrafem. Napisała kilkadziesiąt dzieł na zasadzie mojego „Dniewnika”, czyli *nulla dies sine linea*, i stworzyła odrębny świat literatury anglojęzycznej, twierdząc, że wybitny pisarz powinien żyć tylko w jednym języku, za to poznanym absolutnie i jednocześnie na wskroś własnym. Chciała też podarować pewnemu wydawcy kilka przecinków, żeby je sobie powstawił w dowolnym miejscu jej przygotowywanego do druku tekstu, pomyśl, który w swoim czasie również zaproponowałem redaktorowi P. adiustującemu „Jestem jak echo” we wrocławskim wydawnictwie „Warstwy”. „Autobiografia Alicji B. Toklas” podtrzymuje mnie na duchu. Mój duch jest dzięki niej bardziej inteligentny i uparty. To całkiem sporo jak na tak małą książeczkę.

Umarł Wiesiu. Miał na imię Wiesław, ale zawsze mówiliśmy i myśleli o nim „Wiesiu”. Był moim bratem ciotecznym, z którym przez całe lata jeździłem na wakacje do Międzyzdrojów i bawiłem się, i spotykałem w mieszkaniu babci Karoliny przy ulicy Nowowiejskiej. Zastępował mi prawdziwego brata, którego nigdy nie miałem, a którego brak odczuwałem bardzo boleśnie. Był podobny do dziadka Michała, wysoki blondyn przypominający trochę Wikinga z hollywoodzkich filmów. Pływał po morzach i oceanach i pisywał podobno do „Stella Maris” opowiadki o morskich podróżach, ale nasze kontakty zerwały się nagle wiele lat temu i dopiero wczorajszy telefon od jego dalekiej rodziny uświadomił mi, że nigdy się już nie spotkamy. Rok starszy ode mnie, był ukochanym wnuczkiem babci Karoliny, która mnie traktowała jak zło konieczne i dziecko gorszego boga. Musiałem się z tym pogodzić, ale tak bardzo mi, jak sobie to dzisiaj przypominam, na jej uznaniu, nie mówiąc już u miłości, nie zależało. Łączą się z nim same dobre wspomnienia – piękne Międzyzdroje lat 60. XX wieku nieskażone jeszcze nadmierne nowobogacką tłuszcza. Dzika plaża i Kawcza Góra, koncerty w muszli koncertowej, nocne kino i oglądanie kolejnych „Fantomasów”, występy Skaldów i Czerwono-Czarnych, piosenki Piotra Szczepanika, pierwsze w życiu szaszłyki sprzedawane na wagę na promenadzie, podrywanie pańienek obok nieistniejącej już dzisiaj „Polonii” i „Bałtyku”, malutka pani Kowalska i jej mąż, ogromny Poleszuk zawiadujący domem wczasowym „Sorrento”, ciocia Cesia jak ze snu, fundująca nam zawsze krem pistacjowy w kawiarence przy starym molo. Pisałem o tym już w „Jestem jak echo”, ale teraz wszystko wróciło w sposób zwielokrotniony i bolesny, ponieważ jest we mnie i jednocześnie niknie razem ze śmiercią Wiesia. Kolejny fragment wyrwany z żywego ciała cichnie i obumiera. Kronika niezapowiadanych śmierci powiększa się o następny rozdział.

Moje duchowe „ja” płacze się dzisiaj nieprzytomnie, ze względu na kosmiczny upał, po domu i szuka pocieszenia w lekturze pism Gombrowicza i w jego uwagach o literaturze. Piękny fragment o Tadeuszu Peiperze, przez którego poematy nigdy nie zdołałem przebrnąć, przy całym szacunku dla jego pism polemicznych i postawy zacieklego awangardzisty aż do grobowej deski. Gombrowicz pisze o debiucie prozatorskim Peipera „Ma lat 22”, zauważając, że „poezja ma to do siebie, iż bardzo trudno dowiedzieć się z niej czegoś niepoetycznego, tj. zwykłego i konkretnego o człowieku. Zupełnie nie wiadomo, jaki jest, konkretnie biorąc, autor wiersza, zwłaszcza gdy wiersz jest awangardowy. Byłe chłystek napisze wiersz głęboki i wysoki, zgoła jakby był »anteną nastawioną na drgania współczesności«, ale dopiero w prozie wylezie zeń chłystek”. Odwieczny konflikt pomiędzy poezją i prozą zyskuje u Gombrowicza nieco strywalizowany wymiar, jednak niewątpliwie coś tu jest na rzeczy, ponieważ prawdziwi poeci piszą najczęściej słabą prozę – o ile w ogóle ją piszą, a wielu prozaików nie jest w stanie napisać – i jest to przypadek samego Gombrowicza, nawet poprawnego poetycko wiersza. Poeci lepiej sprawdzają

się w dramacie, ponieważ w dobrej poezji zawarty jest ogromny ładunek wewnętrznego i często polemicznego w swej istocie dialogu i, wbrew temu co mówi autor „Ferdydurke”, sporo spraw „niepoetycznych”, mówiących o konkretnym autorze równie wiele, co pisana prozą autobiografia. Jednak dla Gombrowicza miotającego się pomiędzy „mgłami i oparami” poezji młodopolskiej a dziwactwami współczesnej mu poetyckiej awangardy oczywiste było, że poezja tak naprawdę straciła już sens i że przyszłość należy do „jasnego światła prozy”. Zapomniał o prozie poetyckiej i o takich tekstach jak mój „Dniewnik”. Nie tyle zapomniał, co, biedny, nie miał szans ich za życia przeczytać.

Co jakiś czas powinienem zamieszczać w „Dniewniku” fragment, który będzie zamykał całość, już po moim najdłuższym życio-pisaniu. Powinienem go odpowiednio wyczelować i napełnić sporą dawką życiowej i literackiej mądrości. Może przerwać zdanie w połowie? To zawsze dobrze robi i pobudza wyobraźnię czytelnika widzącego w tym momencie autora, którego głowa opadła na karty manuskryptu lub oparła się o ekran komputera. Ktoś musi dopisać kolejne słowa i na pewno nie będzie to już sam pisarz. Wyobrażam sobie ten zapis, jak błyszczący i opalizujący na stronie zamykającej dzieło. Powinienem być przygotowany na wygłoszenie i zapisanie ostatniego zdania, tym bardziej w sytuacji, gdy większość moich przyjaciół i krewnych odeszła już na zawsze, ciebie nie ma, a choroby i epidemie są coraz częstsze po tej stronie słońca. Dobry byłby jakiś *bon mot*, aforyzm lub przypowieść, którą zapamiętają kolejne pokolenia, przesłanie dla ludzkości lub jedynie pożegnanie z bliskimi i zapewnienie ich o trwającej poza grób, a nie tylko dożgonnej, miłości. Miłość bowiem wielka jest i przenika, jak łyż, groby i kamienie. Tym bardziej, że koniec niczego nie wieńczy, raczej unicestwia i zabija: autora, nas, podmiot liryczny, bohaterów, fikcję, fabułę, narrację, świat przedstawiony. Wszystko.

Dwudziestego drugiego lipca tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego roku byłem w Jałcie, na wycieczce zorganizowanej przez biuro turystyczne Almatu, dzięki punktom za pracę społeczną, które wpisał mi po znajomości ówczesny przewodniczący uniwersyteckiego SZSP. Towarzysze radzieccy pełni powagi i namaszczenia od rana pozdrawiali nas „z prazdnikom”, a my nie bardzo wiedzieliśmy, co to jest za święto, ponieważ, pomimo wielu lat PRL-owskiej propagandy, święto to nie utrwaliło się nadmiernie w myślach, słowach i uczynkach Polaków. Dostaliśmy w prezencie papierosy „Sojuz-Apołło” i następnie, przy ogromnym zdziwieniu i dezaprobach naszych opiekunów z ramienia Inturistu i KGB, udali na pobliską kamienistą plażę, nie uczestnicząc dalej w przygotowanych specjalnie dla nas, związanych z narodowym „prazdnikom” uroczystościach. Wywołało to powszechne zdziwienie i zostaliśmy uznani przez Rosjan za osoby niezwykle ważne, które mogą sobie pozwolić na więcej niż przeciętny szary obywatel posłusznie wypełniający zalecenia i wskazania „naczalstwa”. Jałta była latem

tego roku przepiękna, a ja pierwszy raz w życiu leciałem wtedy samolotem i kąpałem się w ciepłym, a nie zimnym morzu. Poznaliśmy dwoje Ukraińców z Kijowa, którzy udawali rodzeństwo i dzięki nim zwiedzili całe pobliskie wybrzeże Krymu, pływając małymi stateczkami do piętrzących się ponad falami dzikich skałek, gdzie nie docierali gubieni przez nas nieustannie, przydzieleni nam agenci bezpieczeństwa. Pamiętam wieczorny zapach kwiatów, dawne carskie restauracje, w których byliśmy jedynymi gośćmi i miejscowe wesela, na którym piękna panna młoda przez cały czas płakała. Myślę często o tym miejscu i o tym, co się tam teraz dzieje. Rok później, jadąc trolejbusem w Kijowie przed kolejną czarnomorską wyprawą, widziałem przez okno naszą jałtańską parę idącą po przeciwnej stronie ulicy. Mignęli mi przez chwilę i zniknęli za rogiem najbliższego domu. Myślę często o nich w dniu 22 lipca. Palę odnalezione przez przypadek papierosy „Sojuz-Apołło”, patrząc na błękitno-żółty zachód słońca nad ulicą Lidzbarską.

Artur Międzyrzecki w 1979 roku: „Zdeprawowany umysł poprzedza zdeprawowaną władzę. Umysł, który uznał życie za terażniejszość otoczoną nicością, buduje instytucje na własną miarę. Filozofia doraźnych ocen i pośpiesznych wniosków prowadzić może do królestwa doraźnych sądów. Zadufane przeświadczenie o wyjątkowości własnych uroszczeń – do stanu wyjątkowego. W zdehumanizowanej historii upatruje się wówczas uzasadnień, w przyszłości utożsamianej z nicością – przyzwoleń, w arbitralnym haśle – uświęcenia. Okrucieństwo wobec innych nie liczy się w tym azylu monomanii i chorobliwej podejrzliwości”. Słowa pasujące bardziej do rządów PiS niż nawet do komunistów, którzy sądzili, i nie tylko oni, że będą panować zawsze, ponieważ z nimi miała być połączona z przemocą tak zwana prawda dziejowa, a Zachód pozwalał im *de facto* na każdą zbrodnię. Żyjemy w stworzonym przez zwolenników i służalców tej partii „azylu monomanii” jednego człowieka. Totalitaryzm przy pozorach demokracji, lekceważenie wszystkiego i wszystkich, którzy nie są z nimi, przy pozorach związków z tak zwanym suwerenem spychanym w czeluść chamstwa i głupoty. Nigdy nie spotkałem za życia Artura Międzyrzeckiego. Żyliśmy wtedy na odległych planetach. Pamiętam tylko, jak z ramienia SPP odbierałem z dworca Julię Hartwig, która przyjechała do Wrocławia na spotkanie poetyckie. Była drobną, kruchą kobietą. Nie rozmawialiśmy o poezji, rozmawialiśmy o pogodzie. Czekam na kolejny stan wyjątkowy. Kupuję cukier, sól i trochę węgla na zimę.

Pozostawiłem w wazonie z zielonego szkła białe róże, które przetrwały w nim ponad tydzień, z myślą, że zeschnięte będą jeszcze piękniejsze. Chciałem wysnuć z nich opowieść o pięknym przemijaniu, zachowując pointę mówiącą, że nie wszystko umiera czy coś w tym rodzaju. Alegoria towarzysząca mojemu pisaniu, natrętna i może nazbyt przypominająca obsesje dawnych poetów i współczesnych kiepskich, za to popularnych

prozaików. Nie pytałem ich o zgodę, nie ustalałem godziny ich powolnego obumierania. Stoją teraz przede mną z opuszczonymi, suchymi główkami, jak skazańcy tuż przed egzekucją. Jest mi ich trochę żal i chciałbym na nowo napełnić wazon świeżą wodą, ale to już nic nie da i na pewno nie uratuję im życia takiego, jakie było – pełne ożywczych soków i promieniującej wokół bieli płatków. Popełniłem błąd. Usilne poszukiwanie piękna skończyło się po raz kolejny niepowodzeniem. Muszę kupić nowe kwiaty i rozpocząć te poszukiwania na nowo. Trochę szkoda, bo białe róże lubiłaś najbardziej, a zieleń wazonu zawsze podkreślała ich nieziemską barwę i kwietne uduchowanie. Nasze kwiaty miłości rozkwiły co rano spokojne i pobudzone do nowego życia. Kiedy byłaś, nigdy nie używałem tego słowa. Wydawało mi się niemęskie i jakby trochę wstydlive. Teraz zapisuję je często, jest w moich litaniach i antyfonach do ciebie stale obecne. Wprawdzie co jakiś czas więdnie i muszę je ożywiać na nowo, ale jest na szczęście trwalsze od kwiatów, budzi się samo i samo uspokoje zasypia o poranku.

Uczone zgromadzenie uczonych mężów. Są też kobiety. Sesja ku czci nieżyjącego już uczonego. Poproszono mnie o napisanie referatu, chociaż moja wiedza o uczonym była prawie żadna i nie dotyczyła tego, czym się zajmuję i zajmowałem przez lata. Jestem anonsowany po przerwie jako *clou* programu i mam wystąpić zaraz po małym poczęstunku i przerwie na kawę. Mam ze sobą starą teczkę, do której włożyłem kilka kanapek i ciastek z myślą, że przydadzą się w tych ciężkich dla naukowców czasach. Nieco mnie dziwi, że kolejne osoby czytają swoje wystąpienia po polsku, a mają je zapisane alfabetem hebrajskim. Podziwiam nawet ich sprawność w transkrypcji liter i swobodę w przerzucaniu się z jednego języka na drugi. W czasie przerwy na kawę chcę przeczytać jeszcze raz mój referat, ale okazuje się, że gdzieś go musiałem zgubić i rozpaczliwe grzebanie w tecce nic już nie pomoże. Zastanawiam się, jak to powiedzieć zebranim, z których część przyszła tylko po to, aby go usłyszeć. Z teczki wypadają kanapki i ciastka, na szczęście nikt tego nie zauważył. Czuję, że rośnie mi długa czarna broda i zaczynam rozumieć hebrajskie litery. Wiem, że do Abrahama przyjdą niedługo trzej wędrowcy, a on zabije dla nich piękne i tłuste cielę. Pewna kobieta daje mi z daleka dyskretne znaki. Nie chcę jej prowokować, ponieważ, jak wiadomo, kobieta nadmiernie sprowokowana gotowa jest nawet urodzić nam dziecko. Na szczęście znajduję tekst mojego referatu, wprawdzie usmarowany masłem i cielęcina z kanapek, ale czytelny i jakby bardziej sensowny niż wcześniej. Trzej wędrowcy słuchają uważnie. Święta historia dopełnia się na naszych oczach raz jeszcze.

Odczuwam coraz silniej powrót do spotęgowanej przez czas i przestrzeń pozycji embrionalnej. Zwijam się w kłębek lub w małą piąstkę dziecka, opancerzam kolejnymi warstwami pościeli, poduszką wypełnioną białym pierzem, kocami chroniącymi przed

ogniem i trucizną. Cała noc to jeden wielki powrót do bezpiecznej jaskini, z której wyszedłem i w której chciałbym ponownie się znaleźć. Potrzeba bezpieczeństwa wynikająca z wieku i grozy płynącej z otaczającego nas świata. Embrion jest jeszcze żywy, oddycha i pragnie napić się wody. Rozumiem go dobrze i dostarczam mu potajemnie wszystkich ingrediencji, odbudowuję pępowinę, walczę o odpowiednią pozycję płodu. Ma już tyle lat, że nie mieści się tutaj w całości. Część już się urodziła, a część pozostała w pulsującym krwi miejscu. To do niej zmierzam, zwijając się w znikający punkt, w kropkę na mapie mojego ciała. Nikt tego nie zauważa. Ludzie nie patrzą teraz uważnie, poszukują własnych embrionów i własnej jaskini, w której mogliby się schronić. Nasze apokalipsy dzieją się oddzielnie i nic ich już nie łączy. Jeźdźcy jeżdżą w różnych kierunkach jednocześnie i też nie mogą się odnaleźć ani wytyczyć właściwej, prowadzącej do celu drogi. Może to i lepiej, dzięki temu przetrwam do kolejnej nocy, do zawijania się w samego siebie, do pozorów bezpieczeństwa z czasów narodzin i dzieciństwa. Do matki, której już nie ma, i czwartego piętra przy ulicy Nowowiejskiej, gdzie się urodziłem i gdzie jestem w jej pamięci nadal obecny.

Wszystkie ptaki mojego domu. Karmię je i poję, przeganiam wędrujące koty i kuny, które zagnieździły się nieopodal. Para srok, synogarlice, stado wróbli, języków, kilka jaskółek zabłąkanych w wielkim mieście. Pozwalają mi przeżyć, są kolejnym elementem tej skomplikowanej układanki. Kiedyś były jeszcze gołębie, ale sroki je przegoniły i teraz to one tańczą od rana swój biało-szary taniec na dachu oranżerii. Przyglądają mi się uważnie, zachowując swój ptasi, arystokratyczny dystans. Wróżę z lotu języków i jaskółek, przepowiadam pogodę i kolejne kataklizmy, które nas nie ominą. Na pobliskich szczytach drzew słońce zamiera, rozświetlając zieleń liści i jednocześnie mur dzielący mnie od sąsiada. Pogrążam się w sztuce opisu, ale ptaki mojego domu nie lubią, kiedy je opisuję. Boją się, że w ten sposób zabiorę im ich ptasią duszę i skażę na wieczne istnienie, którego sobie najwyraźniej nie życzą. Zakładam przez to razem z nimi gniazda, rezygnuję ze słów zwróconych w ich stronę. Na murze cienie krzewów i ślady po ostatnim deszczu. Powinienem sprowadzić tu flamingi i kilka strusi, otworzyć szerzej okna, zapomnieć o zbliżającej się nocy. Ptaki mojego domu zasypiają wtedy wysoko na kłujących gałęziach świerku. Są nieprzystępne i milczące. Ich czarne linie nad moją głową, niebo pokreślone przez odnalezione nagle skrzydło ptasiego boga.

Skrzynka wypełniona cierpieniem. Jak niegdysiejsze maszyny tortur, jak „żelazna dziewica” z ostrzami wbijającymi się w żywe ciało skazańca. Myślę też o elektrycznych iskrach przebiegających po mojej skórze, wyładowaniach tajemniczej energii, którą mam w sobie i która kiedyś potrafiła uruchomić alarmy w starych samochodach. Teraz alarmy milczą, kiedy obok nich przechodzę, najwidoczniej udoskonalono systemy, a ja,

jak zawsze, nie nadążam za zmianami i postępem. Skrzynka jest drewniana, zbita z desek, z wyraźnymi szparami i dziurami po sękach. Cierpienie wydobywa się z niej czasami, ale najczęściej jest w niej ukryte i spogląda na mnie spoza nieheblowanych słoików i drzazg wbitych głęboko w podłogę. Muszę na nie bardzo uważać, chronić się przed nim moimi iskrami i tekstem, który stanowi najlepszą tarczę obronną. Dlatego go piszę, inaczej cierpienie mogłoby mnie zabić, ponieważ po twojej śmierci skrzynka wypełniła się nim po brzegi, a ja trzymam ją nieustannie w rękach, nie mogąc się jej pozbyć ani zniszczyć ostatecznie. Zniknie razem ze mną, podobnie jak iskry uruchamiające stare alarmy i moje ciało podatne na ostrza i pustkę pomiędzy nimi. Być może mimo to cierpienie pozostanie i przeniesie się na inne osoby, na moje córeczki, na Karolinę, na drzewa i ptaki w ogrodzie, chociaż one są bezgrzeszne i niczemu nie są i nie były winne. Może dzięki temu zanoszą je dalej, a my pozostaniemy w tym samym miejscu, uwolnieni od niego, cierpliwi, poruszani przez południowy, ciepły, niecierpliwy wiatr.

Czytam po latach „Niebezpieczne małe prozy”. Dążenie do poetyckiego piękna i jednocześnie ucieczka przed nim w liczne paradoksy i pozorne brutalizmy. Dużo o teatrze, który chciałem wówczas zreformować, pisząc szalone projekty nowych przedstawień z założenia niemożliwych do zrealizowania. Życie snem o prawdziwej sztuce, wymykającej się nam z rąk i jak zawsze nieosiągalnej. Miłość bez nazywania miłości, raczej seks i opis kontaktu dwóch ciał spragnionych i poszukujących siebie nieustannie. Nazywanie naszej miłości objawiło się tak naprawdę dopiero po twojej śmierci i zyskało wówczas prawdziwy kształt i ostateczną literacko formę. Do dzisiaj nie jestem w stanie przeczytać w całości tych fragmentów „Dniownika”, gdzie zawarta jest, jak w trenach, rozpacz po utraconym na zawsze naszym wspólnym istnieniu. Piszę „istnieniu”, ponieważ słowo „życie” wydaje mi się w tym momencie zbyt trywialne i pospolite. „Niebezpieczne małe prozy” pisałem, stojąc na krawędzi szaleństwa, i nie wiedziałem wówczas, czy znad tej przepaści uda mi się kiedyś powrócić. Sto egzemplarzy unikatowego wydania miało mnie uratować przed samym sobą i zaświadczyć, że nadal żyję pomimo niepowodzeń i związanego z nimi dążenia do samounicestwienia. Jakoś się wtedy uratowałem, pisząc kolejne tomy prozy poetyckiej, z których trzeci do dzisiaj nie ujrzał dziennego światła. Chodzę wokół nich jak ranne zwierzę, obwąchuje i zaznaczam teren. Powinien powstać *box* z trzema tekstami oprawny w złoto i brylanty. Moja walka o poezję i z poezją nie jest jeszcze najwyraźniej zakończona.

Wieczorami patrzę na gwiazdy. One też na mnie patrzą. Nasze spojrzenia spotykają się gdzieś daleko, w międzyprzestrzeni, i tam dotykają delikatnymi czułkami. Promienie wysyłane z moich oczu mają wielką moc i potrafią dotrzeć do krańców widzialnego świata. Podobnie jest z gwiazdami, które kierują w naszą stronę strumienie światła

odbite wielokrotnie przez galaktyczne soczewki i planetarne lustra. Nie ma ich zbyt wiele, ponieważ wokół jest za jasno i przez to większość gwiazd znika za ciemnym horyzontem. Wiem, że tam są, i staram się je odnaleźć, tym bardziej, że niedługo będą spadać z nieba Perseidy, kryształowy gwiazdny pył i fragmenty komet zwiastujące moje cudowne narodziny. Szukam jak zwykle tej najjaśniejszej, tuż nad moją głową, która prawdopodobnie od dawna nie istnieje i pozostało po niej tylko wspomnienie zapisane na granatowym tle nocy. Otchłań potrafi wchłonąć nas i zostawić zagubionych w połowie drogi, a później pozwala nam wrócić do ogrodu ziemskiego, w którym kwiat i drzewa, i puste miejsce po tobie, i ja zatrzymany nagle, nieruchomy, patrzący w gwiazdy, które zdołały już w tym czasie zmienić swoje miejsca i znaleźć się po zupełnie innej stronie nieboskłonu. Tak trwamy jak wielkie niebiańskie legwany, niespiesznie i dostojnie, i tylko ten płacz, ten cichy płacz wydobywający się nieustannie z ciemnej strony ogrodu.

Dialogi w Miliczu pod barem „Borowik”. Chciałam kupić bluzkę, ale była za sześćdziesiąt dziewięć złotych, to drożej niż w Niemczech, tam bym kupiła za piętnaście, chyba za piętnaście euro?, nie, za piętnaście złotych, w przeliczeniu takich to nawet w Niemczech nie ma, są, ale trzeba wiedzieć gdzie kupić, tym bardziej, że była z dziurą, za dziurę nie będę płaciła, teraz takie są modne, za dziurę płaci się najwięcej, trzeba tylko wiedzieć, że to dziura celowo zrobiona, a nie rozdarcie, kto to ma wiedzieć, dziura to dziura, nie będę za nią płaciła, mówię do sprzedawczynie, a ona mi na to, że nie muszę kupować, bez łaski, tym bardziej, że to i tak po przecenie i ona nic na tym nie zarobi, w Niemczech by takiej mi nie sprzedali, tam ludzie są uczciwi, nie wszyscy, są też złodzieje, to chyba z Polski i Arabusy, Niemcy nakradli się w czasie wojny i teraz tak nie kradną, i co, kupiłaś?, nie kupiłam, nie dam się oszukiwać, wracam do Niemiec, tu się nie da żyć i każdy chce cię oszukać, to przez ten złodziejski rząd, wszędzie w rządzie są złodzieje, inni tam się nie dostaną, każdy by chciał się dostać, ale go nie przyjmą... Pamiętam dawne teorie, że trzeba zapisać się raczej do Partii i spróbować naprawić ją od wewnątrz, a później zdziwienie, że Partia przy najbliższej nadarzającej się okazji wypluje nas i da na drogę solidnego kopa. Bar „Borowik” został odnowiony i można tutaj kupić lody i kawę z ekspresu. Niestety ekspres się zepsuł i zostały same lody. Być może i ich niedługo zabraknie. Zostanie tylko ciastko z dziurką, a później sama dziurka, rzecz cenna i literacko inspirująca.

Czytam Harry'ego Mathewsa „Przemiany”. Eksperymentalna proza opublikowana w roku 1987 przez Młodzieżową Agencję Wydawniczą w nakładzie trzydziestu tysięcy egzemplarzy. Wyraźne wpływy Raymonda Russella i jego „Locus solus”. Staram się przez to przebić spokojnie i nie omijając, jak to zawsze robię, mniej interesujących fragmentów. Coś mi tu nie pasuje, przy całym szacunku dla nowatorskich starań i inteligencji autora.

To, co o Russela wynikało z głębi jego psychiki, tutaj jawi się jako pisany na zimno tekst, niewątpliwie dowcipny i osadzony w ogromnej tradycji literackiej, ale jednak bez tamtej pasji i artystycznego szaleństwa. Za to bardzo dobra kpina ze współczesnej antropologii strukturalnej, mitoznawstwa, powieści detektywistycznych, Pisma Świętego i na koniec hodowców i miłośników koni, a w tle T.S. Eliot, G. Frazer i, jak twierdzi autor znakomitego tłumaczenia „Przemian” – Tomasz Mirkowicz, Cervantes, Sterne, Rabelais, Dos Passos i wielu innych, co jak na małą książeczkę wydaje się sporym bagażem czytelniczym i intelektualnym. Dlaczego w roku 1987 opublikowano w wydawnictwie mocno kojarzonym z PZPR tego typu prozę pozostaje dla mnie zagadką. Dzisiaj wydawnictwa związane z PiS-em na pewno by jej nie wydały. PRL mieściła w sobie, jak widać, sporo tajemnic i powinni to kiedyś uwzględnić badacze tej epoki. Ktoś kiedyś masowo kupował i czytał takie książki. Nie do wiary.

Przedwczoraj umarła Olivia Newton-John. Pamiętam szaleństwo związane z filmem „Grease”, w którym grała u boku Johna Travolty. Piosenki z filmu leciały w radiu non stop, a szkoła średnia pokazana na tym filmie jawiła się nam jako absolutny ideał edukacji. Później nagrałem na VHS „Xanadu”, gdzie Olivia była antyczną Muzą zabłąkaną przypadkowo w hippisowskim świecie Kalifornii lat 70. XX wieku. Też rola Gene’a Kelly’ego, który patronuje tam duchowo i finansowo nowej dyskoteci i nowej modzie tych lat, tańcząc swój ostatni, jak się wydaje, taniec na ekranie. Odnotowuję to w „kronice niezapowiadanych śmierci” w ramach nostalgii za minionym wiekiem i moją narastającą niechęcią do czasów współczesnych. Wiek XXI nie przyniósł nam wiele dobrego i być może w związku z tym jeszcze się nie zaczął, bo miał być piękny i szczęśliwy dla wszystkich mieszkańców Ziemi planety ludzi. Na razie przynosi śmierć i zniszczenie, a mnie coraz trudniej jest z nim samotnie i bez ciebie walczyć. Oglądam stare filmy, piję poranną kawę, myślę o moich jutrzejszych, których to już, urodzinach. „Dniewnik” obsuwa się przez to niebezpiecznie do poziomu wspominków dziaderskiego starucha. Dlatego muszę wyprostować plecy, założyć wrotki i pójść do dyskoteki „Xanadu”, której już nie ma, ponieważ po zakończeniu realizacji zaraz ją zdemontowano, by nie mnożyć kosztów filmu, który nie przyniósł, niestety, realizatorom nadmiernych zysków.

Grzebię w moich starych tekstach na użytek „Formatu”. Coś tam zmieniam, coś poprawiam. Buduję z nich gniazdo jak ptak gniazdownik, lecz nie dla ptasiej samiczki, ale dla przyszłych mieszkańców, którym powinno być w nim ciepło i dobrze. Nie będzie ich zbyt wielu, ponieważ moje dzieła zebrane liczą zaledwie kilkanaście książek i nie są i nie będą nigdy wielotomową sagą czy cyklem powieści sensacyjnych lub kryminalnych. Może to i lepiej dla czytelników zarzucanych obecnie tonami książek i pism literackich, tysiącami gier komputerowych i ogromnym szumem świata, który przypomina

ten poranny, obok autostrady i torów kolejowych biegnących nieopodal mojego domu. Splatam ostrożnie gałązki, wypełniam je mchem i liśćmi. Proza poetycka jako fundament, później wiersze i reszta tekstów wypływających już poza obrzeże gniazda. Trochę o sztuce XIX i XX wieku, kilkanaście rzeczy okolicznościowych. Chciałem kiedyś zostać świeckim mistrzem ceremonii i na poczet tej profesji zbierałem teksty promemoratywne i funeralne, nie spodziewając, że największy z nich napiszę dla ciebie. On mnie przytłacza i wolałbym, aby nigdy nie powstał. Moje gniazdo jest prawie gotowe. Siedzę w nim teraz sam, patrzę w dół na zwiędłe liście leżące na ziemi. Odmawiam modlitwę za wszystkie ptaki przelatujące nad moją głową. One modlą się za mnie.

Zazdroszczę ludziom, którzy nigdy nikogo w życiu nie kochali. Prześliznęli się po swoich partnerach, partnerkach, żonach, mężach, kochankach, rodzicach, dzieciach, braciach i siostrach jak po śliskim lodzie bez zbyt głębokiej rysy, która zaraz po ich przejeździe zasklepiła się i zamarzła, nie zostawiając trwałego śladu. Coś, co mogło się wydawać skazą na charakterze i formą atrofii, tak naprawdę jest skuteczną obroną przed cierpieniem narastającym każdego dnia po utracie ukochanej osoby. Zazdroszczę im słuchając o kolejnych związkach, rozwodach, trwających po rozstaniu przyjaźniach, krótkotrwałym i zapominanym momentalnie seksie. Jestem wobec nich kimś archaicznym i wręcz śmiesznym, godnym pożałowania i skrajnie nienowoczesnym. Moja historia nie jest dla nich zbyt ciekawa, odwracają się ode mnie, ponieważ monomania miłości i przywiązania ma swoje miejsce być może w kiepskiej literaturze, ale nie w życiu. Zazdrość narasta z każdą godziną, wypełnia sobą jezioro pokryte lodem. Jadę po nim bezszelestnie i bez śladu, gdyż to ja jestem tym jeziorem i tylko ono mnie rozumie. Ty jesteś w głębi tych wód. Wiem, że patrzysz na mnie, lecz moje spojrzenie tak głęboko nie dociera. Smutek nie jest wystarczającą ścieżką prowadzącą do ciebie. Może jedynie śmierć, ale tego też nie jestem pewien. Tak trwamy, jadąc i nie posuwając się do przodu. Łódź potrafi wszystko zakryć, woda życia zamarza najszybciej.

Otwarte ku górze arkady, coś jak resztki akweduktu lub budowli z dawnych ogrodów i parków, które czas zatarł w ludzkiej pamięci. Pomiędzy nimi placyk, na którym toczy się gra przypominająca piłkę nożną. Wiem, że powinienem przyłączyć się do którejś z drużyn, ale mi się to nie udaje i w końcu gracze rezygnują z mojego w niej udziału. Uczucie ulgi, że nie muszę tu zostać, tym bardziej, że spacer pod arkadami wydaje mi się ciekawszy niż bieganie po wysypanym żwirem placu. Otwarte ku górze arkady tworzą całe wymarłe miasto przypominające starożytne porty we Włoszech, porzucone obecnie przez morze. Też są tam ulice pełne ruin i amfilady wąskich przejść, amfiteatry, na których od wieków nikt nie gra żadnych sztuk, za to ze stadami jaszczurek wygrzewających się na kamieniach rozgrzanych południowym słońcem. Wiem, że ta wędrówka musi się

skończyć, niedługo przyjdą tu nowi mieszkańcy, albo przynajmniej turyści spragnieni opowieści o heroicznej przeszłości tych miejsc. Ja sam jestem opowieścią o przeszłości, dlatego burzę arkady, zamykam nieistniejące od wieków bramy, zatrzymuję marmurowe wodospady. Klęcząc na kamieniach amfiteatru, piszę kolejny sen, którego nie dośniłem do końca.

Umarła Natalia LL. Wielka dama polskiej sztuki. Pamiętam, jak przychodziła razem ze swoimi uczniami do nieistniejącej już w naszym Instytucie galerii „Szewska 36”. Nie doczekała ostatniej publikacji poświęconej jej w ramach serii omawiającej Wrocławskie Środowisko Artystyczne. Lubiłem czytać jej zapisy snów i sztukę konsumpcyjną uprawianą w czasach kartek na cukier i na mięso. Wszyscy pytali ją wtedy, skąd ma banany zjadane na słynnej fotografii przez spragnioną najwyraźniej słodczy, luksusu i oralnego seksu modelkę. Feminizm *in spe*, bez trywialnego nadmiaru i prymitywnych, pseudocieleśnych obsesji. Mam w oczach jej twarz świecącą tajemnym blaskiem w mroku galerii. Fotografii uczniów błyszczały również odbitym światłem dobrej sztuki. Banany jedliśmy wtedy ze smakiem, ponieważ czas kartek na razie minął i wszyscy myśleli, że zbliżamy się do Matki Europy, a nie do Macochy Azji. Obecnie Europa jest coraz dalej i tylko śmierć jest jak zawsze blisko nas i czai się w ciemnych kątach opuszczonych przez żywych, piwnicznych zakamarków oraz jaskiń wypełnionych fotografiami o zatartych przez ciemność, nieostrzych i płynnych krawędziach.

Bezimienne drzewo, sylwetka, wycinanka na jasnym tle, które ostatecznie stapia się z mrokiem nocy. Pisałem już o nim, ale nadal jest przedmiotem moich uważnych obserwacji i analiz prowadzących do myślenia o procesach, w których kolor zamienia się w rysunek, a rysunek w jedностajną, pochłaniającą wszystko przestrzeń. Drzewo kieruje najczęściej swą koronę w stronę zachodu, spokojnie i bez gwałtownego ruchu, jak narysowany flamastrem na kartce papieru przez dziecko olbrzym. Nie lubi wiatru i nagłych zmian pogody, trwa pomiędzy światłem i cieniem. Jest często szarością i muszę wydobywać je z warstw ciemnej zieleni i surowego błękitu. Później oboje idziemy spać. Ono jest rodzaju nijakiego i dlatego łatwiej jest mu zasypiać niż osobom, którym przypisano po urodzeniu rodzaj męski. Nasza gra w spojrzenia oraz pytania i bezosobowe odpowiedzi trwa wtedy nadal. Na szczęście moja mała wewnętrzna dziewczynka nigdy nie zasypia. Lubi wspinać się na drzewa i malować obrazy wypełnione bielą i czernią. Czasami towarzyszy nam tęcza podkreślająca kontrast pomiędzy naszymi urojonymi, artystycznymi postaciami. Później wracamy każde do siebie. Ono na trwałe i statyczne miejsce drzew, ja do domu w Miliczu, w którym staram się od pewnego czasu zapuścić korzenie. Tak podobno się mówi. Owo tajemnicze „się” nieznanne w innych językach. Miękkie i ciepłe jak blask zachodzącego, sierpniowego słońca.

Credo I

Rozmawiam ze studnią, choć wiem, że
podziały między nami są głębokie,
ostatnio jednak woda podniosła lustro
tak, że mogę uchylić jej nieba.

Rozmawiam z lustrem, przestało
odbijać fakty, monologuje ze słońcem
o niemożności porozumienia się
z moim odbiciem, wciąż istniejemy
po obu stronach ciemności.

Ogród

Zagajewskiemu

Labirynt o rozwidlających się ścieżkach
nie prowadził do raju, był zapasowym
czyśćcem, wszak metafora
ma wiele twarzy, stąd uciekłeś
od Nowej Fali, w objęcia pamięci,
w elegię sumienia, pełnia księżycy
odsłaniała kontury Lwowa,
krakowski Barbakan, tangens Berlina,
koniunkcję Huston, wszystkie te figury
wypełniały twoją odyseję, ale pustka
i nicość towarzyszyły aż do końca.

Kiedy przestałaś mówić

Kiedy przestałaś mówić, jąkam się, gubię
słowa, tracą sens i znaczenie, nie znoszą
porównania do milczenia, zaciskałem usta
jak ryba wyciągnięta z wody, mówiłaś,
że milczenie jest zaraźliwe niczym ptasia grypa,
to dlatego brzuchomówcy chronią swój język
wewnętrzny przed wzrokiem dociekliwych,
ci, co nie mają nic do powiedzenia,
mówią na okrągło, bez przerwy miela,
co im ślina na język przeniesie,
byle zagłuszyć w sobie credo.

27.12.2021

Rozmowy

Matka rozmawiała z naparstkiem, igłą i Singerem,
ojciec śpiewnie z siekierą, kiedy wiosną ścinał gałęzie,
mój pies, podrzucając piłką tenisową, rozmawia z niebem,
dialoguje z grawitacją, staram się nie uronić z tych rozmów
ani jednej chwili, w której milkną zjawiska i przedmioty
osadzone w języku i mowie, powoli zgłębiam retrospekcje,
powracają w nich do swych dawnych postaci, matka do Wilna,
ojciec do dzieciństwa w Żółtkwi, pies do ślepej wiary
w spokój i ciepło psiej mamki, tylko ja czuję niepokój,
po tej stronie cienia, kiedy znikają w nim sylwetki
bliskich mojemu sercu, jest ich całe kwantum,
właściwie zabrakło ciemności, stąd tyle odcieni
szarości na podobrazu, drewniane krosno
i lniane płótno, to całe ich milczenie,
w które wkładają psią wierność i ludzką pewność,
że kiedyś rozszyfrujemy credo.

8.02.2022

Faces: twarze, maski, imiona

Twarz to nasza częśćka społeczna, ciało to natura.

H. Belting

1.

Niesłabnące od wieków zainteresowanie artystów ludzkim obliczem (twarzą), w tym także własnym wizerunkiem (lustrzanym odbiciem), dały w sztuce wiele znakomitych portretów, autoportretów i rozbudowanych medialnie prezentacji twarzy, głowy lub sylwetki; tj. tego, co wyraża *faces* – o czym obecnie mówi popkultura i jej media. „Face to inne określenie twarzy, ale jako pojęcie zawiera w sobie także znaczenie oblicza i autoekspresji, będącej przeciwieństwem zwykłego fizjonomicznego podobieństwa” – twierdzi Hans Belting, tytułując swe dzieło *Faces. Historia twarzy*. (Gdańsk 2016). Współczesnym artystycznym prezentacjom twarzy (z intencją zgłębienia nie tyle jej formy czy „gramatyki” zewnętrznej, co raczej szukania odzwierciedlenia tego, co skryte wewnątrz, w jaźni, duchowości), sprzyjają doświadczenia psychologii i towarzyszącej jej refleksji antropologicznej i filozoficznej (od Freuda po Lacana), ale z drugiej strony determinują je przede wszystkim presje medialne kultury popularnej z jej koncepcją teatralizacji życia społecznego, rangi wizerunków idoli i wzorców konsumpcyjnego stosunku do presji mody, do muzyki oraz dominacji hedonistycznego modelu życia. „Społeczeństwo spektaklu” (jak zdefiniował to Goodman) określa ramy sceny, na której prezentują się jej uczestnicy, grając swoje – sankcjonowane społecznie – role wzorców do naśladowania; co łączy się najczęściej z przybraniem odpowiedniej maski. Maski – tak rozumiana – odwzorowuje twarz, ale też przeistacza ją w twarz symboliczną (Belting). Bo trzeba odróżnić twarz od maski, jak prawdę natury (ciało) od pewnego rodzaju fałszu kultury. Stąd Thomas Macho mówi o „społeczeństwie facjalnym” – społeczeństwie produkującym twarze, maski, gdzie maska, jako medium, dominuje w relacjach interspołecznych. To sztuka (kultura) daje nam wyobrażenie *faces*... stąd jej ranga i posłannictwo. Boimy się „utracić twarz”, to znaczy wypaść z przyjętego w danym czasie kanonu kulturowego, stracić jego część pod postacią obowiązujących zasad etycznych, moralnych czy społecznych; chociaż sztuka (twórczość) aspiruje do wolności wypowiedzi, łamania konwencji, odrzucania reguł i swobody wyboru medium. Oczywiście w granicach nieprzekraczalnych, jeśli chodzi o dobro i prawdę (z tą ostatnią różnie zresztą bywa). Narzucane są one (granice) przez cenzurę, ale też – w społeczeństwach

manipulowanych politycznie i obyczajowo – przez autocenzurę, co w każdym razie sankcjonuje wytwarzanie masek, chowanie twarzy za odpowiednio skrojony do oczekiwań wizerunek, a wolność wypowiedzi „chowa się” z kolei pod „maski symboliczne”, ustanawiane przez *underground* lub życie artystyczne na tzw. emigracji wewnętrznej. Niestety bywa także tak, że opozycyjne „maski symboliczne” stają się w efekcie zmian społecznych maskami, albo *faces* oficjalnymi, przybierając pozy i grymasy nowych idoli lansowanych przez dany układ władzy. Każda władza ustanawia bowiem swoje preferowane wzorce; kreuje swoje ikony i swoich idoli, którym stawia pomniki medialne, a bywa że i z brązu. Sztuka, jeśli aspiruje do tego miana, musi bronić swej niezależności i prawa do swobody wypowiedzi, bez ingerencji i nakładania masek. Chociaż czas karnawału i przebieranek służy także sztuce.

2.

O konwencjonalnych portretach (i autoportretach) w sztuce, tj. w malarstwie, grafice i rzeźbie, jako o stałym, bo ciągle absorbującym warsztat artysty, temacie napisano wiele uczonych rozpraw i wydano sporo popularyzujących albumów. „Portret to obraz obrazu, albowiem odzwierciedla twarz, która ze swej strony jest obrazem nas samych” – powie Belting. Czy w pełni? Otóż twarz ma skłonności wyrażania ekspresji (mimiki), więc wystawia się na spojrzenie, jest „raczej sceną niż zwierciadłem” tych wartości, które są pod maską twarzy skryte. To już św. Paweł w Drugim Liście do Koryntian podkreślał różnicę między tzw. powierzchownością (twarzą) a duchowością człowieka. Wprawdzie portret (malarski czy w rzeźbie) powstał jako efekt emancypacji podmiotu, ale był to efekt z posiadania lub nadania władzy albo religii (nadzoru nad umysłami). Był więc on (portret) zastępnikiem twarzy, niejako odrywając ją od ciała i przenosząc w wymiar symboliczny; tym samym sprowadza ją (uogólniając) do jednoznacznego wyobrażenia – kreując maskę. Twarz jest bowiem formą otwartą, podatną na interpretację i zmiany, maska zaś ma formę zamkniętą. Portret wytworzony przez artystę to może być interpretacja twarzy z punktu widzenia „interesów” społecznych (np. w rozszkoleniach spadkowych lub kolidacyjnych), ale to też „ocena” z punktu widzenia kultury; i tu rozciąga się linia dokonań łącząca sensy symboliczne z ekspresyjno-estetycznymi. Tu też znaczącą rolę odgrywa owa relacja między twarzą a maską, ów fakt wzrostu rangi reprezentacji, tj. zwrócenia uwagi na to, co portret wyraża (odniesienie do tożsamości i ekspresji osobowościowej), i na to, co skrywa (chroni pod maską). Jednakże każda maska, służąc przesłanianiu, jednak także coś narzuca, chce coś wyrazić, jest ona zatem tym, co łączy z prawdziwą twarzą (naturą), ale jest także tym, co jej zaprzecza, bo odsyła do kultury.

Długa historia portretu w sztuce: to czas szukania adekwatności w odwzorowaniu ludzkiej jaźni, realizowanej drogą manualnej perfekcji, co zawsze też w jakiejś mierze służyło swoistej autoekspresji i przeniesieniu uwagi z dociekania wyrazu twarzy obcej

(modela) na własną – stąd liczne autoportrety w sztuce. Artyści tłumaczą to tym, że swoją twarz znają najlepiej. Ale czy tak jest rzeczywiście? Czyż nie przyjmują oni w tym procesie również swoistej pozy (zresztą każdy model też pozuje), nakładając sobie właśnie symboliczną maskę albo kreowaną *face* – będącą wypadkową podobieństwa fizjonomicznego i wyobrażonego, autoekspresyjnego (w łączności natury z kulturą). A więc zawsze w przypadku manualnie realizowanego portretu (czy autoportretu) dochodzi do swoistego zderzenia między oczywistym wizerunkiem twarzy, w jej osobowościowym wyrazie, z nieoczywistymi symptomami indywidualnych cech charakterologicznych modela, które nie są tak jednoznacznie widoczne jak cechy zewnętrzne, co zawsze prowadzi w konsekwencji do pewnego kompromisu. A nawet do przekonania o niemożliwości dotarcia do pełni prawdy o wewnętrznych cechach duchowych i świadomościowych osoby portretowanej. Stąd obawy o możliwość naruszania tożsamościowej integralności portretowanej osoby. Na tym przekonaniu formułowano zakazy przedstawiania (w tradycji kultury hebrajskiej i chrześcijańskich schizmach) twarzy, a w tym szczególnie wizerunku Boga (ikonoklazm).

Współcześnie problem przedstawiania twarzy albo jej masek znajduje swoje usprawiedliwienie i w antropologii, i w psychologii. Od kulturowo interpretowanych przedstawień w religii i popkulturze (społeczeństwo facjalne) po próby docierania do istoty „człowieka wewnętrznego”, poprzez zabiegi odrzucania czy zdzierania masek – by można było dotrzeć do autentyzmu duchowego, do niezafalszowanej tożsamości. Ten punkt widzenia znajduje pogłębienie w fenomenologii etycznej Emmanuela Lévinasa. Mówi on, że twarz nie jest z tego świata. A więc z jakiego? Filozof ten twierdzi, że jest ona (twarz) odbiciem Innego w nas, owej jakby alternatywnej osoby, będącej naszym lustrem (ale też odniesieniem poznawczo-komunikacyjnym, możliwością bycia sobą wobec kogoś obcego). Dla Lévinasa „twarz jest jak otwarta dłoń, poszukująca akceptacji nagrody”. Jest epifanią zmysłowości, wyrazem wyłącznej dla danej osoby ekspresji, stąd – twierdzi Lévinas – nigdy nie może być w pełni przedstawiona i poznana; zawsze skrywa się za swoją maską, przybieraną na użytek zewnętrznego oglądu. Wprawdzie sztuka usiłuje zderzyć tę maskę, chcąc zajrzeć pod jej „ochronną” pozorność, ale udaje się to nielicznym, wybitnym twórcom. W tej potyczce pozoru ze skrytością (prawdą) wewnętrznego obrazu ludzkiej natury przyszła pomoc właśnie ze strony natury, a raczej wykorzystywania jej praw i nadziei, jakie zaproponowała technika fotograficznego rejestrowania wyglądu ludzkiej twarzy; jak więc sądzono, mamy oto obiektywny dokument utrwalający fizjonomię w jej zindywidualizowanym wyrazie. Co też wywołało lawinę dociekań i interpretacji, a wreszcie rozwinęło się w przemysł produkowania wizerunków idoli oraz kolejnych „masek”, sankcjonowanych modą, reklamą i teatralizacją naszego życia.



Eugeniusz Get-Stankiewicz, *Łeb z kijami*

3.

Fotografia w zasadzie zawłaszczyła wspólnie procesy portretowania i autoportretowania. Ta monopolizacja przybiera wręcz w czasach powszechności aparatów cyfrowych i podręcznych komórek postać epidemii selfie – co jednak dla procesu wnikliwego docierania do prawdy wewnętrznej duchowości niewiele wnosi, choć każdy chce ujrzeć swoją twarz, spojrzeć na siebie „twarzą w twarz” i właśnie dotrzeć do „prawdy” twarzy, która wyłania się spod grymasów, mimiki i sztucznych póz.

Fotografia od początku swego istnienia zajmowała się portretem, wizualnym przedstawianiem i interpretowaniem fizys, w sylwetce, w wizerunku oblicza. Od początku też to pozornie obiektywne narzędzie służyło mistrzom portretu do kreowania własnych wyobrażeń (przedstawięń) ludzkiej natury i jej kulturowego odniesienia. Roland Barthes (*Światło obrazu*) twierdzi, że wielcy portreciści w fotografii tworzyli w ten sposób mity; mówił tak o zdjęciach Nadara, Julii Margaret Cameron, Augusta Sandera czy Richarda Avedona – oddających wizerunki przedstawicieli różnych warstw zachodniego społeczeństwa. Co też świadczy, że dodawali oni do naturalnego wyglądu zewnętrznego (np. twarzy), także to, co wznosiła do tego wizerunku rola społeczna i kulturowa odgrywana przez portretowaną osobę – „nakładali” jednocześnie swoje, wyobrażone przez siebie, maski na twarze modeli; otwierali tym samym obszar reprezentacji i interpretacji. Ale, co ciekawe, te nałożone maski – jak twierdzi Barthes – można też „zdzierać” w procesie odbioru fotografii, gdy aura wspomnień oglądającego zdjęcie (np. bliskiej osoby) pragnie bohatera obrazu przywrócić prawdzie życia, chce odrzucić ów efekt Tanatosa – ucieleśniający śmierć – jaki przekazuje fotografia. Odrzucenie takie znów niejako przywraca danej osobie twarz; zwraca ją ku naturze.

Generalnie więc w sztuce portretowania, czyli wizualizacji twarzy ludzkiej (czy to manualnie, czy technicznie) dość trudno jest mówić o prawdzie duchowej tożsamości modela, co zdarza się tylko w nielicznych, wybitnych przykładach obrazów, bo raczej mówimy o prezentacji zewnętrzności, maski nakładanej na twarz – i to ze strony twórcy (za sprawą jego subiektywnych wyobrażeń), i ze strony modela, który przybierając różne pozy, wciela się w wyobrażenia o sobie. Niełatwo bowiem przyłapać fotografowaną osobę w sytuacji jednoznacznie szczerzej, spontanicznej, niepozowanej – choć takie momenty właśnie zdarzają się niektórym fotografom. Od ich umiejętności uchwycenia prawdy twarzy, znalezienia owego „decydującego momentu”, zależy trafność portretu. Ale zdarza się to rzadko. Belting twierdzi, że fotografia prowadzi raczej ku masce niż ku twarzy, nakłada maski na oblicza jakby niechcący, bo jest podporządkowana kulturze, „patrzy” przez jej pryzmat, więc narzuca reprezentację: wizualizacje manualne i fotograficzne sprzyjają głównie tworzeniu *faces*, tj. kulturowych wizerunków naturalnej twarzy.

4.

W sztuce fotograficznego portretowania wypracowano kilka sposobów podejścia do tego tematu. W perspektywie historycznej mowa o romantycznych wizerunkach Nadara i Cameron czy o „klasyfikujących” (z racji wykonywanego zawodu) przedstawicielach niemieckiego społeczeństwa w fotografiach Sandera, rejestrujących naturalne „wynaturzenia” twarzy na zdjęciach Arbus bądź spekulatywnych wyobrażeniach Avedona. Szeroką paletę rejestracji portretowych opartych na zasadach migawkowego dokumentu dostarczali więc już autorzy XX wieku, od Henriego Cartier-Bressona poprzez André Kertésza po Roberta Doisneau czy Roberta Franka. Fotografia portretowa niewątpliwie dzięki swym zabiegom uogólnienia, tj. „klasyfikowania” typów (co np. realizowano w zdjęciach policyjnych i etnograficznych już w XIX wieku) służyła narracjom uzasadniającym jej mitotwórcze funkcje. Romantyzm zdjęć Nadara szedł tu w parze z powszechną praktyką dagerotypowych portretów z połowy XIX w. i mody na fotograficzne *carte-de-visite*. Jean Laurent proponuje ok. 1870 roku zdjęcia przedstawicieli hiszpańskiej prowincji, Julia Margaret Cameron naświetla urodę dzieci, a na przełomie stuleci dominuje fotografia piktorialna (np. Robert Demachy, Edward Steichen, Clarence Hudson White, Alfred Stieglitz), mityzująca portrety w specjalnych ujęciach, malarskich aurach (mimo czarno-białych obrazów), w „maskach” artystowskiego widzenia ich autorów. Czyż zatem nie w zbliżonym klimacie utrzymane byłyby portrety artystów z początku XX wieku Alвина Langdona Coburna, oraz późniejsze – z lat dwudziestych i trzydziestych XX wieku – osadzone w kulturalnej aurze zdjęcia sławnych postaci autorstwa Cecila Beatona czy Edwarda Steichena, a nawet eksperymentującego Man Raya? Dokument paranaukowy – jak u Dorothei Lange – również w swej interpretacji sięga mitologizujących uogólnień, dając pretekst do sformułowania tez o ponadczasowych obrazach ludzkiego losu, co zresztą będzie w późniejszym czasie kontynuowane w relacjach korespondentów wojennych i zdjęciach ze stron „World Press Photo”. Od scen wojennych blisko do przestrzeni kreowanej przez świat mody i popkultury. Zdjęcia Helmuta Newtona czy Williama Kleina dla „Vogue’a” otwierają długą listę – ciągle praktykowanej – aranżacji twarzy: masek preparowanych dla nęcenia odbiorcy, kreowania idoli i ikon współczesnej kultury. Może w kontrpropozycji wobec takich ujęć należy podkreślić, zaangażowane w problematykę psychologii, ćwiczenia pamięci i swoistej ekspiacji, zdjęcia Christiana Boltanskiego czy Duane’a Michalsa.

W warunkach polskich portrecistą, który zbudował w swych pracach swoistą mitologię specjalnie inscenizowanych postaci, jest Krzysztof Gierałtowski (pisano o jego wystawie „Portret bez twarzy” w „Formacie” nr 68). Preferuje on absolutnie subiektywny wizerunek portretowanej osoby (utrwał znane osobistości polskiej kultury i nauki), niejako narzucając modelom odpowiednio zainscenizowane przez niego pozy, stroje i sztafaż, nadto później poddając zarejestrowane zdjęcia dodatkowym zabiegom

formalnym, by w konsekwencji uzyskać obraz (ikonę) tyleż oddającą zewnętrzny wizerunek osoby, co i sięgającą do wewnętrznych znamion osobniczej jaźni – w jakimś stopniu sprowokowanej przez ingerencje autora zdjęcia, więc równocześnie „odsłaniające” także jego (autora) myślenie i wrażliwość widzenia. Podobne zabiegi zastosował Jacek Samotus portretujący wykładowców wrocławskiej Akademii Sztuk Pięknych. Z tym że jego fotogenicznie zakomponowane konterfekty osób raczej powszechnie nieznanymi, powstawały w trakcie dłuższych (lub krótszych) sesji, w czasie których autor koncepcji starał się skrócić dystans między modelem a fotografem (co np. jest niemożliwe w ujęciach reporterskich, czy tzw. fotografii ulicznej – mamy przykłady zdjęć m.in. Jerzego Piątka czy Czesława Czaplińskiego). Samotus inscenizował więc i przestrzeń i sztafaż, w którym umieszczał swoich modeli, ale także prowokował ich rozmową, dykteryjkami itp. – po to, by niejako zedrzyć początkowo przywdzianą przez nich maskę (i odrzucić pozę) na rzecz spontaniczności wyrazu twarzy, naturalności sylwetki, ale także z zamiarem generalizującego spojrzenia autora na gremium portretowanych osób; byli to bowiem wyłącznie profesorowie wyższej uczelni artystycznej. Otóż w tej realizacji, mimo atrakcyjności tych portretów, trudno było dokonać głębszej wiwisekcji danej osobowości, jeśli tę postać spotyka się okazjonalnie, bez pogłębionej znajomości na płaszczyźnie prywatnej. Istotną wartością każdego portretu (także autoportretu) jest bowiem jego „szczerłość”, co może być efektem sprowokowania modela do swobodnego odsłonięcia się, tak by w tym jedynym „momencie” zdołał fotograf zarejestrować prawdziwą twarz i by mógł osiągnąć kompromis między zewnętrżnością ciała (wyrazem twarzy, jej mimiki i pozą) a symptomami wewnętrznego życia (duchowości, oznak jaźni, śladów przeżyć). Jak trudno jest taki stan wywołać i oddać, wiedzą ci, którzy tego próbowali. Problem tkwi w presji pozowania: każdy, kto znajdzie się przed obiektywem, zaczyna przybierać odpowiednią pozę; zakłada na twarz wymyśloną maskę (aktorzy czynią to ze względów profesjonalnych, inni – z powodów emocjonalno-psychicznych). Ponoć nasza twarz jest zwierciadłem duszy – w co od dawna wierzono – ale aby dotrzeć do tego odbicia trzeba ogromnego szczęścia, trzeba trafić owo ujęcie prezentujące zgodność współpracy obu stron aktu fotografowania. Właśnie aktu – jako niemal intymnego kontaktu obu stron w dociekaniu (chwytaniu) prawdy osobowości modela, ale także prawdy autora zdjęcia. Bo każda fotografia jest tyleż wizerunkiem – obrazem Innego? – co i odsłoną osobowości autora; każdy portret modela jest w jakiejś mierze także autoportretem twórcy. Zresztą dotyczy to każdego dzieła, niezależnie od zastosowanego medium.

Podobnie w przypadku fotografii Czesława Czaplińskiego możemy mówić o jej migawkowych – reporterskich źródłach, o zaskoczeniu modela w odpowiednim momencie. Czapliński, zdaje się, świetnie rozpoznaje twarze znaczące obecnie kulturowo i społecznie (niejako tropi idoli współczesności) i je „chwytą” w wolnej, publicznej

przestrzeni. Udaje się mu zarejestrować owe twarze „noszone na sobie” – jak mówił Gombrowicz – prezentowane w obecności innych, ale jakby świadomych swej ikonicznej rangi, wszak są to wyróżniające się osoby, znane publicznie. Fotografuje on *faces* artystów, polityków i naukowców, tj. głównie postaci już jakoś obecnych w naszej pamięci wizualnej. Tym samym dają te portrety możliwość sprawdzenia naszych wyobrażeń z tym, co oferuje autor zdjęć. Czaplński „wyłapuje” z otoczenia sytuacje, w których udaje mu się przyłapać daną osobę w jej odpowiednim „ustawieniu” (działa tu jak paparazzi?); tak mniej więcej powstały portrety Michaela Jacksona, Tomasza Stańki, Sophii Loren, Lecha Wałęsy, Georga Busha, Adrzeja Wajdy, Tadeusza Kantora i innych pisarzy i artystów.

5.

W tej potyczce wyobrazonego z realnym, artystycznej kreacji z oczywistością natury swoje osobne – wyjątkowe – miejsce zajmuje literatura: sztuka niewizualnego przedstawiania tego, co rodzi się między słowami. W grze słów, w metaforze, w hiperboli, w opisach i porównaniach objawia się „twarz” autora tekstu i choćby przywdziewał stylistyczne „maski”, to i tak zmierzać będzie w stronę prawdy o bohaterze opowieści (ale też o podmiocie wszelkiej twórczości). Każda opowieść, wiersz, zwerbalizowana myśl może być częścią tego epifanicznego procesu, w którym ujawnia się nasza twarz, indywidualna, ale i zbiorowa; twarz kulturowa konkurująca z naturalną. Sztuka bywa żmudnym procesem docierania do rysów tej uniwersalnej Twarzy, która bywa przez nas noszona, ale która także nam się przygląda. Z dystansu, z niewątpliwym zacięciem, a może zatroskaniem. Moda na wystawy prezentujące portrety, ale jeszcze częściej autoportrety dotyczy artystów różnych mediów i różnych epok; warto tu podkreślić, że wielu dawnych mistrzów malarstwa z satysfakcją, swoiście „narcystyczną”, prezentowało się w ujęciach autoportretowych, nie zaniedbując przy tym drażenia własnej tożsamości i tropienia śladów życia pozostawianych na twarzy przez upływający czas. Tak można odbierać portrety Albrechta Dürera, Rembrandta i innych twórców, tę koncepcję rozwijali również artyści współcześni, jak chociażby Eugeniusz Get-Stankiewicz w grafice i plakacie, a w koncepcji tzw. żywej rzeźby m.in. zespół Gilbert&George czy Andrzej Dudek–Dürer, natomiast w samej fotografii – obok Natalii LL, plejada artystów spod znaku tzw. polskiej sztuki krytycznej.

Zauważmy też, że swoistą indywidualizacją obrazu twarzy (lub jej maski) będzie przypisanie jej imienia: tego słowa, które wyraźnie identyfikuje dany obraz, i go jednocześnie przywraca realności; bo oto mamy wizerunek konkretnej osoby podpisany danym imieniem – co to (zdjęcie) wynosi na poziom dokumentu niemal w pełni obiektywnego (jak w policyjnej kartotece?). Ale jeśli osobno „dokumentuje się” typograficzny układ liter danego imienia, zderzając go z portretem lub autoportretem artysty,

to osiągamy w ten sposób nowy, symboliczny przekaz, bo sugerujący głębsze treści. Imię przerzuca znaczenie z przedmiotu zdjęcia na jego podmiotowy sens; ono apeluje do odbiorcy: oto moje zidentyfikowane „ja”, potwierdzone moim własnym imieniem. Tak – wydaje się – objawiała się w swych pracach fotograficznych Natalia LL, szczególnie w okresie swojej twórczości postkonceptualnej, gdy obok zdjęć autoportretowych prezentowała fotogramy z wyraźnym napisem „NATALIA”. Ten utrwalony gest personalizacji jednocześnie odsyłał do intencjonalnie założonego gestu twórczego każdego artysty, podkreślał jego podmiotowość. Natalia LL – swoją sylwetką, konsekwentnie przez lata fotografowaną, swoją twarzą (czasami ubraną w „maskę”), wreszcie swoim Imieniem i głoszonymi poglądami – stworzyła rodzaj indywidualnej mitologii, artystycznie rozwijanej od konceptualnych przedstawień i słownych gier po wyraźnie ekspresyjne montaże fotografii własnej twarzy „ozdabianej” plastycznymi (również malarskimi) ingerencjami, kończąc na inscenizacjach osadzonych w nordyckich mitach (afirmacja mitu Odyna) i fascynacji muzyką Wagnera. Natalia zabrała już swoją twarz (*faces*) na „tamten brzeg”, pozostawiając nam jednak swoje Imię oraz liczne „kopie” swojego wyobrażenia o powinnościach sztuki i potrzebie posiadania wspólnego artystycznego idola. Pożegnaliśmy ją w upalny sierpniowy dzień 2022 roku wiązkami białych lilii – znaczących dla jej twórczości i symbolicznie wprowadzających tę artystkę w świat już bez winy.

No i na koniec uwaga: jest różnica między zobaczeniem (ujęciem i opisaniem) twarzy a patrzeniem w twarz. „Twarzą w twarz” – jak pisał Janusz Krupiński – co oznacza identyfikację z Innym, ale też odłączenie, filozof ten podkreśla niemożliwość poznania wewnętrznych stanów ducha. Otwartość „twarzą w twarz” daje możliwość wejrzenia w to, co pod nią skryte, a co może i przerażać, i zachwycać. Stąd być może zasadny był zakaz odtwarzania oblicza – jako groźby przekroczenia tajemnicy. Tej, którą przesłania realna twarz?

Tekst stanowi zmienioną i uaktualnioną wersję artykułu publikowanego wcześniej w „Formacie. Piśmie artystycznym” nr 76–77.

Prace Eugeniusza Geta Stankiewicza pochodzą z archiwum redakcji „Format”, natomiast prace Natalii LL publikujemy dzięki uprzejmości fundacji ZW; dziękujemy za udostępnienie nam reprodukcji.

Bożenie Samotus dziękujemy za przekazanie nam do druku prac Jacka Samotusa.



Jacek Samotus, *prof. Katarzyna Koczyńska-Kielan*, 2017

Kim jestem

(z cyklu Roje Uwag)

Kim jestem? Różni/różne twórcy/twórczynie stawiają w swych dziełach to pytanie. I odpowiedzi na nie przynoszą niejednokrotnie niezwykle rezultaty. U artystów/artystek ta kwestia otwiera między innymi niekończący się ciąg autoportretów. Ale kusi ich/je niejednokrotnie także i przedzieranie się z pytaniami o jestestwo w innych sferach aktywności. Jedną z tych sfer jest gra z własnym lub przybranym imieniem i/lub nazwiskiem. Tu są gesty podobne do tych, jakie spotykamy u różnych ludzi w wielu sferach aktywności, a szczególnie u osobowości literatury, estrady, teatru, filmu (patrz Norma Jeane Mortenson znana dziś niemal wyłącznie jako niepowtarzalna Marilyn Monroe). W tych grach z pytaniem „jak się nazywam?” niejednokrotnie kreowane są upublicznienia samookreśleń poprzez zmiany będące niby marginalnymi kapryсами czy gestami, czasem wręcz o charakterze performance’u z hasłem „ja to kto inny” itp. Jednakże ta sfera aktywności może dziwnie rozszerzyć się nie tylko istotnymi implikacjami dla danej osoby, ile wpływami na otoczenie, styl, a nawet jakiś kształt epoki (*vide* wspomniana Monroe). O tym, że taka zmiana jest brzemienne w skutki dobre i złe, świadczy na przykład to, że pojawiają się nawet całe blogi porad o tym, jak i kiedy dokonywać wyborów twórczej wersji *alter ego* bez szkody dla prestiżu czy wręcz niezakłócając własnej pozycji „rynkowej”¹.

Najbardziej oczywiste zmiany imion i nazwisk dotyczą skrótów dokonywanych wobec rozbudowanych, wielowyrazowych wpisów administracyjnych czy równoznacznych z nimi odpowiednich zapisów religijnych. Na przykład Pablo Picasso odnotowany został podczas chrztu imieniem i nazwiskiem z ponad dwudziestoma wyrazami. Są pewne różnice co do ich cytowania, a podaję tu zapis powszechnie znany: Pablo Diego José Francisco de Paula Juan Nepomuceno Maria de los Remedios Cipriano de la Santísima Trinidad Martyr Patricio Clito Ruiz y Picasso. Zachowując tylko wyrazy pierwszy i ostatni tego andaluzyjskiego gąszczu słów, mamy imię i nazwisko jednego z największych i najbardziej dyskutowanych artystów wszechczasów. Całkiem rozpowszechnione bywają skróty imion i nazwisk dla poprawienia ich nośności. Niech będzie tu przykładem zmiana rodowego Marcus Rothkowitz na powszechnie dziś znane uproszczenie Mark Rothko u wielkiego malarza amerykańskiego pochodzącego z Łotwy. Zmiana ta, w roku

¹ Zob. np. <https://agra-gallery.com>blog> [13 sierpnia 2022].

1940, zbiegła się z reakcją na ówczesny antysemityzm oraz towarzyszyła radykalnemu określeniu na nowo własnej osobowości artystycznej.

Z charakterystycznych „porzuceń” nazwisk i przyjęcia za główny osobowościowy wyróżnik jedynie imion u artystów/artystek drugiej połowy XX wieku można wybrać wenezuelsko-amerykańską rzeźbiarkę Marię Sol Escobar. Pod koniec lat pięćdziesiątych, jako oryginalna reprezentantka twórczo „sfeminizowanej” wersji pop artu, działała, podpisując się Marisol. W podobnym czasie zaczął rozpowszechniać swą pełną humoru sztukę szwajcarsko-francuski artysta Benjamin Vautier. Pod swym imieniem jako Ben wystąpił w manifestacjach Fluxusu i w różnych mediach wybijał hasłowe znaczenie tego zdrobnienia będącego jednocześnie jego mononimem. Od 1969 roku występuje wyłącznie pod swymi imionami para brytyjskich gejów Gilbert Protesch i George Passmore. Tworząc ponadindywidualną sztukę jako Gilbert&George, stali się eksponentami idei „żywej rzeźby”, serii performances i dużych cykli oryginalnych pod względem technicznym fotograficzno-malarskich obrazów. Specjalne miejsce wśród artystek eksponujących własne imiona, lecz nierezygnujących z zaznaczenia pierwszych liter nazwisk, należałoby do francusko-marokańskiej Nicoli L i polskiej Natalii LL. Nicola Leuthe była feministyczną pionierką pop artu i zasłynęła projektami mebli nawiązującymi między innymi do postaci kobiety i elementów jej ubioru. Pod koniec lat pięćdziesiątych, w okresie niedobrych myśli o ojcu – wojskowym, kompletnie zarzuciła nazwisko, a po kilkunastu latach zaczęła używać przy imieniu pierwszą literę nazwiska. Wybitna polska fotografka i performerka Natalia Lach-Lachowicz od początku lat siedemdziesiątych stosowała po imieniu skrót LL (od pierwszych liter nazwiska rodzowego i małżeńskiego). Te dalekosiężne gesty Francuzki i Polki miały podłoże feministyczne. U Nicoli L było to odcięcie się od nazwiska ojca – oficera armii francuskiej, ale potem jednak echo powrotu do akcentów czasów marokańskich po tumulcie paryskim. U Natalii LL, będącej w kilku swych propozycjach artystką odkrywczą (patrz wątek kobiecego hedonizmu), a nawet kultową (słynna *Sztuka konsumpcyjna*), podkreślenie imienia i miękkie przejście ku uwzględnieniu nazwisk stało się zaznaczeniem hierarchii spychającej wątek paternalistyczny na drugi plan wobec nadrzędności femino-imienia.

Sfera tak zwanych czystych pseudonimów jest bardzo szeroka i zdaje się wciąż uaktualniać. Tu można skierować kilka uwag na różne, czasem misterne konstrukcje uzasadnień wyborów mononimów. Z surrealizmu znamy wybitną postać czesko-francuskiej androgynicznej malarki (malarza?) urodzonej jako Marie Čermínová. W 1923 roku w geście anarchistycznym przyjęła neutralny co do płci pseudonim Toyen nawiązujący do francuskiego określenia *citoyen* (obywatel).

Przypominający linię kosmetyków, pseudonim Orlan pojawił się w 1962 roku, zastępując w świecie sztuki nazwisko francuskiej artystki Mireille Suzanne Francette Porte. Orlan posługująca się wieloma mediami zasłynęła przede wszystkim jako skrajna

performerka traktująca operacje plastyczne na własnym ciele jako środki wyrazu artystycznego. Wśród artystów/artystek street artu mamy wiele postaci kryjących się za pseudonimowymi tagami. W tym tłumie jest między innymi Banksy, który zaczął działać w Wielkiej Brytanii w 1990 roku. Ten zakapturzony aktywista społeczny, ale i świetny malarz oraz reżyser filmowy, jest autorem wielce subwersywnych epigramów. Sam termin Banksy w jednej z kilku interpretacji może nawiązywać do nazwiska wybitnego brytyjskiego bramkarza Gordona Banksa.

W powyższych uwagach widać, jak pytania „kim jestem?” wciąż podlegają próbom ich stawiania poprzez rozbudowane formy aktywności wokół szukania *alter ego*. Paradoksalnie wchodzimy wtedy w głębinę samych siebie i, jak pokazują to przykłady, niejednokrotnie towarzyszą temu znaczące artystycznie rezultaty.



Natalia LL, Instalacja *Rzeczy Ostateczne*, 1995, Galeria Arsenał, BWA Białystok (czyt. s. 330)



Natalia LL, *Forma Platońska D*, 1990 (czyt. s. 308)

Harmonia zmienności – Waldemar Okoń *Dniewnik*

To się samo pisze. Proszę o więcej pokory. To jest pisane przeze mnie. (s.11)

Wtaki mniej więcej sposób otwiera swój utwór Waldemar Okoń – poeta, krytyk, historyk sztuki, polonista, profesor Uniwersytetu Wrocławskiego. Bogaty, wręcz onieśmielający dorobek. Wielka elokwencja i niebywała wręcz erudycja. Człowiek, którego z ogromną przyjemnością się i słucha, i czyta. Postać barwna, nietuzinkowa oraz niezwykle oryginalna. Przyznaję – zawsze, kiedy spotykam się z taką rangą, z takim prestiżem oraz, nie bójmy się tego określenia, z takim geniuszem twórczym, czuję się trochę nieswojo. Bo kimże ja jestem, aby pozwalać sobie na wypowiedanie swoich opinii na tym polu? Daleko mi przecież pod każdym względem do tego poziomu. Zapewne dlatego do lektury *Dniewnika* podeszłam z dużą ostrożnością, która miejscami ocierała się wręcz o onieśmielenie. Czy moje obawy były słuszne? Cóż, książka przyjmuje formę literatury totalnie bezpośredniej, więc i ja powiem wprost: *Dniewnik* pochłonął mnie od pierwszej strony. Jednakże, nie mogąc oderwać się od lektury, zastanawiałam się nieustannie – nie tyle nad tym, czy aby na pewno zmierzam we właściwym kierunku, ale raczej nad dylematem, czy w ogóle istnieje tutaj jakikolwiek kierunek. Bałam się pisania o tej książce. Bałam się swojej własnej, niezaprzeczalnej słabości. Do podjęcia wyzwania zachęcił mnie sam Autor. Podczas lektury szybko zorientowałam się bowiem, że jest to człowiek przede wszystkim wolny, że jest to człowiek, który nie boi się mówić tego, co chce i co myśli. W związku z powyższym z całą pewnością udźwignie również moją nieudolność, albo – co jest zresztą wersją bardziej prawdopodobną – wcale się nią nie przejmie. Poza tym Waldemar Okoń przyznał podczas prezentacji swojej książki, że nie jest w stanie czytać Heideggera. To mi dodaje otuchy.

A zatem... *Dniewnik*. Pamiętnik bez dat, kronika emocjonalna, zapis procesu myślowego, refleksja, strumień świadomości. Warstwowa konstrukcja palimpsestu, którą można potraktować dogłębnie lub powierzchownie, jak kto woli. Tekst, którego nie trzeba czytać od deski do deski. Projekt literacki, który staje się w moich oczach literaturą totalną. Kocioł, w którym Autor, niczym demoniczny czarnoksiężnik, miesza katastrofizm z ironią (obejmującą również autoironię), sarkazm z patosem, prozę z poezją, a rząd z błotem.

My, prorocy, mówimy, upajając się samym procesem mówienia, a naszym celem jest zawładnięcie i odurzenie słuchaczy, w tym, szczególnie w moim przypadku, pięknych i grzesznych kobiet. (s. 356)

Waldemar Okoń nie boi się czytelnika. Tak właśnie brzmiałoby podsumowanie mojej refleksji na temat przesłania *Dniownika*, gdybym musiała zawrzeć konkluzję w jednym zdaniu. Dostrzeżenie tej odwagi, przekłada się u mnie na stwierdzenie, iż Autor nie ucieka w związku z tym w rozbudowane projekcje alegorycznych rzeczywistości alternatywnych czy też tworzenie charyzmatycznych i dobrze zarysowanych bohaterów fikcyjnych. Wręcz przeciwnie – w *Dniowniku* mówi się wprost, mówi się szczerze, dobitnie i głośno. Metaforami natomiast rzuca się prosto z mostu. Być może nawet dosłownie, z któregoś konkretnego spojenia rozciągniętego we Wrocławiu ponad Odrą. Powiem więcej, *Dniownik* nie tylko jest szczerzy i autentyczny, *Dniownik* prezentuje coś w rodzaju mentalnego ekshibicjonizmu. Na kartach utworu dochodzi do obnażenia wielu jakże intymnych rejonów. Wartości, decyzje, wspomnienia, osądy i refleksje uznawane powszechnie za kontrowersyjne, lęki, sny, tajemnice alkowy, zakamarki fantazji erotycznych, słabości, wady, osobiste rytuały... Aby obnażać się w ten sposób, potrzeba, z jednej strony, ogromnej odwagi, a z drugiej – poczucia wolności praktycznie nieograniczonej. Autor nie jest ani poprawny politycznie, ani szczególnie uprzejmy, ani pobłażliwy. Specyficzną, a w pewien sposób wręcz perwersyjną przyjemność sprawia natomiast fakt, że wcale o mnie, jako o swojego czytelnika, nie dba, że się ze mną nie cacka, że nie proponuje żadnych zabaw w kotka i myszkę, ale wyklada kawę na łąwę, a po wszystkim wychodzi bez ceregieli oraz bez zamartwiania się o mój potencjalny nastrój. Tak jak już pisałam – Autor *Dniownika* jest mądry, wolny i może sobie pozwolić na taką postawę. Dlatego właśnie nie przejmuje się tym, co ludzie powiedzą. Nie martwi go więc, co sobie pomyślą jego studenci, współpracownicy, koledzy-pisarze, krewni. Poczucie tej wolności, która dosłownie wypływa z kart *Dniownika*, jest oszałamiające i odurzające. Oto bowiem okazuje się, że można powiedzieć wszystko, że można pokazać siebie w całej rozciągłości różnorodnych aspektów człowieczeństwa i nie zmagać się z poczuciem wstydu lub winy. Podróż w głąb pewnego bardzo osobliwego procesu myślowego. Forma Ocierająca się o klasyczny, proustowski strumień świadomości, który zostaje odpowiednio oszlifowany i przystosowany do jakże szerokich możliwości percepcyjnych czytelnika teraźniejszego, a także przyszłego, bo Autor nie ukrywa, że jego uwagi również oczekuje. Jako wisienka na torcie natomiast – wnikliwość obserwatora, który w bezlitosny sposób obnaża słabości nie tylko własnego ciała, ale i schematów zachowań całych grup społecznych. Waldemar Okoń staje się więc w moich oczach współczesnym Wyspiańskim, który jednakże idzie o dziesięć kroków dalej, ponieważ nie tylko wychodzi z metaforycznie rozumianej bronowickiej chaty swojego mieszkania bądź miejsca pracy, ale podąża także, a może nawet przede wszystkim, w kierunku samego

siebie, w kierunku swojego wnętrza. Co więcej, Autor jest również Mickiewiczem, który nie potrzebuje tworzyć żadnych Konradów ani Gustawów, ani Jacków, aby powiedzieć światu – jam jest prorok i ja wiem, dokąd świat zmierza i dokąd wy zmierzcie, a Rosja i tak wywoła kolejną wojnę.

Ludzie są uroczy, do końca myślą tylko o sobie. Jak to będzie po drugiej stronie chmur? Może tam ktoś ich wytrąci z tego stanu i każe myśleć o chmurach albo o sztuce, albo o nowych słowach, które jeszcze nie istnieją. (s.150)

Dniownik zmusza do myślenia. To jest oczywiście truizm, fraza szkolno-infantylna i do bólu banalna, bo zmuszanie do myślenia jawi się jako czynność kompletnie przecież absurdalna. Paradoks polega jednak na tym, że *Dniownik* rzeczywiście to robi. Z tym że, i to trzeba podkreślić co najmniej trzema grubymi liniami, nie chodzi o jakąś tam pierwszą lepszą refleksję w stylu: tekst jest mądry i pouczający. Raczej o sposób, w jaki treść wnika w świadomość, jakie zostawia ślady w umyśle. Zobrazuję to jednym (choć nie jedynym istniejącym) banalnym przykładem. Otóż, w czasie przypadającym na lekturę *Dniownika* przychodzi taki moment, w którym pośród czynności związanych z prozą życia, przesypuję „warzywa na patelnię” od znanego producenta, z foliowej torebki, właśnie na patelnię i zastanawiam się, co też mogłoby się zdarzyć, gdybym jednak przesypała je do garnka, albo do brytfanny. W szerszym kontekście myślę więc nad tym, co znajduje się po przekroczeniu granicy, która oznacza złamanie jakiegoś schematu, wyjście poza wydeptaną ścieżkę rozumowania, postąpienie inaczej, choćby jedynie w strefie mentalnej abstrakcji. „Warzywa na patelnię” z całą pewnością poradzą sobie także w piekarniku. Czy mój sposób myślenia o świecie poradzi sobie, gdy podejmę próbę zweryfikowania jego podstaw? Takie pytania zadaje *Dniownik*. Trywialne i oklepane „zmuszanie do myślenia” przyjmuje więc zupełnie nową formę. Nie w tym rzecz, aby po prostu coś tam przemyśleć. Chodzi o to, aby zakwestionować prezentowany do tej pory światopogląd, aby zadać sobie pytanie – czy na pewno mam rację? Na tym polu potrzebna jest oczywiście ogromna odwaga, ale Autor *Dniownika* jest odważny i w tą niebezpieczną, ale pasjonującą, grę bezceremonialnie wciąga także czytelnika. Z drogi owej natomiast nie ma już odwrotu. Raz zadane pytanie nie da spokoju, a *Dniownik* zada przecież setki niepokojących pytań.

[...] Bożego Narodzenia nie rozumie sam Bóg. Jest wieczny i nigdy się nie narodził (s. 51).

Na ile rzeczywistość rozumie Autor, a na ile z jej rozumieniem będzie musiał się zmierzyć czytelnik? Forma palimpsestu zakłada istnienie wielu warstw, do których dotrze tylko część odbiorców, a także miejsc dostępnych wyłącznie dla samego Twórcy. Waldemar Okoń stwierdza, że prawdopodobnie tylko on jest w stanie zrozumieć *Dniownik*.

Niewątpliwie ma rację. Ale ja pójdę jednak o krok dalej i dodam, że również osoba czytająca ten tekst będzie mogła stworzyć sobie takie warstwy palimpsestu, do których nie uzyska dostępu nawet Autor. *Dniwnika* nie można bowiem oderwać ani od Twórcy, ani od czytelnika. Nie można go umiejscowić zaledwie gdzieś w sferze analiz czysto teoretycznych. Nie można nie odnieść go do samego siebie, do swojego własnego procesu myślowego, do swoich przeżyć i obserwacji. *Dniwnik* zmusza do myślenia i nie ma od tego ucieczki, bez względu na to, do której warstwy palimpsestu się dotrze oraz ile warstw samemu się stworzy.

Już niedługo czytanie stanie się czynnością o tyle rzadką, co wręcz indoktrynowaną przez władzę. Żadna władza nie lubi nadmiernie odczytanych poddanych, a tym razem pójdzie jej wyjątkowo łatwo. Być może, jak zawsze w takich sytuacjach, pojawi się sekta czytelników. (s.138)

Dniwnik jest utworem wielopłaszczyznowym. Trudno w związku z tym jednoznacznie określić jego formę. Ja skłaniam się w kierunku synkretyzmu rodzajowego i gatunkowego. Dostrzegam tutaj elementy różnych koncepcji piśmienniczych. Pojawia się satyra, pojawiają się przebłytki fabularne, komponenty publicystyczne, ułamki ekfrazowe, a nawet odpryski językoznawcze. Jest to doprawdy spektrum dość osobliwe i niebywale ciekawe. Swoje miejsce znajdują również wszystkie znane teoretykom rodzaje literackie. Występują elementy wyraźnie spoetyzowane, takie jak porównania poetyckie. Widoczne, choć w niewielkim stopniu, stają się urywki dramatyczne, bo nawet jeśli nie ma wyraźnie wyodrębnionych dialogów, to przecież jasne jest, że – w miazdzącej większości fragmentów – toczy się rozmowa z drugim człowiekiem. Lub z samym sobą. I w końcu epickość, czyli świat przedstawiony oraz obecność bohatera, może wręcz bohatera zbiorowego. W takim natłoku różnych koncepcji trudno jednoznacznie wskazać osobę mówiącą w tekście, bo nie do końca wiemy, czy jest to narrator pierwszoosobowy czy podmiot liryczny, czy jednak dramaturg tworzący didaskalia dla scenografa (w tym momencie oczywiście posługuję się już daleko idącą przenośnią). Ale czy rzeczywiście istnieje tutaj potrzeba zastosowania konkretnego nazewnictwa? Moim zdaniem – niekoniecznie. Tekst jest bowiem tak ściśle spleciony z osobą Autora, że w zasadzie czuję się zwolniona z obowiązku tytułowania mówiącego w jakiś jednoznaczny sposób.

Zdecydowanie bardziej wabi mnie możliwość dotarcia do pewnej kwintesencji obrazu świata przedstawionego oraz podjęcia próby rozstrzygnięcia dylematu zawartego w pytaniu – o czym jest ten tekst? I na tym polu w zasadzie z samego założenia skazuję się na porażkę, ponieważ nie ma oczywiście mowy o tym, że uzyskam odpowiedź. Pozostaje mi więc przyjąć określoną i mocno zsubiektywizowaną perspektywę odbioru oraz stworzyć swoją własną wizję, która z pewnością będzie bardziej plastyczna niż poetycka. Jakie obrazy pojawiają się zatem pod moimi powiekami, kiedy zamykam

oczy i wyobrażam sobie *Dniownik*? Widzę człowieka, który siedzi na tarasie swojego mieszkania i patrzy na tłum przemierzający się bezwładnie i bezmyślnie po ulicy, człowieka, który jest ponad owym tłumem i wie od tłumy więcej. Widzę człowieka, który czasami w tłum wchodzi, ale nigdy do tłumy nie należy, jakby otaczała go jakaś bańka, dajmy na to – mydlana. Widzę profesora, który wspina się po starych, stromych schodach swojego leciwego i dostojnego uniwersytetu, rozmyślając o sztuce współczesnej, a potem idzie do Lidla nabyć kilka rzeczy totalnie prozaicznych, dumając o nieuchronności śmierci. Widzę podróżnika odpoczywającego na jakiejś śródziemnomorskiej, skalistej plaży. Widzę pacjenta oczekującego na swoją kolej w przyszpitalnej przychodni. Widzę męża, ojca, dziadka. Jeżeli miałabym natomiast przejść do uczuć, to powiedziałabym, że czuję harmonię, dzięki której punkt ciężkości usadowiony jest zawsze na właściwym miejscu. Gdzie konkretnie? Gdzieś pomiędzy. Pomiedzy rozprawą naukową na temat literatury a jajkami na śniadanie. Pomiedzy uniwersytetem a Lidlem. Pomiedzy Lidlem a McDonalodem. Pomiedzy McDonalodem a Mickiewiczem. Pomiedzy jawą a snem. Pomiedzy przeszłością a terażniejszością. Pomiedzy intymnym ciepłem alkowy a fantazjami seksualnymi. Pomiedzy wiedzą a ignorancją. Pomiedzy polityką a tolerancją. Pomiedzy rozczarowaniem a akceptacją. Jeśli kiedyś rzeczywiście powstanie sekta czytelników, założę filię lokalną. Na tajnych kompletach będziemy do końca świata czytać *Dniownik*.

Jestem zbyt wolny jak na drugą dekadę XXI wieku. Czas uległ przyspieszeniu już w wieku ubiegłym i teraz nie może się zatrzymać. (s.34)

Dniownik jest wzruszający. I poruszający. Dzieje się tak przede wszystkim dlatego, że czytelnik z łatwością utożsami się z jego treścią, nawet jeśli pobieżnie prześlizgnie się jedynie po wierzchniej warstwie. Jest to bowiem tekst niezwykle wręcz nostalgiczny. Wspomnienia mieszają się z terażniejszością w sposób zupełnie naturalny i tworzą pewną specyficzną otoczkę rzeczywistości, która jest w swojej istocie wyjątkowo piękna. Stare zdjęcia przypominają czasy, w których było inaczej. Ani gorzej, ani lepiej. Inaczej. Albowiem życie nieustannie płynie, niczym Heraklitowa rzeka, i nie można w żaden sposób zatrzymać jego rwącego nurtu. Dzieci dorastają i w rezultacie opuszczają rodzinne gniazdo. Na uniwersytetach pojawia się rokrocznie nowy narybek przyszłych humanistów. Włosy siwieją, przedmioty szarzeją. Ciało słabnie. Trzeba się z tym godzić, bez względu na wszystko. W *Dniowniku* poznajemy tak różne oblicza zarówno samego człowieczeństwa, jak i sposobów tegoż człowieczeństwa pojmowania. Oto bowiem buńczuczny prorok, w zasadzie w obrębie jednej frazy, jest w stanie zmienić się w ojca tęskniącego za dorosłą córką. Dynamika języka, dynamika przeżyć. Wszystko się zmienia i dzięki temu wszystko pozostaje trwałe i konkretne. Harmonia. Jakże to piękna stylistyka! Jakże to piękne podejście twórcze! Jakaż głębia przekazu!

W *Dniewniku* wszystko ma znaczenie. Bywa, że ulotne i kruche, ale jednak ma. Wszystko jest warte uwagi. I *sacrum*, i *profanum*. *Sacrum* nawet mniej, bo przecież Autor myśli miejscami o swoim tekście w kategoriach herezji. Szczególnie istotna staje się dla niego sztuka, zwłaszcza muzyka. Umuzykalniony zostaje zresztą każdy praktycznie element, nawet język na poziomie słowotwórstwa. Całość, poprzez swą specyficzną regularność, jawi się jako dzieło rytmiczne. W ową rytmikę wpisują się sny, których opisy wprowadzają najczęściej poczucie wszechobecnego absurdu. Utwór ma unikatowy klimat. To poniekąd obraz drogi jednego konkretnego człowieka, którego ukształtowało tak wiele różnych kwestii. Czy jednak ta projekcja jest całkowicie oddana jakiejś konkretnej idei? A jeśli tak, to jakiej? W tym momencie do głowy przychodzą mi dwa raczej skrajne pojęcia, a mianowicie – bunt i afirmacja. Myślę o wszystkim, co może być między nimi rozciągnięte i znowu wraca do mnie poczucie, że w *Dniewniku* panuje harmonia. Bohater jest zbyt świadomy tego, co się wokół niego dzieje, zbyt przytomny i zbyt doświadczony, aby się buntować lub wykazywać postawę afirmatywną. Bohater wie, o co w życiu chodzi i dokąd życie zmierza. I nawet jeśli nie cieszy go ta wiedza, to rozumie, że bunt jest w zasadzie pozbawiony sensu. Czy mam więc także do czynienia z opowieścią o przemijaniu? Tak, jest to również opowieść o przemijaniu. Ważna natomiast staje się perspektywa, której filary stanowią: mądrość, wolność i odwaga nawet w obliczu nieuchronnej katastrofy. Perspektywa odarta jednakowoż z panicznego lęku i histerycznych prób ucieczki przed przeznaczeniem. Zatem pozostaje w swej istocie w piękny sposób harmonijna.

***Ostatni fragment tej części „Dniewnika”, jak sen o dobrej miłości i dobrym szczęściu.* (s. 492)**

Zakończenie. Czyli to jest ten moment, w którym powinnam napisać coś w stylu – reasumując, książka jest świetna, ale... I tu należałoby wyszczególnić wszystko, co mnie podczas lektury uwierało. To się oczywiście nie wydarzy z jednego, banalnego powodu. Otóż jestem fatalnym krytykiem literackim. Nie potrafię i nie chcę literatury krytykować, nawet jeśli owa profesja wymaga tego ode mnie już na poziomie etymologicznym. Mam jedną prostą zasadę; o książkach, jak o zmarłych – albo dobrze, albo wcale. W związku z tym piszę tylko o tekstach dobrych i doskonałych. Na kiepskie szkoda mi czasu i kławiatury (tak, podobnie jak Waldemar Okoń, nawiązuję pewien rodzaj relacji interdyscyplinarnych ze sprzętem komputerowym, na którym pracuję). Nie oznacza to jednak, iż nie posiadam żadnej hierarchii, która pozwalałaby mi literaturę jakoś, oczywiście subiektywnie, klasyfikować pod kątem wartości. Owszem, mam pewną fantazję, co do której wiem, że nigdy się nie ziści, ponieważ nie pozwolą na to ograniczenia mojego mózgu oraz ograniczenia czasowe związane z krótkotrwałością ziemskiej egzystencji. Otóż, kocham dobre książki, natomiast książek doskonałych chciałabym się uczyć

na pamięć. Tak na wszelki wypadek, aby zawsze mieć je przy sobie, kiedy będę ich potrzebować. Czyli zawsze. *Dziennik* wpisuję na swoją abstrakcyjną listę utworów, które chcę znać na pamięć. Tak, ta książka jest mi bardzo potrzebna. Na co dzień. Na trudy i radości życia. Po prostu. Czekam więc z niecierpliwością na kolejne części. Będę czytać. I będę myśleć. I tworzyć nowe warstwy palimpsestu. Bo mogę. Bo z *Dziennika* uczę się wolności i odwagi.

Waldemar Okoń, *Dziennik, czyli kronika niezapowiedzianych śmierci, część pierwsza* (2016–2019), fragmenty, Kolekcja Literacka Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, Warszawa 2021.



Natalia LL, Instalacja *Puszysta tragedia*, 1988, Galeria Grodzka, Lublin



Natalia LL, *Puszysta tragedia*, 1998 (czyt. s. 308)

Kronika

Po roku od ukazania się pierwszego numeru „Formatu Literackiego” zrezygnował ze swej funkcji nasz dotychczasowy redaktor naczelny Andrzej Więckowski: osobowość kompetentna i utalentowana, człowiek niezwykle charyzmatyczny. Żałujemy, choć też akceptujemy jego decyzję. Pismo będzie nadal realizowało swoje cele, w tym zamiar integracji niezależnych talentów pisarskich naszego fascynującego regionu, lokalnego (i nie tylko) środowiska literackiego. Proponujemy więc naszym czytelnikom utwory poetyckie, prozatorskie i eseistyczne na zakładanym wysokim poziomie artystycznym. I refleksję nad wagą prozy i eseju – albo też poezji – dla mądrości literackiej.

Trwa zawieszenie kultury zachodniej: dynda ona na wątej nici, lękając się, w gruncie rzeczy, sprawdzić wytrzymałość aksjologicznych włókien. Prawdopodobnie te najbardziej teraz wyraziste symptomy wielkiego kryzysu – jak psychiczny bunt wobec papieżstwa i może chrześcijaństwa, jego idei – za parę lat okażą się złudzeniem. Niemniej, z oburzeniem przyjęli chrześcijanie współczucie papieskie dla zabijanych lub torturowanych przez FSB Rosjan, o ile ci popierali działania Kremla. Cienieni dziennikarze piszą spokojniej: o swoim rozczarowaniu, o tym, że nie czas eksponować cnoty z Kazania na Górze, a kyszl, miłować nieprzyjacioły. Zarazem żaden z luminarzy dziennikarstwa ani teologii nie oburzał się dotąd na czynienie w patriarchacie moskiewskim prezydenta FR zbawcą ludzkości. W naszym rozhuśtanym sznurku mocno trzyma włókno religijnej tolerancji. Niemal natychmiast też zainteresowano się raczej tym, jak naprawdę zginęła celebrytka propagandy i fotografka robiąca sobie selfie na ruinach Azowstalu, Daria Dugina, czy aby od podłożonej w samochodzie bomby, skoro twarz w otwartej trumnie miała nietkniętą.

Jacek Kurski nie jest już prezesem TVP. Tak zdecydowała Rada Mediów Narodowych. Powołała na to stanowisko Mateusza Matyszkowicza, bliskiego współpracownika Kurskiego – przekazała na Twitterze członek Rady Robert Kwiatkowski. Kilka miesięcy temu sylwetkę Mateusza Matyszkowicza opisał magazyn branżowy „Press”: „Intelektualista, filozof, były hipster, stał się zaufanym człowiekiem prezesa TVP”. I przypomniał, że gdy TVP zostało przejęte przez Prawo i Sprawiedliwość po wygranych wyborach, Mateusz Matyszkowicz najpierw dostał fotel prezesa TVP Kultura, potem telewizyjnej „Jedynki”,

a w kwietniu 2019 roku wszedł do zarządu TVP. Teraz zarząd TVP ma być jednoosobowy. „Niestety bez szansy na konkurs” – skwitował tę decyzję Kwiatkowski. Wieść gminna niesie, że pan Jacek Kurski zostanie ministrem kultury. Aż korci jakiś komentarz pod adresem PLOTEK.

Płótno *Autoportret w szarości* Piotra Konczałowskiego, urodzonego w Słowiańsku na Ukrainie mistrza martwych natur, postimpresjonisty, kubisty i fowisty, należące do rosyjskiego miliardera Piotra Awena (były prezes Alfa Banku), decyzją władz francuskich zostało skonfiskowane w ramach antyrosyjskich sankcji. Poinformował o tym dziennik „Le Monde”. Obraz był dostarczony na paryską wystawę „Ikony sztuki współczesnej”, zorganizowaną przez fundację Louis Vuitton w dniach 22 września 2021 – 22 lutego 2022. Interfax podał o niezwłocznym zwrocie do Rosji pozostałej części kolekcji, około dwustu obrazów, w tym Paula Gauguina, Pierre’a Auguste’a Renoira, Henri Matisse’a, Pierre’a Bonnard i Vincenta van Gogha, niedotkniętych sankcjami.

10 kwietnia w Moskwie zatrzymano aktywistę Konstantina Goldmana, stojącego na steli bohaterskiego miasta Kijowa z książką *Wojna i pokój* Lwa Tołstoja; do tej pory przypuszczalnie stelę już usunięto albo zupełnie zmieniono. W jednym z miast zniszczono pomnik Puszkina. Z pomnikami bardzo istotna rzecz: tworzą ikonosferę, przestrzeń wyobraźni. W krajach bałtyckich pomniki wdzięczności albo chwały Armii Czerwonej są systematycznie demontowane, jedne z przeznaczeniem do recyklingu, a inne lądują jak legendarny murarz-stachanowiec Birkut w *Człowieku z żelaza* Andrzeja Wajdy. Przypomnę z filmu: przechowanie tego posągu w magazynie Pałacu Kultury i Nauki naprowadza dociekliwą bohaterkę na ślad ludzi rzeczywistych, otwiera jej jakieś zagadkowe okienko w ścianie uogólnień. Doprowadza do miłości. Są to więc jakieś pływy w obrębie naszego widnokągu, znikanie obiektów, powracanie ich w zmienionych proporcjach i konstelacjach. Ikonosfera odzwierciedla psychikę zbiorowości. Jedna z najbardziej bagatelizowanych składowych życia (i seksu – że znów nawiążę do oscarowego dzieła Wajdy) w wielkim mieście. „To ma być sztuka?”

Ba, warto mieć tu na uwadze, że na widok *Białego kwadratu* Kazimierza Malewicza niejeden śmiał się: „Przecież takie coś to każdy może namalować”. Malewicz, pierwszy mentor Józefa Strzebińskiego, a następnie Katarzyny Kobro, ogłosił koniec jakiegokolwiek narracji w sztuce, zwalniając ją równocześnie od obowiązku opowiadania o świecie i człowieku. Sztuka wszakże, nie wiedzieć kiedy i jak, wnika w ebenistykę, architekturę, rzeźbę, projektowanie wnętrz oraz design, wzbogaca je o doświadczenia matematyczne, elementy statystyki, rachunku podobieństwa, teorii przypadku. Mamy tu do czynienia z pojmowaniem kultury nieco podobnie, jak ujmowano to na gruncie minimalizmu, choćby Zbigniew Gostomski, aktor teatru Tadeusza Kantora Cricot 2,

współzałożyciel Galerii Foksal. Sztuka minimalna była podstawą do rozwoju między innymi konceptualizmu czy sztuki ziemi. Każda jednak ze ścieżek sztuki, bynajmniej nie tylko ceniona, i nie tylko zachowana z szacunkiem.

Dziury ikonosfery? Pod rosyjskim ostrzałem wsi Iwankowo spłonęły wszystkie co do jednej prace (obrazy, hafty i tkaniny) kulawej wieśniaczki Marii Prymaczenko (1908–1997) z postaciami jej feerycznych zwierząt oddanych naiwnie – uczyła się rysować kijkiem na piasku, pasąc gęsi. Pablo Picasso powiedział na jej wystawie w Paryżu: „Klękam przed artystycznymi cudami tej genialnej Ukrainki”. W 1986 roku stworzyła tych fantasmagorycznych mieszkańców psychiki „czarnobylską serię”. Wtedy doszło do awarii w reaktorze bloku energetycznego nr 4 Czarnobylskiej Elektrowni Jądrowej. Iwankowo, gdzie mieszkała Prymaczenko, znajduje się 40 kilometrów od Czarnobyła, było więc ewakuowane. Jednak artystka odmówiła: tutaj się urodziła, w innym miejscu nie mogłaby tworzyć. Ostatnie osiem lat życia spędziła w łóżku. Do samego końca malowała, uczyła, przyjmowała gości. Zmarła w 1997 roku. Na jej cześć nazwano małą planetę: 14624 Prymaczenko. W tym miejscu zapewne warto przypomnieć ważne słowa Edwarda Dwurnika na okoliczność wystawy „Nasz Nikifor”, jaką miał jej polski odpowiednik z początkiem bieżącego roku w warszawskim Muzeum Etnograficznym – „te kawałeczki papieru nie przypominały [...] nic, com widział. [...] Te małe obrazki są proste jak natura, jedyności ich polega wyłącznie na tym, że najzupełniej szczerze zobaczono rzeczywistość innymi niż wszyscy oczyma”. Znika zatem widzenie unikalne.

Zmarł Stefan Arczyński, nestor polskiej fotografii. Miał 106 lat!!!

Inną dziurą psychiki i ikonosfery jest bez wątpienia śmierć w dniu 12 sierpnia br. Natalii Lach-Lachowicz, szeroko znanej jako Natalia LL. Grób został zasypyany białymi liliami, jej wizualnie eksploatowanymi kwiatami. Właśnie w tych dniach wrocławska Akademia Sztuk Pięknych miała uhonorować doktoratem tę wybitną artystkę – laudację już przygotował nasz autor, prof. Janusz Jaroszewski. Podkreślając rolę LL w sztuce nie tylko kraju, a może eksponując dwa zagadnienia, jakkolwiek bardzo odległe. Natalia LL nadała polskiej sztuce pojęciowej kobiecą twarz, zapytując (najogólniej), czy poza sytuacją ewidentnie seksualną kobiecie wolno być erotyczną, czy raczej tylko wulgarnie a bezmyślnie ona prowokuje (zawraca głowę). Przypomniało o tym usunięcie z warszawskiego Muzeum Narodowego jej prac (i, osobno, Katarzyny Kozyry) z cyklu *Sztuka konsumpcyjna* razem z wystawą „Farba”, które to wyrażenie w żargonie myśliwskim oznacza krew zwierzyny; o pokolenie młodsze artystki z wielu krajów pokazały jednak kolejną już fazę walki kobiet o swoje prawa – choćby do ostrej, fantazyjnej inicjatywy w seksie.

Kwestia druga, droga twórcza Natalii LL biegła najpierw jak tangensoida, artystka przebywała w Nowym Jorku na ogromnie prestiżowym stypendium Fundacji Kościuszkowskiej – i natrafiła tam na pewien fenomen dający się streścić tak: nie ma w Ameryce żadnego jednego mainstreamu. Sztuka tam jest wielonurtowa. U początku lat osiemdziesiątych Nowy Jork miał już pewność, że to środowiska nisz artystycznych wybijają talenty, a nie żadna polityka centralna. Mainstream natomiast w polskim jego rozumieniu medialności, mnogość fachowych opracowań i wystaw, bywa w USA, kiedy główne stacje telewizyjne się zwalczają – efemeryczny, i potrzebuje dystansu wielu lat, ponieważ środowiska niszowe ewokują własne, niekompatybilne z innymi, kryteria oraz pojęciowość. Wielka ilość galerii, galeryjek, salonów aukcyjnych, eventów w mieście takim jak Nowy Jork – raczej pięciogrodzie o odmiennych gustach, tradycjach, wyznaniach, filozofiach życia etc., wielka ilość ulotnych publikacji wtapia po prostu dzieła i postacie pojedyncze w coś buzującego wedle co najwyżej porządku multikulti. Czubkiem tej góry lodowej rządzi zapewne komers nic ze sztuką niemający wspólnego; komers ma zawsze aspekt polityczny, tak więc militarny. I niechaj to czołowe z nim zderzenie subtelnej konceptualistki-feministki da do myślenia, czym była w światowym kontekście kultura końcówki PRL, i jakie są teraz rokowania.

Reforma programu nauczania pod obecnym kierownictwem wywołała internetową burzę, ale burza zamarała nad bezludną wyspą przedmiotów artystycznych: nikt nie woła o przywrócenie i lekcji muzyki, i plastyki, i – przy rozbudowie historii – historii sztuki i historii religii.

Pewna popularna aktorka, piosenkarka, autorka tekstów, kompozytorka otrzymała od ZUS wyliczenie jej emerytury na 34 zł 87 gr. To na szczęście dopiero przyszłość i zanim urzędowi zaproponuje się korektę tego świadczenia, mądrze byłoby uwzględnić krzywą inflacji. Na razie, pomimo protestów bogaczy, są trzynastki i czternastki. Trzymamy kciuki za dwudziestki czwartki, a przy okazji i ZUS-owi, i popularnej artystce polecamy lekturę Chestertona *Człowiek, który był czwartkiem*.

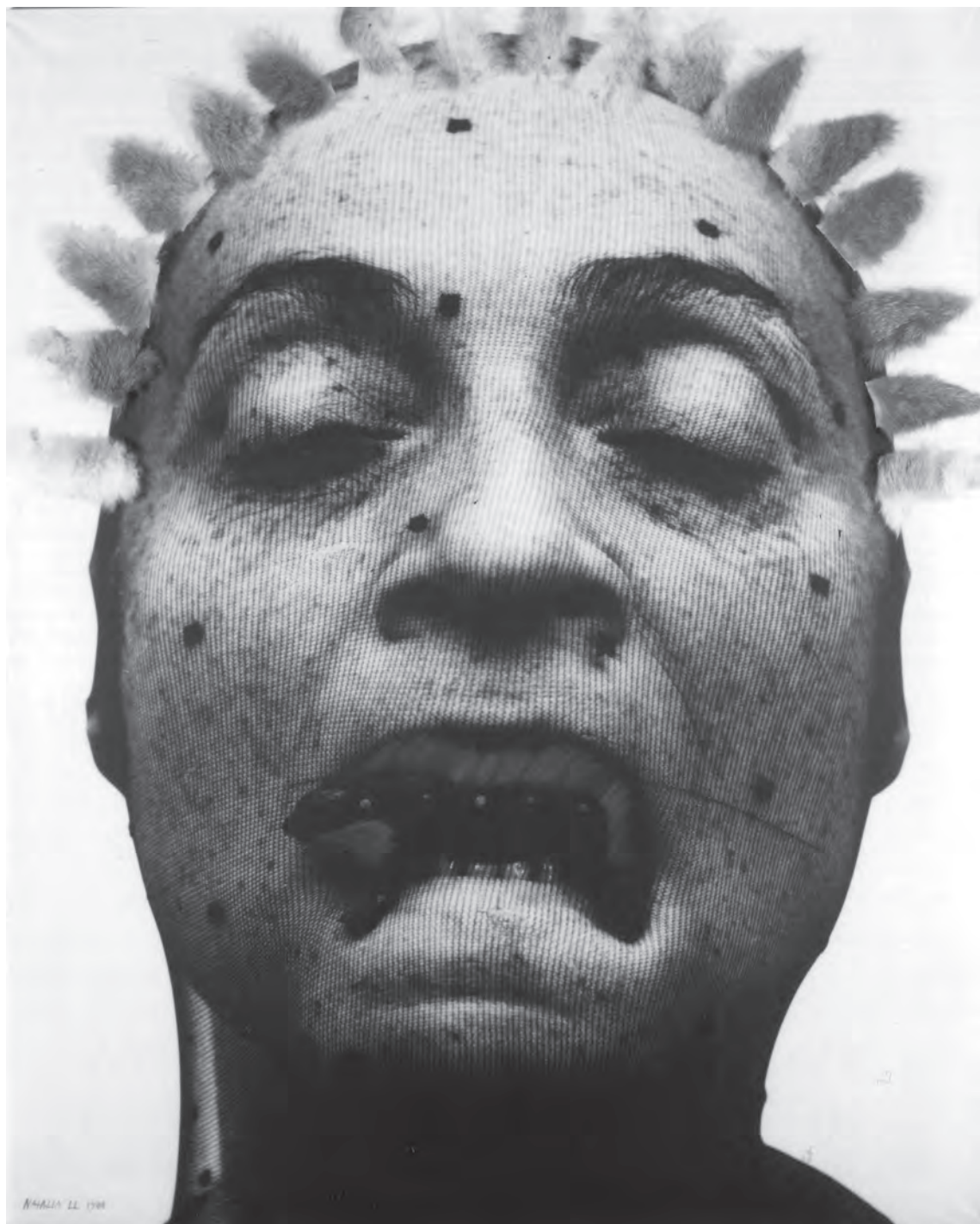
Badania przeprowadzone przez Lumen dowodzą, że spóźniałstwo na kinowe projekcje filmów spada dzięki reklamom. Reklamodawcy podniosą ceny biletów, wskazując, że tworzą okazję do kreatywnego myślenia, a przy okazji uczą, iż da się łączyć oglądalność i użyteczność.

Torrey Peters, amerykańska pisarka, traktując o perypetiach transpłciowości, stworzyła nowe znaczenie, a i mimowolnie nowy wymiar słowa *trans*. Dotąd było ono wiązane z ekstazą religijną, artystyczną i nawet bitewną. *Trans* tymczasem to skrót dla całej listy

orientacji seksualnych. Zdaniem Peters nieodzownym byłoby rozważyć „transiátko” lub, skoro tyle amerykanizmów w języku dzisiejszym, „babytrans” – „jak baby Jesus”, pieszczotliwe „baby” dla dziecka, jakie nie wiadomo jak umieścić w szeregu LGBTitd. Pisarka mówi też o nuklearnym modelu rodziny. Jako o punkcie dojścia. Owszem, po całym tym chaosie wytęskniony Day After.



Czesław Czaplński, Jerzy Kosiński 03, „Maski”, 1987 (czyt. s. 308)



Natalia LL, *Puszysta tragedia*, 1998 (czyt. s. 308)

PROMOCJA

Czesław Czapliński, *Ryszard Kapuściński. Życie w podróży, Życie jako podróż. Rozmowy*, Warszawa: Wydawnictwo „Czytelnik” 2022

W okresie przełomowym dla najnowszej historii – w końcu lat 80. i w pierwszej połowie lat 90. XX wieku – znakomity reporter i pisarz Ryszard Kapuściński (1932–2007) wielokrotnie spotykał się w Warszawie i Nowym Jorku z fotografikiem Czesławem Czaplińskim. Toczone wówczas przez obu przyjaciół dyskusje stały się podstawą publikowanej obecnie książki. Ich różnorodna tematyka objęła sprawy literatury, fotografii i międzynarodowej polityki. Ryszard Kapuściński porównuje m.in. rolę pisarzy w Europie i w Stanach Zjednoczonych, analizuje ogólną sytuację w rozpadającym się Związku Radzieckim, po którym często wówczas podróżował, a także próbuje przewidywać rozwój wydarzeń w świecie u progu XXI wieku.

Książkę wzbogacają artystyczne fotografie autorstwa Czesława Czaplińskiego.



Czesław Czapliński, *Ryszard Kapuściński*, 1986, Nowy Jork

